

Connie Willis

Księga Sądu Ostatecznego

Tytuł oryginalny: Doomsday Book

Tłumaczenie: Arkadiusz Nakoniecznik

*Laurze i Cordelii;
Każda z Was jest moją Kivrin.*

Podziękowania

Serdecznie dziękuję Panu kierownikowi Jamiemu LaRue oraz całemu Personelowi Biblioteki Publicznej w Greeley za nieocenioną pomoc.

Pragnę także wyrazić ogromną wdzięczność Sheil i Kelly'emu, Frazierowi i Cee, a zwłaszcza Marcie - moim najdroższym przyjaciołom.

Po to, by rzeczy, o których winniśmy pamiętać, nie zaginęły w otchłaniach czasu i nie uleciały z pamięci tych, co przyjdą po nas, ja, który widziałem tyle nieszczęść w świecie opętanym przez Złego, i który sam mało nie umarłem, czekając na przyjście śmierci, opisałem wszystko, czego byłem świadkiem.

Po to, by dzieło nie umarło wraz z twórcą, a trud nie został zapomniany z chwilą jego poniechania, zostawiam dość pergaminu dla tego, kto chciałby kontynuować moją pracę, rzecz jasna, jeśli ktokolwiek z ludzi przetrwa tę okropną zarazę i zechce wziąć pióro do ręki, by dokończyć to, co ja rozpocząłem.

Brat John Clyn 1349

CZEŚĆ 1

Rzeczą najpotrzebniejszą dzwonnikowi nie jest wcale siła, lecz wyczucie czasu (...) Te dwie myśli powinny stale gościć w twojej pamięci: dzwony i czas... dzwony i czas...

*Ronald Blythe
Akenfield*

1.

Kiedy tylko Dunworthy otworzył drzwi laboratorium, okulary natychmiast zaszczyły mu parą. Zdjął je pospiesznie i mrużąc oczy spojrzał na Mary.

- Spóźniłem się? - zapytał.

- Zamknij drzwi - odparła. - Słyszę tylko te okropne kolędy.

Dunworthy posłusznie zamknął drzwi, lecz mimo to z dziedzińca nadal dobiegały dźwięki "Pójdźmy wszyscy do stajenki".

- Spóźniłem się? - zapytał powtórnie.

Mary pokręciła głową.

- Ominęła cię tylko przemowa Gilchrista. - Odchyliła się do tyłu wraz z krzesłem, dzięki czemu Dunworthy mógł precyzyjnie się koło niej i stanąć w głębi niewielkiego pomieszczenia obserwacyjnego. Na drugim krześle leżały jej płaszcz i gruby wełniany beret oraz torba ze świątecznymi prezentami. Siwe włosy Mary były w nieładzie, jakby zaraz po zdjęciu beretu zmierzwiła je niecierpliwym ruchem ręki. - Bardzo długa przemowa o dziewiczej podróży w czasie zorganizowanej przez sekcję średniowiecza oraz o tym, że college Brasenose wreszcie zajmie należne mu miejsce, lśniąc niczym szlachetny klejnot w koronie Nauki. Czy ciągle pada?

- Tak - odparł, wycierając szalikiem okulary w drucianej oprawce, po czym starannie umieścił je na nosie i zbliżył się do szklanej ściany odgradzającej ich od laboratorium. Pośrodku pomieszczenia leżał częściowo rozbity wóz otoczony porzucanymi kuframi i drewnianymi skrzyniami. W górze, podobne do półprzeźroczystych spadochronów, wisiały ochronne ekrany.

Przy jednym z kufrów stał Latimer, opiekun naukowy Kivrin. Sprawiał wrażenie jeszcze starszego i mniej pewnego siebie niż zazwyczaj. Montoya, ubrana w dżinsy oraz wojskową kurtkę, zajęła miejsce obok konsoly; co chwila zerkała niecierpliwie na zegarek. Przy głównym pulpicie siedział Badri, który wystukiwał coś na klawiaturze, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na ekrany monitorów.

- Gdzie Kivrin? - zapytał Dunworthy.

- Jeszcze jej nie widziałam - poinformowała go Mary. - Myślę, że spokojnie możesz usiąść. Przeskok jest wyznaczony na samo południe, ale szczerze mówiąc wątpię, czy zdążą ze wszystkim, szczególnie jeśli Gilchristowi przyjdzie do głowy wygłosić jeszcze jedno przemówienie. - Przewiesiła płaszcz przez oparcie krzesła i zestawiła na podłogę torbę z pakunkami. - Wolałabym, żeby nie grzebali się przez cały dzień, bo o trzeciej przyjeżdża mój wnuk Colin. To znaczy, jest wnukiem mojej siostry, ale do mnie też mówi "babciu". Mam go odebrać na stacji metra. - Sięgnęła do torby. - Moja siostrzenica Deirdre wyjechała na Święta do Kentu i poprosiła, żebym się nią zajęła. Mam nadzieję, że przez ten czas przestanie choć na chwilę padać - ciągnęła, zawzięcie grzebiąc w torbie. - Colin ma dwanaście lat i jest bardzo bystrym chłopcem, choć jego słownictwo pozostawia nieco do życzenia. Obecnie wszystko jest dla niego albo "wdechowe" albo "apokaliptyczne". W dodatku Deirdre pozwala mu jeść stanowczo za dużo słodczy. - Wreszcie wydobyła z torby wąskie pudełko w czerwonozielone pasy. - Mam to dla niego na Gwiazdkę. Chciałam kupić coś jeszcze, ale zaczęło lać jak z cebra, a poza tym nie jestem w stanie zbyt długo wytrzymać tych okropnych kołęd, które nadają bez przerwy przez głośniki na High Street. - Otworzyła pudełko. - Nie mam pojęcia w co teraz ubierają się dwunastoletni chłopcy, ale przypuszczam, że szaliki są ponadczasowe. Co o tym myślisz, James?...

James? Dunworthy drgnął raptownie i odwrócił się od szyby.

- Proszę?

- Powiedziała, że moim zdaniem szalik to znakomity prezent gwiazdkowy dla chłopca, nie sądzisz?

Spojrzał na gładki buroszary szalik, który Mary wyjęła z pudełka i pokazywała mu z nie skrywaną dumą. Kiedy był chłopcem w wieku Colina - od tego czasu minęło już prawie pół wieku - wynajdywał najprzeróżniejsze preteksty, żeby tylko nie założyć czegoś takiego na szyję.

- Tak, oczywiście - mruknął, po czym odwrócił się z powrotem w kierunku laboratorium.

- O co chodzi, James? Czy coś się stało?

Latimer podniósł z podłogi małą szkatułkę z metalowymi okuciami, po czym rozejrzał się niepewnie dookoła, jakby zapomniał, co zamierzał z nią zrobić. Montoya ponownie zerknęła ze zniecierpliwieniem na zegarek.

- Gdzie jest Gilchrist? - zapytał Dunworthy.

- Poszedł tam - odparła Mary, wskazując drzwi w przeciwległej ścianie pomieszczenia. - Najpierw przemawiał na temat miejsca sekcji średniowiecza w historii, trochę pogadał z Kivrin, przyglądał się, jak technik przeprowadza testy, po czym zabrał ze sobą Kivrin i zniknął za tymi drzwiami. Przypuszczam, że stara się przygotować ją do przeskoku.

- Przygotować do przeskoku... - mruknął Dunworthy.

- James, usiądź tu wreszcie i powiedz, o co chodzi - zażądała stanowczo, chowając do torby pudełko z szalikiem. - Przede wszystkim: gdzie się podziewałeś? Myślałam, że zjawisz się tu przede mną. Bądź co bądź, Kivrin jest twoją ulubioną studentką.

- Próbowałem się skontaktować z dziekanem Wydziału Historycznego - odparł Dunworthy, spoglądając przez szybę na monitory i wskaźniki zainstalowane na głównym pulpicie kontrolnym.

- Z Basingamem? Wydawało mi się, że wyjechał na ferie?

- Owszem, a Gilchrist tak wszystko urządził, że na czas nieobecności dziekana został jego zastępcą i na własną rękę podjął decyzję o rozpoczęciu badań nad średniowieczem metodą podróży w czasie. Nie konsultując się z nikim, zmienił klasyfikację prawie wszystkich epok. Wiesz jaką kategorię nadał XIV wiekowi? Szóstą. Szóstą, wyobrażasz sobie?! Basingame nigdy by na to nie pozwolił, ale wyjechał nie wiadomo dokąd. - Spojrzał z nadzieją na kobietę. - A może ty wiesz, gdzie on się podziewa?

- Niestety nie. Wydaje mi się, że gdzieś w Szkocji.

- Gdzieś w Szkocji! - powtórzył z goryczą. - A tymczasem Gilchrist wysyła Kivrin do stulecia, które ma kategorię dziesiątą, w którym panowały skrofuły, dżuma, i w którym spalono na stosie Joannę d'Arc! - Spojrzył na Badriego mówiącego coś cicho do mikrofonu. - Powiedziałaś, że Badri przeprowadzał testy. Jakie? Sprawdził koordynaty? Przeprowadził symulację?

- Nie wiem. - Machnęła ręką w kierunku ekranów, na których migotały zmieniające się w szybkim tempie kolumny liczb, tabele i wykresy. - Jestem tylko lekarzem. Wydawało mi się, że to są testy, ale nie pytaj mnie jakie, bo zupełnie się na tym nie znani. On jest z Balliol, prawda?

Dunworthy skinął głową.

- Najlepszy technik, jakiego mamy. - Przez chwilę w milczeniu obserwował Badriego, który wystukiwał coś na klawiaturze nie spuszczać wzroku z monitorów. - Wszyscy technicy z New College wyjechali na ferie. Gilchrist zamierzał wziąć praktykanta, który jeszcze nigdy nie obsługiwał przeskoku z udziałem człowieka. Wyobrażasz sobie? Praktykanta! Z trudem namówiłem go, żeby ściągnął Badriego. Jeśli już się uparł, żeby to zrobić, niech przynajmniej zajmą się tym prawdziwi fachowcy.

Badri zmarszczył brwi, wyjął z kieszeni światłomierz, wstał z fotela i ruszył w kierunku wozu.

- Badri! - zawołał Dunworthy.

Technik nie zareagował. Kontrolując wskazania światłomierza, chodził między porozrzucanymi skrzyniami i kuframi, by wreszcie schylić się i przesunąć jedną z nich nieco w lewo.

- Nie słyszy cię - powiedziała Mary.

- Badri! Muszę z panem porozmawiać!

Mary podniosła się z krzesła.

- On cię nie słyszy, James - powtórzyła. - Ta szyba jest dźwiękoszczelna.

Badri powiedział coś do Latimera, który wciąż trzymał w rękach szkatułkę z metalowymi okuciami, po czym zabrał mu ją i postawił z powrotem w miejscu, w którym na podłodze znajdował się narysowany kredą znak. Latimer sprawiał wrażenie zupełnie zdezorientowanego.

Dunworthy rozejrzał się w poszukiwaniu mikrofonu, lecz nigdzie nie mógł go dostrzec.

- W jaki sposób mogłaś wysłuchać przemowy Gilchrista?

- Nacisnął jakiś guzik - odparła, wskazując tablicę z licznymi przyciskami na jednej ze ścian laboratorium.

Badri wrócił za konsolę i znowu zaczął mówić do mikrofonu. Ekran ochronny opuściły się na chwilę, po czym, na polecenie technika, powędrowały z powrotem w górę.

- Poprosiłem go, żeby sprawdził wszystko od A do Z: funkcjonowanie sieci, obliczenia tego praktykanta, koordynaty, dosłownie wszystko... Obiecał mi, że jeśli znajdzie jakąkolwiek niedokładność, nie dopuści do przeskoku, bez względu na to, co powie Gilchrist.

- Chyba nie przypuszczasz, że Gilchrist świadomie narażałby Kivrin na niebezpieczeństwo? - zaprotestowała Mary. - Zapewnił mnie, że przedsięwziął wszelkie możliwe środki ostrożności...

- Dobrze sobie! - parsknął Dunworthy. - Wszelkie możliwe środki ostrożności! Nawet nie sprawdził parametrów i nie pofatygował się, żeby przeprowadzić choćby najprostszą symulację! Zanim wysłaliśmy człowieka w XX wiek, przez dwa lata eksperymentowaliśmy ze zdalnie sterowanymi sondami. On nie wysłał ani jednej. Badri powiedział mu, że przeskok powinien zostać odwołany, a on tylko przesunął go o dwa dni! Ten człowiek jest po prostu niekompetentny.

- Ale w swoim przemówieniu wyjaśnił, dlaczego przeskoku należy dokonać właśnie dzisiaj. Powiedział, że w XIV wieku ludzie nie przywiązywali większej wagi do dat, z wyjątkiem okresu siewu i żniw, a także świąt kościelnych. Według niego najwięcej różnych świąt przypadało w okresie Bożego Narodzenia, więc sekcja średniowiecza postanowiła wysłać Kivrin akurat teraz, bo w Adwencie dziewczynie będzie łatwo ustalić położenie czasowe i tak wszystko zorganizować, żeby dwudziestego ósmego grudnia wrócić na miejsce przeskoku.

- Decyzja, żeby wysłać ją teraz, mimo że operacja nie jest właściwie przygotowana, nie ma nic wspólnego z Adwentem ani Bożym Narodzeniem - odparł Dunworthy. Przez cały czas obserwował Badriego, który znowu zmarszczył brwi i stukał jednym palcem w klawiaturę. - Mógł wyznaczyć nową datę na następny tydzień i odebrać ją na przykład w Trzech Króli. Mógł przez pół roku wysyłać bezzałogowe sondy, a potem wpuścić ją w pętlę, co byłoby najbezpieczniejsze. Prawda przedstawia się w ten sposób, że wysyłają właśnie teraz, ponieważ nie ma Basingame'a, który mógłby go powstrzymać.

- Wiesz co? - mruknęła Mary. - Ja też odniosłam wrażenie, że bardzo mu się spieszy. Aż podskoczył, kiedy mu powiedziałam, ile czasu Kivrin powinna spędzić w klinice. Musiałam kilka razy powtarzać, że szczerpionki nie działają od razu i że trzeba upewnić się, czy organizm nabrał już wystarczającej odporności.

- Powrót dwudziestego ósmego grudnia... - powiedział z goryczą Dunworthy. - Wiesz, co to za święto? Dzień Młodzianków obchodzony na pamiątkę rzezi niewinnych dokonanej przez Heroda. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki jest przeprowadzana ta operacja, trudno uznać to za dobry omen.

- Czemu więc nie interweniujesz i nie zabronisz Kivrin uczestniczyć w eksperymencie? Przecież jesteś jej opiekunem naukowym.

- Niestety nie - odparł. - Kivrin studiuje w college'u Brasenose, a jej opiekunem jest Latimer. - Wskazał ruchem głowy siwowłosego mężczyznę, który znowu podniósł szkatułkę z podłogi i przyglądał się jej z roz-targnieniem. - U nas, w Balliol, zjawiła się nieoficjalnie. Poprosiła mnie o pomoc w przygotowaniach, a ja od razu powiedziałem jej, że powinna się wycofać.

Kivrin przysłała do niego, kiedy była jeszcze na pierwszym roku.

- Chcę na własne oczy zobaczyć średniowiecze - oświadczyła.

Miała niespełna metr pięćdziesiąt wzrostu i jasne włosy splecione w warkocz. Wyglądała tak młodo, że zawahałby się, czy pozwolić jej samodzielnie przejść przez jezdnię.

- Zapomnij o tym - odparł. To był jego pierwszy błąd. Powinien odesłać ją z powrotem do sekcji średni-owiecza, żeby porozmawiała o tym ze swoim opiekunem naukowym. - Średniowiecze jest zamknięte. Dosta-ło dziesiątą kategorię.

Od razu miał okazję przekonać się, jak bardzo jest uparta.

- Kategoria dotyczy całej epoki, a pan Gilchrist twierdzi, że nadano ją zbyt pochopnie. Gdyby przepro-wadzić analizę rok po roku, okazałoby się, że niektóre okresy są całkiem bezpieczne. Przy nadawaniu kate-gorii kierowano się między innymi danymi dotyczącymi śmiertelności, która rzeczywiście była dość wysoka, ale przede wszystkim z powodu niedożywienia i braku opieki medycznej. Historyk zaszczepiony przeciwko grasującym wtedy chorobom nie musiałby się niczego obawiać. Pan Gilchrist zamierza zwrócić się do Rady Wydziału z prośbą o dokonanie ponownej oceny i otwarcie przynajmniej części XIV wieku.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić Rady Wydziału Historycznego otwierającej wiek, w którym nie tylko grasowała Czarna Śmierć, ale także trwała w najlepsze Wojna Stuletnia - odparł Dunworthy.

- Mimo wszystko mogą to zrobić, a kiedy tak się stanie, natychmiast zgłoszę się na ochotnika.

- Nic z tego nie będzie - stwierdził stanowczo. - Choćby dlatego, że na pewno nie wyślą kobiety. W czter-nastym wieku nie spotykało się samotnie podróżujących kobiet. Tylko te z najniższych klas społecznych wyruszały czasem w drogę bez opieki, ale stawały się łatwym łupem każdego zwierzęcia lub rzezimieszka. Te wywodzące się ze szlachty, a nawet należące do powstającej wtedy klasy średniej, przebywały zawsze w towarzystwie ojców, mężów albo służących, lub wszystkich naraz. Poza tym, nawet jeśli na chwilę zapom-nimy, że jesteś kobietą, to przecież nie skończyłaś jeszcze studiów. W średniowieczu czyha zbyt wiele ni-ebezpieczeństw, żeby posyłać tam kogoś bez żadnego doświadczenia.

- Wcale nie jest tam niebezpieczniej niż w dwudziestym wieku - zaprotestowała dziewczyna. - Proszę tylko pomyśleć o gazie musztardowej, karambolach i nalotach dywanowych. Przynajmniej nikt nie rzucił mi na głowę bomby atomowej. A skąd wziąć doświadczonych specjalistów od średniowiecza? Nikt tam przecież nie był, a pańscy fachowcy od XX wieku nie mają pojęcia o tamtym okresie. Nikt nie ma pojęcia. Nie zachowały się prawie żadne dokumenty, z wyjątkiem rejestrów parafialnych i ksiąg podatkowych, więc nie bardzo wiemy, jak żyli ludzie w tamtych czasach. Właśnie dlatego chcę zobaczyć to na własne oczy. Po-może mi pan?

- Obawiam się, że będziesz musiała porozmawiać z kimś z sekcji średniowiecza - powiedział wreszcie, ale było już za późno.

- Już z nimi rozmawiałam. Oni też nic nie wiedzą - to znaczy nic praktycznego. Pan Latimer uczy mnie staroangielskiego koncentrując się na fleksji przymiotnikowej i hipotetycznych zmianach miejsc artykulacji głosek, ale jeszcze nie miałam okazji powiedzieć nawet jednego słowa. Muszę znać ich język i obyczaje - ci-ągnęła, oparłszy się obiema rękami na biurku Dunworthy'ego. - Czy pan wie, że oni nie mieli talerzy? Uży-wali płaskich bochenków chleba zwanych manchets, które zjadali po posiłku. Potrzebuję kogoś, kto opowie mi o takich szczegółach, żebym nie popełniała błędów.

- Jestem specjalistą od dwudziestego wieku, nie od średniowiecza! - zaprotestował. - Ostatni raz czytałem coś na ten temat chyba ze czterdzieści lat temu!

- Ale pan wie, co powinnam wiedzieć. Wystarczy, że zasygnalizuje mi pan problem, a ja już sama znajdę wszystko na ten temat.

- Dlaczego nie zwrócisz się do Gilchrista? - zapytał, choć w głębi duszy uważał, że tamten jest zarozumi-ałym głupcem.

- Pan Gilchrist poświęca całą energię walce o przeklasyfikowanie epoki i nie ma czasu na nic więcej.

Co mu przyjdzie z przeklasyfikowania epoki, jeśli nie będzie miał nikogo, kogo mógłby tam posłać? - pomyślał Dunworthy, głośno zaś zapytał:

- A ta Amerykanka, Montoya? Zdaje się, że prowadzi prace wykopaliskowe w pobliżu Witney. Powinna sporo wiedzieć na ten temat.

- Ona też nie ma czasu, bo bez przerwy szuka ludzi do pomocy. Sam pan widzi: są zupełnie bezużyteczni. Tylko pan może mi pomóc.

Powinien wtedy powiedzieć: "Jednak to oni są wykładowcami w college'u Brasenose, nie ja", ale dał się ponieść złośliwej satysfakcji spowodowanej faktem, że oto znalazło potwierdzenie jego głęboko skrywane przekonanie, iż Latimera już tylko niewielki krok dzieli od całkowitej demencji, a Montoya więcej czasu poświęca swoim frustracjom niż autentycznej pracy naukowej oraz że Gilchrist nie jest w stanie samodziel-

nie wykształcić dobrego historyka. Uznał, iż oto nadarza się znakomita okazja, aby utrzcę nosa sekcji średniowiecza i pokazać im, jak powinno się to robić.

- Wyposażymy cię w elektronicznego tłumacza, ale oprócz staroangielskiego musisz poznać także kościelną łacinę, normański i staroniemiecki.

Kivrin natychmiast wyjęła z kieszeni kartkę i ołówek, i zaczęła pilnie notować.

- Będą ci potrzebne praktyczne umiejętności takie jak dojenie krowy, zbieranie jaj, uprawianie ogródka - wyliczał, zginając palce najpierw prawej, potem lewej ręki. - Musisz zapuścić dłuższe włosy, nauczyć się jeździć konno, szyć, cerować, tkąć i prząć, nie na kołowrotku, ale za pomocą wrzeciona. W tamtych czasach nie było jeszcze kołowrotka. - Nagle oprzytomniał, uświadomiwszy sobie, że dał się wciągnąć w pułapkę. - Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? - zapytał.

Kivrin siedziała z pochyloną głową, zapisując każde jego słowo. Jej jasne warkocze kołysały się w rytmie poruszeń głowy.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że musisz nauczyć się opatrywać rany i wrzody, musisz wiedzieć, jak przygotować do pogrzebu ciało dziecka, jak własnoręcznie wykopać grób? Niezależnie od tego, co wymyśli Gilchrist, śmiertelność nadal będzie warta pełnej dziesiątki. W XIV wieku przeciętna długość życia wynosiła trzydzieści osiem lat. Częściej niż z żywymi ludźmi będziesz miała do czynienia z trupami. Widziałaś już kiedyś nieboszczyka?

Ołówek znieruchomiał nad papierem, a Kivrin podniosła głowę i z powagą spojrzała mu prosto w oczy.

- Gdzie mogę zacząć się oswajać? - zapytała. - W kostnicy? Czy lepiej zwrócić się do doktor Ahrens z kliniki?

- Powiedziałem jej, że nie może tego zrobić - wyszeptał Dunworthy, wpatrując się przed siebie niewidzącym spojrzeniem. - Ale ona nie chciała mnie słuchać...

- Mnie także - zawtórowała mu Mary.

Dunworthy usiadł obok niej na krześle. Deszcz i gonitwa za Basingamem sprawiły, że odezwał się jego artretyzm. Dopiero teraz zorientował się, iż wciąż ma na sobie palto; ściągnął je z trudem, po czym zdjął szalik, który miał zawiązany wokół szyi.

- Chciałam skauteryzować jej słuzówkę w nosie. Tłumaczyłam, że nie jest przyzwyczajona do zapachów, a raczej do smrodu, jaki przypuszczalnie tam panuje. Odchody, psująca się żywność, nie myte ciała... Tłumaczyłam jej, że jeśli da po sobie poznać obrzydzenie, może napytać sobie biedy, a nawet jeżeli zapanuje nad odruchami warunkowymi, to mogą chwycić ją mdłości, a wtedy trudno racjonalnie myśleć i sprawnie funkcjonować.

- Ale ona nie chciała cię słuchać - powtórzył jak echo Dunworthy.

- Właśnie.

- Ja z kolei starałem się jej wyjaśnić, że w średniowieczu czyha na nią mnóstwo niebezpieczeństw oraz że Gilchrist nie przedsięwziął wystarczających środków ostrożności. Powiedziała mi, że przesadzam.

- Kto wie, może ma rację? - mruknęła Mary. - Bądź co bądź, przeskokiem kieruje nie Gilchrist tylko Badri. W razie najmniejszych wątpliwości z pewnością przerwie operację.

- To prawda.

Badri wciąż stukał jednym palcem w klawiaturę, wpatrując się z uwagą w monitory. Był nie tylko najlepszym technikiem w college'u Balliol, ale także na całym Uniwersytecie. Miał na koncie mnóstwo nienagannie przeprowadzonych przeskoków.

- Poza tym Kivrin jest znakomicie przygotowana - ciągnęła Mary. - Nauczyłeś ją wszystkiego, czego mogłeś, ja przez cały miniony miesiąc zajmowałam się jej stanem fizycznym. Została zaszczepiona przeciwko cholercie, tyfusowi oraz wszystkim chorobom znanym w 1320 roku - nawiasem mówiąc nie zalicza się do niej Czarna Śmierć, która tak bardzo cię niepokoi, ponieważ do Anglii zaraza dotarła dopiero w 1348 roku, a więc dwadzieścia osiem lat później - usunęłam jej wyrostek robaczkowy i wzmocniłam układ odpornościowy. Zaaplikowałam mnóstwo środków przeciwwirusowych i nauczyłam podstaw medycyny średniowiecznej. Z własnej, nieprzymuszonej woli przyswoiła sobie podstawy ziołolecznictwa...

- Wiem, wiem - przerwał jej Dunworthy. Mógłby jeszcze długo ciągnąć wyliczankę. Rok temu Kivrin poświęciła niemal całe ferie świąteczne na naukę łacińskiej liturgii, tkania i wyszywania, on zaś podsuwał jej materiały dotyczące każdej dziedziny wiedzy, która (jego zdaniem) mogła okazać się przydatna w XIV wieku, ale przecież to wszystko było za mało, by uchronić ją przed stratowaniem przez konia lub zgwałceniem przez pijanego rycerza wracającego do domu z kolejnej wyprawy krzyżowej. W 1320 roku wciąż jeszcze palono ludzi na stosach. Na to nic nie poradzi żadna szczepionka. Co będzie, jeżeli ktoś zobaczy ją w trakcie przeskoku i uzna za czarownicę?

Ponownie spojrzał przez szybę. Latimer wreszcie odstawił szkatułkę na miejsce, Montoya znowu zerknęła na zegarek, technik ze zmarszczonymi brwiami stukał w klawiaturę.

- Powiniennem odmówić jej pomocy - powiedział. - Zgodziłem się tylko po to, żeby udowodnić Gilchristowi jego brak kompetencji.

- Bzdura. Zgodziłeś się ze względu na nią. Jest taka sama jak ty: bystra, zaradna i zdecydowana.

- Ale ja nigdy nie byłem tak uparty!

- Oczywiście, że byłeś. Doskonale pamiętam jak kiedyś niewiele brakowało, żebyś przeniósł się do Londynu akurat w trakcie najcięższych bombardowań. Innym razem, do spółki z pewnym bibliotekarzem...

Drzwi otworzyły się raptownie i do laboratorium weszli Kivrin oraz Gilchrist. Po to, by przejść nad porzucanymi pakunkami, dziewczyna musiała nieco unieść długą suknię. Miała na sobie ten sam płaszcz podszywany króliczym futrem i jasnoniebieską, suto marszczoną suknię z ręcznie tkanego materiału, które pokazała mu wczoraj. Suknia przypominała koc, który ktoś zarzucił jej na ramiona, rękawy zaś były tak długie, że zasłaniały dłonie. Długie jasne włosy, związane z tyłu wstążką, sięgały do połowy pleców. Wciąż nie wyglądała na wystarczająco dorosłą, żeby samodzielnie przejść na drugą stronę ulicy.

Dunworthy poderwał się z krzesła i stanął przy szybie, gotów zapukać, kiedy tylko dziewczyna spojrzy w jego kierunku, ona jednak zatrzymała się wśród porzucanych bagaży, pochyliła głowę, przez chwilę wpatrywała się uważnie w podłogę, po czym zrobiła pół kroku naprzód i znieruchomiała w wyznaczonym miejscu.

Gilchrist podszedł do Badriego, zamienił z nim kilka słów, wziął do rąk leżącą na konsolce tabliczkę i zaczął coś na niej zaznaczać szybkimi ruchami pióra świetlnego.

Kivrin zwróciła się do Gilchrista, wskazując na leżącą na podłodze szkatułkę z metalowymi okuciami. Montoya ze zniecierpliwieniem wzruszyła ramionami, podeszła do dziewczyny i pokręciła głową. Kivrin przemówiła ponownie, tym razem bardziej zdecydowanie; Montoya uklękła, podniosła szkatułkę i położyła ją nieco bliżej wozu.

Gilchrist odhaczył kolejną pozycję na liście. Powiedział kilka słów do Latimera, który podał mu płaskie metalowe pudełko. Gilchrist spojrzał na dziewczynę i skinął głową, ona zaś złożyła ręce, pochyliła głowę, a następnie zaczęła coś szeptać.

- Powtarza jakąś modlitwę? - zapytał Dunworthy. - Bardzo słusznie, bo coś mi się wydaje, że przy tym przeskoku może liczyć wyłącznie na boską pomoc.

- Sprawdzają implant - wyjaśniła Mary.

- Jaki implant?

- Specjalny układ scalony, który będzie rejestrował jej spostrzeżenia. W tamtych czasach większość ludzi nie potrafiła czytać ani pisać, więc wszczepiłam jej do jednego przegubu mikrofon i miniaturową baterię, a do drugiego kostkę pamięci. Rejestrator zaczyna działać, kiedy Kivrin złoży ręce jak do modlitwy. Specjalnie tak to zrobiliśmy, żeby wyglądało, że się modli. Pojemność pamięci wynosi 2,5 gigabajta, aż nadto jak na niespełna trzy tygodnie.

- Powinnaś wszczepić jej też nadajnik, żeby mogła wezwać pomoc.

Gilchrist majstrował przy metalowym pudełku. Pokręcił z niezadowoleniem głową, a wtedy Kivrin trochę wyżej podniosła złączone ręce. Jeden z rękawów osunął się nieco, odsłaniając wyraźne skaleczenie na przegubie.

- Coś jest nie w porządku - powiedział Dunworthy do Mary. - Ona krwawi.

Z rany na przegubie istotnie ciekła wąska czerwona strużka.

Kivrin znowu mówiła do złożonych rąk. Umilkła dopiero wtedy, kiedy usatysfakcjonowany Gilchrist skinął głową. Chwilę później spojrzała w bok, dostrzegła Dunworthy'ego i posłała mu radosny uśmiech. Krwawiła także z rany na skroni, i to tak bardzo, że jasne włosy przylepiły się do skóry. Gilchrist odruchowo zerknął w to samo miejsce co dziewczyna, zmarszczył brwi, a następnie szybkim krokiem ruszył w kierunku szklanego przepierzenia.

Dunworthy z wściekłością załomotał pięścią w szybę.

- Jeszcze nawet nie wyruszyła, a już jest ranna!

Gilchrist podszedł do tablicy z przełącznikami, wcisnął jeden z guzików, po czym wrócił przed szklaną ścianę i zatrzymał się przed Dunworthym.

- Witam, panie Dunworthy. - Lekko skinął głową. - I panią, doktor Ahrens. Nawet nie wiecie jak się cieszę, że przyszlście odprowadzić Kivrin.

Dwa ostatnie słowa wypowiedział z wyraźnym naciskiem, tak że zabrzmiały prawie jak groźba.

- Co jej się stało? - zapytał Dunworthy.

Gilchrist sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- A co miałyby się stać?

Kivrin zmierzała w stronę szklanego przepierzenia, podtrzymując suknię zakrwawioną ręką. Teraz, kiedy była bliżej, Dunworthy dostrzegł także fioletowy siniak pod lewym okiem.

- Chcę z nią porozmawiać - oświadczył stanowczo.

- Obawiam się, że nie ma na to czasu - odparł Gilchrist. - Musimy ściśle trzymać się harmonogramu.

- Muszę z nią porozmawiać! Natychmiast!

Gilchrist tak mocno zacisnął usta, że po obu stronach jego nosa pojawiły się białe pionowe kreski.

- Pozwolę sobie przypomnieć panu, panie Dunworthy - wycedził lodowatym tonem - że to przedsięwzięcie zorganizował college Brasenose, a nie Balliol. Naturalnie jestem panu zobowiązany za to, że zechciał

pan wypożyczyć nam waszego technika oraz doceniam pańskie wieloletnie doświadczenie, niemniej jednak pragnę pana zapewnić, że całkowicie panuję nad sytuacją.

- Wobec tego, czemu ta dziewczyna jest ranna, choć jeszcze nie dokonała przeskoku?

- Jak to miło, że pan przyszedł, panie Dunworthy! - zawołała Kivrin, podchodząc do szyby. - Bałam się, że nie zdążę powiedzieć panu do widzenia. Ach, jakie to wszystko ekscytujące!

Ekscytujące.

- Kivrin, ty krwawisz. Co się stało?

- Nic. - Dziewczyna delikatnie dotknęła skroni i spojrzała na palce. - To część przebrania. - Dopiero teraz zauważyła Mary stojącą w głębi pomieszczenia obserwacyjnego. - Doktor Ahrens! Cieszę się, że panią widzę.

Mary zrobiła krok naprzód, wciąż trzymając w ręku torbę z prezentami.

- Chciałam zobaczyć miejsce po szczepionce - powiedziała.

- Miałaś jakieś inne objawy poza opuchlizną? Swędzenie albo coś w tym rodzaju?

- Proszę się nie obawiać, wszystko jest w porządku.

Kivrin podciągnęła rękaw, po czym prawie natychmiast pozwoliła mu opaść, tak że Mary nie zdążyła dobrze przyjrzeć się wewnętrznej stronie przedramienia. Zdążyła natomiast dostrzec kolejny siniak, rozległy i prawie czarny.

- Może ktoś zechciałby mi wyjaśnić, dlaczego ona krwawi? - zapytał Dunworthy, z trudem zachowując spokój.

- Już panu mówiłam, że to część przebrania. Nazywam się Isabel de Beauvrier i w trakcie podróży zostałam napadnięta przez zbójców. - Kivrin wskazała za siebie, na zniszczony wóz i porozrzucane bagaże. - Zabrali wszystko, co przedstawiało jakąś wartość, mnie zaś zostawili na pewną śmierć. Przecież to pański pomysł, panie Dunworthy - dodała z wyrzutem.

- Z całą pewnością nigdy nie proponowałem, żebyś wyruszała cała zakrwawiona i posiniaczona!

- Zrezygnowaliśmy z makijażu, ponieważ chłopcy od rachunku prawdopodobieństwa nie mogli nas zapewnić, że nie trafi się ktoś, kto będzie próbował opatrzeć jej rany - wyjaśnił Gilchrist.

- W związku z tym postanowił pan po prostu zdzielić ją w głowę?

- Panie Dunworthy, po raz kolejny przypominam panu, że...

- ...to przedsięwzięcie college'u Brasenose, a nie Balliol? Ma pan cholerną rację. My w sekcji dwudziestego wieku staramy się przede wszystkim uchronić naszych ludzi przed wszelkimi obrażeniami i nie maltretujemy ich przed dokonaniem przeskoku. Chcę porozmawiać z Badrim. Muszę wiedzieć, czy sprawdził obliczenia tego praktykanta.

Gilchrist ponownie zacisnął usta.

- Nie przeczę, że pan Badri Chaudhuri jest pańskim technikiem, ale to mój przeskok. Zapewniam pana, że wzięliśmy pod uwagę wszystkie dające się przewidzieć ewentualności i...

- To tylko zadrapanie - przerwała mu Kivrin. - Wcale nie boli. Naprawdę nic mi nie jest. Proszę się nie martwić, panie Dunworthy. To ja wpadłam na pomysł z tymi siniakami i całą resztą. Przypomniałam sobie to wszystko, co opowiadał mi pan o kobietach żyjących w średniowieczu, że były takie słabe i delikatne, i postanowiłam wyglądać na jeszcze słabszą, niż jestem naprawdę.

To niemożliwe, pomyślał Dunworthy. Nie można wyglądać na jeszcze słabszą i bardziej bezbronną.

- Udając nieprzytomną będę mogła podsłuchać, co mówią ludzie, którzy są przy mnie, a oni nie będą zadawać mi żadnych pytań, bo będzie oczywiste, że...

- Pora zająć pozycję - przerwał jej Gilchrist i postąpił krok w kierunku tablicy z przyciskami.

- Już idę - odparła Kivrin, nie ruszając się jednak z miejsca.

- Wkrótce musimy otworzyć się.

- Wiem - powiedziała spokojnie. - Tylko pożegnaj się z panem Dunworthym i doktor Ahrens.

Gilchrist skinął głową, odwrócił się bez słowa i wkroczył między porozrzucane kufry. Latimer, który zapytał go o coś z drugiego końca pomieszczenia, usłyszał w odpowiedzi jedynie głuche warknięcie.

- Co oznacza "zająć pozycję"? - zapytał Dunworthy. - Czy on zamierza cię znokautować, ponieważ z raportu dostarczonego przez sekcję prawdopodobieństwa wynika, że może trafić się ktoś, kto nie uwierzy, że jesteś nieprzytomna?

- "Zająć pozycję" oznacza tylko tyle, że muszę położyć się na podłodze i zamknąć oczy - odparła z uśmiechem dziewczyna. - Naprawdę niepotrzebnie się pan martwi.

- Powinnaś zaczekać do jutra, żeby Badri miał czas powtórzyć wszystkie obliczenia.

- A ja chciałabym jednak obejrzeć to miejsce po szczepionce - wtrąciła Mary.

- Proszę, nie martwcie się o mnie! Skóra mnie nie swędzi, skaleczenie nie boli, a Badri od rana nie robi nic innego, tylko sprawdza obliczenia. Wiem, że chodzi wam o moje bezpieczeństwo, ale naprawdę nie powinniście się tak niepokoić. Przeskok nastąpi na drodze z Oxfordu do Bath, zaledwie dwie mile od Skendgate. Jeśli nikt się nie zjawi, sama pójdę do wsi i powiem mieszkańcom, że zostałam napadnięta przez rabusiów. Oczywiście najpierw dokładnie oznaczę i zapamiętam miejsce, żebym mogła potem do niego wrócić. - Kiv-

rin dotknęła szyby ręką. - Chcę wam obojgu bardzo podziękować za to, co dla mnie zrobiliście. Zawsze marzyłam o tym, żeby na własne oczy zobaczyć jak ludzie żyli w średniowieczu, i teraz moje marzenia stają się rzeczywistością.

- Przypuszczalnie zaraz po przeskoku będziesz odczuwała znużenie i ból głowy - ostrzegła ją Mary. - Nie przejmuj się, bo to typowe skutki uboczne podróży w czasie.

Gilchrist ponownie stanął blisko przepierzenia.

- Już pora - powiedział krótko.

- Muszę iść. - Dziewczyna zebrała w dłoniach ciężki materiał sukni. - Jeszcze raz wam dziękuję. Gdyby nie wy, na pewno by mi się nie udało.

- Do zobaczenia - powiedziała Mary.

- Uważaj na siebie - dorzucił Dunworthy.

- Może pan być spokojny - odparła, lecz Dunworthy już tego nie usłyszał, ponieważ Gilchrist wyłączył głośniki w pomieszczeniu obserwacyjnym. Dziewczyna uśmiechnęła się, pomachała ręką, po czym ruszyła z powrotem w kierunku rozbitego wozu.

Mary usiadła i zaczęła grzebać w torbie w poszukiwaniu chusteczki. Tymczasem w laboratorium Gilchrist odczytywał następne pozycje z tabliczki, Kivrin kiwała głową, on zaś po raz kolejny odhaczał je za pomocą pióra świetlnego.

- A co będzie, jeśli dostanie zakażenia krwi od tej rany na skroni? - zapytał Dunworthy, nie odwracając się od szyby.

- Nie dostanie - zapewniła go Mary. - Wzmocniłam jej układ odpornościowy.

Głośno wydmuchała nos.

Kivrin najwyraźniej sprzeczała się o coś z Gilchristem, ponieważ nad ustami mężczyzny znowu pojawiły się białe kreski. Wreszcie dziewczyna stanowczo potrząsnęła głową, on zaś szybkim, nerwowym poruszeniem pióra zrobił jeszcze jeden znaczek na tabliczce.

Zarówno on jak i pozostali ludzie z sekcji średniowiecza mogli być niekompetentni, lecz z pewnością nie dałoby się tego powiedzieć o Kivrin. Znała staroangielski, kościelną łacinę i anglosaksoński. Wykuła na pamięć całą liturgię, nauczyła się haftować i doić krowę. To ona wymyśliła sobie tożsamość oraz historię uzasadniającą, skąd wzięła się zupełnie sama na drodze łączącej Bath z Oxfordem. Miała translator, wzmocniła układ immunologiczny i pozbyła się wyrostka robaczkowego.

- Da sobie radę śpiewając - powiedział Dunworthy bardziej do siebie niż do Mary - co tylko utwierdzi Gilchrista w przekonaniu, że jego metody są właściwe i skuteczne.

Gilchrist podszedł do konsoli i wręczył tabliczkę Badriemu. Kivrin ponownie złożyła ręce, pochyliła głowę tak nisko, że prawie dotknęła ich ustami, po czym zaczęła coś szeptać.

Mary stanęła tuż za Dunworthym, wciąż ściskając w dłoni chusteczkę.

- Kiedy miałam dziewiętnaście lat... Mój Boże, kto by pomyślał, że to było czterdzieści lat temu! Nie zdałam sobie sprawy, że minęło tyle czasu... W każdym razie, podróżowałam z siostrą po Egipcie. Działo się to w trakcie Wielkiej Epidemii. Wszędzie dokoła wprowadzano kwarantannę, a Izraelczycy strzelali do każdego Amerykanina, jaki pojawił się w zasięgu wzroku, lecz my nie zwracaliśmy na to najmniejszej uwagi. Chyba nawet nie przyszło nam do głowy, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo, że możemy się zarazić albo zostać wzięte za Amerykanki. Chciałyśmy zobaczyć piramidy i nie interesowało nas nic więcej.

Kivrin przerwała modlitwę, Badri natomiast wstał od pulpitu, podszedł do dziewczyny i rozmawiał z nią co najmniej przez minutę. Głęboka zmarszczka ani na chwilę nie zniknęła z jego czoła. Kivrin uklękła, a następnie położyła się na plecach z jednym ramieniem przerzuconym bezwładnie w taki sposób, żeby częściowo zasłaniało jej oczy. Technik poprawił ułożenie sukni, zmierzył natężenie światła, wrócił do konsoli i powiedział parę słów do mikrofonu. Kivrin leżała bez ruchu. W blasku lamp krew zasychająca powoli na jej skroni wydawała się niemal czarna.

- Mój Boże, wygląda tak młodo... - szepnęła Mary.

Badri ponownie rzucił kilka słów do mikrofonu, przez chwilę wpatrywał się w ekrany monitorów, po czym wrócił do Kivrin. Poprawił jej prawy rękaw, znowu zmierzył natężenie światła, delikatnie przesunął ramię zasłaniające oczy, powtórzył pomiar.

- I co, zobaczyłyście piramidy? - zapytał Dunworthy.

- Proszę?

- Wtedy, w Egipcie. Kiedy pojechaliśmy na Bliski Wschód nie zważając na niebezpieczeństwo. Udało wam się obejrzeć piramidy?

- Nie. Akurat tego dnia, kiedy miałyśmy wyruszyć na pustynię, w Kairze ogłoszono kwarantannę. - Mary spojrzała na Kivrin leżącą nieruchomo na podłodze laboratorium. - Ale zobaczyłyśmy Dolinę Królów.

Badri ponownie przesunął ramię dziewczyny, przez kilka sekund stał nad nią, przyglądając się jej ze zmarszczonymi brwiami, po czym wrócił do konsoli. Natychmiast dołączyli do niego Gilchrist i Latimer. Montoya cofnęła się o krok, by zrobić im miejsce przy pulpicie. Badri rzucił krótkie polecenie do mikrofonu i spod sufitu opuszczała się półprzezroczysta zasłona, spowijając Kivrin niczym biały całun.

- Byliśmy bardzo zadowolone z wyprawy. Wróciliśmy do domu bez jednego zadrapania.

Dolna krawędź zasłony zetknęła się z podłogą i znieruchomiała.

- Uważaj na siebie - wyszeptał Dunworthy.

Mary ujęła go za rękę.

Latimer i Gilchrist nie odrywali wzroku od ekranów, przez które w oszalamiającym tempie mknęły kolumny liczb. Montoya po raz kolejny zerknęła na zegarek, Badri zaś pochylił się do przodu i dotknął przycisku otwierającego sieć. Powietrze za zasłoną zamigotało, jakby nagle zaczął padać tam śnieg.

- Nie rób tego, Kivrin - powiedział Dunworthy.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO [1]

(000008-000242)

Pierwszy zapis. 22 grudnia 2054, Oxford. Będą to moje obserwacje dotyczące życia w Oxfordshire w Anglii między 13 a 28 grudnia 1320 (według starej rachuby czasu).

(przerwa)

Panie Dunworthy, nazwałam ten mówiony dziennik Księgą Sądu Ostatecznego, ponieważ w założeniu ma stanowić dokumentalny opis życia w średniowieczu, czym w gruncie rzeczy była księga katastralna spisana na polecenie Wilhelma Zdobywcy, choć jemu chodziło zapewne tylko o to, aby upewnić się, że ściągnął od podwładnych wszystkie podatki i należności.

Nazwałam tak mój dziennik również ze względu na pana, ponieważ zdaje się pan być pewien, że przydarzy mi się coś okropnego. Właśnie w tej chwili patrzę na pana: stoi pan za szybą w pomieszczeniu obserwacyjnym i rozmawia o czymś z biedną doktor Ahrens - przypuszczalnie opisuje jej pan niebezpieczeństwa, jakie czyhają na mnie w XIV wieku. Niepotrzebnie się pan trudzi; zdążyła już ostrzec mnie przed ubocznymi skutkami podróży w czasie oraz opowiedzieć ze szczegółami o wszystkich straszliwych chorobach, jakie wtedy grasowały, choć przecież jestem uodporniona na każdą z nich. Wspomniała także o gwałcicielach, których podobno było wtedy na pęczki. Zapewniałam ją, że nic mi nie będzie, ale ona w ogóle mnie nie słuchała, tak samo jak pan.

Nic mi nie będzie, panie Dunworthy.

Chyba nie ma mi pan za złe, że trochę sobie z pana żartuję, bo skoro słyszy pan moje słowa, to znaczy, że wróciłam cała i zdrowa, i że naprawdę nic mi się nie stało. Zdaję sobie sprawę, iż chodzi panu wyłącznie o moje dobro i wiem, że gdyby nie pańska pomoc, na pewno nie dałabym sobie rady.

Dedykuję panu moją Księgę Sądu Ostatecznego. Gdyby nie pan, nie stałabym tutaj w sukni i płaszczu, szepcząc do implantowanego rejestratora i czekając, aż Badri i pan Gilchrist uporają się wreszcie z tymi niekończącymi się obliczeniami. Czemu oni tak się guzdrzą? Chciałabym wyruszyć jak najprędzej.

(przerwa)

Już jestem.

2.

- Cóż... - powiedziała Mary z głębokim westchnieniem. - Chętnie bym się czegoś napiła.

- Przed chwilą sprawiałaś wrażenie, że spieszysz się na stację, żeby odebrać wnuka - odparł Dunworthy, w dalszym ciągu wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze kilka sekund temu leżała Kivrin. W powietrzu wirowało kilka płatków śniegu, a na podłodze laboratorium utworzyła się cienka warstwa lodu.

Trzech mężczyzn wpatrywało się z uwagą w ekrany, mimo że na wszystkich widać było tylko poziomą linię świadczącą o tym, że przeskok odbył się bez żadnych niespodzianek.

- Colin przyjeżdża dopiero o trzeciej - wyjaśniła Mary. - Szczerze mówiąc, ty też wyglądasz jak ktoś, komu przydałby się łyk czegoś mocniejszego. "Pod krzyżem i jagnięciem" jest prawie dokładnie po drugiej stronie ulicy.

- Zaczekam, dopóki jej nie zlokalizują - powiedział Dunworthy, obserwując technika.

Ekrany nadal były puste. Badri spoglądał na nie ze zmarszczonymi brwiami. Montoya rzuciła okiem na zegarek i powiedziała coś do Gilchrista, który bez słowa skinął głową; kobieta złapała torbę spod konsoly, machnęła ręką Latimerowi, po czym szybkim krokiem wyszła z laboratorium.

- W przeciwieństwie do naszej amerykańskiej koleżanki, która najwyraźniej nie może wytrzymać nawet paru godzin z dala od swoich wykopalisk, chcę mieć pewność, że Kivrin dotarła na miejsce cała i bez przygód - oświadczył Dunworthy.

Mary zakładała już palto.

- Przecież nie proponuję ci, żebyś wracał do Balliol. Weź jednak pod uwagę, że ustalenie dokładnych parametrów zajmie co najmniej godzinę, jeżeli nie dwie, a fakt, że będziesz tu sterczał z nosem przylepionym do szyby, nikomu nie pomoże. Sam wiesz: woda nie zagotuje się szybciej od samego patrzenia, i tak dalej. Pub jest po drugiej stronie ulicy. To niewielka knajpka, bardzo przytulna, jedna z tych, w których nie ma idiotycznych świątecznych dekoracji i gdzie nie odtwarzają bez przerwy koncertów na dzwonki. - Podała mu płaszcz. - Napijemy się, zjemy coś ciepłego, a potem wrócisz tu i będziesz mógł zapuszczać korzenie dopóty, dopóki wreszcie uda im się ją zlokalizować.

- Wolę zaczekać tutaj - odparł Dunworthy. - Do licha, czemu to Basingame nie ma wszczepionego nadajnika? Rozumiem, że nawet dziekan Wydziału Historycznego musi od czasu do czasu wyjechać na ferie, ale mógłby przynajmniej zostawić numer, pod którym dałoby się go złapać!

Niespodziewanie Gilchrist wyprostował się, poklepał Badriego po ramieniu i wylewnie uściśnął rękę Lati-merowi, który oderwał wzrok od wciąż pustych ekranów i zamrugał ze zdziwieniem, jakby nie wiedział, gdzie jest. Zaraz potem szeroko uśmiechnięty Gilchrist ruszył w kierunku szklanego przepierzenia.

- W porządku, idziemy - zmienił nagle zdanie Dunworthy, wyrwał Mary płaszcz z ręki i otworzył drzwi. Natychmiast uderzyły w nich podniosłe dźwięki "Gdy pasterze trzód swych strzegli". Mary wymknęła się na zewnątrz, jakby uciekała przed zmasowanym atakiem nieprzyjaciela, Dunworthy zaś zamknął drzwi i po-dążył za nią przez dziedziniec w kierunku bramy college'u Brasenose.

Nadal było bardzo zimno, ale przynajmniej przestało padać. Sądząc jednak po wyglądzie nieba deszcz mógł zacząć siąpić lada chwila; większość przechodniów tłoczących się na chodniku przed bramą uznała za-pewne, iż tak właśnie się stanie, ponieważ nikomu nie chciało się nawet złożyć parasola. Jakaś kobieta z wielką parasolką w fioletowe i czerwone kwiaty, dźwigająca w obu rękach torby ze świątecznymi zakupami, wpadła z impetem na Dunworthy'ego.

- Mógłby pan trochę uważać! - parsknęła z oburzeniem, po czym ruszyła szybkim krokiem w swoją stro-nę, nawet nie czekając na odpowiedź.

- To się nazywa prawdziwy świąteczny nastrój - zauważyła Mary, usiłując zapiąć palto jedną ręką, poni-eważ w drugiej trzymała torbę z prezentami. - Pub jest tam, zaraz za apteką - dodała, wskazując głową drugą stronę ulicy. - Wszystko przez te przekłete kuranty. Każdego mogą doprowadzić do szału.

Podążyła przed siebie chodnikiem, lawirując między niezliczonymi parasolami. Dunworthy zastanawiał się przez chwilę, czy powinien założyć płaszcz, ale doszedł do wniosku, że nie warto. Ruszył za Mary unika-jąc zderzenia ze śpieszącymi dokądś zaaferowanymi ludźmi. Próbował zgadnąć tytuł mordowanej właśnie kołedy. Melodia przypominała skrzyżowanie wojskowej pobudki z marszem pogrzebowym, lecz jego zdani-em miało to być: "Przybieżeli do Betlejem".

Mary zatrzymała się na krawędzi chodnika naprzeciwko apteki i ponownie zaczęła grzebać w torbie.

- Co to za kocia muzyka? - zapytała, wyjmując składaną parasolkę. - "Dzisiaj w Betlejem"?

- "Przybieżeli do Betlejem" - odparł Dunworthy i wyszedł na jezdnię.

- James! - krzyknęła przeraźliwie Mary, chwytając go za rękaw.

Przednie koło roweru minęło go o kilka centymetrów, prawy pedał zahaczył lekko o nogę. Rowerzysta skręcił gwałtownie, odwrócił się na siodełku i wrzasnął z wściekłością:

- Co jest, do cholery? Nie potrafisz chodzić po ulicy?!

Speszony Dunworthy cofnął się o krok i niewiele brakowało, by przewrócił sześciolletnią dziewczynkę tu-lącą do piersi pluszowego świętego Mikołaja. Matka dziecka spiorunowała go wzrokiem.

- Ostrożnie, James - upomniała go Mary.

Deszcz zaczął padać w chwili, gdy znajdowali się na środku jezdni. Mary wbiegła pod markizę apteki i zaczęła walczyć z parasolką, która za żadne skarby nie chciała się otworzyć. Po drugiej stronie szyby wysta-wowej, wśród świątecznych dekoracji z kolorowej bibuły i celofanu, wisiał plakat z wezwaniem: "Wspomóż fundusz na restaurację dzwonów z parafii Marston".

Kuranty przestały znęcać się nad "Przybieżeli do Betlejem" albo "Dzisiaj w Betlejem", wzięły natomiast w obroty kołedę "Mędrcy świata, monarchowie". Dunworthy rozpoznał ją wyłącznie po tonacji.

Mary wciąż nie mogła poradzić sobie z parasolką. W końcu zrezygnowała, wepchnęła ją z powrotem do torby i szybko ruszyła przed siebie zatłoczonym chodnikiem. Dunworthy podążał tuż za nią, unikając o włos kolizji. Minął aptekę, obwieszony migającymi lampkami kiosk z prasą i wreszcie skręcił w otwarte drzwi, które dla niego przytrzymała.

Okulary natychmiast zaszczyły mu parą. Zdjął je, by wytrzeć skrajem płaszcza, Mary natomiast zamknęła drzwi i popchnęła go delikatnie w objęcia cudownej ciszy wypełnionej ciepłymi odcieniami brązu.

- O rety! - jęknęła. - Naprawdę byłam pewna, że przynajmniej tutaj dadzą sobie spokój z tymi przekłętymi dekoracjami!

Dunworthy założył okulary i rozejrzał się dokoła. Na półkach za barem wiły się plastikowe węże, przez które przebiegały różnokolorowe błyski, natomiast w kącie baru na obrotowej podstawie stała sztuczna, przeraźliwie zielona choinka.

Byli sami, jeśli nie liczyć stojącego za barem postawnego mężczyzny o czerwonej, mięsistej twarzy. Mary precyzyjnie się między dwoma stolikami i zajęła miejsce w kącie niewielkiego pomieszczenia.

- Przynajmniej nie słychać tu tych przeklętych kurantów! - stwierdziła z ulgą, stawiając torbę na drewnianej ławie. - Zajmę się napojami, a ty siadaj tu i nigdzie się nie ruszaj. Niewiele brakowało, żeby ten rowerzysta rozjechał cię na śmierć. - Wyłowiła z torby kilka wymiętych banknotów, po czym skierowała się do baru. - Dwa kufle piwa - powiedziała do barmana, a następnie spojrzała na Dunworthy'ego. - Zjesz coś? Mają kanapki i koreczki z serem.

- Widziałś Gilchrista, jak stał przy konsolocie i uśmiechał się, jakby przed chwilą ktoś narobił mu do kieszeni? Nawet nie upewnił się, czy wszystko poszło jak należy. Kivrin może leżeć tam półżywa albo nastąpił poślizg większy niż przewidywali...

- Dwa kufle piwa i dużą whisky - skorygowała zamówienie.

Dunworthy dopiero teraz usiadł przy stoliku udekorowanym miniaturową szopką z plastikowymi owieczkami i półnągą laleczką w żłóbku.

- Powinien wysłać ją z miejsca, gdzie teraz są wykopaliska - ciągnął nie przejawiając najmniejszego zainteresowania tym, czy ktoś go słyszy. - Obliczenia dla przeskoku z udziałem człowieka muszą być znacznie bardziej precyzyjne niż przy eksperymentach ze zdalnie sterowanymi sondami, choć i tak trzeba się cieszyć, że nie wpadł na pomysł z pętlą czasową. Zatrudnić praktykanta do wyliczenia koordynatów! Bałem się, że kiedy dostanie Badriego, dojdzie do wniosku, że teraz może sobie pozwolić nawet na zrobienie pętli. - Przysunął jedną z owieczek do pasterza. - Wątpię, czy zdaje sobie sprawę z różnicy. Wiesz, co mi powiedział, kiedy uprzedziłem go, że najpierw powinien wysłać przynajmniej jedną sondę? "Przecież jeśliby miało wydarzyć się coś nieprzewidzianego, możemy w każdej chwili cofnąć się w przeszłość i zabrać pannę Engle, zanim to się zdarzy". Ten człowiek nie ma pojęcia o funkcjonowaniu sieci, nic nie wie o paradoksach, nie dociera do niego, że Kivrin naprawdę tam jest, i że cokolwiek jej się stanie, nie zdołamy temu przeciwdziałać.

Mary zmierzała w jego stronę klucząc między stolikami, ze szklanką w jednej ręce i dwoma kufkami w drugiej. Najpierw postawiła przed nim whisky.

- Oto najlepsze lekarstwo dla ofiar wypadków ulicznych i nadopiekuńczych ojców. Uderzył cię w nogę?

- Nie - skłamał Dunworthy.

- W zeszłym tygodniu niewiele brakowało a też potrąciłabym pieszego. Nawiasem mówiąc, jednego z twoich studentów. Właśnie pojawił się po dwóch tygodniach spędzonych nad Marną. Nie drasnęła go ani jedna kula, a zaledwie kilka godzin po powrocie zginąłby pod kołami mojego roweru.

Wróciła do baru po koreczki z sera.

- Złoszczą mnie takie opowieści. - Wziął do ręki plastikową Matkę Boską ubraną w białobłękitną szatę. - Gdyby jednak przygotował pętlę, przynajmniej nie groziłoby jej zamrożenie na śmierć. Powinni ubrać ją w coś cieplejszego niż płaszcz podszywany króliczym futerkiem. Czy on naprawdę nie wie, że właśnie wtedy zaczynała się tak zwana Mała Epoka Lodowa?

- Już wiem, kogo mi przypominasz - powiedziała Mary, stawiając na stoliku talerz z koreczkami. - Matkę Williama Gaddsona.

Dunworthy uważał, że nie zasłużył sobie na taką złośliwość z jej strony. William Gaddson był jego studentem z pierwszego roku. Od października matka odwiedziła syna już sześciokrotnie, za pierwszym razem po to, by przywieźć mu nauszniki.

- Na pewno się zaziębi, jeśli nie będzie ich nosił - oświadczyła Dunworthy'emu. - Willy zawsze był wątłego zdrowia, a teraz jest daleko od domu, i w ogóle. Mimo moich próśb jego opiekun naukowy nie poświęca mu należytej uwagi.

Willy przypominał rozłożysty dąb i sprawiał wrażenie równie podatnego na choroby jak najzdrowszy egzemplarz tegoż drzewa w najlepiej utrzymanym ogrodzie botanicznym.

- Jestem pewien, że potrafi sam zadbać o siebie - odpowiedział Dunworthy, co okazało się poważnym błędem, ponieważ natychmiast dopisała go do listy ludzi, którzy nie troszczą się należycie o jej ukochanego synka, co jednak nie przeszkadzało jej w dostarczaniu co dwa tygodnie witamin dla Willy'ego oraz w przekonywaniu Dunworthy'ego, że powinien zwolnić go z treningów wioślarskich, ponieważ wiążą się one z nadmiernym wysiłkiem.

- Nie wydaje mi się, żeby moją troskę o Kivrin można było zaliczyć do tej samej kategorii, co nadopiekuńczość pani Gaddson. W czternastym wieku wprost roi się od różnych rzezimieszków i złodziei.

- Pani Gaddson to samo mówi o Oxfordzie - odparła Mary, podnosząc kufel do ust. - Staralam się jej wytłumaczyć, że nie zdoła obronić Willy'ego przed życiem, a tobie nie uda się obronić Kivrin. Przecież sam dobrze wiesz, że nie zostaje się historykiem siedząc w domu na kanapie. Prędzej czy później sam musiałbyś ją dokądś wysłać, a jeśli się dobrze zastanowić, to każde stulecie powinno z takich lub innych powodów dostać dziesiątkę.

- W naszym nie ma Czarnej Śmierci.

- Ale była Wielka Epidemia, która zabiła sześćdziesiąt pięć milionów ludzi. Poza tym, w 1320 w Anglii nikt jeszcze nie słyszał o zarazie. Przedostała się przez Kanał dopiero w 1348. - Odstawiła kufel na stół, nie chcący przewracając figurkę Matki Boskiej. - A nawet gdyby dotarła wcześniej, nie wyrządziłaby Kivrin najmniejszej krzywdy, bo uodporniłam ją przeciwko dżumie dymienicznej. - Uśmiechnęła się melancholijnie do Dunworthy'ego. - Jak widzisz, są chwile, kiedy nawet ja spoglądam na świat oczami pani Gaddson, choć Kivrin i tak na pewno by się nie zaraziła, właśnie dlatego, że oboje tak bardzo się tym niepokoiśmy. To, czego się obawiasz, nigdy się nie zdarza... W przeciwieństwie do wszystkiego, co niespodziewane.

- Żadna mi pociecha.

Postawił Matkę Boską obok Józefa; przewróciła się ponownie, więc ustawił ją jeszcze raz w tym samym miejscu.

- Owszem, to powinno być dla ciebie pociechą, bo przecież wymyśliłeś wszystkie zagrożenia, wobec których mogłaby stanąć Kivrin, z czego wynika, że jest całkowicie bezpieczna. Przypuszczalnie siedzi już w jakimś zamku i zajada pieczonego bażanta, naturalnie jeśli tam jest ta sama godzina, co tutaj.

Dunworthy pokręcił głową.

- Na pewno nastąpiło jakieś przesunięcie, i to Bóg wie jakie, bo Gilchrist nie uznał za stosowne skontrolować parametrów. Zdaniem Badriego poślizg może sięgnąć nawet kilku dni.

Albo kilku tygodni, dodał w myśli. Jeśli tam jest połowa stycznia, to minie sporo czasu, zanim Kivrin zorientuje się w rozmiarach poślizgu, bo nie będzie żadnych świąt, które pomogłyby jej ustalić dokładną datę. Ba, wystarczyłyby kilkugodzinny poślizg, żeby znalazła się zupełnie sama w środku nocy w lesie zamieszkanym tylko przez złoczyńców i dzikie zwierzęta.

- Mam nadzieję, że nie ominą jej Święta - powiedziała Mary. - Nie mogła się doczekać, żeby obejrzyć średniowieczne nabożeństwo bożonarodzeniowe.

- Do Świąt zostały jeszcze dwa tygodnie, bo tam nadal obowiązuje kalendarz juliański. Kalendarz gregoriański został wprowadzony dopiero w 1582 roku.

- Wiem. Gilchrist rozwodził się nad tym w swoim przemówieniu. Poświęcił sporo czasu reformie kalendarza i rozbieżności dat. Byłam prawie pewna, że podejdziesz do tablicy i narysuje wykres. Właśnie: jaki tam jest teraz dzień?

- Trzynasty grudnia.

- Może to i dobrze, że nie znamy dokładnego czasu?... Kiedy Deirdre i Colin byli przez rok w Stanach, martwiłam się o nich prawie bez przerwy, tyle że te moje troski okazały się zupełnie niesynchronizowane z rzeczywistością. Na przykład niepokoiłam się, że chłopiec wpadnie pod coś w drodze do szkoły, podczas gdy on smacznie spał, bo tam był jeszcze środek nocy. Czarnowidztwo nie ma właściwej mocy, jeśli nie potrafisz wyobrazić sobie katastrofy ze wszystkimi szczegółami, łącznie z pogodą, porą dnia i kolorem liści na drzewach. Kiedy to sobie uświadomiłam, przez pewien czas martwiłam się, że nie mam się czym martwić, a potem w ogóle przestałam zawracać sobie głowę. Kto wie, może z tobą będzie tak samo?

Mary miała rację. Myśląc o Kivrin wciąż widział ją leżącą wśród porozrzucanych kufrów i porozbijanych skrzyń, przy zdemolowanym wozie, ale to przecież nie miało najmniejszego sensu. Minęła już prawie godzina. Nawet jeśli na drodze nie pojawił się żaden podróżny, z pewnością nie czekała beczynnym aż zamarnie na śmierć, tylko wyruszyła w kierunku najbliższej osady.

Dunworthy swoją pierwszą podróż w czasie odbył w ramach ćwiczeń doskonalących metody kalibrowania sieci. Jego zadanie polegało na tym, żeby nie ruszać się z miejsca i spokojnie czekać na powrót. Wysłali go w środek nocy do Oxfordu w roku 1956; ponieważ wiedział, że sprawdzanie parametrów potrwa co najmniej dziesięć minut, co sił w nogach popędził cztery przecznice dalej, by rzucić okiem na Bibliotekę. Wyprawa zajęła mu jednak trochę więcej czasu, niż przewidywał, w związku z czym technik mało co nie dostał zawału, kiedy otworzywszy sieć zobaczył, że jest pusta.

Tak, Kivrin na pewno nie leży bez ruchu z zamkniętymi oczami, wiedząc, że tuż obok, dosłownie na wyciągnięcie ręki, czeka na nią świat średniowiecza. Nagle wyobraził ją sobie jak stoi na drodze z Oxfordu do Bath, rozgląda się pilnie we wszystkie strony, gotowa upaść na ziemię i udawać zemdloną, gdyby na horyzoncie pojawił się jakiś człowiek. Jest młoda, inteligentna, pełna zapału; dlaczego miałoby jej się coś stać?

Od razu poczuł się lepiej.

Tak, na pewno nic jej nie będzie. Za dwa tygodnie zjawi się z powrotem w niewiarygodnie brudnej sukni, z błyszczącymi oczami, nie mogąc się doczekać, kiedy podzieli się opowieściami o zapierających dech w piersi przygodach. Po wysłuchaniu tych historii z pewnością nie zdoła zasnąć co najmniej przez kolejne dwa tygodnie, czyniąc sobie wyrzuty, że naraził ją na tak wielkie niebezpieczeństwa.

- Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku - powiedziała Mary patrząc mu prosto w oczy.

- Tak, wiem. - Poszedł do baru po kolejne dwa kufle. - Kiedy przyjeżdża twój wnuk? Mówiłaś już, ale zapomniałem.

- O trzeciej. Ma zostać przez cały tydzień, a ja naprawdę nie wiem, co z nim robić. Może zaprowadzę go do Ashmole'a? Zdaje się, że chłopcy lubią muzea. Szata Pocahontas, i tak dalej...

Dunworthy zapamiętała słynną szatę Pocahontas jako kompletnie nieciekawą kawałek szarego materiału, bardzo podobnego do szalika, który Colin miał dostać pod choinkę.

- Jeśli wolno mi coś radzić, to proponowałbym raczej Muzeum Historii Naturalnej.

Otworzyły się drzwi i do wnętrza wdarł się fragment "Do szopki, hej, pasterze". Dunworthy zaniepokojony spojrział w kierunku wejścia. Na schodkach stał jego sekretarz, rozglądając się bezradnie w mrocznym pomieszczeniu.

- Już wiem! - oznajmiła Mary. - Poślę Colina na Wieżę Carfax, żeby zepsuł te przeklęte kuranty.

- Przyszedł Finch.

Dunworthy podniósł rękę, ale jego sekretarz już ich dostrzegł i szybkim krokiem zbliżał się do stolika.

- Wszędzie pana szukałem - powiedział. - Mamy kłopoty.

- Z przeskokiem?

Finch zamrugął ze zdziwieniem.

- Z przeskokiem? Nie, proszę pana. Z Amerykankami. Zjawiły się wcześniej, niż zapowiadały.

- Co za Amerykanki?

- Dzwonniczki z Kolorado. Żeńskie Stowarzyszenie Dzwonników ze Stanów Zachodnich.

- Tylko proszę nie mówić, że będzie jeszcze więcej dzwonienia! - jęknęła Mary.

- Przecież miały przyjechać dopiero dwudziestego drugiego? - zdziwił się Dunworthy.

- Dziś jest właśnie dwudziesty drugi, proszę pana - poinformował go Finch. - Spodziewaliśmy się ich po południu, ale odwołano koncert w Exeter, więc zjawiły się trochę wcześniej. Natychmiast zadzwoniłem do sekcji średniowiecza, a pan Gilchrist powiedział mi, że przypuszczalnie poszedł pan świętować sukces.

Sekretarz znacząco spojrział na opróżniony kufel i szklaneczkę z whisky.

- Niczego nie świętuję - odparł Dunworthy. - Czekam na potwierdzenie, że jedna z moich podopiecznych dokonała bezpiecznie przeskoku. Myślę, że potrwa to jeszcze co najmniej godzinę - dodał, zerknąwszy na zegarek.

- Obiecał pan, że pokaże im nasze dzwony - przypomniał mu sekretarz.

- Naprawdę nie musisz tu siedzieć - wtrąciła się Mary. - Zadzwonię do Balliol, jak tylko ją zlokalizują.

Dunworthy spiorunował Mary wzrokiem.

- Przyjdę dopiero wtedy, kiedy będę miał pewność, że wszystko jest w porządku - stwierdził stanowczo. - Tymczasem proszę oprowadzić je po college'u i poczęstować lunchem. Wątpię, czy zdążycie załatwić to szybciej niż w godzinę.

Finch nie sprawiał wrażenia zachwyconego.

- Ale one mają czas tylko do czwartej, bo potem grają koncert w Ely, a bardzo chcą zobaczyć dzwony w Christ Church College...

- Więc niech pan je tam zaprowadzi, pokaże im Wielkiego Toma, przegoni na szczyt Wieży Św. Marcina. Przyjdę, kiedy tylko będę mógł.

Sekretarz chciał chyba jeszcze o coś zapytać, lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie.

- Powiem im, że zjawi się pan najpóźniej za godzinę. - Ruszył w kierunku drzwi, ale w połowie drogi zatrzymał się i wrócił do stolika. - Ach, prawie zapomniałem: dzwonił pastor z pytaniem, czy zechce pan przeczytać Ewangelię podczas świątecznego nabożeństwa ekumenicznego. W tym roku mają je odprawić w kościele Najświętszej Marii Panny.

- Owszem, bardzo chętnie - odparł Dunworthy, zadowolony, że sekretarz wreszcie przestał zdręzczać go dzwoniczkami z Kolorado. - I proszę go poinformować, że po południu będziemy chcieli wejść na dzwonicę, żeby pokazać Amerykankom nasze dzwony.

- Dobrze, proszę pana. A co pan sądzi o Iffley? Może tam też je zaprowadzić? Jedenasty wiek, prawdziwe cacko...

- Znakomity pomysł - przerwał mu Dunworthy. - Koniecznie muszą zobaczyć Iffley. I niech pan im obieca, że przyjdę najprędzej, jak będę mógł.

Finch otworzył usta, zamknął je, przez chwilę przestępował niepewnie z nogi na nogę.

- Dobrze, proszę pana - powtórzył wreszcie, odwrócił się i wyszedł przy akompaniamencie "Wśród nocnej ciszy".

- Nie sądzisz, że byłeś dla niego odrobinę zbyt ostry? - zapytała Mary. - Bądź co bądź, spotkania z Amerykankami bywają ogromnie interesujące.

- Wróci najdalej za pięć minut, żeby zapytać, czy najpierw nie powinien jednak pójść z nimi do college'u Christ Church. Ten chłopiec jest całkowicie pozbawiony inicjatywy.

- Wydawało mi się, że cenisz to u młodych ludzi - zauważyła z przekąsem. - Tacy jak on z pewnością nie będą usiłowali za wszelką cenę wyrwać się do średniowiecza.

Drzwi otworzyły się i do wnętrza pubu wpadło kilka taktów "Cichej nocy".

- To na pewno on. Zaraz zapyta, co podać im na lunch.

- Gotowaną polędwicę z rozgotowanymi jarzynami - poradziła Mary. - Amerykanie uwielbiają opowiadać niestworzone historie o naszej okropnej kuchni... O mój Boże!

Dunworthy odwrócił się w stronę wejścia. Na schodkach, na tle prostokąta szarego dziennego światła, stali Gilchrist i Latimer. Gilchrist uśmiechał się szeroko i mówił coś, czego nie było słyhać z powodu dobiegającej z zewnątrz melodii wygrywanej przez kuranty, Latimer natomiast usiłował złożyć duży czarny parasol.

- Chyba powinniśmy pokazać klasę i zaprosić ich do stolika...

- Jeśli chcesz, to sama pokazuj klasę - powiedział Dunworthy, sięgając po płaszcz. - Ja nie mam najmniejszego zamiaru słuchać, jak ci dwaj gratulują sobie nawzajem, że udało im się narazić niedoświadczoną dziewczynę na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Chyba wiesz, kogo mi teraz przypominasz? Przecież nie przysliby tutaj, gdyby coś było nie w porządku. Widocznie Badriemu udało się ją zlokalizować.

- Na to jeszcze za wcześnie - odparł, odłożył jednak płaszcz i opadł z powrotem na krzesło. - Raczej wyrzucił ich z laboratorium, żeby mu nie przeszkadzali.

Gilchrist zauważył ich i odwrócił się, jakby zamierzał wyjść z pubu, ale Latimer był już prawie przy stoliku, więc młodszy mężczyzna niechętnie podążył za nim. Już się nie uśmiechał.

- Zlokalizowaliście ją? - zapytał Dunworthy.

Gilchrist skierował na niego puste spojrzenie.

- Pytałem, czy zlokalizowaliście Kivrin - powtórzył Dunworthy. - Żeby ściągnąć ją z powrotem, gdyby zaszło coś nieprzewidzianego.

- Pański technik twierdzi, że precyzyjne ustalenie współrzędnych zajmie mu co najmniej godzinę - odparł Gilchrist wyniosłym tonem. - Czy to zawsze trwa tak długo? Ma tu przyjść, kiedy tylko skończy, ale według wstępnych danych wszystko poszło jak z płatka. Poślizg był minimalny.

- Wspaniała wiadomość! - wykrzyknęła radośnie Mary. - Proszę, siadajcie. My także czekamy na rezultaty obliczeń. Napije pan się czegoś? - zapytała Latimera, który wreszcie zdołał złożyć parasol i teraz szukał paska, aby go spiąć i postawić w kącie.

- Chyba tak. Bądź co bądź, odnieśliśmy wspaniałą sukces. Kropelka brandy na pewno nie zaszkodzi. "Wielkie było zwycięstwo, napijmy się więc, aby je godnie uczcić"... - Wciąż nie mógł znaleźć paska między fałdami czarnego materiału. - Wreszcie uzyskamy wiarygodne informacje dotyczące zanikania fleksji przymiotnikowej oraz rzeczywistej postaci niektórych rzeczowników w liczbie pojedynczej.

To naprawdę powód do radości, pomyślał z przekąsem Dunworthy, lecz nawet on, nieco na przekór samemu sobie, poczuł coś w rodzaju ulgi. Najbardziej nie dawała mu spokoju sprawa poślizgu. Jego rozmiary były trudne do przewidzenia, nawet po dokonaniu starannych obliczeń i przeprowadzeniu wszelkich możliwych testów.

Zgodnie z teorią sieci, poślizg pełnił funkcję wbudowanego w nią mechanizmu samozabezpieczającego, który miał nie dopuścić do powstania paradoksów. Niekontrolowane przesunięcie w czasie poza punkty krytyczne uniemożliwiałoby dokonanie czynów, które mogłyby wpłynąć na bieg historii - na przykład, gdyby pełen zapału i dobrych chęci student postanowił zgładzić Hitlera lub uratować życie Cezarowi. Jednak twórcy teorii sieci jak do tej pory nie zdołali ustalić, gdzie konkretnie znajdują się te punkty krytyczne, ile ich jest ani nawet oszacować rozmiarów poślizgu w powiązaniu z ustalonymi arbitralnie parametrami przeskoku. Kontrola tychże parametrów dawała jedynie pewne ogólne pojęcie o tym, co czekało podróżnika w czasie, lecz Gilchrist nie uznał za stosowne jej przeprowadzić. Kivrin mogła dotrzeć na miejsce dwa tygodnie, miesiąc, albo nawet kilka miesięcy po wyznaczonej dacie. Ciekawe czy Gilchrist zastanowił się jak zareagowałoby ludzkie z XIV wieku, gdyby wiosną lub latem zjawiała się wśród nich w zimowym stroju?

Na szczęście Badri powiedział, że poślizg był minimalny. Oznaczało to, iż Kivrin dotarła na miejsce najwyżej kilka dni później niż planowano, a więc ma mnóstwo czasu, aby ustalić dokładną datę i przygotować się do powrotu.

- A pan, panie Gilchrist? Napije się pan brandy?

- Nie, dziękuję.

Mary wydobyła z torby jeszcze jeden wymięty banknot i poszła do baru, Gilchrist natomiast zwrócił się do Dunworthy'ego:

- Muszę przyznać, że pański technik spisał się całkiem nieźle. Sekcja średniowiecza chętnie wypożyczy go do następnego przeskoku. Mamy zamiar wysłać pannę Engle do roku 1355, żeby oszacowała rezultaty epidemii. Relacje, którymi dysponujemy, są mało wiarygodne, szczególnie jeśli chodzi o liczbę ofiar. Szacunki, według których Czarna Śmierć zabrała ponad pięćdziesiąt milionów istnień ludzkich, wydają się znacznie przesadzone, ponieważ oznaczałoby to, że umarła jedna trzecia lub nawet połowa ludności Europy. Obserwacje poczynione przez pannę Engle z pewnością pozwolą nam skorygować te błędne poglądy.

- Czy pan aby nie wybiega zanadto w przyszłość? - zapytał Dunworthy. - Może najpierw przekonajmy się w jakiej formie Kivrin wróci z tej wyprawy albo chociaż zaczekajmy na potwierdzenie, że bezpiecznie dotarła na miejsce?

Gilchrist skrzywił się z niesmakiem.

- Doprawdy nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego wciąż sugeruje pan, że my z sekcji średniowiecza nie jesteśmy w stanie samodzielnie przygotować i prawidłowo przeprowadzić przeskoku. Zapewniam pana, iż

uwzględniliśmy wszystkie, nawet najmniej prawdopodobne ewentualności, najwięcej uwagi poświęcając pojawieniu się Kivrin w punkcie docelowym.

Dzięki wyliczeniom, jakie otrzymaliśmy z sekcji prawdopodobieństwa, wiemy, że na drodze łączącej Oxford z Bath jeden podróżny pojawia się średnio co 1,6 godziny oraz że Kivrin ma 92 procent szans, iż historia o rzekomym napadzie zostanie uznana za prawdziwą, ponieważ w tamtych czasach takie wypadki wcale nie należały do rzadkości. Szansę na to, że zostanie się obrabowanym, wynosiły w Oxfordshire 42,5 procent zimą i aż 58,6 procent latem. W okolicach Otmoor, w lesie Wychwood oraz na mniej uczęszczanych szlakach były znacznie większe.

Dunworthy nie mógł zrozumieć, skąd ludzie z sekcji prawdopodobieństwa wzięli te liczby. Przecież Księga Sądu Ostatecznego nie zawierała spisu rabusiów i złodziei (chyba że uznać za takowych królewskich poborców podatkowych, którzy często ściągali znacznie więcej, niż wynosiły rzeczywiste należności), sami bandyci natomiast z pewnością nie prowadzili rejestru swojej zbójczej działalności ani nie zaznaczali na mapach miejsc, w których najczęściej dokonywali napadów na nie spodziewających się niczego podróżnych. Dowodem na to, że ktoś padł ofiarą napaści był fakt, że nie wrócił do domu - zakładając, iż w ogóle miał dom, i że ktoś tam na niego czekał. Ile bezimiennych trupów pozostawiono w lasach na pastwę dzikich zwierząt, deszczu, śniegu i palących promieni słońca?

- Daję panu słowo, że uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, by zapewnić Kivrin całkowite bezpieczeństwo - powtórzył Gilchrist.

- Na przykład sprawdziliście prawidłowość obliczeń, wysłaliście najpierw zdalnie sterowane sondy i przeprowadziliście standardowe testy?

- To dla pana, panie Latimer - powiedziała Mary, stawiając przed językoznawcą kieliszek brandy, a następnie powiesiła jego parasol na oparciu krzesła i usiadła przy stoliku.

- Właśnie zapewniłem pana Dunworthy'ego, że uczyniliśmy co w naszej mocy, by zmniejszyć ryzyko do minimum - poinformował ją Gilchrist, po czym wziął do ręki plastikową figurkę króla niosącego szkatułkę z kosztownościami i zaczął obracać ją w palcach. - Na przykład szkatułka z metalowymi okuciami należąca do bagażu Kivrin stanowi dokładną kopię jednego z eksponatów przechowywanych w Muzeum Ashmole'a. - Odstawił figurkę na miejsce. - Nawet dobór imienia nie jest przypadkowy. Ustaliliśmy, że w tamtym okresie "Isabel" było jednym z najpopularniejszych kobiecych imion w środkowej Anglii.

- W gruncie rzeczy stanowi ono jedną z wersji imienia "Elizabeth" - wtrącił Latimer takim tonem, jakby prowadził wykład. - Pojawiło się w dwunastym wieku i należy przypuszczać, iż swoją popularność zawdzięcza Isabel z Angouleme, żonie króla Jana.

- Kivrin powiedziała mi, że zamierza wcielić się w autentyczną postać, że Isabel de Beauvrier naprawdę była jedną z córek szlachcica z Yorkshire.

- Zgadza się - potwierdził Gilchrist. - Gilbert de Beauvrier miał cztery córki w wieku, który by nam odpowiadał, ale nigdzie nie zdołaliśmy znaleźć ich imion. Nie ma w tym nic dziwnego; w tamtych czasach kobiety często wymieniano tylko z nazwiska, dodając niekiedy informację czyimi są córkami lub żonami. Dotyczy to zarówno ksiąg parafialnych, jak i nagrobków.

Mary położyła Dunworthy'emu rękę na ramieniu.

- Dlaczego wybraliście akurat kogoś z Yorkshire? - zapytała szybko, nie pozwalając mu dojść do głosu. - Czy to nie będzie wyglądało podejrzanie, że samotna kobieta znalazła się tak daleko od domu?

Ona i tak jest siedemset lat od domu, pomyślał z goryczą Dunworthy. W epoce, w której kobieta nie cieszyła się wystarczająco dużym szacunkiem, żeby wypisano jej imię na nagrobku.

- Zaakceptowaliśmy propozycję panny Engle - odparł Gilchrist. - Uważała, że dzięki temu zmniejszy ryzyko spotkania z kimś, kogo powinna znać oraz uniknie niebezpieczeństwa, że jej wybawcy spróbują skontaktować się z rodziną.

Albo odeślą ją do domu, kilkadziesiąt mil od miejsca przeskoku. Z pewnością poświęciła wiele czasu wyborowi właściwej tożsamości. Dunworthy bez trudu wyobraził ją sobie, jak godzinami przeglądała w bibliotece mikrofilmy ze starymi rejestrami kościelnymi, szukając osoby we właściwym wieku, która nie miała zbyt wielu krewnych, i mieszkałaby na tyle daleko, by głęboki śnieg i mroźna pogoda uniemożliwiły posłańcowi dostarczenie wiadomości o cudownym odnalezieniu zaginionego dziecka.

- Równie starannie przygotowaliśmy wszystkie detale - ciągnął Gilchrist. - Weźmy na przykład pretekst do przedsięwzięcia tak niebezpiecznej wyprawy, czyli chorobę brata. Zadaliśmy sobie trud, aby ustalić, że właśnie w tym rejonie Gloucestershire w 1319 roku wystąpiła zwiększona zachorowalność na grypę, chociaż, zważywszy na katastrofalny stan higieny, równie dobrze mógł zachorować na cholera albo dostać zakażenia krwi.

- James! - szepnęła ostrzegawczo Mary.

- Suknia, którą panna Engle ma na sobie, została ręcznie uszyta z materiału ufarbowanego w wywarze z roślin sporządzonym według oryginalnego średniowiecznego przepisu, natomiast panna Montoya przeprowadziła szczegółowe badania archeologiczne wioski Skendgate, w której Kivrin spędzi najbliższe dwa tygodnie.

- Jeśli tam dotrze - mruknął Dunworthy.

- James!

- A jak wielki zadaliście sobie trud, by ustalić, czy ów hipotetyczny podróżny, który zjawi się po 1,6 godziny, nie odstawi jej do klasztoru w Godstow albo do burdelu w Londynie, albo nie stanie się świadkiem samego przeskoku i uzna ją za wiedźmę? Co uczyniliście, aby mieć pewność, że ów podróżny okaże się rzeczywiście podróżnym, a nie jednym z bandytów, którzy w tamtych czasach, jak sam pan powiedział, napadali na 42,5 procent ludzi przemierzających się po gościńcach?

- Sekcja prawdopodobieństwa zapewniła nas, że szanse na to, by ktoś zobaczył ją w chwili dokonywania przeskoku wynoszą zaledwie 1:25, jeśli zaś chodzi o...

- Patrzcie, przyszedł Badri! - wykrzyknęła Mary, podnosząc się z krzesła i stając w taki sposób, by rozdzielić Gilchrista i Dunworthy'ego. - Nie ma co, szybko się pan uwinął. Zlokalizował ją pan?

Badri był bez płaszcza, w przemoczonym fartuchu, twarz miał siną z zimna.

- Musiał pan niezłe zmarznąć - zauważyła Mary. - Proszę, niech pan siada. - Wskazała wolne krzesło obok Latimera. - Zaraz przyniosę panu brandy.

- Zlokalizował ją pan? - powtórzył pytanie Dunworthy.

Nie tylko fartuch Badriego ociekał wodą; także koszula, spodnie i buty technika były zupełnie mokre.

- Tak - powiedział, szcękając zębami.

- Znakomicie! - zawołał Gilchrist, klepiąc go po ramieniu. - Wydawało mi się, że mówił pan o co najmniej godzinie. Trzeba to uczcić. - Podniósł się z krzesła. - Macie tu szampana? - zawołał do barmana, po czym jeszcze raz poklepał technika po ramieniu i ruszył w stronę baru.

Badri odprowadził go pustym spojrzeniem. Wciąż stał, drżąc na całym ciele i rozcierając zgrabią ręce. Sprawiał wrażenie lekko zdezorientowanego, jakby oszołomionego.

- Na pewno udało się panu ją zlokalizować? - zapytał ponownie Dunworthy.

- Tak - powtórzył Badri, wciąż spoglądając za Gilchristem.

Mary wróciła z brandy.

- To powinno pana trochę rozgrzać - oznajmiła, wręczając mu kieliszek. - Proszę wypić do dna. Zalecenie lekarza.

Spojrzał ze zmarszczonymi brwiami na kieliszek, jakby nie wiedział, co powinien z nim zrobić. W dalszym ciągu szcękając zębami.

- O co chodzi? - zaniepokoił się Dunworthy. - Chyba z Kivrin wszystko w porządku?

- Kivrin?... - powtórzył ze zdziwieniem technik, po czym jakby nagle oprzytomniał. Gwałtownym ruchem odstawił kieliszek na stół, wylewając część zawartości. - Chodźcie ze mną - powiedział, a następnie szybkim krokiem ruszył do drzwi. Po drodze potraçał stoliki i krzesła, lecz nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

- Co się stało? - Dunworthy zerwał się raptownie z miejsca rozrzucając plastikowe figurki na stoliku. Jedna z owieczek potoczyła się po blacie, przez ułamek sekundy trwała nieruchomo na krawędzi, po czym spadła na podłogę.

Badri otworzył drzwi gwałtownym szarpnięciem i do pubu wezbraną falą wlały się dźwięki kurantów grających "Wśród nocnej ciszy".

- Proszę zaczekać, Badri! - zawołał Gilchrist, który właśnie wrócił od baru z butelką i kieliszkami. - Zaraz wzniesiemy toast!

Dunworthy sięgnął po płaszc.

- O co chodzi? - zapytała Mary, zgarniając z krzesła torbę z prezentami. - Nie udało mu się jej zlokalizować?

Dunworthy nie odpowiedział, tylko co sił w nogach popędził za Badrim. Technik był już w połowie ulicy. Biegł na oślep przed siebie, nie zwracając uwagi ani na tłum wypełniający chodniki, ani na intensywny deszcz. Dunworthy najszybciej jak mógł założył płaszc, po czym dał nura między ludzi.

Nie ulegało wątpliwości, że wydarzyło się coś niedobrego. Może poślizg okazał się większy, niż przewidywano, może praktykant popełnił błąd w obliczeniach, może nastąpiła awaria sieci... Ale sieć miała przecież tyle zabezpieczeń, że w razie najmniejszej usterki po prostu wyłączyłaby się samoczynnie i przeskok nie doszedłby do skutku. Poza tym Badri powiedział przecież, że zlokalizował dziewczynę.

Tak, z pewnością chodzi o poślizg. To jedyne, co mogło się nie udać, nie doprowadzając jednocześnie do przerwania eksperymentu.

Badri przemknął na drugą stronę jezdni, cudem unikając zderzenia z rowerem. Dunworthy przecisnął się między dwiema kobietami objuczonymi torbami chyba jeszcze bardziej wypchanymi niż ta, z którą nie rozstawiała się Mary, przeskoczył nad foksterierem wlokącym się na smyczy daleko za swoim panem i ponownie ujrzał technika kilkanaście metrów z przodu.

- Badri! - krzyknął co sił w płucach.

Mężczyzna chyba go usłyszał, ponieważ odwrócił głowę w jego stronę... i w tej samej chwili wpadł na czterdziestoparoletnią kobietę z wielką kwiecistą parasolką.

Kobieta szła pod wiatr, zasłaniając się przed zacinającym deszczem, więc nie mogła zobaczyć Badriego. Siła uderzenia była tak wielka, że przeraźliwie kolorowa parasolka wystrzeliła raptownie w górę, po czym spadła na chodnik. Badri zatoczył się i niewiele brakowało, by przewrócił się o nią.

- Jak słowo daję, mógłby pan trochę uważać! - parsknęła z wściekłością kobieta, chwytając za krawędź parasolki, która wykazywała wielką ochotę, by pofrunąć z wiatrem. - Tu nie stadion ani tor wyścigowy!

Technik przez chwilę wpatrywał się w nią z takim samym nieobecny wyrazem twarzy, jaki miał niedawno w barze.

- Przepraszam - wymamrotał wreszcie, po czym schylił się i złapał parasolkę z drugiej strony. Gdyby nie czarne myśli, które prześladowały Dunworthy'ego, z pewnością parsknąłby śmiechem widząc, jak Badri i kobieta mocują się, ciągnąc każde w swoją stronę. Wreszcie Badri chwycił za rączkę, podniósł parasolkę, odwrócił ją we właściwą stronę i wręczył kobiecie, której twarz zdążyła tymczasem poczerwieniec ze złości lub zimna albo z obu powodów naraz.

- Przepraszam?! - wrzasnęła, zamierzając się jak do ciosu. - Tylko tyle ma pan do powiedzenia?

Badri niepewnie przesunął ręką po czole, po czym, jakby nagle oprzytomniał, ponownie ruszył pędem przed siebie, by skręcić w bramę college'u Brasenose. Zasapany Dunworthy biegł kilka metrów za nim: przecięli ukosem dziedziniec, wpadli do budynku bocznym wejściem, przemknęli korytarzem, i już byli w laboratorium. Badri kilkoma susami dopadł konsoly, usiadł przy niej i marszcząc brwi wpatrzył się w ekrany.

Dunworthy obawiał się, że ujrzy tam pozbawione sensu, zmieniające się chaotycznie liczby albo, co byłoby jeszcze gorsze, całkowitą pustkę, lecz na pierwszy rzut oka nie dostrzegł niczego alarmującego.

- Zlokalizował ją pan? - zapytał, ciężko dysząc.

- Tak - odpowiedział Badri i odwrócił się w jego stronę. Z czoła technika znikła głęboka zmarszczka, ale w spojrzeniu Badriego było coś niepokojącego; jakby miał trudności z zebraniem myśli albo usilnie starał się coś sobie przypomnieć. - Kiedy...

Nie zdołał dokończyć, ponieważ jego ciałem zaczęły wstrząsać gwałtowne dreszcze. Drzwi otworzyły się z hukiem i do laboratorium wpadli Gilchrist i Mary, za nimi zaś Latimer, znowu walczący z parasolem.

- Kiedy co? - ponaglił go Dunworthy.

Technik przeniósł spojrzenie na monitory.

- Zlokalizowałem ją - wykrztusił, szczękając zębami.

- Czy to są współrzędne? - zapytał Gilchrist. Pochylał się nad pulpitem, wpatrując się w widoczne na ekranach kolumny cyfr i wykresy. - Co znaczą te symbole? Musi nam je pan wyjaśnić.

- Kiedy co, Badri? - powtórzył Dunworthy.

Technik podniósł rękę do czoła.

- Coś jest nie w porządku... - wyszeptał.

- Ale co?! - ryknął Dunworthy. - Poślizg? Chodzi o poślizg?

- P... p... poślizg?... - powtórzył technik. Jego ciałem wstrząsały tak silne dreszcze, że miał trudności z wypowiedzeniem nawet tego krótkiego słowa.

- Czy pan aby dobrze się czuje? - zapytała Mary.

Na twarzy Badriego ponownie pojawił się wyraz dziwnego, otępiełego skupienia, jakby technik szukał odpowiedzi na pytanie, którego nie udało mu się do końca zrozumieć.

- Nie - powiedział wreszcie i osunął się na konsolę.

3.

Zaraz po przeskoku usłyszała dźwięk dzwonu. Wydawał się dziwnie słaby i mało dostojny, zupełnie jak kuranty wygrywane kolędy na High Street. Teoretycznie do wnętrza laboratorium nie powinny docierać żadne odgłosy z zewnątrz, ale za każdym razem, kiedy ktoś wchodził lub wychodził, do pomieszczenia przedostawały się fragmenty przesłyszanych, odtwarzanych w przeraźliwie jednostajnym rytmie melodii.

Najpierw przyszła doktor Ahrens, jakiś czas potem pan Dunworthy. Kivrin była przekonana, iż oboje zjawili się głównie po to, by odwieść ją od udziału w eksperymencie. Niewiele brakowało, a doktor Ahrens dopięłaby swego jeszcze w szpitalu, kiedy na przedramieniu Kivrin, w miejscu, w którym ją zaszczepiono, pojawiła się ogromna czerwona opuchlizna.

- Nie ruszysz się stąd ani na krok dopóty, dopóki to całkowicie nie zniknie - oświadczyła doktor Ahrens i odmówiła wypisania jej ze szpitala.

Miejsce po szczepionce wciąż jeszcze trochę swędziało, lecz Kivrin nie miała najmniejszego zamiaru mówić o tym doktor Ahrens, ponieważ ta z pewnością powtórzyłaby wszystko panu Dunworthy'emu, który i bez tego odchodził od zmysłów z niepokojem.

Minęły już dwa lata od chwili, kiedy po raz pierwszy powiedziała mu o swoich zamiarach, pomyślała Kivrin. Pełne dwa lata, a mimo to, kiedy wczoraj przyszła pokazać mu suknię, wciąż próbował ją przekonać.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki sekcja średniowiecza przygotowuje ten przeskok - oświadczył. - A poza tym, nawet jeśli robią co trzeba, młoda kobieta nie powinna udawać się bez opieki w sam środek średniowiecza.

- Wszystko zostało starannie przygotowane - zapewniła go po raz kolejny. - Jestem Isabel de Beauvriar, córką Gilberta de Beauvriar, szlachcica, który w latach 1276-1332 żył we Wschodnim Riding.

- Możesz mi powiedzieć, co córka szlachcica z Yorkshire robiła zupełnie sama na drodze z Oxfordu do Bath?

- Wcale nie byłam tam sama, tylko w towarzystwie służby. Jechaliśmy do Evesham do mojego brata, który cierpi złożył chorobą w tamtejszym klasztorze, ale zostaliśmy napadnięci przez rabusiów.

- Przez rabusiów - powtórzył, spoglądając na nią znad okularów.

- Przecież to pański pomysł. Sam pan powiedział, że w średniowieczu kobiety nigdy nie podróżowały same. Niestety, moi słudzy okazali się tchórzami, bo uciekli gdzie ich oczy poniosły, bandyci zaś zabrali konie i wszystkie cenne przedmioty. Pan Gilchrist uważa, że to całkiem sensowna historia. Prawdopodobieństwo, że...

- Historia jest sensowna, bo w średniowieczu aż roiło się od morderców i złodziei.

- Wiem, wiem - odparła ze zniecierpliwieniem. - Podobnie jak od nosicieli chorób zakaźnych, rycerzy szukających łatwego łupu oraz mnóstwa innych nieprzyjemnych typów. Czy wtedy nie było zwyczajnych, miłych ludzi?

- Owszem, byli, tyle że zajmowali się paleniem czarownic na stosach.

Doszła do wniosku, że należy zmienić temat.

- Przyszłam pokazać panu mój strój - powiedziała, obracając się powoli, żeby mógł przyjrzeć się niebieskiej sukni i szubie podszytej króliczym futerkiem. - Naturalnie, zanim dokonam przeskoku, rozpuszczę włosy.

- Zakładanie białych rzeczy nie ma najmniejszego sensu - stwierdził. - Wybrudzą się szybciej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Teraz wcale nie miał lepszego nastroju. Widziała przez szybę, jak przechadza się nerwowo po niewielkim pomieszczeniu obserwacyjnym, zupełnie jakby czekał na wieści z sali porodowej. Od samego rana nie opuszczała ją obawa, że w ostatniej chwili znajdzie jakiś pretekst i nie dopuści do przeskoku.

Ostatnie przygotowania ciągnęły się bez końca. Pan Gilchrist wciąż od nowa wyjaśniał jej zasadę działania rejestratora, zupełnie jakby była studentką pierwszego roku. Chyba nikt nie ufał w pełni jej umiejętnościom, może oprócz Badriego, ale nawet on sprawiał wrażenie wyjątkowo zdenerwowanego. Kilka razy mierzył obszar objęty działaniem sieci oraz wielokrotnie kontrolował dane wprowadzone do komputera.

Kivrin wydawało się, że nigdy nie pozwoli jej zająć wyznaczonego miejsca, a kiedy już to uczyniła, czuła się jeszcze gorzej, leżąc z zamkniętymi oczami i zastanawiając się, co się dzieje dokoła. Rozbawiła ją uwaga Latimera, który wyznał Gilchristowi, iż niepokoi go, czy wybrali właściwą pisownię imienia "Isabel" - tak jakby w tamtych czasach wszyscy potrafili czytać i pisać, a w dodatku przywiązywali wielką wagę do zasad ortografii! Montoya nachyliła się nad nią i powiedziała po raz kolejny, że najłatwiej będzie jej zidentyfikować Skendgate na podstawie fresków w kościele przedstawiających Sąd Ostateczny.

Ktoś - chyba Badri, bo tylko on nie przekazywał jej żadnych instrukcji ani pouczeń - delikatnie przesunął ramię Kivrin i nieco zmienił ułożenie sukni. Podłoga była okropnie twarda, coś gniotło ją boleśnie w zębra. Pan Gilchrist powiedział parę słów, a zaraz potem do uszu dziewczyny dotarł fragment kołody. Ktoś znowu otworzył drzwi.

Boże, tylko nie to, pomyślała rozpaczliwie Kivrin, prawie pewna, że to doktor Ahrens doszła do wniosku, iż trzeba jej zrobić jeszcze jeden zastrzyk albo pan Dunworthy odszukał dziekana Wydziału Historycznego i namówił go do wstrzymania przeskoku.

Ktokolwiek to był, nie zamknął za sobą drzwi, ponieważ wciąż słyszała dzwonienie, choć nie potrafiła rozpoznać melodii. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że nie ma żadnej melodii, że to zwykłe dzwonienie, które umilkło na chwilę, i zaraz rozległo się ponownie. Już po wszystkim, pomyślała Kivrin.

Leżała na lewym boku z rozrzuconymi bezwładnie nogami, jakby została pchnięta na ziemię przez ludzi, którzy ją obrabowali. Prawym ramieniem osłoniła twarz przed ciosem, którego jednak nie zdołała całkowicie zamortyzować, o czym świadczyła strużka krwi na skroni. Ułożyła je w taki sposób, by wciąż udając nieprzytomną, móc dyskretnie otworzyć oczy i rozejrzeć się dokoła, lecz na razie tego nie uczyniła. Leżała bez ruchu, pilnie nasłuchując.

Tyle że nie bardzo było czego słuchać, ponieważ do jej uszu docierało tylko bicie dzwonu. Jeśli rzeczywiście znalazła się na skraju czternastowiecznego gościńca, powinny otaczać ją odgłosy lasu: szum wiatru w gałęziach drzew, poświstywanie zimowych ptaszków, ale widocznie wszystko umilkło, wystraszone jej przybyciem, a raczej błyskiem towarzyszącym zamykaniu się sieci.

Dopiero po długim czasie gdzieś niedaleko rozległ się słaby szelest. Cisza była tak głęboka, że Kivrin wyraźnie słyszała delikatny szmer wiatru poruszającego gałęziami, choć ani na twarzy, ani na odsłoniętych rękach nie czuła choćby najłżejszego powiewu. Gdzieś z daleka wciąż dobiegało bicie dzwonu.

Co to może oznaczać? Pewnie proboszcz wzywa wiernych na nieszpór albo jutrznię. Badri uprzedził ją, że nie jest w stanie przewidzieć, jak duży będzie poślizg. Chciał nawet wstrzymać przeskok do chwili, kiedy przeprowadzi kilka niezbędnych testów, ale pan Gilchrist stwierdził stanowczo, iż nie ma się czego obawiać, gdyż sekcja prawdopodobieństwa oszacowała, że poślizg, jeśli w ogóle nastąpi, nie powinien przekroczyć 6,4 godziny.

Nie miała pojęcia, jaka teraz jest pora dnia albo nocy. Do laboratorium weszła za kwadrans jedenasta (panna Montoya właśnie wtedy spojrzała na zegarek i Kivrin zapytała ją o godzinę), nie wiedziała jednak, ile czasu minęło, zanim wreszcie dokonała przeskoku. Wydawało jej się, że co najmniej kilka godzin, ale oczywiście to mogło być złudzenie.

Przeskok zaplanowano na samo południe, jeśli więc nie spóźnili się i jeśli wyliczenia sekcji prawdopodobieństwa okazały się prawidłowe, to mogła być szósta wieczorem. Za późno na nieszpór. Skoro tak, to skąd to dzwonienie?

Może chodziło o mszę, ślub albo pogrzeb. W średniowieczu dzwony były prawie bez przerwy: ostrzegały przed nieprzyjaciółmi, wzywały do gaszenia pożaru, pomagały zagubionym dzieciom odnaleźć drogę do wsi, nawet odstraszały pioruny. Ten dzwon mógł uderzać z każdego z tych powodów.

Gdyby tu był pan Dunworthy, na pewno uznałby, że w grę wchodzi pogrzeb.

- W czternastym stuleciu średnia długość życia wynosiła trzydzieści osiem lat - stwierdził, kiedy po raz pierwszy opowiedziała mu o swoich planach. - Tak zaawansowanego wieku mogłaś dożyć jedynie pod warunkiem, że nie zaraziłaś się cholerą ani ospą wietrzną, nie dostałaś zakażenia krwi, nie zjadłaś zepsutego mięsa, nie napiłaś się zatrutej wody, nie zostałaś stratowana przez konia ani spalona na stosie jako czarownica.

Ani nie zamarzyłaś na śmierć, dodała Kivrin w myśli. Z każdą chwilą robiło się jej coraz zimniej, odnosiła też wrażenie, że to coś, co uwierają w żebra, lada moment wbije się jej w płuco. Pan Gilchrist kazał jej leżeć nieruchomo przez kilka minut, a potem powoli, z trudem, dźwignąć się na nogi. Mogła się nawet zataczać, jak ktoś, kto właśnie odzyskał przytomność i ma kłopoty z utrzymaniem równowagi. Kivrin doszła do wniosku, że kilka minut to stanowczo za mało, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę przewidywania sekcji prawdopodobieństwa dotyczące liczby podróżnych korzystających o tej porze roku z drogi łączącej Oxford z Bath. Z pewnością minie znacznie więcej niż kilka minut, zanim na gościńcu pojawi się jakiś człowiek, ona zaś nie miała zamiaru dobrowolnie zrezygnować z atutu, jakim było jej rzekome omdlenie.

Istotnie stanowiło ono sprzyjającą okoliczność, na przekór poglądom pana Dunworthy'ego, który twierdził, iż połowa mieszkańców średniowiecznej Anglii natychmiast rzuci się na nieprzytomną kobietę, by ją zgwałcić, podczas gdy druga połowa ze śpiewem na ustach zacznie wznosić nie opodal stos, aby ją spalić. Jeśli znajdą ją przytomną, bez wątpienia natychmiast zasypią pytaniami. Jeśli znajdą zemdloną, z pewnością będą wymieniać uwagi na jej temat, zaczną zastanawiać się dokąd ją zabrać, snuć domysły na temat tożsamości kobiety, może nawet spierać się i dyskutować. Wszystko to miało znacznie większą wartość informacyjną niż krótkie: "Kim jesteś?".

Pomimo tego czuła ogromną pokusę, by zastosować się do rady pana Gilchrista, to znaczy wstać i rozejrzeć się dokoła. Od ziemi ciągnęło chłodem, klucie w klatce piersiowej stawało się coraz bardziej dokuczliwe, w głowie zaś pulsował tępy ból. Doktor Ahrens uprzedzała ją, że coś takiego może jej się przytrafić. Tak daleki przeskok mógł spowodować nieprzyjemne skutki uboczne w postaci bólu głowy, bezsenności oraz zakłócenia dobowego rytmu funkcjonowania organizmu. Było jej potwornie zimno. Czy to także skutek podróży w czasie, czy po prostu temperatura jest aż tak niska? A może poślizg okazał się nieco większy niż przewidywano i wylądowała w środku nocy?

Ciekawe, czy leżę na drodze, pomyślała. Gdyby tak było, powinna jak najprędzej przenieść się w inne miejsce. W ciemności mogła zostać stratowana przez galopującego rumaka albo rozjechana przez wóz podobny do tego, w jakim rzekomo odbywała podróż do chorego brata.

Dzwony nie biją w nocy. Poza tym, przez jej opuszczone powieki sączyło się sporo światła, więc z pewnością nie otaczała jej ciemność. Jeśli jednak dzwon wzywał wiernych na nieszpór, to zbliżał się wieczór, więc należałoby jednak wstać i rozejrzeć się, zanim zapadnie zmrok.

Na razie jednak wciąż leżała bez ruchu, wsłuchując się w szmer wiatru, i w delikatny szelest czyniony przypuszczalnie przez jakieś nieduże zwierzątko. Dzwon umilkł nagle; w ciszy, która opadła na nią niczym całun, Kivrin wyraźnie usłyszała odgłos przypominający westchnienie lub przesunięcie stopy po twardej, zmrożonej ziemi.

Napięła mięśnie (suknia i płaszcz były na tyle obszerne, że nikt nie powinien tego zauważyć) i zamarła w oczekiwaniu, ale nie usłyszała żadnych głosów ani kroków. Mimo to miała wrażenie, że jakaś duża istota - ktoś albo coś - stoi krok, może dwa od niej. Dopiero po dłuższym czasie Kivrin uświadomiła sobie, że wstrzymała oddech, i powoli wypuściła powietrze z płuc. Wyteżała słuch aż do bólu, lecz słyszała tylko własne tętno. Znów odetchnęła głęboko, tym razem z głośnym jękiem.

Nic. Cokolwiek ją obserwowało, nie poruszyło się ani nie wydało żadnego dźwięku. Pan Dunworthy jednak miał rację: zemdlona samotna kobieta nieszczególnie pasowała do epoki, w której w nieprzebytych lasach wciąż jeszcze grasowały wilki i niedźwiedzie.

Kivrin nasłuchiwała jeszcze przez chwilę, po czym otworzyła oczy.

Co prawda zobaczyła tylko rękaw znajdujący się w odległości dwóch centymetrów od jej nosa, ale i tak ból głowy natychmiast się nasilił. Opuściła powieki, jęknęła po raz drugi, przesunęła nieco ramię, by nie zasłaniało jej widoczności, a następnie ponownie otworzyła oczy.

Nikt nad nią nie stał i nie było ciemno. Niebo widoczne za rzadką zasłoną nagich gałęzi miało szarobłękitną barwę. Kivrin usiadła, po czym rozejrzała się dokoła.

Jedną z pierwszych opinii, jakie wygłosił pan Dunworthy, dowiedziawszy się o jej zamiarze przedsięwzięcia wyprawy naukowej w średniowiecze, brzmiała następująco: "To paskudna, przeżarta chorobami epoka, prawdziwe gnojowisko historii. Im prędzej pozbędziesz się baśniowych wyobrażeń o tamtych czasach, tym lepiej dla ciebie".

Miał rację. Oczywiście, że miał rację, co jednak w niczym nie zmieniało faktu, że oto wraz z wozem i całą resztą znalazła się w środku baśniowego lasu, na niewielkiej otwartej przestrzeni, zbyt małej, aby w pełni zasługiwała na nazwę polany, otoczonej zewsząd potężnymi drzewami.

Siedziała pod dębem. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, ponieważ w górze, na grubych, poskręcanych gałęziach zostało jeszcze trochę liści. Ziemię przykrywał gruby dywan martwych liści i uschniętych roślin; sprawiał wrażenie miękkiego, ale wcale taki nie był. Twardy przedmiot, który boleśnie uwiierał ją w bok, okazał się wyjątkowo dużą czapczką żołędzia. Wszystko dokoła - resztki wozu, bagaże, bluszcz - pokrywała cienka warstwa szronu stanowiącego efekt otwarcia i natychmiastowego zamknięcia sieci.

Na pierwszy rzut oka dało się stwierdzić, że nikogo tu nie było ani teraz, ani kiedykolwiek, że to miejsce w niczym nie przypomina drogi z Bath do Oxfordu oraz że żaden podróżny nie zjawi się tu za 1,6 godziny. Nikt nigdy się tu nie zjawi. Średniowieczne mapy, którymi posługiwano się podczas wyznaczania miejsca przeskoku, okazały się co najmniej tak niedokładne, jak przewidywał pan Dunworthy. W rzeczywistości droga przebiegała znacznie dalej na północ, Kivrin natomiast znalazła się na południe od niej, w samym środku Lasu Wychwood.

"Natychmiast po przybyciu na miejsce ustal swoją lokalizację czasową i przestrzenną", polecił jej pan Gilchrist. Dobra rada, ale jak powinna ją zrealizować? Zapytać ptaki? Zbyt niewidoczne były w tym zimowym lesie, aby mogła stwierdzić do jakich gatunków należą; zresztą i tak niewiele by jej to dało, ponieważ ptaki zaczęły masowo ginąć dopiero na początku lat 70. XX wieku. Identyfikacja któregoś z nich pomogłaby jej tylko wtedy, gdyby okazał się ptakiem dodo albo strusiem emu - naturalnie gdyby te kiedykolwiek żyły w Europie, a do tego siadały na drzewach.

Podparła się ręką, a wówczas nad jej głową rozległ się alarmujący wrzask i ogłuszający łopot ptasich skrzydeł. Zaczekała aż harmider ucichnie, po czym uklękła, powodując kolejny wybuch paniki. Złożyła ręce i zbliżyła je do ust; gdyby ktoś ją zobaczył, pomyślałby, że jest pogrążona w modlitwie.

- Już jestem - powiedziała.

Chwilowo nic więcej nie przychodziło jej do głowy. Gdyby zameldowała, że zamiast na trakcie łączącym Oxford z Bath znalazła się w środku lasu, potwierdziłaby słuszność obaw pana Dunworthy'ego, który był święcie przekonany, że pan Gilchrist nie wie, co robi, ona zaś nie da sobie rady. Zaraz potem jednak uświadomiła sobie, że przecież to, co powie nie ma najmniejszego znaczenia, ponieważ pan Dunworthy zapozna się z raportem dopiero po jej powrocie na uczelnię.

Jeśli uda jej się wrócić, co wcale nie wydawało się takie pewne, zważywszy na miejsce i okoliczności. Wstała i rozejrzała się dokoła. Był wczesny ranek albo późne popołudnie - tutaj, w lesie, miała poważne kłopoty z ustaleniem pory dnia. Pan Dunworthy powiedział jej, że zdarzało się, iż historycy przez cały okres pobytu w przeszłości nie mogli ustalić ani miejsca, ani czasu, w jakim się znaleźli. Zmusił ją, by nauczyła się odnajdywać strony świata na podstawie cieni rzucanych przez drzewa, ale teraz, kiedy nie wiedziała, która jest godzina, nie mogła skorzystać z tej umiejętności. Poza tym, nie miała czasu do stracenia. Przed wszystkim musi wydostać się z lasu, a potem zacznie się zastanawiać, co robić dalej.

Nigdzie w pobliżu nie było żadnej drogi ani nawet ścieżki. Kivrin okrążyła wóz i porozrzucone bagaże, rozglądając się w poszukiwaniu jakiejś przerwy między drzewami. W kierunku, który na chybił-trafił określiła jako zachodni, las wydawał się nieco rzadszy, ale kiedy ruszyła w tamtą stronę, oglądając się co kilka kroków, aby upewnić się, że wciąż widzi niebieską płachtę przykrywającą wóz, stwierdziła, że to tylko kępa brzoź, których białe pnie stwarzały iluzję przestrzeni. Rozczarowana, wróciła do wozu, po czym udała się w przeciwnym kierunku, mimo że drzewa zdawały się rosnać tam jeszcze gęściej niż wszędzie dokoła.

Od drogi dzieliło ją zaledwie sto metrów. Znalazła się przy niej pokonując ogromny zwalony pień i przedzierając się przez kępę gęsto rosnących wierzb. Specjaliści z sekcji prawdopodobieństwa używali wymiennie określeń "droga" i "gościniec", lecz to, co ujrzała Kivrin, przypominało najwyżej leśny dukt lub ścieżkę wydeptaną przez krowy. A więc tak wyglądają drogi czternastowiecznej Anglii, ów wspaniały system komunikacyjny umożliwiający rozwój handlu i poszerzający horyzonty! - pomyślała z goryczą.

Droga była tak wąska, że z trudem zmieściłby się na niej wóz, choć ślady świadczyły o tym, iż wozy jednak z niej korzystają, choć rzadko i raczej niezbyt liczne. W głębokich koleinach leżało mnóstwo uschnię-

ętych liści, gdzieś tam zaś zgromadziła się woda. Kałuże położone w zacienionych miejscach były pokryte cienką warstwą lodu.

Kivrin stała w najniższym punkcie dość rozległego zagłębienia terenu. Droga w obu kierunkach wiodła lekko pod górę, na północy zaś (w każdym razie wydawało jej się, że tam jest północ), las kończył się mniej więcej w połowie łagodnego zbocza. Odwróciła się i spojrzała za siebie. Co prawda zdołała dostrzec fragment wozu, a raczej kawałek niebieskiego płótna stanowiącego jego przykrycie, lecz ktoś, kto by nie wiedział, gdzie należy go szukać, z pewnością by niczego nie zauważył. W tym miejscu drzewa zbliżały się z obu stron do drogi, tak że ich korony stykały się w górze, tworząc coś w rodzaju tunelu. Wymarzone miejsce dla wszelkich zbójów i złodziei.

Każdy uwierzyłby, że została tu napadnięta; problem polegał tylko na tym, że nikt nie zauważył jej w gęstym lesie, a nawet gdyby komuś mignęła niewyraźna niebieska plama, to zapewne uznaliby, że to jakiś rzeźmieszek szykujący się do ataku, więc tylko popędziłby konia i zniknął w oddali, nie oglądając się za siebie.

Nagle Kivrin uświadomiła sobie, że czając się w zaroślach bardziej przypomina złoczyńcę, który czyha na czyjś dobytek albo nawet życie, niż nieszczęsną dziewczę, sponiewieraną i okradzioną przez bezwzględnych rabusiów. Czym prędzej wyszła na drogę, omdlewającym gestem podniosła rękę do czoła, po czym zawołała co sił w płucach:

- Pomóżcie mi, dobrzy ludzie, bom sama i w okrutnej potrzebie!

Co prawda translator powinien automatycznie przełożyć każdą jej wypowiedź na staroangielski, niemniej jednak Kivrin doszła do wniosku, że niewielka archaizacja pomoże jej lepiej wczuć się w rolę.

- Pomóżcie mi, bom ledwo uszła z życiem przed strasznymi okrutnikami!

Przyszło jej do głowy, że powinna osunąć się zemdlnona na ziemię, ale zrezygnowała z tego pomysłu, ponieważ teraz nie ulegało już wątpliwości, iż dzień ma się ku końcowi, więc jeśli chciała dotrzeć na szczyt wzgórza i rozejrzeć się po okolicy, to nie miała chwili do stracenia. Najpierw jednak powinna jakoś oznaczyć to miejsce, aby nie mieć trudności z odnalezieniem go w przyszłości.

Żadna z wierzb rosnących po obu stronach drogi nie wyróżniała się niczym szczególnym. Kivrin zaczęła szukać kamienia, który mogłaby położyć tam, skąd dało się dostrzec fragment wozu, lecz bez rezultatu. W końcu przedarła się z powrotem przez gęstwinę, podniosła z ziemi małą szkatułkę z metalowymi okuciami (była to dokładna kopia jednego z eksponatów z Muzeum Ashmole'a), przeniosła ją na skraj drogi i ukryła w krzakach.

Nie o to dokładnie jej chodziło - szkatułkę mógł zauważyć jakiś przypadkowy podróżny, wsadzić pod pachę i odjechać w siną dal - ale na razie musiało wystarczyć. Teraz chyba zdecyduje się wyruszyć w kierunku najbliższej wioski, a potem wróci tu i spróbuje wymyślić coś lepszego. Poza tym nie zanosilo się na to, by pojawili się jacyś podróżni, wszystko jedno, przypadkowi czy nie. Sądząc po nie naruszonej lodzie na kałużach oraz grubej warstwie delikatnych zeschniętych liści wypełniających koleiny, nikt tędy nie szedł ani nie jechał przez cały miniony dzień, a może nawet dłużej.

Częściowo przykryła szkatułkę suchymi gałązkami, po czym ruszyła w kierunku szczytu wzniesienia. Droga, dość równa i dobrze ubita, okazała się znacznie lepsza, niż można było przypuszczać; chyba jednak nie korzystano z niej aż tak rzadko, jak sądziła początkowo.

Wspinaczka nie należała do najtrudniejszych, lecz po przejściu zaledwie kilku kroków Kivrin poczuła ogromne zmęczenie, a w jej skroni znowu odezwało się nieprzyjemne pulsowanie. Modliła się w duchu, żeby skutki uboczne przeskoku nie dały jej się jeszcze bardziej we znaki, ponieważ z każdą chwilą nabierała coraz wyraźniejszego przekonania, iż czeka ją długa, uciążliwa wędrówka. Jeszcze nawet nie zdążyła "ustalić swojej lokalizacji czasowej i przestrzennej", ani na poboczu drogi zaś, ani na żadnym z drzew nie dostrzegła tabliczki z napisem "1320".

Jedynymi dowodami na istnienie cywilizacji były koleiny. Ich obecność świadczyła o tym, że wylądowała w czasie gdzieś między wynalezieniem koła a powstaniem utwardzanych dróg, choć nawet co do tego nie mogła mieć całkowitej pewności. Bądź co bądź, niemal identyczne trakty można było wciąż podziwiać w rezerwacie położonym zaledwie pięć mil od Oxfordu, odwiedzanym tłumnie przez żadnych wrażeń turystów z Ameryki i Japonii.

Mogło się okazać, że wcale nie przeniosła się w przeszłość i że po drugiej stronie wzgórza ujrzy autostradę M1 albo wykopaliska panny Montoi. To byłby marny dowcip, gdyby ustaliła swoją lokalizację czasową wpadając pod motocykl albo samochód, pomyślała, po czym przezornie zeszyła na pobocze drogi. Skoro jednak przeskoczenie nie doszedł do skutku, to dlaczego męczy mnie ten przeklęty ból głowy i czemu czuję się tak, jakbym za chwilę miała umrzeć?

Wreszcie dotarła na szczyt wzgórza i zatrzymała się, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami. Niepotrzebnie schodziła na pobocze. Tą drogą nie jechał jeszcze żaden samochód ani nawet bryczka. Przeczucie okazało się słuszne: była bardzo daleko od jakiegokolwiek ludzkiej siedziby. Z wierchołka wzniesienia rozciągał się widok na okolicę w promieniu wielu mil. Las, z którego Kivrin przed chwilą wyszła, ciągnął się na

południe i zachód - wyglądało na to, że bez końca. Gdyby szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie trafiła na drogę, zgubiłaby się na dobre.

Daleko na wschodzie także rosły drzewa, płynęła rzeka (Tamiza? A może Cherwell?), gdzieś dostrzegła kępy krzewów i zarośli urozmaicających krajobraz. Najwięcej jednak było drzew, znacznie więcej niż sobie wyobrażała. Według Księgi Sądu Ostatecznego, w roku 1086 lasy porastały piętnaście procent powierzchni Anglii, specjaliści z sekcji prawdopodobieństwa zaś obliczyli, że w XIV wieku, w wyniku niszczycielskiej działalności człowieka, odsetek ten spadł zaledwie do dwunastu procent. Ktoś musiał się pomylić: albo oni, albo autorzy Księgi Sądu Ostatecznego. Tutaj drzewa rosły dosłownie wszędzie.

Nigdzie natomiast nie mogła dostrzec żadnych osad. Pozbawione liści korony drzew nie tworzyły zbyt szczelnej zasłony, więc bez trudu zauważyłaby ukryte za nimi dachy kościołów, dworów i zabudowań gospodarczych - gdyby nie to, że ich po prostu nie było.

Zobaczyła natomiast pola uprawne, wąskie spłachetki zaoranej ziemi, dokładnie takie jak w średniowieczu. Na łące pasły się owce, choć należało się dziwić, że nikt ich nie pilnuje. Dopiero po dłuższej chwili, hen, daleko, Kivrin dostrzegła szary masyw murów. Mógł to być tylko Oxford. Zmrużywszy oczy zdołała rozróżnić fortyfikacje obronne oraz przysadzisty kształt Wieży Carfax, nigdzie natomiast nie widziała wież St Frideswide ani Osney.

Przyczyną mógł być zapadający zmierzch. Niebo miało sinogranatowy kolor, zabarwiony odrobiną różu nad zachodnim horyzontem. Nawet w ciągu kilku minut, które spędziła na szczycie wzniesienia, zrobiło się wyraźnie ciemniej.

Kivrin przeżegnała się, złożyła ręce i pochyliła głowę, tak że prawie dotknęła ustami złączonych palców.

- Jestem na miejscu, panie Dunworthy - wyszeptła. - Mniej więcej tam, gdzie chciałam trafić: nie na głównej drodze z Oxfordu do Bath, lecz na bocznej, jakieś pięćset metrów na południe. Widzę stąd Oxford. Myślę, że odległość wynosi około piętnastu kilometrów.

Podzieliła się swymi przypuszczeniami dotyczącymi pory dnia i roku, opisała widok, jaki roztaczał się z pagórka, po czym umilkła z dłońmi przyciśniętymi do twarzy. Zamierzała opowiedzieć o swoich planach na najbliższą przyszłość, lecz nie miała pojęcia, co robić dalej. Co prawda rozległa równina rozciągająca się na zachód od Oxfordu była od dawien dawna zamieszkała przez ludzi, ale jak na razie nie zdołała odszukać wzrokiem żadnej z licznych wiosek położonych na tym obszarze, mimo iż pola i pasące się owce stanowiły dowód potwierdzający ich istnienie.

Droga była zupełnie pusta. Prowadziła szerokim łukiem po zboczach wzniesienia i nikła w sporej kępie drzew, ale nie ulegało wątpliwości, iż gdzieś niedaleko łączy się z głównym gościńcem, który Kivrin widziała jakieś pół kilometra na północ. Tam także nie było żywej duszy.

Kątem oka dostrzegła jakieś poruszenie po lewej stronie, mniej więcej w połowie odległości między nią a Oxfordem. Szybko spojrzała w tamtym kierunku, by stwierdzić z rozczarowaniem, że to tylko kilka krów zmierzających dostojnym krokiem ku zagajnikowi rosnącemu w łagodnym zagłębieniu terenu. Nawet jeśli była tam jakaś wieś, to na pewno nie ta, o której mówiła jej panna Montoya; Skendgate leżało na południe od głównego traktu.

Chyba że trafiła w niewłaściwe miejsce, lecz teraz wydawało jej się to mało prawdopodobne. Tam, na horyzoncie, z pewnością wznosiły się mury Oxfordu, płynąca na południe rzeka była zaś na pewno Tamizą, ale to nadal nie wyjaśniało, gdzie podziła się wioska. Możliwe, że wystarczyło ruszyć w kierunku głównej drogi, żeby się na nią natknąć, ale nie dało się również wykluczyć, iż trzeba się cofnąć albo poszukać zupełnie innej drogi, na to zaś nie miała czasu.

Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej. Gdyby zaczęła pół godziny, zapewne zobaczyłaby światła, ku którym by się skierowała, lecz Kivrin doskonale zdawała sobie sprawę, że nie może czekać. Różowa poświata nad zachodnim horyzontem ściemniała do czerwieni, a sinogranatowe niebo w górze przybrało fioletową barwę. Wraz ze zbliżaniem się nocy spadała temperatura, a wiatr przybierał na sile. Poły płaszcza furkotały za jej plecami, więc chwyciła za obszyte miękkim futerkiem brzegi i otuliła się szczelnie. Nie miała najmniejszego zamiaru spędzić długiej grudniowej nocy w lesie, w towarzystwie wilków, niedźwiedzi i Bóg jeden wie jakich jeszcze stworzeń, ale nie uśmiechała się jej też perspektywa przytupywania z zimna na zupełnie pustej drodze i wypatrywania kogoś, kto zabierze ją do ludzkiej osady.

Naturalnie mogła ruszyć w stronę Oxfordu, lecz nie miała żadnych szans, by dotrzeć tam przed zapadnięciem całkowitych ciemności. Gdyby znalazła wioskę, wszystko jedno jaką, przeczekałaby tam noc, a nazajutrz rozpoczęłaby poszukiwania osady, o której mówiła Montoya. Spojrzała w kierunku, z którego nadeszła, w nadziei, że dostrzeże błysk światła lub smugę dymu z komina unoszącą się nad lasem, ale nic takiego nie zobaczyła.

Zaczęła za to szczerkać zębami z zimna.

I wtedy rozdzwoniły się dzwony. Pierwszy uderzył ten z Wieży Carfax - jego dźwięk nie zmienił się nic w ciągu siedmiu wieków, mimo że z pewnością dzwon był przetapiany dwa albo trzy razy. Potem zaś, zanim jeszcze przebrzmiało pierwsze uderzenie, dołączyły do niego pozostałe, rozrzucone po całej nizinie, jakby

tylko czekały na sygnał z Oxfordu. Ogłaszały koniec dnia pracy, wzywały ludzi z pól do domów, przypominały o modlitwie.

A przy okazji informowały Kivrin o usytuowaniu wioski. Wszystkie dzwony brzmiały bardzo podobnie, niemniej jednak nie miała żadnych trudności z rozróżnieniem ich dźwięków, być może za sprawą różnic w odległości; niektóre były całkiem blisko, inne niezmiernie daleko, tak że do uszu dziewczyny docierało zaledwie przytłumione echo. Tam, za linią drzew... I tam... I tam... Na dźwięk dzwonów krowy przyspieszyły kroku, kierując się w stronę zagajnika. Tam była ukryta wieś.

Dwie inne wioski znajdowały się dosłownie o rzut kamieniem od miejsca, gdzie teraz stała - jedna zaraz po drugiej stronie gościńca, druga nieco dalej, za kilkoma polami, w pobliżu rzeki. Skendgate była tam, gdzie Kivrin spodziewała się ją znaleźć: w kierunku, z którego przyszła, za boczną drogą i niskim wzgórzem, nie dalej niż dwie mile od niej.

Kivrin ponownie złożyła ręce i zbliżyła je do twarzy.

- Właśnie zlokalizowałam wioskę - powiedziała, zastanawiając się, czy bicie dzwonów także trafi do jej Księgi Sądu Ostatecznego. - Prowadzi do niej boczna droga, na którą wyszłam z lasu. Przeciągnę wóz i bagaże na drogę, a potem slaniając się na nogach pójdę do wsi i padnę zemdlona na progu czyjś domu.

Jeden z dzwonów, gdzieś na południowy wschód od niej, miał słabe, ale wyjątkowo delikatne brzmienie. Ciekawe, czy to ten właśnie słyszała zaraz po dokonaniu przeskoku, a jeśli tak, to dlaczego dzwonił? Może z powodu pogrzebu, tak jak przewidywał pan Dunworthy.

- Panie Dunworthy, naprawdę nic mi nie jest - wyszeptowała w złożone dłonie. - Dotarłam tu ponad godzinę temu i jak do tej pory nie przydarzyło mi się nic złego.

Dzwony milkły kolejno. Pierwszy ucichł duży dzwon z Oxfordu, choć Kivrin odniosła wrażenie, iż jego dźwięk najdłużej unosi się w powietrzu. Niebo przybrało fioletowogranatową barwę, a na południowym wschodzie zapłonęła jasna gwiazda.

- Tu jest bardzo pięknie - powiedziała Kivrin.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO (000249-000614)

Jestem na miejscu, panie Dunworthy.

Nie wiem, o której godzinie nastąpił przeskok, ale jeśli w południe, tak jak było zaplanowane, to poślizg wyniósł około czterech godzin. Pora roku jest taka jak powinna. Większość liści spadła już z drzew, ale tylko mniej więcej jedna trzecia pól została zaorana. Dokładną datę poznam dopiero wtedy, kiedy dotrę do wsi. Wy z pewnością wiecie już znacznie więcej albo dowiecie się lada chwila, kiedy tylko uda wam się mnie zlokalizować.

Nie ulega jednak wątpliwości, że trafiłam do właściwej epoki. Z niewielkiego pagórka, na którym stoję, widzę okoliczne pola. To typowe, wąskie poletka, takie jakie uprawiano w średniowieczu, zaokrąglone na końcach, tam gdzie zawracają woły. Pastwiska są otoczone płotami: jedna trzecia to saksońskie ogrodzenia z kijów i gałęzi, dwie trzecie to normañskie głogi. Sekcja prawdopodobieństwa przewidywała, że proporcje będą jak jeden do czterech, ale obliczenia dotyczyły hrabstwa Suffolk, które leży dalej na wschód.

Na południu i wschodzie rozciąga się las, chyba Wychwood, z tego co widzę prawie wyłącznie liściasty. Na wschodzie płynie Tamiza. Wydaje mi się, że na horyzoncie dostrzegam Londyn, choć oczywiście zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe, bo przecież teraz, w 1320 roku, dzieli mnie od niego nie trzydzieści, lecz siedemdziesiąt kilometrów. Mimo to jestem prawie pewna, że go widzę. Ponad wszelką wątpliwość natomiast mogę dostrzec mury Oxfordu i Wieżę Carfax.

Tu jest bardzo pięknie. Wcale nie odczuwam, że dzieli mnie od was aż siedemset lat. Do Oxfordu mogłabym dotrzeć nawet spacerem i nie mogę pozbyć się wrażenia, że gdybym tam poszła, zastałabym was wszystkich w laboratorium. Badri jak zwykle siedziałby ze zmarszczonymi brwiami przy konsolce, panna Montoya nie mogłaby się doczekać, żeby uciec do swoich wykopalisk, a pan, panie Dunworthy, gdałaby jak zatroskana kwoka. Naprawdę nie czuję się oddzielona od was siedmiowiekową przepaścią. Wydaje mi się, że wciąż jesteśmy razem.

4.

Upadając, Badri zawadził łokciem o pulpit. Dunworthy z przerażeniem spojrzął na monitory, niemal pewien, że technik niechcący nacisnął jakiś ważny klawisz i wprowadził chaos do danych. Chwilę potem Badri runął na podłogę.

Ani Latimer, ani Gilchrist nie wykonali najmniejszego ruchu, aby go podtrzymać. Ten pierwszy chyba nawet nie zauważył, że dzieje się coś niedobrego. Mary natychmiast wyciągnęła ręce, lecz stała za daleko, więc zdołała tylko złapać technika za rękaw, ale zaraz potem znalazła się przy nim na kolanach, błyskawicznie odwróciła go na wznak, po czym wyjęła z torby z zakupami miniaturowy sygnalizator i wcisnęła czerwony guzik.

- Badri, słyszy mnie pan? - zapytała głośno.

Dopiero w tej chwili Dunworthy uświadomił sobie, że w laboratorium panuje śmiertelna cisza. Gilchrist stał wciąż w tym samym miejscu z grymasem wściekłości na twarzy. "Zapewniam pana, że wzięliśmy pod uwagę wszelkie możliwe ewentualności..."

Tego najwyraźniej nie wziął pod uwagę.

Mary odłożyła na chwilę sygnalizator, chwyciła Badriego za ramiona i potrząsnęła nim delikatnie, lecz nie uzyskała żadnej reakcji. Następnie odgięła mu głowę do tyłu i pochyliła się nad nim w taki sposób, że prawie przyłożyła mu ucho do ust, jednocześnie obserwując klatkę piersiową. Na szczęście technik oddychał. Dunworthy wyraźnie widział poruszenia jego piersi. Mary ponownie uruchomiła sygnalizator, przyłożyła dwa palce do szyi mężczyzny tuż nad obojczykiem, przez kilka sekund trwała bez najmniejszego ruchu, następnie zaś zbliżyła sygnalizator do ust:

- Jesteśmy w college'u Brasenose, w laboratorium historycznym - powiedziała. - Numer pięćdziesiąt dwa. Zapaść. Omdlenie. Brak objawów ataku padaczkowego.

- Zapaść? - wychrypiął Gilchrist. - Co to takiego? Co tu się dzieje?

Posłała mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Zemdlął, jak pan widzi. - Odwróciła się do Dunworthy'ego. - Podaj mi zestaw diagnostyczny. Jest w torbie z zakupami.

Wyjmując sygnalizator przewróciła torbę. Dunworthy zaczął pospiesznie grzebać wśród pudełek, paczuszek i zawiniątek, znalazł plastikowy pojemnik odpowiedniej wielkości, otworzył go i ujrzał starannie poukładane czekoladki zapakowane w błyszczącą, złotą i zieloną folię. Zatrzasnąwszy pojemnik wrzucił go z powrotem do torby.

- Pospiesz się! - syknęła Mary, rozpinając Badriemu koszulę na piersi. - Nie mogę czekać do jutra.

- Nigdzie go nie ma! - poskarżył się Dunworthy.

Wyrwała mu torbę. Czekoladki potoczyły się po podłodze, otworzyło się także pudełko z szalikiem. Mary wygrzebała z dna torby znacznie mniejszą, skórzaną torebkę, wyjęła z niej spory, płaski zestaw diagnostyczny, otworzyła go, założyła Badriemu opaskę na przegub lewej ręki, po czym spojrzała na ciekłokrystaliczny ekran.

Przebieg krzywej wykresu nic nie powiedział Dunworthy'emu, a z reakcji Mary także trudno było wyciągać jakieś wnioski. Badri nie przestał oddychać, nie krwawił, jego serce zaś wciąż pracowało - przynajmniej to nie ulegało wątpliwości. Może istotnie tylko zemdlął? Ale ludzie nie tracą przytomności bez powodu, chyba że w książkach albo na filmach. Musi być chory. Kiedy wpadł do pubu, wyglądał jak człowiek znajdujący się w stanie silnego szoku. Może został potrącony przez rowerzystę - przecież niewiele brakowało, by właśnie coś takiego przydarzyło się Dunworthy'emu - i nie zdawał sobie sprawy, że doznał poważnych obrażeń? To tłumaczyłoby jego dziwne zachowanie, roztargnienie i gwałtowność reakcji.

W dalszym ciągu natomiast pozostawało zagadką, dlaczego wybiegł z laboratorium w fartuchu, dlaczego chciał, żeby z nim tu przyszli, wreszcie dlaczego powiedział, że coś jest nie w porządku.

Dunworthy skierował wzrok na ekrany monitorów. Znajdowały się na nich wciąż te same wykresy co w chwili, kiedy technik runął na podłogę laboratorium. Co prawda Dunworthy nie potrafił ich odczytać, ale na pierwszy rzut oka wyglądały całkiem zwyczajnie, jak przy wielu innych przeskokach, a Badri potwierdził, że Kivrin dotarła bezpiecznie na miejsce. Zaraz potem jednak dodał, że coś się nie zgadza...

Mary klepała technika po ramionach, klatce piersiowej i po nogach. Powieki Badriego zatrzepotały, po czym mężczyzna znowu zamknął oczy.

- Czy ktoś wie, na co chorował?

- To technik pana Dunworthy'ego - powiedział Gilchrist oskarżycielskim tonem. - Wypożyczyliśmy go z Balliol - dodał, jakby chciał zasugerować, iż odpowiedzialność za tę sytuację ponosi wyłącznie Dunworthy, a nawet kto wie, czy celowo nie spowodował omdlenia Badriego, aby doprowadzić do klęski przedsięwzięcia.

- Nigdy nie słyszałem, żeby się na coś skarżył - odparł Dunworthy. - Poza tym na początku semestru z pewnością przeszedł okresowe badania, jak każdy z nas.

Mary nie wyglądała na przekonaną. Założyła stetoskop, co najmniej przez minutę wsłuchiwała się w rytm pracy serca Badriego, skontrolowała ciśnienie krwi, ponownie sprawdziła puls.

- A co z padaczką i cukrzycą?

- Nie mam pojęcia.

- Może zażywał narkotyki albo nadmierne ilości endorfiny? - Nie czekając na odpowiedź uruchomiła sygnalizator i zbliżyła go do ust. - Mówi doktor Ahrens. Puls chorego 110, ciśnienie 100 na 60. Pobieram próbkę krwi.

Rozdarła paczuszkę z gazikami nasączonymi spirytusem, potarła skórę na ramieniu, podłączyła jednorazową strzykawkę elastycznym przewodem do zestawu diagnostycznego.

Narkotyki albo endorfina... To by tłumaczyło jego niezwykle podniecenie i chaotyczny sposób mówienia. Gdyby jednak Badri rzeczywiście zażywał coś takiego, z pewnością zostałoby to wykryte podczas szczegó-

łowych badań na początku semestru, a poza tym należało wątpić, czy zdołałby przeprowadzić skomplikowane obliczenia towarzyszące każdemu przeskokowi.

“Coś jest nie w porządku...”

Mary wprawnym ruchem wbiła igłę w żyłę. Badri zatrzepotał powiekami i otworzył oczy.

- Słyszysz mnie pan? - zapytała głośno, po czym sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej jaskrawoczerwoną kapsułkę. - Proszę to wziąć do ust, ale nie połykać - powiedziała, mężczyzna jednak nie zareagował, więc schowała kapsułkę tam, skąd ją wzięła, a następnie zaczęła grzebać w torebce. - Powiedz mi, kiedy pojawią się wyniki - poprosiła Dunworthy'ego. Wyjęła wszystko z torebki, wrzuciła z powrotem do środka, to samo uczyniła z zawartością torby na zakupy. - Wydawało mi się, że mam gdzieś zwykły stary termometr...

- Są już wyniki - poinformował ją Dunworthy.

Mary zaprzestała poszukiwań i zaczęła odczytywać do sygnalizatora liczby widniejące na ekranie. Badri ponownie otworzył oczy.

- Musicie... - Umilkł, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym przymknął powieki. - Zimno - wymamrotał.

Dunworthy natychmiast zdjął płaszcz, ale stwierdził, że gruby wełniany materiał zupełnie przesiąkł wodą, więc rozejrział się bezradnie w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby przykryć Badriego. Gdyby Kivrin nie dokonała przeskoku do średniowiecza, można by wykorzystać jej płaszcz podszyty króliczym futerkiem. Jego wzrok padł na marynarkę Badriego wepchniętą byle jak na półkę pod pulpitem; szybko okrył nią technika.

- Bardzo zimno - szepnął tamten, po czym zaczął trząść się jak w ataku febry.

Mary, która wciąż odczytywała wyniki do sygnalizatora, oderwała wzrok od ekranu.

- Co on mówi?

Badri wybełkotał coś, czego nie sposób było zrozumieć, a potem powiedział głośno i wyraźnie:

- Głowa... Boli.

- Ma pan mdłości? - zapytała.

Ledwo dostrzegalnie pokręcił głową.

- Kiedy...

Znowu nie dokończył.

Jedną ręką poklepała go uspokajająco po ramieniu, drugą dotknęła jego czoła.

- Ma wysoką gorączkę.

- Coś się nie zgadza... - powtórzył Badri słabym głosem, wykonał ruch, jakby chciał chwycić ją za rękę, ale jego ramię opadło bezwładnie na podłogę. Mary ponownie zmierzyła mu puls, zerknęła na wskazania zestawu diagnostycznego, jeszcze raz dotknęła czoła mężczyzny.

- Gdzie się podział ten cholerny termometr? - mruknęła, po czym zaczęła od nowa grzebać w torebce.

Sygnalizator pisnął cichutko.

- Już są - stwierdziła. - Niech ktoś pójdzie wskazać im drogę. A pan ma spokojnie leżeć i niczym się nie przejmować. - Te ostatnie słowa były skierowane do Badriego, którym nadal wstrząsały gwałtowne dreszcze.

Otworzywszy drzwi laboratorium, Dunworthy ujrzał dwoje sanitariuszy ze sporymi walizkami zawierającymi zestawy pierwszej pomocy.

- Trzeba natychmiast umieścić go w szpitalu - powiedziała Mary, zanim przestąpili próg laboratorium, i dźwignęła się z kolan. - Weźcie go na nosze, podłączcie kroplówkę z glukozą. Aha, i zmierzcie mu temperaturę.

- Wydawało mi się, że personel sekcji dwudziestego wieku przechodzi dokładne badania na okoliczność zażywania narkotyków i endorfiny - zauważył z przekąsem Gilchrist, po czym cofnął się o krok, by zrobić miejsce sanitariuszowi, który błyskawicznie rozkładał nosze. W tym samym czasie sanitariuszka podłączała kroplówkę. - U nas, w sekcji średniowiecza, coś takiego byłoby...

- Przedawkował? - zapytała sanitariuszka, przerywając mu w pół zdania.

- Nie - odparła lakonicznie Mary. - Macie termometr?

- W karetce.

Na chwilę podniosła przezroczystą torebkę z bezbarwnym płynem, zaczęła aż miniaturowa pompa gravitacyjna zacznie działać, po czym przykleiła torebkę do piersi chorego.

- Z-z-zimno - wymamrotał Badri, szcękając zębami. - Musicie...

- Co musimy? - zapytał Dunworthy.

- Lokalizacja...

- Raz, dwa, trzy! - odliczyli półgłosem sanitariusze i sprawnie przełożyli Badriego na nosze.

- Panie Gilchrist, musi pan pójść z nami do szpitala, żeby wypełnić formularz - powiedziała Mary. - Ty też, James. Potrzebna będzie również jego książeczka zdrowia. Jeden z was może pojechać karetką, drugi przyjdzie na piechotę.

Dunworthy nie czekał aż Gilchrist rozpocznie dyskusję na temat kto ma iść, a kto jechać, tylko ruszył za sanitariuszami, wgramolił się do karetki i przykucnął obok Badriego, który oddychał z wyraźnym trudem, jakby drogę z laboratorium przebył biegnąc co sił w nogach, a nie został przyniesiony na noszach.

- Powiedział pan, że coś się nie zgadza. Co miał pan na myśli? Chodzi o lokalizację?

Technik zmarszczył brwi.

- Przecież ją zlokalizowałem... - wyszeptał.

Sanitariusz, zajęty podłączaniem Badriego do jakiejś maszyny o imponującej liczbie lampek i wskaźników, obrzucił Dunworthy'ego niechętnym spojrzeniem.

- A może praktykant popełnił błąd przy obliczaniu współrzędnych? To bardzo ważne, Badri. Pomylił się, czy nie?

Do karetki wsiadła Mary, z zewnątrz zaś dobiegł podniesiony głos Gilchrista:

- Jako pełniący obowiązki dziekana Wydziału Historycznego uważam, że to ja powinienem towarzyszyć choremu w drodze do szpitala!

- Spotkamy się w izbie przyjęć - odparła krótko Mary, po czym zatrzasnęła drzwi, nie czekając na odpowiedź. - Co z temperaturą? - zapytała sanitariusza.

- 39,5. Ciśnienie 90 na 55, tętno 115.

Dunworthy nie rezygnował.

- Czy w obliczeniach był jakiś błąd?

- Jesteście gotowi? - zapytał kierowca przez interkom.

- Tak - odparła Mary. - Proszę się spieszyć.

- Czy Puchalski pomylił się przy obliczaniu współrzędnych?

- Nie - powiedział całkiem wyraźnie Badri, po czym chwycił Dunworthy'ego za połą płaszcza.

- A więc chodzi o poślizg?

- Zdaje się, że...

Właśnie w tej chwili odezwała się syrena, zagłuszając jego słowa.

- Zdaje się, że co?! - wrzasnął Dunworthy, przekrzykując przeraźliwe wycie.

Technik zmarszczył brwi, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

- Coś się nie zgadza - powiedział wreszcie, po czym znowu stracił przytomność.

Coś się nie zgadza. Tak, bez wątpienia miał na myśli poślizg. Jeśli przeskok doszedł do skutku, w grę mogły wchodzić tylko te dwie rzeczy: poślizg lub błąd w obliczeniu współrzędnych, te zaś podobno były w porządku. A więc poślizg. Ale jak duży? Wcześniej Badri powiedział, że może sięgnąć nawet dwóch tygodni. Z pewnością technik nie gnałby jak szalony do pubu, gdyby poślizg zmieścił się w tych granicach. Należało więc wysnuć logiczny wniosek, że był większy, ale o ile? Miesiąc? Trzy miesiące? Z drugiej strony, wstępne szacunki nie wskazywały, że zdarzyło się coś aż tak groźnego.

Mary precyzyjnie się obok Dunworthy'ego i położyła rękę na czole chorego.

- Dodajcie do kroplówki salicylan sodu - poleciła. - I kontrolujcie na bieżąco liczbę białych krwinek. James, nie przeszkadzaj.

Dunworthy wycofał się tyłem i przycupnął na ławeczce przy drzwiach, Mary natomiast ponownie włączyła sygnalizator.

- Przygotujcie się do zrobienia morfologii i badania serologicznego.

- Może to odmiedniczkowe zapalenie nerek? - zapytał sanitariusz, obserwując zmieniające się wskazania przyrządów. Ciśnienie wynosiło 96 na 60, tętno 120, tylko temperatura została taka sama.

- Raczej nie - odparła Mary. - Nie skarżył się na żadne bóle. Jasne, że to infekcja, ale na razie nie mam pojęcia jaka.

Syrena umilkła, sanitariusz zaś zaczął odłączać przewody.

Mary poklepała technika po ręce.

- Jesteśmy na miejscu, Badri. Wkrótce będzie pan zdrow jak ryba.

Nawet jeżeli ją usłyszał, to nie dał tego w żaden sposób poznać. Mary podciągnęła mu koc pod brodę, ułożyła na wierzchu pęk różnokolorowych przewodów. Chwilę potem karetką zatrzymała się, kierowca otworzył tylne drzwi i pomógł wystawić nosze.

- Najpierw dokładne badanie krwi - powiedziała Mary, gramoląc się z ambulansu. - Czynniki Christmasy, zahamowanie hemaglutynacji, przeciwciała...

Dunworthy także wysiadł z samochodu i ruszył za nią w kierunku izby przyjęć. Kiedy tam dotarł, Mary rozmawiała już z rejestratorką.

- Proszę odszukać kartę pacjenta. Nazywa się Badri... A jak dalej, James?

- Chaudhuri.

- Numer ubezpieczenia? - zapytała rejestratorka.

- Nie mam pojęcia - odparł Dunworthy. - Pracuje w Balliol.

- Przepraszam, ale czy mógłby pan przeliterować nazwisko?

- C-H-A...

Kątem oka dostrzegł, że Mary znika za szklanymi drzwiami korytarza prowadzącego w głąb szpitala, więc wystartował za nią. Rejestratorka wykazała się jednak znakomitym refleksem, ponieważ zdążyła wyskoczyć zza kontuaru i zagrozić mu drogę.

- Przykro mi, ale nie może pan tam wejść - poinformowała go grzecznym, lecz stanowczym tonem. - Proszę usiąść i poczekać.

- Muszę koniecznie porozmawiać z pacjentem, którego właśnie przyjęliście!

- Czy jest pan jego krewnym?

- Nie. Jestem jego przełożonym. To bardzo ważna sprawa.

- Właśnie rozpoczęło się badanie. Jak tylko dobiegnie końca, zapytam lekarza dyżurnego, czy pozwoli panu na widzenie z pacjentem.

Usiadła z powrotem przy komputerze, ale co chwila zerkała czujnie na Dunworthy'ego, jakby chciała go ostrzec, że przy pierwszych oznakach niesubordynacji jest gotowa rzucić się na niego i powalić na podłogę.

Dunworthy przez chwilę zastanawiał się całkiem serio, czy mimo wszystko nie spróbować przedrzeć się siłą, ale w końcu doszedł do wniosku, że mógłby zostać ukarany całkowitym zakazem wstępu do szpitala, a poza tym Badri w swoim obecnym stanie niewiele zdołałby mu powiedzieć. W chwili, gdy wynoszono go z karetki, ponad wszelką wątpliwość był nieprzytomny, a do tego miał wysoką temperaturę.

Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Rejestratorka wciąż spoglądała na niego nieufnie.

- Zechciałby pan jeszcze raz przeliterować nazwisko?

- C-H-A-U-D-H-U-R-I - wyrecytował, po czym zapytał, gdzie może znaleźć telefon.

- W korytarzu - odparła dziewczyna. - Wiek pacjenta?

- Nie wiem. Chyba gdzieś około dwudziestu pięciu. Zaczął u nas pracę cztery lata temu.

Najlepiej jak potrafił odpowiedział na pozostałe pytania, wyjrzał na zewnątrz, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie zbliża się Gilchrist, po czym zatelefonował z automatu do college'u Brasenose. Na wizji pojawił się portier, który właśnie ubierał sztuczną choinkę ustawioną w głównym hallu.

- Chciałbym rozmawiać z Puchalskim - powiedział. Nie miał pewności, czy tak właśnie nazywa się praktykant, ale szkoda mu było czasu, żeby to najpierw sprawdzić.

- Nie ma go - odparł portier, zawieszając na gałązkach łańcuch z błyszczącego papieru.

- Kiedy tylko wróci, proszę mu przekazać, że koniecznie muszę z nim porozmawiać w bardzo ważnej sprawie. Może mnie zastać pod numerem... - Dunworthy znacząco zawiesił głos, licząc na to, że portier sięgnie po notes, ale ten zaskoczył go, gdyż wyjął ołówek z kieszeni na piersi i zapisał numer na pudełku ze świecidełkami. - Gdyby mnie tam nie było, niech spróbuje łapać mnie w klinice. Jak pan myśli, kiedy może się zjawić?

- Naprawdę nie mam pojęcia - odparł portier, pieczołowicie rozpakowując anioła. - Niektórzy wracają z ferii parę dni wcześniej, ale większość czeka do ostatniej chwili i przyjeżdża pierwszego dnia semestru.

- Jak to? Czyżby wyjechał z college'u?

- A pewnie. Miał robić jakiś przeskok dla sekcji średniowiecza, ale potem okazało się, że wzięli sobie kogoś innego, więc pojechał do domu.

- Wobec tego muszę mieć jego domowy adres i numer telefonu.

- Zdaje się, że to gdzieś w Walii, ale dokładnie powie panu sekretarka, tyle że jej akurat też nie ma.

- Kiedy wróci?

- Nie wiem, proszę pana. Pojechała do Londynu, żeby zrobić świąteczne zakupy.

Dunworthy przekazał wiadomość dla sekretarki (w tym czasie portier pracowicie prostował skrzydła aniołowi), po czym odwiesił słuchawkę i zaczął się gorączkowo zastanawiać, czy w Oxfordzie uda mu się znaleźć innego technika. Raczej nie, bo gdyby jakiś został na Święta, Gilchrist nie zleciłby roboty praktykantowi z pierwszego roku.

Mimo to zadzwonił do college'u Magdalen, a kiedy nikt się nie zgłosił, spróbował połączyć się z Balliol - niestety z takim samym rezultatem. Zapewne Finch wciąż jeszcze pokazywał Amerykankom Wielkiego Toma. Dunworthy zerknął na zegarek; dopiero wpół do trzeciej. Wydawało mu się, że jest znacznie później. Może więc jeszcze jedzą lunch.

Zadzwonił do jadalni w Balliol, ale tam także nikogo nie było, więc zrezygnowany odwiesił słuchawkę i wrócił do poczekalni, spodziewając się, że zastanie tam Gilchrista. Zamiast niego ujrzał dwoje znajomych sanitariuszy pograżonych w cichej rozmowie z pielęgniarką. Przypuszczalnie Gilchrist wrócił prosto do Brasenose, aby w spokoju planować kolejny przeskok. Zdaje się, że zamierzał wysłać Kivrin do epoki panowania Czarnej Śmierci, żeby mogła precyzyjnie określić zasięg oraz skutki zarazy.

- Jest pan jednak - powiedziała pielęgniarka. - Myślałam, że już pan sobie poszedł. Proszę ze mną.

Dunworthy sądził, że polecenie odnosi się tylko do niego, ale sanitariusze poszli za nim. Pielęgniarka poprowadziła całą trójkę korytarzem, po czym otworzyła drzwi.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła. - Na stoliku znajdziecie dzbanek z herbatą, a toaleta jest tam, w głębi.

- Kiedy będę mógł porozmawiać z Badrim Chaudhuri? - zapytał Dunworthy, przytrzymując drzwi od środka, żeby nie mogła ich zamknąć.

- O tym zadecyduje doktor Ahrens - odparła pielęgniarka, po czym bez większego wysiłku zatrzasnęła drzwi, przy okazji mało nie łamiąc mu palców.

Sanitariuszka wbiła ręce w kieszenie i bez słowa opadła na fotel, jej kolega zaś podszedł do stolika i włączył elektryczny czajnik. W drodze z głównego hallu żadne z nich nie zadawało pytań pielęgniarce, więc być może nie widzieli niczego nadzwyczajnego w tej sytuacji, choć Dunworthy nie mógł zrozumieć dlaczego im także zależy na rozmowie z Badrim. Chyba że znaleźli się tu z zupełnie innego, nie znanego mu powodu.

Poczekalnia, do której ich zaprowadzono, znajdowała się w innym skrzydle niż izba przyjęć. Jej wyposażenie składało się z takich samych, potwornie niewygodnych foteli, które stały w hallu, na ścianach wisiały te same plakaty z tyleż słusznymi, co mało odkrywczymi zaleceniami i hasłami, pod sufitem wisiały takie same łańcuchy z błyszczącego papieru - jedyny akcent przypominający o zbliżających się Świątach. Różnica polegała na tym, że nie było okien. Takie odizolowane od świata pomieszczenie znakomicie nadawało się dla ludzi oczekujących na niedobre wieści.

Dunworthy nagle poczuł ogromne zmęczenie i usiadł w fotelu. Niedobre wieści. Jakaś tajemnicza infekcja. Ciśnienie krwi 96 na 60, tętno 120, temperatura 39,5. Jedyny poza Badrim technik - w Walii, sekretarka Basingame'a - w Londynie, Kivrin zaś gdzieś w roku 1320, nie wiadomo ile dni, tygodni, a może nawet miesięcy od planowanej daty.

Sanitariusz nałał sobie do filiżanki mleka, wsypał dwie łyżeczki cukru, a teraz czekał niecierpliwie aż podgrzeje się herbata. Jego koleżanka przymknęła oczy i oparła głowę na poduszcze fotela. Oddychała miarowo i spokojnie, jakby była pogrążona we śnie.

Dunworthy wpatrywał się w nią, ale jego myśli wciąż krążyły wokół ewentualnego poślizgu. Badri powiedział, że według wstępnych szacunków poślizg był minimalny, ale to jednak tylko wstępne szacunki. We wcześniejszej rozmowie wspominał o dwóch tygodniach i to wydawało się znacznie bardziej prawdopodobne.

Im dalej wstecz wysyłano historyków, tym większe zdarzały się poślizgi. Przeskoki w dwudziesty wiek kończyły się zazwyczaj kilkuminutowym poślizgiem, te w wiek osiemnasty - nawet kilkugodzinnym. Uczni z college'u Magdalen, którzy wysyłali zdalnie sterowane sondy do renesansu, uzyskiwali rezultaty różniące się od zakładanych o trzy do sześciu dni.

Ale to była średnia; rzeczywiste wyniki zależały od tak wielu czynników - w tym także od osoby, którą wysyłano w przeszłość - iż niemożliwe było precyzyjne przewidzenie rozmiarów poślizgu dla konkretnego przeskoku. Najgorszy rezultat uzyskany przez sekcję dziewiętnastego wieku wynosił czterdzieści osiem dni, podczas gdy dokładność przeskoków o punktach docelowych wyznaczonych w odludnych miejscach często mieściła się w granicach ułamków sekund.

Najgorsze jednak było to, że nie dało się wychwycić jakichkolwiek stałych zależności. Podczas jednego z eksperymentów, w jakich Dunworthy uczestniczył kilkanaście lat temu, został wysłany do roku 1956, i miał przybyć na miejsce - czyli na pusty dziedziniec college'u Balliol - czternastego września o godzinie drugiej w nocy; zjawił się z trzypięciominutowym zaledwie poślizgiem, ale kiedy doświadczenie powtórzono osiem minut później, poślizg wyniósł już prawie dwie godziny i niewiele brakowało, a Dunworthy zderzyłby się z jakimś studentem wracającym ukradkiem do pokoju po nocy spędzonej poza terenem college'u.

Kivrin mogła teraz być nawet pół roku od wyznaczonej daty, nie zdając sobie z tego sprawy, nie wiedząc, że już dawno minął termin powrotu. Może Badri przybiegł do pubu, aby powiedzieć im, że stało się nieszczęście i muszą ją natychmiast stamtąd wyciągnąć?

Do pokoju weszła Mary. Wciąż miała na sobie palto.

- Co z Badrim? - zapytał Dunworthy, podnosząc się z fotela. Musiał zadać to pytanie, choć bał się, jaką usłyszy odpowiedź.

- Jest jeszcze na oddziale - odparła. - Musimy mieć jego numer ubezpieczenia, ale nigdzie nie możemy go znaleźć, nawet w kartotece college'u.

Co prawda Mary z włosami w nieładzie wyglądała jak szalona, ale mówiła rzeczowo i spokojnie, jakby ustalała z Dunworthym termin okresowego badania studentów.

- Nic dziwnego, bo oficjalnie Badri nie jest pracownikiem Balliol - wyjaśnił, czując ogromną ulgę. - Techników zatrudniają władze Uniwersytetu i przydzielają do college'ów.

- Wobec tego jego dokumenty powinny znajdować się w centralnym rejestrze. Zaraz sprawdzimy. Wiesz może, czy w ciągu minionego miesiąca opuszczał Anglię?

- Dwa tygodnie temu był w dziewiętnastym wieku na Węgrzech. Od tamtej pory nie ruszał się ani na krok z uczelni.

- A może odwiedzali go jacyś krewni z Pakistanu?

- Jego rodzina od trzech pokoleń mieszka na Wyspach. Wiecie już co mu dolega?

Zignorowała pytanie.

- Gdzie są Gilchrist i Montoya?
- Powiedziałaś Gilchristowi, żeby tu przyszedł, ale jeszcze się nie zjawił - przynajmniej do chwili, kiedy zabrano nas z głównego hallu.
- A Montoya?
- Wymknęła się zaraz po przeskoku.
- Wiesz może dokąd poszła?
Wiem tyle samo co ty, pomyślał Dunworthy. Też przecież widziałaś, jak wychodzi.
- Przypuszczalnie wróciła do Witney, do swoich wykopalisk. Spędza tam większość czasu.
- Do wykopalisk? - powtórzyła Mary z takim zdziwieniem, jakby usłyszała o tym po raz pierwszy w życiu.
O co jej chodzi? - przemknęło Dunworthy'emu przez głowę. Co w tym takiego niezwykłego?
- Owszem, do wykopalisk, na farmie wykupionej przez Fundusz Dziedzictwa Narodowego. Odkryli tam dobrze zachowane pozostałości średniowiecznej wioski.
- W Witney, powiadasz? - Mary sprawiała wrażenie poważnie zaniepokojonej. - Będzie musiała natychmiast wrócić.
- Mam do niej zadzwonić? - zapytał, ale nie uzyskał odpowiedzi, ponieważ Mary rozmawiała już z sanitariuszem stojącym przy stoliku.
- Trzeba przywieźć kogoś z Witney, z farmy Funduszu. To kobieta, nazywa się Montoya i kieruje tam pracami wykopaliskowymi.
Sanitariusz bez słowa odstawił filiżankę z nie dopitą herbatą, założył kurtkę i wyszedł za Mary z pokoju.
Dunworthy przypuszczał, że Mary wróci, kiedy tylko wytłumaczy chłopakowi, w jaki sposób dojechać do Witney, a ponieważ nie doczekał się na nią, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Zamiast Mary i sanitariusza ujrzał tam znajomą pielęgniarkę.
- Przykro mi, proszę pana - powiedziała zastępując mu drogę w taki sam sposób jak niedawno uczyniła to rejestratorka - ale doktor Ahrens wyraźnie prosiła, żeby pan na nią tutaj zaczekał.
- Nie mam zamiaru wyjść poza teren kliniki. Chciałem tylko zadzwonić do sekretarki.
- Chętnie przyniosę panu telefon - oświadczyła, po czym spojrzała w kierunku, z którego przed chwilą zaczęły dobiegać jakieś głosy.
Korytarzem zbliżali się Gilchrist i Latimer.
- ...nadzieję, że panna Engle z bliska przyjrzy się śmierci - perorował Gilchrist. - W czternastym wieku ludzie mieli zupełnie inny stosunek do śmierci niż obecnie. W tamtych czasach stanowiła ona nieodłączną, powszechnie akceptowaną część życia i rzadko wywoływała uczucia żalu albo rozpacz.
- Panie Dunworthy... - Pielęgniarka pociągnęła go za rękaw. - Zechce pan poczekać w środku? Zaraz przyniosę panu telefon.
Wyszła naprzeciw Gilchristowi i Latimerowi.
- Tędy, proszę - powiedziała, wprowadzając ich do poczekalni.
- Zastępuję dziekana Wydziału Historycznego! - zagrmiał Gilchrist, miażdżąc Dunworthy'ego spojrzeniem. - Muszę natychmiast wiedzieć, co dolega panu Chaudhuri!
- Oczywiście, proszę pana. Doktor Ahrens wkrótce porozmawia z panem na ten temat - zapewniła go, zamykając za sobą drzwi.
Latimer powiesił parasol na oparciu krzesła, na sąsiednim natomiast postawił torbę Mary ze świątecznymi zakupami. Była znowu pełna, więc zapewne udało mu się pozbierać wszystkie paczki i zawiniątka, które wysypały się na podłogę laboratorium. Na samym wierzchu leżało pudełko z szalikiem, tuż obok zaś dwie albo trzy czekoladki w kolorowych papierkach.
- Nigdzie nie mogliśmy znaleźć taksówki - wysapał, po czym ciężko usiadł obok pakunków. - Musieliśmy przyjechać metrem.
- Skąd pochodzi ten praktykant, Puchalski, który miał wykonać obliczenia do przeskoku? - zapytał Dunworthy. - Muszę z nim porozmawiać.
- Na jaki temat, jeśli wolno wiedzieć? A może już zdążył pan przejść zwierzchnictwo nad sekcją średniowiecza, tylko ja nic o tym nie wiem?
- Ktoś musi odczytać współrzędne, żebyśmy mieli pewność, czy wszystko jest w porządku.
- Pan zapewne byłby zachwycony, gdyby okazało się, że coś poszło nie tak jak należy, nieprawdaż? Od samego początku usiłował pan sabotować nasz projekt.
- Gdyby? - powtórzył z niedowierzaniem Dunworthy. - Przecież już wszystko poszło nie tak jak należy! Badri wylądował w szpitalu, a my nawet nie wiemy, czy Kivrin trafiła tam, gdzie powinna. Słyszał pan, co mówił Badri: coś się nie zgadza z lokalizacją. Musimy znaleźć technika, który powie nam, o co konkretnie chodzi.
- Osobiście nie przywiązywałbym zbyt dużej wagi do słów człowieka znajdującego się pod wpływem narkotyków, endorfiny albo jakiegoś innego świństwa - odparł Gilchrist. - Pozwolę też sobie zwrócić panu uwagę, panie Dunworthy, iż odpowiedzialność za ewentualne kłopoty ponosi wyłącznie sekcja dwudziestego wi-

eku. Pan Puchalski doskonale radził sobie z obliczeniami, ale dałem się panu przekonać i zastąpiłem go technikiem z pańskiej sekcji. Jak widać, nie powinienem tego czynić.

Nagle otworzyły się drzwi. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę, ale to tylko pielęgniarka przyniosła telefon, wręczyła go Dunworthy'emu i bez słowa wymknęła się na korytarz.

- Muszę zadzwonić do Brasenose i powiedzieć im, gdzie jestem - oświadczył Gilchrist.

Nie zwracając uwagi na jego słowa, Dunworthy włączył ekran, podniósł słuchawkę, po czym wystukał numer sekretariatu Jesus College.

- Proszę podać mi nazwiska i domowe numery telefonów waszych techników - powiedział do sekretarki, kiedy ta pojawiła się na ekranie. - Chyba że któryś został na uczelni?

Niestety wszyscy wyjechali do domów. Zapisał nazwiska i numery na odwrocie jednej z leżących na stoliku ulotek, podziękował sekretarce, przerwał połączenie, po czym wystukał pierwszy numer z listy.

Zajęty. To samo było z drugim, trzeciego natomiast nawet nie zdążył wybrać do końca. Mimo to próbował nadal, aż wreszcie usłyszał głos komputera, który oznajmił bez emocji:

- Uprzejmie informujemy, że wszystkie linie są zajęte. Prosimy zadzwonić później.

Zatelefonował do Balliol, najpierw do swojego biura, potem do głównego hallu, ale nikt nie odebrał. Czyżby Finch zawiózł Amerykanki do Londynu, żeby pokazać im Big Bena?

Gilchrist stał tuż obok, czekając na możliwość skorzystania z aparatu, Latimer natomiast podszedł do stolika i bezskutecznie usiłował włączyć elektryczny czajnik. Sanitariuszka, która obudziła się z drzemki, przez chwilę obserwowała go z zainteresowaniem, a następnie podniosła się z fotela, by mu pomóc.

- Skończył pan wreszcie? - zapytał Gilchrist ze zniecierpliwieniem.

- Nie. - Dunworthy jeszcze raz spróbował połączyć się z Finchem, lecz bez rezultatu. - Musi pan wezwać tu swojego technika - zwrócił się do Gilchrista, odkładając słuchawkę. - Trzeba jak najprędzej ściągnąć Kivrin, zanim opuści miejsce przeskoku.

- Muszę? - powtórzył z niedowierzaniem Gilchrist. - Pan chyba zapomina, że to nasza operacja, nie pańska!

- Teraz to nie ma najmniejszego znaczenia - odparł Dunworthy, ze wszystkich sił starając się zachować spokój. - Przecież pojawienie się jakichkolwiek problemów automatycznie powoduje odwołanie przeskoku.

- Pozwolę sobie zwrócić panu uwagę, że jedyny problem, jaki napotkaliśmy do tej pory, wiąże się z faktem, iż podesłał nam pan technika nadużywającego endorfiny - oznajmił Gilchrist lodowatym tonem, po czym sięgnął po aparat. - Sam zadecyduję, czy i kiedy należy przerwać eksperyment.

Telefon zadzwonił mu w rękę.

- Gilchrist, słucham?... Chwileczkę.

Wręczył aparat Dunworthy'emu.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknął Finch. Na jego twarzy malował się wyraz udręki. - Wszędzie pana szukam. Nie uwierzy pan, jakie miałem kłopoty!

- Zatrzymano mnie w klinice - przerwał mu Dunworthy, nie czekając aż jego sekretarz przedstawi mu dokładny rejestr swoich niepowodzeń. - A teraz proszę słuchać uważnie: musi pan przynieść z kwestury teczkę z aktami osobowymi Badriego Chaudhuri. Kiedy tylko ją pan znajdzie, zadzwoni pan do doktor Ahrens. Jest tutaj, w klinice. Proszę mówić, że ma pan dla niej ważną wiadomość i musi z nią osobiście porozmawiać. Ona panu powie, jakich konkretnie informacji potrzebuje.

Finch szybko notował polecenia.

- Zaraz potem pójdzie pan do New College, do głównego opiekuna studentów. Powie mu pan, żeby koniecznie się ze mną skontaktował i poda mu ten numer telefonu. Sprawa jest gardłowa: musi jak najprędzej odszukać Basingame'a i ściągnąć go z powrotem do Oxfordu.

- Myśli pan, że to możliwe?

- Czemu nie? Jest jakaś wiadomość od Basingame'a? A może coś mu się stało?

- Nic o tym nie wiem, proszę pana.

- A więc czemu miałby nie wrócić? Przecież tylko pojechał na ryby. Kiedy już porozmawia pan z głównym opiekunem, proszę spróbować zasięgnąć języka wśród personelu i studentów, naturalnie, jeśli ktoś tam będzie. Może ktoś z nich wie, gdzie można go znaleźć? Przy okazji niech pan się dowie, czy któryś z ich techników został na ferie w Oxfordzie.

- Dobrze, proszę pana. A co mam zrobić z Amerykankami?

- Przekazać im ode mnie wyrazy ubolewania i powiedzieć, że niestety nie wiem, kiedy będę mógł się z nimi spotkać. Zresztą zdaje się, że o czwartej miały pojechać do Ely?

- Tak, ale...

- Ale co?

- Pokazałem im Wielkiego Toma, kościół Old Marston i mnóstwo innych rzeczy, ale nie udało nam się dojechać do Iffley.

- Dlaczego?

- Bo zatrzymała nas policja. Ustawili zapory na drodze, i w ogóle. Amerykanki ogromnie się niepokoją, co będzie z ich koncertem.

- Zapory? - powtórzył z niedowierzaniem Dunworthy.

- Tak, proszę pana. Na A4158. Czy mam je umieścić w skrzydle Salvina? Co prawda mieszkają tam William Gaddson i Tom Gailey, ale południowa klatka schodowa jest właśnie remontowana, więc nie mam wyboru.

- Nic nie rozumiem - stwierdził Dunworthy. - Dlaczego was zatrzymano?

- Z powodu kwarantanny - odparł Finch takim tonem, jakby mówił o czymś zupełnie oczywistym. - Mógłbym też ulokować je u Fishera. Co prawda na okres ferii wyłączono tam ogrzewanie, ale przecież zostały jeszcze kominki.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(000618-000735)

Wróciłam na miejsce przeskoku. To dość daleko od drogi. Spróbuję przeciągnąć tam wóz, żeby łatwiej można było mnie znaleźć, ale jeśli przez najbliższe pół godziny nikt się nie pojawi, pójdę do Skendgate, którą udało mi się zlokalizować dzięki dzwonowi wzywającemu na nieszpór.

Skutki uboczne przeskoku wciąż dają mi się mocno we znaki. Boli mnie głowa i mam dreszcze. Objawy są znacznie poważniejsze, niż wyobrażałam sobie na podstawie tego, co mówili mi Badri i doktor Ahrens, szczególnie ból głowy. Na szczęście do wsi nie jest zbyt daleko.

5.

Kwarantanna. Oczywiście, pomyślał Dunworthy. Sanitariusz wysłany na łeb, na szyję po Montoyę, pytania Mary o krewnych z Pakistanu, a przede wszystkim fakt, że zamknięto ich w tym odizolowanym pokoju, pilnowanym przez bezwzględną pielęgniarkę. Oczywiście.

- Więc jak, może być Salvin? - zapytał Finch.

- Czy policjanci mówili, dlaczego ogłoszono kwa... - Umilkł w pół słowa. Gilchrist obserwował go uważnie, ale z miejsca, w którym stał, chyba nie mógł dojrzeć ekranu. Latimer wciąż sterczał przy stoliku, tym razem tocząc nierówny bój z torebką z cukrem, której za nic w świecie nie był w stanie otworzyć. Sanitariuszka ponownie zapadła w drzemkę. - Czy policjanci mówili, dlaczego przedsięwzięto te środki ostrożności?

- Nie, proszę pana. Powiedzieli nam tylko tyle, że kwarantanna obejmuje Oxford i najbliższe okolice, i że po dokładniejsze informacje należy zwracać się do Ministerstwa Zdrowia oraz władz lokalnych.

- Zadzwoił pan tam?

- Nie, proszę pana. Dzwoniłem, ale nie udało mi się połączyć. Linie są przeciążone. Amerykanki próbowały dodzwonić się do Ely, żeby odwołać koncert, ale też nic im z tego nie wyszło.

Oxford i najbliższe okolice... Wynikało z tego, że zatrzymano metro, odwołano pociągi, zarówno te lokalne, jak i dalekobieżne, i zamknięto drogi. Nic dziwnego, że linie telefoniczne były przeciążone.

- Kiedy to się stało? O której wybraliście się do Iffley?

- Parę minut po trzeciej. Od tamtej pory siedzę przy telefonie i próbuję pana odszukać, choć pomyślałem sobie, że na pewno już pan wie o wszystkim. Potem wpadłem na pomysł, żeby zapytać w klinice, a tam podali mi ten numer.

Niestety o niczym nie wiedziałem, pomyślał Dunworthy, pospiesznie usiłując przypomnieć sobie przepisy określające warunki, jakie muszą zostać spełnione, aby wydano decyzję o ogłoszeniu kwarantanny. Początkowo była w nich mowa o "każdej nie zidentyfikowanej chorobie", ale w miarę jak opadała histeria po Wielkiej Epidemii, przepisy stopniowo zmieniano i łagodzono, tak że teraz mało kto znał ich aktualne brzmienie.

Jeszcze parę lat temu na pewno wspomniano w nich o konieczności dokonania "pozytywnej identyfikacji groźnej choroby zakaźnej", ponieważ prasa podniosła rwetes w związku z tajemniczą gorączką, która na trzy tygodnie opanowała pewne małe hiszpańskie miasteczko. Tamtejsi lekarze nie zadali sobie nawet trudu, aby zsekwencjonować wirusa, w związku z czym odezwały się głosy, żeby dostosować przepisy do życia, ale czy podjęto jakieś kroki zmierzające w tym kierunku oraz jakiej były one natury, o tym nie miał najmniejszego pojęcia.

- Czy mogę umieścić je w skrzydle Salvina? - zapytał ponownie Finch.

- Tak. To znaczy nie. Na razie niech zaczekają w świetlicy dla młodszych studentów. Mogą tam ćwiczyć gamy, czy co tam przyjdzie im do głowy. Przede wszystkim proszę odszukać teczkę Badriego i połączyć się z doktor Ahrens. Jeśli nie uda się jej znaleźć, niech pan dzwoni pod ten numer. Na pewno tu będę. Potem trzeba zlokalizować Basingame'a. Ta sprawa jest w tej chwili najważniejsza. Dopiero kiedy go pan namierzy, wróci pan do swoich Amerykanek i przydzieli im pokoje. Nic im się nie stanie, jeśli trochę poczekają.

- Wydaje się pan bardzo zdenerwowany.

Nie bez powodu, pomyślał Dunworthy.

- Może im pan powiedzieć, że zadzwonię, jak tylko zorientuję się w sytuacji.

Ekran zszarzał, po czym zgasł.

- Nie może pan się doczekać, by poinformować Basingame'a o rzekomej pomyłce sekcji średniowiecza - zauważył z przekąsem Gilchrist. - Chyba zdążył pan już zapomnieć, że awaria nastąpiła z winy pańskiego technika, który nadużył narkotyków lub silnie działających leków. Może pan jednak być pewien, iż ja nie zapomnę powiedzieć o tym panu Basingame'owi, kiedy tylko zjawi się na uczelni.

Dunworthy zerknął na zegarek: wpół do piątej. Finch wspomniał, że szosę zablokowano około trzeciej, a więc półtorej godziny temu. W ostatnim okresie Oxford tylko dwa razy był objęty kwarantanną; jedną ogłoszono w związku z silną reakcją alergiczną na jakiś podawany domięśniowo lek, druga zaś stanowiła efekt głupiego żartu kilku studentów. Obie odwołano natychmiast po przeprowadzeniu badań krwi, czyli po niecałej półgodzinie. Mary pobrała Badriemu krew jeszcze w college'u; Dunworthy widział jak pielęgniarka niesie próbki do laboratorium. Minęło już wystarczająco dużo czasu, aby dokonać dwu - lub trzykrotnej analizy.

- Jestem również pewien, że pana Basingame'a zainteresuje wiadomość, iż to brak należytej kontroli z pańskiej strony sprawił, że technik nie zdołał ustalić lokalizacji osoby wysłanej w przeszłość - ciągnął Gilchrist.

Dunworthy zbeształ się w myśli za to, że od razu nie rozpoznał objawów infekcji, choć były aż nadto oczywiste: niskie ciśnienie krwi, trudności z oddychaniem, wysoka temperatura. Co prawda Mary wspomniała w karetce o infekcji, on jednak nie wiedząc czemu uznał, iż ma na myśli na przykład zapalenie wyrostka robaczkowego. Jakie choroby mogły wchodzić w grę? Ospa i tyfus zostały całkowicie ujarzmione jeszcze w dwudziestym wieku, zapalenie opon mózgowych w dwudziestym pierwszym, bakterie nie miały najmniejszych szans w starciu z nowymi metodami oznaczania przeciwciał, natomiast szczepionki przeciwwirusowe udoskonalono tak bardzo, że ludzie niemal zupełnie przestali się zaziębiać.

- Doprawdy dziwię się, że poświęciwszy tyle trudu sprawdzeniu, czy sekcja średniowiecza właściwie przygotowała się do przeskoku, nie zadał pan sobie fатыgi, aby sprawdzić, czy pański technik nie znajduje się pod wpływem narkotyków - dodał Gilchrist jadownicie złośliwym tonem.

Może więc chodzi o jakąś chorobę z Trzeciego Świata? Mary chyba nieprzypadkowo pytała o rodzinę Badriego i o jego ewentualne wyjazdy poza granicę Wspólnoty Europejskiej. Jednak Pakistan już od dawna nie należy do Trzeciego Świata, nikt zaś nie zostałby wypuszczony za granicę bez aktualnego zaświadczenia o szczepieniach. Poza tym, Badri nigdzie nie wyjeżdżał. Jeśli nie liczyć krótkiego wypadu w dziewiętnasty wiek na Węgry, cały miniony semestr spędził w Anglii.

- Chcę skorzystać z telefonu - poinformował go Gilchrist. - Ja także uważam, że pan Basingame powinien zjawić się tu jak najprędzej, by zaprowadzić ład i porządek.

Dunworthy dopiero teraz uświadomił sobie, że wciąż ścisła słuchawkę w ręce. Spojrzał na nią ze zdziwieniem i zamrugał raptownie, jakby zastanawiał się, co to może być.

- Czyżby zamierzał pan uniemożliwić mi skontaktowanie się z moim przełożonym? - zapytał Gilchrist.

Latimer podniósł się z fotela.

- O co chodzi? - zapytał, wyciągnąwszy przed siebie ramiona w obronnym geście, jakby oczekiwał, że Dunworthy rzuci się na niego z dzikim okrzykiem na ustach. - Co się właściwie stało?

- Badri nie zażywał narkotyków - powiedział Dunworthy. - Jest poważnie chory.

- Doprawdy nie rozumiem, na jakiej podstawie opiera pan swoje twierdzenie, skoro nie otrzymaliśmy jeszcze wyników badań - powiedział Gilchrist, spoglądając znacząco na telefon.

- Zostaliśmy objęci kwarantanną - odparł Dunworthy. - To jakaś choroba zakaźna.

- Infekcja wirusowa - odezwała się Mary. Otworzyła drzwi tak cicho, że nawet nie zauważyli, kiedy weszła do pokoju. - Jeszcze go nie wyodrębniliśmy, ale wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z wirusem.

Wciąż miała na sobie płaszcz, tyle że rozpięty, w związku z czym trochę przypominał luźną, podszytą futerkiem szubę Kivrin. W obu rękach trzymała tacę, na której piętrzył się stos laboratoryjnego sprzętu i narzędzi lekarskich w sterylnych opakowaniach.

- Wstępne testy zdają się wskazywać na myksowirusa - mówiła dalej, stawiając tacę na stole. - Świadczą o tym także objawy: wysoka gorączka, trudności z koncentracją, ból głowy. Z pewnością nie mamy do czynienia z retrowirusem ani pikornawirusem, co samo w sobie stanowi optymistyczną wiadomość, ale minie jeszcze trochę czasu, zanim uda nam się go zidentyfikować.

Przysunęła do stołu dwa krzesła i usiadła na jednym z nich.

- Zawiadomiliśmy Światowe Centrum Badań nad Grypą w Londynie i wysłaliśmy im próbki w celu przeprowadzenia szczegółowych badań. Zgodnie z zaleceniami Ministerstwa Zdrowia dotyczącymi zapobiegania epidemiom, do chwili otrzymania wyników będzie obowiązywała całkowita kwarantanna.

Jednym szarpnięciem rozerwała opakowanie ze sterylnymi rękawicami.

- Epidemia! - parsknął Gilchrist, mierząc Dunworthy'ego wściekłym spojrzeniem, jakby podejrzewał go o umyślne spowodowanie choroby, aby skompromitować sekcję średniowiecza.

- To jeszcze nic pewnego - odparła Mary, rozrywając kolejny pakunek. - Na razie nie ma mowy o żadnej epidemii, ponieważ zarejestrowaliśmy tylko ten jeden przypadek. Sprawdziliśmy historie chorób z ostatnich kilku miesięcy i nie znaleźliśmy nikogo, kto skarżyłby się na podobne dolegliwości.

- W jaki sposób mógł się zarazić? - zapytał Gilchrist, wciąż łypiąc niezyczliwie na Dunworthy'ego. - Wydaje mi się, że pan Dunworthy powinien interesować się stanem zdrowia swoich podwładnych.

- Badri jest pracownikiem Uniwersytetu, jak pan i ja, więc na początku każdego semestru powinien przejść okresowe badania i niezbędne szczepienia.

- Pani nie wie, czy tak się stało?

- Podczas ferii sekretariat Uniwersytetu jest nieczynny, a główny komputer nic mi nie powie, bo nie znam numeru ubezpieczenia Badriego.

- Posłałem mojego sekretarza do kwestora, żeby sprawdził, czy nie ma tam zwykłych, staromodnych kart osobowych wszystkich pracowników Uniwersytetu - oznajmił Dunworthy. - Gdyby je znalazł, mielibyśmy przynajmniej ten przeklęty numer.

Mary skinęła głową.

- Otóż to. A wtedy, wiedząc przeciwko czemu był szczepiony, łatwiej zdołamy zidentyfikować wirusa. Możliwe, że Badri inaczej reaguje na szczepionki albo że z jakichś powodów nie odbył obowiązkowych badań. Wiesz może jakiego jest wyznania? - zapytała Dunworthy'ego. - Oby nie był nowohinduiście.

- Jest anglikaninem.

Dunworthy doskonale wiedział, skąd się biorą obawy Mary. Nowohinduiści wierzyli w świętość każdego życia i sprzeciwiali się zabijaniu wszelkich stworzeń, w tym także wirusów, naturalnie jeśli słowo "zabijanie" miało w tym przypadku jakikolwiek sens. Odmawiali przyjmowania antybiotyków, szczepionek oraz leków przeciwwirusowych. Władze Uniwersytetu godziły się na to, aby uszanować ich przekonania religijne, ale nie pozwalały im mieszkać w college'ach.

- Jestem pewien, że Badri zgłosił się na badania. Gdyby ich nie odbył, nie zostałby dopuszczony do pracy przy sieci.

Mary ponownie skinęła głową, jakby już wcześniej doszła do tego samego wniosku.

- Tak jak powiedziałam, przypuszczalnie w grę wchodzi nietypowa reakcja na szczepionkę.

Gilchrist otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć, ponieważ otworzyły się drzwi i do pokoju weszła pielęgniarka. Na twarzy miała maseczkę z gazy, a w rękach, na które założyła sterylne rękawiczki, trzymała plik papieru oraz kilka ołówków.

- Na wszelki wypadek przeprowadzimy testy na obecność przeciwciał u wszystkich osób, które kontaktowały się z Badrim - dodała Mary. - Pobierzemy od was krew, zmierzmy wam temperaturę, a oprócz tego sporządzicie listy ludzi, z którymi się dzisiaj stykaliście.

Pielęgniarka wręczyła Dunworthy'emu trzy arkusze papieru oraz jeden z ołówków. Pierwsza kartka okazała się szpitalnym formularzem, dwie pozostałe natomiast podzielono na trzy rubryki zatytułowane "Nazwisko", "Miejsce" i "Czas". Na drugiej kartce widniał nagłówek "Kontakty pierwotne", na trzeciej "Kontakty wtórne".

- Ponieważ Badri jest, jak na razie, jedynym chorym, będziemy traktować go jako pacjenta zerowego - ciągnęła Mary. - Nie znamy jeszcze sposobu, w jaki rozprzestrzeniła się choroba, w związku z czym musicie uwzględnić na swoich listach wszystkich, z którymi miał jakikolwiek kontakt.

Dunworthy nagle przypomniał sobie technika pochylającego się nad Kivrin, przesuującego jej ramię, poprawiającego ułożenie sukni.

- Wszystkich - powtórzyła z naciskiem. - Nie tylko tych, którym podał rękę, ale nawet tych, z którymi tylko rozmawiał.

- A więc nas także - odezwała się sanitariuszka.

- Oczywiście.

- I Kivrin... - wyszeptał Dunworthy.

Mary miała przez chwilę taką minę, jakby nie wiedziała o kogo chodzi.

- Panna Engle otrzymała pełny zestaw szczepień oraz przeszła kurację wzmacniającą odporność organizmu - oznajmił Gilchrist. - Chyba nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo?

Mary wahała się najwyżej sekundę.

- Nie - stwierdziła stanowczo. - Naturalnie pod warunkiem, że po raz pierwszy zetknęła się z nim dopiero dziś rano.

- Pan Dunworthy wypożyczył mi swojego technika dwa dni temu - oświadczył Gilchrist, niemal wrywając pielęgniarkę z ręki przeznaczone dla niego kartki. - Rzecz jasna byłem pewien, że przedsięwziął te same środki ostrożności, które stosujemy w sekcji średniowiecza, ale teraz widzę, że się pomyliłem. Naturalnie przy pierwszej nadarzającej się sposobności poinformuję o tym pana Basingame'a.

- Jeśli pierwszy kontakt Kivrin z Badrim nastąpił dziś rano, to dziewczyna powinna być już w pełni uodporniona - oznajmiła Mary. - Panie Gilchrist, czy byłby pan uprzejmy?...

Wskazała mu krzesło, a on usiadł, mrużąc coś niechętnie pod nosem.

Mary wzięła od pielęgniarki jeden zestaw formularzy i pokazała wszystkim pierwszy, opatrzony nagłówkiem "Kontakty pierwotne".

- Na tę listę powinien trafić każdy, z kim Badri zetknął się osobiście. Proszę zanotować, ile razy spotykaliście się z nim w ciągu minionych trzech dni oraz umieścić nazwiska wszystkich osób, które w waszej obecności zbliżyły się do niego. Z kolei na tej liście - pokazała kartkę z nagłówkiem "Kontakty wtórne" - przedstawicie wykaz swoich spotkań z innymi ludźmi, zaczynając od chwili obecnej i cofając się w przeszłość.

Następnie bez słowa wyjaśnienia wetknęła zaskoczonemu Gilchristowi termometr do ust i przymocowała mu do przegubu miniaturowy monitor z ciekłokrystalicznym ekranem. Nie czekając, aż pielęgniarka poda papiery sanitariuszce i Latimerowi, Dunworthy usiadł przy drugim końcu stołu i zajął się wypełnianiem rubryk.

Najpierw szpitalny formularz. Numer ubezpieczenia, dokładna historia chorób, przebieg leczenia, zabiegi chirurgiczne, szczepienia, i tak dalej. Przecież to wszystko jest w mojej kartotece, pomyślał ze zniecierpliwieniem. Dlaczego miałbym zaśmiecać sobie pamięć takimi sprawami? Nie pamiętał na przykład, kiedy dokładnie odbyły się obowiązkowe badania przedsemestralne, więc postawił w tej rubryce znaki zapytania, po czym zajął się wypełnianiem tabeli z "Kontaktami pierwotnymi".

Na początku wpisał swoje nazwisko, zaraz potem Latimera, Gilchrista i dwoje sanitariuszy. Tak właśnie napisał, "dwoje sanitariuszy", ponieważ nie wiedział jak się nazywają, a kobieta znowu zasnęła i nie chciał jej przeszkadzać głupimi pytaniami. Przyciskała do piersi formularze jak najdroższy skarb. Dunworthy przez chwilę wahał się, czy umieścić na liście lekarzy i pielęgniarki, którzy zajęli się Badrim w szpitalu; ostatecznie napisał "personel kliniki" i opatrzył to znakiem zapytania. Kto jeszcze? Aha, Montoya.

No i Kivrin, ale ona, według Mary, była całkowicie uodporniona. "Coś się nie zgadza", powiedział Badri. Może chodziło mu o to, że z powodu choroby nie może doprowadzić obliczeń do końca, więc przybiegł do pubu, aby ostrzec ich o niebezpieczeństwie zagrażającym Kivrin?

Właśnie, pub. Oprócz ich czworga i Badriego byli tam tylko barman i Finch, który jednak wyszedł przed pojawieniem się technika. Dunworthy wpisał swego sekretarza na listę kontaktów wtórnych, po czym wrócił do tej, którą zajmował się na początku, i zanotował: "Barman z pubu »Pod krzyżem i jagnięciem«". Tak, w pubie było pusto, ale nie dało się tego powiedzieć o ulicy. Oczami wyobraźni ponownie ujrzał Badriego, jak przepycha się przez tłum, zderza z właścicielką parasolki we wściekle kolorowe kwiaty, przeskakuje nad smyczą, na której mały chłopiec ciągnął zrezygnowanego foksteriera... "Każdy, z kim Badri zetknął się osobiście", powiedziała Mary.

Trzymała Gilchrista za przegub i starannie notowała liczby pojawiające się na ekranie. Czyżby zamierzała przebadać wszystkie osoby, jakie znajdą się na listach? Było to raczej niemożliwe. Podczas szaleńczego biegu do college'u Badri potrafił, otarł się lub zderzył z kilkudziesięcioma osobami, których ani on, ani Dunworthy z pewnością nie zdołaliby teraz rozpoznać. W drodze do pubu na pewno działo się to samo, ci ludzie zaś krótko potem zetknęli się z dziesiątkami innych osób.

Napisał: "Znaczna liczba przechodniów na High Street", podkreślił zdanie grubą krechę, po czym skupił się, usiłując sobie przypomnieć, czy i kiedy rozmawiał wcześniej z Badrim. Na pewno dwa dni temu, bezpośrednio po tym, jak dowiedział się od Kivrin, że Gilchrist zamierza skorzystać z usług niedoświadczonego praktykanta.

Złapał Badriego telefonicznie zaraz po jego powrocie z Londynu. Kivrin spędziła ten dzień w klinice, gdzie przechodziła ostatnie badania przed przeskokiem; całe szczęście, bo dzięki temu nie miała okazji zetknąć się z technikiem, wcześniej zaś nie było to możliwe, ponieważ przebywał w Londynie.

We wtorek Badri zjawił się osobiście, aby poinformować go, że sprawdził obliczenia dokonane przez praktykanta oraz przeprowadził kontrolę systemu. Ponieważ nie zastał Dunworthy'ego w gabinecie, zostawił mu krótki listecik. Także we wtorek przyszła Kivrin, aby pochwalić się swoim kostiumem, ale to było znacznie wcześniej, wczesnym przedpołudniem. Nawet na pewno, ponieważ Badri wspomniał w notatce, że całe przedpołudnie spędził na testowaniu sieci, Kivrin zaś powiedziała, że po południu wybiera się do Biblioteki na spotkanie z Latimerem. Kto wie jednak, czy później nie uznała za stosowne wpaść do laboratorium albo czy nie poszła tam z samego rana.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Montoya. Sądząc po tym, że jej wojskowa kurtka i spodnie były zupełnie przemoczone, deszcz nie tylko nie przestał padać, ale chyba jeszcze przybrał na sile.

- Co tu się dzieje, do diabła?

Skierowała to pytanie do Mary, która właśnie nalepiała plaster z opisem na próbówkę z krwią Gilchrista.

- Wygląda na to - odparł Gilchrist, przyciskając do przedramienia watkę nasączoną spirytusem - że pan Dunworthy podesłał nam technika, który nie przeszedł obowiązkowych szczepień, w związku z czym wyłądował w szpitalu z temperaturą 39,5. Przypuszczalnie zaraził się jakąś tropikalną gorączką albo czymś w tym rodzaju.

- 39,5? - powtórzyła Montoya ze zdezorientowanym wyrazem twarzy. - To chyba niewiele?

- 103 stopnie Fahrenheita - odezwała się Mary, umieszczając probówkę w stojaku. - Najprawdopodobniej mamy do czynienia z chorobą zakaźną. Muszę przeprowadzić dokładne badania, a w tym czasie wy spiszecie wszystkich, którzy mieli jakikolwiek kontakt z Badrim.

- W porządku. - Montoya usiadła na krześle opuszczonym przez Gilchrista, zrzuciła kurtkę i podwinęła rękaw koszuli. Mary zdezynfekowała miejsce na jej przedramieniu, po czym naszykowała nową probówkę i otworzyła kolejny pojemnik ze strzykawką. - Tylko proszę się pospieszyć, bo muszę zaraz wracać.

- Nigdzie pani nie wróci - poinformował ją Gilchrist z nie ukrywaną satysfakcją. - Nie słyszała pani? Zostaliśmy objęci kwarantanną. Może pani za to podziękować Dunworthy'emu.

- Kwarantanną? - Poderwała się tak gwałtownie, że igła w ogóle nie trafiła w ramię. Przed chwilą z całkowitą obojętnością przyjęła wiadomość o chorobie, którą i ona mogła się zarazić, ale wzmianka o kwarantannie wstrząsnęła nią do głębi. - To niemożliwe! - stwierdziła stanowczo, po czym zwróciła się do Mary: - Czy to znaczy, że będę musiała tu zostać?

- Przynajmniej do chwili, kiedy uzyskamy wyniki badania krwi - odparła Mary, usiłując na nowo odszukać odpowiednią żyłę.

- To znaczy jak długo? - Montoya próbowała zerknąć na zegarek, ale jej starania były z góry skazane na niepowodzenie, ponieważ Mary, nauczona przykrym doświadczeniem, tym razem mocno chwyciła ją za rękę. - Człowiek, który mnie tu przywiózł, nawet nie pozwolił mi nakryć stanowiska brezentem ani włączyć dmuchaw ciepłego powietrza, a deszcz leje jak z cebra. Jeśli tam szybko nie wrócę, wszystko znajdzie się pod wodą.

- Zostanie pani dopóty, dopóki nie pobiorę od was krwi i nie przeprowadzę testów na obecność przeciwciał.

Montoya chyba zrozumiała aluzję, ponieważ wreszcie wyprostowała ramię i przestała nim poruszać. Mary pobrała jej krew, zmierzyła temperaturę, założyła na przegub opaskę z monitorem. Dunworthy obserwował ją spod oka, zastanawiając się, czy mówiła prawdę. Chociaż... Przecież wcale nie powiedziała, że Montoya będzie mogła wrócić do swoich wykopalisk, tylko że musi zostać co najmniej do chwili zakończenia badań. A co potem? Czy wszyscy razem trafią na oddział chorób zakaźnych, gdzie zostaną umieszczeni w osobnych pokojach? A może tylko dostaną jakieś lekarstwo i zostaną zwolnieni ze szpitala?

Mary wreszcie zdjęła opaskę z przegubu Montoi i wręczyła jej ostatni zestaw formularzy.

- Kolej na pana, panie Latimer.

Latimer podniósł się z krzesła i z papierami w ręku ruszył w kierunku Mary. Mniej więcej w połowie drogi spojrzął na nie ze zdziwieniem, zawrócił, położył je na stole, by zaraz znowu wrócić, tym razem po wypełnioną po brzegi torbę ze świątecznymi prezentami.

- Zostawiła to pani w laboratorium - powiedział, podając ją lekarce.

- Och, bardzo panu dziękuję. Zechce pan postawić ją na podłodze? Nie mogę jej od pana wziąć, bo założyłam sterylne rękawiczki.

Postąpił zgodnie z jej życzeniem. Torba przechyliła się nieco i wysunął się z niej koniec szarego szalika, który Latimer starannie upchał z powrotem do pudełka.

- Zupełnie o niej zapomniałam - przyznała Mary. - Kiedy wybuchło to zamieszanie... O, mój Boże! - zasłoniła usta ręką. - Colin! O nim też zapomniałam! Która godzina?

- Osiem po czwartej - odparła Montoya nie patrząc na zegarek.

- Miał przyjechać o trzeciej!

Mary podniosła się raptownie z krzesła, potrącając przy okazji stół. Probówki zabrzęczały głośno w stojaku.

- Może kiedy zobaczył, że cię nie ma, poszedł prosto do twojego mieszkania? - zasugerował Dunworthy.

Energicznie pokręciła głową.

- Nie trafiłby tam. Jeszcze nigdy nie był w Oxfordzie. Właśnie dlatego obiecałam, że wyjdę po niego na stację metra. Słowo daję, zupełnie wyleciało mi z głowy... - dodała, kierując te słowa raczej do siebie niż do kogokolwiek z obecnych.

- Wobec tego zapewne wciąż jeszcze siedzi na stacji. Mam pójść i go przyprowadzić? - zaofiarował się Dunworthy.

- Nie możesz - przypomniała mu. - Miałeś kontakt z chorobą.

- Wobec tego zadzwonię na stację. Poproszą go do telefonu, a ty powiesz mu, żeby wziął taksówkę. Gdzie miał wysiąść? Na Cornmarket Street?

- Tak.

Dunworthy zadzwonił do informacji, za trzecim razem uzyskał połączenie, spisał numer z ekranu, rozłączył się i natychmiast zatelefonował na stację. Numer był zajęty, więc po chwili spróbował ponownie.

- Czy Colin jest pani wnukiem? - zapytała Montoya, odrywając się od formularzy.

Pozostali nie zwracali na nich najmniejszej uwagi. Gilchrist wypełniał rubryki, marszcząc brwi i pochrząkując z dezaprobatą, jakby chciał dać wszystkim do zrozumienia, iż uważa tę sytuację za kolejny przykład

karygodnej lekkomyślności i braku kompetencji, Latimer cierpliwie czekał z podwiniętym rękawem, sanitariuszka zaś wciąż była pogrążona we śnie.

- Tak. To znaczy, mojej siostry. Miał spędzić ze mną Święta.

- O której ogłoszono kwarantannę?

- Dziesięć po trzeciej.

Dunworthy podniósł rękę na znak, że uzyskał połączenie.

- Czy to stacja metra przy Cornmarket Street? - zapytał zupełnie niepotrzebnie, ponieważ na ekranie pojawił się siedzący za pulpitem kontrolnym mężczyzna, wyraźnie zirytowany. Za jego plecami widać było sięgającą od sufitu do podłogi szybę, dalej zaś peron wypełniony tłumem ludzi. - Dzwonię w sprawie chłopca, który powinien przyjechać o trzeciej z Londynu. Ma dwanaście lat... - Dunworthy zakrył mikrofon ręką i zwrócił się do Mary:

- Jak on wygląda?

- Blondyn, niebieskie oczy, wysoki jak na swój wiek.

- Jest wysoki i jasnowłosy - powiedział Dunworthy do mikrofonu. - Nazywa się Colin...

- Templer - odpowiedziała mu Mary. - Umówiłam się z Deirdre, że o pierwszej wsadzi go do metra na Marble Arch.

- Colin Templer. Widział go pan może?

- Panie, kpisz pan sobie ze mnie?! - ryknął zawiadowca. - Mam tu na stacji pięciuset ludzi, którzy nie mogą wydostać się z Oxfordu, a pan pyta, czy widziałem jakiegoś dwunastoletniego chłopaka? Sam pan popatrz, co tu się dzieje!

Na ekranie pojawiło się ujęcie z innej kamery, pokazującej wzburzony tłum. Dunworthy wpatrywał się w twarze, usiłując wyłowić jasnowłosego chłopca o niebieskich oczach, ale obraz szybko się zmienił.

- Ogłosili kwarantannę, a ci wszyscy ludzie chcą wiedzieć dlaczego nie kursują pociągi i czemu ja nic nie robię w tej sprawie! - powiedział zawiadowca podniesionym głosem. W tle słychać było gniewny pomruk tłumu. - Robię co mogę, żeby nie zdemolowali stacji, więc naprawdę nie mam czasu zajmować się poszukiwaniami dwunastoletnich chłopców!

- Nazywa się Colin Templer! - wykrzyknął Dunworthy. - Jego babcia miała przyjść po niego na stację!

- Więc czemu tego nie zrobiła? I ona, i ja mielibyśmy teraz o jeden problem mniej. Nic panu nie poradzę. Muszę zająć się tymi ludźmi, bo inaczej...

Połączenie zostało gwałtownie przerwane, nie wiadomo, czy dlatego, że zawiadowca odłożył słuchawkę, czy dlatego, że któryś z rozwścieczonych pasażerów wtargnął do pomieszczenia, dopadł aparatu i nacisnął widełki.

- Widział go? - zapytała Mary.

- Nie. Chyba jednak będziesz musiała tam kogoś wysłać.

- Poproszę kogoś z personelu - powiedziała, po czym szybkim krokiem wyszła z pokoju.

- Skoro chłopiec miał tu dotrzeć na trzecią, a kwarantannę ogłoszono dziesięć po trzeciej, to wystarczyło, żeby pociąg spóźnił się jedenaście minut, a w ogóle nie wpuszczono go na stację - zauważyła Montoya.

Dunworthy zdziwił się, czemu nie wpadł na to wcześniej. Istotnie, jeśli pociąg nie zdążył dotrzeć do Oxfordu przed ogłoszeniem kwarantanny, to cofnięto go na najbliższą stację, pasażerów zaś skierowano dalej okrężną trasą albo odwieziono z powrotem do Londynu.

- Proszę jeszcze raz zadzwonić na stację - powiedział, wręczając jej aparat. - Zapyta pani o pociąg, który o pierwszej odjeżdża z Marble Arch. Ja w tym czasie powiem Mary, żeby zatelefonowała do siostrzenicy. Kto wie, może Colin jest już z powrotem w domu?

Wyszedł na korytarz, by poprosić pielęgniarkę o odszukanie Mary, ale nikogo tam nie zobaczył. Widocznie Mary wysłała ją na stację.

Korytarz był zupełnie pusty. Dunworthy przez chwilę przyglądał się z namysłem wiszącemu na ścianie automatowi telefonicznemu, po czym podszedł do niego i wystukał numer college'u Balliol. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że Colin mimo wszystko dotarł samodzielnie do kwatery Mary. Pośle tam Fincha, a jeśli chłopca jednak nie będzie, powie sekretarzowi, żeby poszedł na stację. Dwie osoby oznaczały dwukrotnie większe szansę na odnalezienie Colina w tym tłumie.

- Cześć - powiedziała jakaś kobieta.

Dunworthy pospiesznie sprawdził numer na wyświetlaczu, prawie pewien, że pomylił się przy wystukiwaniu, ale wszystko było w porządku.

- Chciałem rozmawiać z panem Finchem z college'u Balliol.

- Niestety chwilowo jest nieosiągalny - poinformowała go kobieta. Mówiła z wyraźnym amerykańskim akcentem. - Jestem panna Taylor. Może coś mu przekazać?

Z pewnością należała do zespołu dzwonników. Była zaskakująco młoda - chyba bardzo niedawno przekroczyła trzydziestkę - i delikatnie zbudowana. Szczerze mówiąc, nie tak wyobrażał sobie dzwonnika.

- Proszę mu powiedzieć, żeby jak najszybciej zadzwonił do kliniki, do Dunworthy'ego.

- Pan Dunworthy... - Starannie zapisała nazwisko, po czym gwałtownie podniosła głowę i spojrzała w ekran. - Pan Dunworthy? - powtórzyła zupełnie innym tonem. - Czy to pan jest odpowiedzialny za to, że zostaliśmy tu uwięzieni?

Na tak postawione pytanie nie sposób było udzielić sensownej odpowiedzi. Popelniał błąd dzwoniąc do świetlicy; powinien od razu połączyć się z biurem kwestora, dokąd przecież sam wysłał Fincha.

- Kwarantannę ogłasza Ministerstwo Zdrowia, które ma obowiązek czynić to za każdym razem, kiedy pojawi się nowa, nie zidentyfikowana wcześniej choroba. Ogromnie mi przykro, że w związku z tą nadzwyczajną sytuacją pojawiły się różne niedogodności i utrudnienia. Już poleciłem memu sekretarzowi, żeby uczynił wszystko, co w jego mocy, by uprzyjemnić paniom pobyt, jeśli zaś jest coś, co ja osobiście mogę zrobić dla...

- Zrobić? Pan chce coś zrobić? W takim razie proszę jak najprędzej zawieźć nas do Ely! O ósmej wieczorem nasz zespół ma dać koncert w katedrze, jutro zaś musimy być już w Norwich, gdzie będziemy grać kuryanty na Boże Narodzenie!

Nie zamierzał być tym, kto powie tej kobiecie, że jej zespół z pewnością nie dotrze na czas do Norwich.

- Jestem pewien, że w Ely zdają sobie sprawę z sytuacji, ale chętnie zadzwonię tam osobiście i wyjaśnię...

- Skoro tak, to proszę i mnie coś wyjaśnić! Nie przywykłam do tego, żeby w taki sposób deptano moje prawa obywatelskie! W Ameryce byłoby nie do pomyślenia, żeby ktoś dyktował panu, dokąd może pan jechać albo gdzie powinien pan zostać!

W związku z czym podczas Wielkiej Epidemii umarło ponad trzydzieści milionów Amerykanów, pomyślał, głośno zaś powiedział:

- Zapewniam panią, że kwarantannę ogłoszono wyłącznie w celu ochrony obywateli oraz naszych miłych gości, i że nie będzie najmniejszego problemu z przesunięciem terminów koncertów. Tymczasem jesteśmy niezmiernie radzi, mogąc gościć w naszych progach tak znakomitych artystów. Nie mogę się doczekać, by poznać panie osobiście. Od dawna wiedziałem o waszym planowanym przyjeździe i przygotowywałem się na duchową ucztę, jaką zapewniacie swoim słuchaczom.

Gdybym naprawdę wiedział, odpisałbym wam, że kwarantanna została ogłoszona już rok temu i przypuszczalnie potrwa przynajmniej do połowy przyszłego wieku, przemknęło mu przez głowę.

- Ale Świąt nie uda się przesunąć, proszę pana. Miałyśmy zagrać zupełnie nowy utwór, skomponowany specjalnie na to tournée. Nasz występ w Norwich wywołał ogromne zainteresowanie, więc nie zamierzamy...

Dunworthy nacisnął widelki. Finch powinien jeszcze być w biurze kwestora, przekopując się przez akta w poszukiwaniu teczki Badriego, ale dzwoniąc tam naraziłby się na spotkanie z kolejną członkinią zespołu. Mogły przecież rozpełznąć się jak stonka po całym college'u.

Wystukał z pamięci numer regionalnego biura Nadzoru Transportu Publicznego.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi prowadzące do hallu i weszła Mary. - Próbuję dodzwonić się do Nadzoru Transportu - poinformował ją, po czym wybrał do końca numer i podał jej słuchawkę, ale ona z uśmiechem machnęła ręką.

- Nie trzeba - powiedziała. - Przed chwilą rozmawiałam z Deirdre. Pociąg, którym jechał Colin, został zatrzymany w Barton, a pasażerów wsadzono do innego składu i odesłano do Londynu. Odbierze Colina z Marble Arch. - Westchnęła głęboko. - Szczerze mówiąc, nie sprawiała wrażenia zachwyconej. Zamierzała spędzić Święta z rodziną swego nowego adoratora i chyba zależało jej na tym, by Colin zniknął na parę dni z horyzontu, ale stało się tak, jak się stało, i już nic nie można poradzić. Cale szczęście, że nie zdążył tu dotrzeć.

W głosie kobiety słychać było wyraźną ulgę. Dunworthy odwiesił słuchawkę.

- Aż tak niedobrze? - zapytał.

- Dokonałmy wstępnej identyfikacji wirusa. To myksowirus typu A. Grypa.

Podświadomie oczekiwał czegoś znacznie gorszego, jakiejś nieznannej tropikalnej choroby albo retrowirusa. Kiedyś, bardzo dawno temu, kiedy nie było stuprocentowo skutecznych szczepionek, zachorował na grypę. To prawda, że przez parę dni czuł się fatalnie, ale nieprzyjemne objawy dość szybko ustąpiły, lekarz zaś zalecił mu tylko leżenie w łóżku i przyjmowanie dużych ilości płynów.

- Czy w związku z tym kwarantanna zostanie odwołana?

- Dopiero wtedy, kiedy dotrzemy do dokumentacji medycznej Badriego. Wciąż mam nadzieję, że po prostu nie zgłosił się na obowiązkowe szczepienia przed rozpoczęciem semestru, ale jeśli okaże się, że jednak został zaszczepiony, to trzeba będzie poczekać do chwili, kiedy uda nam się zlokalizować źródło choroby.

- Przecież to tylko zwyczajna grypa!

- Pod warunkiem, że zakres mutacji okaże się niewielki. Jeśli będzie duży, to znaczy, że ta grypa wcale nie jest taka zwyczajna. W 1918 roku epidemia hiszpanki spowodowała śmierć dwudziestu milionów ludzi, a to był właśnie myksowirus. Wirusy co kilka miesięcy przechodzą mutacje. Ich kod genetyczny ulega daleko idącym zmianom, w związku z czym układ odpornościowy organizmu nie jest w stanie ich rozpoznać i sku-

tecznie zwalczać. Właśnie dlatego konieczne są okresowe szczepienia, ale nawet one nic nie pomogą, jeśli przesunięcie jest wyjątkowo duże.

- I właśnie z czymś takim mamy do czynienia?

- Wątpię. Większe mutacje zdarzają się nie częściej niż co dziesięć lat. Dużo bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że Badri po prostu nie zgłosił się na szczepienia. Wiesz może, czy na początku semestru monitorował jakiś przeskok?

- Nie mam pojęcia, ale to całkiem możliwe.

- Więc mógł zapomnieć o terminie. Jeśli tak właśnie było, to po prostu złapał najnowszą odmianę grypy.

- A Kivrin? Czy przeszła wszystkie szczepienia?

- Tak. Jest w pełni uodporniona.

- Nawet jeśli to jakaś zupełnie nowa odmiana wirusa?

Mary zawahała się przez ułamek sekundy.

- Owszem, pod warunkiem, że zetknęła się z Badrim dopiero dziś rano.

- A jeżeli widziała się z nim wcześniej? Na przykład wczoraj albo przedwczoraj?

- Nie odpowiem ci na to pytanie, bo od razu zacząłbyś się niepokoić, a na to jeszcze za wcześnie. Jednego możesz być pewien: szczyt odporności jej organizmu przypadł dokładnie na wyznaczoną porę przeskoku.

- Chciałaś powiedzieć: na pierwotnie wyznaczoną porę - poprawił ją Dunworthy. - Gilchrist przesunął przeskok o dwa dni.

- Nie pozwoliłabym jej wziąć w tym udziału, gdybym podejrzewała, że grozi jej jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

- Ale nie brałaś pod uwagę możliwości, że zetknie się z wirusem grypy jeszcze przed wyruszeniem do średniowiecza?

- Nie - przyznała. - Choć to niczego nie zmienia. Była już częściowo uodporniona, a poza tym, nie mamy żadnego dowodu na to, że zetknęła się z wirusem. Przecież Badri prawie się do niej nie zbliżał.

- Mógł to zrobić wcześniej.

Z piersi Mary wyrwało się głębokie westchnienie.

- Od razu wiedziałam, że w ogóle nie powinnam zaczynać rozmowy na ten temat... No, dobrze. Większość myksowirusów ma okres inkubacji od dwunastu do czterdziestu ośmiu godzin. Nawet jeśli Kivrin zetknęła się z wirusem dwa dni temu, jej organizm miał już wystarczająco dużą odporność, aby uniemożliwić mu replikację. W najgorszym razie skończyłoby się na niegroźnych dolegliwościach. - Poklepała go uspokajająco po ramieniu. - Poza tym, zapominasz o paradoksie: gdyby przedostała się w przeszłość zarażona, mogłaby zarazić ludzi z tamtej epoki. Sieć nigdy nie dopuściłaby do czegoś takiego. Przeskok po prostu nie doszedłby do skutku, i tyle.

Miała rację. Żadna choroba, która mogłaby okazać się niebezpieczna dla mieszkańców przeszłości, nie przedostałaby się przez sieć.

- Jakie są szanse na to, żeby czternastowieczna populacja była odporna na działanie wirusa z XXI wieku?

- Prawie żadne - odparła natychmiast. - Mutacje mogą zachodzić w tysiącu ośmiuset miejscach. Prawdopodobieństwo, że akurat wtedy wszyscy mieli styczność z identycznym wirusem i zdążyli się na niego uodpornić, jest praktycznie równe zeru.

- Muszę porozmawiać z Badrim - oświadczył stanowczo Dunworthy. - Kiedy przyszedł do pubu, powiedział, że coś jest nie w porządku, potem powtarzał to bez przerwy w drodze do szpitala...

- Zgadza się - potwierdziła Mary. - Coś jest nie w porządku. Ma poważną infekcję wirusową.

- Albo wie, że zaraził Kivrin. Albo nie zdołał jej zlokalizować.

- Przecież sam powiedział, że już ją zlokalizował. - Spojrzała na niego ze współczuciem. - Chyba nie mam prawa przekonywać cię, że nie powinieneś tak bardzo martwić się o Kivrin, bo przecież sam widziałeś, jak zachowałam się niedawno, kiedy przypominałam sobie o Colinie. Możesz mi jednak wierzyć, że naprawdę lepiej im tam, gdzie są teraz. Nawet Kivrin może się czuć znacznie bezpieczniejsza wśród bandytów i morderców, o których bez przerwy myślisz, niż tutaj, gdzie groziłoby jej spotkanie z nieznanym, być może groźnym wirusem. Poza tym, nie musi zawracać sobie głowy kwarantanną.

- Ani amerykańskim zespołem dzwonników - dodał z uśmiechem. - Przecież Ameryka nie została jeszcze odkryta.

Położył rękę na klamce, ale nie zdążył jej nacisnąć, ponieważ drzwi na końcu korytarza otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich potężnie zbudowana kobieta obciążona olbrzymią walizką.

- Tu pan jest, panie Dunworthy! - wykrzyknęła zaskakująco donośnym głosem. - Wszędzie pana szukałam!

- Czy to jedna z twoich Amerykanek? - zapytała Mary, odwróciwszy się w jej stronę.

- Gorzej - odparł Dunworthy. - To pani Gaddson.

Pod drzewami i u podnóża wzniesienia robiło się coraz ciemniej. Jeszcze zanim Kivrin zdołała dotrzeć do zamarzniętych kolein, potwornie rozboleła ją głowa, jakby reagując na minimalną zmianę wysokości lub spadek natężenia światła.

Nawet stojąc tuż przy szkatułce nie była w stanie dojrzeć wozu, a nie mogła za bardzo wyteżać wzroku, ponieważ wtedy ból stawał się wręcz nie do zniesienia. Jeśli to miały być "niezbyt dokuczliwe" skutki uboczne przeskoku, to jak musiały wyglądać te bardziej dokuczliwe?

Kiedy tylko wróce, postanowiła, przedzierając się przez gęstwinę, porozmawiam na ten temat z doktor Ahrens. Coś mi się zdaje, że lekarze nie doceniają negatywnego wpływu, jaki owe skutki uboczne mogą wyrzucić na historyka. Idąc w dół wzgórza zmęczyła się bardziej niż wspinając na nie, a poza tym było jej zimno. Przeraził ją zimno.

Wierzby zdawały się celowo chwycić ją za płaszcz i włosy swymi giętkimi wtkami. Jedna z nich, wcale nie taka miękka, zadrapała ją boleśnie w ramię. W pewnej chwili Kivrin potknęła się i runęła na ziemię; miało to taki skutek, że głowa przestała jej na chwilę dokuczać, kiedy zaś ból zaatakował ponownie, był jeszcze silniejszy niż poprzednio.

Na polanie panowały niemal całkowite ciemności, lecz mimo to widziała całkiem dobrze: barwy nie tyle zbladły, co raczej stały się czarnozielone, czarnobrazowe i czarnoszare. Panowała zupełna cisza.

Kivrin w pośpiechu zebrała porozbijane kufry, wrzuciła je na mocno przechylony wóz, po czym chwyciła za dyszel i pociągnęła ze wszystkich sił. Wóz drgnął, dość łatwo przetoczył się kilkadziesiąt centymetrów, a następnie utknął. Pociągnęła jeszcze mocniej; wóz pokonał kolejne pół metra, przechylił się jeszcze bardziej, po czym znieruchomiał na dobre. Jeden z kufrów zsunął się ze skrzyni na ziemię.

Dziewczyna ponownie włożyła go na górę, a następnie obesła wóz dokoła. Prawe koło zahaczyło o wystający z ziemi korzeń; mimo to wóz z pewnością dałoby się ruszyć z miejsca, ale musiałyby mocno podprzeć go z tej strony, to zaś było raczej niemożliwe, ponieważ pan Gilchrist kazał porąbać siekierą bok pojazdu, aby wyglądało na to, że wóz uległ uszkodzeniu przewrócony przez bandytów. Zadanie wykonano z tak wielkim zapalem, że zostały same drzazgi. Szkoda, że nie wzięła ze sobą roboczych rękawic, pomyślała niewesoło, po czym przeszła na drugą stronę, chwyciła za koło i szarpnęła z całej siły. Bez rezultatu. Zdesperowana, podwinęła suknię, a następnie przykłękała, by naprzec barkiem na drewnianą konstrukcję.

Ślad znajdował się tuż przed kołem, a dostrzegła go tylko dlatego, że zeschnięte liście rozsunęły się na boki, odsłaniając maleńki splachetek ziemi. Co prawda, zarówno przedtem, jak i teraz, wydawały się nie naruszone, niemniej jednak nawet w szybko gęstniejącym mroku odcisk stopy był doskonale widoczny.

To niemożliwe, pomyślała Kivrin. Przecież ziemia jest zamrznięta. Wyciągnęła rękę, jakby podświadomie oczekiwała, iż ślad okaże się złudzeniem albo że to tylko cień, któremu jej rozgorączkowana wyobraźnia zupełnie bezpodstawnie przyporządkowała określone znaczenie. Kiedy szła drogą, nie zostawiała żadnych śladów.

Jednak odcisk stopy nie był złudzeniem. Tutaj ziemia nie zdążyła zamrznąć - może dlatego, że przykrywała ją warstwa liści - i łatwo ustępowała nawet pod delikatnym dotykiem jej palców.

Ślad został zrobiony męskim butem o miękkiej podeszwie, bez obcasa, i wydawał się duży, zaskakująco duży - w XIV wieku ludzie byli znacznie niżsi i drobniejsi, i nawet postawni mężczyźni mieli stopy niewiele większe od niej. Ten musiał zostawić prawdziwy olbrzym.

Może to jakiś stary odcisk, przemknęła jej przez głowę spłoszona myśl. Może zostawił go jakiś drwal albo wieśniak szukający zagubionych owiec, a może ten las należy do króla i niedawno ktoś tu polował z jego przyzwoleniem... Jednak ślad z pewnością nie należał do człowieka goniącego za dzikim zwierzem. Mógł go zostawić tylko ktoś, kto bardzo długo stał bez ruchu i przyglądał się jej w milczeniu. Słyszałam go, pomyślała, czując, jak do gardła podchodzi jej strach. Słyszałam jego oddech.

Wciąż klęczała, trzymając się jedną ręką koła. Jeśli ten człowiek, kimkolwiek był, wciąż znajdował się gdzieś w pobliżu i obserwował ją zza drzew, to z pewnością zorientował się już, że znalazła jego ślad. Kivrin powoli podniosła się z ziemi.

- Halo! - zawołała w martwej ciszy. A po chwili zapytała głośno: - Czy ktoś tu jest?

Czekała, nasłuchując. Cisza była tak głęboka, że znowu dało się słyszeć delikatny szmer prawie niewyczuwalnego wiatru, który przeciskał się między wyższymi gałęziami drzew.

- Pomóż mi, dobry człowieku, bom w okrutnej potrzebie! Słudzy mnie opuścili i nie znam drogi do ludzi!

Wspaniale, pomyślała z przekąsem, jeszcze zanim zdążyło przebrzmieć echo jej słów. Powiedz mu, że jesteś sama, w dodatku zupełnie bezbronna.

- Halo! - zawołała co sił w płucach, a następnie zaczęła powoli okrążyć polanę, rozglądając się dokoła. W lesie było już tak ciemno, że nawet jeśli ktoś obserwował ją zza najbliższego drzewa, to z pewnością nie zdołałaby go dostrzec. Właściwie widziała już tylko ciemną ścianę lasu i coraz trudniej było jej ustalić kierunek, w którym znajdowała się droga. Jeśli będzie zwlekać jeszcze dłużej, zapadnie całkowita ciemność, wtedy zaś już na pewno nie uda jej się przeciągnąć wozu na drogę.

A może nie powinna tego robić? Przecież ten, kto ją obserwował, widział także wóz - kto wie, może nawet dostrzegł go w chwili przeskoku, jak się zmateriałizował w obłoku roziskrzonego igiełkami mrozu powietrza

niczym produkt alchemicznego eksperymentu? Jeśli tak było, to człowiek ów z pewnością pognał co sił w nogach do wsi, by uprzedzić współmieszkańców, iż już niedługo trzeba będzie rozpaść ogień pod jednym ze stosów, których kilka - zdaniem pana Dunworthy'ego - czekało w pogotowiu w każdej, nawet najmniejszej osadzie. Gdyby jednak tak właśnie się stało, wówczas usłyszałyby jego zdumiony okrzyk albo przynajmniej tupot nóg i odgłos łamanych gałęzi. Nic takiego nie słyszała, z czego należało wysnuć wniosek, że tajemniczy obserwator nie uciekł, a więc nie widział jak Kivrin, wóz oraz porozrzucane kufry pojawili się na polanie. Zjawił się nieco później, podszedł do niej, leżącej obok roztrzaskanego wozu, który nie wiadomo w jaki sposób znalazł się w środku lasu, i pomyślał... Właśnie, co mógł pomyśleć? Że bandyci dokonali napadu na drodze, potem zaś zawlekli ofiarę i resztki jej dobytku między drzewa, by ukryć ślady?

Czemu więc jej nie pomógł? Dlaczego stał nieruchomo tak długo, że jego stopa pozostawiła wyraźny ślad na ziemi, potem zaś odszedł, nie odzywając się ani słowem? Może uznał, że kobieta w niebieskiej sukni nie żyje i uciekł, byle dalej od jej nieczystego ciała? Aż do piętnastego wieku powszechne było przekonanie, iż złe duchy błyskawicznie gromadzą się przy każdym, kto zmarł nie zrzuciwszy z duszy brzemienia grzechów i kto nie został pochowany w poświęconej ziemi.

A może tylko pobiegł po pomoc do którejś z pobliskich wiosek, kto wie, czy nawet nie do Skendgate, i już wraca na czele gromady ludzi niosących lampy? Jeśli tak, to powinna zostać tu, gdzie jest teraz i czekać na ich przybycie, a nawet z powrotem położyć się na ziemi. Kiedy wieśniacy zjawią się i ujrzą ją leżącą bez przytomności, na pewno będą dyskutować między sobą, próbując dociec kim jest i skąd się tu wzięła, ona zaś w ten sposób uzyska niepowtarzalną możliwość oswojenia się z językiem. Co jednak się stanie, jeżeli wróci sam albo w towarzystwie ludzi, którzy nie będą mieli zamiaru jej pomóc?

Coraz trudniej było jej zebrać myśli. Bolały ją już nie tylko skronie, ale cała głowa. Potarła czoło, lecz niewiele to pomogło. W dodatku przemarzała do szpiku kości. Płaszcz, pozornie solidny i ciepły, prawie wcale jej nie grzał. Jakim cudem ludzie dawali sobie radę w tym klimacie? Przecież większość z nich nawet nie mogła marzyć o zimowym ubraniu z prawdziwego zdarzenia.

Kivrin uświadomiła sobie, że wcale nie musi marznąć; jeśli rozpaść ogień to nie tylko zdoła się rozgrzać, ale także będzie mogła odpędzić płonącymi głowniami tych, którzy chcieliby zbliżyć się do niej w złych zamiarach, jeżeli natomiast tajemniczy obserwator powróciłby z ludźmi gotowymi pośpieszyć jej na ratunek, ogień wskazałby im drogę w ciemności.

Ponownie wyruszyła na obchód polany, tym razem, aby nazbierać drewna. Dunworthy zmusił ją, by nauczyła się rozpaść ogień nie używając hubki ani krzesiwa. "Gilchrist wysłał cię w środek zimy do średniowiecza i nawet nie zainteresował się, czy to potrafisz?" - zapytał z oburzeniem. Próbowowała bronić szefa sekcji, powtarzając za nim, że nic nie wskazuje na to, iż spędzi dużo czasu na dworze, lecz teraz w duchu przyznała rację Dunworthy'emu; Gilchrist powinien przewidzieć, jaka tu będzie pogoda.

Od zbierania oszronionych patyków i gałęzi błyskawicznie zgrabiały jej ręce. Kiedy pochylała się, by je podnieść, ból głowy znacznie przybierał na sile, tak że w końcu w ogóle przestała się schylać, zadowolając się połamanymi gałęziami, które uwięzły między dolnymi konarami drzew. Trochę to pomogło, ale niewiele. Kto wie, może jej dolegliwości (już nie tylko bolała ją głowa, ale miała także kłopoty z oddychaniem) były jakoś związane z niską temperaturą? Jeśli tak, to tym bardziej powinna jak najprędzej rozpaść ognisko.

Niestety, drewno było nie tylko zimne, ale także wilgotne. Nic nie wskazywało na to, że łatwo się zajmie ogniem. Liście także były stanowczo zbyt mokre, aby użyć ich jako podpałki. Potrzebowała trochę suchego drewna oraz zaostrozony twardy patyk. Nie schylając się ułożyła stosik między wystającymi korzeniami drzewa, po czym wróciła do wozu.

Fragmenty roztrzaskanych desek byłyby w sam raz. Co prawda, kiedy je wyszarpywała, dwie drzazgi utkwiły jej w dłoniach, ale przynajmniej zebrała sporo kawałków całkiem suchego, choć także przeraźliwie zimnego drewna. Kiedy jednak nieopatrznie schyliła się, by wyrwać dużą deskę sterczącą tuż nad kołem, tak bardzo zakręciło jej się w głowie, że niewiele brakowało, a runęłaby na ziemię.

- Chyba powinnaś trochę odpocząć - powiedziała na głos.

Usiadła ostrożnie i oparła się plecami o wóz.

- Doktor Ahrens... - wyszeptała po chwili. - Musi pani wymyślić coś na złagodzenie tych skutków ubocznych. Czuję się okropnie.

Gdyby położyła się na trochę, być może zawroty głowy ustąpiłyby i mogłaby znowu zabrać się do rozpalania ognia. Jednak na samą myśl o tym, że musiałyby się poruszyć, a przede wszystkim pochylić głowę, zrobiło jej się niedobrze. Pomału, ostrożnie, założyła kaptur i zamknęła oczy, lecz ból i tak przybrał na sile. Coś tu było nie w porządku. To niemożliwe, żeby jej organizm w taki sposób zareagował na przeskok czasowy. Skutki uboczne powinny ustąpić w ciągu godziny, najdalej dwóch, a w dodatku nikt nie wspominał, że będą aż tak dokuczliwe. "Możesz się spodziewać niewielkiego bólu głowy" - powiedziała doktor Ahrens. Ani słowa o mdłościach, ani słowa o przeraźliwym zimnie.

Właśnie: zimno. Otuliła się spódnicą jak kocem, ale niewiele to pomogło. Już od jakiegoś czasu szczękała zębami, teraz zaś jej ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze.

Zamarznę tu na śmierć, pomyślała. Nic na to nie poradzę. Nie dam rady rozpaścić ognia. Po prostu nie dam rady, i już. Jest mi za zimno. Pomylił się pan, panie Dunworthy. Wszystko jest dokładnie na odwrót, niż pan przewidywał. Byłoby wspaniale, gdyby ktoś zechciał spalić mnie na stosie.

Nie uwierzyłyby, że będzie w stanie zasnąć, skulona w tak niewygodnej pozycji. Nie poczuła ciepła, które zazwyczaj zwiastuje nadciągający sen, a nawet gdyby je poczuła, uznałaby, że stanowi objaw skradającej się podstępnie hipotermii i czyniłaby wszystko, by wyrwać się z jego kojących objęć. Z pewnością jednak zasnęła, bo kiedy ponownie otworzyła oczy, przekonała się, iż leży na ziemi i spogląda w nocne, rozgwieżdżone niebo.

Głowę miała częściowo opartą o koło. Wciąż drżała z zimna, ale przynajmniej przestała szczełkać zębami, głowa natomiast bolała ją jeszcze bardziej; ból uderzał w regularnych odstępach czasu, niczym rozkołysany, ogromny dzwon. Bolało ją właściwie całe ciało, a szczególnie klatka piersiowa - może dlatego, że za mocno przyciskała drewno, które zbierała na ognisko.

Coś jest nie w porządku, pomyślała już nie zaniepokojona, ale ogarnięta najprawdziwszą paniką. Czyżby to była jakaś alergiczna reakcja na przeskok czasowy? A czy w ogóle jest coś takiego? Dunworthy nigdy nie wspominał o żadnej alergii, choć z pewnością nie omieszkałby tego uczynić, skoro nie pominął żadnych niebezpieczeństw, zarówno tych prawdziwych, jak i wymagowanych, które, jego zdaniem, groziły dziwczyźnie w średniowieczu.

Wsunęła rękę pod ubranie i odszukała miejsce po szczepieniu; opuchlizna była jeszcze wyraźna, ale już nie swędziała. Może to niedobrze? - przemknęło Kivrin przez głowę. Skoro nie swędzi, to może szczepionka przestała działać?

Spróbowała podnieść głowę, ale natychmiast zrezygnowała z tego zamiaru, ponieważ znowu zrobiło jej się niedobrze. Ostrożnie, powoli wysunęła rękę spod ubrania, podniosła do twarzy, dołączyła drugą, i wyszeptwała w złożone dłonie:

- Panie Dunworthy... Chyba powinien mnie pan stąd zabrać.

Zasnęła ponownie, a kiedy się obudziła, do jej uszu dotarły dźwięki bardzo podobne do wesołej melodii wygrywanej przez kuranty. Jak to dobrze, pomyślała. Otworzyli się.

Trzymając się koła próbowała oprzeć się o wóz.

- Tak się cieszę, panie Dunworthy... - wyszeptwała, walcząc z ogarniającymi ją nudnościami. - Bałam się, że nie odbierze pan wiadomości ode mnie.

Dzwonienie nasiliło się, tuż przed nią zaś zatańczyło jakieś światełko. Kivrin podciągnęła się trochę wyżej.

- Rozpałił pan ogień - powiedziała. - To dobrze. Miał pan rację, że tutaj będzie bardzo zimno.

Siedziała oparta plecami o wóz, czując jak promieniujące od niego lodowate zimno przenika przez ubranie i ogarnia jej ciało. Znowu zaczęła szczełkać zębami.

- Doktor Ahrens też miała rację. Powinnaś poczekać, aż opuchlizna zupełnie zniknie. Nie wiedziałam, że mój organizm zareaguje w taki sposób.

Nie, to jednak nie było ognisko tylko lampa. Dunworthy zbliżał się do niej z lampą w ręce.

- Ale chyba niczym się nie zaraziłam, prawda? To nie żaden wirus ani dżuma? - Dreszcze nasiliły się tak bardzo, że mówiła z coraz większym trudem. - To... To by było okropne. Zarazić się dżumą w średniowieczu... Ale przynajmniej wtopiłabym się w tło, jak mówią...

Wybuchnęła piskliwym, niemal histerycznym śmiechem, który przypuszczalnie zmroziłby Dunworthy'emu krew w żyłach.

- Wszystko w porządku - wymamrotała tak niewyraźnie, że sama z trudem rozumiała własne słowa. - Wiem, że pan się martwi, ale zupełnie niepotrzebnie. Nic mi nie jest, tylko...

Dunworthy zatrzymał się tuż przed nią i opuścił lampę prawie nad samą ziemię, aby oświetlić twarz dziwczyzny. Kivrin widziała jego stopy obute w skórzane, bezkształtne trzewiki. Chciała coś powiedzieć na ten temat, zamierzała spytać, dlaczego założył średniowieczny strój, skoro zjawił się tylko po to, by ją zabrać, ale kołysanie lampy sprawiło, że ponownie zakręciło się jej w głowie.

Zamknęła oczy, a kiedy otworzyła je po dłuższej chwili, on już przy niej klęczał. Blask stojącej na ziemi lampy wydobywał z ciemności kaptur opończy całkowicie zasłaniający twarz i ręce złożone jak do modlitwy.

- Wszystko w porządku - zapewniła go, z trudem poruszając ustami. - Niepotrzebnie aż tak bardzo się pan martwi. Naprawdę nic mi nie jest. Czuję się tylko trochę słaba, i to wszystko.

Dopiero teraz podniósł głowę.

- *Certes, it been derlostuh dayes forgott foreto getest hissahntes im aller* - powiedział.

Miał surową, okrutną twarz poraną licznymi bruzdami, prawdziwą twarz rzeźmieszka. Obserwował ją wcześniej, kiedy leżała udając nieprzytomną, potem odszedł, by wrócić dopiero teraz, po zapadnięciu zmroku.

Kivrin próbowała wyciągnąć rękę, by się przed nim zasłonić, ale mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa.

- Idź sobie... - wyszeptwała tak cicho, że z pewnością jej nie usłyszał. - Idź...

Powiedział coś, co zabrzmiało jak pytanie, ale nie zrozumiała ani słowa. Mówi po staroangielsku, przemknęło jej przez głowę. Uczylam się tego języka przez trzy lata, pan Latimer przekazał mi niemal całą swoją wiedzę na temat fleksji przymiotnikowej, więc powinnam wszystko rozumieć. To przez tę gorączkę. Tylko dlatego nie mam pojęcia, co on do mnie mówi.

Powtórzył to samo pytanie albo zadał jej nowe - nie potrafiła stwierdzić jak było naprawdę.

Jestem chora. Nie rozumiem go, bo jestem chora.

- Dobry człowieku... - zaczęła, lecz pozostała część przygotowanego zawczasu przemówienia umknęła jej z pamięci. - Pomóż mi - szepnęła, rozpaczliwie usiłując sobie przypomnieć, jak to będzie brzmiało po staroangielsku, ale do głowy przychodziła jej tylko kościelna łacina. - *Domine, ad adjuvandum mefestina...* - wyszeptała wreszcie.

Pochylił głowę nad złożonymi rękami i zaczął mamrotać coś tak cicho, że nie była w stanie dosłyszeć ani słowa. Zaraz potem chyba straciła przytomność, ponieważ kiedy znowu otworzyła oczy, niósł ją dokądś. Wciąż słyszała dzwonenie dobiegające z otwartej sieci i próbowała ustalić kierunek, w którym powinna pójść, aby tam dotrzeć, ale szczykanie zębów - jej zębów - było tak głośne, że te starania spełzły na niczym.

- Jestem chora - powiedziała, kiedy posadził ją, jak jej się wydawało, na białym rumaku, a następnie pochyliła się do przodu i z pewnością spadłaby na ziemię, gdyby jej nie przytrzymał, a ona nie złapała się odruchowo grzywy zwierzęcia. - Nie mam pojęcia jak do tego doszło. Przecież dostałam wszystkie szczepienia.

Poprowadził osiołka w stronę drogi, a dzwoneczki przymocowane do uprzęży ponownie zagrały radośnie.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(000740-000751)

Panie Dunworthy... Chyba powinien mnie pan stąd zabrać.

7.

Wiedziałam! - zagrzmiiała pani Gaddson, sunąc korytarzem w ich stronę. - Zaraził się jakąś okropną chorobą prawda? Stąd to całe zamieszanie.

Mary postąpiła krok naprzód.

- Tu nie wolno wchodzić! - oświadczyła stanowczo. - Ten oddział musi być całkowicie odizolowany.

Mimo to pani Gaddson dalej parla naprzód, wymachując walizką, jakby zamierzała jej użyć jako broni. Z przezroczywej nieprzemakalnej peleryny, którą miała narzuconą na palto, skapywały krople deszczu.

- Nie uda wam się zbyć mnie byle czym. Jestem jego matką. Muszę się z nim widzieć!

- Stać! - poleciła Mary stanowczym tonem, jednocześnie podnosząc rękę jak policjant.

O dziwo, pani Gaddson zastosowała się do polecenia.

- Matka ma prawo odwiedzić syna - oświadczyła. - Czy on jest bardzo chory? - zapytała ze znacznie łagodniejszym wyrazem twarzy.

- Jeżeli ma pani na myśli swojego syna Williama, to na razie nic mu nie dolega - odparła Mary, po czym znowu podniosła rękę w ostrzegawczym geście. - Proszę się nie zbliżać. Dlaczego przypuszcza pani, że William jest chory?

- Domyśliłam się tego natychmiast, kiedy tylko usłyszałam o kwarantannie. Kierownik stacji wymówił to słowo, a wówczas ostry ból przeszył moje serce. - Postawiła walizę na podłodze, aby przyłożyć obie ręce do miejsca, gdzie, jej zdaniem, znajdował się wzmiankowany organ. - Wszystko przez to, że Willy nie tykał witamin. Co prawda prosiłam osoby kierujące college'em, aby kontrolowały, czy je regularnie zażywa, ale ludzie ci... - Posłała Dunworthy'emu miazdzące spojrzenie, którego mógłby jej pozazdrościć nawet Gilchrist. - Otóż ludzie ci stwierdzili, demonstrując całkowity brak odpowiedzialności, że mój chłopiec potrafi sam o siebie zadbać. Jak widać, to nieprawda.

- Kwarantannę ogłoszono nie z powodu Williama, lecz dlatego, że u jednego z techników stwierdziliśmy infekcję wirusową niewiadomego pochodzenia - poinformowała ją Mary.

Dunworthy podziękował jej w duchu za to, że nie powiedziała: "jeden z techników college'u Balliol".

- Na razie mamy tylko ten jeden przypadek i nic nie wskazuje na to, że będą następne - dodała Mary. - Kwarantanna została zastosowana jedynie na wszelki wypadek.

Pani Gaddson nie sprawiała wrażenia przekonanej.

- Mój Willy zawsze był chorowity i nigdy nie potrafił zadbać o siebie. Stanowczo zbyt wiele pracuje w tym swoim okropnym pokoju, w którym wiecznie szaleją przeciągi. - Posłała Dunworthy'emu kolejne ciężkie spojrzenie. - Naprawdę dziwię się, że nie zachorował znacznie wcześniej.

Mary wsunęła rękę do kieszeni, w której zawsze nosiła sygnalizator. Mam nadzieję, że wezwie pomoc, pomyślał Dunworthy.

- Wystarczył jeden semestr w Balliol, żeby zdrowie Willy'ego zostało kompletnie zrujnowane. Niestety, jego opiekun, zamiast czym prędzej wysłać go do domu, aby się trochę podkurował, zmusił go do pozostania

na uczelni i studiowania dzieł jakiegoś Petrarcki! Właśnie dlatego przyjechałam. Nie mogłam znieść myśli o tym, że spędza Święta zupełnie sam w zimnym, pustym college'u, je nie wiadomo co i bez przerwy naraża swoje i tak już nadwątlone zdrowie. Żadna matka nie zgodziłaby się na coś takiego!

Ponownie wskazała miejsce, w którym na dźwięk słowa "kwarantanna" poczuła ostre ukłucie bólu.

- Teraz widzę, że kierowała mną ręka Opatrzności. To bardziej niż pewne. Ta waliza jest tak nieporęczna, że mało co nie spóźniłam się na pociąg i już nawet pomyślałam sobie: "Nic nie szkodzi, przecież zaraz będzie następny". Ale w ostatniej chwili coś mnie tknęło i zawołałam, żeby otworzyli drzwi, i jakoś zdążyłam wsiąść, a kiedy dojechałam do Cornmarket Street, kierownik ogłosił przez megafony, że wprowadzono kwarantannę i metro przestaje kursować aż do odwołania. Pomyślcie tylko: gdybym wsiadła do następnego pociągu, zatrzymaliby mnie gdzieś w szczerym polu i nie dotarłabym do Oxfordu!

Właśnie: pomyślcie tylko.

- Jestem pewien, że William nie spodziewa się odwiedzin - powiedział Dunworthy w nadziei, że pani Gaddson natychmiast wyruszy na poszukiwania syna, ale ona tylko ponuro skinęła głową.

- Otóż to. Przypuszczalnie ślęczy nad książkami nawet bez szalika na szyi. Prędzej czy później na pewno się zarazi. On zawsze wszystkim się zaraża. Kiedy był malutki, bez przerwy miał jakieś wysypki. Teraz też go to nie minie, ale na szczęście będzie przy nim matka, która troskliwie zaopiekuje się swoim synkiem.

Otworzyły się drzwi i do korytarza wbiegli dwaj mężczyźni w szczerze zapiętych kombinezonach, maskach, rękawiczkach i z czymś w rodzaju papierowych pokrowców na butach. Przekonawszy się, że nikt nie leży na podłodze ani nie wzywa pomocy, nieco zwolnili kroku.

- Należy zakazać wstępu do tej części kliniki - zwróciła się do nich Mary. - Urządzimy tu oddział dla tych, którzy mogli zetknąć się z wirusem. - Spojrzała na panią Gaddson. - Obawiam się, że pani także należy do tych osób. Nie wiemy jeszcze, w jaki sposób rozprzestrzenia się choroba, ale nie można wykluczyć, iż odbywa się to drogą powietrzną.

Dunworthy zmartwił na ułamek sekundy, porażony myślą, że Mary postanowiła umieścić panią Gaddson w ich pokoju. Na szczęście jego obawy okazały się nieuzasadnione.

- Odprowadźcie panią do izolatki - poleciła mężczyznom w kombinezonach. - Pobierzemy krew do badania. Panie Dunworthy, proszę ze mną - zwróciła się do niego oficjalnym tonem, po czym wciągnęła go do pokoju i zatrasnęła drzwi, zanim pani Gaddson zdążyła zaprotestować. - Przetrzymania ją jakiś czas, dzięki czemu biedny Willy zyska jeszcze kilka godzin wolności - mruknęła, ocierając czoło.

- Przy tej kobiecie każdy dostałby wysypki - zauważył.

Wszyscy, z wyjątkiem sanitariuszki, odwrócili się w ich stronę. Latimer, z podwiniętym rękawem, wciąż siedział przy stoliku, natomiast Montoya rozmawiała przez telefon.

- Pociąg, którym jechał Colin, został zawrócony do Londynu - powiedziała Mary. - Chłopak powinien być już w domu.

- To świetnie - odparła Montoya, odkładając aparat, do którego natychmiast doskoczył Gilchrist.

- Przykro mi, że musiał pan czekać - zwróciła się Mary do Latimera, po czym założyła nową parę rękawiczek i zaczęła szykować się do pobrania krwi.

- Tu Gilchrist - powiedział Gilchrist do telefonu. - Czy mogę rozmawiać z prodziekanem do spraw studenckich?... Tak, ja też szukam pana Basingame'a... Dobrze, zaczekam.

Prodziekan też nie wie, gdzie podział się Basingame, podobnie jak jego sekretarka, pomyślał Dunworthy. Rozmawiał z nimi usiłując doprowadzić do odwołania przeskoku. Sekretarka nawet nie miała pojęcia, czy szef na pewno pojechał do Szkocji.

- Cieszę się, że wyjaśniliście sprawę dzieciaka - powiedziała Montoya, spoglądając na zegarek. - Jak myślicie, ile czasu będą nas tu trzymać? Muszę wrócić do moich wykopalisk, zanim zamienią się w trzęsawisko. Właśnie dotarliśmy do cmentarza w Skendgate. Większość grobów pochodzi z piętnastego wieku, ale jest kilka z okresu Czarnej Śmierci, a nawet parę sprzed czasów Wilhelma Zdobywcy. W ubiegłym tygodniu odsłonił grób rycerza. Zachował się w nie naruszonym stanie. Ciekawe, czy Kivrin już tam jest?

Dunworthy uznał, że chodzi jej o wioskę, a nie o którąś z mogił.

- Mam nadzieję.

- Prosiłam ją, żeby natychmiast zaczęła prowadzić obserwacje, ze szczególnym uwzględnieniem kościoła. Napis na nagrobku uległ częściowemu zatarciu, ale data jest wciąż doskonale widoczna: 1318.

- To bardzo poważna sprawa! - oświadczył Gilchrist, po czym, sapiąc z wściekłością, przeczekał czyjąś długą wypowiedź. - Wiem, że łowi ryby gdzieś w Szkocji, ale chcę się dowiedzieć gdzie!

Mary przylepiła Latimerowi do ramienia plaster z opatrunkiem i skinęła na Gilchrista, ale ten energicznie pokręcił głową, więc podeszła do pogrążonej w drzemce sanitariuszki i potrząsnęła ją za ramię. Kobieta otworzyła oczy, zamrugła raptownie, po czym, ziewając rozdzierająco, ruszyła za nią do stolika.

- Dzięki bezpośredniej obserwacji możemy uzyskać odpowiedzi na wiele pytań - ciągnęła Montoya. - Mówiłam Kivrin, żeby opisywała wszystkie szczegóły. Oby tylko wystarczyło pamięci rejestratora. - Ponownie zerknęła na zegarek. - Jest bardzo mały, ale taki właśnie musi być. Widzieliście go przed wszczęciem? Przypomina ostrogę kostną.

- Ostrogę kostną? - zdziwił się Dunworthy, nie odrywając wzroku od probówki, którą Mary napełniała właśnie krwią sanitariuszki.

- Żeby nie wydał się podejrzanym, nawet gdyby ktoś go odkrył. Mieści się we wgłębieniu kości łódkowatej. Pokazała mu to miejsce na swojej dłoni.

Sanitariuszka podniosła się z krzesła i opuściła rękaw, jej miejsce zajął natomiast Dunworthy. Mary przypięła mu do przegubu monitor i zajęła się przygotowaniem kolejnej strzykawki.

- Niech kwestor poda numer telefonu do mnie, kiedy tylko się z nim zobaczy - powiedział Gilchrist, po czym odłożył słuchawkę.

Montoya natychmiast porwała aparat ze stołu, błyskawicznie wystukała numer i przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Hej. Może mi pan zdradzić, jaki dokładnie obszar został objęty kwarantanną? Muszę wiedzieć, czy jest szansa, żeby dostać się jakoś do Witney. Prowadzę tam wykopaliska. - Ten, z kim rozmawiała, przypuszczalnie udzielił jej odmownej odpowiedzi, ponieważ niemal natychmiast zadała kolejne pytanie: - Wobec tego, z kim mogę o tym porozmawiać? To sprawa niecierpiąca zwłoki.

Każde z nich ma jakieś sprawy "nie cierpiące zwłoki", pomyślał Dunworthy, ale nikomu nie przyszło do głowy zatroszczyć się o Kivrin. Nic dziwnego, przecież nie ma się czym niepokoić. Nawet rejestrator przypomina do złudzenia kość, żeby nie wydać się czymś podejrzanym, gdyby mieszkańcy średniowiecznej Anglii wpadli na pomysł, żeby przed spaleniem na stosie odrąbać dziewczynie obie ręce.

Mary zmierzyła mu ciśnienie, po czym wbiła igłę w ramię.

- Gdyby udało ci się na chwilę dostać do telefonu - powiedziała półgłosem, wskazując ruchem głowy Gilchrista, który z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy stał pół kroku od Montoi - mógłbyś zadzwonić do Williama Gaddsona i uprzedzić go o odwiedzinach mamusi.

- Tak... Tak... Dziękuję.

Montoya odłożyła słuchawkę i zapisała jakiś numer na jednej z ulotek.

Zaraz potem zadzwonił telefon. Gilchrist, znajdujący się już w połowie drogi do stolika, przy którym siedziała Mary, szybko odwrócił się na pięcie, następnie dał ogromnego susa i zdołał chwycić słuchawkę, nawet zanim Montoya zdążyła wyciągnąć rękę. Przez chwilę przysłuchiwał się w milczeniu, po czym burknął:

- Nie.

Z kwaśną miną podał słuchawkę Dunworthy'emu.

Okazało się, że to Finch. Telefonował z biura kwestora.

- Znalazł pan dokumenty Badriego?

- Tak, proszę pana. Jest tu też policja. Szukają miejsc, w których mogliby umieścić ludzi nie mieszkających na stałe w Oxfordzie.

- I zapewne postanowili ulokować część z nich w Balliol?

- Właśnie, proszę pana. Pytają, ilu możemy przyjąć. Co mam im odpowiedzieć?

Mary zamachała ręką, by zwrócić jego uwagę.

- Chwileczkę - rzucił Dunworthy do mikrofonu, po czym wcisnął klawisz wyciszenia.

- Chcą wepchnąć ci ludzi spoza Oxfordu, których kwarantanna zaskoczyła w mieście? - zapytała.

- Tak.

- Nie pozwól, żeby zajęli wszystkie pomieszczenia. Kto wie, czy nie będziemy potrzebowali miejsca dla chorych.

Dunworthy włączył mikrofon.

- Możemy przeznaczyć część pokoi w skrzydle Fishera i wszystkie, jakie są jeszcze wolne w skrzydle Salvina. Jeśli nie ulokował pan jeszcze Amerykanek, proszę kazać im się ścieścić. Policji trzeba powiedzieć, że kierownictwo kliniki prosiło nas o zachowanie rezerwy dla chorych. A co z tą dokumentacją medyczną Badriego?

- Znalazłem ją, proszę pana, ale ile się naszukałem! Kwestor umieścił teczkę pod "B" jak Badri, zamiast pod "C" jak Chaudhuri, a do tego te Amerykanki...

- Jest numer ubezpieczenia?

- Tak, proszę pana.

- Wobec tego oddaję słuchawkę doktor Ahrens - powiedział szybko, by uniemożliwić Finchowi rozpoczęcie szczegółowej relacji z jego przepraw z członkiniami żeńskiego zespołu dzwonników. - Ona wypyta pana o wszystko, czego jej trzeba.

Mary podniosła się z krzesła.

- Dodzwoniłem się też do Ely, proszę pana - oznajmił z dumą Finch. - Poinformowałem ich o konieczności przełożenia koncertu na inny termin. Byli bardzo uprzejmi i życzyli nam wszystkiego najlepszego, ale Amerykanki wciąż są niepokieszone.

Mary podeszła do Dunworthy'ego, ściągnęła rękawiczki i wzięła od niego słuchawkę.

- Finch? Tu doktor Ahrens. Proszę podać mi numer ubezpieczenia Badriego.

Zanotowała go na liście kontaktów wtórnych, którą podsunął jej Dunworthy, po czym zapytała Fincha o szczepienia, jakim poddawał się technik. Notowała tak szybko i niewyraźnie, że Dunworthy nie był w stanie nic odczytać.

- Jakies odczyny albo alergię? - Słuchała przez chwilę w skupieniu, a następnie powiedziała: - Dziękuję, wystarczy. Resztę znajdę w komputerze. Dam panu znać, gdybym jeszcze czegoś potrzebowała. - Wręczyła słuchawkę Dunworthy'emu. - Podobno ma do ciebie jakąś ważną sprawę - poinformowała go, po czym odeszła, zabierając mu kartkę.

- Mają do nas ogromną pretensję o to, że je tu przetrzymujemy - poskarżył się Finch. - Panna Taylor grozi nawet, że oskarży nas o celowe niedotrzymanie ustaleń zawartych w kontrakcie.

- Kiedy Badri był szczepiony po raz ostatni?

Znalezienie właściwej kartki w stosie papierów, który piętrzył się przed nim na biurku, zajęło Finchowi mnóstwo czasu.

- O, jest. Czternastego września.

- Standardowy zestaw?

- Tak, proszę pana.

- Wykazywał kiedyś reakcję uczuleniową na szczepionki przeciwwirusowe?

- Nigdy. W ogóle nie skarżył się na żadne alergię. Już powiedziałem o tym doktor Ahrens.

Badri zaszczepił się i nie był uczulony. Coraz lepiej.

- Był pan już w New College? - zapytał Dunworthy, zmieniając temat.

- Nie, proszę pana. Właśnie się tam wybieram. Co powinienem zrobić w sprawie środków czystości? Mydła mamy jeszcze pod dostatkiem, ale powoli zaczyna brakować papieru toaletowego.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł sanitariusz, którego jakiś czas temu Mary wysłała po Montoyę. Skierował się prosto do stolika przy ścianie i włączył elektryczny czajnik z herbatą.

- Czy powinienem zacząć wydzielać papier toaletowy, czy na razie mogę ograniczyć się do umieszczenia w toaletach wywieszek wzywających do jego oszczędnego używania?

- Niech pan robi, co uważa za stosowne - odparł Dunworthy i przerwał połączenie.

Deszcz wciąż padał, ponieważ sanitariusz był przemoczony do suchej nitki, a kiedy nad czajnikiem pojawiły się kłęby pary, wyciągnął zaczerwienione ręce i grzał je przez dłuższą chwilę.

- Czy wreszcie będzie można skorzystać z telefonu? - zapytał Gilchrist.

Dunworthy podał mu aparat. Zastanawiał się, jaka może być pogoda tam, gdzie teraz znajduje się Kivrin oraz czy Gilchrist zlecił sekcji prawdopodobieństwa dokonanie obliczeń, jakie są szanse na to, by zjawiała się na miejscu w strugach ulewnego, lodowatego deszczu. Ani jej suknia, ani płaszcz nie wyglądały na wodoodporne, natomiast ów przyjaźnie nastawiony podróżny, który powinien zjawić się w ciągu 1,6 godziny, mógł uznać, że w taką pogodę nie warto brnąć błotnistym traktem i zaszył się w gęstych krzakach lub zakopał w stogu siana, by zaczekać, aż grunt obeschnie i wędrówka stanie się mniej uciążliwa.

Co prawda nauczył Kivrin rozniecać ogień, ale w deszczu i ze zgrabiętymi rękami mogła sobie nie poradzić z tym zadaniem. W czternastym wieku panowały srogie zimy. Należało liczyć się z możliwością, że będzie padał śnieg. W 1320 roku zaczął się okres zwany Małą Epoką Lodową; w jego szczytowym okresie Tamiza zamarzała na dwa lub trzy miesiące, niespotykane niskie temperatury spowodowały wielkie spustoszenia na polach, co z kolei stało się przyczyną tak poważnych niedoborów żywności, że, zdaniem wielu historyków, Czarna Śmierć zebrała tak obfite żniwo między innymi właśnie dlatego, iż organizmy wygłodzonych ludzi nie potrafiły przeciwstawić się chorobie. Tak, pogoda była wtedy naprawdę paskudna. Według kronik z tamtej epoki, w 1348 roku w części Oxfordshire padało bez przerwy od dnia św. Michała Archanioła, czyli od 29 września, aż do Bożego Narodzenia. Wiele wskazywało na to, że Kivrin leży na błotnistej drodze, w strugach deszczu, zaledwie o włos od śmierci z powodu wychłodzenia organizmu.

I zapewne wstrząsana czkawką spowodowaną tym, że jej przewrażliwiony opiekun myśli o niej bez przerwy, całkiem niepotrzebnie martwiąc się na zapas. Mary miała rację: zachowuje się jak pani Gaddson. Tylko tego brakowało, żeby wtargnął do 1320 roku jak ona na szpitalny korytarz; Kivrin z pewnością ucieszy się na jego widok tak samo jak William na widok matki, a w dodatku okaże się, iż nie bardziej niż on potrzebuje czyjejkolwiek pomocy.

Była najbystrzejszą i najbardziej samodzielną studentką, jaka kiedykolwiek trafiła pod jego opiekę. Z pewnością wymyśliła już jakiś sposób, by zapewnić sobie suchy ką i dach nad głową. Z tego co wiedział, minione wakacje spędziła wśród Eskimosów, ucząc się budować igloo.

Pomyślała zawczasu także o wielu innych rzeczach, w tym o swoich paznokciach. Kiedy przyszła pokazać mu kostium, wyciągnęła przed siebie ręce; paznokcie miała połamane i potwornie brudne.

- Wiem, że mam być szlachcianką, ale taką ze wsi, one zaś bardzo często pracowały niewiele lżej od chłopów, a pierwsze nożyczki pojawiły się na tych terenach dopiero na początku siedemnastego wieku. Wie pan, jak uzyskałam taki efekt? Spędziłam całą niedzielę przy wykopaliskach panny Montoi, grzebiąc w ziemi gołymi rękami.

Jej paznokcie wyglądały nie tylko okropnie, ale także całkowicie autentycznie. Z pewnością nie było powodu, żeby martwić się o takie drobnostki jak deszcz albo śnieg.

Dunworthy jednak martwił się i nic nie mógł na to poradzić. Gdyby udało mu się porozmawiać z Badrim, zapytać go, co miał na myśli mówiąc, że "coś jest nie w porządku", upewnić się, że poślizg był niewielki i przeskok odbył się bez zakłóceń, wtedy z pewnością przestałby się niepokoić. Niestety, Mary uzyskała numer ubezpieczenia Badriego dopiero od Fincha, z czego należało wysnuć mało pocieszający wniosek, że technik nadal jest nieprzytomny.

Albo gorzej.

Wstał, podszedł do stolika przy ścianie i nalał sobie filiżankę herbaty. Gilchrist znowu rozmawiał przez telefon, tym razem z portierem. Portier także nie wiedział, gdzie może przebywać Basingame. Kiedy Dunworthy rozmawiał z nim nieco wcześniej, starszek powiedział mu, że dziekan wspominał o jakimś Loch Balkillan; po dokładnym sprawdzeniu okazało się jednak, iż nie ma jeziora o takiej nazwie.

Dunworthy pił herbatę małymi łyżkami, przysłuchując się rozmowom prowadzonym przez Gilchrista. Żadna z osób, do których udało mu się dodzwonić, nie miała pojęcia, dokąd pojechał Basingame. Do pokoju weszła pielęgniarka, by dokończyć pobieranie krwi, natomiast sanitariusz wziął ze stołu jedną z edukacyjnych broszurek i pogрузzył się w lekturze.

Montoya wypełniła już swoją kartę informacyjną, teraz zaś zajęła się pozostałymi papierami.

- Co mam tu wypisać? - zapytała Dunworthy'ego. - Nazwiska ludzi, z którymi stykałam się w ciągu mini-onej doby?

- Przez ostatnie trzy dni.

Oczekiwanie przedłużało się i Dunworthy wypił kolejną filiżankę herbaty, Montoya natomiast dodzwoniła się do Ministerstwa Zdrowia próbując przekonać kolejnych urzędników, żeby pozwolili jej wrócić do wykopalisk położonych poza obszarem objętym kwarantanną. Sanitariuszka ponownie zapadła w drzemkę.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi i w pokoju pojawił się najpierw szpitalny wózek zastawiony naczyniami, potem zaś pchająca go pielęgniarka.

- *Greet chere mada our hoste us evenchon. And to the soper sette us anon* - odezwał się Latimer. Była to jedyna uwaga, jaka padła z jego ust tego popołudnia.

W trakcie posiłku Gilchrist opowiadał Latimerowi o swoich planach wysłania Kivrin w nieco późniejsze czasy, tuż po przejściu Czarnej Śmierci.

- Według powszechnie akceptowanych teorii, zaraza niemal całkowicie zniszczyła strukturę średniowiecznego społeczeństwa - mówił, krojąc befsztyk. - Jednak z moich badań wynika, iż odegrała ona raczej rolę oczyszczającą niż destrukcyjną.

Zależy z czyjego punktu widzenia, pomyślał Dunworthy, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego wciąż nic się nie dzieje. Ciekawe, czy naprawdę badają naszą krew, czy tylko czekają, aż ktoś z nas runie na podłogę, przy okazji wywracając wózek z kolacją, przemknęła mu przez głowę niewesoła myśl. Wtedy wiedzieliby dokładnie, jaki jest okres inkubacji.

Gilchrist ponownie zadzwonił do New College i poprosił o połączenie z sekretarką Basingame'a.

- Nie ma jej tam - poinformował go Dunworthy. - Wyjechała na Święta do córki w Devonshire.

Gilchrist puścił jego słowa mimo uszu.

- Tak, koniecznie muszę przekazać jej wiadomość. Poszukuję pana Basingame'a. Sprawa jest bardzo poważna. Właśnie wysłaliśmy historyka do XIV wieku, ale okazało się, że ci z Balliol dali nam chorego technika, w związku z czym dziewczyna - bo to jest dziewczyna - zaraziła się jakąś chorobą. - Odłożył słuchawkę, po czym dodał: - Jeśli okaże się, że pan Chaudhuri nie był zaszczepiony, dopilnuję, aby pan, panie Dunworthy, poniósł za to osobistą odpowiedzialność.

- We wrześniu poddał się obowiązkowym szczepieniom okresowym.

- Ma pan na to jakiś dowód?

- Czy on też przeszedł? - spytała sanitariuszka. Wszyscy, nie wyłączając Latimera, spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Byli przekonani, że wciąż drzemie, ponieważ siedziała w fotelu z opuszczoną głową, przyciskając oburącz do piersi formularze z nazwiskami.

- Powiedział pan, że wysłaliście kogoś w średniowiecze - wyjaśniła cierpliwym tonem. - Czy on też się tam przedostał?

- Obawiam się, że... - zaczął Gilchrist, ale kobieta nie pozwoliła mu dokończyć.

- Chodzi mi o wirusa. Czy mógł przedostać się w przeszłość?

Gilchrist spojrzał z niepokojem na Dunworthy'ego.

- To chyba niemożliwe, prawda?

- Zgadza się - potwierdził Dunworthy. Nie ulegało wątpliwości, iż Gilchrist nie ma bladego pojęcia ani o paradoksach, ani o teorii napiętej struny. Kto jak kto, ale on z pewnością nie dysponował wystarczającą wiedzą, by zastępować dziekana. Nie znał nawet podstawowych zasad działania sieci, dzięki której udało mu się wysłać Kivrin w odległą przeszłość. - Sieć zamknęłaby się natychmiast, gdyby tylko trafił do niej groźny wirus.

- Doktor Ahrens wspomniała, że ten Hindus jest na razie jedynym przypadkiem, a pan powiedział - sanitariuszka wskazała na Dunworthy'ego - że odbył w terminie wszystkie obowiązkowe szczepienia. Z tego wynika, że nie mógł zarazić się żadną ze znanych chorób, bo na wszystkie był uodporniony. Z tego co wiem, w średniowieczu aż roiło się od różnych chorób, zgadza się? Ospa, dżuma, i takie inne...

- Pragnę panią zapewnić, iż sekcja średniowiecza podjęła wszelkie niezbędne kroki, aby...

- Nie ma możliwości, aby wirus przedostał się przez sieć - przerwał Gilchristowi Dunworthy. - Po prostu nie ma, i już. Na coś takiego nie pozwoliłoby kontinuum czasoprzestrzenne.

Jednak sanitariuszka nie dawała za wygraną.

- Ale przecież wysyłacie w przeszłość ludzi, a wirus jest znacznie mniejszy od człowieka.

Po raz ostatni słyszał ten argument wiele lat temu, kiedy tylko nieliczni dokładnie znali teorię wyjaśniającą działanie sieci.

- Jeśli chodzi o nas, to przedsięwzięliśmy wszystkie środki ostrożności - wtrącił się Gilchrist.

- Przez sieć nie przedostanie się nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób wpłynąć na bieg historii - oświadczył Dunworthy, spoglądając na niego z wściekłością. Gadanina o środkach ostrożności sugerowała istnienie niebezpieczeństwa, przed którym należało się uchronić. - Nigdy nie zdarzyło się, by sieć przesłała w przeszłość promieniowanie, bakterie albo toksyny, choćby w minimalnych ilościach. Jeśli coś takiego znajduje się w zasięgu jej działania, sieć po prostu nie otworzy się, i tyle.

Mimo wszystko sanitariuszka nie sprawiała wrażenia przekonanej.

- Zapewniam panią... - zaczął Gilchrist po raz trzeci, lecz na szczęście właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Mary z naręczem różnobarwnych kartek. Gilchrist natychmiast zerwał się z miejsca. - Doktor Ahrens, czy istnieje możliwość, żeby choroba, na którą zapadł pan Chaudhuri, przedostała się przez sieć?

- Oczywiście, że nie - odparła wzruszając ramionami, jakby zdziwiło ją, że ktoś mógł wpaść na równie niedorzeczny pomysł. - Po pierwsze, choroby nie rozprzestrzeniają się za pośrednictwem sieci, ponieważ doprowadziłoby to do powstania wielu paradoksów. Po drugie, nawet gdyby wirus dotarł do nas ze średniowiecza, co jest całkowicie niemożliwe, jego okres inkubacji musiałby wynosić niespełna godzinę, co również jest niemożliwe. Jednak nawet gdyby tak właśnie było, zachorowałby nie tylko Badri, ale i my wszyscy, ponieważ - zerknęła na zegarek - minęło już wystarczająco wiele czasu, aby rozwinęły się pełne objawy choroby.

Zacząła zbierać listy z nazwiskami osób, z którymi kontaktowali się w ostatnim czasie.

- Jako pełniący obowiązki dziekana Wydziału Historycznego mam mnóstwo ważnych obowiązków - oświadczył Gilchrist zirytowanym tonem. - Jak długo jeszcze zamierza pani nas tu trzymać?

- Tylko tyle, żeby zebrać formularze i rozdać instrukcje - odparła. - Przypuszczalnie około pięciu minut.

Zabrała Latimerowi jego formularz. Widząc to, Montoya pochyliła się nad swoim i zaczęła w pośpiechu wypełniać rubryki.

- Pięć minut? - zdziwiła się sanitariuszka. - A więc możemy iść, dokąd chcemy?

- W pewnym sensie. Traktujcie to jako okres próbny.

Włożyła formularze na spód sterty papierów, po czym zaczęła rozdawać kartki leżące na wierzchu. Miały jaskrawopomarańczowy kolor i wydrukowano na nich coś w rodzaju oświadczenia, w którym "niżej podpisany" informował o tym, że wychodzi ze szpitala na własną prośbę oraz że zwalnia Klinikę Uniwersytecką od wszelkiej odpowiedzialności za ewentualne konsekwencje, jakie ta decyzja może za sobą pociągnąć.

- Skończyliśmy już badania krwi - dodała. - W żadnej próbce nie stwierdziliśmy zwiększonej liczby przeciwciał.

Wręczyła Dunworthy'emu kolejny druk, tym razem na błękitnym papierze, dla odmiany zwalniający Ministerstwo Zdrowia od wszelkiej odpowiedzialności za stan zdrowia pacjenta oraz stwierdzający, iż niżej podpisany pacjent zobowiązuje się w ciągu trzydziestu dni pokryć koszty swego ewentualnego leczenia w części nie objętej obowiązkowym ubezpieczeniem zdrowotnym.

- Skontaktowałam się też ze Służbą Ochrony Epidemiologicznej. Zalecili nam prowadzenie regularnych kontroli, łącznie z badaniem krwi przeprowadzanym co dwaście godzin.

Następny formularz był zielony i nosił nagłówek: "Podstawowe zasady postępowania dla osób wchodzących w skład grupy kontaktu pierwotnego". Zasada numer jeden brzmiała następująco: "Unikaj kontaktu z ludźmi".

Dunworthy pomyślał przelotnie o Finchu, o członkiniach amerykańskiego zespołu dzwonników, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa czekających na niego tuż za bramą college'u Balliol, a także o wypełniającym ulicę tłumie, przez który będzie musiał się przecisnąć.

- Co pół godziny mierzyć temperaturę i nanoście wyniki pomiarów na ten wykres - mówiła Mary, rozdając żółte, trochę mniejsze arkusze. - Jeśli zauważycie stałą tendencję wzrostową, natychmiast zgłóście się do kliniki. Dopuszczalne są niewielkie wahania, od 36 stopni do 37,4. Zazwyczaj wieczorem temperatura jest nieco wyższa niż rano i przed południem. Jeśli przekroczy 37,4, albo jeżeli poczujecie bóle głowy, trudności z oddychaniem albo będziecie mieli kłopoty z koncentracją, bezzwłocznie udajcie się do szpitala.

Sądząc po minach osób, do których kierowała te słowa, wszystkie właśnie w tej chwili poczuły gwałtowny ból głowy. Dunworthy dopiero teraz uświadomił sobie, że głowa boli go nieprzerwanie co najmniej od południa.

- W miarę możliwości unikajcie kontaktów z innymi ludźmi - ciągnęła. - Zapisujcie nazwiska wszystkich, z którymi się stykacie. Wciąż jeszcze nie wiemy, w jaki sposób rozprzestrzenia się ten wirus, ale większość myksowirusów przenosi się drogą kropelkową i poprzez bezpośredni kontakt zarażonego osobnika ze zdrowym. Tak często jak to możliwe myjcie ręce gorącą wodą i mydłem.

Wcisnęła Dunworthy'emu jeszcze jedną kartkę. Różową. Kolory zaczynały się powtarzać. Na górze umieszczono wydrukowane tłustą czcionką słowo KONTAKTY, poniżej zaś, nieco mniejszą: Nazwisko, Adres, Rodzaj kontaktu, Czas.

Wielka szkoda, że wirus, który dopadł Badriego, nie musiał najpierw poradzić sobie z Ministerstwem Zdrowia, Służbą Ochrony Epidemiologicznej oraz innymi, podobnymi do nich, instytucjami. Ponad wszelką wątpliwość poległby już w drzwiach, przywalony stosem zadrukowanego papieru.

- Zgłosicie się na badanie jutro o siódmej rano, a tymczasem proponuję solidną kolację i ciepłe łóżko. Odpoczynek stanowi najlepszą broń przeciwko wszystkim znanym wirusom. - Spojrzała na sanitariuszy. - Oboje macie urlop do końca kwarantanny. - Rozdała wszystkim jeszcze kilka różnobarwnych świstków, po czym zapytała wesoło: - Są jakieś wątpliwości?

Dunworthy spojrzał na sanitariuszkę, oczekując, że ta natychmiast zapyta, czy to możliwe, by ospa wietrzna przedostała się za pośrednictwem sieci ze średniowiecza, ale kobieta siedziała w milczeniu, patrząc obojętnie na plik papierów leżących na jej kolanach. Odezwała się natomiast Montoya:

- Czy mogę wracać do wykopalisk?

- Nie, chyba że stanowisko znajduje się wewnątrz obszaru objętego kwarantanną.

- Pięknie! - prychnęła z wściekłością Amerykanka, wpychając formularze do kieszeni wojskowej kurtki. - Siedziałam tu jak głupia, a w tym czasie deszcz zatopił mi całą wioskę!

Wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami.

- Są jeszcze pytania? - zapytała Mary z nie zmaconym spokojem. - Skoro nie, to do zobaczenia o siódmej rano.

Pierwsza do drzwi ruszyła sanitariuszka, ziewając i przeciągając się, jakby już myślała o kolejnej drzemce, tuż za nią zaś podążył jej kolega. Latimer wciąż siedział przy stoliku, obserwując wskazania monitora przytroczonego do przegubu. Gilchrist rzucił półgłosem jakąś kąśliwą uwagę pod jego adresem, po czym wstał z fotela, założył płaszcz, do jednej ręki wziął parasol, do drugiej natomiast swój plik formularzy.

- Oczekuję, że będę informowany na bieżąco o rozwoju sytuacji - powiedział. - Zamierzam skontaktować się z Basigamem i przekonać go, że jego obecność na uczelni jest absolutnie nieodczowna.

Odwrócił się gwałtownie na pięcie i wyszedł, ale w drzwiach musiał jeszcze poczekać na Latimera, któremu podmuch powietrza wyrwał z ręki dwie kolorowe kartki.

- Zajrzyj rano do Latimera, dobrze? - odezwała się Mary, kiedy obaj mężczyźni wyszli na korytarz. - Na pewno zapomni, że ma tu być o siódmej.

- Chcę porozmawiać z Badrim - oświadczył stanowczo Dunworthy.

- Laboratorium, Brasenose... - mruzczała, przeglądając wypełnione formularze. - Dziekanat, Brasenose, laboratorium, znowu Brasenose... Czy nikt nie spotkał Badriego poza siecią?

- W karetce powiedział, że coś się nie zgadza. Mogło mu chodzić o poślizg. Jeśli jest większy niż tydzień, Kivrin nie zdoła precyzyjnie ustalić daty i nie będzie jej na miejscu wtedy, kiedy otworzymy sieć, żeby ją stamtąd wyciągnąć.

Mary nie odpowiedziała. Ze zmarszczonymi brwiami w dalszym ciągu przeglądała formularze. Dunworthy nie dawał jednak za wygraną.

- Muszę mieć całkowitą pewność, że udało mu się ją zlokalizować.

Dopiero teraz oderwała wzrok od papierów.

- W porządku - powiedziała. - Te listy do niczego nam się nie przydadzą. Tylko Badri byłby w stanie powiedzieć, gdzie był i z kim widywał się w ciągu minionych trzech dni. - Podniosła się z krzesła i poprowadziła Dunworthy'ego korytarzem. - Posadziłam przy nim pielęgniarkę, żeby wypytała go o wszystko, ale on jest zupełnie zdezorientowany, a w dodatku sprawia wrażenie, jakby się jej bał. Może tobie uda się coś z niego wyciągnąć.

Wsiadli do windy.

- Poproszę na parter - powiedziała Mary do mikrofonu, poczym odwróciła się do Dunworthy'ego. - Odzyskuje przytomność tylko na kilka chwil, a potem przez godzinę albo dwie nie ma z nim żadnego kontaktu. Możliwe, że będziesz musiał przesiedzieć przy nim do rana.

- Nie szkodzi - odparł. - I tak nie zasnę, dopóki nie przekonam się, że Kivrin nic nie grozi.

Wjechali inną windą na drugie piętro, przeszli kolejnym korytarzem, minęli drzwi opatrzone napisem: ZAKAZ WSTĘPU - ODDZIAŁ IZOLACYJNY. Za drzwiami przy biurku siedziała pielęgniarka i z ponurym wyrazem twarzy obserwowała ekran monitora.

- Przyszliśmy do pana Chaudhuri - poinformowała ją Mary. - Potrzebujemy dwa kombinezony. Jak on się czuje?

- Znowu ma wyższą gorączkę - odparła siostra, wręczając im dwa aseptyczne kombinezony. Były wykonane częściowo z cienkiego, ale mocnego papieru, częściowo zaś z plastiku. - 39,8. Musieli także założyć maski, czepki szczelnie okrywające głowę, rękawiczki oraz coś w rodzaju obszernych pokrowców na buty. Dunworthy popełnił błąd, ponieważ najpierw wciągnął rękawiczki i potem stracił mnóstwo czasu na rozpakowanie i założenie maski.

- Musisz zadawać bardzo konkretne pytania - poinstruowała go Mary. - Przede wszystkim spróbuj się dowiedzieć, co robił od samego rana, czy spędził z kimś noc, gdzie jadł śniadanie, i tak dalej. Przy tak wysokiej gorączce może mieć kłopoty z zebraniem myśli, więc zapewne będziesz musiał go pytać po kilka razy.

Otworzyła drzwi do pokoju Badriego. Pomieszczenie właściwie nie bardzo zasługiwało na miano pokoju, gdyż mieściło się w nim tylko łóżko i składane krzesło, brakowało natomiast miejsca choćby na maleńki stolik. Całą ścianę, za wezłowiem łóżka, zajmowały monitory i urządzenia migające różnokolorowymi lampkami. Aparatura medyczna piętrzyła się także w kącie przy krześle. Mary zerknęła przelotnie na Badriego, po czym skoncentrowała uwagę na wskaźnikach.

Dunworthy także spojrzął na ekrany. Na największym widniało mnóstwo liter i cyfr układających się w zupełnie niezrozumiałą całość. Ostatni rząd wyglądał następująco: "ICU 14320691 22-12-54 1803 200/RPT 1800CRS IMJPCLN 200MG/q6h MZ40211-7 M AHRENS". Chyba zaordynowane leczenie albo coś w tym rodzaju.

Na pozostałych ekranach także pulsowały napisy i liczby. Oczywista i zrozumiała była tylko jedna z nich, na małym ciekłokrystalicznym ekranie w górnym rzędzie, drugim z prawej. 39,9.

- Boże!

Dunworthy przeniósł wzrok na Badriego. Technik leżał z rękami na kocu, podłączony do dwóch kroplówek wiszących na metalowych stojakach nad łóżkiem. Miał zamknięte oczy i wystrzone rysy twarzy, jakby od rana stracił sporo na wadze. Jego ciemna skóra nabrała dziwnego, fioletowego odcienia.

- Badri, słyszy nas pan? - zapytała Mary, pochylając się nad chorym.

Otworzył oczy i spojrzął na nich. Z pewnością nie rozpoznał ani jej, ani Dunworthy'ego; należało to raczej przypisać chorobie niż faktowi, że byli ubrani w kombinezony i mieli maski na twarzach. Mary nie dawała jednak za wygraną.

- Przyszedł pan Dunworthy. Chce z panem porozmawiać.

Z jej kieszeni dobiegło natarczywe popiskiwanie sygnalizatora.

- Pan Dunworthy? - powtórzył technik zachrypniętym głosem. Spróbował usiąść w łóżku, lecz Mary przytrzymała go delikatnie.

- Tak. Ma do pana kilka pytań. - Poklepała go lekko po klatce piersiowej, tak jak niedawno w laboratorium w Brasenose, po czym wyprostowała się i obrzuciła wskaźniki uważnym spojrzeniem. - Proszę się nie ruszać. Muszę już iść, ale pan Dunworthy zostanie z panem. Proszę spokojnie leżeć i odpowiadać na jego pytania.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi.

- Pan Dunworthy?... - wyszeptał ponownie Badri, jakby usiłował pojąć znaczenie tych słów.

- Tak jest. - Dunworthy przysiadł na brzeжку krzesła. - Jak się pan czuje?

- Kiedy on tu przyjdzie? - zapytał technik słabym głosem. Na jego twarzy malowało się ogromne napięcie. Znowu spróbował usiąść, lecz Dunworthy nie pozwolił mu na to. - Koniecznie muszę z nim porozmawiać... - wyszeptał Badri. - Stało się coś niedobrego.

8.

Palili ją na stosie. Wyraźnie czuła liźnięcia płomieni. Prawdopodobnie zdążyli już przywiązać ją do słupa, choć nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to nastąpiło. Pamiętała natomiast jak rozpalali ogień. Zsunęła się z grzbietu białego konia, rzeźmieszek zaś wziął ją na ręce i zaniósł na stos.

- Musimy wrócić na miejsce przeskoku - powiedziała mu.

Chyba pochylił się nad nią, ponieważ roztańczone płomienie oświetliły jego okrutną twarz.

- Pan Dunworthy każe otworzyć się, kiedy tylko zorientuje się, że coś jest nie w porządku.

Nie powinna w ogóle odzywać się do niego. Doszedł do wniosku, że jest czarownicą, i dlatego przywiózł ją tu, by spalić na stosie.

- Nie jestem czarownicą - wyszeptała.

Chłodna ręka dotknęła jej rozpalonego czoła.

- Szszsz... - rozległ się czyjś głos.

- Nie jestem czarownicą! - powtórzyła znacznie głośniejszym głosem. Starła się mówić powoli i wyraźnie, żeby ją zrozumiał, ale na razie nie dało to żadnego efektu. Powiedziała mu przecież, że nie powinni opuszczać mie-

jsca przeskoku, lecz on bez słowa wsadził ją na białego wierzchowca i prowadząc go za uzdę ruszył przed siebie w kierunku kępy białych brzoź, a potem dalej, w głąb lasu.

Starła się zapamiętać drogę, by później wrócić do wozu, ale kołysząca się lampa oświetlała jedynie ziemię w promieniu dwóch, może trzech metrów, oraz najniższe gałęzie drzew, a poza tym światło boleśnie raziło ją w oczy. Przymknęła powieki, co jednak okazało się błędem, ponieważ bardzo szybko zakreśliło się jej w głowie i zsunęła się na ziemię.

- Nie jestem czarownicą - powtórzyła po raz kolejny. - Jestem historykiem.

- *Haweyfond enyawuh thissla dey?* - dobiegł z daleka kobiecy głos. Przypuszczalnie jakaś niewiasta zbliżyła się na chwilę, by dorzucić kolejne polano do płonącego stosu, po czym cofnęła się w bezpieczne miejsce, gdzie nie docierał piekący żar.

- *Enwodes fittenun gleydund sore destroyse* - odparł mężczyzna. Jego głos trochę przypominał głos pana Dunworthy'ego. - *Ayeen mynarmehs hoor alle op hiderybar.*

- *Sweltes shay dumorte blauen?*

- Panie Dunworthy! - wykrzyknęła Kivrin, wyciągając ku niemu ramiona. - Napadli mnie bandyci!

Niestety, nie mogła go dostrzec przez zasłonę gęstego dymu.

- Szysz... - szepnęła kobieta.

Kivrin zorientowała się, że jest już później, znacznie później, i że - choć wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne - zasnęła, a teraz się obudziła. Jak długo można płonąć na stosie? - przemknęło jej przez głowę. Ogień był tak gorący, że powinna zostać z niej kupka popiołu, ale kiedy wyciągnęła rękę i spojrzała na nią, przekonała się, że jest nienaruszona, mimo iż między palcami przeciskały się pomarańczowe płomienie. Oczy bolały ją od intensywnego blasku, więc zamknęła je pospiesznie.

Żeby tylko nie spaść znowu z białego rumaka, pomyślała. Przez całą drogę trzymała go oburącz za szyję, lecz mimo to w końcu spadła. Nie pomogły jej nawet lekcje jazdy konnej, które wzięła za namową pana Dunworthy'ego. To on umówił ją z kierownikiem stadniny w pobliżu Woodstock. Przewidział, co się stanie. Ostrzegł ją, że zostanie spalona na stosie.

Kobieta przyłożyła jej do ust kubek. To chyba gąbka nasączona octem, pomyślała Kivrin. Gąbkę nasączoną octem podawano zazwyczaj męczennikom. Okazało się jednak, że kubek zawiera jakiś ciepły, cierpki płyn. Kobieta podniosła dziewczynie głowę i Kivrin dopiero wtedy uświadomiła sobie, że leży na wznak.

Konieczność muszę opowiedzieć panu Dunworthy'emu, że ludzie, którzy płonęli na stosie, nie byli przywiązani do słupa, tylko kładzeni na czymś w rodzaju noszy. Usiłowała złożyć ręce, by uruchomić rejestrator, lecz ciężar ogarniających je płomieni okazał się zbyt wielki.

Jestem chora, przemknęło jej przez głowę. Cierpki płyn był zapewne jakimś leczniczym wywarem, który nieco obniżył gorączkę. Nie leżała na ziemi ani na stosie, tylko w łóżku, w pograżonym w półmroku pomieszczeniu. Kobieta, która przyniosła lekarstwo, siedziała tuż obok. Kivrin wyraźnie słyszała jej oddech. Spróbowała poruszyć głowę, by na nią spojrzeć, lecz ból natychmiast powrócił ze wzmożoną siłą, zmuszając ją do zachowania całkowitego spokoju. Kobieta przypuszczalnie zasnęła na siedząco, ponieważ jej równy, miarowy oddech chwilami zamieniał się niemal w chrapanie. Ten nieprzyjemny odgłos stanowił chyba przyczynę, dla której ból głowy nie ustępował, mimo iż dziewczyna leżała bez najmniejszego ruchu.

Jestem we wsi, pomyślała. Przywiózł mnie rudowłosy.

Kiedy spadła z rumaka, rzezimieszek natychmiast podniósł ją i ponownie wsadził na grzbiet zwierzęcia, a kiedy spojrzała mu w twarz, przekonała się, iż wcale nie wygląda na bandytę.

Był młody, miał płomienście rude włosy i łagodną twarz, i to on właśnie przykucnął przed nią, kiedy jeszcze siedziała oparta plecami o koło wozu.

- Kim jesteś? - zapytał.

Zrozumiała go bez najmniejszego trudu.

- *Cansawd ranken derwyn?*

Kobieta ponownie podniosła jej głowę, umożliwiając przełknięcie kilku łyków gorzkiego płynu. Kivrin miała z tym sporo problemów, ponieważ ogień płonął teraz w jej gardle. Wyraźnie czuła szalejące płomienie, mimo iż wywar powinien je ugasić. Zastanawiała się, czy nie wywieziono jej do jakiegoś odległego kraju, na przykład Hiszpanii albo Grecji, gdzie ludzie posługiwali się językiem, którego nie wprowadzono do pamięci translatora.

A jednak nie miała żadnego kłopotu ze zrozumieniem rudzielca. Zapytał ją, kim jest. Przypuszczalnie ten pierwszy, o twarzy rzezimieszka, był sługą przywiezionym z którejś z wypraw krzyżowych. Nie rozumiała go, ponieważ mówił po arabsku albo turecku.

- Jestem historykiem - powiedziała, ale kiedy podniosła wzrok, ponownie ujrzała okrutną twarz bandyty.

Ogarnięta paniką rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu rudowłosego mężczyzny, lecz nigdzie nie mogła go dostrzec. Tymczasem rzezimieszek układał polana na jakichś kamieniach, szykując się do rozpalenia ognia.

- Panie Dunworthy! - krzyknęła rozpaczliwie.

Natychmiast przerwał pracę, zbliżył się i ukląkł przy niej. Migotliwy blask lampy wydobywał z mroku jego okrutną, bezwzględną twarz.

- Nie obawiaj się - powiedział. - Wkrótce wróci.

- Panie Dunworthy! - zawołała ponownie.

Rudzielec wyłonił się z ciemności.

- Nie powinnam opuszczać miejsca przeskoku - powiedziała, nie spuszczać z niego oczu, aby znowu nie zamienił się w rzeźmieszka. - Chyba coś poszło nie tak, jak należy. Musisz mnie tam zawieźć.

Zdjął płaszcz z ramion i otulił ją starannie. Była pewna, że wreszcie ją zrozumiał.

- Muszę wracać do domu - wyszeptala, kiedy schylił się nad nią. Blask lampy, którą znowu trzymał w ręce, odbijał się w jego rudych włosach, lśniących jak płomień.

- *Godufadur* - powiedział.

A więc tak nazywa się jego niewolnik, pomyślała. *Gauddefaudre*. Teraz rudzielec każe mu zanieść mnie tam, gdzie mnie znalazł. Wróć na miejsce przeskoku. Pan Dunworthy... Pan Dunworthy będzie przerażony, kiedy otworzy się i nie znajdzie mnie tam, gdzie powinnam być. Wszystko w porządku, panie Dunworthy. Już wracam.

- *Dreede mawmaydde*. - Rudowłosa mężczyzna bez wysiłku podniósł ją z postania. - *Fawrthah Galwin-nath coam*.

- Jestem chora - powiedziała Kivrin do kobiety. - Dlatego nie rozumiem, co do mnie mówicie.

Jednak tym razem nikt nie wyłonił się z mroku, by podać jej kubek z cierpkim napojem. Możliwe, że znudziło im się patrzeć, jak płonie na stosie, i wszyscy sobie poszli. Rzeczywiście, egzekucja przeciągała się w nieskończoność, choć teraz płomień stał się jeszcze bardziej gorący.

Rudzielec posadził ją przed sobą na białym koniu i zagłębił się w las. Była pewna, że wiezie ją z powrotem na miejsce przeskoku. Koń był teraz osiodłany, przy uprzęży zaś miał mnóstwo dzwoneczków, które wygrywały skoczną melodię, chyba "Pójdźmy wszyscy do stajenki". Brzmiały coraz głośniej i głośniej, aż wreszcie Kivrin odniosła wrażenie, że huczą jak ogromne dzwony kościoła Najświętszej Marii Panny.

Długo jechali w milczeniu, aż wreszcie doszła do wniosku, że chyba powinni być już na miejscu.

- Czy to daleko? - zapytała rudowłosego mężczyznę. - pan Dunworthy będzie się niepokoił.

Nie odpowiedział. Wyjechali z lasu i skierowali się w dół wzgórza. Księżyc oświetlał zimnym blaskiem nagie konary drzew i malował srebrem dach kościoła stojącego u podnóża wzniesienia.

- To nie tutaj! - zaprotestowała.

Niewiele brakowało a szarpnęłyby za cugle, by zawrócić wierzchowca, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że wtedy łatwo mogłaby zsunąć się na ziemię, więc tylko jeszcze mocniej objęła szyję mężczyzny. Chwilę potem dotarli do drzwi; otworzyły się, podobnie jak następne, potem zaś ogarnęło ją ciepło i jasność, i znowu zadźwięczały dzwonki, i zrozumiała, że jednak, mimo wszystko, zawiózł ją tam, gdzie chciała się znaleźć.

- *Shay boyen syke nighonn tdeeth* - powiedziała kobieta.

Miała pomarszczone ręce o grubej, szorstkiej skórze. Ściągnęła przykrycie z łóżka, a kiedy mężczyzna położył dziewczynę, otuliła ją troskliwie. Kivrin poczuła na twarzy dotknięcie miękkiego, ciepłego futra. A może to były tylko jej włosy?

- Dokąd mnie przywieźliście?

Kobieta pochylała się, jakby nie dosłyszała i czekała na powtórzenie pytania. Kivrin uświadomiła sobie, że zadała je po angielsku. Translator nie działał. Gdyby funkcjonował, powinna myśleć po angielsku, natomiast mówić po staroangielsku, przy czym proces tłumaczenia zachodziłby bez udziału jej świadomości. Może właśnie uszkodzenie translatora było przyczyną, dla której nie rozumiała prawie nic z tego, co do niej mówili?

Skupiła się, usiłując sobie przypomnieć, jak będzie po staroangielsku: "Dokąd mnie przywieźliście?" Po krótkim namyśle doszła do wniosku, że powinna raczej zapytać: "Co to za miejsce?", ale zupełnie wyleciało jej z głowy jak po staroangielsku będzie "miejsce".

Miała trudności z zebraniem myśli. Kobieta okrywała ją kolejnymi futrami, lecz mimo to Kivrin z każdą chwilą robiło się coraz zimniej, jakby rozgrzewający ją od wewnątrz płomień gasł, pozbawiony dopływu tlenu.

"Co to za miejsce?" też nie miało najmniejszego sensu. Nikt by jej nie zrozumiał. Znajdowała się w jakiejś wsi, ponieważ minęli kościół i zsiadli z konia przed dużym domem, musi więc zapytać: Jak nazywa się ta wioska?"

Przypomniała sobie słowo "miejsce": *demain*. Ale jaką zastosować konstrukcję? Może francuską?

- *Quelle demeure avez vous m'apportee?* - powiedziała głośno, lecz nikt jej nie usłyszał, ponieważ kobieta akurat oddaliła się od łóżka.

Nie, to też do niczego. Ci ludzie już od dwustu lat nie byli Francuzami. Powinna zadać pytanie po staroangielsku. "Gdzie leży wieś, do której mnie przywieźliście?" Ale jak jest "wieś"?

Zatrzymali się przed jakimś domem i rudzielec zapukał do drzwi. Z domu wyszedł potężnie zbudowany mężczyzna z siekierą w ręku - na pewno wziął ją po to, by narąbać więcej drewna na stos. Zaraz potem z wnętrza wyłoniła się kobieta, powiedziała kilka niezrozumiałych słów i zatrzasnęła drzwi. Zostali sami, w ciemności.

- Panie Dunworthy! Doktor Ahrens! - usiłowała zawołać, ale ból w klatce piersiowej był tak silny, że z jej ust wydobył się głos niewiele donośniejszy od szeptu. - Nie pozwól, żeby zamknęli się - powiedziała do rudzielca, który tymczasem znowu przeistoczył się w rzezimieszka.

- Nie - zwrócił się do kobiety. - Tylko ją poturbowali. Drzwi otworzyły się ponownie i rudowłosa mężczyzna wniósł ją na stos.

Żar był nie do wytrzymania.

- *Thawmot goonawt plersounn roshundt prayenum comth ithre.*

Kivrin podniosła głowę i rozchyliła usta, ale kobieta nie miała w dłoniach kubka, tylko świecę. Trzymała ją bardzo blisko twarzy dziewczyny. Zbyt blisko. Lada chwila włosy mogły stanąć w płomieniach.

- *Der maydemot nedes dya.*

Płomień musnął jej policzek. Włosy zajęły się ogniem. Twarz Kivrin otoczyła gorąca, czerwonopomarańczowa poświata.

- Szszsz...

Kobieta usiłowała ją uspokoić, ale dziewczyna nie dawała za wygraną. Wreszcie zdołała oswobodzić ręce i zaczęła szarpać się za włosy, próbując strząsnąć z nich płomienistego napastnika. Chwilę potem ogień przeniósł się także na jej ręce.

- Szszsz... - powtórzyła kobieta, chwytając ją za przedramiona.

Nie, to nie była ona. Kobiety nie są tak silne. Kivrin wykonywała rozpaczliwe ruchy głową, by ugasić płonące włosy, ale ktoś unieruchomił jej także głowę. Ogień rozprzestrzenił się coraz szybciej.

Zaraz po przebudzeniu poczuła zapach dymu. Widocznie ogień zgasł, kiedy była pogrążona we śnie. Coś takiego przydarzyło się jednemu z męczenników, którego spalono na stosie; jego przyjaciele dorzucili do ognia wilgotnego chrustu, w nadziei, że nieszczęśnik udusi się w gęstym dymie, zanim dotrą do niego płomienie, ale nieco przesadzili z gorliwością, w wyniku czego biedak konał przez długie godziny, skwiercząc na wolnym ogniu.

Kobieta pochyliła się nad nią. Dym był tak gęsty, że Kivrin nie mogła nawet w przybliżeniu określić jej wieku. Zapewne rudzielec ugasił płonący stos, dym zaś wziął się stąd, że idąc do niej, mężczyzna rozrzucał nadpalone głownie.

Kobieta zwilżyła jej czoło. Krople wody spłynęły dziewczynie po skroniach.

- *Hauccaym anchi towoem denswile?*

- Jestem Isabel de Beauvri - powiedziała Kivrin. - Jadę do Evesham, do brata, którego zmoęła choroba. - Nie była w stanie zebrać myśli na tyle, by spróbować sił w staroangielszczyźnie. - Gdzie jestem? - zapytała słabym głosem.

Czyjaś twarz zbliżyła się do jej twarzy.

- *Hau hightes towe?*

To znowu był rzezimieszek z zaklętego lasu. Przerażona, cofnęła się raptownie.

- Odejdź! - zażądała. - Czego chcesz ode mnie?

- *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus sancti.*

Łacina, pomyślała z ulgą. Gdzieś w okolicy musi mieszkać ksiądz. Uniosła głowę i rozejrzała się po pokoju, ale nikogo nie dostrzegła, tyle było tam dymu. Przecież ja też znam łacinę, uświadomiła sobie. Pan Dunworthy dopilnował, żebym się jej nauczyła.

- Nie powinniście go tu wpuszczać - powiedziała. - To bandyta!

Bolało ją gardło i miała trudności z oddychaniem, lecz sądząc po reakcji rzezimieszka, który cofnął się gwałtownie, jakby zaskoczony, nie tylko usłyszeli jej słowa, ale także je zrozumieli.

- Nie obawiaj się - odparł kapłan. Ona również rozumiała go bez trudu. - Wkrótce wrócisz do domu.

- Na miejsce przeskoku? Odwieziecie mnie na miejsce przeskoku?

- *Asperges me, Domine, hyssope et mundabor.*

Namaścisz mnie, Panie, i zostanę oczyszczony. Rozumiała wszystko, co do niej mówił.

- Pomóż mi - odezwała się ponownie po łacinie. - Muszę wrócić tam, skąd przybyłam.

- ...*nominus*... - wymamrotał ksiądz tak cicho, że dosłyszała tylko to jedno słowo. Imię. Coś o imieniu. Uniósłszy głowę stwierdziła, że jest zdumiewająco lekka, jakby spłonęły jej wszystkie włosy.

- Moje imię? - zapytała szeptem.

- Czy możesz powiedzieć mi swoje imię? - powtórzył. Powinna przedstawić się jako Isabel de Beauvri, córka Gilberta de Beauvri z East Riding, ale gardło bolało ją tak bardzo, iż obawiała się, że nie zdoła wygłosić tak długiej przemowy.

- Muszę wracać - wyszeptała. - Nie będą wiedzieli, gdzie mnie szukać.

- *Confiteor deo omnipotenti.*

Głos kapłana dobiegał z bardzo daleka. Usiłowała spojrzeć w tamtą stronę, ale za plecami zbira z okrutną twarzą szalały płomień. Widocznie znowu podpalono stos.

- *Beatae Mariae semper Virgini...*

Przygotowuje mnie do spowiedzi, przemknęło jej przez głowę. Ten z czerwoną twarzą powinien wyjść. Nikt oprócz kapłana nie ma prawa słuchać mojej spowiedzi.

Wreszcie nadeszła kolej na nią. Chciała złożyć ręce do modlitwy, ale była tak słaba, że ksiądz musiał jej pomóc, potem zaś podpowiedział właściwe słowa, które nie wiadomo czemu akurat wtedy wyleciały jej z pamięci.

- Wybacz mi, Ojcze, bo zgrzeszyłam. Wyznaję Bogu Wszechmogącemu i tobie, Ojcze, że zgrzeszyłam myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem.

- *Mea culpa* - podjęła bez jego pomocy. - *Mea culpa, mea maxima culpa.*

Myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem... Tak, to prawda, ale przecież miała powiedzieć coś zupełnie innego!

- W jaki sposób grzeszyłaś? - zapytał kapłan.

- Grzeszyłam? - powtórzyła ze zdziwieniem.

- Tak - odparł łagodnie i pochylił się tak nisko, że prawie dotknął ustami jej ucha. - Możesz wyznać mi swoje grzechy i dostaniesz odpuszczenie, aby uzyskać wstęp do Królestwa Niebieskiego.

Chciałam tylko na własne oczy zobaczyć średniowiecze, pomyślała. Staralam się ze wszystkich sił, uczyłam się języków i zwyczajów, robiłam wszystko, co kazał pan Dunworthy. Chciałam zostać historykiem.

Przełknęła ślinę, która miała temperaturę roztopionego ołowiu.

- Nie zgrzeszyłam.

Ksiądz cofnął się. Kivrin uznała, że chyba obraził się na nią za to, że nie chciała wyznać mu swoich grzechów.

- Powinnam posłuchać pana Dunworthy'ego i nie ruszać się z miejsca przeskoku.

- *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus sancti. Amen* - powiedział kapłan łagodnym głosem, niosącym pocięchę i ukojenie. Chwilę potem poczuła na czole dotknięcie jego chłodnej ręki.

- *Quid quid deliquisti* - wyszeptał. - Poprzez te święte oleje i Jego łaskę...

Dotknął jej oczu, uszu i nosa, tak łagodnie, że poczuła tylko zapach i delikatne muśnięcie olejków. To nie należy do sakramentu pokuty, uświadomiła sobie nagle. On udziela mi ostatniego namaszczenia.

- Ja nie...

- Nie obawiaj się - powiedział. - Oby dobry Pan wybaczył ci wszystkie grzechy, jakie popełniłaś stając po ziemi...

Ugasił ogień, który przez cały czas płonął u jej stóp.

- Dlaczego udzielasz mi ostatniego namaszczenia? - zapytała Kivrin, po czym przypomniała sobie, że przecież palą ją na stosie. Umrę tutaj, a pan Dunworthy nigdy się nie dowie, co ze mną zrobili.

- Nazywam się Kivrin - wyszeptała. - Proszę, przekaz panu Dunworthy'emu, że...

- Obyś dostąpiła łaski i stanęła przed swoim Zbawicielem - ciągnął kapłan, tyle że teraz widziała wyraźnie, iż nie jest żadnym kapłanem, tylko bandytą z lasu. - A stojąc przed Nim, obyś ujrzała prawdę w najczystszej postaci.

- Ja umieram, prawda? - zapytała.

- Nie masz się czego obawiać - odparł, ujmując ją za rękę.

- Nie zostawiaj mnie samej! - poprosiła, i mocno zacisnęła palce na jego dłoni.

- Nie opuszczę cię. - Dym zgęstniał tak bardzo, że znowu prawie nic nie widziała. - Oby najłaskawszy Bóg zlitował się nad tobą, wybaczył ci grzechy i dał ci życie wieczne.

- Panie Dunworthy, niech mnie pan stąd zabierze! - szepnęła.

Chwilę potem od kapłana oddzieliła ją ściana huczącego ognia.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(000806-000882)

Domine, mittere digneris sanctum Angelum tuum de caelis, qui custodial, foveat, protegat, visitet, atque defendat omnes habitantes in hoc habitaculo.

(przerwa)

Exaudi orationim meam et clamor meus ad te venial. [2]

O co chodzi, Badri? Co się stało?

- Zimno... - wymamrotał technik.

Dunworthy pochylił się nad nim i przykrył go kocem. Koc był niewiele grubszy od papierowego kombinezonu, który kazano mu założyć. Nic dziwnego, że Badriemu było zimno.

- Dziękuję - wyszeptał technik, po czym wysunął rękę spod przykrycia, zacisnął ją na przegubie Dunworthy'ego i zamknął oczy.

Dunworthy z niepokojem zerknął na wskaźniki, lecz w dalszym ciągu nie mógł z nich nic wyczytać. Temperatura nadal wynosiła 39,9 stopni Celsjusza. Nawet przez rękawiczkę czuł żar bijący od ręki Badriego; zwrócił także uwagę, że paznokcie technika stały się niemal granatowe, jego śniada skóra wyraźnie pociemniała, twarz zaś sprawiała wrażenie jeszcze bardziej mizernej niż wtedy, kiedy go przywieziono do szpitala.

Do izolátky weszła siostra oddziałowa. Ona również miała na sobie papierowy fartuch, posturą zaś do złudzenia przypominała panią Gaddson. Nic dziwnego, że Badri jej się bał.

- Mamy już skompletowaną listę kontaktów pierwotnych - oznajmiła ponurym tonem, a następnie wskazała na pierwszy monitor z prawej strony, przed którym stała standardowa komputerowa klawiatura.

Wykaz został podzielony na godzinowe bloki. U dołu listy Dunworthy dostrzegł nazwiska Mary, siostry oddziałowej, a także swoje; przy każdym znajdowały się literki "kom" mające zapewne oznaczać, że cała trójka miała na sobie szczelne wyjałowione kombinezony.

- W górę - polecił.

Przez ekran zaczęły przesuwać się nazwiska innych osób, z którymi Badri stykał się w ciągu minionych dwóch dni: sanitariusze z karetki, obsługa techniczna sieci, znajomi. W poniedziałek Badri spędził całe przedpołudnie w Londynie, wybierając miejsce przeskoku dla historyka z Jesus College. Wrócił metrem około południa, po czym o wpół do drugiej zjawił się u Dunworthy'ego. Rozstali się około czwartej.

Dunworthy podszedł do klawiatury i uzupełnił dane widniejące na ekranie monitora. Badri opowiadał mu o swoim pobycie w Londynie, ale kiedy tam pojechał?

"Londyn - sprawdzić w Jesus College, kiedy wysłali Badriego" - wystukał na klawiaturze.

- Czasem odzyskuje przytomność, ale zaraz potem ją traci - stwierdziła z dezaprobatą pielęgniarka. - Wszystko przez tę gorączkę.

Sprawdziła podłączenia kroplówek, poprawiła pościel i wyszła z pokoju.

Odgłos zamykanych drzwi wyrwał Badriego z drzemki. Otworzył oczy, po czym zamrugał szybko.

- Muszę zadać panu kilka pytań - powiedział Dunworthy, korzystając ze sposobności. - Musimy ustalić, z kim się pan widywał i z kim rozmawiał. Nie chcemy, żeby ktoś jeszcze zachorował. Gdyby udało nam się dotrzeć do tych ludzi, być może zdołalibyśmy zapobiec epidemii.

- Kivrin. - Badri mówił cicho, prawie szeptem, ale jego palce były silnie zaciśnięte na ręce Dunworthy'ego. - W laboratorium.

- Dziś rano? - zapytał Dunworthy. - A może wcześniej? Czy spotkał się pan z Kivrin wczoraj albo przedwczoraj?

- Nie.

- Co robił pan wczoraj?

- Sprawdziałem sieć.

Palce o granatowych paznokciach zacisnęły się jeszcze mocniej.

- Przez cały dzień?

Pokręcił głową. Musiał to być dla niego duży wysiłek, ponieważ urządzenia pomiarowe zareagowały serią alarmujących pisków i miganiem kontrolnych lampek.

- Chciałem się z panem spotkać.

- Wiem, dostarczono mi wiadomość od pana. Co robił pan później? Spotkał się pan z Kivrin?

- Kivrin... - powtórzył technik. - Sprawdziłem obliczenia Puchalskiego.

- Czy były prawidłowe?

- Tak - odparł Badri ze zmarszczonymi brwiami.

- Jest pan pewien?

- Tak. Przeliczyłem wszystko dwa razy. - Umilkł na chwilę, by złapać oddech. - Uruchomiłem dwie niezależne procedury kontrolne.

Z piersi Dunworthy'ego wyrwało się westchnienie ulgi. A więc współrzędne zostały obliczone prawidłowo.

- A co z poślizgiem? Jak duży był poślizg?

- Okropnie bolała mnie głowa... - wymamrotał Badri. - Od rana. Chyba za dużo wypilem na przyjęciu.

- Na jakim przyjęciu?

- Jestem zmęczony...

- Na jakim był pan przyjęciu? - nie ustępował Dunworthy, czując się niemal jak inkwizytor. - I kiedy? W poniedziałek?

- We wtorek - odparł Badri. - Za dużo wypilem.

Powoli przekręcił głowę na poduszce.

- Niech pan postara się odpocząć. - Dunworthy najdelikatniej jak mógł uwolnił rękę z uścisku palców Badriego. - Najlepiej gdyby udało się panu zasnąć.

- Miło, że pan przyszedł - powiedział technik, wyciągając rękę.

Dunworthy uściśnął ją, po czym obserwował w milczeniu, jak technik ponownie odwraca głowę na bok i natychmiast zasypia. Znowu zaczęło padać. Zza zasłoniętego okna dobiegał monotony szmer deszczu.

Do tej pory Dunworthy nie zdawał sobie sprawy, że Badri jest tak poważnie chory. Zanim martwił się o Kivrin, żeby poświęcać mu więcej uwagi. Być może zbyt pochopnie ocenił Montoyę i pozostałych; wszyscy mieli przecież swoje obowiązki i żadne z nich, nawet on, nie zadało sobie trudu, by zastanowić się, czy choroba Badriego nie oznacza czegoś poważniejszego niż chwilowe utrudnienia w codziennym życiu. Nawet słowa Mary, która całkiem serio brała pod uwagę możliwość wybuchu epidemii, nie dały im nic do myślenia, podobnie jak fakt, że Badri przeszedł wszystkie obowiązkowe szczepienia, a jednak leży tu, w izolacji, z temperaturą sięgającą czterdziestu stopni.

Czas mijał powoli. Dunworthy wsłuchiwał się w szmer deszczu oraz dobiegające z daleka bicie zegarów odmierzających kolejne kwadransy. Potężnie zbudowana siostra oddziałowa poinformowała go ponurym tonem, że kończy dyżur. Niedługo potem do izolacji weszła znacznie młodsza i drobniejsza, jasnowłosa pielęgniarka - przypuszczalnie praktykantka - by sprawdzić, czy wszystko w porządku z kroplówkami i rzucić okiem na wskazania aparatury.

Badri to tracił przytomność, to ją odzyskiwał, ale za każdym razem, kiedy wracała mu świadomość, wydawał się bardziej wycieńczony i z coraz większym trudem udzielał odpowiedzi na pytania Dunworthy'ego.

Ten jednak nie rezygnował. Okazało się, że przedświąteczne przyjęcie odbyło się w Headington. Później Badri poszedł do pubu - niestety, nie był w stanie przypomnieć sobie jego nazwy. Poniedziałkowy wieczór spędził samotnie w laboratorium, sprawdzając obliczenia Puchalskiego. Z Londynu wrócił w południe, metrem. Sprawa przedstawiała się beznadziejnie: pasażerowie metra, uczestnicy przyjęcia, ludzie, z którymi zetknął się w Londynie... Nigdy nie uda się do wszystkich dotrzeć, nawet gdyby Badri znał nazwisko każdego z nich.

- Którędy szedł pan dziś rano do Brasenose? - zapytał Dunworthy, kiedy technik po raz kolejny odzyskał przytomność.

- Rano? - powtórzył ze zdziwieniem technik, spoglądając na zasłonięte okno, jakby spodziewał się ujrzeć za nim jasny krąg słońca. - Jak długo spałem?

Dunworthy nie wiedział, co odpowiedzieć, bo przecież Badri przespał z przerwami już kilka dobrych godzin.

- Jest dziesiąta - odparł, zerknąwszy na zegarek. - Przywieźliśmy pana do szpitala o wpół do drugiej. Rano kierował pan przeskokiem. Wysłał pan Kivrin w średniowiecze. Czy pamięta pan, kiedy po raz pierwszy poczuł się pan chory?

- Którego dziś mamy? - zapytał niespodziewanie Badri.

- Dwudziesty drugi grudnia. Jest pan tu dopiero niecałe pół doby.

- Rok! - wyszeptał technik, próbując usiąść w łóżku. - Który rok?

Dunworthy spojrział z niepokojem na monitory. Temperatura chorego osiągnęła prawie 40 stopni.

- 2054 - powiedział łagodnym tonem i pochylił się nad łóżkiem, by uspokoić mającego mężczyznę. - Dwudziesty drugi grudnia 2054 roku.

- Zostaw mnie!

Dunworthy wyprostował się i cofnął o dwa kroki.

- Zostaw mnie - powtórzył znacznie spokojniej Badri, podciągnął się wyżej i rozejrzał dokoła. - Gdzie jest pan Dunworthy? Muszę z nim porozmawiać.

- Tutaj jestem, Badri. - Chciał podejść do łóżka, ale zatrzymał się po pierwszym kroku, by nie wystraszyć chorego. - Co chce mi pan powiedzieć?

Jednak Badri go nie słyszał.

- W takim razie, gdzie może być? Przekaze mu pan wiadomość?

Wyciągnął rękę z nie istniejącą kartką. Dunworthy domyślił się, iż technikowi wydaje się, że jest znowu wtorkowe popołudnie, kiedy przyszedł do college'u Balliol.

- Muszę szybko wracać do sieci - ciągnął Badri, spoglądając na także nie istniejący zegarek. - Czy laboratorium jest otwarte?

- O czym chciał pan rozmawiać z panem Dunworthym? Może chodzi o poślizg?

- Nie. Cofnąć się! Ostrożnie, bo upuścisz! - Skierował na Dunworthy'ego spojrzenie nieprzytomnych, szklistych oczu. - Na co czekacie? Łapcie go!

Do pokoju weszła młoda pielęgniarka.

- Majaczy - poinformował ją Dunworthy.

Obrzuciła pacjenta obojętnym spojrzeniem, po czym skoncentrowała uwagę na aparaturze kontrolującej funkcjonowanie jego organizmu. Dla Dunworthy'ego ekrany monitorów, przez które przebiegały z ogromną szybkością kolumny liczb i śmigły różnobarwne, przecinające się wykresy, stanowiły co najmniej groźny, a

na pewno niepokojący widok, lecz pielęgniarka nie sprawiała wrażenia zatroskanej. Przyjrząwszy się uważnie ekranom, zajęła się regulowaniem kroplówek.

- Może tak byśmy się położyli, co? - rzuciła nie patrząc na Badriego i ten, o dziwo, natychmiast postąpił zgodnie z jej sugestią.

- Już myślałem, że pani sobie poszła - wyszeptał. - Dzięki Bogu...

Przerwał w pół zdania i znieruchomiał z częściowo przymkniętymi powiekami.

Zajęta kroplówkami pielęgniarka wciąż nie zwracała na niego uwagi.

- Stracił przytomność - oznajmił Dunworthy.

Bez słowa skinęła głową, a następnie podeszła do klawiatury i zaczęła wywoływać na monitorach kolejne wykresy. Gdyby nie śniady odcień skóry Badriego, jeszcze pogłębiony przez chorobę, technik z pewnością byłby śmiertelnie blady.

- Może powinna pani zawiadomić lekarza? - zasugerował Dunworthy.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła kobieta w aseptycznym kombinezonie. Ona także nie zaszczyciła pacjenta ani jednym spojrzeniem, tylko od razu skoncentrowała uwagę na wskazaniach przyrządów.

- Są jakieś objawy zapalenia płuc?

- Sinica i dreszcze - odparła siostra.

- Co dostaje?

- Myksowiromycynę.

Lekarka zdjęła z wieszaka słuchawki.

- Krwioplucie?

Tym razem pielęgniarka pokręciła przecząco głową.

- Zimno... - odezwał się Badri słabym głosem. Żadna z kobiet nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Ciałem technika zaczęły wstrząsać gwałtowne dreszcze. - Nie upuść tego! Przecież to chińska porcelana!

- Proszę przygotować pięćdziesiąt centymetrów roztworu penicyliny krystalicznej i kwas acetylosalicylowy - poleciła lekarka, po czym podniosła drżącego jak liść na wietrze Badriego do pozycji siedzącej, rozpięła mu szpitalną koszulę i przycisnęła do piersi końcówkę stetoskopu. Dunworthy odniósł wrażenie, iż zrobiła to znacznie mocniej niż było trzeba.

- Proszę głęboko odetchnąć - powiedziała, wpatrując się w miniaturowy ekran.

Badri nabrał powietrza, szcękając głośnie zębami.

- Niewielki naciek w dole lewego płata - oznajmiła lekarka, po czym przesunęła końcówkę centymetr w prawo. - Jeszcze jeden. - Powtórzyła kilka razy badanie, a następnie zapytała: - Udało się już go zidentyfikować?

- To myksowirus typu A - odparła pielęgniarka, napelniając strzykawkę.

- Zsekwencjonowany?

- Jeszcze nie.

Dziewczyna energicznie nacisnęła tłoczek i zawartość strzykawki znalazła się w jednym z przezroczystych woreczków z płynami sączącymi się powoli do krwiobiegu Badriego. Gdzieś na zewnątrz zadzwonił telefon.

Lekarka zapięła koszulę nocną pacjenta, położyła go z powrotem na łóżku, przykryła byle jak kocem, po czym bez słowa wyszła z pokoju. Telefon dzwonił w dalszym ciągu.

Dunworthy chciał jak najprędzej okryć Badriego, ale na razie nie mógł tego uczynić, ponieważ pielęgniarka właśnie podłączała kolejną kroplówkę. Zaczekał, aż upora się z tym zadaniem i wyjdzie, następnie zaś, na ile mógł, wygładził prześcieradło, okrył Badriemu ramiona i starannie upchał krawędzie koca pod materac.

- Tak lepiej? - zapytał, lecz nie uzyskał odpowiedzi, ponieważ technik przestał drżeć i spokojnie zasnął. Dunworthy zerknął na monitory; temperatura spadła do 39,2 a ostre krzywe wykresów wyraźnie złagodniały.

- Panie Dunworthy. - Umieszczony na ścianie głośnik przemówił głosem młodej pielęgniarki. - Telefon do pana. Dzwoni pan Finch.

Wyszedł z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi. Pielęgniarka, już w normalnym fartuchu, gestem kazała mu zdjąć kombinezon, a kiedy posłusznie ściągnął go i wrzucił do kosza na odpadki, wyciągnęła rękę po jego okulary i zaczęła spryskiwać je płynem dezynfekującym. Nie czekając na koniec tej operacji, Dunworthy sięgnął po słuchawkę i mrużąc oczy spojrzał na ekran.

- Dobrze, że pan jest! - wykrzyknął z ulgą Finch. - Wszędzie pana szukałem. Stało się coś strasznego.

- O co chodzi? - zapytał, spoglądając na zegarek. Dziesiąta. Jeśli okres wylegania istotnie wynosił dwaście godzin, było jeszcze za wcześnie, by ujawniły się kolejne ofiary wirusa. - Czy ktoś zachorował?

- Nie, proszę pana. To coś znacznie gorszego. Chodzi o panią Gaddson. Jest w Oxfordzie. Nie wiem w jaki sposób, ale udało jej się przedostać na obszar objęty kwarantanną!

- Wiem o tym. Przyjechała ostatnim pociągiem, do którego wdarda się siłą.

- Aha. W każdym razie, dzwoniła z kliniki. Uparła się, że musi zostać w Balliol i miała do mnie wielką pretensję, że nie opiekowałem się jak należy jej Willem, ponieważ to ja przydzielałem studentom opiekunów, a właśnie opiekun Williama kazał mu zostać na Święta w college'u i studiować Petrarke.

- Proszę jej powiedzieć, że nie mamy wolnych miejsc, ponieważ przeprowadzamy dezynfekcję pomieszczeń.

- Już to zrobiłem, proszę pana, ale ona postanowiła zamieszkać z Williamem. Szczerze mówiąc, nie chciałbym mu tego robić...

- Ani ja - odparł Dunworthy. - Są rzeczy, których ludzie nie zniosą nawet w najtrudniejszej sytuacji. Ostrzegł pan już Williama?

- Próbowałem, ale nie ma go na terenie college'u. Tom Gailey powiedział mi, że pan Gaddson udał się w odwiedziny do pewnej młodej damy w Shrewsbury, więc zadzwoniłem do niej, ale nikt nie odpowiadał.

- Przypuszczalnie dlatego, że byli pochłonięci lekturą sonetów Petrarki - mruknął Dunworthy, zastanawiając się jednocześnie, co się stanie, jeśli w drodze do college'u pani Gaddson spotka nie spodziewającą się niczego parę.

- Szczerze mówiąc, proszę pana, nie rozumiem dlaczego mieliby to robić - odparł Finch. - Ani dlaczego jego opiekun zalecił mu właśnie taką lekturę. Przecież to będzie dopiero pierwsza sesja egzaminacyjna Williama.

- Nieważne. Kiedy pani Gaddson dotrze do was, proszę ją umieścić w skrzydle Warrena. - Pielęgniarka przerwała polerowanie okularów Dunworthy'ego i spojrzała na niego podejrzliwie. - W ten sposób będzie przynajmniej po drugiej stronie dziedzińca. Niech pan wybierze pokój, z którego nic nie widać i sprawdzi, jakie mamy zapasy maści na wysypkę.

- Tak jest, proszę pana. Rozmawiałem z kwestorką z New College. Twierdzi, że pan Basingame powiedział jej przed wyjazdem tylko tyle, iż pragnie "wreszcie odpocząć od tego całego zamieszania", ale przypuszcza, że chyba zdradził komuś dokąd jedzie. Obiecała zapytać jego żonę, naturalnie jeśli uda jej się dodzwonić.

- Pytał pan o techników?

- Tak, proszę pana. Niestety, wszyscy rozjechali się do domów na Święta.

- A który z naszych mieszka najbliżej Oxfordu?

Finch zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba Andrews, proszę pana. W Reading. Mam podać jego numer?

- Tak. I proszę przygotować listę z adresami i numerami telefonów wszystkich pozostałych.

Finch podyktował mu numer telefonu Andrews'a.

- Przedsięwziąłem stosowne kroki w celu ograniczenia zużycia papieru toaletowego. We wszystkich toaletach wiszą tabliczki z napisem: "Nie trwoń dobra, którego możesz pożądać jutro".

- Wspaniale.

Dunworthy przerwał połączenie, po czym natychmiast zadzwonił do Andrews'a. Numer był zajęty.

Pielęgniarka wręczyła mu okulary oraz nowy kombinezon. Nauczony doświadczeniem, założył najpierw maskę, potem kaptur i całą resztę, dopiero na samym końcu rękawiczki. Cała procedura trwała przerażająco długo. Pozostało mu tylko mieć nadzieję, że pielęgniarka poradzi sobie znacznie szybciej, gdyby Badriemu trzeba było udzielić pomocy.

Najciszej jak potrafił wślizgnął się do izolátky. Technik wciąż był pogrążony w niespokojnym śnie. Dunworthy przede wszystkim spojrzał na wyświetlacz podający informację o temperaturze ciała pacjenta: 39,4. Wciąż bolała go głowa. Zdjął okulary, potarł czoło i nasadę nosa, po czym usiadł na składanym krzeselku i wziął do ręki listę osób, z którymi kontaktował się Badri oraz miejsc, gdzie przebywał w ciągu minionych dwóch dni. Było na niej mnóstwo luk i raczej należało liczyć się z tym, że już nie uda się ich wypełnić. Na przykład, jak nazywał się pub, do którego Badri poszedł po przyjęciu? Gdzie podziewał się w poniedziałek wieczorem i po południu? Punktualnie o dwunastej wrócił metrem z Londynu, Dunworthy zaś poprosił go, żeby otworzył się o wpół do drugiej. Co robił przez te półtorej godziny?

A dokąd poszedł we wtorek po południu, zaraz po tym, jak zjawił się w Balliol i zostawił wiadomość, że sprawdził parametry sieci? Z powrotem do laboratorium, czy może też do jakiegoś pubu? Może będąc w Balliol rozmawiał z kimś, kto mógłby teraz przynajmniej częściowo wyjaśnić tajemnicę. Kiedy tylko Finch zadzwoni ponownie, by donieść o najnowszych wydarzeniach związanych z pobytem rozwścieczonych członkiń amerykańskiego zespołu dzwonników oraz walce o ograniczenie zużycia papieru toaletowego, poprosi go, by rozpytał się dokoła, czy ktoś widział wtedy Badriego w college'u.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła jasnowłosa pielęgniarka w aseptycznym kombinezonie. Dunworthy odruchowo zerknął na ekrany monitorów, ale nie dostrzegł tam żadnych dramatycznych zmian. Badri wciąż spał. Siostra wprowadziła jakieś dane do komputera, sprawdziła podłączenia kroplówek, poprawiła koc, po czym odsunęła zasłonę i stanęła przy oknie, niepewnie obracając w palcach końcówkę sznura.

- Niechący podsłuchałam jak rozmawiał pan przez telefon - powiedziała. - Zdaje się, że wymienił pan nazwisko pani Gaddson. Przepraszam za śmiałość, ale czy może chodziło o matkę Williama Gaddsona?

- Tak - odparł, nie kryjąc zaskoczenia. - Zna go pani? Jest studentem pierwszego roku w Balliol.

- Owszem - szepnęła, oblewając się tak intensywnym rumieńcem, że Dunworthy dostrzegł go nawet przez maskę, która zakrywała większą część jej twarzy. - To mój... eee... kolega.

- Aha. - Kiedy ten chłopak ma czas czytać Petrarke? - przemknęło mu przez głowę. - Matka Williama jest teraz tutaj, w szpitalu - powiedział, czując, że powinien ostrzec dziewczynę, choć nie bardzo wiedział przed czym. - Zdaje się, że przyjechała do niego ze świąteczną wizytą.

- Jest tu, w szpitalu? - Pielęgniarka zarumieniła się jeszcze bardziej. - Myślałam, że skoro ogłoszono kwarantannę...

- Przyjechała ostatnim pociągiem z Londynu - poinformował ją ze smutkiem Dunworthy.

- Czy William już wie?

- Mój sekretarz robi wszystko, żeby jak najprędzej się z nim skontaktować - odparł, przemilczając młodą damę z Shrewsbury.

- Jest teraz w bibliotece - poinformowała go. - Czyta Petrarke.

Wyplątała spomiędzy palców sznur od zasłon, po czym wyszła szybkim krokiem, przypuszczalnie po to, by czym prędzej zatelefonować do biblioteki.

Badri poruszył się na łóżku i wymamrotał coś niewyraźnie. Miał rozpaloną gorączką twarz i oddychał ze znacznie większym trudem niż przed kilkoma minutami.

- Badri?

Technik otworzył oczy.

- Gdzie jestem?

Dunworthy spojrział na monitory. Gorączka spadła o pół stopnia i chory wydawał się nieco bardziej przytomny.

- W szpitalu - odparł. - Zemdlał pan w laboratorium w Brasenose, podczas monitorowania przeskoku. Pamięta pan?

- Pamiętam tylko tyle, że poczułem się jakoś dziwnie. Zrobiło mi się okropnie zimno. Poszedłem do pubu, bo chciałem panu powiedzieć, że zlokalizowałem...

Umilkł, a przez jego twarz przemknął grymas lęku i niepokoju.

- Powiedział pan też, że coś się nie zgadza, że coś jest nie w porządku. O co chodziło? O poślizg?

- Coś jest nie w porządku... - powtórzył Badri, po czym spróbował oprzeć się na łokciu. - Co się ze mną dzieje?

- Jest pan chory - poinformował go Dunworthy. - Złapał pan grypę.

- Chory? Ja nigdy nie chorowałem. - Bezszykownie usiłował podciągnąć się do pozycji siedzącej. - Oni umarli, prawda?

- Kto taki?

- Wszyscy zginęli.

- Z kim pan się spotykał? Proszę się skupić, bo to bardzo ważne. Kto mógł zarazić się od pana wirusem?

- Wirusem? - W głosie technika brzmiała ogromna ulga. - A więc to wirus?

- Tak. Jakaś odmiana grypy, na szczęście niezbyt groźna. Wkrótce będą mieli gotowy lek przeciwko temu typowi wirusa i nawet się pan nie obejrzy, kiedy będzie pan zdrowy. Od kogo mógł go pan złapać?

- Nie wiem. - Badri opadł na poduszkę. - Wydawało mi się, że... - Umilkł i spojrział z niepokojem na Dunworthy'ego. - Coś się nie zgadza!

- Co pan ma na myśli?

Oczy technika zrobiły się okrągłe z przerażenia.

- Boże, to boli!

Dunworthy nacisnął przycisk dzwonka. Niemal natychmiast zjawiły się pielęgniarka i lekarka, która ponownie poddała pacjenta badaniu lodowatym stetoskopem.

- Narzekał na zimno - powiedział Dunworthy. - I na ból.

- Gdzie pana boli? - zapytała lekarka, nie odrywając wzroku od przyrządów.

- Tutaj.

Badri wskazał prawą stronę klatki piersiowej. Jego ciałem znowu zaczęły wstrząsać gwałtowne dreszcze.

- Naciek w dolnej części prawego płata - stwierdziła lekarka.

- Boli mnie przy oddychaniu - poskarżył się Badri, szcękając zębami. - Coś jest nie w porządku.

Coś jest nie w porządku. A więc nie miał na myśli przeskoku, tylko własne zdrowie. Ile mógł mieć lat? Tyle co Kivrin? Regularne szczepienia całej populacji rozpoczęto niecałe dwadzieścia lat temu. Twierdząc, że nigdy nie chorował, miał zapewne na myśli, iż nie miały się go żadne zaziębenia.

- Podać tlen? - zapytała jasnowłosa siostra.

- Jeszcze nie - odpowiedziała lekarka. Była już przy drzwiach. - Chwilowo ograniczymy się do dwustu jednostek chloramfenicolu.

Pielęgniarka ułożyła Badriego w pościeli, dołączyła do kroplówki kolejny plastikowy woreczek z przezroczystą zawartością, przez minutę lub dwie obserwowała zmieniające się wskazania elektronicznego termometru, po czym także wyszła z pokoju.

Dunworthy spojrział przez okno. Zapatrzony w deszczową noc, zaczął się zastanawiać: "Poczułem się jakoś dziwnie" - tak powiedział Badri. Nie źle, nie chory, tylko dziwnie. Na kimś, kto nigdy nie miał kataru, gorączka i dreszcze istotnie mogły wyrzucić piorunujące wrażenie. To jasne, że zupełnie zdezorientowany, wybiegł z laboratorium w poszukiwaniu Dunworthy'ego, aby mu o tym powiedzieć. Coś się nie zgadza. Coś jest nie w porządku.

Zdjął okulary i potarł oczy. Szczypały go, zapewne za sprawą środka dezynfekującego, którym pielęgniarka spryskała okulary. Był kompletnie wyczerpany, ale, jak powiedział wcześniej, i tak nie zdołałby zasnąć nie mając pewności, że Kivrin jest cała, zdrowa, i nic jej nie grozi. Badri spał jak dziecko, ukołysany do snu chemicznymi czarami medycyny. Kivrin zapewne też spała, tyle że w jakimś zapchlonym łóżku siedemset lat stąd... Albo siedziała przy stole, a jej nienaganne maniery i brudne paznokcie wzbudzały podziw... Albo klęczała na kamiennej podłodze ze złożonymi jak do modlitwy rękami, opowiadając swoje najnowsze przygody.

Chyba jednak zapadł w drzemkę, ponieważ wydawało mu się, że słyszy sygnał telefonu. Dzwonił Finch z informacją, że Amerykanki zamierzają oskarżyć władze college'u o celowe i nieuzasadnione ograniczanie dostępu do papieru toaletowego, pastor natomiast przysłał krótki liścik z cytatem z Pisma Świętego.

- Ewangelia według św. Fincha, rozdział drugi, wiersz jedenasty - powiedział Finch. - "Nie trwoń dobra, którego możesz pożądać jutro".

Dunworthy nie dowiedział się, co było dalej, ponieważ właśnie wtedy pielęgniarka otworzyła drzwi i powiedziała mu, że Mary chce się z nim zobaczyć w izbie przyjęć.

Odruchowo spojrział na zegarek; było dwadzieścia po czwartej. Badri wciąż spał z nieruchomą, spokojną twarzą. Pielęgniarka czekała na zewnątrz z środkiem dezynfekującym w ręce; spryskawszy okulary poradziła mu, by pojechał windą.

Nieprzyjemny, intensywny zapach pomógł mu wrócić do rzeczywistości. Kiedy winda zatrzymała się na parterze, był już prawie zupełnie przytomny. Mary czekała na niego w kombinezonie i masce na twarzy.

- Mamy drugi przypadek - powiedziała, wręczając mu zapakowany w folię kombinezon. - Przypuszczalnie to jedna z osób, które mijaliście na ulicy. Może uda ci się ją zidentyfikować.

Założenie kombinezonu przyszło mu niemal z takim samym trudem jak za pierwszym razem. Niewiele brakowało a pozrywałby samoprzylepne taśmy służące do zapinania ubioru.

- Na High Street były wtedy setki ludzi - odparł, wciągając rękawiczki. - A ja patrzyłem tylko na Badriego. Wątpię, czy uda mi się kogokolwiek rozpoznać.

- Wiem.

Mary otworzyła szklane drzwi i poprowadziła go korytarzem w głąb oddziału. Czuł się tak, jakby poprzednio był tutaj wiele lat temu.

Dwóch sanitariuszy w papierowo-plastikowych kombinezonach pchało przed sobą nosze na kółkach. Pacjentka była przykryta po szyję szpitalnym kocem. Druga kobieta, w ociekającym wodą płaszczu przeciwdeszczowym, udzielała informacji ubranej w ochronny strój rejestratorce.

- Nazywa się Beverly Breen - powiedziała przyciszonym głosem. - Mieszka w Surbiton, Plover Way 226. Od razu zorientowałam się, że coś z nią nie tak, kiedy tylko zaczęła mnie przekonywać, żebyśmy pojechały metrem do Northampton.

W jednej ręce trzymała złożoną parasolkę, w drugiej dużą damską torebkę. Kiedy rejestratorce zapytała ją o numer ubezpieczenia pacjentki, oparła parasolkę o ścianę, otworzyła torebkę i zaczęła przeglądać jej zawartość.

- Jej przyjaciółkę przywieziono przed chwilą ze stacji metra - poinformowała Mary Dunworthy'ego. - Skarżyła się na ból głowy i przejmujące uczucie zimna. Obie czekały tam na przydzielenie tymczasowej kwatery.

Dała znak sanitariuszom, żeby zatrzymali się na chwilę, po czym zsunęła nieco koc, aby mógł lepiej przyjrzeć się chorej, lecz było to zupełnie niepotrzebne.

Kobieta w mokrym płaszczu przeciwdeszczowym wreszcie znalazła legitymację ubezpieczeniową przyjaciółki, wręczyła ją urzędnikowi, po czym zapięła torebkę, założyła ją na ramię, wzięła do ręki parasolkę i także zbliżyła się do noszy. Parasolka była ogromnych rozmiarów, w przeraźliwie kolorowe kwiaty - Badri zderzył się z nią w drodze powrotnej do laboratorium - powiedział Dunworthy.

- Jesteś tego pewien?

- Rozpoznałem ją po parasolce - odparł, wskazując ruchem głowy kobietę, która usiadła na jednym z krzeseł stojących przy ścianie i zajęła się wypełnianiem formularzy.

- Która to mogła być godzina?

- Nie jestem pewien. Jakoś po pierwszej... Może wpół do drugiej?

- Otarł się o nią, czy wyminął w ostatniej chwili?

- Wpadł na nią całym pędem. Wytrącił jej z ręki parasolkę, przeprosił, ona zaczęła na niego wrzeszczeć, podał jej parasolkę i pobiegł dalej.

- Czy zakasłał albo kichnął?

- Nie pamiętam.

Sanitariusze powieźli kobietę na noszach w głąb oddziału. Mary ruszyła za nimi.

- Trzeba położyć ją w izolatce - powiedziała.

Przyjaciółka chorej zerwała się z krzesła, niezgrabnie przyciskając do piersi plik częściowo wypełnionych formularzy.

- W izolatce? - powtórzyła z niepokojem. - Czy to coś poważnego?

- Proszę iść ze mną - rzuciła Mary przez ramię, po czym zaprowadziła kobietę gdzieś, gdzie ubrana w sterylny kombinezon pielęgniarka pobierze jej krew i spryska środkiem dezynfekującym kwiecistą parasolkę. Znikły tak szybko, że Dunworthy nawet nie zdążył zapytać, czy może już sobie pójść. Otworzył usta, by zadać to pytanie rejestratorce, ale zrezygnował i opadł ciężko na krzesło. Obok leżała broszurka o zachęcającym tytule: "Nie ma nic ważniejszego niż zdrowy sen".

Po drzemce na niewygodnym składanym krzeselku odczuwał ból karku, a w dodatku znowu zaczęły piec go oczy. Zdawał sobie sprawę, iż powinien wrócić do pokoju Badriego, ale nie był pewien, czy zdoła jeszcze raz powtórzyć rytuał polegający na zdejmowaniu starego i zakładaniu nowego kombinezonu. Poza tym i tak nie zdobyłby się na taką bezwzględność, by obudzić Badriego i zapytać, kto jeszcze zostanie przywieziony do szpitala z bólem głowy, dreszczami i temperaturą sięgającą 39,5 stopnia.

W każdym razie na pewno nie Kivrin. Zegarek Dunworthy'ego wskazywał wpół do piątej. Zderzenie Badriego z kobietą uzbrojoną w kolorową parasolkę nastąpiło o wpół do drugiej. Oznaczało to, że okres inkubacji wirusa wynosi piętnaście godzin, a piętnaście godzin temu Kivrin była w pełni zabezpieczona przez zarażeniem.

Wróciła Mary, bez czepka, z maską zsunietą z twarzy. Miała potargane włosy i wydawała się równie zmęczona jak Dunworthy.

- Pani Gaddson może sobie iść, dokąd chce - poinformowała rejestratorkę. - Tylko proszę jej przypomnieć, żeby zgłosiła się o siódmej na badanie krwi. - Podeszła do Dunworthy'ego. - Zupełnie o niej zapomniałam - powiedziała z uśmiechem. - Sprawiała wrażenie niezbyt zachwyconej. Groziła mi nawet, że oskarży mnie o bezprawne ograniczenie wolności osobistej.

- Powinna za to łatwo dogadać się z moimi dzwoniczkami, bo one z kolei chcą podać mnie do sądu w związku z niewypełnieniem ustaleń zawartych w kontrakcie.

Mary przesunęła ręką po zmierzwionych włosach.

- Światowe Centrum Badań nad Grypą wreszcie zidentyfikowało wirusa - oznajmiła, po czym zerwała się z krzesła, jakby dostała zastrzyk energii. - Myślę, że przydałaby mi się filiżanka herbaty. Chodźmy.

Dunworthy zerknął niepewnie na rejestratorkę, która przez cały czas nie spuszczała z nich uważnego spojrzenia, a następnie z wysiłkiem dźwignął się na nogi.

- Będę w poczekalni przy sali zabiegowej - oznajmiła Mary.

- Dobrze, pani doktor. - Dziewczyna zawahała się wyraźnie, po czym powiedziała nieśmiało: - Niechcący podsłuchałam państwa rozmowę...

Mary znieruchomiała.

- Najpierw powiedziała mi pani, że pani Gaddson może wyjść ze szpitala, a potem wspomniała pani o Williamie... Czy to możliwe, żeby pani Gaddson była matką Williama Gaddsona?

- Owszem - odparła Mary, spoglądając ze zdziwieniem na dziewczynę.

- Pani jest jego koleżanką? - zapytał Dunworthy, zastanawiając się, czy rejestratorka zarumieni się tak samo jak jasnowłosa pielęgniarka.

Tak właśnie się stało.

- Poznaliśmy się kilka dni temu, już podczas ferii. Musiał zostać na uczelni, żeby nadrobić zaległości w lekturze Petrarcki.

- Jak widzę, to chyba nie jedyny powód - mruknął Dunworthy, po czym, nie czekając aż intensywny rumieniec zniknie z twarzy dziewczyny, otworzył przed Mary drzwi z wywieszką: ODDZIAŁ IZOLACYJNY - WSTĘP WZBRONIONY, ujął ją pod ramię i poprowadził korytarzem.

- O co tu chodzi, na litość boską? - zapytała.

- Chorowity William daje sobie radę lepiej, niż przypuszczaliśmy - odparł tajemniczo, otwierając drzwi do pokoju, w którym niedawno miał okazję spędzić kilka godzin.

Mary włączyła światło, podeszła do stolika przy ścianie, potrząsnęła elektrycznym czajnikiem, wyjęła wtyczkę z kontaktu i zniknęła na chwilę w toalecie. Ktoś zabrał tacę z próbkami i przesunął stolik, ale torba z zakupami wciąż zajmowała honorowe miejsce na podłodze na samym środku pomieszczenia. Dunworthy wepchnął ją pod jedno z krzesel.

Mary wróciła z napełnionym czajnikiem, postawiła go na małym stoliku i podłączyła do prądu.

- Udało ci się ustalić, z kim kontaktował się Badri? - zapytała.

- W pewnym sensie. Wczoraj wieczorem uczestniczył w świątecznym przyjęciu w Headington. W obie strony jechał metrem. Czy to coś poważnego?

Wyjęła z pudełka dwie torebki z herbatą i położyła je na spodeczkach obok filiżanek.

- Chyba będziemy musieli zadowolić się mlekiem w proszku. Wiesz może, czy ostatnio spotykał się z kimś ze Stanów?

- Nie mam pojęcia. Czemu o to pytasz?

- Słodzisz?

- Czy to coś poważnego? - powtórzył pytanie.

Nasypała do filiżanek mleka w proszku.

- Mam dwie wiadomości: dobrą i złą. Zła jest taka, że Badri jest bardzo chory. - Wsypała cukier. - Odbył obowiązkowe szczepienia według norm obowiązujących na Uniwersytecie, znacznie surowszych niż te opracowane przez Ministerstwo Zdrowia. Powinien być całkowicie odporny na mutacje pięciopunktowe i częściowo na dziesięciopunktowe; niestety, ma typowe objawy ciężkiej grypy, co świadczyłoby o tym, że mutacja była jeszcze większa.

Z dzióbka czajnika wydobywała się ze świstem para, lecz żadne z nich nie zwracało na to uwagi.

- A więc to epidemia.

- Tak.

- Pandemia?

- Całkiem możliwe, jeśli nie uda się zsekwencjonować wirusa, jeśli personel szpitala przestraszy się i weźmie nogi za pas albo jeśli kwarantanna nie będzie stuprocentowo skuteczna.

Dopiero teraz podeszła do czajnika, wyłączyła go i napełniła filiżanki wrzątkiem.

- Teraz dobra wiadomość: Światowe Centrum Badań nad Grypą uważa, że wirus dotarł do nas z Południowej Karoliny. - Podała herbatę Dunworthy'emu. - Jeśli to prawda, wówczas jest już zsekwencjonowany, istnieje lek, który go skutecznie zwalcza oraz szczepionka dla tych, którzy jeszcze się z nim nie zetknęli. Wiadomo też, że nie jest groźny dla życia.

- Ile wynosi okres inkubacji?

- Dwanaście do czterdziestu ośmiu godzin. - Podniosła filiżankę, po czym ostrożnie umoczyła usta. - Wysłali już próbki krwi do Atlanty w celu przeprowadzenia badań porównawczych. Lada chwila powinniśmy otrzymać stamtąd wskazówki dotyczące metod leczenia.

- Kiedy dokładnie Kivrin zgłosiła się do kliniki na szczepienia?

- W poniedziałek o trzeciej po południu i została do dziewiątej rano we wtorek. Zatrzymałam ją na noc, choć właściwie nie było takiej potrzeby, ale chciałam mieć pewność, że się porządnie wyśpi.

- Badri twierdzi, że wczoraj jej nie widział - powiedział Dunworthy. - Mogli jednak spotkać się w poniedziałek, zanim przyszła do szpitala.

- Po to, żeby groziło jej jakieś niebezpieczeństwo, musiałyby zetknąć się z wirusem przed szczepieniem, sam wirus zaś musiałby mieć wystarczająco dużo czasu, aby się rozmnożyć. Nawet jeżeli rozmawiała z Badrim w poniedziałek albo we wtorek, miała mniejsze szanse na zarażenie się niż na przykład ty albo ja. - Spojrzała na niego uważnie. - Wciąż myślisz o przeskoku, prawda?

Pokręcił głową, ale wypadło to niezbyt przekonująco.

- Badri twierdzi, że w obliczeniach Puchalskiego nie znalazł żadnego błędu. Powiedział też Gilchristowi, że poślizg był minimalny.

Szkoda, że nie powtórzył tego, kiedy go zapytałem, dodał w myślach.

- Więc co jeszcze mogłoby pójść nie tak jak należy? - zdziwiła się Mary.

- Nie wiem. Chyba nic. Tyle że jest teraz zupełnie sama w średniowieczu.

Mary odstawiła filiżankę.

- Przypuszczalnie będzie tam bezpieczniejsza niż tutaj. Wkrótce ten szpital zapełni się pacjentami. Grypa rozprzestrzenia się szybciej niż ogień, a kwarantanna tylko pogorszy sytuację. Najbardziej narażony jest zawsze personel medyczny; jeśli oni zachorują albo jeśli skończy nam się zapas leków, nasze stulecie także dostanie dziesiątkę. - Ze znużeniem przesunęła ręką po zmierzwionych włosach. - Wybacz, ale chyba przemawia przede mną zmęczenie. Bądź co bądź, to przecież nie średniowiecze ani nawet nie dwudziesty wiek. Mamy metabolizery i przyspieszacze, a jeśli okaże się, że zaatakował nas wirus z Południowej Karoliny, będą też skuteczne leki i szczepionki. Mimo wszystko cieszę się jednak, że Colin i Kivrin są daleko stąd.

- Szczególnie ona, bezpieczna w mrokach średniowiecza - mruknął Dunworthy.

Uśmiechnęła się do niego.

- Wśród rzezimieszków.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadł wysoki jak na swój wiek chłopiec w ogromnych buciorach, z szycją obwiązaną szalikiem w barwach jakiegoś klubu. Z jego przemoczonego ubrania kapąła woda, tworząc na podłodze szybko powiększającą się kałużę.

- Colin! - wykrzyknęła Mary.

- A więc tu jesteś, babciu - powiedział chłopiec. - Wszędzie cię szukałem.

CZĘŚĆ 2

W samym środku lutej zimy
Wył żałośnie ostry wiatr,
Ziemia zmarzła na żelazo,
Wodę skuł siarczysty mróz.
Ziąb okrutny spadł na świat
W bardzo srogą, straszną zimę
Sprzed tak wielu, wielu lat.

Christina Rosetti

10.

Ogień wygasł. Kivrin wciąż czuła wyraźną woń dymu, ale wiedziała, iż wydobywa się on z paleniska a nie z żadnego stosu. Nic dziwnego, pomyślała, przecież kominy pojawiły się w angielskim krajobrazie pod koniec XIV wieku, a teraz mamy dopiero jego początek. Zaraz potem wszystko sobie przypomniała: jest rok 1320, a ona zachorowała. Miała gorączkę.

Przez długą chwilę nie starała się myśleć o niczym więcej. Wspaniale było po prostu leżeć i odpoczywać. Czuła się zupełnie wycieńczona, jakby niedawno przeszła jakąś wyczerpującą próbę, która pozbawiła ją sił. Wydawało mi się, że chcę spalić mnie na stosie, przemknęło jej przez głowę. Doskonale pamiętała, jak walczyła o życie, jak płomienie wspinały się coraz wyżej, liżąc jej ręce, jak zajęły się jej włosy...

Ostrzygli mnie, pomyślała, i zaraz zaczęła się zastanawiać, czy to rzeczywiste wspomnienie, czy tylko kolejny wytwór rozgorączkowanej wyobraźni. Była zanadto zmęczona, by podnieść rękę i przesunąć nią po włosach, ba, nie chciało jej się nawet nad tym zastanawiać. Jestem bardzo chora, pomyślała tylko. Wezwali księdza, który udzielił mi ostatniego namaszczenia. "Niczego się nie obawiaj", tak powiedział. "Wkrótce wrócisz do domu". *Requiescat in pace*.

Zasnęła.

Kiedy się znowu obudziła, w pokoju panowały głębokie ciemności, a gdzieś z daleka dobiegało bicie dzwonu. Nie wiedzieć czemu od razu nabrała pewności, że uderzał już od dłuższego czasu, podobnie jak samotny dzwon, którego dźwięk słyszała podczas przeskoku. Mniej więcej po minucie dołączył do niego drugi; był tak blisko, że Kivrin odniosła wrażenie, iż dzwoni tuż za oknem, zagłuszając nie tylko tamten, ale i pozostałe, które odezwały się niemal jednocześnie z nim. To pewnie jutrznia, pomyślała. Kiedyś już chyba słyszała ich bicie, nierówne jak bicie jej serca... Nie, to niemożliwe. Tylko jej się wydaje.

Na pewno to też jej się przyśniło, podobnie jak palenie na stosie i obcinanie włosów. Dziwny, niezrozumiały język, którym posługiwali się mieszkańcy tego domu, również stanowił jedynie część sennego koszmaru.

Najbliższy dzwon umilkł, pozostałe zaś uderzały jeszcze przez pewien czas, jakby chciały wykorzystać sposobność i zaznaczyć swoje istnienie. Jak długo tu była? Na miejscu przeskoku zjawiała się wieczorem, teraz zaś wstawał dzień. Czyżby minęła tylko jedna noc? Nie, to niemożliwe. Kobieta najpierw przyniosła kubek z cierpkim napojem, potem zjawił się ksiądz w towarzystwie rzezimieszka - widziała ich całkiem wyraźnie, jakby choroba wyostriła jej wzrok. W czasie, gdy nie pojawiały się żadne twarze, była ciemność wypełniona biciem dzwonów i ciszą, biciem dzwonów i ciszą...

Nagle ogarnęła ją panika. Jak długo już tu leży? A jeśli minęło kilka tygodni i nie zjawiała się w wyznaczonym terminie na miejscu przeskoku? Nie, to niemożliwe. Nawet chorzy na dur brzuszny nie majaczyli dłużej niż parę dni, ona zaś nie mogła zarazić się dudem brzuszny, bo przecież została zaszczepiona.

W pokoju było zimno, jakby ogień wygasł co najmniej przed paru godzinami. Sięgnęła po przykrycie i w tej samej chwili z ciemności wyłoniły się czyjeś ręce, chwyciły za krawędź futra i naciągnęły je dziewczynie aż po szyję.

- Dziękuję... - wymamrotała Kivrin, po czym znowu zapadła w sen.

Obudziło ją uczucie przejmującego zimna. Wydawało jej się, że przespała zaledwie kilka chwil, choć w pomieszczeniu szybko zapadał mrok. Przycmione światło sączyło się przez samotne wąskie okno w grubej ścianie. Właśnie tamtędy wciskało się do środka lodowate powietrze.

Na kamiennym siedzisku pod oknem stała kobieta i wspiąwszy się na palce usiłowała przynajmniej częściowo zasłonić otwór jakąś szmatą. Miała na sobie czarną suknię oraz biały siodłowy czepiec. Jestem w zakonie, przemknęło Kivrin przez głowę, lecz zaraz potem przypomniała sobie, że w XIV wieku każda mę-

zatką nosiła nakrycie głowy. Tylko młode, niezamężne dziewczyny mogły paradować z odkrytymi głowami i rozpuszczonymi włosami.

Ta sprawiała wrażenie zbyt młodej jak na mężatkę, a tym bardziej na zakonnice. Kobieta, którą Kivrin widziała poprzednio, była znacznie starsza. Dziewczyna doskonale pamiętała dotyk jej dłoni, suchych i pomarszczonych, a także skrzypiący głos, choć nie sposób było wykluczyć, iż wspomnienia te nie miały nic wspólnego z rzeczywistością i stanowiły jedynie treść jej niedawnych majaczeń.

Kobieta przesunęła się nieco i stanęła w smudze szarego, szybko gasnącego światła, które sączyło się jeszcze przez okno. To, co Kivrin w pierwszej chwili wzięła za jednoczęściową suknię, okazało się spódnicą, kaftanem oraz ciemnozieloną opończą; wszystko było wykonane z grubo tkanego materiału przypominającego ten, z jakiego robi się worki na ziemniaki. Kobieta pełniła więc chyba rolę służącej, ale przecież służące nie nosiły białych wielkich czepców ani pęków kluczy takich jak ten, wiszący u jej paska. Nie mogła być zwykłą służącą, lecz kimś znaczniejszym, na przykład gospodynią.

Dom też nie należał do zwyczajnych budowli; może nie zasługiwał na miano zamku, ponieważ ściany - przynajmniej w tej izbie - zrobiono z grubych, tylko częściowo obrobionych belek, ale z pewnością stanowił siedzibę jakiegoś barona albo nawet kogoś wywodzącego się z jeszcze wyższej szlachty. Łóżko, w którym leżała Kivrin, zostało zasłane zgrzebnym lnianym prześcieradłem, miało solidne, ozdobne wezglowie, zamiast kołdry używano doskonale wyprawionych futer, natomiast na kamiennym siedzisku pod oknem ułożono wyszywane poduszki.

Kobieta wreszcie przywiązała końce szmaty do zaczepów po obu stronach okna, zeszła z siedziska i schyliła się po coś - Kivrin nie mogła dostrzec po co, gdyż widok zasłaniały jej kotary, co prawda częściowo podwinięte i związane czymś, co w słabym świetle wyglądało na zwykłą, solidną linę.

Kobieta wyprostowała się, trzymając w rękach spore drewniane naczynie, a następnie wspięła się ponownie na kamienne siedzisko i zaczęła wcierać w rozpiętą szmatę jakąś gęstą substancję. W pierwszej chwili Kivrin pomyślała, że to olej, ale szybko spostrzegła swój błąd. Wosk. Zamiast szyb umieszczono w oknach natarte woskiem płótno. Wśród historyków panowało powszechne przekonanie, że w XIV wieku szyby były już dość często stosowane w szlacheckich siedzibach oraz że zmieniając miejsce pobytu zabierano je ze sobą, by służyły właścicielom także w nowym domu.

Okazało się jednak, iż jest inaczej. Koniecznie muszę nagrać to na rejestrator, pomyślała Kivrin, i nawet zbliżyła do ust złączone dłonie, ale wysiłek okazał się tak wielki, że musiała pozwolić im natychmiast opaść na futrzane przykrycie.

Kobieta zerknęła na nią obojętnie, po czym znowu zajęła się smarowaniem płótna woskiem. Chyba wracam do zdrowia, pomyślała Kivrin. Przedtem przez cały czas siedziała przy łóżku. Ciekawe jak długo byłam chora? Muszę to ustalić, a potem jak najprędzej odszukać miejsce przeskoku.

Powinno być niezbyt daleko stąd, najwyżej milę, naturalnie jeśli znajdowała się w tej wiosce, do której zamierzała dotrzeć. Usiłowała przypomnieć sobie, ile czasu zabrała im droga do wsi. Zdaje się, że dość dużo. Mężczyzna o twarzy zbója posadził ją na białym koniu, który miał dzwoneczki przy uprzęży. W końcu okazało się, że wcale nie jest zbójem, tylko młodym człowiekiem o litościwym sercu i płomienscie rudych włosach.

Zapyta o nazwę wsi. Modliła się w duchu, aby okazało się, że to Skendgate, ale nawet gdyby było inaczej, z pewnością zdoła szybko ustalić, którędy powinna iść, by dotrzeć na miejsce przeskoku. Może zawiozą ją tam, kiedy tylko odzyska siły na tyle, by wstać z łóżka?

Jak nazywa się wieś, do której mnie przywieźliście? Wczoraj nie była w stanie sformułować pytania tak, by ją zrozumieli, lecz to tylko z powodu wysokiej gorączki. Teraz będzie zupełnie inaczej. Przecież pan Latimer poświęcił kilka miesięcy na doskonalenie jej wymowy. Na pewno od razu pojmą, o co jej chodzi, a nawet jeśli popełni jakieś błędy składniowe lub gramatyczne, translator błyskawicznie je skoryguje.

- Jak zwie się miejsce, do któregoście mnie przywieźli?

Kobieta odwróciła się gwałtownie, szybko zeszła z siedziska i stanęła przy łóżku z miską w jednej a pędzlem w drugiej ręce. Tyle że to wcale nie był pędzel, tylko niezgrabna drewniana łyżka, niemal całkowicie pozbawiona wgłębienia.

- *Gottebae plaise thar tleve* - powiedziała, wyciągając przed siebie naczynie i łyżkę. - *Beth naught agast.*

Translator powinien działać natychmiast, bez najmniejszego opóźnienia. A może wymowa Kivrin tak bardzo odbiegała od standardów obowiązujących w tym miejscu i czasie, że kobieta uznała, iż chora mówi w obcym języku i usiłowała teraz odpowiedzieć jej kulawą francuszczyzną lub niemczczyzną?

- Jak zwie się to miejsce? - powtórzyła powoli i wyraźnie, tak by translator miał czas na przetłumaczenie jej słów.

- *Wick londebay yae comen lawdayke awtreen godelae deynorm andoar sic straunguwlonde. Spekefaw eek waenoot awfthy taloorbrede.*

- *Lawyes szareess loosteef* - odezwał się nowy głos.

Kobieta spojrzała w kierunku drzwi, a chwilę potem w polu widzenia Kivrin pojawiła się znacznie starsza niewiasta o twarzy pokrytej niezliczonymi zmarszczkami. To właśnie jej ręce, suche i kościste, zapamiętała z

przerw między atakami wywołanych gorączką majaczeń. Stara kobieta miała na szyi srebrny łańcuch, do piersi zaś przyciskała niewielką, obitą skórą szkatułkę, bardzo podobną do tej, którą Kivrin musiała zostawić przy wozie, tyle że tamta miała mosiężne, ta zaś żelazne okucia. Postawiła szkatułkę na siedzisku przy oknie.

- *Auf specheryit darmayt?*

Głos także wydawał się znajomy: chrapliwy, rozkazujący, jakby zirytowany. Sądząc po jego tonie, kobieta stojąca przy łóżku była chyba jednak kimś w rodzaju służącej, stara zaś panią domu, mimo iż ani jej zawicie z chusty, jakie miała na głowie, ani kaftan i spódnica nie wyróżniały się staranniejszym krojem lub jakością materiału. Ale co z kluczami? Przecież w średniowiecznych domach klucze nosiła nie służąca ani nie gospodyni, tylko pani domu! A więc wszystko było na odwrót: młodsza z pewnością zajmowała w tym domostwie wyższą pozycję. Fakt, że miała na sobie strój z niedbale utkanego, fatalnie ufarbowanego materiału, świadczył o tym, iż kostium Kivrin był nic nie wart, podobnie jak jej wymowa oraz zapewnienia doktor Ahrens, że nie zarazi się żadną ze średniowiecznych chorób.

- Mam wszystkie szczepienia... - wyszeptała.

Obie kobiety jak na komendę spojrzały na nią.

- *Ellavih swot wardesdoor feenden iss?* - zapytała starsza ostrym, nie znoszącym sprzeciwu, tonem.

Czy była matką młodszej, czy raczej teściową? A może piastunką? Na razie musiało to pozostać tajemnicą. Z tego, co mówiła, Kivrin nie potrafiła wyłowić ani jednego swojsko brzmiącego słowa.

- *Maetinkerr woun dahest wexe hoardoumbe* - odparła młodsza.

- *Nor nayte bawcows derouthe.*

W ustach starszej zabrzmiało to jak wyrzut albo może oskarżenie.

Nic. Ani słowa. Krótkie zdania powinny być łatwiej zrozumiałe, ale Kivrin miałyby kłopoty z ustaleniem, czy zostało wypowiedziane jedno, czy kilka słów.

Broda młodej kobiety powędrowała gwałtownie w górę.

- *Certessan, shreevadwomn wolde nadae seyvous!*

Ciekawe, czy sprzecząc się, co ze mną zrobić? Spróbowała odepchnąć przykrycie, jakby w ten sposób mogła odepchnąć od siebie także tę dziwną, niezrozumiałą rzeczywistość. Widząc to młoda kobieta natychmiast odstawiała miskę i łyżkę, i szybko podeszła do łóżka.

- *Spaegun yvor tongawn glais?*

Mogło to znaczyć "dzień dobry" albo "Czy czujesz się lepiej?", albo nawet "Spalimy cię o świcie". Możliwe, że awaria tłumacza ma jakiś związek z moją chorobą, pomyślała Kivrin. Możliwe, że kiedy tylko wyzdrowieję, natychmiast zacznę wszystko rozumieć.

Stara uklękła przy łóżku, złożyła ręce, trzymając między nimi mały srebrny pojemniczek, który wisiał na łańcuchu zdobiącym jej szyję, i zaczęła się modlić, podczas gdy młoda pochyliła się nad Kivrin, spojrzawszy na jej czoło, po czym sięgnęła do jej głowy. Dziewczyna odniosła wrażenie, że pociągnięto ją za włosy, i domyśliła się, że ma na głowie opatrunek. Ostrożnie dotknęła czubkami palców szorstkiego bandaża, potem zaś przesunęła rękę do tyłu, gdzie powinny być długie, proste włosy, lecz nie znalazła ich. Została ostrzyżona bardzo krótko, tuż poniżej linii uszu.

- *Vae motten tiyez thynt* - powiedziała z niepokojem młoda kobieta. - *Far thotywort wount sorr.*

Brzmiało to tak, jakby usiłowała coś wyjaśnić, a Kivrin, choć nie rozumiała ani słowa, domyśliła się o co chodzi. Była bardzo chora, tak bardzo, iż miała wrażenie, że jej włosy zajęły się ogniem. Ktoś - ale kto? Może stara kobieta? - chwycił ją za ręce, którymi usiłowała ugasić płomień. Mogła zrobić sobie krzywdę. Nie mieli wyboru, musieli ją ostrzyżyc.

I pomyśleć, jak bardzo nienawidziła tych obrzydliwie długich włosów, ile wysiłku kosztowało ją ich codzienne rozczesywanie, jak często zastanawiała się, w jaki sposób powinna je upiąć, a może raczej zapleść w warkocze, i jak uda się jej przeżyć dwa tygodnie bez mycia głowy... Powinna się cieszyć, że wybawiono ją z kłopotu, jej myśli jednak wciąż kierowały się ku Joannie d'Arc, którą spalono na stosie. Tamtej również obcięto włosy.

Młoda kobieta cofnęła ręce i spoglądała na nią z niepokojem. Kivrin udało się uśmiechnąć, tamta zaś odwzajemniła jej uśmiech. Co prawda w górnej szczęce po prawej stronie brakowało jej dwóch zębów, jeden zaś był zupełnie brązowy, ale, uśmiechnięta, sprawiała wrażenie nie starszej niż studentka pierwszego roku.

Powoli, delikatnie, rozwinęła do końca bandaż i położyła go na futrze. Był zrobiony z takiego samego, żółtkłego lnianego płótna jak czepiec, i gdzieś tam miał brązowoczerwone plamy z zaschniętej krwi, znacznie większe niż można się było spodziewać. Widocznie zaczęła też krwawić "kosmetyczna" rana zadana przez pana Gilchrista, pomyślała Kivrin.

Kobieta niepewnie dotknęła jej skroni.

- *Vexeyaw hongroot?*

Nie czekając na odpowiedź, podłożyła jej rękę pod kark i pomogła unieść głowę.

Kivrin odniosła wrażenie, że jej głowa nic nie waży. To pewnie przez te włosy, pomyślała.

Stara kobieta wręczyła młodszej drewnianą miskę; kiedy miska znalazła się przy jej ustach, Kivrin była przekonana, że, nie wiedząc czemu, chcą ją napić woskiem, ale bardzo szybko okazało się, iż jest w błęd-

zie. W misce znajdowała się jakaś rzadka breja, znacznie mniej kwaśna od płynu, który podawano jej mini-onego wieczoru, za to wyraźnie tracąca niezbyt świeżym tłuszczem.

- *Thasholde nayive gros vitaille towayte* - powiedziała stara ze zniecierpliwieniem.

Tak, to na pewno teściowa, przemknęło dziewczynie przez głowę.

- *Shimote lese hoorfource* - odparła spokojnie młodsza.

Breja miała zaskakująco dobry smak. Kivrin zamierzała wypić całą zawartość miski, ale zaledwie po kilku łykach poczuła, że opuszczają ją siły.

Młoda kobieta oddała miskę starej, a następnie położyła głowę Kivrin z powrotem na poduszce. Wzięła do ręki zakrwawiony bandaż, przyjrzała mu się uważnie, lekko dotknęła skroni Kivrin, jakby zastanawiała się, czy powinna znowu założyć opatrunek, po czym wręczyła go drugiej kobiecie, która umieściła wszystko - miskę, łyżkę i bandaż - na niewidocznej dla Kivrin skrzyni stojącej u wezłowania łóżka.

- *Lo, liggethsteallow* - powiedziała młoda i ponownie obdarzyła dziewczynę szczerbatym uśmiechem.

Kivrin nadal nic nie rozumiała, ale ton, jakim zostały wypowiedziane te słowa, a także mimika kobiety (przymknęła na chwilę oczy i przycisnęła policzek do złożonych rąk), były wystarczająco wymowne: zaproponowano jej, żeby spróbowała się przespać.

- *Durmidde shoalausbrekkeynow*.

Obie kobiety wyszły z izby, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

Kivrin powtórzyła szeptem ostatnie zdanie, wypowiedziane przez starą, starając się wyłowić chociaż jedno znajome słowo. Translator powinien nie tylko pełnić funkcję samouzupełniającego się słownika, ale także wspomóc jej zdolność rozróżniania poszczególnych fonemów i rozpoznawania schematów składniowych; niestety, na razie czuła się tak, jakby mówiono do niej po serbskochorwacku.

Może zresztą tak właśnie jest, pomyślała. Kto wie, dokąd mnie zabrali? Przecież byłam nieprzytomna. Może ten rzezimieszek wsadził mnie do łodzi i przewiózł na drugą stronę Kanału? Jednak w głębi duszy doskonale zdawała sobie sprawę, że to niemożliwe. Przecież zachowała w pamięci wspomnienia nocnej podróży - co prawda fragmentaryczne i zniekształcone, ale dość wyraźne. Na pewno nie płynęła żadną łodzią. Spadła za to z konia, mężczyzna o twarzy zbója wsadził ją z powrotem na grzbiet wierzchowca, a potem mijali kościół.

Zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie coś więcej. Najpierw weszli w głąb lasu, po pewnym czasie dotarli do drogi, a potem do rozwidlenia. Właśnie tam spadła z konia. Gdyby udało jej się odszukać to rozwidlenie, powinna bez większego trudu trafić na miejsce przeskoku. To nie mogło być daleko stąd.

Jeśli tak, wówczas należało przyjąć za pewnik, że jest w Skendgate, a skoro jest w Skendgate, to opiekujące się nią kobiety mówią po staroangielsku. W takim razie, dlaczego ich nie rozumie?

Może spadając z konia uderzyła się w głowę i uszkodziła translator? Takie wyjaśnienie miałoby sens, gdyby nie jeden drobny szkopuł: nie uderzyła się w głowę. Ba, nie było nawet żadnego upadku w pełnym znaczeniu tego słowa; po prostu zsunęła się z grzbietu i usiadła na ziemi. Wszystko przez tę gorączkę, pomyślała. To ona uniemożliwia translatorowi prawidłowe działanie.

Ale przecież działał, kiedy ksiądz mówił do mnie po łacinie! - uświadomiła sobie i natychmiast poczuła w piersi ukłucie niepokoju. Tłumaczył łacinę, a ja nie mogę być chora, bo zostałam zaszczepiona. Przypomniała sobie, że miejsce po szczepieniu swędziało i bardzo spuchło, a doktor Ahrens obejrzała je tuż przed dokonaniem przeskoku i powiedziała, że wszystko w porządku. Poprzednie szczepienia nie wywoływały takiej reakcji organizmu, tylko to ostatnie, przeciwko dżumie.

Niemożliwe, żebym zachorowała na dżumę. Nie mam żadnych objawów.

Ofiary zarazy rozpoznawało się po znacznie powiększonych węzłach chłonnych pod pachami i w pachwinach. Poza tym, zarażeni ludzie wymiotowali krwią, a znajdujące się tuż pod skórą naczynka krwionośne pękały, powodując sinienie lub wręcz czernienie ciała. Tak więc dżuma nie wchodziła w grę, ale w takim razie, co to mogło być i w jaki sposób zdołała się zarazić? Teoretycznie powinna być całkowicie uodporniona na wszystkie choroby rozpowszechnione w pierwszej połowie XIV wieku, a poza tym przecież nie miała okazji zetknąć się z żadną z nich. Pierwsze objawy pojawiły się zaraz po przeskoku, zanim kogokolwiek spotkała. Choroby przenoszą się z człowieka na człowieka drogą kropelkową albo za pośrednictwem pcheł, tak jak dżuma.

Ale to nie jest dżuma, stwierdziła stanowczo. Ludzie, którzy chorują na dżumę, nie zastanawiają się, gdzie się nią zarazili, ponieważ nie mają na to czasu. Są zbyt zajęci umieraniem.

Poza tym pcheły będące nosicielami choroby żyły na szczurach i ludziach, nie w środku lasu, Czarna Śmierć zaś dotarła do Anglii dopiero w roku 1348, Widocznie dopadło ją jakieś średniowieczne choróbsko, o którego istnieniu nie wiedziała nawet doktor Ahrens. W tamtych czasach ludzie zapadali na różne tajemnicze dolegliwości: królewską niemoc, taniec św. Wita, najróżniejsze gorączki. Widocznie to jedna z nich. Jej układ odpornościowy potrzebował trochę czasu, by rozpoznać chorobę, znaleźć jej słabe punkty i zacząć ją zwalczać. Teraz, kiedy już przystąpił do działania, temperatura natychmiast spadła, a translator zaczął działać, przynajmniej częściowo. Należało spokojnie leżeć, nabierać sił i czekać na pełne ozdrowienie.

Pocieszona tą myślą zamknęła oczy i natychmiast zapadła w sen.

Ktoś ją dotykał. Otworzywszy oczy przekonała się, że to teściowa młodej kobiety. Oglądała jej ręce, obracając je w swoich, badawczo przypatrując się dłoniom i paznokciom. Kiedy zauważyła, że Kivrin już nie śpi, wypuściła je jakby z obrzydzeniem i powiedziała:

- *Sheavost ahvheigh parage attelest, baht hoore der wikkonasshae haswfolletwe?*

Nic. W głębi duszy Kivrin liczyła na to, że podczas jej snu translator odzyska pełną sprawność działania i zacznie tłumaczyć wszystko, co do niej mówią, ale znaczenie słów starej kobiety nadal stanowiło dla niej całkowitą zagadkę. Brzmiały trochę z francuska, lecz choć Kivrin całkiem nieźle знаła normańską francuszczyznę - uczyła jej się ulegając naciskom pana Dunworthy'ego - to nadal nie była w stanie niczego pojąć.

- *Hastow naydepesse?*

Zabrzmiało to jak pytanie, ale tak właśnie powinno brzmieć niemal każde zdanie wypowiedziane po francusku.

Stara kobieta zacisnęła silną, kościstą rękę na ramieniu dziewczyny, drugą natomiast podsunęła jej pod plecy, jakby chciała pomóc jej usiąść albo nawet wstać. Jestem za słaba, pomyślała Kivrin. Poza tym, dlaczego miałabym wstawać? Żeby mogli mnie wypytać? A może chcą spalić mnie na stosie?

Do izby weszła młodsza kobieta, niosąc duży kielich. Postawiła go na kamiennym siedzisku przy oknie, po czym zbliżyła się do łóżka i ujęła Kivrin za drugie ramię.

- *Hastontee natour yowresef* - spytała z szerokim, szczerbatym uśmiechem.

Może tylko chcą zaprowadzić mnie do łazienki? - przemknęło Kivrin przez głowę. Zmobilizowała się, zebrała wszystkie siły i przy pomocy obu kobiet zdołała się podnieść, a następnie spuścić obie nogi za krawędź łóżka.

Natychmiast zakreśliło jej się w głowie. Siedziała nieruchomo, z bosymi stopami zwisającymi nad podłogą, czekając aż ustąpią niemiłe sensacje. Miała na sobie tylko koszulę z lnianego płótna. Ciekawe, co stało się z moim ubraniem, pomyślała. Dobrze, że zostawili mi chociaż tę koszulę. W średniowieczu zazwyczaj nie zakładało się niczego do łóżka.

Zaraz potem przypomniała sobie, że w średniowieczu nie było także węzłów sanitarnych umieszczonych wewnątrz budynków. Oby tylko nie kazali mi wyjść na zewnątrz! - pomyślała z przerażeniem. Jedynie w zamkach przewidziano ustronne miejsca, w których można było załatwiać naturalne potrzeby, ale to przecież nie był zamek.

Młoda kobieta zarzuciła jej na ramiona cienki, złożony na pół koc, po czym wraz z teściową pomogła Kivrin stanąć na podłodze. Szerokie, niezbyt równo przycięte deski były lodowato zimne. Zrobiła kilka kroków, po czym zatrzymała się, ponieważ zawroty głowy wróciły ze zdwojoną siłą. Nigdy nie uda mi się wyjść na dwór, przemknęła jej przez głowę rozpaczliwa myśl.

- *Wotan shay wootes nawdaor youse derjardane?* - powiedziała stara ostrym tonem.

Kivrin odniosła wrażenie, że rozpoznaje francuskie słowo "jardin", oznaczające ogród. Dlaczego w środku zimy miałyby rozmawiać o ogrodach?

- *Thanway maunhollp anhour* - odparła młodsza, obejmując Kivrin i zakładając sobie jej ramię na szyję. Stara kobieta oburącz chwyciła ją za drugie. Obie były od niej niższe o głowę, młodsza zaś ważyła z pewnością nie więcej niż jakieś pięćdziesiąt kilogramów, niemniej jednak zdołały doprowadzić ją do końca łóżka.

Każdy krok kosztował Kivrin mnóstwo wysiłku. Na pewno nie dojdę do drzwi, pomyślała, ale na szczęście okazało się, że nie ma takiej potrzeby. Zatrzymały się przy niskiej drewnianej skrzyni o wieku ozdobionym nieporadnie wykonaną płaskorzeźbą przedstawiającą ptaka albo anioła. Na skrzyni stała drewniana miska wypełniona wodą, obok niej druga, mniejsza i zupełnie pusta. Leżał tam również zakrwawiony bandaż, który Kivrin jeszcze niedawno miała na głowie. Ponieważ dziewczyna skoncentrowała się wyłącznie na tym, by nie upaść, nie domyśliła się, czego od niej oczekują.

- *Swoune nawmaydar oupondre yorresette* - powiedziała stara kobieta, po czym odegrała krótką pantomimę, podnosząc spódnice i udając, że siada na mniejszej misce.

Nocnik! - uświadomiła sobie z ulgą Kivrin. Panie Dunworthy, na początku XIV wieku w domach wiejskiej szlachty powszechnie używano nocników! Skinęła głową na znak, że rozumie, po czym, wciąż korzystając z pomocy obu kobiet, powoli usiadła na naczyniu. Była tak słaba, że niewiele brakowało, a zsunęłaby się razem z nim na podłogę. Kiedy spróbowała wstać, poczuła tak silne ukłucie w piersi, że aż zgięła się w pół.

- *Maisry!* - zawołała stara w kierunku drzwi. - *Maisry, com undtvae holpoon!*

Sądząc po tonie, wzywała kogoś - Marjorie? Mary? - na pomoc, ale nikt się nie pojawił, więc może chodziło o coś zupełnie innego?

Kivrin wyprostowała się ostrożnie, gotowa w każdej chwili skulić się, gdyby ból zaatakował ponownie. Co prawda nie zniknął, ale też nie przybierał na sile. Mimo to musiały prawie zanieść ją z powrotem na posłanie, a kiedy wreszcie znalazła się w łóżku, pod futrzanym przykryciem, była tak wycieńczona, że od razu zamknęła oczy.

- *Slaeponpon donu paw daton* - usłyszała głos młodej kobiety.

Z pewnością oznaczało to tyle co: "Odpocznij" albo: "Spróbuj się przespać", lecz Kivrin nadal mogła polegać wyłącznie na domysłach. Translator zepsuł się na dobre, przemknęła jej przez głowę niepokojąca myśl. Zaraz potem poczuła, jak powoli ogarnia ją panika. Było to znacznie gorsze od fizycznego bólu w piersi.

Nieemożliwe, żeby się zepsuł. Przecież nie jest maszyną, tylko chemicznym przyspieszaczem procesów skojarzeniowych i wzmacniaczem pamięci. Nie ma się w nim co zepsuć. Problem polega na czym innym: translator jest w stanie operować wyłącznie zaprogramowanym zasobem słownictwa, naturalnie wzbogacając go i aktualizując na podstawie napływających sukcesywnie danych, a wygląda na to, że staroangielski pan Latimera nie na wiele się tu przydał, przypuszczalnie z powodu różnic między rzeczywistą wymową a tą, jaką Latimer odtworzył w XXI wieku. Translator po prostu "nie wiedział", że słowa, które docierają do uszu Kivrin, są tymi samymi słowami, które znajdują się w jej pamięci. Musiał zacząć od początku zbieranie danych, tych parę zdań zaś, które do tej pory wypowiedziano w obecności dziewczyny, okazało się niewystarczające.

Ale przecież poradził sobie z łaciną! Panika ogarnęła ją kolejną wezbraną falą. Oparła się jej, lecz kosztowało ją to znacznie więcej wysiłku. Poradził sobie, ponieważ tekst wygłaszany podczas udzielania ostatniego namaszczenia nie zmienił się przez wieki, natomiast wypowiedzi obu kobiet były spontaniczne, a więc niemożliwe do przewidzenia. Translator potrzebował czasu, by uporać się z wymową, potem zaś rozszyfrować składnię, wyróżnić części zdania, przyporządkować znaczenie poszczególnym zwrotom i wyrazom. Jak tylko zbierze wystarczającą liczbę danych, reszta okaże się drobnostką. Tymczasem najważniejsze było słuchać uważnie i chłonąć każde wypowiedziane słowo, nawet nie starając się go zrozumieć. Zrozumienie przyjdzie później, pozornie samo z siebie.

- *Thin keowre hoarwoun desmoortale?* - zapytała młoda kobieta.

- *Got tallon wottes* - odparła stara.

Gdzieś daleko znowu rozległo się bicie dzwonu. Kivrin otworzyła oczy. Obie kobiety spoglądały w stronę okna, mimo iż nie mogły nic zobaczyć przez nawoskowane płótno.

- *Bere wichebay gansanon* - powiedziała młodsza.

Starsza nie zareagowała. Bez słowa wpatrywała się w sztywne płótno, jakby nie stanowiło żadnej przeszkody dla jej wzroku. Ręce miała złożone do modlitwy.

- *Aydrreddit isterfayve riblaun* - dodała młoda kobieta.

Mimo podjętego niedawno postanowienia, Kivrin nie zdołała oprzeć się pokusie, by przetłumaczyć jej słowa jako "Już pora na nieszpór" albo "Dzwonią na nieszpór". Jednak tym razem nie chodziło o wieczorne nabożeństwo, ponieważ dzwon uderzał samotnie przez wiele minut. Może to ten sam, którego bicie słyszała jakiś czas temu?

Stara odwróciła się raptownie od okna.

- *Nay, Elwiss, itbahn diwolffin.* - Zdjęła nocnik ze skrzyni. - *Gawynha thesspyd...*

Przerwała, ponieważ za drzwiami rozległ się jakiś harmider - tupot pospiesznych kroków, odgłos upadku, wreszcie dziecinny głos:

- *Modder! Eysmertemay!*

Do izby wpadła jak burza jasnowłosa dziewczynka z rozwianymi warkoczami i tasiemkami, które powinny być zawiązane pod brodą, by przytrzymywać dopasowany do kształtu głowy czepeczek. Niewiele brakowało, by zderzyła się z kobietą trzymającą w rękach nocnik. Okrągła twarz dziecka była zaczerwieniona i mokra od łez.

- *Wol yadothoos forshame ahnyous!* - wykrzyknęła stara, w ostatniej chwili podnosząc naczynie. - *Yowe maun naronso inhus.*

Dziewczynka nawet na nią nie spojrzała, tylko, szlochając głośno, pobiegła do młodszej kobiety.

- *Rawzamun hattmay smerte, Modder!*

Kivrin aż wstrzymała oddech. "Modder"! To słowo musiało znaczyć "matka"!

Dziewczynka wyciągnęła ręce, matka - tak, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to była matka! - chwyciła dziecko w objęcia, ono zaś zarzuciło jej ramiona na szyję i zaniosło się płaczem.

- *Shh, ahnyous, shh...*

Ta gardłowa głoska to "g", pomyślała Kivrin. Głębokie germańskie "g". Agnes.

Wciąż z dzieckiem w objęciach, matka usiadła przy oknie, po czym zaczęła ocierać córeczce łzy.

- *Spekenaw dothass bifel, Agnes.*

Tak, na pewno Agnes! A "speken" znaczy "powiedz". Powiedz mi, co się stało, Agnes.

- *Shayoss mayswerte!* - poskarżyła się Agnes, wskazując na drugie dziecko, które właśnie weszło do izby. Ta dziewczynka była znacznie starsza, miała co najmniej dziewięć lub dziesięć lat. Długie kasztanowe włosy, związane ciemnoniebieską chustką, sięgały jej do połowy pleców.

- *Itgan naso, ahnyous* - powiedziała. - *Tha pighte rennin gawn derstayres.*

W jej głosie brzmiała charakterystyczna dla dzieci mieszanina współczucia, sympatii i pogardy. Ani trochę nie przypomniała jasnowłosej dziewczynki, lecz Kivrin była gotowa iść o zakład, że są siostrami.

- *Shay pighte renninge ahndist eyres, Modder.*

Znowu to "Modder". "Shay" znaczyło zapewne "ona", "pighte" zaś "upadła". Brzmiało z francuska, ale klucz do zrozumienia stanowił zapewne niemiecki. Zarówno wymowa, jak i składnia były typowe dla tego języka. Kivrin niemal słyszała jak zazębiają się kolejne trybiki, jak wszystko zaczyna ustawiać się na właściwych miejscach.

- *Na comfitte horr thusselwys* - odezwała się stara kobieta. - *She hath nau woundes. Hoor teres been fornaught mais gain thy pitye.*

- *Hoor nay ganful bloody* - odparła młodsza, lecz Kivrin zamiast jej głosu usłyszała tłumaczenie tłumacza - co prawda toporne i nieco spóźnione, ale jednak tłumaczenie:

- Nie użalaj się nad nią, Eliwys. Nic jej się nie stało. Płacze po to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Na to młoda kobieta o imieniu Eliwys:

- Ma zakrwawione kolano. *Rossmunt, brangund oorutarsted frommecofre* - dodała, wskazując skrzynię z rzeźbioną przykrywą.

Tłumacz znowu się spóźnił, ale już nie tak bardzo jak poprzednio:

- Rosemundo, podaj mi chustę, która leży na skrzyni. Dziewczynka o kasztanowych włosach natychmiast ruszyła we wskazanym kierunku.

A więc starsza ma na imię Rosemunda, młodsza Agnes, ich matka zaś, przypuszczalnie rówieśnica Kivrin, nazywa się Eliwys.

Rosemunda przyniosła zaplamioną szmatę, którą jeszcze niedawno Kivrin miała zawiązaną na głowie.

- Nie dotykaj! Nie dotykaj! - wrzasnęła przeraźliwie Agnes.

Tłumacz spóźnił się z tłumaczeniem, lecz akurat w tym przypadku było ono całkowicie zbędne. Kivrin bez trudu domyśliła się znaczenia słów na podstawie zachowania dziecka oraz tonu jego głosu.

- Chcę tylko zatrzymać krwawienie - wyjaśniła cierpliwie Eliwys, biorąc szmatę od Rosemundy. Agnes usiłowała odepchnąć rękę matki, ale bez powodzenia. - Na pewno cię nie... - Nastąpiła krótka przerwa, jakby tłumacz nie zdołał znaleźć właściwego słowa, a potem: - ...Agnes.

Brakującym wyrazem było zapewne "zaboli" albo "skrzywdzę". Czyżby tłumacz nie miał w pamięci nawet takich, podstawowych słów? A jeśli tak było, to dlaczego nie posłużył się innym wyrazem o zbliżonym znaczeniu?

- ...*penaunce!* - jęczała Agnes. - To...

Tłumacz ponownie zamilkł, przypuszczalnie po to, by Kivrin usłyszała słowo, które sprawiło mu kłopot, i sama spróbowała domyślić się znaczenia. Pomysł byłby całkiem niezły, gdyby nie opóźnienie w tłumaczeniu; kiedy nastąpiła przerwa, dziewczynka mówiła już coś innego i Kivrin usłyszała nie to co powinna. Jeśli tłumacz będzie tak działał za każdym razem, kiedy napotka jakieś problemy, mogła znaleźć się w poważnych kłopotach.

- Na pewno mnie zaboli! - zawodziła Agnes, w dalszym ciągu odpychając rękę Eliwys.

Kivrin odetchnęła z ulgą. A więc tłumacz jednak jakoś sobie poradził. Dziwne tylko, że zajęło mu to tyle czasu, bo przecież znaczenia tego nieznanego słowa można było łatwo domyślić się z kontekstu.

- Dlaczego upadłaś? - zapytała matka, starając się odwrócić uwagę córki.

- Biegła na górę po schodach - odparła Rosemunda za siostrę. - Chciała wam powiedzieć, że... przyjechał.

Tłumacz znowu ominął niezrozumiały wyraz, lecz tym razem Kivrin zdążyła go usłyszeć. Gawyn. Brzmiało to raczej jak imię własne a nie jak rzeczownik pospolity. Tłumacz doszedł chyba do tego samego wniosku, bo kiedy odezwała się Agnes, przełożył jej słowa bez najmniejszego wahania:

- To ja chciałam jej powiedzieć, że Gawyn przyjechał!

Dopiero teraz rozplakała się na dobre, przycisnąwszy twarz do matczynej piersi. Eliwys skorzystała ze sposobności, by opatrzeć skaleczenie na kolanie dziewczynki.

- Powiedz więc - zachęciła ją łagodnym tonem.

Agnes w milczeniu pokręciła główką.

- Zbyt luźno zawiązałaś bandaż, synowo - odezwała się stara kobieta. - Łatwo może się zsunąć.

Zdaniem Kivrin bandaż był wystarczająco mocno zawiązany, a poza tym nie ulegało wątpliwości, iż jakakolwiek próba ciaśniejszego założenia opatrunku doprowadzi do kolejnego wybuchu rozpacz. Teściowa Eliwys wciąż trzymała oburącz nocnik. Ciekawe czemu wreszcie nie pójdzie, żeby go opróżnić? - przemknęło dziewczynie przez głowę.

- Już dobrze, dobrze... - Młoda kobieta pocieszała dziecko, tuląc je do piersi i głaszcząc delikatnie po główce. - Będziemy udawały, że to ty mi powiedziałaś, dobrze?

- Oto do czego prowadzą próżność i pycha! - Stara kobieta najwidoczniej postanowiła uczynić wszystko co w jej mocy, by sprowokować Agnes do płaczu. - To wyłącznie twoja wina, że się przewróciłaś. Nie powinnaś biec po schodach.

- Czy Gawyn przyjechał na białej klaczy? - zapytała Eliwys.

Biała klacz. Czyżby to właśnie Gawyn znalazł mnie w lesie i przywiózł do wsi? - pomyślała Kivrin.

- Nie - odparła Agnes tonem świadczącym o tym, że uznała pytanie matki za niezbyt mądry żart. - Przyjechał na swoim czarnym ogierze Gringolecie, zatrzymał się przy mnie i powiedział: "Lady Agnes, muszę porozmawiać z twoją matką".

- Rosemundo, to dziecko skaleczyło się z powodu twojego niedbalstwa. - Stara kobieta nie zdołała przestraszyć Agnes, więc upatrzyła sobie inną ofiarę. - Dlaczego nie opiekowałaś się nią jak należy?

- Byłam zajęta haftowaniem - odparła Rosemunda spoglądając na matkę, jakby prosiła ją o pomoc. - Maisry miała się nią zająć.

- Maisry wyszła, żeby zobaczyć Gawyna - oznajmiła Agnes. Uspokoila się już i siedziała sztywno wyprostowana na kolanach Eliwys.

- A przy okazji połajdaczyć się ze stajennym! - parsknęła starsza kobieta, odwróciła się gwałtownie i poszła do drzwi. - Maisry!

Maisry. Stara wołała już wcześniej osobę o tym imieniu. Translator czynił wyraźne postępy, gdyż bez trudu rozróżniał imiona własne i nie usiłował ich tłumaczyć. Kivrin nie miała pojęcia, kim była owa Maisry - prawdopodobnie służącą - ale wołałaby teraz nie znajdować się w jej skórze. Stara kobieta najwyraźniej musiała na kimś wyładować wzbierającą w niej złość, nieobecna Maisry zaś zdawała się stanowić wręcz wymarzony obiekt.

- Maisry! - zawołała ponownie, lecz odpowiedziało jej tylko echo.

Rosemunda skorzystała z okazji, by podejść do matki.

- Gawyn prosi o pozwolenie, by mógł przyjść i przywitać się z wami.

- Czy czeka na dole? - zapytała Eliwys.

- Nie. Poszedł najpierw do kościoła, żeby porozmawiać o tej pani z ojcem Skałą.

Oto do czego prowadzą próżność i pycha. Translator poczuł się stanowczo zbyt pewnie. Chodziło przypuszczalnie o ojca Rolfe'a albo - Piotra, ale na pewno nie o żadnego Skałę.

- Czego chce od ojca Skały? - zapytała stara kobieta, wracając od drzwi.

Kivrin wytężyła słuch, usiłując dosłyszeć prawdziwe brzmienie zagadkowego imienia. Udało jej się: Roche. Po francusku znaczyło to właśnie "skała". Ojciec Roche.

- Może dowiedział się czegoś o tej pani.

Eliwys spojrzała na Kivrin. Była to pierwsza oznaka świadcząca, iż ktokolwiek pamięta o jej obecności. Dziewczyna pospiesznie zamknęła oczy, aby sprawiać wrażenie, że jeszcze śpi. A nuż powiedzą coś na jej temat? Każda informacja może okazać się niezwykle cenna.

- Gawyn wyruszył dziś z samego rana na poszukiwanie łotrów, którzy na nią napadli. - Kivrin podniosła odrobinę powieki, ale Eliwys już patrzyła w inną stronę. - Kto wie, może udało mu się ich schwytać. - Zawiązała pod brodą Agnes tasiemki płóciennego czepka. - Idźcie z Rosemundą do kościoła i powiedzcie Gawynowi, że rozmawiamy z nim w głównej izbie. Pani zasnęła, a my nie powinniśmy jej teraz niepokoić.

Agnes natychmiast zeskoczyła z kolan matki i popędziła do drzwi.

- Ja mu powiem! Ja mu powiem!

- Rosemundo, pozwól jej to zrobić! - zawołała Eliwys za córkami. - I nie tak prędko!

Sądząc po tupocie, jaki dobiegł zza drzwi, żadna z dziewczynek nie wzięła sobie zbyt do serca ostatniego polecenia.

- Rosemunda jest już prawie dorosła - powiedziała stara kobieta. - Nie wypada, żeby uganiała się za ludźmi twego męża. Nie jest dobrze, że nikt nie zajmuje się twoimi córkami. Powinnaś posłać do Oxenfordu po piastunkę.

- Nie zrobię tego - odparła Eliwys ze stanowczością, o jaką Kivrin jej nie podejrzewała. - Wystarczy, że Maisry ma na nie oko.

- Maisry jest za głupia nawet na to, żeby pilnować owiec. Nie powinniśmy byli wyjeżdżać z Bath w tak wielkim pośpiechu. Należało poczekać do...

Tym razem translator pominął nie jeden wyraz, lecz cały zwrot. Kivrin także nie zrozumiała, co stara kobieta miała na myśli, ale i tak dowiedziała się dwóch ważnych rzeczy: że rodzina, która się nią zaopiekowała, przyjechała z Bath oraz że są blisko Oxfordu.

- Niech Gawyn sprowadzi piastunkę, a przy okazji kobietę, która postawi pijawki tej damie.

- Po nikogo nie pošlemy - powtórzyła Eliwys.

- Można by zawiadomić... - Kolejna nazwa lub imię, z którym translator nie potrafił sobie poradzić. - Lady Yvolde zna wiele sposobów leczenia ran. Jestem pewna, że chętnie użyje nam którejś ze swych słuzebnych jako piastunki.

Eliwys pokręciła głową.

- Same się nią zajmijemy. Ojciec Roche...

- Ojciec Roche! - parsknęła pogardliwie stara kobieta. - Przecież on nie ma pojęcia o leczeniu ludzi!

Ale za to rozumiałam wszystko, co do mnie mówił, pomyślała Kivrin. Doskonale pamiętała jego spokojny, kojący głos, kiedy udzielał jej ostatniego namaszczenia, delikatne dotknięcia jego rąk na skroniach, dłoniach i stopach. Powiedział, żeby się niczego nie bała i zapytał o imię, a potem długo trzymał ją za rękę.

- Jeśli to jest rzeczywiście dama szlacheckiego stanu - ciągnęła stara - czy godzi się, by pielęgnował ją zwyczajny wiejski klecha? Lady Yvolde...

- Po nikogo nie pošemy - powtórzyła po raz kolejny Eliwys, ale Kivrin dopiero teraz uświadomiła sobie, że w głosie młodej kobiety slychać lęk. - Mój mąż przykazał nam czekać cierpliwie swego powrotu.

- Już dawno powinien tu być.

- Dobrze wiecie, że tak nie jest. Wróciłby, gdyby mógł. - Podniosła się z kamiennego siedziska i skierowała do drzwi. - Muszę porozmawiać z Gawynem - oświadczyła. - Miał dokładnie obejrzeć miejsce, w którym znalazł tę panią. Może natrafił na ślady zbrojców albo znalazł coś, co powie nam, kim ona jest.

Miejsce, w którym znalazł tę panią... A więc to Gawyn jest mężczyzną o rudych włosach i łagodnej twarzy. To on wsadził ją na konia i przywiózł tu, do domu swego pana. Przynajmniej tyle wydarzyło się naprawdę, choć biały rumak z dzwoneczkami przy uprzęży najwyraźniej stanowił jedynie wytwór jej wyobraźni. Gawyn znalazł ją w lesie, a więc wie, gdzie jest miejsce przeskoku.

- Zaczekaj - powiedziała Kivrin, próbując podnieść się na łokciu. - Proszę, zaczekaj... Ja też chcę mówić z Gawynem.

Kobiety znieruchomiały na chwilę, po czym Eliwys zbliżyła się do łóżka z wyrazem niepokoju na twarzy.

- Chcę rozmawiać z Gawynem - powtórzyła Kivrin powoli i wyraźnie, aby dać czas translatorowi na przetłumaczenie każdego słowa. Niebawem proces przekładu będzie odbywał się automatycznie, na razie jednak translator wciąż jeszcze działał ze sporym opóźnieniem. - Muszę wrócić na miejsce, w którym mnie znalazł.

Eliwys położyła rękę na jej czole, ale Kivrin odtrąciła ją niecierpliwym gestem.

- Muszę porozmawiać z Gawynem!

- Nie ma już gorączki, lady Imeyne - zwróciła się Eliwys do starej kobiety. - Próbuje nam coś powiedzieć, chociaż chyba widzi, że jej nie rozumiemy.

- To jakiś obcy język - stwierdziła podejrzliwie Imeyne. - Może jest francuskim szpiegiem?

- Nie mówię po francusku, posługuję się językiem staroangielskim! - zaprotestowała Kivrin.

- A może to łacina? - zastanawiała się Eliwys. - Ojciec Roche powiedział, że zwracała się do niego po łacinie.

- Ojciec Roche ledwie potrafi odklepać "Ojciec nasz" stwierdziła lady Imeyne, lekceważąco wzruszając ramionami. - Powinniśmy posłać kogoś do...

Znowu to tajemnicze, niemożliwe do zidentyfikowania, słowo. Kersey? Courcy?

- Chcę rozmawiać z Gawynem - powiedziała Kivrin, tym razem po łacinie.

Eliwys ponownie pokręciła głową.

- Zaczekamy na powrót mojego męża.

Stara kobieta odwróciła się gwałtownie na pięcie, wylewając sobie część zawartości nocnika na rękę, wytarła ją w kaftan, po czym wyszła z pokoju zamykając głośno drzwi. Eliwys wykonała ruch, jakby chciała pobiec za nią, ale Kivrin chwyciła ją kurczowo za rękę.

- Dlaczego mnie nie rozumiecie? - zapytała. - Przecież ja rozumiem prawie wszystko, co mówicie! Muszę porozmawiać z Gawynem. Powie mi, jak trafić na miejsce przeskoku.

Eliwys delikatnie uwolniła rękę.

- Nie płaczcie - przemówiła łagodnym tonem. - Spróbujcie zasnąć. Musicie nabrać sił, żebyście mogli wrócić do domu.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(000915-001284)

Panie Dunworthy, mam kłopoty. Nie wiem, gdzie jestem i nie mogę porozumieć się z ludźmi. Coś stało się z translatorem. Rozumiem większość tego, co do mnie mówią, ale kiedy próbuję odpowiedzieć, nie rozumiem ani słowa. Niestety, to jeszcze nie wszystko.

Jestem chora. Nie wiem, co to może być; na pewno nie dżuma, bo nie mam typowych objawów, a w dodatku czuję się coraz lepiej. Poza tym zostałam zaszczepiona. Na dobrą sprawę powinnam być uodporniona na wszystko. Albo nie zadziałała jedna ze szczepionek, albo trafiłam na średniowieczną chorobę, o której istnieniu nie mieliśmy pojęcia.

Objawy są następujące: bóle i zawroty głowy, gorączka oraz kłujący ból w klatce piersiowej, który przybiera na sile, kiedy próbuję się poruszyć. Przez pewien czas majaczyłam - dlatego właśnie nie wiem, gdzie jestem. Pewien człowiek imieniem Gawyn przywiózł mnie tu na koniu, ale nie pamiętam wiele z podróży, oprócz tego, że ciągnęła się bez końca i odbywała w całkowitych ciemnościach. Mam jednak nadzieję, że to okaże się tylko złudzeniem spowodowanym wysoką gorączką i że jednak trafiłam do wioski panny Montoi.

To naprawdę może być Skendgate. Przejeżdżaliśmy obok kościoła, mnie zaś umieszczono chyba w czymś w rodzaju dworu. Leżę w sypialni na piętrze - prawdziwym piętrze, nie jakimś stryszku, bo wchodzi się tu po schodach. Wygląda więc na to, że dom należy co najmniej do barona. Jest tu nawet okno, więc jak tylko poczuję się trochę lepiej, spróbuję wyjrzeć przez nie, by sprawdzić, czy widać stąd kościół. W kościele jest

dzwon; przed chwilą wzywał wiernych na nieszpór. Jeśli dobrze pamiętam, kościół w wiosce panny Montoi nie miał dzwonnicy, więc jednak może się okazać, że trafiłam w inne miejsce. Jednak na pewno jesteście blisko Oxfordu, bo moi gospodarze, a raczej gospodynie, zastanawiały się, czy nie sprowadzić stamtąd doktora. Gdzieś niedaleko jest też wieś o nazwie Kersey albo Courcy, której nie ma na żadnej z map panny Montoi, ale całkiem możliwe, że to wcale nie nazwa wioski, tylko nazwisko jakiegoś posiadacza ziemskiego.

Z powodu choroby nie udało mi się także ustalić mego położenia czasowego. Wydaje mi się, że chorowałam dwa dni, ale mogę się mylić. Już kilka razy pytałam, jaki mamy dzień, lecz to nic nie daje, bo nikt mnie nie rozumie. Sama nie potrafię jeszcze wstać z łóżka. Obcięli mi włosy. Nie mam pojęcia, co robić. Co się stało? Dlaczego translator przestał działać? Czemu zachorowałam, mimo tych wszystkich szczepień?

(przerwa)

Pod łóżkiem jest szczur. Słyszę jak skrobie w ciemności.

11.

Wciąż jej nie rozumiały. Kivrin niemal wychodziła ze skóry, by Eliwys pojęła, czego od niej oczekuje, młoda kobieta jednak tylko uśmiechnęła się łagodnie i poradziła jej, żeby spróbowała zasnąć.

- Proszę, nie odchodź! - wyszeptała błagalnie dziewczyna, kiedy Eliwys ponownie ruszyła w kierunku drzwi. - To dla mnie bardzo ważne. Tylko Gawyn wie, gdzie dokładnie znalazł mnie w lesie.

- Śpijcie - powiedziała Eliwys. - Niebawem wrócę.

- Muszę się z nim zobaczyć! - Niestety, młoda kobieta była już przy drzwiach. - Sama nie trafię do miejsca przeskoku!

Na schodach rozległy się pospieszne kroki. Eliwys otworzyła drzwi.

- Agnes, przecież prosiłam cię, żebyś poszła do...

Przerwała w pół zdania i cofnęła się o krok. Nie sprawiała wrażenia przestraszonej ani nawet zaniepokojonej, ale jej ręka zadrżała lekko, jakby kobieta w pierwszym odruchu zamierzała zatrzaskać drzwi. Serce Kivrin zaczęło bić w przyspieszonym tempie. A więc jednak, przemknęła jej przez głowę rozpacзлиwa myśl. Przyszli zabrać mnie na stos.

- Witaj, pani - rozległ się męski głos. - Wasza córka Rosemunda powiedziała mi, że znajdę was w izbie, ale nie było was tam.

Mężczyzna wszedł do pomieszczenia i zatrzymał się przy łóżku, ale Kivrin nie mogła dostrzec jego twarzy, ponieważ stał odwrócony bokiem do niej, a w dodatku zasłaniała go jedna z kotar. Spróbowała przesunąć nieco głowę, lecz natychmiast zrezygnowała z tego zamiaru, gdyż świat zawirował wokół niej, jakby była pijana.

- Pomyślałem więc sobie, że będziecie przy rannej damie - ciągnął mężczyzna. Był ubrany w koszulę, gruby kaftan oraz skórzane ni to spodnie, ni trykoty. Miał też miecz, bo kiedy postąpił krok naprzód, broń zawadziła o krawędź łóżka. - Co z nią?

- Dziś miewa się znacznie lepiej - odparła Eliwys. - Matka mojego męża poszła przygotować wywar z ziół, który każdemu szybko przywraca siły.

Wzmianka o "waszej córce Rosemundzie" świadczyła o tym, iż mężczyzna jest Gawynem, człowiekiem, który wyruszył na poszukiwania złoczyńców odpowiedzialnych za nieszczęście Kivrin. Mimo to Eliwys cofnęła się o kolejne dwa kroki, jej twarz zaś miała dziwny, trudny do rozszyfrowania, wyraz. Kivrin znowu dała się ogarnąć panice. Może jednak rzezimieszek o okrutnej twarzy wcale nie stanowił wytworu jej trawionego gorączką umysłu?

- Znalazłeś coś, co pomogłoby nam ustalić, kim jest i skąd się tam wzięła? - zapytała ostrożnie Eliwys.

- Nie - odparł. - Jej dobytek rozkradziono, a konie zabrano. Pomyślałem sobie, że sama opowie o tych, co na nią napadli: ilu ich było, jak wyglądali i z której strony zaatakowali.

- Obawiam się, że niewiele się od niej dowiesz.

- Czyżby była niemową? - zapytał i przesunął się pół metra w bok, dzięki czemu Kivrin zobaczyła go w całej okazałości.

Nie był tak wysoki, jakim go zapamiętała, kiedy stał nad nią na polanie, a w dziennym świetle jego włosy wydawały się znacznie mniej rude, ale twarz była równie łagodna jak wtedy, gdy sadzał ją na koniu. W niczym nie przypominał rzezimieszka o bezlitosnym spojrzeniu. Tamten, razem z białym wierzchowcem i dzwonekami, które grały kolędy, ponad wszelką wątpliwość stanowił wytwór jej fantazji, podsyconej obawami pana Dunworthy'ego. Uświadomiła sobie także, iż niewłaściwie zrozumiała reakcję Eliwys, przypisując jej myśli i uczucia nie mające nic wspólnego z rzeczywistością.

- Nie jest - odparła młoda kobieta - ale mówi dziwnym językiem, którego nie znam. Lękam się, czy od tych okropnych przejść nie pomieszało jej się w głowie. - Podeszła do łóżka, Gawyn zaś ruszył za nią. - Szlachetna pani, przyprowadziłam Gawyna, zaufanego sługę mego męża.

- Witaj, pani - powiedział głośno i wyraźnie, jakby miał do czynienia z niedosłyszającą osobą.

- To on znalazł cię w lesie - dodała Eliwys.

Gdzie w lesie? - pomyślała z rozpaczą Kivrin.

- Cieszę się, pani, że szybko wracacie do zdrowia - ciągnął Gawyn, starannie wymawiając każde słowo. - Czy możecie mi powiedzieć, jak wyglądali ludzie, którzy na was napadli?

Nie wiem, czy mogę ci cokolwiek powiedzieć, pomyślała Kivrin. Bała się odezwać, ponieważ lękała się, że on również jej nie zrozumie. Musi ją zrozumieć, przynajmniej on. Nikt inny nie wie, jak trafić na miejsce przeskoku.

- Ilu ich było? - pytał cierpliwie Gawyn. - Mieli konie, czy poruszali się na piechotę?

Gdzie mnie znalazłeś? - zadała w myśli pytanie. "Wymawiała" poszczególne wyrazy równie starannie jak on, po czym czekała niecierpliwie, aż translator upora się z tłumaczeniem, porównując zaproponowaną przez niego wersję z tym, czego nauczyła się od Latimera i Dunworthy'ego.

Gawyn i Eliwys czekali na odpowiedź, obserwując ją uważnie. Kivrin nabrała powietrza w płuca, po czym zapytała:

- Gdzie mnie znalazłeś?

Mężczyzna i kobieta wymienili szybkie spojrzenia. Jego było zdziwione, jej znaczyło: "A nie mówiłam?"

- Tak samo mówiła tamtej nocy - powiedział z zastanowieniem. - Myślałem, że to z powodu rany...

- Ja też tak przypuszczam, ale matka mego męża uważa, że ona jest z Francji.

Gawyn pokręcił głową.

- To inny język. - Ponownie skierował na Kivrin przenikliwe spojrzenie, a następnie zapytał, prawie krzycząc: - Szlachetna pani, czy przybyliście do nas z dalekiego kraju?!

Tak, pomyślała dziewczyna. Z bardzo dalekiego. Tylko ty możesz mi pomóc tam wrócić.

- Gdzie mnie znalazłeś? - zapytała ponownie.

- Jej dobytek zniknął, ale został powóz, nadzwyczaj solidny i pięknie zdobiony - powiedział mężczyzna. - Miała wiele skrzyń i kufrów.

Eliwys skinęła głową, jakby te informacje potwierdzały jej przypuszczenia.

- Myślę, że jest wysokiego stanu i jej ludzie rychło zaczną poszukiwania.

- W której części lasu mnie znalazłeś? - powtórzyła Kivrin pytanie podniesionym głosem.

- Chyba niepotrzebnie ją niepokoimy. - Eliwys pochyliła się nad dziewczyną i uspokajająco poklepała ją po ręce. - Ciii... Odpoczywajcie, pani.

Oboje odsunęli się od łóżka.

- Czy chcecie, bym pojechał do Bath, do lorda Guillaume'a? - zapytał Gawyn.

Ponownie stanął za kotarą, niktą Kivrin z oczu. Eliwys cofnęła się o krok, tak samo jak wtedy, gdy wszedł do izby, zupełnie jakby ogarnął ją lęk. Tak jednak z pewnością nie było, bo przecież jeszcze niedawno stali przy łóżku tak blisko siebie, że w każdej chwili mogli się dotknąć i rozmawiali jak starzy przyjaciele. Jej zachowanie musiało mieć inną przyczynę.

- Mam sprowadzić waszego męża?

- Nie - odparła Eliwys, spoglądając na swoje ręce. - Mój pan i bez tego ma wystarczająco wiele zmartwień, a poza tym nie może opuścić miasta przed zakończeniem rozprawy. Prosił cię, byś nie opuszczał nas na krok i strzegł przed niebezpieczeństwami.

- Pozwólcie więc, że wrócę na miejsce, gdzie znalazłem tę nieszczęsną damę, i przeszukam je ponownie.

- Dobrze - powiedziała kobieta, wciąż nie podnosząc wzroku. - Może w pośpiechu zbójcy porzucili jakiś przedmiot, który pozwoli nam poznać jej tajemnicę.

"Miejsce, gdzie znalazłem tę nieszczęsną damę" - powtórzyła szeptem Kivrin, starając się zapamiętać brzmienie tego zdania w przekładzie. Miejsce, gdzie mnie znalazł.

- Wobec tego natychmiast wyruszam w drogę - oznajmił Gawyn.

Eliwys podniosła na niego wzrok.

- Teraz? Przecież robi się ciemno.

- Pokaż mi miejsce, gdzie mnie znalazłeś - poprosiła Kivrin.

- Nie lękam się ciemności, lady Eliwys - odparł, po czym wyszedł, pobrzękując mieczem.

- Zabierz mnie ze sobą! - zawołała Kivrin, ale jej słowa nie odniosły najmniejszego skutku.

Została sama w pokoju. Teraz nie ulegało już wątpliwości, że translator nie działa albo działa wadliwie. Do tej pory tylko łudziła się, że jest inaczej. Rozumiała co do niej mówią wyłącznie dzięki lekcjom pana Dunworthy'ego... A może jedynie wydaje jej się, że cokolwiek rozumie? Kto wie, czy rozmowa, której była świadkiem, w rzeczywistości nie dotyczyła jakiegoś zupełnie innego tematu - na przykład poszukiwań zaginionej owcy albo przygotowań do rozprawy sądowej, zorganizowanej po to, by posłać ją na stos?

Wychodząc z izby lady Eliwys zamknęła za sobą drzwi, w związku z czym do uszu Kivrin przestały docierać jakiegokolwiek odgłosy świata zewnętrznego. Nawet dzwon umilkł, natomiast sączące się przez płótno światło nabrało głębokiego, niebieskawego odcienia. Istotnie zbliżał się zmierzch.

Gawyn pojechał z powrotem na miejsce przeskoku. Gdyby w oknie zamiast nawoskowanej szmaty była normalna szyba, zobaczyłabym przynajmniej, w którą stronę wyruszył, pomyślała dziewczyna. Powiedział, że to niedaleko. Znajac kierunek, być może później zdołałabym trafić tam na własną rękę.

Podniosła się na łokciach, ale nawet ten niewielki wysiłek sprawił, iż znowu poczuła bolesne ukłucie w klatce piersiowej. Spróbowała usiąść, lecz natychmiast zakręciło jej się w głowie, więc opadła z powrotem na poduszki.

Zawroty głowy, gorączka, bóle w klatce piersiowej... Co to może być za choroba? Ospa wietrzna zaczyna się od gorączki i dreszczy, wysypka zaś pojawia się dopiero na drugi lub trzeci dzień. Podniosła ramię i zbliżyła je do oczu; ani śladu wysypki. Co prawda nie miała pojęcia jak długo była chora, ale ospa wietrzna nie wchodziła w grę również z tego powodu, że okres inkubacji wynosił dziesięć do dwudziestu jeden dni. Dziesięć dni temu przebywała w szpitalu w Oxfordzie, gdzie ostatni wirus ospy wietrznej zginął przed ponad stu laty.

W szpitalu zaszczepiono ją przeciwko wszelkim możliwym chorobom: ospie, tyfusowi, cholercie, dżumie... Czy więc mogła zapaść na jedną z nich? A jeśli nie, to na jaką? Taniec św. Wita? Już wcześniej doszła do wniosku, że musi to być coś zupełnie innego, jakieś choróbsko, o którym wszelki słuch zaginął, ale przecież w klinice wzmocniono także jej układ odpornościowy, który, przynajmniej teoretycznie, powinien dać sobie radę z każdym przeciwnikiem.

Na schodach rozległ się tupot małych stóp.

- Matko! - zawołała Agnes. - Rosemunda nie chciała na mnie zaczekać!

Nie wpadła do pokoju z takim impetem jak poprzednio, gdyż najpierw musiała otworzyć ciężkie drzwi, ale kiedy tylko znalazła się w pomieszczeniu, łkając donośnie popędziła w kierunku kamiennego siedziska.

- To ja miałam powiedzieć Gawynowi!

Dopiero teraz zauważyła, że matki nie ma w pokoju, zatrzymała się i natychmiast przestała płakać. Co najmniej przez minutę stała przy oknie, zastanawiając się, co uczynić, po czym odwróciła się na pięcie i popędziła z powrotem w kierunku drzwi, ale po drodze napotkała spojrzenie Kivrin i stanęła jak wryta.

- Wiem, kim jesteś - powiedziała, zbliżając się ostrożnie do łóżka. Była tak mała, że musiała wspiąć się na palce, by wystawić główkę nad górną krawędź mebla. Tasiemki czepka już zdążyły się rozwiązać. - To ciębie Gawyn znalazł w lesie.

Kivrin milczała, obawiając się, że jej niezrozumiała odpowiedź przestraszy dziewczynkę. Podciągnęła się tylko nieco wyżej i skinęła głową.

- Co się stało z twoimi włosami? - zapytała Agnes. - Zbójcy ci je ukradli?

Kivrin zaprzeczyła ruchem głowy.

- Maisry powiada, że zabrali ci język - poinformowała ją dziewczynka, po czym wskazała palcem czoło Kivrin. - Uderzyli cię w głowę?

Przytaknęła, uśmiechając się jednocześnie na znak, że nic jej się nie stało.

- A ja skaleczyłam się w kolano.

Spróbowała podnieść je obiema rączkami, aby zaprezentować ranę owiniętą brudnym bandażem. Stara kobieta miała rację: opatrunek już zdążył się zsunąć. Skaleczenie wyglądało znacznie poważniej, niż można by przypuszczać.

Agnes straciła równowagę, dała spokój kolanu, stanęła z powrotem na dwóch nogach i oparła się o łóżko.

- Czy ty umrzesz?

Nie wiem, pomyślała Kivrin, wciąż mając świeżo w pamięci bolesne ukłucia w klatce piersiowej. Na początku XIV wieku umieralność na ospę wietrzną wynosiła 75 procent, a jej wzmocniony układ odpornościowy zdawał się funkcjonować równie sprawnie jak translator, czyli wcale.

- Bo brat Hubard umarł - poinformowała ją z powagą Agnes. - I Gilbert też. Gilbert spadł z konia. Widziałam go. Całą głowę miał czerwoną. Rosemunda mówiła, że brat Hubard umarł na siną chorobę.

Ciekawe, co to takiego ta "sina choroba", przemknęło Kivrin przez głowę. Może apopleksja albo biedak zadławił się czymś na śmierć. Przypuszczalnie brat Hubard był kapłanem, którego brak tak boleśnie odczuwała teściowa Eliwys. Bardzo często szlacheckie rodziny podróżowały z własnym kapłanem. Ojciec Roche był zapewne miejscowym księdzem, słabo wykształconym, a może nawet niepiśmiennym, choć doskonale władał łaciną. I okazał jej wiele współczucia. Trzymał ją za rękę, powtarzał, żeby się niczego nie bała. Tutaj, w średniowieczu, są też bardzo mili ludzie, panie Dunworthy, pomyślała. Na przykład ojciec Roche, Eliwys i Agnes.

- Ojciec obiecał, że przywiezie mi z Bath srokę - mówiła dalej dziewczynka. - Adeliza ma sokoła. Czasem pozwala mi go potrzymać. - Wyciągnęła przed siebie rączkę, drugą zaś wykonała ruch, jakby głaskała siedzącego tam ptaka. - Ja mam za to psa.

- Jak się nazywa? - zapytała Kivrin.

- Blackie - odparła z dumą Agnes, choć Kivrin była niemal pewna, iż translator nadmiernie uprościł oryginalną wersję, która brzmiała raczej jak "Blackamon" albo "Blakkin". - Jest cały czarny. Czy ty też masz psa?

Dziewczyna była tak zdumiona, że przez dłuższą chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa. Wreszcie ktoś ją zrozumiał! Agnes nie okazała najmniejszego zdziwienia, z czego należało wysnuć wniosek, iż nawet wymowa Kivrin niewiele różniła się od tego, co obecnie stanowiło obowiązującą normę. Zadała pytanie bez zastanowienia, nie czekając na translator; może to był właśnie klucz do sukcesu?

- Nie, nie mam psa - odparła wreszcie, starając się skopiować swój poprzedni wyczyn.

- Jak ojciec przywiezie mi sroczkę, od razu nauczę ją mówić. Codziennie rano będzie mówiła: Dzień dobry, Agnes.

- Gdzie jest twój piesek? - zapytała Kivrin. Jej własne słowa zabrzmiały dla niej jakoś dziwnie obco; usłyszała w nich wyraźne ślady francuskiego akcentu, takiego samego, jaki wychwyciła w wypowiedziach Eliwys, jej teściowej, a nawet dzieci.

- Chcesz zobaczyć Blackiego? Jest w stajni.

Zabrzmiało to jak bezpośrednia odpowiedź na pytanie, ale czy tak było w istocie? Gadatliwa dziewczynka mogła przecież przedstawić tę propozycję z własnej inicjatywy. Żeby mieć pewność, należało zapytać o coś zupełnie nie związanego z tematem rozmowy.

Agnes nuciła pod nosem jakąś melodyjkę, delikatnie gładząc miękkie futro, pod którym leżała Kivrin.

- Jak masz na imię?

Tym razem świadomie pozwoliła translatorowi przetłumaczyć pytanie. Wyszło z tego coś - jej zdaniem - niezbyt poprawnego, lecz dziewczynka nie wahała się ani chwili.

- Agnes - poinformowała ją jakby nigdy nic, po czym wróciła do interesującego ją tematu: - Ojciec powiedział, że da mi sokoła, jak tylko będę dość duża, żeby jeździć na kłaczy. Na razie mam kucyka. - Przesłała gładzić futro, oparła łokcie na krawędzi łóżka i podparła brodę rękami. - Wiem jak się nazywasz - oświadczyła z wyraźną dumą. - Katherine.

- Co takiego? - zapytała odruchowo Kivrin.

Katherine? Dlaczego właśnie Katherine? Przecież powinna być Isabel, Isabel de Beauvriert! Czy to możliwe, by odkryto jej prawdziwą tożsamość?

- Rosemunda jest pewna, że nikt nie wie, jak ci na imię - ciągnęła dziewczynka z przebiegłym uśmiechem na twarzy - ale ja usłyszałam, kiedy ojciec Roche mówił Gawynowi, że nazywasz się Katherine. Rosemunda rozpowiada też wszystkim, że ty nie mówisz, ale to też nieprawda.

Kivrin nagle przypomniała sobie twarz pochylonego nad nią księdza, częściowo przesłoniętą płomieniami, które przez cały czas szalały między nimi oraz zadane po łacinie pytanie: "Powiedz mi, jak masz na imię, córko, abyś mogła wyznać swoje grzechy".

Miała zupełnie wyschnięte gardło i spieczone usta, nie mogła złapać powietrza, lecz czyniła wszystko co w jej mocy, by powiedzieć mu swoje imię, przerażona, że lada chwila umrze i nikt nawet nie będzie wiedział, co się z nią stało.

Zdołała wykrztusić tylko pierwszą głoskę.

- Naprawdę nazywasz się Katherine? - zapytała Agnes. Tym razem szept translatora nie zdołał zagłuszyć wysokiego głosu dziecka, dzięki czemu Kivrin mogła się przekonać, że w ustach dziewczynki jej imię i "Katherine" brzmią niemal identycznie.

- Tak... - szepnęła, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

- A wiesz, że Blackie ma... - Translator nie przetłumaczył najważniejszego słowa, za to udało mu się je skutecznie zagłuszyć. Karette? Chavette? jest cała czerwona. Chcesz ją zobaczyć?

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Agnes wybiegła z izby, zostawiając za sobą uchylone drzwi.

Kivrin czekała niecierpliwie, modląc się w duchu, aby tajemnicza karette nie okazała się żadnym żywym stworzeniem. Żałowała, że nie dowiedziała się najpierw co to takiego oraz ile czasu zajmie dziewczynce dostarczenie jej na górę, a przede wszystkim, jak nazywa się wieś i od jak dawna ona, Kivrin, leży chora w tym pokoju... Chociaż Agnes wydawała się za mała, aby odpowiedzieć na te pytania. Wyglądała najwyżej na trzy lata, a biorąc pod uwagę, że wszyscy byli tu znacznie drobniejsi niż ludzie w XXI wieku, mogła mieć pięć albo sześć. O to też mogłam ją zapytać, pomyślała Kivrin, po czym natychmiast uświadomiła sobie, iż to pytanie także mogło okazać się za trudne. Kiedy inkwizytorzy zapytali Joannę d'Arc, ile ma lat, nie potrafiła im tego powiedzieć.

Dobrze, że w ogóle mogę się z kimś porozumieć, pomyślała. A więc translator jednak nie zawiódł, tylko po prostu potrzebował trochę czasu, by poradzić sobie z nieznaną wymową, lub może nie mógł działać jak należy, dopóki miała wysoką gorączkę. Na szczęście teraz wszystko jest już w porządku: Gawyn wie, gdzie nastąpił przeskok, i z pewnością zawiezie ją tam przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Podciągnęła się do pozycji półsiedzącej, by widzieć drzwi. Natychmiast przypomniały o sobie znajome sensacje: bolesne klucie w piersi, zawroty głowy, tępe pulsowanie w skroniach. Ostrożnie dotknęła czoła, potem policzków; wydawały się gorące, ale to może dlatego, że miała zimne ręce. W pokoju panowało lodowate zimno, a podczas krótkiej wyprawy do nocnika nie zauważyła żadnego kominka ani pieca.

Czy w XIV wieku znano już piece? Na pewno. W przeciwnym razie, jak znoszono by tak niskie temperatury? Nie bez powodu okres ten nazwano później Małą Epoką Lodową.

Jej ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Gorączka chyba wróciła. Czy tak powinno być? Chyba czytała gdzieś o tym, że po ustąpieniu wysokiej temperatury pacjent z reguły odczuwa znaczne osłabienie, ale potem następuje szybki powrót do zdrowia. Nie było tam ani słowa o nawrotach gorączki, chociaż... Oczywiście, na przykład malaria. Dreszcze, bóle głowy, wzmożone pocenie, nawroty wysokiej temperatury.

Tyle że to z pewnością nie malaria, która na tych terenach nigdy nie była chorobą endemiczną, szczególnie w środku zimy, kiedy trudno choćby o jednego komara. Poza tym, nie zgadzały się objawy. Nie pocila się, dreszcze zaś miały związek wyłącznie z podniesioną temperaturą.

Co innego tyfus. Tyfus wywoływał bóle głowy i gorączkę, przenosiły go zaś wszy i pchły, bardzo rozpowszechnione w średniowiecznej Anglii oraz, zapewne, dość licznie zamieszkujące łóżko, w którym teraz leżała. Tę ewentualność wykluczał jedynie fakt, że okres inkubacji sięgał dwóch tygodni.

Z kolei okres inkubacji duru brzuszego wynosił zaledwie kilka dni, objawami tej choroby były zaś między innymi bóle głowy i kończyn, a także wysoka temperatura. Co prawda nie powinna wracać falami, ale na pewno wzrastała nocą, co oznaczało, że w dzień musiała być nieco niższa.

Ciekawe, która godzina. Eliwys powiedziała, że zaczyna się ściemniać, przyćmiony blask zaś, który sączył się przez nawoskowane płótno, z każdą chwilą nabierał wyraźniejszego, niebieskawego odcienia, ale przecież dni w grudniu są bardzo krótkie. Całkiem możliwe, iż dopiero minęła trzecia, może w pół do czwartej. Fakt, że musiała walczyć z narastającą sennością, również nie stanowił żadnej wskazówki; kiedy człowiek jest osłabiony, łatwo przespać cały dzień.

Jednym z objawów duru brzuszego była właśnie senność. Kivrin wysiliła pamięć, chcąc przypomnieć sobie jak najwięcej wiadomości, jakie przekazała jej doktor Ahrens podczas "krótkiego kursu medycyny średniowiecznej". Krwawienia z nosa, obłożony język, różowa wysypka. Co prawda wysypka powinna pojawić się dopiero siódmego albo ósmego dnia, niemniej jednak Kivrin podciągnęła koszulę i uważnie przyjrzała się skórze na brzuchu i klatce piersiowej. Ani śladu wysypki, więc to nie dur brzuszny ani tym bardziej ospa, bo wtedy pierwsze zmiany na skórze wystąpiłyby już drugiego, najdalej trzeciego dnia.

Gdzie podziała się Agnes? Zapewne ktoś z dorosłych nareszcie poszedł po rozum do głowy i zakazał jej wstępu do izby, w której leżała chora, albo może nieodpowiedzialna Maisry wreszcie przypomniała sobie o swoich obowiązkach, albo, co było najbardziej prawdopodobne, dziewczynka zajrzała do stajni, by odwiedzić pieska, i zupełnie zapomniała, że miała pokazać Kivrin, to znaczy Katherine, swoją chavotte, czymkolwiek to było.

Dzuma też zaczynała się od bólu głowy i gorączki. Niemożliwe, żebym zachorowała na dzumę, pomyślała. Nie mam żadnego z charakterystycznych objawów: węzły chłonne wielkości pomarańczy, język tak opuchnięty, że nie mieści się w ustach, podskórne krwotoki, w wyniku których ciało staje się ciemnosine, czasem wręcz czarne. To nie dzuma, Kivrin. To nie dzuma.

Przypuszczalnie dopadła ją jakaś odmiana grypy. To jedyna choroba, która daje tak gwałtowne objawy, doktor Ahrens zaś wydawała się bardzo niezadowolona, że pan Gilchrist przesunął termin przeskoku, ponieważ trzeba było kilku dni, żeby szczepionki zaczęły działać z pełną siłą. W chwili, gdy Badri otworzył się, ona, Kivrin, miała tylko częściową odporność. Tak, to na pewno grypa. Co w takich przypadkach zwykle zalecają lekarze? Odpoczynek, przyjmowanie dużej ilości płynów oraz zapisują leki przeciwwirusowe.

Odpoczywaj więc, pomyślała, zamykając oczy.

Nie pamiętała kiedy zasnęła, ale na pewno spała, bo kiedy ponownie otworzyła oczy, dwie dorosłe kobiety były znowu w pokoju.

- Co powiedział Gawyn? - zapytała starsza.

W jednej ręce trzymała drewnianą miskę, w drugiej zaś również drewnianą łyżkę, którą mieszała, a raczej tarła coś zawzięcie. Obok, na kamiennym siedzisku, stała szkatułka z metalowymi okuciami; kobieta przerwała na chwilę ucieranie, sięgnęła do niej, wydobyła niewielki woreczek z ciemnego płótna, wysypała część jego zawartości do miski, po czym ponownie zajęła się ucieraniem.

- Nie znalazł niczego, co powiedziałoby nam, kim jest i skąd pochodzi. Jej dobytek został rozkradzony, kufry porozbijane, skrzynie opróżnione. Podobnie jednak powóz wygląda na bardzo solidny, więc można przypuszczać, że wywodzi się z zamożnej rodziny.

- Która zapewne już jej szuka - dodała stara kobieta. Odstawiła miskę, zajęła się natomiast darcim płótna na długie, wąskie pasy. - Trzeba posłać kogoś do Oxenfordu, by powiedział im, że znaleźliśmy ją i że jest bezpieczna.

- Nie - odparła stanowczo Eliwys. - Nie do Oxenfordu.

- Czyżby doszły do ciebie jakieś wieści?

- Nie, ale pamiętam słowa mojego męża. Rozkazał nam, byśmy nie ruszały się stąd ani na krok i cierpliwie czekały jego powrotu.

- Gdyby wszystko poszło po jego myśli, już by tu był.

- Rozprawa dopiero się rozpoczęła. Może właśnie teraz wraca do domu?

- A może... - Kolejne, niemożliwe do zidentyfikowania, imię albo nazwisko. Torquil? - ...czeka na powieszenie, a mój syn razem z nim? Nie powinien mieszać się do nie swoich spraw.

- To przyjaciel. Nie popełnił żadnego z zarzucanych mu czynów.

- To głupiec, a mój syn jeszcze większy, skoro zdecydował się zeznawać na jego korzyść. Prawdziwy przyjaciel nakazałby mu czym prędzej wyjechać z Bath. - Przez chwilę w milczeniu poruszała łyżką. - Trzeba mi trochę gorzycy - odezwała się ponownie, odstawiła miskę i podeszła do drzwi. - Maisry! - Wróciwszy na siedzisko znowu zajęła się darcie płótna. - A czy Gawyn spotkał może kogoś z jej sług?

Eliwys również usiadła na kamiennej ławie pod oknem, najdalej jak mogła od teściowej.

- Nie. Ich wierzchowce także znikły bez śladu.

Do izby wbiegła dziewczyna o ospowatej twarzy, okolonej strąkami brudnych, przetłuszczonych włosów. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa była to niecna Maisry, która łajdaczyła się ze stajennymi, zamiast zajmować się swoimi obowiązkami. Złożyła niedbały ukłon bardziej przypominający potknięcie, po czym zapytała:

- *Wotwardstu, Lawttymayeen?*

Tylko nie to, jęknęła w duchu Kivrin. Co się dzieje z tym przeklętym tłumaczem?

- Przynies mi z kuchni garniec z gorzycą - poleciła stara kobieta. Dziewczyna natychmiast ruszyła do drzwi. - Tylko nie wysyp! - zawołała za nią, po czym zapytała: - A gdzie Agnes i Rosemunda? Dlaczego nie są z tobą?

- *Shiyrouthamay* - odparła ponuro służąca.

Eliwys podniosła się i postąpiła krok w kierunku dziewczyny.

- Mów! - poleciła stanowczym tonem.

- Chowają... (coś) ...przede mną.

A więc to nie wina tłumacza, tylko różnic między normańską angielszczyzną, jaką posługiwała się szlachta, a saksońskim dialektem wciąż jeszcze popularnym wśród chłopstwa! Nawiasem mówiąc, żadna z tych dwóch odmian języka mówionego w najmniejszym stopniu nie przypominała staroangielskiego, którego podstawy z takim zapalem wpajał jej pan Latimer. Doprawdy, należało się dziwić, że tłumacz w ogóle był w stanie dokonać jakiegokolwiek przekładu!

- Właśnie ich szukałam, proszę pani, kiedy zawołała mnie lady Imeyne - powiedziała Maisry.

Tym razem tłumacz poradził sobie z całą wypowiedzią, choć tłumaczenie nastąpiło dopiero po kilku sekundach. Wrażenie było dość niezwykłe, ale gdyby na jego podstawie oceniać intelektualne walory służącej, nie wypadłaby ona najlepiej. Krótko mówiąc, łatwo można by odnieść wrażenie, że słucha się kogoś nie w pełni władz umysłowych, co zresztą mogło być zgodne z prawdą, ale nie musiało.

- Gdzie szukałaś? W stajni?

Eliwys zamierzyła się, jakby chciała uderzyć na odlew, Maisry zaś wrzasnęła przeraźliwie, skuliła się i chwyciła brudną ręką za lewe ucho. Kivrin odruchowo napięła mięśnie.

- Idź teraz do kuchni, przynieś gorzycę dla lady Imeyne, a potem znajdź Agnes.

Maisry bez słowa skinęła głową. Nie sprawiała wrażenia nadmiernie przerażonej, ale na wszelki wypadek wciąż chroniła ucho. Dygnawszy niestarannie, znikła jeszcze szybciej niż się pojawiła. Atak gniewu Eliwys wywarł na niej znacznie mniejsze wrażenie niż na Kivrin; ciekawe, czy lady Imeyne prędko dostanie swoją gorzycę, pomyślała dziewczyna.

Gwałtowna, a zarazem beznamiętna reakcja młodej kobiety stanowiła dla niej całkowite zaskoczenie. Eliwys wcale nie wyglądała na rozwścieczoną, a kiedy Maisry wybiegła z pokoju, natychmiast wróciła na miejsce, usiadła i powiedziała jakby nigdy nic:

- Nawet gdyby ktoś po nią przyjechał, nie będą mogli jej zabrać. Musi zostać z nami do powrotu mojego męża. Na pewno uczyni wszystko co w jego mocy, by zdążyć przed Bożym Narodzeniem.

Na schodach rozległ się jakiś rwetes. Kivrin przyznała w duchu, że niewłaściwie oceniła sytuację: groźba wytargania za ucho chyba jednak poskutkowała. Chwilę później, przyciskając coś do piersi, do izby wpadła zadyszana Agnes.

- Agnes! - wykrzyknęła jej matka. - Co tu robisz?

- Przyniosłam moją... - Tłumacz ponownie nie sprostał zadaniu. Charette? - ...żeby pokazać tej pani.

- Niedobre z ciebie dziecko! - odezwała się Imeyne. - Kryjesz się przed Maisry, a potem przybiegasz tu pod lada pretekstem, żeby niepokoić chorą. Ona wciąż jeszcze jest bardzo cierpiąca.

- Ale powiedziała mi, że chce ją zobaczyć! Dziewczynka pokazała kobietom swój skarb. Był to drewniany dwukołowy wózek pomalowany na czerwono i żółto.

- Bóg wtrąca w piekielne otchłanie wszystkich, którzy dają fałszywe świadectwo! - zagrzmiała lady Imeyne, chwytając dziecko za ramię i potrząsając mocno. - Przecież dobrze wiesz, że ona nie mówi!

- Ale ze mną rozmawiała! - zaprotestowała Agnes ze łzami w oczach.

Pięknie, pomyślała z przekąsem Kivrin. Piekielne otchłanie. Cóż za wspaniałe metody wychowawcze! Ale takie właśnie było średniowiecze: kapłani przy lada okazji straszili wiernych Sądem Ostatecznym, rychłym końcem świata i wiecznymi mękami.

- Powiedziała mi, że chce zobaczyć mój wózek - ciągnęła Agnes. - I że nie ma psa.

- Zmyślasz, dziecko - odezwała się Eliwys. - Ona nic nie mówi.

Chyba muszę się wtrącić, pomyślała Kivrin. Jeszcze trochę, a mała też dostanie po uszach.

Podniosła się na łokciach, odpoczęła chwilę, następnie zaś powiedziała głośno i wyraźnie, modląc się w duchu, by translator tym razem spełnił swoje zadanie:

- Naprawdę rozmawiałam z Agnes.

Gdyby akurat teraz odmówił współpracy, chyba popłakałaby się z wściekłości.

- Poprosiłam ją, żeby przyniosła swój wózek.

Obie kobiety odwróciły się jak na komendę i wytrzeszczyły oczy. Może tylko jej się wydawało, ale we wzroku Imeyne dostrzegła błysk niezadowolenia, jakby babka Agnes miała do niej pretensję o to, że pozbawiła ją sposobności solidnego zrugania wnuczki.

- A nie mówiłam?! - wykrzyknęła triumfalnie Agnes, a następnie podeszła do łóżka, trzymając przed sobą zabawkę.

Kivrin opadła ciężko na poduszki. Była wycieńczona.

- Gdzie jestem? - zapytała cicho.

Eliwys potrzebowała trochę czasu, by otrząsnąć się ze zdumienia.

- Znaleźliście bezpieczne schronienie w domu mego pana i męża...

Translator oczywiście nie poradził sobie z nazwiskiem. Zabrzmiało jak Guillaume D'Iverie albo Devereaux.

- Sługa mego męża znalazł was w lesie i przywiózł tu, ledwie żywą - ciągnęła Eliwys, przyglądając się jej z niepokojem. - Zostaliście napadnięci przez zbrojczyków i okrutnie poturbowani. Kim byli ci złoczyńcy?

- Nie wiem.

- Ja mam na imię Eliwys, to zaś jest matka mego męża, lady Imeyne. Jak was zowią, pani?

Wreszcie nadeszła pora, by opowiedzieć starannie przygotowaną historię. Co prawda w gorączce wyznała kapłanowi, że ma na imię Katherine, ale lady Imeyne dała już jednoznacznie do zrozumienia, iż zupełnie nie liczy się z jego zdaniem. Wątpiła nawet, czy ojciec Roche zna łacinę. W razie czego Kivrin powie po prostu, że się przesłyszała, ponieważ jej prawdziwe nazwisko brzmi Isabel de Beauvrier. Wtedy wzywała na pomoc matkę, może siostrę albo modliła się do świętej Katarzyny.

- Z jakiego rodzaju pochodzicie? - zapytała lady Imeyne.

Wszystko zostało obmyślane z najdrobniejszymi szczegółami. Ujawni swoją fałszywą tożsamość, zyska szacunek tych ludzi, a przy okazji zapewni sobie bezpieczeństwo, bo Yorkshire leży zbyt daleko na północ, by ktokolwiek dotarł tam o tej porze roku.

- Dokąd jechaliście?

Technicy z sekcji średniowiecza dokładnie zbadali warunki pogodowe. Przez dwa pierwsze tygodnie grudnia lało jak z cebra, potem zaś złapał ostry mróz, który zelżał dopiero pod koniec stycznia. Kiedy jednak Kivrin zobaczyła drogę do Bath, okazało się, że trakt jest suchy i doskonale przejezdny. Równie mało precyzyjne okazały się ustalenia dotyczące powszechności stosowania szyb w oknach, najczęściej spotykanych barw strojów, a także języka, jakim na początku XIV wieku posługiwali się mieszkańcy Oxfordshire.

- Nie pamiętam - wyszeptwała.

- Nic? - Eliwys skierowała pytające spojrzenie na teściową. - Nic nie pamięta?

Translator przetłumaczył jej słowa jako "Nic nie pamiętam". Różnica była niewielka, ale jednak była.

- Wszystko przez tę ranę na głowie - powiedziała Eliwys. - Straciła pamięć od uderzenia.

- Nie, to nieprawda... - zaprotestowała Kivrin słabym głosem. Przecież nie miała symulować amnezji, tylko udawać Isabel de Beauvrier z East Riding. Tutaj drogi były suche, ale nie oznaczało to jeszcze, iż dalej na północ nie przykrywała ich gruba warstwa śniegu. Eliwys nie chciała, by Gawyn pojechał do Oxfordu albo do Bath, więc tym bardziej nie zezwoli mu na daleką i niebezpieczną wyprawę do East Riding.

- Nie pamiętacie nawet swego imienia? - zapytała ze zniecierpliwieniem lady Imeyne pochylając się tak nisko nad łóżkiem, że Kivrin poczuła na twarzy jej oddech. Cuchnął zgnilizną i rozkładem. Cóż, w średniowieczu nieczęsto korzystano z usług stomatologów.

- Jak się nazywacie?

Pan Latimer twierdził, że na początku XIV wieku "Isabel" było jednym z najczęściej spotykanych kobiecych imion. Jak przedstawiała się sprawa z "Katherine"? Poza tym, sekcji średniowiecza nie udało się ustalić imion córek pana de Beauvrier. Co będzie, jeśli okaże się, że do Yorkshire wcale nie jest daleko albo że lady Imeyne zna tę rodzinę? Z pewnością uznałaby kłamstwo za kolejny dowód na to, że Kivrin jest francuskim szpiegiem. Mimo to chyba będzie najlepiej, jeśli jednak postąpi według planu i powie im, że nazywa się Isabel de Beauvrier.

Z drugiej strony, stara kobieta będzie zachwycona, mając w ręku dowód na to, że wiejski ksiądz, którym tak pogardzała, pomylił się i nieprawidłowo zrozumiał, co chora mówiła do niego podczas spowiedzi. Tym samym zyska kolejny argument przemawiający za tym, by jak najprędzej posłać do Bath po nowego kapłana.

Ale przecież ojciec Roche trzymał Kivrin za rękę, powtarzał jej, żeby się niczego nie obawiała...

- Nazywam się Katherine - powiedziała.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO
(001300-002018)

Panie Dunworthy, zdaje się, że nie ja jedna wpadłam w tarapaty. Ludzie, którzy mnie przygarnęli, też mają swoje problemy.

Pan tego domu, lord Guillaume, jest nieobecny. Przebywa w Bath, gdzie zeznaje w charakterze świadka na rozprawie swego przyjaciela. Wgląda na to, że nie jest to najbezpieczniejszy sposób spędzania wolnego czasu. Jego matka, lady Imeyne, uważa go w związku z tym za głupca, żona natomiast, lady Eliwys, sprawia wrażenie ogromnie zatroskanej.

Przybyli tu w wielkim pośpiechu, prawie bez służby. W czternastym wieku każda szlachcianka miała przynajmniej jedną pokojówkę, każde dziecko zaś swoją piastunkę, tymczasem zarówno obie damy, jak i dzieci lorda Guillaume'a, muszą sobie radzić zupełnie same. Maisry, niezbyt rozgarnięta dziewczyna do wszystkiego, wykonuje tylko najcięższe prace. Lady Imeyne wciąż powtarza, że trzeba posłać do Bath po piastunki i kapelana, ale lady Eliwys nawet nie chce o tym słyszeć.

Odnoszę wrażenie, iż lord Guillaume spodziewał się jakichś kłopotów i dlatego odesłał kobiety w bezpieczne miejsce. Możliwe też, że jego obawy już się sprawdziły, ponieważ Agnes, młodsza z jego dwóch córek, opowiedziała mi o śmierci poprzedniego kapelana oraz o jakimś Gilbercie, którego głowa "była cała czerwona". Być może doszło już do rozlewu krwi, kobiety zaś same zdecydowały się tu przyjechać, by przeczekać najgorsze. Towarzyszy im tylko jeden zaufany sługa lorda, który ani na chwilę nie rozstaje się z bronią.

W roku 1320 w Oxfordshire nie doszło do żadnych poważniejszych wystąpień przeciwko Edwardowi II, mimo iż ani król, ani tym bardziej jego faworyt Hugh Despenser, nie cieszyli się nadmierną popularnością, w innych częściach państwa wrzało zaś prawie bez przerwy. Dwaj baronowie, Lancaster i Mortimer, odebrali Despenseroom dwadzieścia sześć dworów; kto wie, czy lord Guillaume lub jego przyjaciel mieli z tym coś wspólnego.

Naturalnie mogło chodzić o zupełnie inną sprawę, na przykład spór o ziemię albo coś w tym rodzaju. W XIV wieku procesowano się niemal równie często i chętnie jak pod koniec XX. Nie wydaje mi się jednak, by w grę wchodziła jakaś błażostka, ponieważ lady Eliwys zachowuje się jak zaszczute zwierzę i nawet zakazała teściowie odwiedzać sąsiadów.

Właściwie to dobrze się składa, bo skoro z nikim się nie widują, to nikt się nie dowie, że tutaj jestem, i raczej nie zdecydują się wysłać umyślnego, który miałby szukać wśród okolicznej szlachty kogoś, kto potrafi pomóc w ustaleniu mojej tożsamości. Z drugiej strony jednak, należy liczyć się z możliwością, że lada chwila do drzwi zaczną dobijać się uzbrojeni ludzie albo że Gawyn, jedyna osoba, która wie jak trafić na miejsce przeskoku, zginie, broniąc dworu przed napastnikami.

(przerwa)

15 grudnia 1320 (według starej rachuby czasu). Translator wreszcie działa, choć wciąż zdarzają mu się drobne wpadki; najważniejsze jednak, że mogę się porozumieć. Pojmuję też większość tego, co do mnie mówią, choć język, jakim posługują się mieszkańcy tego domu, nie ma prawie nic wspólnego ze staroangielskim, którego uczył mnie pan Latimer. Charakteryzuje go znacznie bardziej rozbudowana fleksja, a także wymowa upodabniająca go do francuskiego. Pan Latimer z pewnością nie rozpoznałby swojego ulubionego "*Whan that Aprille with his shoures sote*".

Translator, nie wiadomo czemu, od czasu do czasu wtrąca jakiś wyraz w jego dawnym brzmieniu albo pozostawia oryginalną składnię. Początkowo próbowałam się do tego dostosować, ale ostatecznie zrezygnowałam z jakichkolwiek stylizacji, bo wymagało to ciągłego napięcia uwagi, a w dodatku nie dawało żadnych zauważalnych - czy raczej słyszalnych - rezultatów. Posługuję się zwykłą XXI-wieczną angielszczyzną, licząc na to, że translator poradzi sobie ze wszystkimi idiomami oraz nie pogubi się w zawiłościach składni. Jeden Bóg wie, co sobie myślą, słuchając moich wynurzeń; przypuszczalnie uważają mnie za francuskiego szpiega.

Problemy dotyczą nie tylko spraw językowych. Mój strój jest zupełnie nie na miejscu - za elegancki, uszyty z materiału zbyt dobrej jakości, a w dodatku zanadto jaskrawy. Tutaj nikt się tak nie ubiera. W dodatku jestem za wysoka, mam zęby w zbyt dobrym stanie i za czyste ręce, mimo całego popołudnia spędzonego w wykopaliskach panny Montoi. Ręce powinny być nie tylko brudne, ale także odmrożone. Wszyscy takie mają, nawet dzieci.

Dzisiaj podsłuchiwałam dyskusję lady Imeyne i lady Eliwys, dotyczącą sprowadzenia nowego kapelana.

- Na pewno zdąży przyjechać - powiedziała Imeyne. - Przecież do Świąt zostało jeszcze dziesięć dni.

Może pan więc przekazać panu Gilchristowi, że wreszcie udało mi się ustalić moją lokalizację czasową. Niestety, nadal nie mam pojęcia, jak daleko jestem od miejsca przeskoku. Próbowałam przypomnieć sobie, któredy wiózł mnie Gawyn, ale tamta noc jawi mi się we wspomnieniach jak jeden wielki koszmar; co gors-

za, pamiętam także rzeczy, które wcale nie miały miejsca, jak choćby jazdę na białym koniu z dzwoneczkami przy uprzęży. Dzwonki grały kolędy, zupełnie jak kuranty w Wieży Carfax.

Skoro tu mamy piętnasty grudnia, to u was jest już Wigilia. Poczęstuje pan gości swoją znakomitą sherry, po czym wszyscy pójdziecie do kościoła Najświętszej Marii Panny na nabożeństwo ekumeniczne. Doprawdy, trudno sobie uzmysłować, że dzieli mnie od was ponad siedemset lat. Wciąż mi się wydaje, że gdybym wstała z łóżka (czego na pewno nie zrobię, bo mam okropne zawroty głowy i chyba znowu podniosła mi się temperatura) i otworzyła drzwi, zobaczyłabym tam nie strome drewniane schody prowadzące do mrocznej sieni, lecz laboratorium w Brasenose, a także was wszystkich: Badriego, doktor Ahrens i pana, panie Dunworthy, wycierającego chusteczką okulary i powtarzającego: "A nie mówiłem?" Jak zwykle miał pan rację.

12.

Lady Imeyne nie uwierzyła w bajeczkę o utracie pamięci.

- To mój pies, lady Kivrin - powiedziała Agnes, prezentując z dumą małego czarnego szczeniaka o nieproporcjonalnie wielkich łapach, po czym wzięła go w pół, jak szmacianą lalkę, i podała dziewczynie. - Możesz go pogłaskać. Pamiętasz jak to się robi?

- Tak. - Kivrin uwolniła pieska ze zbyt silnego uchwytu, przytuliła do piersi i zaczęła gładzić po jedwabistej sierści. - Czy ty aby nie powinnaś zajmować się szcieniem?

- Babka poszła zbesztać rządcę, a Maisry znowu pobiegła do stajni - odparła Agnes, zabierając jej szczeniaka. Pocałowała go z rozmachem w mordkę, a następnie dodała: - Dlatego do ciebie przyszedłem. Babka jest bardzo rozgniewana. Zanim tu przyjechałyśmy, rządcza mieszkał z całą rodziną w dużej izbie. - Szczeniak otrzymał kolejnego całusa. - Babka powiada, że to jego żona namawia go do grzechu.

Babka. W rzeczywistości Agnes nie używała tego słowa, ponieważ jeszcze nie istniało - w mowie potocznej zaczęło się pojawiać dopiero w osiemnastym wieku - ale translator bez wahania zdecydował się na ten anachronizm, mimo że jednocześnie nie uznał za stosowne skorygować średniowiecznej wymowy imienia "Katherine", niekiedy zaś milkł niespodziewanie w sytuacjach, kiedy znaczenia jakiegoś wyrazu można było z łatwością domyślić się z kontekstu. Cóż, Kivrin mogła tylko mieć nadzieję, iż jej podświadomość wie co robi.

- Czy ty jesteś cułożnica, lady Kivrin? - zapytała Agnes.

Akurat w tej chwili z pewnością nie wiedziała.

- Proszę?

- Cułożnica - powtórzyła Agnes ze zniecierpliwieniem. Szczeniak czynił wszystko co w jego mocy, by uwolnić się z uścisku małych rączek. - Bo babka mówi, że jesteś. Powiedziała, że kobieta, która ucieka przed mężem do kochanka, ma powód, żeby niczego nie pamiętać.

Cudzołożnica. Cóż, lepsze to niż francuski szpieg, choć zapewne lady Imeyne podejrzewała ją o oba te występki.

Agnes po raz kolejny ucałowała pieska.

- Babka powiada, że prawdziwa dama nie włóczyłaby się po lesie w środku zimy.

Twoja babka ma rację, pomyślała Kivrin. Podobnie jak pan Dunworthy. Do tej pory nie udało jej się ustalić, gdzie jest miejsce przeskoku, mimo iż rano, kiedy lady Eliwys przyszła przemyć ranę na skroni, poprosiła, by pozwolono jej porozmawiać z Gawynem.

- Pojechał na poszukiwania złoczyńców, którzy was ograbili - poinformowała ją Eliwys, kładąc na ranę okład z jakiejś maści, która mocno pachniała czosnkiem i wywoływała silne pieczenie. - Pamiętacie może któregoś z nich?

Kivrin w milczeniu pokręciła głową. Modliła się w duchu, by jej udawana amnezja nie stała się przyczyną śmierci jakiegoś nieszczęsnego wieśniaka. Przecież nie będzie mogła stwierdzić, że nie brał udziału w napadzie, skoro rzekomo niczego nie pamięta.

Może nie powinna była tego mówić? Prawdopodobieństwo, że znali de Beauvrieros, było przecież minimalne, natomiast fakt, iż nie potrafiła udzielić żadnych informacji na swój temat, zdawał się podsycać podejrliwość lady Imeyne.

Agnes usiłowała założyć szczeniakowi swój czepek.

- W lasach są wilki - poinformowała ją z powagą. - Gawyn niedawno zabił jednego siekierą.

- Czy opowiadał ci, jak mnie znalazł?

- Tak. Popatrz: Blackie będzie nosił mój czepek! - wykrzyknęła, zaciskając tasiemki z taką siłą, że szczeniakowi oczy wyszły z orbit.

- Nie wygląda na zachwyconego - zauważyła Kivrin. - Gdzie mnie znalazł?

- W lesie. - Piesek zdołał uwolnić się od czepka, za to o mało nie spadł na podłogę. Dziewczynka złapała go w ostatniej chwili, postawiła na środku łóżka i podniosła za przednie łapy. - Teraz Blackie będzie tańczył.

- Daj mi go - poprosiła Kivrin, by przerwać cierpienia zwierzęcia, po czym ułożyła szczenię w zgięciu ramienia. - Gdzie w lesie?

Agnes wspięła się na palce, by widzieć pupila.

- Blackie śpi! - wyszeptala z przejęciem.

Istotnie, szczeniak natychmiast zasnął, wyczerpany po pieszczotach swojej małej pani. Kivrin delikatnie przeniosła go na futrzane przykrycie.

- Czy to było daleko stąd?

- Bardzo daleko - odparła Agnes.

Widać było, że nie ma pojęcia, o czym mówi. Należało czym prędzej zapytać Gawyna.

- Czy Gawyn już wrócił?

- Tak - powiedziała dziewczynka, delikatnie głaszcząc śpiącego szczeniaka. - Chcesz z nim porozmawiać?

- Owszem.

- A jesteś cułożnicą?

Agnes miała irytujący zwyczaj nagłego zmieniania tematu rozmowy.

- Nie - odparła Kivrin, po czym przypomniała sobie, że przecież cierpi na amnezję. - To znaczy, chyba nie. Wciąż nie pamiętam, kim jestem.

- Babka powiada, że tylko cułożnica może tak śmiało żądać rozmowy z nieznanym mężczyzną.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Rosemunda. - Wszędzie cię szukają, głuptasie! - oznajmiła z rękami opartymi na biodrach.

- Rozmawiałam z lady Kivrin - odparła Agnes, po czym rzuciła ukradkowe spojrzenie na Blackiego, który słodko spał na łożku, prawie niewidoczny na tle ciemnego futra. Przypuszczalnie psom nie pozwalano przebywać w domu.

Kivrin od niechcenia przesunęła przykrycie w taki sposób, że piesek zupełnie zniknął z oczu.

- Przecież wiesz, co mówiła matka: pani musi odpocząć, żeby jej rany szybciej się goiły. Chodź. Powiem babce, że cię znalazłam.

Dziewczynki wyszły z izby.

Kivrin odprowadziła je spojrzeniem, modląc się gorąco, by Agnes nie powiedziała babce, że chora pani znowu chciała widzieć się z Gawynem. Wydawało jej się, że ma doskonałą wymówkę, żeby z nim porozmawiać, że jest całkiem zrozumiałe, iż pragnie jak najwięcej dowiedzieć się o swoim dobytku i ludziach, którzy na nią napadli. Nie wzięła jednak pod uwagę, że jest rok 1320 i że niezamężnym szlachciankom nie wypada dopytywać się przy każdej okazji o młodych mężczyzn.

Eliwys mogła rozmawiać z nim bez przeszkód, ponieważ była panią domu i żoną jego chlebobawcy. To samo dotyczyło Imeyne, matki lorda Guillaume'a. Ona, Kivrin, powinna zaczekać aż sam ją zagadnie, a następnie odpowiedzieć mu z całą skromnością, jaka przystoi młodej damie.

Nie mogąc czekać tak długo, przemknęła jej przez głowę rozpaczliwa myśl. Tylko on wie, jak trafić na miejsce przeskoku!

Do pokoju wpadła Agnes, porwała szczeniaka w objęcia, po czym natychmiast zawróciła do drzwi.

- Babka bardzo się gniewa. Myślała, że wpadłam do studni! - rzuciła przez ramię, i już jej nie było.

Należało przypuszczać, iż w związku z tym lady Imeyne nie omieszkala wytargać Maisry za uszy. Służąca już raz znalazła się w opałach, ponieważ nie dopilnowała Agnes, która przyszła pokazać Kivrin srebrny łańcuch lady Imeyne wraz z przyczepionym do niego "lerykarzem" - naturalnie translator nie był w stanie poradzić sobie z tym słowem. Wewnątrz miniaturowej szkatułki znajdował się podobno fragment całunu, w który zawinięto ciało św. Szczepana, pierwszego męczennika. Maisry dostała po uszach za to, że pozwoliła dziewczynce zabrać relikwiarz, ale nie za to, że dopuściła, by mała zbliżyła się do chorej.

Fakt, iż zarówno Agnes jak Rosemunda miały nieograniczony dostęp do Kivrin, dla nikogo nie stanowił powodu do obaw. Także Imeyne i Eliwys, które wspólnie opiekowały się chorą, nie stosowały żadnych, choćby najbardziej prymitywnych, środków ostrożności.

Naturalnie ludzie żyjący w średniowieczu nie wiedzieli nic o sposobach przenoszenia się chorób - według powszechnie panującego przekonania wszelkie epidemie stanowiły karę wymierzoną przez rozgniewanego Boga - zdawali sobie natomiast sprawę, iż chory stanowi potencjalne źródło zagrożenia dla wszystkich przebywających w jego otoczeniu. W czasach Czarnej Śmierci podstawowa zasada postępowania brzmiała następująco: "Uciekaj najszybciej, najdalej i na tak długo, jak tylko można". Dość powszechnie stosowano także kwarantannę.

Ale nie tutaj, pomyślała Kivrin. Co będzie, jeśli dziewczynki, albo ojciec Roche, zarażą się ode mnie?

Kapłan był przy niej przez cały czas, kiedy miała największą gorączkę, trzymał ją za rękę, pytał o imię... Zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie tamtą noc. Spadła z konia, potem rozpalono stos... Nie, to były tylko majaczenia: płonący stos, a także biały rumak. Gawyn ma przecież czarnego konia.

Najpierw jechali przez las, potem w dół po zboczcu wzgórza, minęli kościół, a wtedy bandyta o okrutnej twarzy... Nie, to bez sensu. Wspomnienia stanowiły beładną mieszaninę rzeczywistych i wymyślonych obrazów, zniekształconych, niezrozumiałych, przerażających. Nawet wygląd miejsca przeskoku zatarł się w jej

pamięci. Wiedziała na pewno tylko tyle, że rósł tam potężny dąb i wierzby, oraz że usiadła, opierając się plecami o koło wozu, ponieważ zakreśliło jej się w głowie, a wtedy rzeźmieszek... Oczywiście! On także stanowił jedynie wytwór jej wyobraźni. Tak samo jak biały koń, bicie dzwonów, a może i wiejski kościół.

Musi zapytać Gawyna, jak daleko jest stąd do miejsca, gdzie ją znalazł, ale z pewnością nie uczyni tego w obecności lady Imeyne, która uważa ją za "cułożnicę". Musi jak najprędzej wyzdrowieć albo przynajmniej odzyskać siły na tyle, by wstać z łóżka, zejść po schodach na dół, do głównej izby, potem zaś wyjść na zewnątrz, dotrzeć do stajni, odszukać Gawyna i porozmawiać z nim na osobności.

Już teraz czuła się nieco lepiej, choć wciąż jeszcze była za słaba, żeby samodzielnie dotrzeć do nocnika. Co prawda ustąpiły zawroty głowy i gorączka, pozostały natomiast kłopoty z oddychaniem. Jej opiekunki chyba też dostrzegły objawy świadczące o ustępowaniu choroby, ponieważ zostawiły ją samą na prawie całe przedpołudnie, Eliwys zaś ograniczyła zabiegi pielęgnacyjne do posmarowania rany cuchnącą, boleśnie piekącą maścią.

Kivrin starała się nie zastanawiać nad tym, co powiedziała Agnes, nie próbować dociec, dlaczego nie zadziały szczepionki ani jak daleko jest do miejsca przeskoku, usiłowała natomiast skoncentrować się na tym, co mogło jej pomóc w szybszym powrocie do zdrowia. Przez większą część popołudnia ćwiczyła siadanie w łóżku oraz przekładanie nóg przez jego krawędź. Kiedy zjawiała się Maisry, by pomóc jej dotrzeć do nocnika, Kivrin wróciła do łóżka prawie bez pomocy służącej.

W nocy wyraźnie się ochłodziło. Rankiem następnego dnia Agnes zjawiała się w czerwonej wełnianej opończy z kapturem oraz futrzanych rękawicach z jednym palcem.

- Chcesz zobaczyć moją srebrną sprzączkę? Dostałam ją od sir Bloeta. Pokażę ci jutro. Dziś nie mogę, bo idziemy do lasu po polano.

- Polano?

Kivrin znowu ogarnął niepokój. Grube polano, które zgodnie ze starym obyczajem uroczyście palono w kominku w Wigilię Bożego Narodzenia, zazwyczaj przynoszono z lasu dopiero dwudziestego czwartego grudnia, dziś zaś powinien być siedemnasty. Czyżby niewłaściwie zrozumiała słowa lady Imeyne?

- Tak - potwierdziła Agnes. - Właściwie powinniśmy zaczekać do Wigilii, ale zanoszą się na burzę śnieżną i babka powiedziała, żebyśmy przywieźli je teraz, kiedy jeszcze nie pada.

Burza śnieżna! W jaki sposób uda jej się odszukać miejsce przeskoku, jeśli wszystko przykryje półmetrowa warstwa białego puchu? Nie dość, że wóz i kufrы znikną pod śniegiem, to las w zimowej szacie będzie wyglądał zupełnie inaczej niż parę dni temu.

- Czy wszyscy idą do lasu?

- Nie. Matka poszła z ojcem Roche, żeby zająć się chorym chłopem.

- A babka? Idzie z wami?

- Tak - odparła dziewczynka. - Mam jechać na kucyku.

- Rosemunda także?

- Tak.

- I rządcą?

- Tak, tak! - Agnes ze zniecierpliwieniem skinęła głową. - Cała wieś idzie do lasu!

- A Gawyn?

- Nie - powiedziała takim tonem, jakby to było zupełnie oczywiste. - Muszę pójść do stajni i pożegnać się z Blackiem! - oświadczyła niespodziewanie, po czym wybiegła z izby.

A więc lady Imeyne wraz z rządcą szli do lasu po świąteczne polano, Eliwys opiekowała się chorym wieśniakiem, Gawyn zaś - z jakiegoś powodu całkowicie jasnego dla Agnes, natomiast zupełnie niezrozumiałego dla Kivrin - miał pozostać w domu. Może zamierzał towarzyszyć Eliwys? Jeśli jednak tego nie zrobi, tylko zostanie w domu, by strzec go pod nieobecność gospodarzy, wreszcie będzie miała okazję porozmawiać z nim na osobności.

Maisry także wybierała się w drogę, bo kiedy przyniosła śniadanie, miała na sobie burą pelerynę, stopy obwiązała zaś szmatami. Pomogła Kivrin wstać z łóżka, wyniosła nocnik, po czym wróciła z żelaznym koszem napełnionym rozżarzonymi węglami. Poruszała się przy tym z nadzwyczajną szybkością, prezentując energię oraz inicjatywę, o jakie Kivrin nigdy by jej nie podejrzewała.

Na wszelki wypadek odczekała jakąś godzinę po wyjściu służącej, a następnie podniosła się z łóżka, po-deszła do okna i ostrożnie odchyliła nawoskowane płótno. Natychmiast owiało ją mroźne powietrze, znacznie zimniejsze od tego, jakim oddychała w pokoju, ale zobaczyła niewiele: tylko nagie gałęzie oraz ciemnoszare niebo. Żeby ujrzeć cokolwiek więcej, musiała wspiąć się na kamienne siedzisko.

Ku swemu zdziwieniu, uczyniła to bez większego wysiłku.

Okno wychodziło na dziedziniec. Szeroka drewniana brama stała otworem, natomiast bruk dziedzińca oraz dachy otaczających go, niskich zabudowań, wydawały się zupełnie mokre.

Przestraszona, że już zaczęło padać, wystawiła rękę, ale choć czekała dłuższą chwilę, nie poczuła delikatnych pocałunków płatków śniegu. Wreszcie, drżąc z zimna, zeszła na podłogę i skuliła się obok kosza z węglami.

Dawały bardzo niewiele ciepła. Kivrin, ubrana tylko w cieką koszulę, coraz głośniej szczykała zębami, zastanawiając się, co zrobiono z jej ubraniem. W średniowieczu ubrania wieszano zazwyczaj przy łóżku, na hakach wbitych w drewniane słupy podtrzymujące powałę, ale w tym pomieszczeniu nie było takich słupów.

Po krótkich poszukiwaniach znalazła ubranie w skrzyni stojącej obok łóżka. Było starannie złożone. Wyjęła je, zadowolona, że są tam również jej buty, po czym zamknęła skrzynię, usiadła na rzeźbionym wieku i długo odpoczywała, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami.

Dziś koniecznie muszę porozmawiać z Gawynem, powtarzała w myślach, jakby mogło jej to pomóc w szybszym odzyskaniu sił. Tylko dziś nikogo nie ma w domu. Druga taka okazja może się nie nadarzyć, tym bardziej że wkrótce zacnie padać śnieg.

Ubierała się powoli, na siedząco, starając się unikać gwałtownych ruchów, po czym położyła się na łóżku i przykryła futrem. Tylko na chwilę, pomyślała. Żeby trochę odpocząć.

Zasnęła niemal natychmiast.

Obudziło ją bicie dzwonu. Dobiegało z południowego zachodu, a więc przypuszczalnie był to ten sam dzwon, którego dźwięk usłyszała zaraz po przeskoku. Wczoraj również dzwonił przez jakiś czas, Eliwys zaś podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz, jakby chciała sprawdzić, co się stało. Światło sączące się z zewnątrz wyraźnie ściemniało, ale nie z powodu zapadającego zmierzchu, lecz dlatego, że chmury zgęstniały i wisały znacznie niżej. Kivrin założyła płaszcz i otworzyła drzwi. Strome wąskie schody umieszczono przy kamiennej ścianie budowli, ale nikt nie wpadł na pomysł, by wyposażyć je w balustradę. Agnes miała szczęście, że tylko skaleczyła się w kolano, bo przecież równie dobrze mogła runąć w dół, na odległą posadzkę. Kivrin schodziła ostrożnie, bardzo powoli, dotykając ściany; mniej więcej w połowie drogi zatrzymała się i spojrzała na główną izbę.

Naprawdę tu jestem, pomyślała. To naprawdę jest pierwsza połowa XIV wieku. W usytuowanym na środku pomieszczenia palenisku żarzyło się jeszcze parę węgli, światło sączyło się do środka przez otwór w suficie oraz wąskie, wysokie okna, ale większa część pomieszczenia tonęła w półmroku.

Wpatrywała się z natężeniem w zacienione miejsca, usiłując dojrzeć, czy ktoś się tam kryje. Przy przeciwległej ścianie stał fotel lorda Guillaume'a, o wysokim rzeźbionym oparciu i równie bogato zdobionych podłokietnikach, tuż obok zaś nieco mniejszy, przeznaczony dla lady Eliwys. Na ścianie za fotelami wisały nieco spłowiałe gobeliny, trochę z boku natomiast ustawiono drabinę prowadzącą przypuszczalnie na poddasze. Wzdłuż pozostałych ścian stały solidne dębowe ławy i jeszcze potężniejsze stoły, a przy samych schodach znalazło się miejsce dla znacznie mniej rzucającej się w oczy, lichej ławeczki: tutaj mieli prawo przycupnąć zebracy, naturalnie pod warunkiem, że pozwolono im wejść do domu. Pół metra dalej pomieszczenie przedzielała ściana sklecona byle jak z surowych desek.

Kivrin zeszła ze schodów i ostrożnie, na palcach, zbliżyła się do ściany. Pod jej stopami szeleścił suchy chrust rozsypany na podłodze. Z bliska rzekoma ściana okazała się zaledwie przepierzeniem, którego zadanie polegało na zatrzymywaniu zimnego powietrza napływającego z sieni. Czasem za takimi przepierzeniami znajdowały się pomieszczenia mieszkalne, tu jednak było tylko wąskie przejście. Na hakach - a więc jednak są! - nie wisało żadne okrycie. To dobrze, pomyślała z ulgą. Wszyscy wyszli z domu.

Drzwi do sieni były otwarte. Na podłodze obok nich stały mocno rozdeptane buciory, drewniane wiadro oraz kolorowy wózek Agnes: Kivrin przystanęła na kilka sekund, by uspokoić rwący się oddech, po czym ostrożnie uchyliła zewnętrzne drzwi, wystawiła głowę, rozejrzała się dokoła i wreszcie wyszła na dwór.

Dziedziniec był pusty. Co prawda wybrukowano go płaskimi, żółtawymi kamieniami, niemniej jednak jego centralna część, gdzie stało wielkie koryto wykonane z wyżłobionego pnia, dosłownie tonęła w błocie. Mróz utrwalił w nim liczne odciski kopyt oraz obutych stóp. Kilka chudych, zabiedzonych kurczaków szukało pożywienia. W XIV wieku kury hodowano z myślą o jajach, do garnka zaś trafiały gołębie.

Istotnie, przy samej bramie wznosił się solidny gołębnik, natomiast sąsiadujący z nim spory budynek o stromym dachu był zapewne kuchnią. Po drugiej stronie dziedzińca znajdowała się stajnia, oddzielona wąskim przejściem od ogromnej stodoły o ścianach z kamienia.

Kivrin najpierw skierowała się do stajni. Przy wejściu powitał ją szczeniak Agnes, popiskując radośnie i energicznie wymachując ogonem. Pospiesznie wepchnęła go do środka i zatrasnęła solidne drewniane wrota. Gawyna nie było ani tu, ani w stodole, ani w stajni czy którymś z pozostałych budynków gospodarczych - największy z nich okazał się gorzelnią. Na pytanie, czy Gawyn uda się wraz ze wszystkimi do lasu po wigilijne polano, Agnes udzieliła odmownej odpowiedzi z taką miną, jakby sprawa wydawała się oczywista; na tej podstawie Kivrin wysnuła przypuszczenie, iż zaufany sługa lorda będzie strzegł domu, teraz jednak zaświtała jej myśl, że mógł pójść z Eliwys do chorego wieśniaka.

Jeśli tak, to sama muszę odnaleźć miejsce przeskoku, pomyślała. Ruszyła z powrotem w kierunku stajni, ale w połowie drogi zatrzymała się raptownie. W swoim obecnym stanie z pewnością nie zdoła wspiąć się na konia, a gdyby udało jej się tego jakoś dokonać, nie utrzymałaby się w siodle nawet przez minutę. Na piechotę także nigdzie nie dotrze, nie tylko ze względu na osłabienie, lecz również, a może przede wszystkim, z powodu zawrotów głowy. Wygląda jednak na to, że nie mam wyboru - pomyślała. Wszyscy sobie poszli, a niebawem zacnie padać.

Spoglądała to na bramę, to na wąskie przejście między stajnią a stodołą, zastanawiając się, w którą stronę pójść. Wracając z lasu najpierw zjeżdżali ze wzgórza, potem zaś mijali kościół. Była tego pewna, ponieważ słyszała bicie dzwonu. Co prawda nie zapamiętała ani bramy, ani dziedzińca, ale i tak wiele wskazywało na to, iż przybyli właśnie z tego kierunku.

Ruszyła najkrótszą drogą ku bramie, zmuszając kurczaki do panicznej ucieczki, a minawszy szerokie, otwarte na oścież wrota, zatrzymała się i rozejrzała dokoła; zaraz za mostkiem spinającym brzegi niezbyt szerokiego strumienia kręta droga wiodła na południe, by nieco dalej zniknąć za zasłoną drzew. Nigdzie nie było ani śladu wzgórza, wiejskich zabudowań albo kościoła - niczego, co pozwoliłoby stwierdzić, iż właśnie tędy wiozł ją Gawyn na swym czarnym wierzchowcu.

Ale kościół musi być gdzieś w pobliżu! Przecież leżąc w łóżku wyraźnie słyszała bicie dzwonu! Wróciła na dziedzińiec, ponownie przeszła przez środek, ostrożnie stąpając po śliskich kamieniach i zamrzniętym błocie, po czym ruszyła przed siebie wąską ścieżką, która, precyzyjnie się między stajnią i stodołą, doprowadziła ją najpierw do chlewika zamieszkanego przez dwie, potwornie brudne, świnie, następnie zaś do ubikacji. O tym, że jest to właśnie ubikacja, informował nieznośny fetor, utrzymujący się mimo niskiej temperatury. Kivrin pomyślała z niepokojem, że zapewne tutaj ścieżka się kończy, ale ku swemu zdziwieniu z ulgą stwierdziła, iż biegnie dalej, przez rozległe błonia, ku wsi.

Oprócz wsi ujrzała również kościół. Stał na przeciwległym skraju łąki, dokładnie taki, jakim go zapamiętała, nieco dalej zaś wznosiło - się wzgórze.

“Błonia” przypominały raczej zaniedbaną łąkę porośniętą kępami mocno przerzedzonej trawy, ograniczoną z jednej strony skupiskiem nędznych chat, z drugiej natomiast strumieniem, wzdłuż którego rosły wierzby. Samotna krowa melancholijnie skubała resztki zmarzniętej trawy, do pnia potężnego, bezlistnego dębu była natomiast przywiązana wychudzona koza. Im dalej od dworu, tym chaty były bardziej koślawe, ale nawet te stojące najbliżej (musiała wśród nich znajdować się również należąca do rządcy) przypominały rozpadające się szopy. Kivrin nie widziała czegoś podobnego na żadnych ilustracjach ani na żadnym filmie; po prostu nikt nie przypuszczał, że kiedyś ludzie mogli żyć w takich warunkach. Tylko kościół wyglądał mniej więcej tak jak powinien.

Dzwonnica, bez wątplenia dobudowana całkiem niedawno, ponieważ kamienie, z których ją wzniesiono, nie zdążyły jeszcze zszarzeć, stała w pewnej odległości od budowli. Sam kościół, ze swymi łukowo sklepionymi, romańskimi oknami, stanowił typowy przykład architektury tego okresu. Droga - niewiele szersza niż w lesie - wiodła obok cmentarza, wspinała się na wzgórze, a następnie nikła między drzewami.

To tędy przyjechaliśmy, pomyślała Kivrin i ruszyła w kierunku kościoła, ale kiedy tylko wyszła zza stodoły, wiatr, którego do tej pory w ogóle nie czuła, uderzył w nią z całą siłą. Odniosła wrażenie, że nie ma na sobie żadnego ubrania oraz że w jej pierś wbijają się ostre szpony jakiegoś potężnego, niewidzialnego ptaka. Mimo to nie zawróciła, lecz, otuliwszy się szczelniej płaszczem, szła uparcie naprzód.

Z południowego zachodu ponownie dobiegło bicie dzwonu. Ciekawe, co to oznacza, pomyślała. Eliwys i Imeyne z pewnością rozmawiały na ten temat, ale działo się to wtedy, kiedy jeszcze ich nie rozumiała, wczoraj zaś, gdy dzwon znowu zaczął uderzać, Eliwys w ogóle nie zareagowała. Może ma to jakiś związek z Adwentem? Dzwony na pewno powinny odezwać się o zachodzie słońca w Wigilię, a potem na godzinę przed północą; widocznie uderzano w nie także przy innych okazjach, nawet podczas Adwentu.

Ścieżka była nierówna i śliska. Ból w piersi nasilał się coraz bardziej, lecz Kivrin uparcie szła naprzód, starając się go ignorować. Daleko, za polami, dostrzegła jakieś poruszenie; przypuszczalnie byli to chłopcy wracający do wsi z wigilijnymi polanami albo zaganiający inwentarz do obór. Nie widziała ich zbyt dokładnie, ponieważ oddzielało ją od nich coś w rodzaju półprzeźroczystej, falującej zasłony. Tam, po drugiej stronie pół, chyba padał już śnieg. Powinna się pospieszyć.

Wiatr szarpał polami płaszcza i sypał jej w twarz suchymi liśćmi. Nie podnosząc łba, krowa skierowała się powoli w stronę pobliskich chat, jakby szukała tam schronienia przed przenikliwym wiatrem. Jeśli tak było w istocie, to musiało ją spotkać rozczarowanie, ponieważ wszystkie chaty sprawiały wrażenie, jakby zostały zbudowane z wiązek chrustu i cienkich patyków; Kivrin musiałaby się mocno schylić, by wejść do którejkolwiek z nich, w ścianach zaś i dachach ziały dziury, w które bez trudu dałoby się wcisnąć dwa lub trzy palce albo nawet całą rękę.

Dzwon wciąż uderzał w powolnym, dostojnym rytmie; Kivrin nagle uświadomiła sobie, że zwolniła kroku, dostosowując go do tempa wyznaczanego niesionymi przez wiatr dźwiękami. Nie wolno mi tego robić! - przemknęła jej przez głowę niespokojna myśl. Muszę się spieszyć! Lada chwila może zacząć padać. Ale pośpiech oznaczał większy ból; ukłucie w klatce piersiowej było tak silne, że aż przystanąła, zgięła się niemal w pół i zaniosła kaszlem.

Nie uda mi się, pomyślała zrozpaczona, lecz natychmiast skarciła się za głupotę. Nie masz wyboru. Jesteś chora. Musisz odnaleźć miejsce przeskoku, musisz jak najprędzej wrócić do domu, do swoich. Na razie dojdź do kościoła i odpocznij tam minutę.

Szła bardzo powoli, próbując powstrzymać się od kaszlu, lecz jej wysiłki nie dawały rezultatów. Oddychała z coraz większym trudem. Nie dotrze nawet do kościoła, a co dopiero mówić o miejscu przeskoku. Musisz! - krzyknęła w myślach, starając się zagłuszyć ból. Po prostu musisz, i już.

Przystanąła ponownie i zgięła się aż do ziemi. Do tej pory obawiała się, że z którejś z chat wyjdzie jakiś wieśniak i zauważy ją, idącą przez błonia w stronę kościoła, teraz zaś zaczęła się modlić o to, by jak najprędzej ktoś pospieszył jej z pomocą, pomógł stanąć na nogach, odprowadził z powrotem do dworu. Nic z tego. Wszyscy byli tam, na skraju pól, ze swoimi zwierzętami i wigilijnymi polanami. Skierowała wzrok tam, gdzie niedawno widziała w oddali poruszające się sylwetki, lecz nikogo już nie zobaczyła.

Jakoś udało się jej dotrzeć w pobliże pierwszej chaty, za którą stało skupisko skleconych byle jak szop; miała nadzieję, że nikt w nich nie mieszka, i chyba rzeczywiście tak było. Przypuszczalnie miała przed sobą typowe średniowieczne "budynki gospodarcze", choć, jako żywo, nie zasługiwały na taką nazwę. Od kościoła dzieliła ją więc niewielka odległość. Może gdyby trochę odpoczęła, jednak jakoś by tam doszła... Każdy krok okupowała przeszywającym bólem w klatce piersiowej. Stanęła, chwiejąc się na nogach i myśląc rozpaczliwie: Nie wolno mi zemdleć. Nikt nie wie gdzie, jestem. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać mnie aż tutaj.

Spojrzała w kierunku dworu. W stanie, w jakim obecnie się znajdowała, nie zdołałaby nawet wrócić do sieni. Muszę usiąść choć na trochę, przemknęło jej przez głowę. Ale gdzie? Tu, na ścieżce? Lady Eliwys zajmowała się chorym wieśniakiem, lady Imeyne wraz z dziewczynkami i wszystkimi mieszkańcami wsi poszła do lasu. Kto ją tu znajdzie, gdyby okazało się, że nie może ruszyć się z miejsca?

Wiatr z każdą chwilą przybierał na sile. Żeby chociaż wrócić do domu... O tym jednak nie miała co marzyć. Z trudem trzymała się na nogach. Gdyby miała na czym, z pewnością by usiadła, ale dokoła było tylko zamaznięte błoto. Trudno, trzeba wejść do chaty.

Ruderę otaczał koślawy płotek z ostruganych byle jak patyków; sięgał Kivrin zaledwie do kolan i z pewnością nie stanowiłby żadnej przeszkody nawet dla kota, nie wspominając już o krowach i owcach, z myślą o których został postawiony. Jedynie słupki podtrzymujące koślawą furtkę były nieco wyższe.

- Halo, jest tam kto? - zawołała, opierając się z ulgą o jeden z nich.

Od drzwi dzieliło ją zaledwie kilka kroków, a cienkie ściany chaty z pewnością nie były dźwiękoszczelne; szczerze mówiąc, wyglądały raczej na dość przewiewne. Liczne szpary powstałe w miejscach, z których wykruszyła się glina pełniąca funkcję głównego spoiwa, miały nawet po kilka centymetrów szerokości. Mieszkańcy na pewno ją usłyszeli. Zdjęła ze słupka skórzaną pętlę, która przytrzymywała furtkę, otworzyła ją, weszła na teren obejścia i zastukała w niskie drzwi zбите z nie heblowanych desek.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi, ale teraz już jej nie oczekiwała.

- Czy ktoś jest w domu? - zapytała chyba tylko dlatego, że tak wypadało, a następnie, nie zadawszy sobie nawet tyle trudu, by posłuchać, w jaki sposób translator uporał się z tłumaczeniem, chwyciła za poprzeczną belkę blokującą drzwi. Niestety, belka okazała się za ciężka. Spróbowała wysunąć ją z zaczepów, lecz także bez rezultatu. Ładne rzeczy, pomyślała. Ta rudera wygląda tak, jakby lada chwila miała rozpaść się na kawałki, a tymczasem ja nie jestem w stanie nawet otworzyć drzwi. Muszę powiedzieć panu Dunworthy'emu, że średniowieczne chałupy tylko na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie mało solidnych.

Przycisnąwszy ręce do piersi, oparła czoło o drzwi.

Coś zaszeleściło za jej plecami. Odwróciła się raptownie i otworzyła usta, aby przeprosić gospodarzy za samowolne wejście na teren obejścia, lecz okazało się, że to tylko krowa, którą niedawno mijała na pastwisku, bez najmniejszego trudu wsadziła głowę do ogródka i od niechcienia szperała wśród leżących na ziemi zeschłych liści.

A więc jednak trzeba będzie wrócić do dworu. Kivrin ponownie oparła się o słupek, starannie zamknęła za sobą furtkę, po czym chwiejnym krokiem ruszyła w kierunku, z którego niedawno przyszła. Krowa podążała za nią przez kilka metrów, jakby oczekiwała, że zostanie wydojona, ale kiedy przekonała się, że nic z tego nie będzie, wróciła do ogródka.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi jednej z szop i wyszedł z niej bosonogi chłopiec. Na widok dziewczyny stanął jak wryty i wytrzeszczył oczy.

Kivrin spróbowała się wyprostować.

- Czy... - Ból był tak silny, że nie zdołała dokończyć zdania. - Czy mogę... odpocząć... w twoim domu? - zapytała wreszcie, z trudem łapiąc powietrze.

Chłopiec stał jak słup soli, wpatrując się w nią z szeroko otwartymi ustami. Był niewyobrażalnie chudy; ramiona i nogi miał niewiele grubsze od patyków, z których wzniesiono ogrodzenie wokół chaty.

- Proszę, pobiegnij po kogoś z dorosłych. Powiedz im, że jestem chora.

Nigdzie nie pobiegnie, tak samo jak ja, zreflektowała się niemal natychmiast. Stopy miał wręcz sine z zimna, usta popękane i pokryte wrzodami, górną wargę zaś i policzki umazane krwią z nosa. Ma szkorbut, pomyślała. Na pewno czuje się gorzej ode mnie. Mimo to był jej jedyną szansą.

- Pobiegnij do dworu i powiedz im, żeby po mnie przyszli.

Chłopiec przeżegnał się pospiesznie, a następnie cofnął w kierunku szopy.

- *Bighaull emeurdroud ooghattund enblastbardey.*

Boże, tylko nie to! - pomyślała z rozpaczą Kivrin. On mnie nie rozumie, a ja przecież nie mam siły, żeby pokazać mu na mię, o co mi chodzi!

- Pomóż mi, proszę! - szepnęła rozpaczliwie.

Przez chwilę wydawało jej się, że jednak zrozumiał, ponieważ postąpił krok w jej stronę, ale zaraz potem odwrócił się gwałtownie i co sił w nogach popędził w kierunku kościoła.

- Zaczekaj! - zawołała za nim słabym głosem.

Nie oglądając się przemknął obok krowy, minął płot i zniknął za chatą. Kivrin przez chwilę patrzyła za nim, po czym skierowała spojrzenie na szopę. Budowla z trudem zasługiwała na tę nazwę; przypominała raczej wydrążony stóg siana, wzmocniony gdzieś tam kijami różnej długości i wyposażony w drzwi wykonane z kilkudziesięciu cienkich patyków związanych kawałkiem czarnego sznurka. Wystarczyło chyba kichnąć, by rozpadły się na kawałki, ale nie było takiej potrzeby, ponieważ chłopiec zostawił je otwarte na oścież. Kivrin schyliła się, przekroczyła wysoki próg i weszła do środka.

W szopie było ciemno, gęsto od dymu oraz tak smrodliwie, że aż zakręciło jej się w głowie. Cuchnęło gorzej niż w najbrudniejszej stajni, ponieważ oprócz niezbyt przyjemnych, ale całkiem naturalnych woni, czuło się jeszcze zgniliznę, spaleniznę i szczury. Wyprostowała się, ale natychmiast musiała ponownie pochylić głowę, ponieważ uderzyła nią w kije pełniące funkcję poprzecznych belek.

Na posadzce piętrzyły się stosy jakichś worków i narzędzi, nie było natomiast żadnych ław ani innych mebli, jeśli nie liczyć koślawego stołu, na którym stała drewniana miska, obok niej zaś leżała nadgryziona piętka chleba. Pośrodku szopy (jeśli to istotnie była szopa), w niewielkim zagłębieniu płonął ogień. To on właśnie stanowił źródło duszącego dymu, który jakoś nie chciał ulecieć na zewnątrz przez okrągły otwór w dachu. Wiatr wciskający się przez szpary w ścianach podsyczał ogień, ten zaś dymił jeszcze bardziej, toteż w pomieszczeniu z każdą chwilą robiło się bardziej duszno. Kivrin w końcu nie wytrzymała i zaczęła kasłać; od razu poczuła się tak, jakby kilku drwali cięło jej żebra tępymi piłami.

Jakoś zdołała zapanować nad kaszlem, zacisnęła zęby, po czym ostrożnie usiadła na worku z cebulami, trzymając się przy tym rękojeści szpadla opartego o niemal ażurową ścianę. Od razu poczuła się lepiej, mimo iż było tak zimno, że za każdym oddechem z jej ust buchały kłęby pary. Ciekawe, jak tu śmierdzi latem, pomyślała, następnie zaś szczerze owinęła się płaszczem, otulając kolana jego szerokimi połami jak kocem.

Po chwili przekonała się, że najmocniej wieje tuż nad podłogą, więc dodatkowo owinęła sobie stopy, po czym sięgnęła po długi nóż, który leżał obok worka, i pogrzebała nim w ognisku. Płomienie natychmiast strzeliły w górę, oświetlając ciasne, zagracone wnętrze. Część pomieszczenia była odgradzona niskim płotkiem, jeszcze mizerniejszym niż ten, który otaczał pobliską chatę. Przypuszczalnie trzymano tam inwentarz. Domysły Kivrin dość prędko znalazły potwierdzenie, gdyż zza przepierzenia dobiegło jakieś szuranie.

Świnia? Raczej nie, bo we wsi o tej porze roku wszystkie świnie były już zjedzone. Może więc koza? Kivrin ponownie pogrzebała w ognisku i zmrużywszy oczy wpatrzyła się z natężeniem w półmrok.

Szuranie wcale nie dobiegało z wnętrza zagrody, lecz sprzed żaloznego płotku, z dużej klatki o grubych metalowych prętach, zaopatrzonej w starannie dopasowane uchylne drzwiczki, zmyślny zamek oraz uchwyt. Tutaj, w tym nędznym, odrażającym pomieszczeniu, wydawała się zupełnie nie na miejscu. W klatce siedział szczur i spoglądał na Kivrin czerwonymi, błyszczącymi oczami.

W przednich łapkach trzymał kawałek sera - przynętę, która zwabiła go do wnętrza. Dokoła niego, na podłodze klatki, leżało jeszcze kilka takich samych kawałków. Więcej jedzenia niż na stole, pomyślała dziewczyna. Czy w tej rozpadającej się szopie może być coś, co warto chronić przed gryzoniami?

Naturalnie widziała już kiedyś szczura - na pierwszym roku wszyscy studenci przechodzili badania psychologiczne, które miały między innymi ujawnić ich nieświadomione fobie - ale ten był zupełnie inny. W XXI wieku w Anglii nie spotykało się już przedstawicieli tego gatunku. Miał piękną lśniącą sierść, rozmiarami zaś nie odbiegał ani od białych laboratoryjnych szczurów z Wydziału Psychologii, ani od brunatnego, którym posłużono się podczas badań.

Sprawił natomiast wrażenie znacznie czystsze niż ten ostatni. Szczur brunatny, ze swoją zmierzwioną, matową sierścią oraz obrzydliwym nagim ogonem, wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać mieszkaniec kanałów ściekowych i tuneli metra. Kiedy Kivrin zaczęła interesować się średniowieczem, jedna rzecz była dla niej całkowicie niezrozumiała: w jaki sposób żyjący wtedy ludzie mogli tolerować w swoim bezpośrednim otoczeniu tak ohydne, wywołujące odrazę, stworzenia. Na samą myśl o tym, że miałyby zetknąć się z czymś takim w ciemności, robiło jej się niedobrze. Jednak ten szczur był zupełnie inny: schludny, o rezolutnym spojrzeniu, z pewnością bardziej intrygujący niż przerażający, chyba czystszy od Maisry, a na pewno znacznie inteligentniejszy. Krótko mówiąc, zupełnie niegroźny.

Jakby po to, by utwierdzić ją w tym przekonaniu, szczur zajął się skubaniem sera.

- To nieprawda, że jesteś niegroźny - powiedziała do niego Kivrin. - Stanowiłeś plagę średniowiecza.

Gryzoń wypuścił ser z łapek, intensywnie poruszając wąsami zbliżył się do granicy swego więzienia, stanął słupka, zacisnął drobne, różowe łapki na metalowych prętach i utkwiał w niej błagalne spojrzenie.

- Nie mogę cię wypuścić - odparła dziewczyna, on zaś poruszył uszami, jakby wiedział, że słowa są skierowane właśnie do niego. - Zjadasz cenne ziarno i roznosisz różne choroby, a za dwadzieścia osiem lat ty i twoi pobratymcy przyczynicie się do zagłady połowy ludności Europy. To ciebie powinna obawiać się lady Imeyne, zamiast zawracać sobie głowę francuskimi szpiegami i niewykształconymi wiejskimi kapłanami.

Szczur nadal wpatrywał się w nią uważnie.

- Naprawdę chciałabym ci pomóc, ale nie mogę. Czarna Śmierć i tak zabrała miliony ludzi. Gdybym cię wypuściła, twoi potomkowie uczyniliby ją jeszcze bardziej okropną.

Szczur poruszył gwałtownie wąsami, opadł na cztery łapy i zaczął biegać po klatce, co chwila rzucając się na pręty, jakby miał nadzieję w ten sposób wydostać się z więzienia.

- Wypuściłabym cię, gdybym mogła - zapewniła go ponownie Kivrin.

Ogień prawie wygasł. Pogrzebała w nim nożem, ale niemal całe drewno zamieniło się już w popiół. Drzwi, które zostawiła otwarte w nadziei, że chłopiec jednak wróci, być może prowadząc ze sobą kogoś dorosłego, zatrzasnęły się z hukiem, pchnięte gwałtowniejszym podmuchem wiatru. We wnętrzu szopy zapadła ciemność.

Nawet nie będą wiedzieli, gdzie mnie szukać, przemknęła jej przez głowę niepokojąca myśl. Jednocześnie doskonale zdawała sobie sprawę, że na razie wszyscy są przekonani, iż "lady Katherine" śpi w swoim pokoju na piętrze. Przypuszczalnie nikt tam nie zajrzy aż do chwili, kiedy lady Imeyne zjawi się z kolacją, co nastąpi dopiero po niesporze, a wtedy będzie już zupełnie ciemno.

W szopie zapanowała całkowita cisza. Wiatr chyba ucichł, szczur zaś zaprzestał bezsensownej gonitwy po klatce. W dogasającym ognisku strzeliła głośno gałązka i kilka iskier poszybowało na klepisko.

Nikt nie wie, gdzie jestem, pomyślała Kivrin, przyciskając rękę do piersi, jakby została ugodzona nożem. Zupełnie nikt. Nawet pan Dunworthy.

Kiedy to wcale nie musi być prawda, odezwał się inny, bardziej energiczny, optymistyczny głos. Przecież mogła przyjść lady Eliwys, żeby zmienić opatrunek, albo Maisry, która znowu naraziła się czymś lady Imeyne, albo chłopiec pobiegł jednak na pole po ludzi, którzy zjawią się lada chwila. A nawet jeśli aż do niesporu nikt nie zorientuje się, że znikła ze swego pokoju, to przecież mają lampy i pochodnie. Do szopy może też zajrzeć ktoś po zapasy lub narzędzia, a kiedy ją zobaczy, z pewnością natychmiast pobiegnie po pomoc do dworu. Nie obawiaj się, powtarzała sobie w duchu. Cokolwiek się stanie, nigdy nie jesteś zupełnie sama.

Ta myśl znacznie poprawiła jej nastrój, choć w głębi duszy dziewczyna zdawała sobie jednak doskonale sprawę, że jest sama, tak sama, jak jeszcze nigdy w życiu. Nie pomagała żadna argumentacja, żadne nadzieje, że Gilchrist albo Montoya zorientowali się, iż coś jest nie w porządku, albo że pan Dunworthy kazał Badriemu sprawdzić od początku wszystkie obliczenia, w wyniku czego wyszedł na jaw niewielki, ale istotny błąd, więc nie zamknęli sieci, tylko czekają z zapartym tchem, aż ona, Kivrin, zjawi się ponownie w miejscu przeskoku. To wszystko mrzonki. Badri, pan Gilchrist, panna Montoya i pan Dunworthy nie wiedzą, gdzie jej szukać, tak samo jak nie wiedzą tego Agnes i lady Eliwys. Wszyscy są pewni, że dotarła bezpiecznie do Skendgate, bez problemu zlokalizowała miejsce przeskoku oraz że jej rejestrator jest już w połowie wypełniony obserwacjami dotyczącymi codziennego życia w wiekach średnich. Dopiero za dwa tygodnie, kiedy ponownie otworzą sieć, zorientują się, że coś jest nie w porządku.

- A wtedy będzie już zupełnie ciemno - powiedziała na głos.

Siedziała bez ruchu, wpatrzona w dogasający ogień. W pobliżu nie było żadnych patyków, które mogłaby dołożyć do ogniska. Może chłopiec miał nabierać chrustu? Nagle uświadomiła sobie, że przecież zimą, kiedy tak trudno o opał, nikt przy zdrowych zmysłach nie rozpalałby ognia w nie zamieszkanym szopie. A więc to nie żadna szopa, tylko dom! Mój Boże! Chłopiec uciekł, przerażony, w związku z czym rodzina będzie pozbawiona opału na dzisiaj wieczór.

Siedziała zupełnie sama w szopie, która okazała się czyimś domem... Nie, wcale nie sama: towarzyszył jej szczur, którego potomstwo miało już niedługo wymordować pół Europy. Podniosła się gwałtownie, ponownie uderzając głową w jedną z "belek", otworzyła ażurowe drzwi i wyszła na zewnątrz.

Na polach wciąż nie było widać żywego ducha. Wiatr istotnie ucichł, dzięki czemu nic nie zagłuszało dzwonu uderzającego niestrudzenie gdzieś na południowy zachód stąd. Z ciemnoszarego nieba opadło kilka białych płatków, ale zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej zasłona z padającego śniegu była już znacznie gęstsza. Kivrin ruszyła w kierunku kościoła.

Odezwał się kolejny dzwon; jego dźwięk dobiegał ze znacznie mniejszej odległości i bardziej z południa, był także wyższy i jakby metaliczny, co oznaczało, że dzwon ma mniejsze rozmiary. Każde jego uderzenie rozlegało się nieco później niż uderzenie większego dzwonu, toteż brzmiał jak echo.

- Kivrin! Lady Kivrin! - wykrzyknęła Agnes. - Gdzie byłaś? - Podbiegła do niej z okrągłą twarzą zaczerwienioną z zimna lub wysiłku albo z podniecenia. - Wszędzie cię szukaliśmy! Gdzie się podziewałaś? - Nie czekając na odpowiedź zawróciła i popędziła w kierunku, z którego przed chwilą przybiegła. - Znalazłam ją! Znalazłam! - wołała co sił w płucach.

- Wcale nie - odparła Rosemunda. - Wszyscy ją zobaczyliśmy.

Wysforowała się przed lady Imeyne i Maisry. Służąca szła powoli, z pochyloną głową i burą opończą narzuconą na ramiona. Przypuszczalnie albo już dostała upomnienie, za niedopilnowanie Kivrin, albo spodziewała się go lada chwila. A może po prostu była zmęczona i zziębnięta? Lady Imeyne natomiast aż kipiała wściekłością.

- Nieprawda! - zaprotestowała Agnes, wracając do Kivrin. - Ty wcale nie byłaś pewna, czy to ona! Ja od razu powiedziałam, że to lady Kivrin, więc to ja ją znalazłam!

Rosemunda zignorowała młodszą siostrę.

- Co się stało? - zapytała z niepokojem, ujmując Kivrin pod ramię. - Dlaczego wstaliście z łóżka? Gawyn przyszedł na górę, żeby z wami porozmawiać, i zobaczył, że was nie ma.

Gawyn, pomyślała Kivrin. Gawyn, który wie, gdzie jest miejsce przeskoku, przyszedł do mojego pokoju, a ja w tym czasie siedziałam w jakiejś ciemnej szopie, która wcale nie jest szopą, tylko domem.

- Chciał wam powiedzieć, że nie znalazł żadnego śladu ludzi, którzy na was napadli, i że...

Nie dokończyła, ponieważ do rozmowy włączyła się lady Imeyne.

- Dokąd szliście? - zapytała takim tonem, że zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

- Zgubiłam drogę - odparła Kivrin, zastanawiając się jednocześnie, jak wyjaśnić, dlaczego w ogóle wyszła z domu. - Nie mogłam trafić z powrotem do dworu.

- Mielicie się z kimś spotkać? - kontynuowała przesłuchanie lady Imeyne. Tym razem z całą pewnością było to oskarżenie.

- Z kim miałyby się spotykać? - nie wytrzymała Rosemunda. - Przecież nikogo nie zna i nie pamięta, co się z nią działo przedtem.

- Szukałam miejsca, w którym mnie znaleźliście - odparła Kivrin, starając się stać o własnych siłach. - Pomyślałam sobie, że widok moich rzeczy...

- ...pomoże wam odzyskać pamięć - dokończyła za nią Rosemunda. - Ale...

- Niepotrzebnie narażaliście zdrowie - poinformowała ją oschle lady Imeyne. - Gawyn zabrał je ze sobą.

- Wszystkie?

- Tak - odparła Rosemunda. - Kufry, skrzynie, a nawet to co zostało z waszego wozu.

Mniejszy dzwon umilkł, większy natomiast wciąż uderzał powoli i dostojnie. Bez wątplenia chodziło o pogrzeb. Ponure bicie dzwonu zdawało się obwieszczać kres wszelkiej nadziei. Gawyn przywiózł wszystkie rzeczy do dworu. W lesie nie zostało nic, co umożliwiłoby jej odnalezienie miejsca przeskoku.

- Nie powinniśmy trzymać lady Katherine na tym zimnie - odezwała się Rosemunda. W tej chwili bardzo przypominała matkę. - Przecież jest chora. Musimy zabrać ją do domu, zanim dostanie dreszczy.

Już po dreszczach, pomyślała Kivrin. Żadne zaziębienie nie zdoła wywołać takich dreszczy jak te, które nią przed chwilą wstrząsnęły. Kufry, skrzynie, rozbity wóz - wszystko było tu, nie w lesie, gdzie służyłoby jako drogowskaz.

- To twoja wina, Maisry! - syknęła lady Imeyne i pchnęła służącą w kierunku Kivrin. - Nie powinnaś zostawiać jej samej!

Kivrin odruchowo cofnęła się o krok, by uniknąć zetknięcia z brudną służącą.

- Dacie radę iść? - zapytała Rosemunda, uginając się pod ciężarem dziewczyny. - Może przyprowadzić klacz?

- Nie trzeba. - Nie chciała dopuścić do tego, by przywieziono ją jak schwytanego więźnia. - Nie trzeba - powtórzyła. - Pójdę sama.

Musiała oprzeć się nie tylko na ramieniu Rosemundy, ale także przyjąć wyciągniętą pomocnie rękę Maisry. Wędrówka odbywała się bardzo powoli, lecz Kivrin jakoś dała sobie radę. Niewielka procesja minęła nędzne chaty, dom rządcy, chlew z ciekawskimi świniami wtykającymi ryje w szpary między deskami, by wreszcie dotrzeć na dziedziniec. Przed stodołą leżał spory jesion, wskazując poskręcanymi korzeniami w niemo, z którego coraz gęściej sypały płatki śniegu.

- Nie dziwiłabym się, gdyby teraz umarła - mruknęła lady Imeyne, dając znak Maisry, by ta prędzej otworzyła ciężkie drewniane drzwi. - Poszła po własną śmierć.

Rozpadało się na dobre. Maisry wreszcie otworzyła drzwi. Była przy nich prymitywna klamka bardzo podobna do tej przy drzwiczkach klatki. Powinnam go wypuścić, pomyślała Kivrin. Pal diabli zarazę. Powinnam wypuścić biedaka.

Lady Imeyne ponownie skinęła na służącą, a ta wróciła do Kivrin i ujęła ją za łokieć.

- Nie trzeba.

Kivrin odepchnęła służącą, strząsnęła z ramienia rękę Rosemundy, wyprostowała się, po czym o własnych siłach przekroczyła wysoki próg, niknąc w ciemności wypełniającej wnętrze domu.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO
(005982-013198)

18 grudnia 1320 (według starej rachuby czasu). Zdaje się, że mam zapalenie płuc. Próbowałam odszukać miejsce przeskoku, ale nie udało mi się tam dotrzeć, za to poważnie się rozchorowałam. Przy każdym oddec-

hu coś kłuje mnie pod żebrami, a kiedy kaszlę - czyli prawie bez przerwy - czuję się tak, jakbym miała zaraz rozpaść się na kawałki. Niedawno spróbowałam usiąść; bez rezultatu. Spociłam się jak mysz i chyba znowu mam wysoką temperaturę. Doktor Ahrens mówiła mi, że między innymi właśnie po tym poznaje się zapalenie płuc.

Lady Eliwys jeszcze nie wróciła. Lady Imeyne natarła mi klatkę piersiową jakąś cuchnącą maścią, po czym kazała posłać po żonę rządcy. Przypuszczałam, że chce udzielić jej reprimendy za podmieszkiwanie we dworze podczas ich nieobecności, ale kiedy tamta zjawiała się z sześciomiesięcznym niemowlęciem w objęciach, Imeyne powiedziała tylko: "Gorączka z rany przeszła do płuc". Żona rządcy spojrzała na moją skroń i wyszła. Kiedy wróciła, była już bez dziecka, za to z miską czegoś w rodzaju cierpkiej herbaty. Przypuszczalnie był to napar z wierzbowej kory albo czegoś w tym rodzaju, bo temperatura wyraźnie spadła, a i klucie w klatce piersiowej nie dokuczają mi tak jak do tej pory.

Żona rządcy jest niedużą kobietą o ostrych rysach twarzy i popielatych włosach. Chyba lady Imeyne miała rację podejrzewając, że to właśnie ona nakłania rządcę "do grzechu". Zjawiała się w obszytej futrem sukni o tak długich rękawach, że prawie ciągnęły się za nią po podłodze, oraz z dzieckiem zawiniętym w koc z zaskakująco miękkiej wełny. Mówi z dziwnym akcentem; dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że usiłuje naśladować sposób mówienia lady Imeyne.

"Kielkująca klasa średnia" - takiego określenia używał pan Latimer. Stopniowo zyskiwali na znaczeniu, czekając na swoją szansę, która miała się pojawić za trzydzieści lat, gdy Czarna Śmierć zabrała ponad jedną trzecią osób stanu szlacheckiego.

- Czy to tę panią znaleźliście w lesie? - zapytała tonem, w którym nie sposób było doszukać się nadmiernego szacunku, po czym uśmiechnęła się do lady Imeyne i nie proszona podeszła do łóżka.

- Tak - odparła lady Imeyne. Nie wiem, jak udało jej się to zrobić, ale w jednym krótkim słowie zdołała dać wyraz zniecierpliwieniu, odrazie oraz pogardzie.

Na tamtej nie wywarło to najmniejszego wrażenia. Przyjrzała mi się uważnie, po czym cofnęła o krok; pierwsza osoba, której zaświtało podejrzenie, że moja choroba może być zaraźliwa.

- Czy ma (jakąś) gorączkę?

Translator nie przetłumaczył najważniejszego słowa, ja zaś nie usłyszałam go zbyt wyraźnie. Florencką?

- Została uderzona w głowę, a gorączka z rany przeniosła się na płuca - odparła wyniośle lady Imeyne.

Żona rządcy skinęła głową.

- Ojciec Roche opowiedział nam, jak razem z Gawynem znaleźli ją w lesie.

Lady Imeyne natychmiast zeszywniała na rzuconą tak sobie, od niechcienia, wzmiankę o Gawynie. Tym razem kobiecina jednak wyczuła, że coś jest nie w porządku, ponieważ wycofała się pośpiesznie, by przyrządzić napar z kory, a wychodząc z izby złożyła nawet coś w rodzaju ukłonu.

Imeyne wkrótce także wyszła, przy łóżku usiadła natomiast Rosemunda; zdaje się, że postanowiły pilnować mnie na zmianę, uniemożliwiając mi w ten sposób przedsięwzięcie samodzielnych wycieczek. Zapytałam ją, czy to prawda, iż ojciec Roche był z Gawynem, kiedy ten znalazł mnie w lesie.

- Nie - odparła, kręcąc głową. - Gawyn spotkał ojca Roche'a na drodze i zostawił was pod jego opieką, sam zaś wyruszył w pościg za złoczyńcami, ale żadnego nie schwytał, więc szybko wrócił, a potem we dwóch przywieźli was tutaj, do dworu. Nie martwcie się: Gawyn przywiózł też wasze rzeczy.

Co prawda nie pamiętam, żeby ojciec Roche towarzyszył nam w drodze z lasu, ale jeśli tak jednak było, i jeśli Gawyn spotkał go niedaleko od miejsca przeskoku, to może on także potrafiłby mnie tam zaprowadzić?

(przerwa)

Myślałam o tym, co powiedziała lady Imeyne: "Gorączka z rany przeniosła się na płuca". Chyba nie zdają sobie sprawy, że jestem poważnie chora. Obie dziewczynki kręcą się tu prawie bez przerwy i nikt nie zachowuje żadnych środków ostrożności, z wyjątkiem żony rządcy, ale po "diagnozie" lady Imeyne nawet ona wyzbyła się wszelkich obaw.

Jestem jednak pewna, iż początkowo liczyła się z możliwością zarażenia. Zapytałam Rosemundę, dlaczego nie poszła z matką do chorego wieśniaka, ona zaś odparła takim tonem, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem:

- Matka zabroniła mi tam iść, bo też mogłabym zachorować. Mnie traktują zupełnie inaczej, ponieważ nie mam żadnych alarmujących objawów w rodzaju wysypki, wysoką temperaturę i mającena wiążą zaś z niewielką raną na głowie. Nie powinnam się dziwić; w tych czasach często dochodziło do infekcji, w tym także do zakażenia krwi, ale te kłopoty dotyczyły wyłącznie rannej osoby. Nie istniał żaden powód, by zachowywać jakieś szczególne środki ostrożności lub zakazywać dostępu dzieciom.

Najciekawsze zaś jest to, że istotnie nikt się ode mnie nie zaraził. Jestem tu już od pięciu dni, a jeśli to choroba wirusowa, okres inkubacji powinien wynosić dwanaście do czterdziestu ośmiu godzin. Doktor Ahrens wyjaśniła mi, że choroba jest najbardziej zaraźliwa w okresie przed wystąpieniem wyraźnych objawów, więc może w chwili, gdy zaczęły odwiedzać mnie dziewczynki, niebezpieczeństwo było już znacznie mnie-

jsze? A może wszyscy już na to chorowali, więc są uodpornieni? Żona rządcy zapytała, czy mam "florenczką" gorączkę, a z kolei pan Gilchrist twierdził, że na tych terenach w roku 1320 wybuchła epidemia grypy. Przypuszczalnie padłam jej ofiarą.

Jest popołudnie. Rosemunda siedzi przy oknie, zajęta haftowaniem prostego wzoru na kawałku szarego płótna, a obok mnie leży Blackie. Oczywiście śpi. Miał pan rację, panie Dunworthy. Okazałam się zupełnie nie przygotowana, a wszystko, co mnie otacza, jest całkiem inne od tego, czego oczekiwałam. Ale w jednym rozminął się pan z prawdą: tutaj jednak jest jak w bajce.

Gdziekolwiek spojrzę, widzę bajkowe obrazki: czerwony czepek i opończę Agnes, klatkę ze szczurem, drewniane miski, sklecone byle jak chatki, gotowe rozpaść się, gdy na nie dmuchnie choćby najbardziej cherlawy wilk...

Dzwonnica też jest jak z bajki, natomiast Rosemunda, pochłonięta haftowaniem, ze swoimi kruczoczarnymi włosami i rumianymi policzkami, w białym czepku, wygląda dokładnie tak, jak powinna wyglądać Śpiąca Królewna.

(przerwa)

Chyba znowu mam gorączkę. Wyraźnie czuję zapach dymu. Lady Imeyne klęczy przy łóżku z relikwiarzem w dłoniach. Rosemunda powiedziała mi, że jeszcze raz posłały po żonę rządcy, mimo że lady Imeyne serdecznie jej nienawidzi. Widocznie jestem poważnie chora. Ciekawe, czy pošlą też po księdza. Jeśli tak, to muszę go zapytać, czy wie, gdzie znalazł mnie Gawyn. Strasznie tu gorąco. To już nie bajka. Po księdza posyła się tylko wtedy, kiedy ktoś umiera, ale w tych czasach prawdopodobieństwo zgonu na zapalenie płuc wynosiło aż 72 procent. Mam nadzieję, że wkrótce przyjdzie, żeby powiedzieć mi, gdzie jest miejsce przeskoku i potrzymać mnie za rękę.

13.

Podczas gdy Mary wypytywała Colina, w jaki sposób udało mu się przedostać na teren objęty kwarantanną, do szpitala przywieziono dwóch kolejnych chorych. - To była bułka z masłem - stwierdził Colin, wzruszając lekceważąco ramionami. - Przecież oni myślą tylko o tym, jak powstrzymać ludzi przed wyjściem na zewnątrz. Nie obchodzi ich, czy ktoś tu wejdzie, czy nie.

Właśnie miał zamiar przedstawić bliższe szczegóły, kiedy pojawiła się kobieta pełniąca funkcję sekretarza Uniwersytetu. Mary poprosiła Dunworthy'ego, żeby poszedł z nią na oddział i spróbował zidentyfikować chorych, ponieważ obaj okazali się studentami.

- A ty zostań tutaj i nie ruszaj się na krok z tego pokoju! - przykazała surowo Colinowi. - I tak spowodowałeś już wystarczająco dużo zamieszania.

Dunworthy nie rozpoznał żadnego ze studentów, ale nie miało to większego znaczenia, gdyż obaj byli przytomni i dyktowali recepcjonistce nazwiska osób, z którymi się stykali.

- Możliwe, że spotkaliśmy ich na High Street, ale tam było tyle ludzi, że wątpię, by udało mi się kogokolwiek zapamiętać.

- Nic się nie martw - pocieszyła go Mary. - Jakoś damy sobie radę. Jeśli chcesz, możesz już iść do domu.

- Pomyślałem sobie, że zaczekam na pobranie krwi.

- Ale to dopiero o... - Spojrzała na zegarek. - Dobry Boże! Już po szóstej!

- Zajrzę do Badriego, a potem wrócę do poczekalni - powiedział Dunworthy.

Okazało się, że Badri śpi.

- Nie należy go budzić - poinformowała Dunworthy'ego pielęgniarka.

- Oczywiście.

W poczekalni ujrzał Colina siedzącego po turecku na podłodze i grzebiącego w sportowej torbie.

- Gdzie babka? - zapytał chłopiec. - Chyba trochę się na mnie wpieniła, co?

- Była pewna, że dotarłeś bezpiecznie do Londynu. Twoja matka powiedziała jej, że pociąg, którym jechałeś, został zatrzymany w Barton.

- Bo tak było. Kazali wszystkim wysiąść i wsadzili ich do innego pociągu, który wracał do Londynu.

- A ty zapewne zgubiłeś się podczas przesiadki?

- Wcale nie. Usłyszałem jak ludzie mówią o kwarantannie, o jakiejś okropnej chorobie, na którą wszyscy poumierają. I w ogóle... - Wreszcie wydobył z torby to, czego szukał: kieszonkowy odtwarzacz, kilka filmów oraz parę wymiętych, brudnych tenisówek. Tak, nie ulegało wątpliwości, że on i Mary są blisko spokrewnieni. - Nie miałem najmniejszego zamiaru zdychać z nudów u Erica, kiedy tu zanosilo się na takie wdechowe zamieszanie.

- U Erica?

- To najnowszy przyjaciel matki. - Rozpakował gumę do żucia, wepchnął ją do ust i przesunął pod prawy policzek, gdzie uformowała się wielka gula. - To najbardziej nekrotyczny facio pod słońcem - poinformował Dunworthy'ego, żując z zapalem. - Mieszka w Kencie i zupełnie nic nie robi. Zasypiam na sam jego widok.

- A więc wysiadłeś w Barton. I co dalej? Poszedłeś na piechotę do Oxfordu?

Chłopiec wyjął gumę i przyjrzał się jej krytycznie. Zdążyła już zmienić kolor z różowego na niebieskozielony. Colin wsadził ją z powrotem do ust, po czym odparł z wyższością:

- Oczywiście, że nie. Przecież to kawał drogi. Wziąłem taksówkę.

- Tak, to istotnie oczywiste - przyznał coraz bardziej oszołomiony Dunworthy.

- Powiedziałem kierowcy, że przygotowuję reportaż dla gazetki szkolnej i chcę zrobić parę zdjęć blokady na drogach. Na szczęście miałem przy sobie przeglądarkę, która wygląda prawie jak aparat.

Zademonstrował kieszonkowe urządzenie, po czym wrzucił je wraz z filmami do torby i ponownie zaczął w niej grzebać.

- I co, uwierzył ci?

- Chyba tak. Zapytał do jakiej szkoły chodzę, a ja mu na to, urażonym tonem: "Chyba sam powinien pan zgadnąć!" On na to, że do św. Edwarda, a ja, że oczywiście. Na pewno uwierzył, bo przecież zawiózł mnie tam, dokąd chciałem.

A ja martwię się, co pocnie Kivrin, jeżeli od razu nie spotka kogoś, kto zechce jej pomóc! - przemknęło Dunworthy'emu przez głowę.

- Co zrobiłeś potem? - zapytał. - Opowiedziałeś policji tę samą bajeczkę?

Colin wydobyl zielony wełniany sweter, zwinął go i położył na otwartej torbie.

- Nie. Trochę się zastanowiłem i uznałem, że to marny pretekst, no bo, na dobrą sprawę, co tam właściwie jest do fotografowania? Przecież to nie pożar ani powódź, prawda? Podeszedłem więc do policjanta, który pilnował przejścia, jakbym chciał go o coś zapytać, a potem, w ostatniej chwili, dałem nura pod szlabanem.

- Nie gonili cię?

- Jasne, że gonili, ale tylko do trzeciej albo czwartej przecznicy. Już panu mówiłem: oni są tam po to, żeby nikogo nie wypuszczać. Kiedy wreszcie dali mi spokój, wszedłem do pierwszej budki telefonicznej i zacząłem szukać babci.

Naturalnie wszystko to działo się w ulewnym deszczu, ale Colin nie uznał za stosowne wspomnieć o tym mało istotnym drobiazgu, choć Dunworthy był gotów iść o zakład, że wśród rzeczy znajdujących się w torbie chłopca nie ma parasola.

- I tutaj dopiero zaczęły się problemy - ciągnął Colin. Położył się na podłodze, opierając głowę na swetrze.

- Nigdzie nie mogłem jej złapać, więc dałem sobie spokój z telefonowaniem i poszedłem prosto do jej mieszkania, ale nikogo tam nie było. Potem pomyślałem, że pewnie wciąż czeka na mnie na stacji, ale stacja była zamknięta. Dopiero wtedy wpadłem na pomysł, żeby sprawdzić w szpitalu.

Usiadł, poprawił sweter, a następnie położył się ponownie i zamknął oczy.

Dunworthy tkwił skulony w niewygodnym fotelu, spoglądając z zazdrością na chłopca. Colin przypuszczalnie już zdążył zasnąć. W środku nocy, w strugach lodowatego deszczu, przemierzył na piechotę cały Oxford (chyba że miał w torbie składany rower), umknął policyjnemu pościgowi, a teraz spał jak niemowlę, bynajmniej nie poruszony swymi niedawnymi przygodami.

Kivrin na pewno da sobie radę. Nawet jeśli okaże się, że tam, gdzie powinna być wieś, nie ma ani śladu ludzkich siedzib, dziewczyna ruszy na piechotę na poszukiwanie Skendgate albo weźmie taksówkę, albo ułoży się pod jakimś drzewem i prześpi kłopoty niezwyčajnym, rozwiązującym wszelkie problemy, snem młodości.

Do pokoju weszła Mary.

- Obaj brali udział we wczorajszym przyjęciu w Headington - powiedziała przyciszonym głosem.

- Badri też tam był - odparł szeptem Dunworthy.

- Wiem. Jeden z nich nawet z nim rozmawiał. Przyszli o dziewiątej wieczorem, a wyszli o drugiej w nocy, co oznacza, że od chwili zarażenia minęło dwadzieścia pięć do trzydziestu godzin. Jeśli złapali to od Badriego, choć wcale nie musiało tak być, to wszystko się zgadza: okres inkubacji nie powinien przekraczać czterdziestu ośmiu godzin.

- Uważasz, że mogli zarazić się od kogoś innego?

- Moim zdaniem wszyscy trzej zostali zarażeni przez tę samą osobę, tyle że Badri zetknął się z nią wcześniej, a oni trochę później.

- Nosiciel?

Pokręciła głową.

- Myksowirus zazwyczaj wywołuje chorobę u każdego, kogo dopadnie. Ten ktoś widocznie miał słabsze objawy albo może nie zwracał na nie uwagi.

Dunworthy przypomniał sobie Badriego, który runął jak nieżywy na konsolę. Jak można nie zwracać uwagi na takie objawy?

- Gdyby udało się stwierdzić, że ta osoba cztery dni temu była w Południowej Karolinie...

Mary zawiesiła znacząco głos.

- Wtedy uzyskalibyśmy stuprocentowy dowód, że mamy do czynienia z wirusem przeniesionym z Ameryki - dokończył za nią.

- Właśnie. Aha, możesz przestać niepokoić się o Kivrin; nie było jej na tej zabawie w Headington. - Mary umilkła na chwilę, po czym dodała z troską w głosie: - Rzecz jasna, powiązanie wcale nie musi być takie proste. Możemy mieć do czynienia z łańcuchem składającym się z kilku osób.

Z których żadna nie zgłosiła się jeszcze do szpitala ani nawet nie wezwała lekarza, pomyślał Dunworthy. Wszystkie zignorowały objawy choroby. Tak po prostu.

Myśli Mary biegły chyba tym samym torem.

- Te twoje dzwonniczki... Kiedy zjawiły się w Anglii?

- Nie wiem. W każdym razie do Oxfordu dotarły wczoraj po południu, kiedy Badri siedział już w laboratorium.

- Na wszelki wypadek jednak wypytaj je o wszystko. Kiedy przyleciały, gdzie były, czy nie chorowały... Poza tym, jeśli któraś ma krewnych w Oxfordzie, mogła przylecieć parę dni wcześniej. A co ze studentami? Są jacyś z Ameryki?

- Nie. Za to Montoya jest Amerykanką.

- Tego nie wzięłam pod uwagę - przyznała Mary. - Od jak dawna pracuje na Uniwersytecie?

- Od początku semestru, ale przecież mogli ją odwiedzać krewni albo znajomi.

- Zapytam ją, kiedy przyjdzie na pobranie krwi. Ty wypytaj Badriego o wszystkich Amerykanów, jakich zna, i o studentów, którzy niedawno byli w Stanach w ramach wymiany.

- Teraz śpi.

- Ty też powinieneś się przespać - stwierdziła stanowczo, po czym poklepała go po ramieniu. - Nie musisz czekać aż do siódmej. Zaraz przyślę kogoś, żeby pobrał ci krew, i będziesz mógł pójść do domu. - Zbadala mu puls, po czym położyła rękę na czole. - Masz dreszcze?

- Nie.

- Boli cię głowa?

- Tak.

- To z przemęczenia. - Cofnęła rękę. - Niedługo ktoś do ciebie przyjdzie. - Spojrzała na Colina śpiącego na podłodze. - Jego też trzeba będzie zbadać. Nie mamy jeszcze żadnej pewności, że zarażenie odbywa się drogą kropelkową.

Chłopiec spał z na wpół otwartymi ustami, dzięki czemu było doskonale widać gumę do żucia wepchniętą między dziąsło a policzek. Czy on się aby nie udławi? - pomyślał z niepokojem Dunworthy, głośno zaś zapytał:

- Mam zabrać go ze sobą do Balliol?

- Naprawdę zrobiłbyś to? - W głosie Mary słychać było ogromną ulgę. - Nie chcę sprawiać ci kłopotu, ale wątpię, czy wrócę do domu, zanim opanujemy sytuację. - Westchnęła ciężko. - Biedny chłopiec! Będzie miał zupełnie zepsute Świeta.

- Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewien - mruknął Dunworthy.

- W każdym razie, jestem ci ogromnie wdzięczna. Zaraz powiem im o badaniach.

Ledwo Mary zdążyła wyjść z pokoju, kiedy Colin usiadł na zaimprovizowanym posłaniu.

- O jakie badania chodzi? - zapytał. - Czy to znaczy, że ja też mogłem złapać tego wirusa?

- Mam nadzieję, że tak się nie stało - odparł Dunworthy. Wciąż miał przed oczami rozpaloną twarz Badriego i słyszał jego chrapliwy oddech.

- Ale mogłem, prawda? - nie ustępował chłopiec.

- Prawdopodobieństwo jest tak niewielkie, że na twoim miejscu zupełnie bym się nie przejmował.

- Wcale się nie przejmuję. - Podwinął rękaw i przyjrzał się uważnie przedramieniu. - Oho! - wykrzyknął, pocierając palcem wyjątkowo liczne zgrupowanie piegów. - Chyba mam wysypkę!

- Niestety, ta choroba nie objawia się w ten sposób. Zbieraj swoje rzeczy. Jak tylko pobiorą nam krew, zabiorę cię do Balliol College.

Dunworthy zdjął z krzesła płaszcz i szalik, które rzucił tam niedbale jakiś czas temu.

- A jakie są objawy?

- Gorączka i trudności z oddychaniem.

Torba z zakupami Mary stała na podłodze obok krzesła Latimera. Czy powinni ją zabrać? Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że tak.

Do pokoju weszła pielęgniarka z tacką pełną probówek i przyrządów do pobierania krwi.

- Mam gorączkę - oznajmił Colin łamiącym się głosem, po czym zacharczał żałośnie. - Nie mogę oddychać!

Pielęgniarka zatrzymała się tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a stojak z probówkami runąłby na podłogę.

Dunworthy chwycił chłopca za ramię i ścisnął mocno.

- Proszę się nie obawiać - powiedział uspokajającym tonem. - To tylko ostre zatrucie gumą do żucia.

Colin uśmiechnął się szelmowsko, bez sprzeciwu podwinął wyżej rękaw, po pobraniu krwi zaś natychmiast wepchnął sweter do torby i założył wciąż jeszcze mokrą kurtkę. W tym czasie pielęgniarka zajmowała się Dunworthym.

- Doktor Ahrens powiedziała, że nie musicie czekać na wyniki - oznajmiła, wstawiając probówkę do stojaka, po czym zabrała tacę i wyszła.

Dunworthy wciągnął płaszcz, wziął z podłogi torbę Mary, a następnie ruszył wraz z Colinem korytarzem prowadzącym przez oddział. Nie spotkali Mary, ale przecież powiedziała, że mogą iść do domu. Poza tym, dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Z trudem mógł ustać na nogach.

Na dworze okazało się, że już zaczyna świtać. Nadal padało. Dunworthy zawahał się, czy nie wezwać taksówki, ale uświadomił sobie, iż czekając na jej przyjazd mogliby spotkać Gilchrista - powinien przyjść o siódmej na pobranie krwi - a to najprawdopodobniej oznaczałoby konieczność wysłuchania jego planów dotyczących wysłania Kirvin w sam środek Czarnej Śmierci albo na pole bitwy pod Agincourt. Wygrzebał więc z torby składaną parasolkę Mary i otworzył ją po krótkiej, ale zakończonej zwycięstwem, walce z opornym mechanizmem.

- Dobrze, że pana jeszcze zastałam! - zawołała Montoya, podjeżdżając na rowerze. Nawet nie starała się omijać kałuż, więc spod kół tryskały fontanny wody. - Koniecznie muszę znaleźć Basingame'a.

Tak samo jak my wszyscy, pomyślał Dunworthy. Czy nie słyszała, jak wydzwaniałem, dokąd się da, i pytałem, co się z nim dzieje?

Montoya zsiadła z roweru, wstawiła go w stojak i zatrzasnęła kłódkę.

- Jego sekretarka twierdzi, że nikt nie wie, gdzie się podział. Wyobraża pan sobie?

- Tak - odparł Dunworthy. - Ja też szukam go przez cały dzień. To znaczy, już od wczoraj. Podobno pojechał do Szkocji. Na ryby, jeśli wierzyć jego żonie.

- Na ryby? O tej porze roku? Kto łowi ryby w Szkocji w środku grudnia? Założę się, że ona wie, gdzie jest, albo przynajmniej zna numer, pod którym można zostawić dla niego wiadomość!

W milczeniu pokręcił głową.

- Przecież to bez sensu! Staję na głowie, żeby wydebić od Ministerstwa Zdrowia zezwolenie na dalsze prowadzenie prac wykopaliskowych, a tymczasem okazuje się, że Basingame jakby nigdy nic wyjechał sobie na ferie! - Sięgnęła pod płaszcz nieprzemakalny i wydobyła plik kolorowych kartek. - Zgodzili się wydać mi przepustkę pod warunkiem, że dziekan Wydziału Historycznego podpisze oświadczenie, w którym będzie napisane czarno na białym, że badania, które prowadzę, są niezwykle istotne dla prawidłowego funkcjonowania całego Uniwersytetu. Jak on mógł wyjechać ot, tak sobie, i nawet nikomu nie powiedzieć, dokąd? - Z wściekłością trzępnęła papierami o nogę, rozpryskując dokoła krople wody. - Muszę mieć jego podpis, zanim deszcz zaleje wszystkie stanowiska. Gdzie Gilchrist?

- Wkrótce zjawi się na pobranie krwi - poinformował ją Dunworthy. - Gdyby jakimś cudem udało się pani dotrzeć do Basingame'a, proszę mu powiedzieć, żeby jak najprędzej wracał. Niech mu pani powie, że mamy kwarantannę, nie wiemy, gdzie się podział jeden z historyków, a technik, który monitorował przeskok, jest zbyt chory, by udzielić nam jakichkolwiek informacji.

- Na ryby! - parsknęła z obrzydzeniem Montoya, otwierając szklane drzwi kliniki. - Jeśli moje wykopaliska szlag trafi, porozmawiam z nim tak, że zapamięta mnie do końca życia!

- Chodźmy już - pogonił Dunworthy Colina.

Zależało mu, by zniknąć sprzed szpitala, zanim przyjdą Gilchrist i pozostali. Początkowo usiłował trzymać parasolkę w taki sposób, by osłaniać także chłopca, ale szybko zrezygnował, ponieważ Colin najpierw wysforował się naprzód (udawało mu się wdepnąć niemal w każdą kałużę, jaką napotkał na swojej drodze), potem zaś włókł się z tyłu, poświęcając sporo uwagi mijanym wystawom.

Ulice były zupełnie puste - trudno powiedzieć, czy ze względu na kwarantannę, czy raczej na wczesną porę. Może Bóg da, że w college'u wszyscy jeszcze śpią i uda nam się niepostrzeżenie prześlizgnąć do mojego mieszkania, pomyślał Dunworthy.

- Miałem nadzieję, że będzie więcej zamieszania - odezwał się Colin z rozczarowaniem w głosie. - Wie pan: syreny, migające światła, i w ogóle...

- A może jeszcze czyściciele ulic, pchający wózki załadowane zwłokami i wołający: "Wydajcie swoich zmarłych!" Powinieneś towarzyszyć Kivrin. W średniowieczu każda, nawet najkrótsza kwarantanna była znacznie bardziej interesująca od tej. Mamy dopiero cztery przypadki zachorowań, a szczepionka już jest w drodze ze Stanów.

- Kto to jest, ta Kivrin? - zapytał chłopiec. - Pańska córka?

- Studentka. Prowadzi badania w roku 1320.

- Podróże w czasie? Ale wdechowo!

Skręcili w Broad Street.

- Średniowiecze... - mruknął z zadumą Colin. - To będzie Napoleon, Trafalgar, i tak dalej?

- Raczej Wojna Stuletnia - odparł Dunworthy, lecz na twarzy chłopca nie pojawiła się żadna reakcja. Czego oni teraz uczą ich w szkołach? - Rycerze, damy i zamki.

- I wyprawy krzyżowe?

- Te były trochę wcześniej.

Dotarli już do bramy Balliol.

- A teraz cicho! - polecił szeptem Dunworthy. - Na pewno wszyscy jeszcze śpią.

Istotnie, ani przy bramie, ani na pierwszym dziedzińcu nie natknęli się na nikogo. Co prawda w stołówce paliły się światła (przypuszczalnie członkinie zespołu dzwonników jadły śniadanie), ale w pozostałych pomieszczeniach było ciemno. Jeśli uda im się wspiąć bezszelestnie po schodach, i jeśli Colin nie oznajmi nagle, że jest głodny, być może zdołają niepostrzeżenie wślizgnąć się do mieszkania.

- Ciii!... - syknął, odwracając się do chłopca, który właśnie teraz uznał za stosowne przystanąć, wyjąc z ust gumę i przyjrzeć się jej uważnie. Była fioletowoczarna. - Lepiej, żebyśmy nikogo nie obudzili - dodał z palcem przyłożonym do ust, po czym odwrócił się, zrobił krok naprzód i zderzył z energicznie obściskującą się parą.

Oboje mieli na sobie nieprzemakalne peleryny. Młody mężczyzna nie zwrócił najmniejszej uwagi na zderzenie, ale dziewczyna wyrwała się z jego objęć, odskoczyła o krok i skierowała na Dunworthy'ego przestraszone spojrzenie wielkich oczu. Miała jasne, krótko obcięte włosy, a fragmenty stroju wystające spod peleryny świadczyły o tym, że jest pielęgniarką - sądząc po wieku, raczej na pewno praktykantką. Młodym mężczyzną okazał się William Gaddson.

- To nie czas i nie miejsce na takie zachowanie! - skarcił go Dunworthy surowym tonem. - Na terenie college'u niedopuszczalne jest okazywanie uczuć w równie bezceremonialny sposób, a w twoim przypadku może się to okazać wręcz niebezpieczne, zważywszy na fakt, że twoja matka może zjawić się tu w każdej chwili!

- Moja matka? - powtórzył chłopak z taką samą miną, jaką miał Dunworthy, gdy zobaczył ją sunącą niczym lokomotywa szpitalnym korytarzem. - Tutaj? W Oxfordzie? Skąd się tu wzięła? Przecież zostaliśmy objęci kwarantanną!

- To prawda, ale nic nie zdoła powstrzymać kochającej matki. Niepokoi ją stan twojego zdrowia - zresztą mnie też, co należy uznać za całkiem naturalne, biorąc pod uwagę okoliczności. - Dziewczyna zachichotała cichutko. - Radzę ci, żebyś czym prędzej odprowadził swoją znajomą do domu, po czym natychmiast wrócił tu i przygotował się na przyjęcie matki.

Było za ciemno, by stwierdzić, czy William Gaddson zbladł jak ściana, ale Dunworthy gotów był iść o każdy zakład, że tak się właśnie stało.

- Czy... Czy ona zamierza tu zostać?

- Obawiam się, że nie ma wyboru. Jak sam słusznie zauważyłeś, zostaliśmy objęci kwarantanną.

Na klatce schodowej niespodziewanie zapłonęło światło i zza zakrętu korytarza wyłonił się Finch.

- Dzięki Bogu, że już pan wrócił! - wykrzyknął na widok Dunworthy'ego, po czym machnął mu przed oczami plikiem kolorowych papierów, prawie takim samym, jaki niedawno zaprezentowała Montoya. - Służba Ochrony Epidemiologicznej skierowała do nas kolejne trzydzieści osób. Powiedziałem im, że już nie mamy miejsc, ale nie chcieli mnie słuchać, i teraz jestem w kropce. Naprawdę nie mamy zapasów dla tylu ludzi!

- Papier toaletowy - domyślił się Dunworthy.

- Właśnie! - Finch jeszcze energiczniej pomachał papierami. - To samo jest z żywnością. Tylko dziś rano zużyliśmy połowę zapasu jajek i bekonu.

- Jajka i bekon? - zainteresował się Colin. - Zostało może trochę?

Finch wytrzeszczył na niego oczy, po czym spojrzał pytająco na Dunworthy'ego.

- To wnuk doktor Ahrens - wyjaśnił Dunworthy, po czym dodał szybko, widząc, że Finch już otwiera usta: - Będzie mieszkał u mnie.

- To dobrze, bo naprawdę nie miałbym gdzie go umieścić.

- Obaj nie zmrużyliśmy jeszcze oka, więc...

- Przygotowałem zestawienie naszych zapasów. - Wręczył Dunworthy'emu lekko wilgotną, niebieską kartkę. - Jak pan widzi...

- Panie Finch, doceniam pańskie zaangażowanie i poświęcenie, ale ta sprawa z pewnością może poczekać przynajmniej do...

- A tutaj ma pan listę osób, które do pana telefonowały. Ptaszek oznacza, że powinien pan oddzwonić najprędzej jak będzie można. To z kolei jest lista umówionych spotkań. Pastor prosił, żeby przyszedł pan do Najświętszej Marii Panny kwadrans po szóstej wieczorem, na próbę nabożeństwa ekumenicznego.

- Oczywiście, zadzwonię wszędzie, gdzie trzeba, ale najpierw...

- Telefonowała też doktor Ahrens, nawet dwa razy. Pytała, czy dowiedział się pan czegoś w sprawie Amerykanek.

Dunworthy skapitulował. Opór nie miał najmniejszego sensu.

- Proszę umieścić nowo przybyłych w skrzydłach Warrena i Baseviego, po trzy osoby w pokoju. Zapasowe łóżka są w piwnicy.

Finch otworzył usta, by zaprotestować, ale Dunworthy nie pozwolił mu dojść do głosu.

- Wiem, że tam było niedawno malowane, ale nic na to nie poradzę. Po prostu będą musieli przywyknąć do zapachu farby. - Wręczył Colinowi torbę i parasolkę Mary. - Stołówka mieści się w tym budynku z zapalonymi światłami - poinformował chłopca. - Pójdź tam, powiedz, żeby dali ci śniadanie, a potem poproś kogoś, żeby zaprowadził cię do mojego mieszkania.

Odwrócił się w stronę Williama, którego ręce wykonywały tajemnicze ruchy pod peleryną pielęgniarki.

- A pan, panie Gaddson, wsadzi koleżankę do taksówki, po czym dotrze do wszystkich studentów, którzy nie wyjechali na ferie do domów i zapyta ich, czy w ciągu minionego tygodnia byli w Stanach lub kontaktowali się z kimś, kto właśnie stamtąd wrócił. Proszę przygotować listę tych osób. Pan chyba nie był za Oceanem, prawda?

- Nie, proszę pana - odparł William, wyjmując ręce spod peleryny. - Siedzę tu od początku ferii i czytam Petrarę.

- Aha - mruknął Dunworthy. - Petrarę... Proszę także wypytać kolegów i personel, czy ktoś wie, co od poniedziałku aż do wczorajszego wieczoru robił Badri Chaudhuri. Muszę wiedzieć gdzie był, z kim się widywał, i tak dalej. Potrzebuję takich informacji także o Kivrin Engle. Proszę natychmiast wziąć się ostro do pracy, a jeśli dobrze się pan spisze i jeżeli powstrzyma się pan w przyszłości od okazywania w miejscach publicznych nadmiernego zainteresowania młodymi damami, dopilnuję, aby pańska matka została ulokowana w pokoju położonym tak daleko od pańskiego, jak tylko to będzie możliwe.

- Dziękuję panu - odparł William. - Wyświadczyłby mi pan ogromną przysługę.

- Panie Finch, czy zechciałby mi pan powiedzieć, gdzie mogę znaleźć pannę Taylor?

Finch natychmiast wręczył mu kartki z obsadą pokoi, ale nazwisko panny Taylor nie figurowało na żadnej z nich. Przypuszczalnie wciąż jeszcze przebywała w świetlicy wraz ze swoimi dzwonniczkami oraz pozostałymi osobami, którym nie przydzielono kwater.

Kiedy tylko tam weszli, potężnie zbudowana kobieta w obszernym futrze chwyciła Dunworthy'ego za ramię.

- Czy pan tu wszystkim kieruje? - zapytała.

Z pewnością nie, pomyślał Dunworthy.

- Tak - powiedział nieco drżącym głosem.

- No to może zaprowadzi nas pan gdzieś, gdzie będziemy mogły się położyć. Nie spałyśmy całą noc.

- Ja także, proszę pani - odparł, modląc się w duchu, żeby to nie była panna Taylor. Co prawda na ekranie telefonu wydawała się znacznie drobniejsza, ale mogło to wynikać z ustawienia kamery, nie ulegało zaś wątpliwości, iż osoba zaciskająca wciąż palce na jego ramieniu pochodzi z tamtej strony Wielkiej Wody. - Czy może mam przyjemność z panną Taylor? - zapytał niepewnie.

- Ja jestem panna Taylor - odezwała się jedna z kobiet siedzących w fotelach i podniosła się z miejsca. W rzeczywistości była jeszcze szczuplejsza niż na ekranie telefonu, a co ważniejsze, z pewnością mniej rozgniewana. - To ja rozmawiałam z panem jakiś czas temu - dodała takim tonem, jakby chodziło o przyjemną pogawędkę dotyczącą różnych technik poruszania ręcznymi dzwonnkami. - A to panna Piantini, nasz tenor - poinformowała go, wskazując ruchem głowy kobietę w futrze.

Panna Piantini wyglądała na osobę, która bez większego trudu zdołałaby unieść Wielkiego Toma. Wystarczyło rzucić na nią okiem, by stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, iż od dłuższego czasu nie zetknęła się z żadną infekcją wirusową.

- Panno Taylor, czy mógłbym porozmawiać z panią na osobności? - Wyszli na korytarz. - Udało wam się odwołać koncert w Ely?

- Tak. W Norwich także. Wszyscy okazali nam wiele zrozumienia. - Pochyliła się w jego stronę i zapytała konfidencjonalnym szeptem: - A więc to jednak cholera?

Dunworthy zamrugnął raptownie.

- Słucham?

- Jakaś kobieta na stacji metra powiedziała, że to cholera, którą ktoś przywłókł z Indii, i że ludzie padają jak muchy.

Nie ulegało wątpliwości, iż zmianę nastroju panny Taylor należało zawdzięczać nie jej wrodzonej wrażliwości ani przemyśleniom, lecz najzwyczajszemu strachowi. Gdyby powiedział jej teraz, że nie ma mowy o żadnej cholercie i że do tej pory zanotowano zaledwie cztery przypadki, z pewnością zażądałaby, aby jej zespół został natychmiast przewieziony do Ely.

- Choroba przypuszczalnie jest wywoływana przez myksowirusa - powiedział ostrożnie. - Kiedy dokładnie przyjechałyście do Anglii?

Uniosła brwi.

- Czyżby uważał pan, że to my sprowadziłyśmy epidemię? Przecież nie byliśmy w Indiach!

- Należy liczyć się z możliwością, iż mamy do czynienia z tym samym wirusem, co w Południowej Karolinie. Czy któreś z członkiń zespołu pochodzą z tego stanu?

- Nie. Wszystkie jesteśmy z Kolorado, z wyjątkiem panny Piantini, która mieszka w Wyoming. I żadna z nas nie była ostatnio chora!

- Od jak dawna przebywacie w Anglii?

- Od trzech tygodni. Dawaliśmy koncerty w wielu kościołach, czasem samodzielnie, czasem z udziałem miejscowych dzwonników. Odegraliśmy nawet najnowszą wersję Mszy Chicagowskiej na dzwonki ręczne, co stanowi...

- A do Oxfordu dotarliście dopiero wczoraj rano?

- Zgadza się.

- Może ktoś przyjechał wcześniej, żeby odwiedzić przyjaciół albo zwiedzić zabytki?

- Z pewnością nie! - odparła stanowczo. - Nie jesteśmy na wakacjach, panie Dunworthy.

- I powiada pani, że nikt nie uskarżał się na żadne dolegliwości?

Kobieta pokręciła głową.

- Nie możemy sobie pozwolić na niedyspozycję. Jest nas tylko sześć.

- Cóż, wobec tego dziękuję pani za pomoc.

Zadzwoił do Mary, nigdzie jej nie znalazł, więc zostawił wiadomość, po czym zajął się osobami, które Finch zaznaczył na swojej liście, ale nie udało mu się uzyskać żadnego połączenia. Postanowił chwilę zaczekać, i właśnie wtedy zadzwoniła Mary.

- Dlaczego jeszcze nie jesteś w łóżku? Wyglądasz jak śmierć na chorągwi.

- Przesłuchiwałem dzwonnicy - wyjaśnił. - Są w Anglii od trzech tygodni. Żadna nie była w Oxfordzie przed wczorajszym popołudniem i żadna nie jest chora. Chcesz, żebym wrócił i spróbował wydobyć coś od Badriego?

- Obawiam się, że niewiele byś wskórał. Majaczy.

- Właśnie usiłuję dodzwonić się do Jesus College. Może tam wiedzą, gdzie bywał i z kim się spotykał?

- Zapytaj też jego gospodynię. I koniecznie spróbuj się przespać! Wołałabym nie mieć cię tutaj jako pacjenta. - Umilkła na chwilę, po czym dodała: - Mam sześć kolejnych przypadków.

- Jest ktoś z Południowej Karoliny?

- Nie, ale każda z tych osób mogła mieć kontakt z Badrim, więc w dalszym ciągu pozostaje dla nas pacjentem zerowym. Co z Colinem?

- Właśnie pałaszuje śniadanie. Nic mu nie jest.

Dunworthy położył się dopiero o wpół do drugiej po południu. Dotarcie do wszystkich osób z listy Fincha zajęło mu ponad dwie godziny, kolejnych czterech potrzebował zaś na ustalenie adresu Badriego. Oczywiście gospodyni nie było w domu. Kiedy tylko odłożył słuchawkę, zjawił się Finch i zaczął go zapoznawać z rezultatami inwentaryzacji zapasów. Dunworthy uwolnił się od niego dopiero wtedy, kiedy obiecał, że przy pierwszej okazji zadzwoni do sztabu kryzysowego w Ministerstwie Zdrowia i zażąda dodatkowych dostaw papieru toaletowego, po czym uciekł do siebie.

Colin spał na fotelu przy oknie, przykryty nie sięgającą mu nawet stóp marynarką gospodarza. Dunworthy otulił go kocem, po czym usiadł na kanapie i zajął się ściąganiem butów.

Był tak zmęczony, że z trudem sobie poradził, choć zdawał sobie sprawę, iż będzie później żałował, jeśli zaśnie w obuwiu i ubraniu. Na takie wybryki mogli sobie pozwalać tylko młodzi ludzie, którzy nie wiedzą, co to artretyzm. Colin z pewnością obudzi się odświeżony i rześki niczym młody bóg, Kivrin otulił się płaszczem i zdrzemnie z głową opartą na pieńku, on jednak, przespawszy się bez poduszki pod głową i w ciasnym gorsecie ubrania, byłby zupełnie do niczego. A jeżeli jeszcze trochę posiedzę z butami w ręku, nawet nie zdążę się zdrzemnąć, pomyślał.

Dźwignął się z kanapy, wyłączył światło, przeszedł do sypialni, zamienił ubranie na piżamę i ściągnął narzutę z łóżka. Biała, czysta pościel wyglądała niesamowicie kusząco.

Chyba zasnę, zanim zdążę się położyć, pomyślał, zdejmując okulary, po czym wsunął się pod kołdrę. A na pewno, zanim wyłączę lampkę, dodał w duchu, sięgając do wyłącznika.

Przez okno, częściowo zasłonięte płataniną pędów winorośli, sączyło się nieco szarego światła. Krople deszczu uderzały z szelestem w zmarznięte liście. Powinienem zaciągnąć zasłonę, przemknęło mu przez głowę, ale był zanadto zmęczony, by specjalnie w tym celu wstać z łóżka.

Dobrze, że Kivrin nie musi moknąć w deszczu. Bądź co bądź, trafiła w okres zwany Małą Epoką Lodową. Jeżeli cokolwiek tam pada, to prawie na pewno śnieg, nie deszcz. Ludzie sypiali wówczas stłoczeni ciasno przy palenisku, aż wreszcie ktoś poszedł po rozum do głowy i wynalazł komin i piec, choć odkrycie to rozpowszechniło się we wsiach hrabstwa Oxfordshire dopiero około połowy piętnastego wieku. Ale Kivrin z pewnością nie będzie zawracać sobie głowy takimi szczegółami; zwinie się w kłębek jak Colin i prześpi kłopoty głębokim, odświeżającym snem młodości.

Może już nie pada? Deszcz przestał uderzać o szyby. Widocznie ustąpił miejsca mżawce albo może zbiera siły, by lada chwila wrócić jako ulewa. Tak ciemno, choć przecież wcale nie jest późno... Wyciągnął rękę

spod kołdry i spojrzął na tarczę zegarka z fosforyzującymi wskazówkami. Dopiero druga. Tam, gdzie trafiła Kivrin, powinna być teraz szósta po południu. Kiedy tylko się obudzi, ponownie zadzwoni do Andrews'a i poprosi go o odczytanie współrzędnych, by ponad wszelką wątpliwość ustalić lokalizację czasową i przestrzenną dziewczyny.

Badri powiedział Gilchristowi, że poślizg był minimalny a koordynaty obliczone przez praktykanta prawidłowe, lecz należało to sprawdzić. Gilchrist nie zachował wszystkich środków ostrożności, a nawet zachowując je nie można było mieć całkowitej pewności, że wszystko pójdzie jak należy. Dzisiejszy dzień dowiódł tego ponad wszelką wątpliwość.

Badri nie opuścił żadnego szczeplenia. Matka Colina odprowadziła syna na stację metra i dała mu pieniądze. Kiedy Dunworthy po raz pierwszy pojechał do Londynu, bał się, że nie uda mu się wrócić, mimo że podjęto wszelkie środki ostrożności. Była to bardzo prosta sprawa: zwykły kontrolny przeskoczenie w celu sprawdzenia parametrów sieci, zaledwie trzydzieści lat wstecz. Dunworthy miał wyruszyć z Trafalgar Square, pojechać metrem z Charing Cross do Paddington, tam zaś wsiąść do pociągu odjeżdżającego o 10.48 do Oxfordu. Miał spory zapas czasu, osobiście doglądał testów, sprawdził rozkład jazdy metra i pociągów, upewnił się, że zabrał pieniądze z epoki. Kiedy jednak dotarł do Charing Cross, zastał stację zamkniętą na cztery spusty. Nieczynny był także kiosk z biletami.

Schował się głębiej pod kołdrę. Tak, podczas przeskoku może wydarzyć się mnóstwo rzeczy, które wcześniej nikomu nie przysłyby do głowy. Matka Colina także nie wpadła na pomysł, że pociąg zostanie zatrzymany w Barton, tak samo jak nikt nie brał pod uwagę możliwości, że Badri nagle runie nieprzytomny na podłogę laboratorium.

Mary ma rację, przemknęło mu przez głowę. Jestem męskim odpowiednikiem pani Gaddson. Kivrin pokonała mnóstwo przeszkód, żeby dostać się do średniowiecza; skoro już tam się znalazła, z pewnością da sobie radę. Taki drobiazg jak ścisła kwarantanna nie przeszkodził Colinowi dotrzeć do Oxfordu, a on sam zdołał przecież jakoś wrócić z Londynu.

Najpierw łomotał pięściami w zamknięte drzwi, potem wbiegł po schodach na górę, by odczytać napis, podejrzewając, że w jakiś niewytłumaczalny sposób trafił nie tam, gdzie powinien. Wszystko się jednak zgadzało. Więc może czas? Może poślizg był większy niż zakładano i metro zamknięto już na noc? Jednak zegar wiszący nad wejściem wskazywał kwadrans po dziewiątej.

- Awaria - poinformował go jakiś obszarpaniec w brudnej czapce. - Zamknęli całą linię, dopóki nie znajdą uszkodzenia.

- Ale... Ja muszę pojechać właśnie tą linią!

Tamten jednak już odszedł, powłócząc nogami.

Dunworthy wpatrywał się w zamknięte wejście do stacji, nie mając pojęcia, co powinien zrobić. Miał za mało pieniędzy, by wziąć taksówkę, dworzec Paddington znajdował się zaś na drugim krańcu Londynu. Na pewno nie uda mu się tam dotrzeć przed 22.48.

- Co jest, fąfel? - zagadnął go młody mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce, z zielonymi włosami uczesanymi w koguci grzebień. Dunworthy z trudem go zrozumiał. Punk, pomyślał.

Młodzieniec podchodził coraz bliżej.

- Paddington... - zaskrzeczał Dunworthy.

Punk sięgnął do kieszeni, ale zamiast sprężynowca wyjął oprawiony w plastik plan linii metra i przyjrzał mu się uważnie.

- Z Embankment masz District albo Circle, koleś - oznajmił po chwili. - Pogazuj prosto Craven Street, a potem daj dyla.

Dunworthy biegł całą drogę, pewien, że lada chwila dopadną go kompani zielonowłosego młodzieńca i pozbawią garści drobnych, które brzęczały mu w kieszeni. Kiedy wreszcie wpadł na Embankment Station, nie mógł sobie poradzić z automatem biletowym.

Z opresji wybawiła go jakaś kobieta z dwojgiem dzieci; pokazała mu, w jaki sposób należy wystukać kod stacji docelowej, wrzuciła monety, wyjaśniła gdzie skasować bilet. Na dworcu znalazł się kilkanaście minut przed odjazdem pociągu.

"Czy w średniowieczu naprawdę nie ma żadnych miłych ludzi?" - zapytała go Kivrin. Oczywiście, że byli. Młodzi ludzie z nożami sprężynowymi w jednej, a mapami metra w drugiej kieszeni, istnieją we wszystkich epokach, tak samo jak uprzejme matki z dwojgiem dzieci, panie Gaddson i Latimerowie.

I Gilchristowie.

Przekręcił się na bok.

- Nic jej się nie stanie - powiedział na głos, jednak na tyle cicho, by nie obudzić Colina. - Moja najlepsza studentka da sobie świetnie radę nawet w średniowieczu.

Naciągnął wyżej kołdrę i zamknął oczy, myśląc o młodym człowieku z zielonym kogucim grzebieniem, pochylonym w skupieniu nad mapą. Wkrótce jednak obraz ten ustąpił miejsca widokowi zamkniętej na cztery spusty bramy z żelaznych prętów oraz pogrążonych w mroku, pustych peronów nieczynnej stacji.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO
(015104-016615)

19 grudnia 1320 (według starej rachuby czasu). Czuję się lepiej. Mogę już odetchnąć dwa albo trzy razy pod rząd, zanim chwyci mnie kaszel, dziś rano zaś nawet zachciało mi się jeść, głód jednak szybko minął, gdy tylko Maisry przyniosła mi ohydną, tłustą polewkę. Oddałabym duszę za jajecznicę na bekonie.

I za kąpiel. Jestem potwornie brudna. Do tej pory myto mi wyłącznie czoło, a na domiar złego lady Imeyne od dwóch dni okłada mi klatkę piersiową pasami płótna namoczonymi w jakiejś cuchnącej mazi. Pościeli nie zmieniano co najmniej od ubiegłego stulecia, a ponieważ bardzo się pocę, więc śmierdzą nie gorzej od niej. Co prawda obcięto mi włosy, lecz i tak głowa potwornie mnie swędzi. Nie uwierzy pan, panie Dunworthy, ale i tak jestem najczystsza osobą w tym domu.

Doktor Ahrens miała rację namawiając mnie do skauteryzowania śluzówki w nosie. Wszyscy, nie wyłączając dziewczynek, okrutnie cuchną, a przecież mamy środek mroźnej zimy. Nie wyobrażam sobie, jak tu musi być na przykład w sierpniu. Wszyscy też mają pchły. Lady Imeyne czasem przerywa modlitwę, by podrapać się w jakiejś trudno dostępne miejsce, a kiedy Agnes pokazała mi skaleczone kolano, zobaczyłam na jej skórze mnóstwo śladów po ukąszeniach.

Eliwys, Imeyne i Rosemunda utrzymują twarze we względnej czystości, za to nigdy nie myją rąk, nawet po opróżnieniu nocnika, nie przyszło im też do głowy, że można zmywać naczynia albo zmieniać pościel. Na dobrą sprawę, wszyscy powinni już dawno umrzeć z powodu infekcji - tymczasem, jeśli nie liczyć szkorbutu i popsutych zębów, zdają się tryskać zdrowiem. Nawet kolano Agnes goi się bez najmniejszych komplikacji. Wiem o tym, ponieważ codziennie pokazuje mi szybko zablizniającą się ranę, a także srebrną zapinkę, drewniany wózek i nieszczęsnego, zagłaskanego niemal na śmierć, Blackiego.

Dziewczynka stanowi dla mnie skarbnicę informacji, jest zaś tak chętna do rozmowy, iż nie muszę o nic pytać. Dowiedziałam się więc, że Rosemundzie "idzie trzynasty rok", czyli ma dwanaście lat, pokój zaś, w którym leżę, jest czymś w rodzaju jej buduaru. Wynika z tego, że już niebawem będzie mogła wyjść za mąż; doprawdy, trudno to sobie wyobrazić. Przecież to jeszcze dziecko! Jednak w XIV wieku dziewczynki często wychodziły za mąż już w wieku czternastu albo piętnastu lat. Wątpię, żeby w dniu swego ślubu Eliwys była dużo starsza. Agnes powiedziała mi też, że ma trzech starszych braci, ale wszyscy zostali z ojcem w Bath.

Dzwon, którego bicie dobiega z południowego zachodu, znajduje się w Swindone. Agnes potrafi rozpoznać każdy z okolicznych dzwonów. Najdalszy, który zawsze zaczyna uderzać jako pierwszy, jest w Osney, więc należy go uznać za poprzednika Wielkiego Toma. Dwa bliźniacze dzwony biją w Courcy, gdzie mieszka sir Bloet, dwa kolejne zaś uderzają w Witenie i Esthcote. Oznacza to, że nie mogę być daleko od Skendgate - wcale bym się nie zdziwiła, gdyby okazało się, że jestem w Skendgate! Rosną tu jesiony, wioska jest właściwej wielkości, kościół stoi tam gdzie powinien... Niestety, Agnes nie wie jak nazywa się to miejsce. Jest to chyba jedyna informacja, jakiej nie potrafiła mi udzielić.

Wiedziała na przykład, gdzie podziewa się Gawyn. Oznajmiła mi z dumą, że tropi tych, którzy na mnie napadli.

- A kiedy już ich znajdzie, posieka ich swoim mieczem na kawałki. O, tak! - wykrzyknęła, demonstrując mordercze uderzenia na Blackiem.

Nie jestem jednak pewna, czy mogę wierzyć we wszystko, co mi mówi, napomknęła bowiem, że król Edward przebywa obecnie we Francji, oraz że ojciec Roche opowiadał, jakoby widział na własne oczy diabła, ubranego na czarno i dosiadającego karego ogiera.

Akurat to ostatnie jest całkiem możliwe. (Nie, że ojciec Roche widział diabła, ale że o tym opowiadał.) Aż do epoki renesansu granica między światem rzeczywistym a nierzeczywistym nie była dokładnie wyznaczona, ludzie żyjący w tych czasach zaś często miewali wizje Sądu Ostatecznego, rozmawiali z aniołami albo spotykali Matkę Boską.

Lady Imeyne bez przerwy narzeka na ignorancję, nieuctwo i niekompetencję ojca Roche'a, namawiając Eliwys, by wysłała Gawyna do Osney, aby sprowadził jednego z mnichów. Kiedy poprosiłam ją, by przysłała Roche'a, bo chciałam się z nim pomodlić (po namyśle doszłam do wniosku, że takie życzenie nie powinno zostać uznane za "nadmiernie śmiałe"), uraczyła mnie półgodzinnym wykładem o tym, jak to kiedyś zapomniał połowy Venite, zdmuchnął świece w kościele, zamiast zdusić płomyki palcami, przez co "zmarnowało się mnóstwo wosku", a wreszcie ogłupiał wieśniaków niestworzonymi historiami (bez wątplenia dotyczącymi diabła i jego konia).

W XIV wieku wiejscy księża byli w większości prostakami, których nauczono jedynie odklepywać mszę oraz wpojono zaledwie podstawy zniekształconej łaciny. Szczerze mówiąc, dla mnie wszyscy tu jednakowo cuchną, ale zapewne szlachta uważa niżej urodzonych za istoty zupełnie innego gatunku, nic dziwnego więc, iż lady Imeyne wzdraga się na samą myśl o tym, że znowu będzie musiała spowiadać się przed tym "prostakiem".

Nie wątpię, iż jest niepiśmienny i przesądny, ale na pewno nie brak mu kompetencji. Trzymał mnie za rękę, kiedy leżałam umierająca. Mówił, żebym się nie bała. I nie bałam się.

(przerwa)

Błyskawicznie odzyskuję siły. Po południu przez pół godziny siedziałam w łóżku, wieczorem zaś zesłam na dół na kolację. Lady Eliwys dała mi brązową suknię i opończę barwy musztardy, a także coś w rodzaju chusty i opaskę do przytrzymania jej na głowie (a nie czepiec, z czego wynika, że - pomimo gadaniny lady Imeyne o "culoźnicach" - uważa mnie za dziewicę.) Nie mam pojęcia, czy strój, w jakim się tu zjawiłam, został uznany za nieodpowiedni, czy może jest zbyt elegancki, żeby nosić go na co dzień. Eliwys nie zająknęła się na ten temat ani słowem. Obie pomogły mi się ubrać, ja natomiast, choć bardzo chciałam zapytać, czy mogłabym się umyć, jednak nie uczyniłam tego z lęku, że na nowo rozbudzę podejrzenia Imeyne.

I bez tego przyglądała się bacznie, jak zawiązuję tasiemki i sznurowadła, przy stole zaś prawie nie spuszczała mnie z oka. Siedziałam między dziewczynkami, dzieląc z nimi deszczułkę, która w tych czasach pełniła funkcję talerza. Rządca został zesłany na sam koniec stołu, Maisry zaś nie pojawiła się ani na chwilę. Jeśli wierzyć panu Latimerowi, ksiądz miał prawo zasiadać przy stole razem z państwem, ale najwyraźniej nie został zaproszony. Widocznie lady Imeyne ma zastrzeżenia także do jego manier.

Wieczera składała się z mięsa (chyba dziczyzny) i chleba. Pieczone czuć było przyprawami, których ostry zapach miał chyba za zadanie przytłumić inną, niezbyt miłą woń, świadczącą o długotrwałym przechowywaniu mięsa, chleb natomiast był twardy jak kamień, ale i tak smakowało to znacznie lepiej niż polewka. Wydaje mi się, że nie popełniłam rażących błędów, choć nie ulega wątpliwości, iż te mniej rażące przytrafiają mi się prawie bez przerwy, i chyba właśnie tym należy tłumaczyć nie słabnącą podejrzliwość lady Imeyne. Moje ubranie, wygląd rąk, przypuszczalnie także sposób wysławiania się, odbiegają nieco (albo i bardzo) od obowiązujących norm, to zaś sprawia, iż jestem inna, niezwykła, obca - jednym słowem, podejrzana.

Lady Eliwys zbyt martwi się o męża, by poświęcać mi więcej uwagi, dziewczynki zaś są za młode, żeby cokolwiek zauważyć, ale lady Imeyne bez wątpienia widzi wszystko i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że sporządza listę podobną do tej, na której umieszcza mniej lub bardziej wymyślane przewiny ojca Roche'a. Bogu dzięki nie powiedziałam jej, że nazywam się Isabel de Beauvier; chociaż to środek zimy, bez wątpienia osobiście pojechałaby do Yorkshire, aby przyłapać mnie na kłamstwie.

Po wieczerzy przyszedł Gawyn. Maisry, która wreszcie zjawiła się z podejrzeniem zaczerwienionym uchem i drewnianą konwią wypełnioną piwem, przysunęła ławy bliżej paleniska i dorzuciła nieco drew do ognia. Obie kobiety zajęły się szyciem.

Gawyn wszedł po cichu i przez chwilę stał bez ruchu przy przepierzeniu, toteż nikt go nie zauważył. Rosemunda mozoliła się nad bębenkiem, Agnes jeździła po posadzce drewnianym wózkiem, Eliwys zaś rozmawiała z Imeyne o wieśniaku, którego dni, zdaje się, były już policzone. Zobaczyłam go tylko dlatego, że odwróciłam głowę od ognia, ponieważ przed chwilą w twarz buchnął mi gęsty kłęb dymu. Gawyn stał bez ruchu, wpatrzony w Eliwys.

Zaraz potem Agnes przejechała wózkiem po stopie Imeyne, ta zbeształa ją, mówiąc, że jest diabelskim pmiotem, Gawyn zaś wyszedł z cienia na środek izby. Opuściłam skromnie wzrok, modląc się jednocześnie w duchu, by do mnie przemówił.

Moje modlitwy zostały wysłuchane.

- Pani, cieszę się, widząc was w dobrym zdrowiu - powiedział, klękając przede mną na jedno kolano.

Nie miałam pojęcia co powinnam odpowiedzieć, ani czy w ogóle powinnam coś mówić, więc tylko jeszcze bardziej pochyliłam głowę. Gawyn wciąż klęczał.

- Powiedziano mi, lady Katherine, że nie pamiętacie nic z tego, co wydarzyło się, kiedy zostaliście napadnięci. Czy to prawda?

- Tak - wyszeptalam.

- Nie wiecie też, dokąd uciekli wasi słudzy?

Potrząsnęłam głową, wciąż nie podnosząc wzroku.

Odwrócił się do Eliwys.

- Mam wieści o złoczyńcach, lady Eliwys. Znalazłem ich ślady. Było ich wielu i mieli konie.

Odetchnął z ulgą, przez chwilę bowiem obawiałam się, że powie, iż dopadł jakiegoś nieszczęsnego wieśniaka zbierającego drewno w lesie i powiesił go na gałęzi najbliższego dębu.

- Proszę o pozwolenie, bym mógł ich ściagać i pomścić tę damę - dodał, wciąż wpatrując się w Eliwys.

Sprawiła wrażenie jakby czuła się nieswojo, podobnie jak zawsze do tej pory, kiedy Gawyn zjawiał się w pobliżu.

- Mój mąż nakazał nam, byśmy nie opuszczali tego miejsca aż do jego powrotu - odparła. - Prosił was także, byście nas strzegli. Nie zgadzam się.

- Jeszcze nie jadłeś wieczerzy - przemówiła lady Imeyne tonem wykluczającym jakąkolwiek dyskusję.

- Panie, dziękuję wam za waszą dobroć - odezwałam się. - Wiem, że to wy znaleźliście mnie w lesie... Proszę, czy zechcielibyście wskazać mi miejsce, gdzie ujrzełiście mnie, leżącą bez ducha?

Nie zdołałam powiedzieć nic więcej, ponieważ zabrakło mi tchu, a kiedy spróbowałam nabrać powietrza, uczyniłam to zbyt szybko. Zniosłam się kaszlem i musiałam zgiąć się w pół, ponieważ poczułam przeszywający ból w klatce piersiowej.

Kiedy wreszcie opanowałam kaszel, na stole znalazły się już ser i mięso dla Gawyna, Eliwys zaś ponownie zajęła się wyszywaniem. Nadal więc wiem tyle co przedtem, czyli nic.

Nieprawda. Wiem już dlaczego Eliwys była taka zmieszana, kiedy się zjawił, i dlaczego wymyślił bajeczkę o bandzie złoczyńców. I skąd się wzięła gadanina o "culoźnicach".

Gdy ujrzałam go, jak stoi przy drzwiach i wpatruje się w Eliwys, nie potrzebowałam translatora, by odczytać uczucia malujące się na jego twarzy. Nie ulega wątpliwości, że zakochał się w żonie swego pana.

14.

Dunworthy spał aż do rana.

- Pański sekretarz chciał pana obudzić, ale mu nie pozwoliłem - oznajmił Colin, po czym rzucił na łóżko plik wymiętych papierów. - Powiedział, żeby dać to panu.

- Która godzina? - zapytał Dunworthy, siadając w pościeli.

- Wpół do dziewiątej. Wszystkie dzwonnice oraz internowani jedzą śniadanie w stołówce. Płatki owsiane. - Skrzywił się szkaradnie. - Myślałem, że rzucę pawia. Ten pański sekretarz twierdzi, że z powodu kwarantanny musimy oszczędzać jajka i bekon.

- Wpół do dziewiątej rano? - wykrztusił Dunworthy, mrużąc oczy i spoglądając w stronę okna. - Mój Boże! Przecież miałem wrócić do szpitala, żeby porozmawiać z Badrim!

- Wiem - odparł chłopiec. - Babcia Mary powiedziała, żeby pozwolić panu pospać, bo i tak pan z nim nie pogada. Robią mu jakieś badania, czy coś w tym rodzaju.

- Dzwoniła?

Dunworthy szukał po omacku okularów, które powinny być na nocnym stoliku.

- Nie, poszedłem tam z samego rana, żeby pobrali mi krew. Mam panu przekazać, że teraz musimy się zgłaszać tylko raz dziennie.

Dunworthy wreszcie znalazł okulary, wsadził je na nos i spojrzał na Colina.

- Wspomniała może, czy udało się zidentyfikować wirusa?

- Eszhe ne - wybełkotał Colin, który właśnie był zajęty przepychaniem ogromnej guli spod prawego policzka w kierunku lewego. Ciekawe, czy spał z gumą w ustach? - przemknęło Dunworthy'emu przez głowę. - Przysłała panu formularze kontaktowe. - Wręczył mu stertę papieru. - Aha, dzwoniła ta pani, którą spotkał przed szpitalem. Wie pan, ta na rowerze.

- Montoya?

- Właśnie. Chciała wiedzieć, czy udało się panu skontaktować z żoną pana Basingame'a. Powiedziałem jej, że pan oddzwoni. O której przynoszą pocztę?

Dunworthy już zajął się przeglądaniem stosu papierzynek.

- Poczta?

- Mama nie zdążyła kupić mi w porę prezentów, żebym mógł je ze sobą zabrać, ale obiecała, że wszystko przyśle pocztą. Chyba nie będzie żadnych opóźnień ze względu na kwarantannę?

Część kartek była sklejona ze sobą - najprawdopodobniej miało to ścisły związek z okresowym sprawdzaniem przez Colina stanu gumy do żucia - większość zaś zawierała alarmujące meldunki od Fincha: w kilku pokojach szwankowało ogrzewanie, Ministerstwo Zdrowia zaleciło mieszkańcom Oxfordu i okolic unikanie kontaktu z zarażonymi osobami, pan Basingame wyjechał na Święta do Torquay, zapasy papieru toaletowego kurczą się w zastraszającym tempie.

- Raczej nie powinni się spóźnić, prawda?

- Spóźnić się? Z czym?

- Z pocztą, oczywiście! - odparł Colin ze zniecierpliwieniem. - O której ją zwykle przywożą?

- O dziesiątej. - Dunworthy odłożył na bok notatki Fincha, po czym otworzył dużą szarą kopertę. - W święta zdarzają się małe opóźnienia ze względu na liczbę paczek i kartek z życzeniami.

Koperta także nie zawierała żadnych formularzy, tylko starannie i przejrzyście sporządzony przez Williama Gaddsona wykaz miejsc, w których widywano Badriego i Kivrin, z podziałem na pory dnia, oraz, gdzie się dało, także na godziny. Raport wyglądał znacznie efektowniej niż jakakolwiek praca semestralna chłopca. Zdumiewające, jaki dobroczynny wpływ może wyrzucić obecność matki!

- Ciekawe, czy to naprawdę jest takie zaraźliwe - mruknął Colin. - Gdzie ją zostawiają?

- Co?

- Poczta!

- W portierni.

Dunworthy zagłębił się w lekturze raportu dotyczącego Badriego. We wtorek po południu technik wrócił z Balliol do laboratorium. Finch rozmawiał z nim o drugiej, potem zaś tuż przed trzecią, kiedy Badri zostawił

mu notatkę dla Dunworthy'ego. Między drugą a trzecią John Yi, student trzeciego roku, widział technika idącego przez dziedziniec i rozglądającego się, jakby kogoś szukał.

Punktualnie o trzeciej Badri zjawił się w Brasenose, został tam do wpół do ósmej, po czym wrócił do swego mieszkania, by przebrać się na zabawę.

Dunworthy zadzwonił do Latimera.

- O której godzinie przyszedł pan do laboratorium we wtorek po południu?

Latimer zamrugał niepewnie.

- We wtorek? - zapytał takim tonem, jakby miał trudności z zebraniem myśli. - Czy to było wczoraj?

- Dzień przed dokonaniem przeskoku. Wcześniej widziano pana w bibliotece.

Starszy mężczyzna skinął głową.

- Zapytała mnie, jak powiedzieć: "Pomóżcie mi, bo zostałam ograbiona przez złodziei".

Należało przypuszczać, że Latimer ma na myśli Kivrin.

- Spotkaliście się w bibliotece, czy dopiero w Brasenose?

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, skubiąc z namysłem podbródek.

- Pracowaliśmy dość długo, bo próbowaliśmy ustalić postać niektórych przymiotników - powiedział wreszcie. - W czternastym wieku fleksja przymiotnikowa zaczęła już stopniowo zanikać, ale ten proces dopiero nabierał tempa, więc...

- Czy Kivrin przyszła do pana, kiedy pracował pan w sieci?

- W sieci? - powtórzył ze zdziwieniem Latimer.

- Do laboratorium w Brasenose!

- W Brasenose? Przecież nabożeństwo powinno odbyć się w katedrze...

- Jakie nabożeństwo?

- Bożonarodzeniowe. Pastor poprosił, żebym odczytał błogosławieństwo. Czyżby uroczystość przeniesiono do Brasenose?

- Nie. A więc spotkał się pan z Kivrin we wtorek po południu, żeby pomóc jej w przygotowywaniu mowy powitalnej. Gdzie to było?

- Największe problemy mieliśmy ze "złodziejami". Co prawda słowo to pochodzi od staroangielskiego wyrazu...

Dalsza rozmowa z Latimerem nie miała najmniejszego sensu.

- Nabożeństwo zaczyna się o siódmej w kościele Najświętszej Marii Panny - powiedział Dunworthy i odłożył słuchawkę.

Zaraz potem zadzwonił do portiera z college'u Brasenose, który wciąż dekorował choinkę, i poprosił go, żeby poszukał nazwiska Kivrin w książce wejść i wyjść. Okazało się, że we wtorkowe popołudnie dziewczyna nie pojawiła się w laboratorium.

Następnie Dunworthy wprowadził do komputera dane z formularzy, uzupełniając je o informacje zawarte w raporcie Williama. We wtorek Kivrin w ogóle nie miała kontaktu z Badrim; rano była w szpitalu, potem odwiedziła Dunworthy'ego, całe popołudnie natomiast spędziła w towarzystwie Latimera. Badri przypuszczalnie wyszedł na przyjęcie, zanim tych dwoje opuściło mury biblioteki. W poniedziałek o trzeciej także znajdowała się w klinice, nie wiadomo natomiast, co robiła tego dnia między dwunastą a wpół do trzeciej.

Ponownie przejrzał wszystkie formularze. Najkrótszy dostarczyła Montoya: podała nazwiska osób, z którymi kontaktowała się we środę rano, pominęła natomiast poniedziałek i wtorek, a także nie wspomniała ani słowem o Badrim. Zaczął już zastanawiać się, co mogło być tego przyczyną, ale w porę przypomniał sobie, że zjawiła się po tym, jak Mary wyjaśniła, co konkretnie powinno znaleźć się w formularzach.

Może więc Montoya widziała się z Badrim przed środowym rankiem albo przynajmniej wie, co robił w poniedziałek między południem a wpół do trzeciej?

- Czy panna Montoya zostawiła swój numer telefonu? - zapytał, lecz nie uzyskał odpowiedzi, więc oderwał wzrok od ekranu i rozejrzał się po pokoju. - Colin?

Colina nie było ani w sypialni, ani w saloniku. Została tylko jego torba, z zawartością częściowo rozwleconą na podłodze.

Dunworthy odszukał numer Montoi w Brasenose, po czym wystukał go bez przekonania, gdyż nie spodziewał się nikogo zastać. Miał rację. Skoro nadal polowała na Basingame'a, oznaczało to, że nie otrzymała zezwolenia na powrót do pracy, teraz więc zapewne dobijała się kolejno do wszystkich urzędów, przekonując kogo się da, iż prowadzone przez nią wykopaliska mają ogromną, trudną do wyobrażenia wartość naukową.

Ubrał się, wyszedł z mieszkania i zajął do jadalni w nadziei, że znajdzie tam Colina. Deszcz ciągle padał, niebo miało ten sam beznadziejnie szary kolor co kamienne płyty dziedzińca i kora bezlistnych drzew. W głębi duszy liczył na to, iż dzwonniczki oraz pozostali internowani rozeszli się już do przydzielonych im pomieszczeń, lecz niestety było inaczej. Już w połowie dziedzińca usłyszał podniesione głosy dobiegające od strony jadalni.

- Dzięki Bogu, że pan przyszedł - powitał go Finch przy drzwiach. - Przed chwilą telefonowano ze Sztabu Kryzysowego. Mamy przyjąć jeszcze dwadzieścia osób.

- Proszę im powiedzieć, że to niemożliwe - odparł Dunworthy, rozglądając się po wypełnionej sali. - Przecież musimy przestrzegać zarządzenia nakazującego unikać kontaktów z zarażonymi osobami. Widział pan może wnuka doktor Ahrens?

- Przed chwilą był gdzieś tutaj.

Finch wspiął się na palce, ale Dunworthy już dostrzegł Colina. Chłopiec stał przy stole, który zajmowały Amerykanki i pracowicie smarował masłem tosty. Przepchnięcie się do niego zajęło Dunworthy'emu prawie minutę.

- Czy panna Montoya powiedziała, gdzie będę mógł ją złapać?

- To ta na rowerze? - zapytał flegmatycznie Colin, kładąc czubatą łyżkę marmolady na pierwszy tost.

- Tak.

- Nie, nic nie mówiła.

- Zje pan śniadanie? - zapytał Finch. - Niestety nie ma ani jajek, ani bekonu, a w dodatku kończą się zapasy marmolady... - spiorunował Colina wzrokiem - ...ale są płatki owsiane i...

- Wystarczy sama herbata - przerwał mu Dunworthy. - A może powiedziała chociaż, skąd dzwoni?

- Proszę siadać - zaprosiła go panna Taylor. - Dobrze się składa, że pan przyszedł, bo chciałam porozmawiać z panem o naszej Mszy Chicagowskiej.

- Co konkretnie mówiła?

- Że nikogo nie obchodzi los jej wykopalisk, że bezcennym znaleziskom w każdej chwili grozi zagłada, a ponadto może ulec zerwaniu bezcenne, materialne ogniwo łączące teraźniejszość z przeszłością, i że trzeba być idiotą, by łowić ryby w środku zimy - wyrecytował jednym tchem chłopak, wyskrobując resztki marmolady ze łoika.

- Niestety kończy nam się także herbata - powiedział Finch przepaszającym tonem, i podał Dunworthy'emu filiżankę wypełnioną gorącym płynem o barwie rozcieńczonego soku cytrynowego.

Dunworthy usiadł przy stole.

- Masz ochotę na kakao? - zapytał Colina. - A może na szklankę mleka?

- Mleko też się kończy! - zareagował natychmiast Finch.

- Nie, dziękuję - odparł Colin, składając razem tosty. - Wezmę to ze sobą, na wypadek, gdybym musiał dłużej czekać na pocztę.

- Dzwonił pastor - powiedział Finch. - Prosił, by panu przekazać, że próba nabożeństwa nie zacznie się przed wpół do siódmej.

- Mimo wszystko postanowili je odprawić? - zdziwił się Dunworthy. - Biorąc pod uwagę okoliczności, nie spodziewałbym się dużej frekwencji.

- Komitet Ekumeniczny uznał, że jednak należy uczynić zadość tradycji. - Finch wlał do herbaty ćwierć łyżeczki mleka, rozmieszał starannie i wręczył mu filiżankę. - Między innymi chodzi o podtrzymanie ludzi na duchu.

- My także będziemy uczestniczyć w nabożeństwie i nawet zagramy kilka utworów - odezwała się panna Taylor. - Naturalnie to nie to samo co prawdziwy koncert, ale zawsze lepsze niż nic. Kapłan Kościoła Reformowanego odczyta fragment Pisma mówiący o Wielkiej Zarazie.

- Tak, to istotnie powinno podtrzymać ludzi na duchu - mruknął Dunworthy.

- Czy ja też muszę tam iść? - zapytał Colin.

- Przy takiej pogodzie? Nawet nie ma mowy! - zagrzmiała pani Gaddson, pojawiając się nie wiadomo skąd jak upiór z czubatym talerzem płatków owsianych, który postawiła przed Colinem. - W kościele na pewno są przeciągi i łatwo mógłbyś się zaziębić. Zostaniesz tutaj, pod moją opieką. - Podsunęła mu krzesło.

- A teraz usiądź i zjedz porządne śniadanie.

Chłopiec posłał Dunworthy'emu błagalne spojrzenie.

- Zdaje się, że zostawiłem w mieszkaniu kartkę z numerem telefonu Montoi. Mógłbyś mi ją przynieść?

- Jasne!

I już go nie było.

- Kiedy to nieszczęsne dziecko zostanie powalone chorobą, mam nadzieję, że nie zapomni pan, iż to pan właśnie przyczynił się do jego cierpienia nie dopilnowując, by należycie się odżywiało - wycodziła pani Gaddson. - Jest dla mnie całkowicie jasne, jakie są przyczyny tej epidemii: niewłaściwe odżywianie oraz całkowity brak dyscypliny. To doprawdy skandal, żeby powierzać zdrowie i życie młodych ludzi równie nieodpowiedzialnym osobom! Prosiłam, by zakwaterowano mnie z moim synem Williamem, a tymczasem przydzielono mi pokój w innym budynku, w dodatku...

- Obawiam się, że w tej sprawie musi pani porozmawiać z panem Finchem - przerwał jej Dunworthy, wstając od stołu i zawijając w serwetkę kanapki Colina. - Wzywają mnie do szpitala - dodał, po czym odszedł szybkim krokiem, nie czekając, aż pani Gaddson rozpocznie na nowo swą tyradę.

Zaraz po powrocie do mieszkania zatelefonował do Andrews, ale linia była zajęta, spróbował więc połączyć się ze stanowiskiem archeologicznym Montoi, licząc na to, że dostała już upragnione zezwolenie, lecz nikt się nie zgłaszał. Bez przekonania ponownie wystukał numer Andrews; ku jego zdziwieniu próba zakończyła się powodzeniem.

Po trzecim sygnale włączyła się automatyczna sekretarka.

- Mówi Dunworthy - powiedział, a następnie, po krótkim wahaniu, podał swój domowy numer. - Muszę jak najprędzej porozmawiać z panem w bardzo pilnej sprawie.

Odłożył słuchawkę, wsunął do kieszeni dyskietkę z informacjami dotyczącymi Kivrin i Badriego, wziął parasol i zawiniątko z kanapkami Colina, po czym wyszedł z mieszkania i ruszył na ukos przez dziedziniec.

Colin stał skulony w bramie, spoglądając co chwila z niepokojem w kierunku Wieży Carfax.

- Idę do kliniki, żeby odwiedzić technika i porozmawiać z twoją babcią. - Dunworthy wręczył mu kanapki. - Pójdiesz ze mną?

- Nie, dzięki - odparł chłopiec. - Nie chcę przeoczyć poczty.

- Więc chociaż załóż kurtkę, żeby pani Gaddson nie przybiegła tu z wielkim krzykiem, bo drugi raz na pewno nie uda ci się wywinąć.

- Już tu była - odparł ponuro Colin. - Próbowала zmusić mnie do założenia szalika. Szalika, wyobraża pan sobie?! Zignorowałem ją.

- Chyba cię nie doceniłem - przyznał Dunworthy. - Powinienem wrócić na lunch. Gdybyś czegoś potrzebował, zwróć się do Fincha.

- Mhm - mruknął chłopiec.

Z pewnością nie usłyszał ani słowa. Ciekawe, jaki prezent spodziewa się dostać od matki, skoro wygląda go z taką niecierpliwością? - zastanawiał się Dunworthy. Na pewno nie szalik. Starannie owinął sobie szyję, otworzył parasol i dał nurka w deszcz, kierując się w stronę szpitala. Ulice były prawie puste, nieliczni przechodnie zaś trzymali się od siebie z daleka. Jakaś kobieta nawet zeszła z chodnika na jezdnię, żeby tylko uniknąć spotkania ze zbliżającym się mężczyzną.

Gdyby nie kuranty wygrywające akurat "Wśród nocnej ciszy", można by zapomnieć, że jest Wigilia. Nikt nie taszczył choinki, nikt nie pędził do domu z ostatnimi zakupami. Zupełnie jakby wszyscy myśleli tylko o kwarantannie, a nie o zbliżających się Świętach.

A czy nie tak właśnie było? Przecież on także zapomniał kupić drzewko, nie mówiąc już o prezentach. Pomyślał o Colinie skulonym w bramie college'u; mam nadzieję, że nie czeka na darmo, pomyślał. W drodze powrotnej do domu na wszelki wypadek kupi mu jakiś drobiazg, zabawkę albo może film do przeglądarki, żeby chłopiec nie dostał tylko szalika.

Zaraz po wejściu do szpitala natknął się na Mary, która chwyciła go za rękaw i poprowadziła w kierunku oddziału zakaźnego.

- Mamy kłopoty - poinformowała go. - Trzeba jak najprędzej ustalić, czy wirus dotarł do nas z Ameryki, ponieważ ze względu na Święta w Centrum Badań nad Grypą nie ma nikogo, kto potrafiłby go wyizolować. Naturalnie powinni być w gotowości przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale, jak widać, tak nie jest. Przypuszczalnie postanowili trochę odpocząć, ponieważ po każdym Bożym Narodzeniu mają mnóstwo zgłoszeń o chorobach rzekomo spowodowanych przez wirusy, które to choroby po dokładniejszym badaniu okazują się zwykłymi zatruciami pokarmowymi. Ci z Atlanty zgodzili się przysłać nam "w ciemno" próbkę szczepionki, ale na pewno nie zaczną produkcji na masową skalę, dopóki nie dostaną szczegółowych wyników analiz.

Skręciła w korytarz odgradzony pomarańczową plastikową taśmą.

- Objawy są identyczne jak w przypadku wirusa z Południowej Karoliny: wysoka temperatura, bóle mięśni i powikłania płucne, ale to jeszcze żaden dowód. - Zatrzymała się przed drzwiami. - Nie udało ci się stwierdzić, czy Badri kontaktował się z kimś, kto ostatnio był w Ameryce?

- Nie, ale nic straconego. Muszę jeszcze wyjaśnić kilka wątpliwości. Chcesz, żebym z nim też porozmawiał?

Zawahała się.

- Co, czuje się gorzej?

- Dostał zapalenia płuc. Wątpię, czy zdoła ci cokolwiek powiedzieć. Nadal ma wysoką gorączkę. Podajemy mu antybiotyki i leki przeciwwirusowe, na które reagował wirus z Karoliny. - Otworzyła drzwi. - Poproś siostrę oddziałową, żeby powiedziała ci, gdzie leżą nowi chorzy. - Wystukała coś na klawiaturze przy pierwszym łóżku i na ekranie monitora pojawił się skomplikowany wykres. - Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli Colin zostanie u ciebie jeszcze na jedną noc?

- Ani trochę.

- To bardzo dobrze. Wątpię, czy dzisiaj uda mi się wrócić do domu, a nie chciałabym, żeby siedział sam w mieszkaniu. Wygląda na to, że tylko ja się o niego niepokoję. - W jej głosie pojawiła się gniewna nuta. - Jakimś cudem zdołałam dodzwonić się do Deirdre, ale ona wcale się nie przejmuje. "Macie tam kwarantannę? - zdziwiła się. Jestem tak zabiegana, że nawet nie oglądam wiadomości". A potem zaczęła opowiadać mi

o swoich planach na najbliższą przyszłość, tak jakby chciała dać do zrozumienia, że chwilowo nie ma czasu dla chłopca i cieszy się, że przynajmniej na trochę zdołała go gdzieś upchnąć. Mówię ci, czasem wydaje mi się, że to niemożliwe, żeby była moją siostrzenicą!

- Wiesz może, czy pamiętała o prezentach dla Colina? Obiecała mu, że przyśle je pocztą.

- Jestem pewna, że była zbyt "zabiegana", by je kupić, a co dopiero wysłać! Poprzednim razem, kiedy Colin spędzał u mnie Święta, upominki od matki dostał dopiero na Trzech Króli. Właśnie, skoro o tym mowa: nie wiesz, co stało się z moją torbą z zakupami? Były tam też prezenty dla Colina.

- Zabrałem ją do Balliol.

- Och, to dobrze. Co prawda nie zdążyłam kupić wszystkiego, co zamierzałam, ale gdybyś zechciał jakoś zapakować szalik i resztę, biedaczysko przynajmniej znajdzie coś pod choinką. - Umilkła na chwilę, po czym powiedziała znacznie bardziej energicznym tonem: - Gdybyś trafił na jakiś ślad, natychmiast daj mi znać. Jak widzisz - wskazała wykres ruchem głowy - ustaliliśmy już, że niektórzy spośród nowych pacjentów kontaktowali się z Badrim, ale to jeszcze nie oznacza, że nie było innego źródła zarażenia.

Wyszła z pokoju, Dunworthy zaś usiadł na składanym krzeselku przy łóżku, na którym leżała właścicielka kolorowej parasolki.

- Panno Breen, przykro mi, że panią niepokoję, ale muszę zadać pani kilka pytań...

Miała mocno zaczerwienioną twarz, oddychała zaś równie ciężko jak Badri, ale udzielała konkretnych, jasnych odpowiedzi. Nie, w ciągu minionego miesiąca nie była w Ameryce. Nie, nie kontaktowała się z nikim, kto tam był, nie spotykała się także z żadnymi Amerykanami. Przyjechała natomiast metrem z Londynu na zakupy, chodziła po całym Oxfordzie, zaglądała do niezliczonych sklepów. Nikt nie był w stanie ustalić, z iloma ludźmi zetknęła się przy okazji, a przecież wśród nich mogła być osoba, na której odnalezieniu tak bardzo zależało Mary.

Dopiero kilka minut po drugiej skończył rozmawiać z pacjentami, po czym naniósł nowe dane na wykres. "Amerykański łącznik" wciąż pozostał nie wykryty, choć okazało się, iż dwoje spośród chorych uczestniczyło w przyjęciu w Headington.

Nie robiąc sobie większych nadziei zjrzał do Badriego, by ku swemu zdziwieniu stwierdzić, iż stan technika uległ poprawie. Co prawda mężczyzna spał, ale kiedy Dunworthy delikatnie dotknął jego ręki, natychmiast otworzył oczy.

- Pan Dunworthy... - wyszeptał słabym, zachrypniętym głosem. - Co pan tu robi?

Dunworthy usiadł na krzeselku. - Jak pan się czuje?

- Śnią mi się dziwne rzeczy... Myślałem... Wydawało mi się, że okropnie boli mnie głowa...

- Muszę zadać panu kilka pytań. Czy pamięta pan, z kim pan rozmawiał podczas zabawy w Headington?

- Tam było tyle ludzi... - Z wysiłkiem przełknął ślinę. - Prawie nikogo nie znałem.

- Tańczył pan z kimś?

- Tak. Z Elizabeth. - Zabrzmiało to jak skrzypnięcie nie naoliwionych zawiasów. - Sisu... Sisu cośtam.

Nie pamiętam, nazwiska. I z Elizabeth Yakamoto.

Do izolatki weszła ponura pielęgniarka.

- Pora na prześwietlenie - oznajmiła, nie patrząc na Badriego. - Będzie musiał pan wyjść, panie Dunworthy.

- Mógłbym zostać jeszcze parę minut? To bardzo ważne.

Ona jednak już stuknęła w klawiaturę.

Korzystając z tego, że jest zajęta, pochylił się nad chorym i zapytał:

- Badri, czy przypomina pan sobie, jak duży był poślizg?

Pielęgniarka odwróciła się od pulpitu.

- Panie Dunworthy!

Starał się nie zwracać na nią uwagi.

- Czy poślizg był większy, niż pan oczekiwał?

- Nie... - wycharczał Badri, przesuwając ręką po szyi.

- Jak duży? Proszę się skupić! Jak duży był poślizg?

- Cztery godziny... - wyszeptał Badri.

Dopiero teraz Dunworthy dał się wypchnąć z pokoju.

Cztery godziny. Przeskok odbył się w pół do pierwszej, z czego wynika, że Kivrin wylądowała na miejscu o w pół do piątej, czyli prawie o zachodzie słońca. Powinno jednak być jeszcze wystarczająco jasno, żeby zdążyła dotrzeć do Skendgate, naturalnie gdyby zaszła taka potrzeba.

Odnalazł Mary i podał jej nazwiska dwóch dziewcząt, z którymi tańczył Badri, ona zaś sprawdziła w rejestrze nowo przyjętych pacjentów, ale ich nie znalazła. Powiedziała mu, żeby dał sobie pobrać krew i wrócił do domu. Kiedy kilka minut później ruszył w kierunku wyjścia z oddziału, przywieziono Sisu Fairchild, to też Dunworthy dotarł do domu dopiero o piątą.

Nie znalazł Colina ani przy bramie, ani w jadalni, gdzie Finch rozpaczał z powodu szybko topniejących zapasów cukru i masła.

- Gdzie jest wnuk doktor Ahrens? - zapytał sekretarza.

- Przez całe przedpołudnie sterczał przy bramie - poinformował go Finch, licząc kostki cukru. - Poczte dostarczono dopiero o pierwszej, a ponieważ nie było nic dla niego, poszedł do mieszkania babki, żeby sprawdzić, czy tam czegoś nie przyniesiono. Wygląda na to, że nie, bo wrócił z kwaśną miną, a jakieś pół godziny temu powiedział ni z tego, ni z owego: "Właśnie coś sobie przypomniałem", i wybiegł jak szalony. Przypuszczalnie poszedł sprawdzić w jakimś innym miejscu.

Zupełnie niepotrzebnie, pomyślał Dunworthy, głośno zaś zapytał:

- O której zamykają dziś sklepy?

- W Wigilię? Już są nieczynne, proszę pana. W Wigilię zawsze są zamykane wcześniej niż zwykle, niektóre nawet w południe, z powodu braku klientów. Mam dla pana kilka wiadomości...

- Obawiam się, że będą musiały poczekać.

Dunworthy złapał parasol i szybkim krokiem wyszedł z jadalni. Niestety, Finch miał rację: wszystkie sklepy były już zamknięte. Dotarł aż do Blackwella, łudząc się, że może przynajmniej tam jeszcze pracują, ale jego nadzieje okazały się płonne. Nie omieszkał jednak zauważyć, że sprzedawcy zdążyli już dostosować się do nowej sytuacji: na wielu wystawach, wśród tradycyjnych świątecznych dekoracji, pojawiły się popularne książki medyczne, podręczniki ziołarstwa oraz kolorowe poradniki w rodzaju "Jak bez wysiłku osiągnąć doskonałe zdrowie".

Co prawda działała jeszcze poczta przy High Street, ale sprzedawano tam tylko papierosy, marne słodczyce i kartki z życzeniami, a więc nic, co nadawałoby się na prezent gwiazdkowy dla dwunastoletniego chłopca. Wyszedł niczego nie kupiwszy, po czym wrócił, kazał sobie zważyć kilogram toffi, do tego zaś dołożył gumę wielkości małej asteroidy i kilka opakowań cukierków przypominających wyglądem granulowane mydło. Nie było tego wiele, ale przecież Mary wspomniała, że kupiła parę rzeczy.

"Parę rzeczy" okazało się szarymi wełnianymi skarpetami, jeszcze bardziej beznadziejnymi od szalika oraz edukacyjnym filmem do przeglądarki. Taki zestaw, nawet w połączeniu z kilogramem cukierków i gumą do żucia, mógł wpędzić w depresję nawet najpogodniejszego nastolatka. Dunworthy bezradnie rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się na prezent dla Colina.

Przypomniał sobie, że wiadomość, iż Kivrin udała się w średniowiecze, wywarła na chłopcu spore wrażenie. Zdjął z półki "Epokę rycerstwa". Co prawda zawierała wyłącznie zwykłe ilustracje, żadnych hologramów, ale chwilowo nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Pośpiesznie zapakował prezenty, przebrał się, a następnie szybkim krokiem skierował się do kościoła Najświętszej Marii Panny. Lało jak z cebra, więc musiał wykazać się sporą zręcznością, by nie wejść w którąś z licznych kałuż ani nie dać się opryskać wodzie wypływającej wartkimi strumieniami z rynien.

Przy takiej pogodzie nikt normalny nie przyjdzie do kościoła na nabożeństwo. W ubiegłym roku pogoda była o niebo lepsza, a i tak co najmniej połowa miejsc pozostawała wolna. Zabrał wtedy ze sobą Kivrin. Postanowiła nie wyjeżdżać na ferie, on zaś znalazł ją w bibliotece i namówił, by przyszła do niego na tradycyjny kieliszek sherry, potem zaś poszła z nim do kościoła.

- Tracę tylko czas - powiedziała w drodze do świątyni. - Powinnam siedzieć w bibliotece i prowadzić badania.

- Możesz je prowadzić u Najświętszej Marii Panny. Kościół wygląda tak jak w roku 1139, kiedy zakończono budowę. Zachował się nawet oryginalny średniowieczny system centralnego ogrzewania.

- Zapewne tradycja nabożeństw ekumenicznych także przetrwała w nie zmienionej formie od średniowiecza? - zapytała z przekąsem.

- Z pewnością, przynajmniej jeśli chodzi o czystość intencji i przeładowanie pozbawionymi znaczenia rytuałami.

Przemknął wąskim przesmykiem między ścianą Balliol a murami kościoła, otworzył drzwi i poczuł na twarzy podmuch ciepłego powietrza. Jego okulary natychmiast zaszyły parą, więc przystanął w narteksie i wytarł je skrajem szalika, lecz natychmiast zaparowały ponownie.

- Pastor już pana szuka - powiedział Colin.

Miał na sobie kurtkę i chyba nawet zadał sobie fatywę, by się uczesać. Wręczył Dunworthy'emu kartkę z porządkiem nabożeństwa. Miał ich cały plik, więc widocznie zatrudnił się przy ich rozdawaniu.

- Myślałem, że zostaniesz w domu.

- Z panią Gaddson? Co za pomysł! Doszedłem do wniosku, że z dwojga złego lepiej być na mszy, więc zaproponowałem pannie Taylor, że pomogę im przynieść dzwonki.

- A pastor natychmiast zagonił cię do pracy. - Dunworthy wciąż bezskutecznie próbował wytrzeć okulary. - Jak interesy? Chyba nie najlepiej?

- Żartuje pan? Przyszło tyle ludzi, że nie ma gdzie szpilki wetknąć.

Dunworthy zajrzał do kościoła. Istotnie, ławki były już pełne, i właśnie rozstawiano składane krzeselka.

- Jest pan już! - ucieszył się pastor, wyłaniając się zza kolumny z naręczem śpiewników. - Przepraszam za ten upał. Wszystko przez piec. Konserwator zabytków nie pozwolił nam zainstalować nowoczesnych grzejników, a do starego pieca nie sposób dostać prawie żadnych części. Wczoraj zepsuł się termostat, więc mo-

zemy albo grzać, albo nie. - Zerknął na złożoną w pół kartkę. - Zauważył pan może gdzieś pana Latimera? Powinien odczytać tekst błogosławieństwa. Niestety, z braku czasu nie będziemy mogli przeprowadzić próby.

- Nie widziałem, ale jakiś czas temu przypomniałem mu o nabożeństwie.

- Taak... W ubiegłym roku coś mu się pomyliło i przyszedł godzinę za wcześnie. - Wręczył Dunworthy'emu kartkę. - Oto pański tekst. Tym razem z Biblii króla Jakuba[4], bo życzyli sobie tego przedstawicieli Kościoła Tysiąclecia. Dobrze i to, że nie upierali się przy Piśmie Świętym dla Zwykłych Ludzi, jak rok temu. Król Jakub jest może trochę archaiczny, ale przynajmniej nie ma w nim niczego, co zalatywałoby kryminałem.

Otworzyły się zewnętrzne drzwi i do przedsionka weszła spora grupa ludzi. Otrząsnęli parasole i kapelusze, odebrali od Colina kartki z porządkiem nabożeństwa, po czym przeszli dalej.

- Od razu wiedziałem, że powinniśmy skorzystać z kościoła Jezusa Chrystusa - mruknął pastor.

- Co oni wszyscy tu robią? - zdumiał się Dunworthy. - Czy nie zdają sobie sprawy, że zagraża nam epidemia?

- Tak jest zawsze - odparł pastor. - Pamiętam początki Wielkiej Epidemii. Nigdy nie zbieraliśmy do puszek tyle datków, co wtedy. Później żadna siła nie zdołała ruszyć ich z domów, ale na razie chcą być razem, bo to dodaje otuchy.

- A w dodatku jest ekscytujące - wtrącił kapłan Kościoła Reformowanego, ubrany w czarny golf, spodnie z powypychanymi kolanami oraz czerwonozieloną kraciastą komżę. - Tak samo dzieje się podczas wojny. Ludzie przychodzą, żeby przeżyć dreszczyk emocji.

- A przy okazji podwoić tempo rozprzestrzeniania się choroby - mruknął Dunworthy. - Czy nikt im nie powiedział, że mogą się pozarażać?

- Ja zamierzam to uczynić - poinformował go pastor. - Pańska kolej przypada zaraz po występie dzwonniczek. Niestety, tekst został zmieniony, naturalnie za sprawą Kościoła Tysiąclecia. Ewangelia według św. Łukasza, rozdział 2, wersy 119. Ruszył między wiernych, rozdając śpiewniki.

- A gdzie pańska studentka, Kivrin Engle? - zapytał kapłan Kościoła Reformowanego. - Nie widziałem jej podczas naszej mszy.

- Jest w roku 1320, mam nadzieję, że w Skendgate, oby pod jakimś dachem.

- Wspaniale. Bardzo chciała się tam udać. Ma szczęście, że ominęło ją to całe zamieszanie.

- Właśnie. Przepraszam, ale chyba powinienem przynajmniej raz przeczytać po cichu swój fragment Ewangelii.

Wszedł do kościoła. Było tam jeszcze cieplej niż w przedsionku, w powietrzu zaś czuć było niezbyt przyjemny zapach mokrych ubrań i wilgotnego kamienia. W oknach, a także na ołtarzu, migotały laserowe świece. Członkinie zespołu dzwonników ustawiły przed ołtarzem dwa solidne stoły i teraz nakrywały je czerwonymi obrusami. Dunworthy skrył się za filarem i otworzył Biblię na Ewangelii św. Łukasza.

“W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie...”

Istotnie, Biblia króla Jakuba jest archaiczna, pomyślał. A tam, gdzie teraz przebywa Kivrin, nawet nie została jeszcze napisana.

Wrócił do Colina. Ludzi wciąż przybywało. Kapłan Kościoła Reformowanego i muzułmański imam poszli do Oriel College po dodatkowe krzesła, pastor natomiast bezskutecznie usiłował wyregulować termostat.

- Zająłem dla nas dwa miejsca w drugim rzędzie - powiedział Colin. - Wie pan, co pani Gaddson zrobiła przy podwieczorku? Wyrzuciła moją gumę do żucia. Powiedziała, że roi się na niej od zarazków. Dobrze, że moja mama nie jest taka. - Wyrównał plik kartek z porządkiem nabożeństwa; zostało mu ich już niewiele. - Przypuszczam, że poczta nie dostarczyła prezentów ze względu na kwarantannę. Widocznie pierwszeństwo mają leki, żywność, i takie tam, różne inne.

Znowu poprawił kartki, choć były już ułożone najporządniej jak można sobie wyobrazić.

- To całkiem możliwe. Kiedy zamierzasz rozpakować pozostałe upominki? Jutro rano, czy jeszcze dziś wieczorem?

- Chyba jutro rano - odparł chłopiec, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej obojętnie, po czym obdarzył promiennym uśmiechem i lekko wilgotną kartką jakąś starszą damę w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym.

- Cieszę się, że mimo tej okropnej epidemii ktoś jeszcze zachował resztki świątecznego nastroju - zauważyła z goryczą.

Dunworthy precyzyjnie się między wiernymi i usiadł na zarezerwowanym dla siebie miejscu. Wysiłki pastora nie dały żadnych rezultatów; w kościele wciąż było gorąco jak w łaźni. Dunworthy zdjął szalik i płaszcz, i powiesił je na oparciu sąsiedniego krzesła.

Rok wcześniej w świątyni było przeraźliwie zimno.

- Pełen autentyzm - szepnęła Kivrin. - To samo dotyczy czytań. “A wtedy macherzy od polityki napuścili na ludzi agentów podatkowych” - zacytowała Pismo Święte dla Zwykłych Ludzi, po czym uśmiechnęła się

pogodnie. - Proszę się nie przejmować; w średniowieczu chłopci, a nawet znaczna część szlachty, nie rozumieli ani słowa z tego, co się mówi w kościele.

Zjawił się Colin i usiadł na płaszczu Dunworthy'ego. Kapłan Kościoła Reformowanego podniósł się z miejsca, wcisnął między stoły z dzwoniczkami a ołtarz, po czym rozłożył ramiona i wznosił ręce ku niebu.

- Módlmy się...

Wszyscy uklękli.

- O Panie, który zesłałeś na nas owoc swego gniewu, wstrzymaj Anioła Śmierci, nie opuszczaj karzącej dłoni, ocal tę ziemię i nas, którzy na niej żyjemy.

To tyle, jeśli chodzi o podtrzymanie ludzi na duchu, pomyślał Dunworthy.

- Tak jak wtedy, gdy zesłałeś zarazę na lud Izraela, i zmarło dwadzieścia tysięcy ludzi, tak my teraz błagamy Cię na kolanach, byś zechciał spojrzeć na nas łaskawym okiem i zachować nas od śmierci.

Rury centralnego ogrzewania wpadły w przeraźliwy rezonans, lecz natchniony kapłan nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Mówił jeszcze co najmniej pięć minut, przypominając liczne wypadki, kiedy Pan zniszczył "bezbożników i ludzi małego serca", po czym wezwał wiernych, by wstali i odśpiewali hymn o dobroci Boga.

Montoya prześlizgnęła się chyłkiem między ławkami i usiadła obok Colina.

- Przez cały dzień wydeptywałam ścieżki w urzędach, szukając kogoś, kto może dać mi zezwolenie na dalsze prowadzenie wykopalisk - powiedziała szeptem. - Oni wszyscy chyba uważają, że zaraz zacznę ganić w tę i z powrotem, i roznosić wirusy! Tłumaczy im jak komu dobremu, że nie ruszę się nawet na krok ze stanowiska, a gdzie jak gdzie, ale akurat tam na pewno nie ma żywego ducha, którego można by zarazić, ale oczywiście nikt nie chce mnie słuchać. - Spojrzała na Colina. - Przypuszczam jednak, że prędzej czy później wydebię to zezwolenie, a wtedy będę potrzebowała ochotników do pracy. Chciałbyś może poszukać skarbów na starym cmentarzysku?

- On nie może - wtrącił się pospiesznie Dunworthy. - Babcia mu nie pozwoli. - Pochylił się w stronę Montoyi i mówił dalej szeptem: - Staramy się ustalić, gdzie Badri przebywał w poniedziałek od południa do wpół do trzeciej. Widziała go pani wtedy?

- Ciii...! - syknął ktoś za ich plecami.

Montoya pokręciła głową.

- Ślęczałam z Kivrin nad mapą okolic Skendgate.

- Gdzie? Przy wykopaliskach?

- Nie, w Brasenose.

- I nie widziałyście tam Badriego? - zapytał, lecz natychmiast uświadomił sobie, że Badri nie miał żadnego powodu, by znajdować się wtedy w college'u Brasenose. Przecież on, Dunworthy, poprosił go o poprowadzenie przeskoku dopiero o wpół do trzeciej.

- Nie - odparła szeptem Montoya.

- Ciii...!

Syczącą osobą okazała się kobieta, którą zaskoczył radosny uśmiech Colina.

- Jak długo siedziała pani z Kivrin?

- Od dziesiątej aż do chwili, kiedy poszła do kliniki. To było chyba około trzeciej.

- Cisza!

- Teraz chyba moja kolej - mruknęła Montoya. - Mam odczytać "Wezwanie do Wielkiego Ducha".

Wygłosiła indiańską modlitwę, po czym dzwoniczki, w białych rękawiczkach i z wyrazem determinacji na twarzach, odegrały utwór zatytułowany "O Chryste, który władasz światem". Odgłosy dobiegające od ołtarza do złudzenia przypominały te, jakie wydawały rury.

- Ale wdechowo! - szepnął Colin, kryjąc się za plikiem kartek.

- To atonalna kompozycja z końca dwudziestego wieku - poinformował go Dunworthy. - Twórcy chodziło o to, żeby słuchacze dostawali gęsiej skórki.

Ledwie utwór dobiegł końca, Dunworthy wdrapał się na ambonę i odczytał fragment Pisma Świętego.

- "W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie..."

Montoya dyskretnie przesuwiała się coraz bliżej bocznej nawy, by wreszcie wymknąć się z kościoła. Dunworthy żałował, że nie zdążył jej zapytać, czy w ogóle widziała Badriego w poniedziałek albo we wtorek i czy słyszała o jakichś Amerykanach, z którymi technik mógłby się zetknąć. Cóż, zrobi to jutro, kiedy zgłoszą się do kliniki na pobranie krwi. I tak uzyskał bardzo ważną informację: w poniedziałek po południu Kivrin nie miała żadnego kontaktu z Badrim. Montoya twierdzi, że siedziała z dziewczyną od dziesiątej do trzeciej, a więc kiedy Kivrin szła z Brasenose do kliniki, Badri rozmawiał z nim w Balliol, z Londynu zaś wrócił dopiero w południe. Wynikało z tego, że nie miał okazji, by ją zarazić.

- "Lecz anioł rzekł do nich: »Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu...«".

Miał wrażenie, że nikt go nie słucha. Kobieta, która ich uciszała, właśnie zdejmowała palto, niemal wszyscy zgromadzeni zaś wachlowali się kartkami otrzymanymi od Colina.

Myśli Dunworthy'ego wróciły do Kivrin i do ubiegłorocznego nabożeństwa. Przez cały czas, kiedy czytał Pismo Święte, klęczała na kamiennej posadzce nie spuszczać z niego wzroku, ale ona także go nie słuchała. Próbowwała sobie wyobrazić jak wyglądała Wigilia w roku 1320, kiedy Biblię czytano po łacinie, a na ołtarzu płonęły prawdziwe świece.

Ciekawe, czy wszystko jest tak jak sobie wymyśliła? Zaraz jednak przypomniał sobie, że tam, dokąd trafiła dziewczyna, do Wigilii zostały jeszcze dwa tygodnie. Jeśli dotarła tam, gdzie powinna. I jeśli nie stało się nic złego.

- "Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu" - zakończył Dunworthy, po czym wrócił na miejsce.

Imam odczytał ogłoszenia, między innymi podając godziny rozpoczęcia bożonarodzeniowych nabożeństw i modłów w świątyniach wszystkich wyznań, przekazał treść zarządzenia Ministerstwa Zdrowia dotyczącego ograniczenia kontaktów z zarażonymi osobami, następnie zaś ustąpił miejsca pastorowi, który wygłosił kazanie.

- Są tacy - zaczął, piorunując spojrzeniem kapłana Kościoła Reformowanego - którzy uważają, że choroby są karą zsyłaną przez Boga, a przecież nie wolno nam zapominać, iż Chrystus chętnie uzdrawiał chorych. Nie wątpię, że gdyby był tutaj, z radością uleczyłby tych spośród nas, którzy padli ofiarą wirusa, tak jak uzdrowił trędowatego, który...

Przez kolejne dziesięć minut pastor rozwodził się nad metodami unikania zarażenia, wyliczył najważniejsze objawy i opowiedział o zarażeniu kropelkowym.

- Pijcie dużo płynów i wypoczywajcie - zakończył z rozłożonymi ramionami, jakby udzielał błogosławieństwa - a jeśli zaobserwujecie u siebie któryś z tych objawów, bezzwłocznie wezwijcie lekarza.

Amerykanki wciągnęły rękawiczki, by akompaniować organistów przy hymnie "Chwalcie Pana zastępy anielskie". O dziwo, uważny słuchacz zdołałby chyba nawet rozpoznać melodię.

Na ambonę wspiął się ksiądz z Nawróconego Kościoła Unitarystów.

- Właśnie tej nocy, ponad dwa tysiące lat temu, Bóg przysłał na świat Syna, swe umiłowane dziecko. Czy jesteście w stanie sobie wyobrazić, jak ogromnej wymagało to miłości? Tej nocy Jezus opuścił bezpieczne domostwo w niebie, by narodzić się w świecie rojąącym się od chorób i niebezpieczeństw. Zjawił się na nim jako bezbronne dzieciątko, nieświadome istnienia diabelskich mocy ani okrutnego losu, jaki je spotka. Co mogło skłonić Boga do poświęcenia dla nas, ludzi, jedyne, ukochanego Syna? Odpowiedź brzmi następująco: miłość.

- Albo niekompetencja - mruknął Dunworthy.

Colin oderwał wzrok od gumy, której właśnie z uwagą się przyglądał, i wytrzeszczył na niego oczy.

A kiedy już Go posłał, niepokoił się o Niego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, dodał Dunworthy w myśli. Ciekawe, czy też starał się do tego nie dopuścić?

- Właśnie miłość kazała Chrystusowi zjawić się wśród nas, właśnie miłość była przyczyną, dla której zdecydował się... Nie, dla której zapragnął zamieszkać między nami!

Na pewno nic jej nie jest, myślał dalej Dunworthy. Współrzędne zostały prawidłowo obliczone. Poślizg wyniósł zaledwie cztery godziny. Nie zdążyła zarazić się grypą. Siedzi teraz cała i zdrowa w Skendgate, ustaliła datę, wie kiedy ma wracać i pewnie zapełniła już obserwacjami co najmniej połowę pamięci rejestratora.

- Przyszedł, by poprowadzić nas krętymi ścieżkami życia i ukoić nasze cierpienia...

Pastor podszedł szybkim krokiem do drugiego rzędu ławek, nachylił się nad Colinem i powiedział przyciszonym głosem:

- Właśnie dowiedziałem się, że pan Latimer jest chory. - Wręczył Dunworthy'emu wymięty skrawek papieru. - Czy zechciałby pan wygłosić tekst błogosławieństwa?

- ...jako wysłannik Boga, posłaniec miłości - zakończył ksiądz.

Dunworthy wspiął się powoli na ambonę.

- Powstańmy, aby przyjąć błogosławieństwo - zwrócił się do zgromadzonych, po czym zerknął na świstek papieru. Tekst zaczynał się od słów "O Panie, powstrzymaj swój słuszny gniew".

Zmiał kartkę w dłoni.

- Łaskawy Ojcze, miej w opiece tych, których nie ma tu z nami dzisiaj, i pozwól im bezpiecznie wrócić do domu...

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(035850-037745)

20 grudnia 1320, Jestem już prawie całkiem zdrowa. Albo wreszcie zadziałała szczepionka, albo mój wzmocniony układ odpornościowy wziął się na serio do roboty. W każdym razie mogę normalnie oddychać,

nic mnie nie boli, nie kaszlę i czuję się tak, że bez wahania wyruszyłabym na piechotę do miejsca przesko-ku... Naturalnie gdybym wiedziała, gdzie to jest.

Zagoiło się także skaleczenie na skroni. Lady Eliwys długo przyglądała mu się dziś rano, a potem poszła po lady Imeyne.

- To prawdziwy cud! - ucieszyła się, ale w oczach Imeyne dostrzegłam wyłącznie podejrzliwość. Zapewne niebawem dojdzie do wniosku, że jestem czarownicą.

Teraz, kiedy obłożna choroba minęła, widać wyraźnie, jak poważnym stałam się problemem. Poza tym, że Imeyne stara się ciągle mieć mnie na oku (przypuszczalnie dlatego, że uważa mnie za szpiega, a może podejrzewa, że będę chciała ukraść zastawę), nikt ciągle nie wie jak należy mnie traktować, ponieważ nie znają mojej pozycji społecznej.

Eliwys i beze mnie ma wystarczająco dużo problemów. Lord Guillaume ciągle nie wraca, jego najbardziej zaufany człowiek zakochał się w niej, a na dokładkę zbliżają się Święta. Co najmniej połowa mieszkańców wioski znalazła zatrudnienie we dworze w charakterze służących i kucharzy, lecz wciąż pojawiają się nowe zmartwienia w postaci braku czy też niewystarczającej ilości zapasów. Imeyne przy każdej okazji powtarza, że należy czym prędzej posłać kogoś do Oxfordu albo do Courcy, by przywiózł wszystko, czego trzeba. Do zwiększenia ogólnego rozgardiaszu walnie przyczynia się Agnes, która bez przerwy płacze się pod nogami albo niktne Maisry z oczu.

- Musisz posłać do sir Bloeta po piastunkę - stwierdziła stanowczo Imeyne, kiedy po długich poszukiwaniach znaleziono Agnes bawiącą się na stryszku w stodole. - I po cukier. Zostało go tak mało, że na pewno nie starczy do ciast.

- Mój mąż nakazał nam, byśmy...

- Ja zaopiekuję się Agnes - powiedziałam, licząc na to, że translator nie pomylił się używając terminu "piastunka", i że historycy mieli rację twierdząc, jakoby funkcję tę pełniły niekiedy kobiety wysokiego rodu. Chyba nie strzeliłam gafy, ponieważ Eliwys posłała mi spojrzenie pełne wdzięczności, Imeyne natomiast nie skrzywiła się bardziej niż zwykle. Tak więc od dzisiaj mam pod opieką Agnes, a chyba także Rosemundę, która po śniadaniu poprosiła mnie, bym pomogła jej przy wyszywaniu.

Moja nowa funkcja ma wiele zalet: mogę do woli wypytywać dziewczynki o ich ojca i życie w wiosce, mogę też bez przeszkód poruszać się po zabudowaniach, dzięki czemu, być może, uda mi się porozmawiać z Gawynem albo księdzem. Wadą jest to, że dziewczynki nie mają pojęcia o wielu sprawach, ponieważ dorośli ukrywają je przed nimi albo udzielają wymijających wyjaśnień. Raz już zdarzyło się tak, że kiedy weszłam z Agnes do głównej izby, Eliwys przerwała w pół słowa rozmowę z Imeyne, a gdy zapytałam Rosemundę, dlaczego przyjechali tu na Święta, otrzymałam następującą odpowiedź: "Bo ojciec powiedział, że w Ashencote jest najzdrowsze powietrze".

Pierwszy raz ktoś wymienił przy mnie nazwę wioski. Problem polega tylko na tym, że ani na mapach, które studiowałam, ani w "Księdze Sądu Ostatecznego" nie pojawia się żadne Ashencote. Może to być jedna z "zaginionych wiosek" - liczy sobie zaledwie około czterdziestu mieszkańców, nie sposób więc wykluczyć, że została wchłonięta przez większą osadę albo przestała istnieć, ponieważ wszyscy umarli podczas zarazy - jednak ja wciąż uważam, że to Skendgate.

Zapytałam dziewczynki, czy znają wieś o tej nazwie. Rosemunda twierdzi, że nigdy o niej nie słyszała, co naturalnie niczego nie dowodzi, bo przecież nie pochodzą z tych okolic, ale Agnes powtórzyła pytanie Maisry, ta zaś udzieliła identycznej odpowiedzi. Pierwsza pisemna wzmianka o Skendgate pojawiła się dopiero w roku 1360, a trzeba pamiętać o tym, iż wiele starych, anglosaksońskich nazw zostało wypartych przez normańskie, albo jeszcze inne, nadane przez nowych właścicieli. Gdyby tak właśnie miały się sprawy w tym przypadku, nie najlepiej wróżyłoby to Guillaume'owi D'Iverie, który wciąż nie wrócił z rozprawy do domu; chyba że trafiłam jednak do zupełnie innej wsi, co z kolei stanowi niezbyt dobrą wróżbę dla mnie.

(przerwa)

Wniosłe uczucie, jakim Gawyn bez wątpienia darzy Eliwys, bynajmniej nie przeszkadza mu dokonywać miłosnych podbojów wśród służby. Poprosiłam Agnes, by zaprowadziła mnie do stajni, ponieważ liczyłam na to, że spotkam tam Gawyna. Istotnie, zastałam go w jednym z boksów w towarzystwie Maisry; sapał głośno, Maisry zaś nie sprawiała wrażenia bardziej przestraszonej niż zwykle, a ponieważ nie trzymała się za uszy, tylko oburącz zadzierała wysoko spódnicę, starając się uchronić ją przed nadmiernym pognieceniem, wątpię, żebym stała się świadkiem gwałtu. Nie ulega jednak wątpliwości, iż nie była to także *l'amour courtois*.

Musiałam czym prędzej odwrócić uwagę Agnes i wyprowadzić ją ze stajni, powiedziałam więc, że chętnie obejrzałabym dzwonnice. Kiedy dotarliśmy do budynku, weszliśmy do środka i przez chwilę w milczeniu spoglądałyśmy na gruby sznur.

- Ojciec Roche bije w dzwony, kiedy ktoś umrze - poinformowała mnie Agnes. - Gdyby tego nie zrobił, diabeł zabrałby duszę nieboszczyka i nie mogłaby pójść do nieba.

Chyba właśnie tego rodzaju opowiadki stanowią główny powód irytacji lady Imeyne.

Agnes uparła się, by pociągnąć za sznur, ale jakoś odwidłam ją od tego zamiaru, proponując w zamian, żebyśmy poszły do kościoła i poszukały ojca Roche'a.

Nie było go tam. Mała domyśliła się, że kapłan czuwa przy chorym wieśniaku "który wciąż nie umiera, choć przecież dostał już ostatecznie namaszczenie", albo poszedł pomodlić się na osobności.

- Ojciec Roche często modli się w lesie.

Kościół jest w stylu romańskim, z wysoką nawą główną i znacznie niższymi bocznymi, o kolumnach z piaskowca i podłodze wyłożonej wielkimi kamiennymi płytami. Witraże w wąskich oknach są wykonane z tak ciemnego szkła, że prawie nie przepuszczają światła. W połowie nawy znajduje się grobowiec - kto wie, czy nie ten sam, przy którym pracowałam u panny Montoi. Na pokrywie umieszczono płaskorzeźbę przedstawiającą rycerza w półpancerzu i rękawicach, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i mieczem u boku. Inskrypcja na bocznej ścianie grobowca głosi: *Requiescat cum Sanctis tuis in aeternum*. Niech spoczywa na wieki wraz z Twymi świętymi. Napis na tamtym grobowcu także zaczynał się od słowa *Requiescat*, ale kiedy tam byłam, pozostała część inskrypcji nie została jeszcze odsłonięta.

Agnes wyjaśniła mi, że w grobie leży jej dziadek, który "dawno temu umarł na gorączkę", grobowiec jednak wygląda niemal na nowy, a tym samym bardzo różni się od tego, który oglądałam u panny Montoi. Ma wiele ozdób, których tam na pewno nie było, ale to jeszcze o niczym nie świadczy, bo mogły przecież ulec zniszczeniu.

Jeśli nie liczyć grobowca i samotnej rzeźby, wewnątrz świątyni jest zupełnie puste. Nie ma nawet ławek, ponieważ wierni stali podczas całej mszy, a zwyczaj ustawiania figur świętych i wmurowywania płyt nagrobnych rozpowszechnił się w Anglii dopiero na początku XVI wieku.

Rzeźbiona drewniana tęcza z dwunastego wieku oddziela nawę od pogrążonego w półmroku prezbiterium i ołtarza. Nad ołtarzem, po obu stronach krucyfiksu, umieszczono dwa wykonane niezbyt wprawną ręką malarstwa przedstawiające Sąd Ostateczny; jedno wyobraża zbawionych wkraczających do królestwa niebieskiego, drugie zaś grzeszników wtrącanych w czeluście piekielne, ale doprawdy trudno się domyślić, kto jest kim, ponieważ i jedni, i drudzy mają upiorne, czerwono-fioletowe twarze wykrzywione grymasem przerażenia.

Na przykrytym białym lnianym płótnem ołtarzu stoją dwa srebrne świeczniki, natomiast nieporadnie wyrzeźbiona figura, wbrew temu, co przypuszczałam, nie przedstawia Matki Boskiej, lecz św. Katarzynę z Aleksandrii. Jak niemal wszystkie przedrenesansowe rzeźby ma zbyt krótki tułów i za dużą głowę przykrytą dziwnym kanciastym czepcem, który z trudem zakrywa jej uszy. Jedną ręką tuli dziecko wielkości lalki, w drugiej trzyma koło. Na kamiennej posadzce przed figurą dostrzegłam krótką poźółkłą świecę oraz dwa oliwne kaganki.

- Lady Kivrin, ojciec Roche powiada, że jesteś świętą - powiedziała Agnes, kiedy wyszliśmy z kościoła.

Nietrudno było domyślić się źródła tego nieporozumienia. Ciekawe, czy w taki sam sposób powstała opowieść o diable na karym rumaku?

- Co prawda noszę takie samo imię jak św. Katarzyna z Aleksandrii, podobnie jak ty nazywałeś się tak samo jak św. Agnieszka, ale to jeszcze nie czyni nas świętymi - odparłam.

Dziewczynka energicznie potrząsnęła główką.

- Ojciec Roche powiada, że na krótko przed końcem świata Bóg ześle swoje anioły między grzeszników, a ty, kiedy się modlisz, mówisz językiem Boga.

Nagrywając swoje spostrzeżenia starałam się zachować maksymalną ostrożność i zawsze upewniałam się, czy nikogo nie ma w pobliżu, ale nie mam pojęcia jak postępowałam wtedy, kiedy byłam chora. Pamiętam tylko, że prosiłam go o pomoc oraz wzywałam pana, żeby mnie pan stąd zabrał. Jeśli ojciec Roche usłyszał mnie posługującą się XXI-wieczną angielszczyzną, łatwo mógł uwierzyć, że przemawiam w jakimś cudownym języku. Całe szczęście, że uznał mnie za świętą, nie za wiedźmę, ale przecież przy moim łóżku siedziała także lady Imeyne... Muszę zachować większą ostrożność.

(przerwa)

Zajrzałam ponownie do stajni (upewniwszy się wcześniej, że Maisry wróciła już do kuchni), ale nie było tam ani Gawyna, ani Gringoleta. Znalazłam natomiast moje kufry i szczątki wozu. Gawyn musiał co najmniej kilka razy obrócić tam i z powrotem, żeby przywieźć wszystko z lasu. Wśród bagaży nie ma szkatułki. Mam nadzieję, że jej nie znalazł, i że wciąż czeka na mnie przy drodze, tam gdzie ją zostawiłam. Jeśli tak jest, to zapewne całkowicie znikła pod śniegiem, ale dzisiaj wyjrzało słońce i śnieg powoli zaczął się topić.

Objawy zapalenia płuc ustąpiły tak szybko, że Kivrin uznała, iż stało się coś, co nagle uaktywniło system odpornościowy jej organizmu. Także po bólach w klatce piersiowej nie zostało nawet wspomnienie, a rana na skroni zagoiła się prawie bez śladu.

Lady Imeyne przyjrzała się podejrzliwie bliźnie, jakby chciała się upewnić, że nie ma do czynienia z oszustwem. Całe szczęście, że skaleczenie było prawdziwe! - pomyślała z ulgą dziewczyna.

- Podziękujmy Panu, że zechciał uleczyć was w ten święty dzień - powiedziała wreszcie Imeyne z kwaśną miną, po czym uklękła przy łóżku. Właśnie wróciła z kościoła, więc miała przy sobie swój srebrny relikwiarz. Ukryła go między złączonymi dłońmi, podniosła je do ust (zupełnie jak rejestrator, przemknęło Kivrin przez głowę), odmówiła "Ojcze nasz", a następnie podniosła się z klęczek.

- Żałuję, że nie mogłam pójść z wami na mszę - powiedziała Kivrin.

Imeyne skrzywiła się jeszcze bardziej niż zwykle.

- Wydawało mi się, że jesteście zbyt chorzy - odparła, wyraźnie akcentując pierwsze słowo - a poza tym, msza była do niczego.

Zaczęła z satysfakcją wyliczać uchybienia ojca Roche'a: przeczytał ewangelię przed Kyrie, miał komżę poplamioną woskiem, pominął spory fragment wyznania wiary... Każde przewinienie kapłana wprawiało ją w coraz lepszy nastrój, tak że kiedy skończyła, poklepała dziewczynę po ręce i powiedziała niemal przyjaznym tonem:

- Zostańcie w łóżku jeszcze jeden dzień, żeby całkiem wrócić do zdrowia.

Kivrin zastosowała się do tej rady, wykorzystując czas na dyktowanie spostrzeżeń dotyczących dworu i wioski, a także ludzi, których spotkała. Rządca - ciemnowłosa, krzepki mężczyzna z taką miną, jakby nie najlepiej czuł się w odświętnym stroju przepasanym przeładowanym ozdobami srebrnym pasem - przyniósł kolejną miskę cierpkiego naparu pomysłu swojej żony, jakiś chłopiec zaś, mniej więcej w wieku Rosemundy, przybiegł zawiadomić Eliwys, że klacz okulała na prawą przednią nogę, ale ksiądz nie pokazał się nawet na chwilę.

- Poszedł z olejami do chorego - powiedziała Agnes. Mała stanowiła niewyczerpane źródło informacji, chętnie odpowiadając na pytania Kivrin (niezależnie od tego, czy wiedziała coś na dany temat) oraz opowiadając z własnej inicjatywy o wsi i jej mieszkańcach. Rosemunda była znacznie spokojniejsza, a w dodatku zależało jej na tym, by wydawać się jak najbardziej dorosłą.

- Agnes, zachowujesz się jak dziecko - karciała od czasu do czasu siostrę. - Powinnaś zwracać uwagę na to, co mówisz.

Na szczęście młodsza dziewczynka puszczała te napomnienia mimo uszu. Bez żadnych oporów Rosemunda rozmawiała tylko o braciach i ojcu, który "obiecał, że na pewno wróci do nas na Święta". Nie ulegało wątpliwości, iż ogromnie go kocha i bardzo za nim tęskni.

- Szkoda, że nie jestem chłopcem - westchnęła, kiedy Agnes pokazywała Kivrin srebrny pieniążek otrzymany od sir Bloeta. - Mogłabym wtedy zostać z ojcem w Bath.

Dzięki informacjom uzyskanym od podopiecznych, a także podsłuchanym fragmentom rozmów Imeyne i Eliwys, Kivrin zdołała wyrobić sobie dość szczegółowe wyobrażenie na temat wioski. Była ona z pewnością mniejsza, niż wynikało z prognoz sekcji prawdopodobieństwa dotyczących Skendgate, bardzo mała nawet jak na tę epokę. Zamieszkiwało ją nie więcej niż czterdzieści osób, wliczając w to rodziny lorda Guillaume'a i rządcy. Ten ostatni miał w sumie sześcioro dzieci.

We wsi żyło dwóch pasterzy oraz kilkunastu rolników, ale i tak była to najędźniejsza z włości Guillaume'a, o czym wciąż przypominała Imeyne, narzekając na los, który kazał im akurat tutaj spędzić Boże Narodzenie. Rodzina rządcy radziła sobie najlepiej ze wszystkich, rodzina Maisry zaś zdecydowanie najgorzej. Kivrin rejestrowała wszystko, czego zdołała się dowiedzieć, przy każdej nadarzającej się okazji składając ręce jak do modlitwy i szepcząc w nie z pochyloną głową.

Śnieg, który zaczął padać w nocy, sypał aż do następnego popołudnia, tego dnia natomiast, kiedy Kivrin na dobre wstała z łóżka, rozpadał się deszcz. Dziewczyna liczyła na to, że deszcz przynajmniej częściowo rozpuści warstwę śniegu, lecz on po zetknięciu z białym puchem natychmiast zamarzał, tworząc na jego powierzchni twardą lodową skorupę.

Coraz bardziej realne stawało się niebezpieczeństwo, że teraz, kiedy Gawyn zabrał z miejsca przeskoku resztki wozu i kufry, nie uda jej się tam trafić. Powinna jak najprędzej poprosić go, by ją tam zaprowadził, lecz łatwiej było tak pomyśleć niż to zrobić. Zjawiał się w domu tylko na posiłki albo żeby zapytać o coś Eliwys, a wtedy gdzieś w pobliżu zawsze była lady Imeyne, czujna niczym jastrzęb, więc Kivrin bała się go zagadnąć.

Zaczęła zabierać dziewczynki na krótkie wycieczki po okolicy - dokoła dziedzińca albo do wioski - w nadziei, że przypadkowo spotka Gawyna poza zasięgiem wzroku Imeyne, lecz nie było go ani w stajni, ani w stodole. Zniknął także Gringolet. Kivrin podejrzewała, że wbrew zakazowi Eliwys Gawyn wyruszył w pościg za domniemanymi zbrojcami, ale Rosemunda wyjaśniła, iż pojechał na polowanie.

- Ubije jelenia na Święta! - zawołała Agnes, podskakując radośnie.

Nikogo nie obchodziło dokąd zabiera dziewczynki ani kiedy z nimi wraca. Lady Eliwys skinęła z roztargnieniem głową, kiedy Kivrin zapytała, czy mogą pójść do stajni, lady Imeyne zaś nawet się nie pofatygowała, by przypomnieć Agnes o zapięciu płaszczyka albo o założeniu rękawic. Zupełnie jakby obie kobiety uznały, że od chwili, kiedy Kivrin przejęła opiekę nad dziećmi, nie muszą zwracać sobie nimi głowy.

Mnóstwo uwagi i energii poświęcały natomiast przygotowaniom do Bożego Narodzenia. Eliwys zagoniła do pracy w kuchni wszystkie dziewczęta i stare kobiety ze wsi. Zabito obie świny oraz co najmniej połowę gołębi. Na dziedzińcu było mnóstwo piór, w powietrzu zaś unosił się intensywny zapach pieczonego chleba.

W XIV wieku Boże Narodzenie stanowiło okazję dla trwających dwa tygodnie uczt, zabaw i turniejów, ale, zważywszy na okoliczności, Kivrin nieco dziwił rozmach prowadzonych przygotowań. Widocznie Eliwys była pewna, że jej mąż dotrzyma słowa i wróci na Święta do domu.

Imeyne kierowała sprzątaniami głównej izby, bez przerwy narzekając na trudne warunki oraz brak wykwalifikowanej pomocy. Z samego rana poleciła rządcy, by z jeszcze jednym mężczyzną zdjął ze ścian ciężkie blaty i poustawiał je na kozłach, potem zaś zagoniła Maisry i jakąś kobietę z wyraźnymi bliznami po skrofulach na szyi, do czyszczenia stołów piaskiem i szczotkami.

- Nie ma lawendy - poinformowała synową. - I brakuje nowych mat na podłogę.

- Będziemy musiały zadowolnić się tym, co mamy - odparła Eliwys.

- Skoro o tym mowa, to nie ma też cukru i cynamonu. W Courcy z pewnością jest wszystkiego pod dostatkiem. Przyjęliby nas z otwartymi ramionami.

Kivrin przysłuchiwała się w milczeniu, zawiązując sznurowadła Agnes, ponieważ obiecała jej, że pójdą do stajni odwiedzić kucyka. Na wzmiankę o ewentualnych przenosinach do Courcy spojrzała z niepokojem na Eliwys.

- To tylko pół dnia drogi stąd - ciągnęła lady Imeyne. - Kapelan lady Yvolde odprawi mszę, a potem...

- Mój kucyk nazywa się Saracen - powiedziała Agnes, zagłuszając słowa babki.

- Mhm - mruknęła Kivrin, wytyżając słuch, by nic nie stracić z rozmowy.

W Boże Narodzenie szlacheckie rodziny często odwiedzały sąsiadów. Powinna o tym pamiętać. Zabierano ze sobą sprzęty, żywność i służbę, i niekiedy wracano dopiero po kilku tygodniach, a na pewno nie wcześniej niż na Trzech Króli. Gdyby wyprawa do Courcy doszła do skutku, powrót nastąpiłby długo po ustalonej dacie ponownego otwarcia sieci.

- Ojciec tak go nazwał, bo podobno ma serce dzikusa - dodała dziewczynka.

- Sir Bloet będzie miał nam za złe, jeśli się dowie, że byliśmy tak blisko i nie złożyliśmy mu wizyty - mówiła dalej lady Imeyne. - Gotów sobie pomyśleć, że zerwaliśmy zaręczyny.

- Nie możemy pojechać do Courcy - odezwała się niespodziewanie Rosemunda, wstając z ławy, na której siedziała do tej pory, zajęta szyciem. - Mój ojciec dał słowo, że wróci na Święta. Będzie niezadowolony, jeśli nie zastanie nas w domu.

Imeyne odwróciła się gwałtownie w stronę dziewczynki i spiorunowała ją wzrokiem.

- Będzie jeszcze bardziej niezadowolony, kiedy dowie się, że jego córki zabierają głos bez pozwolenia i wtrącają się w sprawy, o których nie mają pojęcia! - Przeniosła spojrzenie na Eliwys. - Mój syn z pewnością domyśli się, że powinien szukać nas w Courcy.

Eliwys sprawiała wrażenie jeszcze bardziej strapionej niż zazwyczaj.

- Mój mąż przykazał nam czekać tu jego powrotu - powiedziała. - Sprawimy mu radość, postępując zgodnie z jego życzeniem.

Podeszła do paleniska i podniosła z podłogi robótkę Rosemundy, dając w ten sposób do zrozumienia, że uważa dyskusję za zakończoną.

Nie na długo, pomyślała Kivrin, obserwując lady Imeyne. Stara kobieta zacisnęła wargi, po czym gniewnym gestem wskazała jakąś nie istniejącą płamę na stole; kobieta z bliznami po skrofulach natychmiast zaczęła czyścić to miejsce.

Imeyne nie podda się bez walki. Wkrótce z pewnością wróci do sprawy, przedstawiając kolejne argumenty przemawiające za tym, by przenieść się na Święta do siedziby sir Bloeta, który ma pod dostatkiem cukru, słomianych mat i cynamonu, ma także księdza zdolnego bezbłędnie odprawić mszę w dzień Bożego Narodzenia. Lady Imeyne była zdecydowana uczynić wszystko, byle tylko nie uczestniczyć w mszy odprawianej przez ojca Roche'a. Jednocześnie nie ulegało wątpliwości, iż niepokój Eliwys z każdym dniem przybiera na sile. Kto wie, czy jednak nie zdecyduje się pojechać do Courcy albo nawet do Bath. Kivrin powinna jak najprędzej odszukać miejsce przeskoku.

Zawiązała pod brodą Agnes tasiemki czepka i naciągnęła jej kaptur na głowę.

- W Bath codziennie jeździłam na Saracenie - powiedziała dziewczynka. - Chciałabym znowu na nim pojeździć. Zabrałabym ze sobą psa.

- Psy nie jeżdżą na koniach, tylko biegną za nimi - odparła z wyższością Rosemunda.

Agnes potrząsnęła główką.

- Blackie jest za mały, żeby biegać.

- Dlaczego tutaj nie możecie jeździć konno? - zapytała Kivrin.

- Bo nie ma nam kto towarzyszyć - wyjaśniła Rosemunda. - W Bath zawsze była przy nas nasza opiekunka i jeden z ludzi ojca.

Jeden z ludzi ojca... Tutaj mógłby to być tylko Gawyn! Przy okazji nie tylko zapytałaby go, gdzie jest miejsce, w którym ją znalazł, ale nawet poprosiłaby, żeby ją tam zaprowadził. Rankiem widziała go na dziedzińcu (dlatego właśnie zaproponowała dziewczynkom pójście do stajni), ale wspólna wyprawa do lasu byłaby znacznie lepsza od rozmowy w jakimś zakamarku dziedzińca.

Imeyne wróciła do swego ulubionego tematu szybciej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

- Jeśli mamy tu zostać, będziemy potrzebować dziczyzny do świątecznego pasztetu.

Eliwys odłożyła robótkę na ławę.

- Poproszę rządcę, by wziął najstarszego syna i poszedł na polowanie.

- Wobec tego, kto nazbiera bluszczu i jemioli?

- Ojciec Roche mówił, że wybiera się po nie do lasu.

- Ojciec Roche będzie zbierał jemiolę do kościoła - odparła lady Imeyne. - Czyżbyś nie chciała powiesić jej w izbie?

- My możemy ją przynieść - odezwała się Kivrin.

Obie kobiety spojrzały na nią ze zdziwieniem, ona zaś natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd. Tak bardzo pragnęła spotkać się sam na sam z Gawynem, iż zapomniała o ostrożności i zabrała głos nie pytana, wtykając nos w nie swoje sprawy. Teraz lady Imeyne będzie jeszcze usilniej nalegać, by przenieść się do Courcy i poszukać tam odpowiedniej opiekunki dla dziewcząt.

- Proszę o wybaczenie, jeśli uchybiłam dobrym manierom - powiedziała, chyląc pokornie głowę. - Wiem jednak, jak wiele jest do zrobienia i że brakuje rąk do pracy. Mogłabym pojechać z dziewczynkami do lasu i narwać tyle jemioli, ile będzie trzeba.

- Właśnie! - zawtórowała jej Agnes z entuzjazmem. - Pojadę na Saracenie!

Eliwys otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale ubiegła ją Imeyne.

- Czyżbyście już wyzbyły się lęku, mimo że wasze rany dopiero zdążyły się zagoić?

Kolejny błąd. Przecież została napadnięta przez zbójców i porzucona na pastwę losu w środku lasu, a teraz jakby nigdy nic zamierza tam wrócić, w dodatku w towarzystwie dzieci!

- Nawet przez myśl mi nie przeszło, żebyśmy miały pojechać tam same - odparła, modląc się w duchu, by nie pogorszyć sytuacji. - Agnes opowiadała mi, że zazwyczaj w przejażdżkach towarzyszył jej któryś z ludzi waszego męża...

- Tak! - pisnęła dziewczynka. - Weźmiemy Gawyna, no i Blackiego!

- Gawyn wyjechał - oświadczyła lakonicznie lady Imeyne, po czym skoncentrowała uwagę na poczynaniach kobiety zajętej szorowaniem stołu.

W izbie zapadła cisza.

- Dokąd? - zapytała Eliwys po dłuższej chwili. Sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej, ale na jej policzki wystąpiły intensywne rumieńce.

Imeyne wyrwała szmatę z rąk Maisry i zaczęła wycierać blat.

- Wysłałam go w pewnej sprawie.

- Wysłałyście go do Courcy - stwierdziła Eliwys.

Imeyne przestała zajmować się stołem i odwróciła się do synowej.

- Nie wypada, żebyśmy nawet nie przesłali mu życzeń. Powie później, żeśmy odprawili go z kwitkiem, a w tych ciężkich czasach nie możemy sobie pozwolić na to, by skierował się przeciw nam gniew człowieka tak potężnego i wpływowego jak...

- Mój mąż nakazał nam, byśmy nigdzie się stąd nie ruszały - przerwała jej Eliwys.

- Mój syn z pewnością nie życzyłby sobie, żebyśmy uraziły sir Bloeta, tym bardziej iż jego przyjaźń już wkrótce może okazać się niezwykle przydatna.

- Co Gawyn ma powiedzieć w Courcy?

- Poleciłam mu, by przekazał sir Bloetowi i jego rodzinie serdeczne pozdrowienia - odparła Imeyne, gniotąc w rękach szmatę. - Kazałam mu powiedzieć, że chętnie będziemy gościć ich podczas Świąt. - Uniosła hardo głowę. - Uważam, że należało to uczynić, skoro nasze rodziny mają wkrótce stać się sobie tak bliskie. Przywiozą zapasy, służbę...

- I kapelana lady Yvolde, żeby odprawił mszę? - zapytała Eliwys lodowatym tonem.

Rosemunda ponownie podniosła się z miejsca, tym razem znacznie szybciej niż poprzednio.

- Przyjadą tutaj? - zapytała z niedowierzaniem.

Matka i babka przez chwilę spoglądały na nią bez słowa, jakby dopiero teraz przypomniały sobie, że w izbie jest ktoś oprócz nich, po czym Eliwys przeniosła wzrok na Kivrin.

- Lady Katherine - powiedziała, zadając sobie sporo trudu, by nie okazać uczuć kipiących w jej wnętrzu. - Zdaje się, że zamierzaliście zabrać dziewczynki do lasu?

- Nie możemy pojechać bez Gawyna - przypomniała Agnes matce.

- W takim razie będzie wam towarzyszył ojciec Roche.

- Jak sobie życzycie, pani - odparła Kivrin i wzięła Agnes za rękę, by wyprowadzić ją z izby.

- Przyjadą tutaj? - zapytała powtórnie Rosemunda. Na jej policzkach wykwitły takie same rumieńce jak na twarzy matki.

- Nie wiem - powiedziała Eliwys. - Idź teraz z siostrą i lady Katherine.

- Pojadę na Saracenie! - wykrzyknęła radośnie Agnes, wyrwała się Kivrin i wybiegła na dwór.

Rosemunda otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie i bez słowa poszła po płaszcz, który zostawiła w wąskim przejściu między przepierzeniami.

- Maisry, zostaw już ten stół! - syknęła lady Eliwys. - Przynies solniczkę i srebrną tacę ze skrzyni na strychu.

Tym razem służąca nie zwlekała z wykonaniem polecenia i bezzwłocznie skierowała się ku schodom, kobieta z bliźniami na szyi uznała zaś, że nic tu po niej, i chyłkiem wymknęła się z izby. Kivrin pospiesznie założyła płaszcz, lękając się, że lady Imeyne rzuci jeszcze jakąś uwagę na jej temat, ale żadna z kobiet nie odezwała się ani słowem. Stały bez ruchu jak posągi, najwyraźniej czekając aż Rosemunda i Kivrin wyjdą z pomieszczenia.

Zza przepierzenia wyłoniła się starsza córka Eliwys.

- Czy...

Nie dokończyła pytania, odwróciła się na pięcie, a następnie wybiegła na dwór.

Kivrin szybko ruszyła za dziewczynkami. Co prawda nie mogła liczyć na spotkanie z Gawynem, ale za to uzyskała zgodę na wyprawę do lasu, w dodatku w towarzystwie księdza, który, jeśli wierzyć Rosemundzie, spotkał Gawyna na drodze, kiedy ten wioził do dworu ofiarę rzekomego napadu. Kto wie, może ojciec Roche był też na polanie?

Popędziła co sił w nogach ku stajni, bojąc się, iż w ostatniej chwili Eliwys wychyli się z sieni i zawoła, że zmieniła zdanie, bo lady Katherine jeszcze nie odzyskała w pełni sił, w lesie zaś czyha zbyt wiele niebezpieczeństw.

Dziewczynki obawiały się chyba tego samego, ponieważ Agnes siedziała już na grzbiecie kucyka, Rosemunda zaś pospiesznie siodłała klacz. Kucyk okazał się krzepkim gniadoszem niewiele mniejszym od klaczy. Dosiadająca go Agnes wydawała się karykaturalnie mała. Chłopak, który doniósł Eliwys o kłopotach zdrowotnych klaczy, trzymał Saracena za uzdę.

- Nie gap się, Cob, tylko siodłaj deresza dla lady Katherine! - krzyknęła na niego Rosemunda.

Posłusznie puścił cugle, Agnes zaś wychyliła się daleko w przód i chwyciła je prawą ręką.

- Nie klacz matki, głuptasie, tylko deresza!

- Pojedziemy do kościoła, Saracenu, powiemy ojcu Roche, że jedzie z nami do lasu, a potem będziemy galopować. Saraceni bardzo lubi galopować - dodała wyjaśniającym tonem, a następnie ponownie wychyliła się daleko w przód, by pogłaskać konia po grzywie. Niewiele brakowało a Kivrin skoczyłaby jej na ratunek.

Wyglądało na to, że Agnes doskonale da sobie radę (ani stajenny, ani Rosemunda nie zwracali na nią najmniejszej uwagi), ale na grzbiecie "kucyka" wydawała się taka mała, a w dodatku można było przyjąć za pewnik, iż tak jak nie potrafi spokojnie chodzić, tak samo nie będzie spokojnie jeździć.

Cob osiodłał deresza i wyprowadził go z boksu.

- Cob! - krzyknęła ostro Rosemunda.

Chłopak ocknął się, podszedł do niej, pochylił się i podsunął splecione dłonie, Rosemunda zaś postawiła na nich stopę i wspięła się na grzbiet wierzchowca.

- Nie stój i nie gap się jak głupek, tylko pomóż lady Katherine!

Pospieszył wykonać polecenie. Co jej się stało? - zastanawiała się Kivrin. Rosemunda wydawała się zupełnie wytrącona z równowagi wiadomością, że Gawyn pojechał do Courcy z zaproszeniem dla sir Bloeta. Co prawda chyba nie wiedziała nic o rozprawie, w której miał uczestniczyć jej ojciec, ale może dotarły do niej jakieś inne, niedobre wieści?

"Człowiek tak potężny i wpływowy jak sir Bloet" - powiedziała Imeyne. "Jego przyjaźń już wkrótce może okazać się niezwykle przydatna". Czyżby lady Imeyne, wbrew pozorom, chodziło nie tylko o zaspokojenie własnych zachcianek? Być może lordowi Guillaume'owi groziło większe niebezpieczeństwo niż przypuszczała Eliwys, wzburzenie Rosemundy wzięło się zaś stąd, iż ona także zdawała sobie z tego sprawę?

- Cob! - parsknęła dziewczynka, mimo że chłopak nie był winien temu, iż Kivrin ociąga się z zajęciem miejsca w siodle. - Przez twoje guzdraństwo możemy nie zdążyć do ojca Roche'a!

Kivrin uśmiechnęła się pocieszająco do Coba i wsparła się na jego ramieniu. Jazda konna była pierwszą umiejętnością, jaką kazał jej posiąść pan Dunworthy. Podczas lekcji radziła sobie całkiem nieźle. Na szczęście damskie siodło weszło do użytku dopiero około roku 1390, to zaś, w którym teraz miała usiąść, było nawet głębsze i bezpieczniejsze od tego, z jakim miała do czynienia w szkółce jeździeckiej.

Ale to raczej ja spadnę z konia, nie Agnes, pomyślała, z zazdrością obserwując dziewczynkę. Mała sprawiała wrażenie, jakby była przyklejona do siodła. Czuła się tak pewnie, że nie zważając na nic odwróciła się i szukała czegoś w sakwach.

- Ruszajmy! - zawołała niecierpliwie Rosemunda.

- Sir Bloet obiecał mi, że przywiezie srebrny łańcuszek dla Saracena - oznajmiła Agnes, wciąż grzebiąc w sakwie.

- Agnes! Przestań wreszcie marudzić i ruszaj!

- Powiedział, że da mi go, jak przyjedzie na Wielkanoc.

- Agnes! - krzyknęła Rosemunda co sił w płucach. - Ruszaj! Lada chwila zacznie padać!

- Na pewno nie - odparła dziewczynka, wzruszając lekceważąco ramionami. - Sir Bloet...

Jej siostrę ogarnęła wściekłość.

- Co, może myślisz, że potrafisz zaklinać pogodę? Smarkula! Wstrętna, głupia smarkula!

- Rosemundo! - zareagowała natychmiast Kivrin. - Nie wolno mówić w ten sposób! - Podeszła do klaczy i chwyciła zwisające cugle. - O co chodzi, Rosemundo? Czy coś cię trapi?

Dziewczyna wyrwała jej wodze z ręki.

- Tylko to, że tracimy czas przez jej głupią paplaninę!

Kivrin cofnęła się, zaskoczona, i przy pomocy Coba wspięła się na deresza. Co jej się mogło stać? Rosemunda nigdy nie zachowywała się w taki sposób.

Minęły opustoszałe chlewiki i wyjechały na przykryte śniegiem błonie. Na niebie wisiały nieruchomo ciężkie ołowiane chmury. Rosemunda miała rację twierdząc, że może zacząć padać; powietrze było nie tylko zimne, ale i wilgotne. Kivrin zmusiła wierzchowca, aby przyspieszył kroku.

Mieszkańcy wsi także szykowali się do Świąt. Niemał nad każdą chatą unosił się dym, na przeciwnym skraju łąki zaś dwaj mężczyźni rąbali drewno, rzucając je na szybko rosnący stos. Obok domu rządcy nad ogniskiem obracał się powoli na rożnie wielki, poczerniały kawał mięsa - przypuszczalnie koza albo owca. Przed wejściem do domu żona rządcy doiła kościstą krowę, z którą Kivrin zawarła znajomość tego dnia, kiedy próbowała wyruszyć na poszukiwanie miejsca przeskoku. Jedną z gorących dyskusji, jakich wiele prowadziła z panem Dunworthym, dotyczyła zagadnienia, czy powinna nauczyć się doić krowy. Kivrin twierdziła, iż nie ma to najmniejszego sensu, ponieważ w XIV wieku zimą w ogóle zaprzestawano dojenia poczciwych krasul, zadowolając się kozim mlekiem i serem. Była także przekonana, iż kóz nie traktowano jak zwierzęta rzeźne.

- Agnes! - wykrzyknęła Rosemunda ze złością.

Kivrin obejrzała się i zobaczyła, że młodsza dziewczynka zatrzymała konika, odwróciła się w siodle i znowu zawzięcie grzebie w sakwie. Co prawda natychmiast pogoniła wierzchowca, ale cierpliwość Rosemundy już się wyczerpała.

- Nie będę na ciebie czekała, ty niedorajdo!

Ruszyła kłusem, wznecając popłoch wśród kur i niewiele brakowało, by przewróciła bosonogą dziewczynkę niosącą naręczę chrustu.

- Rosemundo! - zawołała Kivrin, lecz tamta była już za daleko, żeby ją usłyszeć.

- Czy twoja siostra jest taka zła, bo nie w smak jej, że jedziemy do lasu po jemiolę? - zapytała młodszą dziewczynkę, doskonale wiedząc, iż prawdziwy powód naglej zmiany nastroju Rosemundy jest zupełnie inny, ale liczyła na to, że Agnes dostarczy jej dodatkowych informacji.

- Ona często ma muchy w nosie - odparła Agnes. - Dostanie burę od babki za to, że nie potrafi się zachować.

Ona sama była w tej chwili wzorem dobrych manier, siedząc wyprostowana na idącym stępą koniu i łaskawie uśmiechając się do wieśniaków.

Mała dziewczynka, która cudem uniknęła stratowania przez klacz Rosemundy, wpatrywała się w nie z szeroko otwartymi ustami, żona rządcy oderwała się na chwilę od dojenia i pomachała im ręką, natomiast mężczyźni rąbiący drewno skłonili się w pas.

Wkrótce potem przejechały obok szopy, w której Kivrin znalazła schronienie. Wtedy, gdy tam siedziała, nie wiedząc, czy znajdzie dość sił, by wrócić do dworu, Gawyn wioził z lasu resztki jej dobytku.

- Czy ojciec Roche był z wami, kiedy wszyscy poszliście po wigilijne polano?

- Tak - odparła Agnes. - Przecież musiał je pobłogosławić.

- Aha... - mruknęła z rozczarowaniem Kivrin. Po cichu liczyła na to, że ksiądz towarzyszył Gawynowi w wyprawie po jej rzeczy. - A czy ktoś pomagał Gawynowi przewieźć z lasu moje kufry?

- Nie. - Zabrzmiało to jednak mało przekonująco. Możliwe, że dziewczynka nic nie wiedziała na ten temat, ale nie chciała się do tego przyznać. - Gawyn jest bardzo silny. Kiedyś sam jeden rozprawił się z czterema wilkami.

Było to mało prawdopodobne, lecz to samo dałoby się powiedzieć o uratowaniu tajemniczej niewiasty, leżącej bez przytomności obok roztrzaskanego wozu, który nie wiadomo jakim cudem znalazł się na polanie w środku lasu, kilkadziesiąt kroków od drogi. Poza tym, nie ulegało wątpliwości, iż Gawyn był gotów uczynić wszystko, żeby tylko zyskać przychylność Eliwys - nawet gdyby musiał na własnym grzbiecie przytaszczyć resztki porzuconego w lesie wozu.

- Ojciec Roche też jest bardzo silny - oświadczyła Agnes.

- Niewiele nam z tego przyjdzie - zauważyła ponuro Rosemunda. Zdążyła już zsiąść z konia i uwiązać go do cmentarnej bramy. - Nigdzie go nie ma - dodała, stojąc z rękami opartymi na biodrach.

- Sprawdziłaś w kościele? - zapytała Kivrin.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Nie. Robi się zimno. Ojciec Roche na pewno wyruszył już do lasu, nie czekając aż znowu zacznie sypać.

- Mimo wszystko uważam, że trzeba zajrzeć do kościoła. - Kivrin zeskoczyła z grzbietu deresza i wyciągnęła ręce. - Chodź, Agnes.

- Nie! - odparła stanowczo mała, a następnie poklepała konika po karku. - Zostanę tu z Saracenenem.

Wyglądało na to, że uporem dorównuje siostrze.

- Nic mu nie będzie - zapewniła ją Kivrin i zsadziła dziewczynkę z konia. - Chodź, poszukamy w kościele.

Otworzyła bramę wiodącą na cmentarz.

Agnes nie protestowała, ale co chwila oglądała się z niepokojem przez ramię.

- Saraceni nie lubi zostawać sam...

Rosemunda zatrzymała się raptownie.

- Co tam ukrywasz, nieznośny bachorze? Może ukradłaś jabłka i poupychałaś je w sakwach?

- Nie! - wykrzyknęła z przerażeniem młodsza dziewczynka, ale Rosemunda już zmierzała szybkim krokiem w stronę koni. - Zostaw go! To nie twój kucyk, tylko mój!

Przynajmniej nie musimy już szukać księdza, pomyślała Kivrin. Jeśli gdzieś tu jest, z pewnością wyjdzie sprawdzić, co to za hałas.

Rosemunda rozpięła sakwę, wsadziła do środka rękę i wydobyła wymachującego bezradnie łapami Blackiego.

- Patrzcie, co znalazłam!

- Och, Agnes... - westchnęła Kivrin.

- Jesteś głupia i nieznośna - oświadczyła Rosemunda. - Zaraz pójde utopić go w rzece.

Udała, że rusza w tamtym kierunku.

- Nie! - wrzasnęła histerycznie Agnes i podbiegła do siostry, ale ta, znacznie od niej wyższa, trzymała pieska poza zasięgiem jej wyciągniętych rąk.

Kivrin uznała, że najwyższa pora wkroczyć do akcji. Zdecydowanym krokiem podszła do Rosemundy, odebrała jej szczeniaka, po czym zwróciła się do młodszej dziewczynki:

- Uspokój się, Agnes. Twoja siostra tylko żartowała. Na pewno nie zrobi mu krzywdy. - Psiak wił się w jej objęciach, usiłując polizać ją w policzek. - Psy nie zostały stworzone po to, by jeździć konno. Blackie uduśliłby się w sakwie.

- Mogę trzymać go na ręku - odparła Agnes, jednak bez większej nadziei w głosie. - On bardzo prosił, żebym zabrała go ze sobą...

- Więc już odbył przejażdżkę do kościoła, a zaraz czeka go druga, z powrotem do stajni. Rosemundo, odwieź pieska. - Szczeniak tym razem postanowił odgryźć jej ucho. Oddała Blackiego Rosemundzie, która bez ceregieli chwyciła go za skórę na karku. - To jeszcze mały dzidzius - dodała Kivrin wyjaśniającym tonem. - Musi jak najprędzej wrócić do mamy i położyć się spać.

- Ty też jesteś mały dzidzius, Agnes! - wysyczała Rosemunda z taką wściekłością, że Kivrin ogarnęły wątpliwości, czy słusznie postąpiła oddając jej szczeniaka. - Kto słyszał, żeby wozić psa na koniu! Teraz stracimy jeszcze więcej czasu, żeby odwieźć go z powrotem. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie dorosnę i nie będę musiała zadawać się z głupimi dzieciakami!

Jednak kiedy tylko wspięła się na grzbiet klaczy, natychmiast otuliła pieska skrajem płaszcza i czule przygarnęła go do piersi, po czym ujęła wodze wolną ręką i skierowała konia w stronę zabudowań.

- Ojciec Roche już dawno sobie poszedł!

Odjechała galopem.

Kivrin obawiała się, że Rosemunda ma rację. Wrzawa, którą uczyniły, była wystarczająco duża, by obudzić zmarłych śpiących wiecznym snem na cmentarzu, a jednak nikt nie wyszedł z kościoła, by sprawdzić, co jest powodem zamieszania. Przypuszczalnie kapłan wyruszył do lasu na długo przed ich przybyciem, jednak na wszelki wypadek wzięła Agnes za rękę i razem skierowały się w stronę świątyni.

- Rosemunda jest niedobra! - stwierdziła dziewczynka obrażonym tonem.

Akurat w tej chwili Kivrin była gotowa przyznać jej rację, zdawała sobie jednak sprawę, iż postąpiłaby niesprawiedliwie. Mimo to nie czuła się na siłach, by wystąpić w obronie Rosemundy.

- A ja wcale nie jestem dzidziusiem! - dodała Agnes, spoglądając na nią z oczekiwaniem, lecz Kivrin i tym razem zachowała dyplomatyczne milczenie.

Dotarły do ciężkich dębowych drzwi. Kivrin otworzyła je nie bez wysiłku, po czym obie zajrzały do środka.

Było pusto. Co prawda panował tam głęboki półmrok, ponieważ przyćmione światło pochmurnego dnia z trudem przeciskało się przez ciemne witrażowe szyby, ale i tak nie ulegało wątpliwości, iż w kościele nie ma żywego ducha.

- Może jest w prezbiterium?

Agnes wślizgnęła się do mrocznej nawy, przyklękła, przeżegnała się pospiesznie, a następnie obejrzała się i posłała Kivrin zniecierpliwione spojrzenie, jakby dziwiła się, na co ta jeszcze czeka.

Ojca Roche'a nie było także w prezbiterium. Nawet stojąc przy samym wejściu Kivrin mogła dotrzeć, że na ołtarzu nie płoną świece, lecz wyglądało na to, iż Agnes nie zrezygnuje z poszukiwań dopóty, dopóki nie zajrzą we wszystkie zakamarki. Kivrin przyklękła obok dziewczynki, potem zaś wzięła ją za rękę i razem podeszły do drewnianej tarczy oddzielającej prezbiterium od nawy. Także świece ustawione przed figurą św. Katarzyny były zgaszone, ale w powietrzu unosił się jeszcze ostry zapach dymu. Ciekawe, czy ojciec Roche nie zapomniał, że należy gasić je palcami, a nie dmuchać, pomyślała. Nie ulegało wątpliwości, iż gasił świece zawsze, kiedy wychodził z kościoła; pożar byłby niezmiernie groźny nawet dla kamiennej budowli, lichтары zaś nie miały miseczek, w których ogarki mogłyby się bezpiecznie dopalić do samego końca.

Agnes podeszła do tarczy, przycisnęła twarz do drewnianych, rzeźbionych prętów, po czym zawołała półgłosem:

- Ojciec Roche!

Nasłuchiwała przez chwilę, potem zaś odwróciła się i oznajmiła:

- Nie ma go tu, lady Kivrin. Sprawdźmy w domu.

Nie czekając na reakcję opiekunki wybiegła bocznymi drzwiami, Kivrin zaś nie pozostało nic innego, jak podążyć za dziewczynką. Kiedy wyszła na zewnątrz, Agnes stała już przed drzwiami najbliższej chaty. Z pewnością pełniła ona funkcję plebani, ponieważ dziewczynka wołała co sił w płucach:

- Ojciec Roche! Ojciec Roche, jesteś tam?

Kivrin ogarnęło zdziwienie. Domostwo niewiele większe od szopy, w której jakiś czas temu się skryła, było w równie opłakanym stanie. Ksiądz miał prawo do dziesiątej części zbiorów oraz inwentarza każdego mieszkańca wioski, lecz w obejściu nie dostrzegła żadnych zwierząt, jeśli nie liczyć paru mizernych kur, sterta drewna przed wejściem miała zaś żalosne rozmiary.

Agnes poczęła walić pięstkami w drzwi, które sprawiały wrażenie równie mało solidnych jak cała chata. Kivrin obawiała się, że mała lada chwila wpadnie z nimi do środka, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Agnes przestała się dobijać, cofnęła się o dwa kroki, a następnie oświadczyła:

- Na pewno jest w dzwonnicy!

- Wątpię - odparła Kivrin, na wszelki wypadek biorąc ją za rękę. Wolnym krokiem podążyły w kierunku bramy cmentarza. - Przecież będzie dopiero dzwonił na nieszpór.

- Mógłby zadzwonić już teraz! - powiedziała Agnes przekornym tonem, a następnie przechyliła głowę, jakby nasłuchując.

Kivrin także wyteżyła słuch, ponieważ coś nie dawało jej spokoju. Chwilę potem zrozumiała, co takiego: umilkł dzwon, którego głos, docierający z południowego zachodu, słyszała prawie bez przerwy podczas choroby, a także wtedy, kiedy wyruszyła do stajni, by porozmawiać z Gawynem, i zastała go tam zabawiającego się z Maisry.

- Słyszałaś, lady Kivrin?

Agnes uwolniła rękę i pobiegła, ale nie w stronę dzwonnicy, lecz w prawo, jakby chciała obieć kościół dookoła. - Widzisz? - zapytała, wskazując z dumą swoje znalezisko. - Jednak nie pojechał!

Przy północnej ścianie budowli stał biały osiołek księdza, flegmatycznie skubiąc suche badyle wystające spod śniegu. Miał założoną uprząż z konopnego sznura, na grzbiecie zaś niósł kilka pustych worków, z pewnością przeznaczonych na jemiolę.

- Wiedziałam, że musi być w dzwonnicy! - zawołała dziewczynka i co sił w nogach popędziła w kierunku, z którego niedawno przyszła.

W chwili, gdy Kivrin wyłoniła się zza kościoła, zobaczyła Agnes niknącą w wieży. Uznała, że nie ma sensu gonić za małą, więc rozejrzała się dokoła, zastanawiając się, gdzie jeszcze powinny sprawdzić. Może jest w którejś z chat, przy chorym lub umierającym?

Nagle kątem oka w jednym z okien kościoła dostrzegła błysk światła. Może wszedł tam, kiedy były po drugiej stronie budynku, przy osle? Otworzyła boczne drzwi i zajrzała do środka. Przed figurą św. Katarzyny płonąła świeczka.

- Ojciec?

Nikt nie odpowiedział, więc wślizgnęła się do wnętrza, zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w stronę figury.

Świeca stała między stopami posągu, tak że wykuta niewprawną ręką rzeźbiarza, twarz świętej była ukryta w cieniu, podobnie jak miniaturowa postać dziecka. Kivrin przyklękła i wzięła świecę do ręki; zapalono ją najdalej przed kilkoma chwilami, ponieważ nie zdążyła się jeszcze rozgrzać, płomień zaś wytopił tylko małe kółko wosku dokoła grubego knota.

Rozejrzała się dokoła, ale zobaczyła jeszcze mniej niż poprzednio, ponieważ słaby blask świecy docierał zaledwie na dwa metry od posągu, pozostawiając resztę nawy w całkowitej ciemności.

Kivrin ostrożnie ruszyła w kierunku środka świątyni.

- Ojciec Roche?

W kościele panowała całkowita cisza, równie głucha i nieprzenikniona jak w lesie tamtego popołudnia, zaraz po przeskoku. Zupełnie jakby ktoś ukrył się za którąś z kolumn albo za grobowcem i czekał, wstrzymując oddech.

- Jesteś tu, ojczu? - zapytała głośno i wyraźnie.

Nie otrzymała odpowiedzi. Przecież w lesie nikogo wtedy nie było, pomyślała, i postąpiła kolejny krok naprzód. A tu nikt nie ukrywał się za grobowcem. Mąż lady Imeyne leżał nieruchomo na wznak z ramionami skrzyżowanymi na piersi i mieczem u boku. Przy drzwiach także nikogo nie było. Widziała to wyraźnie, mimo iż blask świecy raczej oślepiał, niż pomagał cokolwiek dostrzec.

Serce łomotało jej w piersi tak samo jak wtedy w lesie, tak głośno, że z pewnością zagłuszyłoby odgłos czyichś kroków albo szmer oddechu... Właśnie, oddech! Odwróciła się raptownie. Stał tuż za nią. Świeczka przygasła na chwilę, po czym rozbliła jaśniejszym światłem, wydobywając z mroku twarz o okrutnych, bezlitosnych rysach.

- Czego... Czego chcesz? - wykrztusiła z najwyższym trudem. - Jak się tu dostałeś?

Rzezimieszek nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w nią tak samo jak wtedy na polanie. A więc to jednak nie był sen, przemknęła jej przez głowę paniczna myśl. Był tam. Zamierzał... Co zamierzał? Obrabować ją? Zgwałcić? Cokolwiek chciał zrobić, z pewnością by tego dokonał, gdyby nie spłoszył go Gawyn.

Cofnęła się o krok.

- Pytałam, czego chcesz? Kim jesteś?

Jej słowa wróciły do niej echem odbitym od ścian kościoła i Kivrin uświadomiła sobie nagle, że mówi po angielsku. Boże, tylko nie to! - jęknęła w duchu. Dlaczego ten przeklęty translator musiał się zepsuć właśnie teraz?

- Czego chcesz ode mnie? - powtórzyła, starając się mówić powoli i wyraźnie.

Pomogło, ponieważ zdanie, które dotarło do jej uszu, brzmiało: "*Whette wolde thou withe me?*"

Wyciągnął rękę, jakby zamierzał dotknąć jej krótko obciętych włosów. Ręka była wielka, brudna, o licznych zadrapaniach i zgrubieniach na skórze.

- Odejdź! - Zrobiła jeszcze jeden krok wstecz i oparła się plecami o grobowiec. Świeca zgasła. - Nie wiem, kim jesteś i czego chcesz, ale będzie lepiej, jeśli sobie pójdiesz. - Znowu mówiła po angielsku, lecz jakie to miało znaczenie? Gdzie podział się ksiądz? - Ojczu Roche! - krzyknęła rozpaczliwie. - Ojczu Roche!

Skrzypnęły otwierane drzwi i do kościoła wbiegła Agnes.

- A więc tutaj jesteś! - zawołała radośnie. - Wszędzie cię szukałam!

Rzezimieszek powoli odwrócił się w kierunku dziewczynki.

- Agnes, uciekaj!

Mała zamarła w bezruchu.

- Uciekaj stąd! - powtórzyła Kivrin, ale natychmiast uświadomiła sobie z przerażeniem, że Agnes nie może jej zrozumieć. Jak było "uciekaj" po staroangielsku?

Zbój zaczął się do niej powoli zbliżać. Nie miała już się dokąd cofać, więc tylko przycisnęła się do ściany grobowca.

- *Renne!* Uciekaj, Agnes!

Chwilę potem rzuciła się na oślep do drzwi, wypadła na zewnątrz i zatrzasnęła je za sobą. Agnes była już przy bramie cmentarza, ale na widok Kivrin zatrzymała się, po czym ruszyła w jej stronę.

- Nie! Uciekaj!

- Czy to był wilk? - zapytała dziewczynka, wpatrując się w nią wielkimi oczami.

Nie było czasu na wyjaśnienia. Ludzie rąbiący drewno na skraju łąki poszli już chyba do domów; nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie było żywego ducha. Kivrin podbiegła do dziewczynki, chwyciła ją w ramiona i co sił w nogach popędziła do koni.

- W kościele zaczął się zbój! - powiedziała, sadzając ją na kucu.

- Zbój? - powtórzyła z niedowierzaniem Agnes. - Czy ten sam, który napadł na ciebie w lesie?

- Tak, ten sam. - Pospiesznie odwiązywała konie. - Jedź najszybciej jak możesz do dworu i nie zatrzymuj się po drodze.

- Nie widziałam go! - stwierdziła dziewczynka z pretensją w głosie.

Istotnie, nie mogła go widzieć, bo dla kogoś, kto właśnie wszedł z dworu, we wnętrzu kościoła musiały panować całkowite ciemności.

- To był ten człowiek, który uderzył cię w głowę, obrabował, i zostawił samą na pożarcie wilkom?

- Tak, właśnie on.

Nie mogła dać sobie rady ze stwardniałymi rzemieniami. Co chwila zerkała z niepokojem na drzwi.

- I siedział w grobowcu?

- Co takiego?

- Widziałam jak stoicie z ojcem Roche przy grobowcu dziadka. Czy zbój ukrył się w środku?

Ojciec Roche.

Wreszcie udało jej się odwiązać wodze, ale nawet tego nie zauważyła.

- Z ojcem Roche?

- Sprawdziłam w dzwonnicy, ale go tam nie było, bo był z tobą w kościele - wyjaśniła Agnes. - Lady Kivrin, dlaczego ten zbój ukrył się w grobowcu dziadka?

Ojciec Roche... Nie, to niemożliwe. Ojciec Roche namaścił jej skronie i ręce.

- Czy on chce zrobić coś złego ojcu Roche?

Ten człowiek nie mógł być ojcem Roche. Przecież ojciec Roche trzymał ją za rękę i mówił jej, żeby się nie bała. Spróbowała przypomnieć sobie twarz księdza. Pochylił się nad nią i zapytał o imię, ale w izbie było tyle dymu, że prawie go nie widziała.

A wtedy, kiedy udzielał jej ostatniego namaszczenia, nagle ujrzała rzezimieszka z lasu. Przestraszyła się go i próbowała uciec, ale teraz okazało się, że to nie był żaden rzezimieszek, tylko ksiądz.

- Czy zbój będzie nas gonił? - zapytała Agnes, spoglądając z niepokojem na drzwi.

Tak, wszystko powoli nabierało sensu. Człowiek o okrutnej twarzy, który pochylał się nad nią na polanie, a potem wsadzał ją na konia... Przypuszczała, iż stanowił jedynie wytwór jej trawionego gorączką umysłu, lecz myliła się. To był ojciec Roche, który przybył z Gawynem, by pomóc przetransportować ją do dworu.

- Nie obawiaj się - powiedziała do małej. - Zbój nie przyjdzie. Nie ma żadnego zbrojaka.

- Zostanie w kościele?

- Nie, kochanie. Pomyliłam się. Zbrojaka nie ma.

Agnes nie wyglądała na przekonaną.

- Ale przecież krzyczałaś!

Kivrin bez trudu mogła sobie wyobrazić jak będzie wyglądać relacja, którą Agnes złoży lady Imeyne: "Lady Katherine i ojciec Roche byli razem w kościele, a potem ona nagle zaczęła krzyczeć". Lady Imeyne z radością dołączy ten fakt do listy grzechów ojca Roche'a oraz do drugiej listy, zawierającej przykłady podejrzanego zachowania Kivrin.

- Krzyknęłam, bo w kościele było ciemno, a ojciec Roche podszedł do mnie zniemacka i bardzo się przestraszyłam.

- Ale to przecież ojciec Roche! - odparła Agnes tonem świadczącym o tym, że nie potrafi sobie wyobrazić, jak kogoś może przestraszyć nagłe pojawienie się księdza.

- Kiedy bawicie się z Rosemundą w chowanego, a ona nagle wyskoczy z ukrycia, też krzyczysz ze strachu, chociaż dobrze wiesz, że to tylko twoja siostra.

Dziewczynka z powagą skinęła głową.

- Kiedyś schowała się na stryszku i skoczyła na mnie, kiedy bawiłam się z Blackiem. Jejku, jak ja się przestraszyłam! Wrzasnęłam wtedy o, tak: Aaaa... - Wydała mrozący krew w żyłach okrzyk. - A innym razem, kiedy w domu było zupełnie ciemno, wypadła na mnie z kąta i zahuczała jak sowa, a ja zaczęłam krzyczeć, rozplakałam się i pobiegłam do matki, a ona...

- Sama więc widzisz - przerwała jej Kivrin. - W kościele też było ciemno.

- Czy ojciec Roche wypadł na ciebie z kąta i zahuczał jak sowa?

Tak, pomyślała Kivrin. Coś w tym rodzaju. Stał za moimi plecami, a kiedy go zobaczyłam, wzięłam go za bandytę.

- Oczywiście, że nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Czy pojedziemy z nim po jemiółę?

Owszem, jeśli nie przestraszył się mnie i nie uciekł, przemknęła Kivrin przez głowę niewesoła myśl. Chwyła Agnes pod pachy i postawiła na ziemi.

- Chodźmy. Musimy go poszukać.

Nie miała pojęcia co uczyni, jeśli okaże się, że nigdzie go nie ma. Przecież nie może wrócić prosto do dworu, bo dziewczynka natychmiast opowie babce o całym zdarzeniu! Nie może też odjechać nie złożywszy ojcu Roche żadnych wyjaśnień. Tylko, co powinna mu powiedzieć? Że wzięła go za złodzieja i gwałciciela? A może, że uznała go za zjawę z koszmarnego snu?

- Musimy wracać do kościoła? - zapytała Agnes bez szczególnego entuzjazmu.

- Niczego się nie bój. Tam jest tylko ojciec Roche.

Mimo zapewnień opiekunki, dziewczynka miała niezbyt tęgą minę, a kiedy Kivrin pchnęła ciężkie drzwi, Agnes chwyciła ją za nogę i ukryła głowę w fałdach spódnicy.

- Wszystko w porządku - uspokoiła ją Kivrin, po czym obrzuciła wewnątrz kościoła szybkim spojrzeniem. Przy grobowcu nikogo już nie było. Pozwoliła, by drzwi zamknęły się za nimi, ale nie ruszyła się z miejsca, ponieważ jej wzrok nie zdążył jeszcze przystosować się do ciemności. - Nie ma się czego bać.

To nie rzezimieszek, powtarzała sobie w duchu. Na pewno nie wyrządzi ci krzywdy. Udzielił ci ostatniego namaszczenia. Trzymał cię za rękę. Pocięczał.

Mimo to serce łomotało jej w piersi.

- Czy zbój jest tutaj? - zapytała Agnes szeptem, z głową wciąż zagrzebaną w fałdach spódnicy Kivrin.

- Nie ma żadnego zbrojaka.

Wtedy go zobaczyła. Stał przed figurą św. Katarzyny, trzymając w ręce świecę, którą Kivrin zgubiła, kiedy biegła do drzwi. Przyklęknął, postawił świecę na posadzce między stopami posągu, a następnie wyprostował się powoli.

Aż do tej chwili w głębi jej duszy kołatała nadzieja, że padła ofiarą złudzenia, że wszystkiemu było winne marne oświetlenie i że w rzeczywistości ojciec Roche wcale nie wygląda jak rzeźmieszek. Niestety, wyglądał. Tamtej nocy miał na głowie kaptur, więc nie dostrzegła tonsury, ale poza tym wszystko się zgadzało: to samo przenikliwe spojrzenie, te same surowe, bezwzględne rysy. Serce uderzało jej coraz szybciej.

- Gdzie jest ojciec Roche? - zapytała Agnes, wysuwając głowę z ukrycia. - O, tam!

Pobiegła w kierunku samotnej postaci.

- Nie... - Kivrin chciała krzyknąć, lecz z jej gardła wydobył się tylko zduszony charkot. - Zaczekaj!

Ruszyła za dzieckiem.

- Ojciec Roche! Ojciec Roche! - wołała Agnes. - Wszędzie cię szukałyśmy! - Najwyraźniej zapomniała o zbroju, który mógł czaić się za grobowcem lub w cieniu któregoś z filarów. - Byłyśmy w kościele i nawet w domu, ale ty gdzieś sobie poszedłeś!

Pędziła ku niemu co sił w nogach. Kiedy była już blisko, jednym płynnym ruchem odwrócił się w jej stronę, pochylił, chwycił w ramiona i podniósł wysoko.

- Poszłam nawet do dzwonnicy, ale tam też cię nie było - ciągnęła Agnes bez śladu lęku w głosie. - Rosemunda powiedziała, że pojechałeś do lasu.

Kivrin zatrzymała się przy ostatnim filarze, próbując uspokoić przyspieszony oddech.

- Gdzie się schowałeś? - Dziewczynka ufnie objęła kapłana za szyję. - Kiedyś Rosemunda schowała się przede mną na stryszku i wyskoczyła tak nagle, że zaczęłam krzyczeć.

- Dlaczego mnie szukałaś, Agnes? - zapytał. - Czy ktoś zachorował?

“Agnes” w jego ustach zabrzmiało niemal jak, “Agnus”, akcent zaś niewiele się różnił od tego, jakim posługiwała się Maisry. Translator przetłumaczył słowa księdza dopiero po sekundzie. To dziwne, pomyślała Kivrin. Przecież wtedy, kiedy byłam chora, bez trudu rozumiałam wszystko, co do mnie mówi.

Natychmiast jednak uświadomiła sobie, że zapewne wówczas zwracał się do niej po łacinie. Głos był ten sam, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Właśnie ten człowiek udzielił jej ostatniego namaszczenia, właśnie on powtarzał, że nie powinna się bać. Nawet teraz poczuła, jak ogarnia ją kojący spokój.

- Nie, nikt nie zachorował - odparła Agnes. - Chciałyśmy tylko pojechać z tobą do lasu, żeby narwać bluszczu i jemioli. Lady Kivrin, Rosemunda, Saracen, Blackie i ja.

Kiedy mała powiedziała “lady Kivrin”, Roche odwrócił się i dopiero teraz zauważył ją stojącą przy filarze. Natychmiast postawił dziewczynkę na podłodze.

Kivrin musiała oprzeć się o kolumnę, ponieważ nagle ugięły się pod nią kolana.

- Wybacz mi, ojciec - powiedziała. - Wybacz, że uciekłam z krzykiem, ale było ciemno, a ja cię nie poznałam...

Translator, nie wiedząc czemu wciąż lekko spóźniony, przetłumaczył ostatnie słowa jako: “A ja cię nie znałam”.

- Ona nic nie pamięta - wyjaśniła Agnes. - Zbój uderzył ją w głowę i wszystko zapomniała. Wie tylko, jak się nazywa.

- Słyszałem o tym - odparł, nie spuszczać spojrzenia z Kivrin. - Czy to prawda, że nie wiecie, jakim sposobem znaleźliście się między nami?

Poczuła trudną do opanowania pokusę, by powiedzieć mu prawdę, tak samo jak wtedy, gdy zapytał o jej imię. Jestem historykiem, cisnęły się jej na usta niesforne słowa. Przybyłam tu, żeby was obserwować, ale zachorowałam i teraz nie mogę trafić z powrotem na miejsce przeskoku.

- Ona naprawdę niczego nie pamięta! - stwierdziła Agnes urażonym tonem, jakby uznała, że ksiądz jej nie uwierzył i dlatego prosi o potwierdzenie. - Nie potrafiła nawet nic powiedzieć. To ja nauczyłam ją mówić!

- Nie wiecie więc, kim jesteście?

- Nie.

- Ani jak tu dotarliście?

Na to pytanie mogła odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

- Nie. Wiem tylko, że Gawyn i wy, ojciec, przywieźliście mnie do dworu.

Agnes nagle straciła zainteresowanie rozmową.

- Pojedziesz z nami narwać jemioli?

Nie odpowiedział, tylko wyciągnął rękę jak do błogosławieństwa, ale zamiast uczynić w powietrzu znak krzyża, delikatnie dotknął skroni dziewczyny. Kivrin uświadomiła sobie, że to właśnie chciał zrobić niedawno przy grobowcu.

- Nie ma rany - stwierdził.

- Zagoiła się.

- Chodźmy już! - marudziła coraz głośniejsz Agnes, ciągnąc go za rękaw.

Wykonał ruch, jakby ponownie chciał dotknąć skroni Kivrin, lecz tym razem cofnął rękę.

- Nie musicie się lękać - powiedział. - Bóg z pewnością przysłał was w jakimś dobrym celu.

Nieprawda, pomyślała. To nie Bóg mnie tu przysłał, tylko sekcja średniowiecza Wydziału Historycznego Uniwersytetu w Oxfordzie. Mimo to od razu poczuła się lepiej.

- Dziękuję, ojcze.

- Chcę już iść! - zażądała stanowczo Agnes, i dla odmiany uczepiła się rękawa Kivrin. - Ty idź po osiołka, a my pojedziemy po Rosemundę.

Nie czekając na odpowiedź ruszyła w kierunku drzwi, Kivrin zaś nie miała innego wyjścia jak tylko podążyć za nią. Zanim jednak dotarły do wejścia, drzwi otworzyły się raptownie i stanęła w nich Rosemunda.

- Zaczęło padać - oznajmiła, po czym zmrużyła oczy, usiłując dojrzeć coś w ciemności. - Znalazłyście ojca Roche'a?

- Odwiozłaś Blackiego do stajni? - odpowiedziała Agnes pytaniem na pytanie.

- Tak. A więc spóźniłyście się? Ojciec Roche pojechał już do lasu?

- Wcale nie! Jest tutaj, i będzie nam towarzyszył. Cały czas był w kościele, a lady Kivrin przysłała, i...

- Właśnie poszedł po osła - wpadła jej w słowo Kivrin.

- Okropnie przestraszyłam się wtedy, kiedy skoczyłaś na mnie ze stryszku - przyznała Agnes, ale jej siostra odwróciła się już ze zniecierpliwieniem i pomaszerowała ku bramie.

Wbrew temu, co powiedziała Rosemunda, jeszcze nie padało, ale w powietrzu wisiała wilgotna mgielka. Kivrin wsadziła Agnes na kuca, po czym nie bez trudu wdrapała się na swego deresza. Chwilę potem zza kościoła wyłonił się ojciec Roche, prowadząc osła za uzdę, skinął im głową, a następnie ruszył przez przysypaną śniegiem łąkę w kierunku ściany lasu.

- W lesie są wilki - oznajmiła Agnes. - Gawyn zabił jednego.

Kivrin prawie jej nie słyszała, ponieważ była zajęta obserwowaniem ojca Roche'a idącego obok objuczonego pustymi workami osiołka. Usiłowała przypomnieć sobie wydarzenia tamtej nocy, kiedy przywieziono ją do dworu. Rosemunda twierdziła, że ksiądz spotkał Gawyna na drodze i pomógł mu przetransportować ją z lasu, ale to nie mogła być prawda. Przecież doskonale pamiętała, jak pochylał się nad nią, kiedy siedziała oparta o koło wozu. Twarz miał oświetloną blaskiem dogasającego ogniska. Powiedział wtedy coś, czego nie rozumiała, ona natomiast poprosiła, by jak najszybciej zawiadomił pana Dunworthy'ego.

- Rosemunda jeździ niczym jakiś podrostek, a nie jak skromna niewiasta - oświadczyła Agnes tonem pełnym wyższości. Zapewne powtórzyła zdanie usłyszane od kogoś z dorosłych.

Istotnie, jej siostra wysforowała się daleko w przód, aż do zakrętu, i teraz czekała na nich ze zniecierpliwioną miną.

- Rosemundo! - zawołała Kivrin.

Dziewczynka wróciła galopem, w ostatniej chwili ściągnęła wodze, unikając o włos zderzenia z osłem, po czym zatrzymała wierzchowca na poboczu ścieżki.

- Czy nie możemy jechać prędzej? - zapytała zirytowanym tonem. - Nie zdążymy przed deszczem!

Zawróciła wierzchowca i znowu pogalopowała naprzód.

Tutaj, w lesie, "droga" przypominała raczej wąziutką ścieżynę. Kivrin przyglądała się drzewom, poszukując znajomych widoków. W pewnej chwili serce zabiło jej żywiej, ponieważ dostrzegła kępę wierzb, ale radość okazała się przedwczesna; rosły zbyt daleko od traktu, tuż obok zaś szemrał częściowo zamrznięty strumień.

Po przeciwnej stronie ścieżki rósł rozłożysty jesion, za nim natomiast, w równych odstępach, jakby zasadzone ręką człowieka, rozczochrane jarzębiny. Nie, to z pewnością nie było tutaj, a nawet jeśli wieźli ją tą właśnie drogą, to była zbyt chora, aby się rozglądać. Poza tym, przecież wtedy panowały już całkowite ciemności.

Jedyne, co zapamiętała, to samo miejsce przeskoku, choć nawet to wspomnienie, stosunkowo żywo i wyraźne, przesłaniała mgła niepewności. Polana, potężny dąb, kępa wierzb... I twarz pochylającego się nad nią ojca Roche'a, kiedy siedziała bez sił na zamrzniętej ziemi, oparta plecami o koło wozu.

Albo był z Gawynem od samego początku, albo Gawyn przyprowadził go do niej. Twarz księdza, oświetlona czerwonawym blaskiem płomieni, wryła się jej głęboko w pamięć, tak samo jak późniejszy upadek z konia na rozwidleniu dróg.

Na razie nie dotarli jeszcze do żadnego rozwidlenia. Nie zauważyła nawet innych ścieżek, choć doskonale wiedziała, że musi ich być sporo; łączyły wsie, prowadziły do odległych pól położonych na skraju lasu, pozwały dojść najkrótszą drogą do traktu wiodącego z miasta do miasta.

Dotarli do szczytu łagodnego wzniesienia; ojciec Roche przystanął i odwrócił się, by sprawdzić, czy podążają za nim. On wie, gdzie jest miejsce przeskoku, pomyślała Kivrin. Do tej pory liczyła na to, że kapłan mógłby tam trafić dzięki wskazówkom zawartym w relacji Gawyna, lecz teraz zdawała sobie sprawę, iż ojciec Roche nie musi opierać się na niczych opowieściach. On tam był.

Po cichu liczyła na to, że ze szczytu wyniosłości uda jej się dojrzeć coś więcej, lecz zobaczyła tylko bezkresny ocean drzew. Przypuszczalnie znajdowali się w Lesie Wychwood; jeśli tak właśnie miały się sprawy, to otaczało ich ponad sto kilometrów kwadratowych kniei. Na własną rękę nigdy nie zdołałyby odnaleźć miejsca przeskoku; ba, przypuszczalnie sama szybko zgubiłaby drogę, ponieważ gąszcz był tak wielki, iż wzrok sięgał najwyżej dziesięć metrów między drzewa.

Szczerze mówiąc, nie spodziewała się ujrzeć tak bujnej roślinności. Drzewa rosły bardzo ciasno, natomiast niewielką przestrzeń między nimi wypełniały krzewy, połamane gałęzie oraz śnieżne zaspasy.

To nieprawda, że znalazła się w zupełnie obcej okolicy. Doskonale знаła te tereny: właśnie w takim lesie zabłądzili Jaś i Małgosia, Królowa Śnieżka oraz niezliczeni rycerze i książęta. Żyły w nim wilki i niedźwiedzie, przypuszczalnie można było natrafić na chatkę czarownicy, i tu właśnie narodziły się legendy oraz baśnie, które następnie przetrwały wiele stuleci.

Nic dziwnego. Ten las naprawdę działał na wyobraźnię.

Ojciec Roche ponownie zatrzymał osiołka i zaczął na Kivrin i Agnes, po czym skręcił w bok, by pójść jeszcze węższą ścieżką, z której istnienia Kivrin przed chwilą nie zdawała sobie sprawy. Rosemunda nadjechała galopem, ale nie mogła wyprzedzić kapłana, jechała więc tuż za nim z nadąsaną miną. Co jej się stało? - pomyślała Kivrin po raz kolejny. Sir Bloet ma wielu wpływowych przyjaciół, powiedziała lady Imeyne. Nazwała go przyjacielem, ale czy tak było naprawdę? Może ojciec Rosemundy kiedyś wspomniał córce o czymś, co w perspektywie przyjazdu możnego sąsiada do Ashencote napędzało ją lękiem i niechęcią?

Zaledwie po kilkunastu metrach minęli kępę wierzb bardzo podobną do tej, jaka rosła w miejscu przeskoku, skręcili w lewo, przecisnęli się między kilkoma dorodnymi jodłami i ujrzeli kolejny jesion, znacznie mniejszy niż poprzedni, za to obrosnięty jemiolą.

Ojciec Roche zaczął ściągać puste worki z osłego grzbietu. Agnes usiłowała mu pomóc, Rosemunda natomiast, nie oglądając się na nikogo, zeskoczyła z konia, wyjęła spomiędzy fałdów spódnicy nóż o szerokim, budzącym respekt ostrzu, i zaczęła ścinać rosnące niżej gałązki nadrzewnego pasożyta.

Brnąc po kolana w śniegu, Kivrin obeszła jesion dokoła, ponieważ wydawało jej się, że dostrzega białą plamę, która mogła być kępą brzoź, lecz okazało się, że to tylko przysypana śniegiem ułamana gałąź, która uwięzła między konarami jakieś dwa metry nad ziemią.

Do drzewa podeszła Agnes razem z ojcem Roche, który trzymał w dłoni nóż jeszcze większy od tego, jakim wymachiwała Rosemunda. Kivrin stwierdziła, iż wciąż nie może przyzwyczać się do widoku jego okrutnej twarzy; z nożem w garści i pustymi workami przerzuconymi przez ramię naprawdę wyglądał jak zbój wracający do kryjówki z nieudanej wyprawy. Ojciec Roche wręczył Agnes jeden z worków.

- Musisz go trzymać o, tak - zademonstrował, w jaki sposób zawinąć gruby, szorstki materiał - a ja będę ładował do środka gałęzie.

Natychmiast zabrał się do dzieła, Kivrin zaś odbierała od niego ścięte gałązki i ostrożnie wkładała je do worka.

- Ojciec Roche... - odezwała się po dłuższej chwili. - Chciałam wam podziękować za to, że opiekowaliście się mną, kiedy byłam chora, i za to, że przywieźliście mnie do dworu, kiedy...

- Kiedy spadliście z konia - dokończył za nią, mocując się z oporną gałęzią.

Chciała powiedzieć: "kiedy zostałam napadnięta przez złoczyńców". Jego reakcja zaskoczyła ją i zmusiła do zastanowienia. Istotnie, spadła z konia, ale przecież nastąpiło to daleko od miejsca przeskoku, więc gdyby zjawił się przy niej dopiero wtedy, nie mogłaby widzieć go tam, przy ognisku. A widziała go, była tego całkowicie pewna. Cóż, ma przecież niepowtarzalną okazję, by raz na zawsze rozwiązać wszelkie wątpliwości.

- Czy wiecie, gdzie dokładnie znalazł mnie Gawyn?

Wstrzymała oddech.

- Tak.

Poczuła tak wielką ulgę, że aż zakręciło się jej w głowie. Wie! Ojciec Roche wie, gdzie jest miejsce przeskoku!

- Czy to daleko stąd?

- Nie - odparł, odcinając kolejną kępę jemioli.

- Zaprowadzcie mnie tam?

- Po co miałabyś tam iść? - spytała Agnes. - A jeśli znowu napadną cię źli ludzie?

Sądząc po wyrazie oczu ojca Roche'a, zamierzał zadać jej to samo pytanie.

- Pomyślałam sobie, że jeśli zobaczę to miejsce, może przypomnę sobie kim jestem i skąd się tam wzięłam.

Kapłan podał jej kolejną gałązkę.

- Zaprowadz was - powiedział.

- Dziękuję.

Dziękuję, dziękuję! Wrzuciła ostatnią gałązkę do worka, ojciec Roche zaś zawiązał go starannie i zarzucił sobie na ramię.

Zjawiła się Rosemunda, ciągnąc za sobą wypełniony po brzegi wór.

- Skończyliście już?

Ojciec Roche wziął jej worek i umieścił obok swojego na grzbiecie osiołka. Kivrin wsadziła Agnes na kucyka, pomogła Rosemundzie dosiąść klaczy, sama zaś wspięła się na deresza przy pomocy kapłana, którego splecione dłonie posłużyły jej za stopień.

Wtedy, kiedy zsunęła się z grzbietu białego konia, także pospieszył jej z pomocą. Pamiętała jego wielkie ręce, które ją podtrzymywały. Ale przecież wówczas znajdowali się już daleko od miejsca przeskoku, Gawyn zaś nie miałby najmniejszego powodu, by wracać tam z księdzem. A może jednak wrócili? Albo może odległość wcale nie była duża, tylko jej, majaczącej w gorączce, wydawała się taka ogromna?

Ojciec Roche wyprowadził objuczonego osiołka z powrotem na ścieżkę. Rosemunda przepuściła go przodem, po czym zapytała tonem bardzo podobnym do tego, jakim z upodobaniem posługiwała się jej babka:

- Dokąd on idzie? Przecież bluszcz rośnie zupełnie gdzie indziej!

- Idziemy obejrzyć miejsce, w którym zbójcy napadli na lady Katherine - wyjaśniła Agnes.

Rosemunda zmierzyła Kivrin podejrzliwym spojrzeniem.

- Po co tam wracacie? Przecież wasze rzeczy przewieziono już do dworu.

- Ona myśli, że kiedy zobaczy to miejsce, przypomni sobie wszystko - powiedziała Agnes. - Lady Kivrin, czy wtedy będziesz musiała wrócić do domu?

- Oczywiście! - parsknęła Rosemunda. - Jasne, że wróci do domu, do swojej rodziny. Przecież nie może zostać z nami na zawsze.

Czyniła wszystko, by sprowokować Agnes, i w pełni jej się to udało.

- Może! - zaprotestowała młodsza dziewczynka. - Będzie naszą opiekunką!

- Czy myślisz, że to przyjemnie opiekować się takim mazgajem? - zapytała z przekąsem Rosemunda, po czym zawróciła klacz i odjechała truchtem.

- To ty jesteś mazgaj! - zawołała za nią Agnes, a następnie odwróciła się do Kivrin. - Lady Kivrin, ja nie chcę, żebyś odeszła!

- Nie zostawię cię - zapewniła ją Kivrin. - Pospieszymy się, ojciec Roche czeka.

Stał na głównej drodze, ale jak tylko wyłoniły się zza zakrętu ścieżki, ruszył powoli przed siebie. Rosemunda była już daleko; spod kopyt galopującej klaczy tryskały fontanny śniegu a z gałęzi, o które zahaczała dziewczynka, zsuwały się ciężkie białe czapy.

Pokonawszy strumień dotarli do rozwidlenia; droga, którą podążali, skręcała łagodnie w prawo, jej odnoga natomiast biegła jeszcze prosto przez jakieś sto metrów, by następnie ostro skrócić w lewo. Rosemunda zatrzymała klacz; zwierzę, przypuszczalnie wyczuwając rozdrażnienie swej pani, przestępowało niecierpliwie z nogi na nogę i gniewnie potrząsało łbem.

Zsunęłam się z konia na rozwidleniu dróg, ale czy właśnie na tym? - zastanawiała się Kivrin. Rozglądała się pilnie dokoła w nadziei, że dostrzeże jakieś drzewo lub inny, charakterystyczny fragment krajobrazu. Las Wychwood przecinało mnóstwo ścieżek, musiało więc być wiele takich samych albo podobnych rozwidleń, niemniej jednak dotarli chyba do właściwego, ponieważ ojciec Roche bez wahania skrócił w prawo, by po przejściu zaledwie kilku metrów zejść z traktu i zagłębić się w gęstwinę.

W pobliżu nie rosła ani jedna wierzba, nie było też żadnego wzgórza. Widocznie prowadzi nas drogą, którą przebył z Gawynem, domyśliła się Kivrin. Nawet na pewno - przecież zapamiętała, że najpierw długo jechali przez las.

Podążyły za księdzem, ale niemal natychmiast musiały zsiąść z wierzchowców. Ojciec Roche szedł na przelaj przez las, schylając się w miejscach, gdzie gałęzie zwieszały się nisko nad ziemią, brnąc przez śnieg sięgający miejscami do kolan i omijając skupiska krzewów.

Kivrin starała się zapamiętać trasę, ale jej wysiłki były z góry skazane na niepowodzenie, ponieważ nie mogła znaleźć żadnych charakterystycznych obiektów lub miejsc, które mogłyby posłużyć jako punkty odniesienia. Na szczęście zostawiali w śniegu doskonale widoczne ślady; koniecznie musi tu wrócić, zanim śnieg się roztopi, i oznaczyć drogę skrawkami materiału albo pokruszonym chlebem, jak Jaś i Małgosia.

Wcale się nie dziwiła, że tych dwoje, a także Królowna Śnieżka, rycerze i książęta, zabłądzili w lesie. Choć przeszła niewiele ponad sto metrów, miałyby już poważne kłopoty ze wskazaniem kierunku, w którym znajdowała się droga. Gdyby nie ślady w śniegu, nigdy nie udałoby jej się wrócić do dworu. Jaś i Małgosia mieli sporo szczęścia, że natrafili na chatkę czarownicy; w takiej puszczy można by błąkać się miesiącami, ani razu nie wracając w to samo miejsce.

Ojciec Roche zatrzymał się raptownie. - Co się stało? - zapytała Kivrin.

Odprowadził osiołka na bok i przywiązał go do olchy.

- To tutaj.

Gdziekolwiek byli, na pewno nie dotarli do miejsca przeskoku. Co prawda rósł tu rozłożysty dąb, ale nie było żadnej polany; jego gałęzie tworzyły jedynie coś w rodzaju namiotu, pod którym nie zdołało wyrosnąć żadne drzewo, ziemię zaś pokrywała kilkucentymetrowa warstwa śniegu.

- Może rozpalimy ogień? - zaproponowała Agnes. Podeszła do resztek niewielkiego ogniska i usiadła na grubym konarze, który ktoś porzucił na skraju wypalonego kręgu. - Zimno mi - poskarżyła się, grzebiąc stopą w popiele.

Ognisko z pewnością nie płonęło długo, ponieważ popiołu było niewiele, za to zostało w nim sporo lekko nadpalonych gałęzi, częściowo połamanych przez tego, kto zdeptał ogień. Kiedy Kivrin zobaczyła twarz ojca Roche'a, oświetlał ją blask pełgających płomieni...

- No i co? - zapytała Rosemunda ze zniecierpliwieniem. - Przypominacie sobie?

Tak, była tutaj. Zapamiętała ogień. Myślała, że chcą ją spalić na stosie. Coś jednak się nie zgadzało; ojciec Roche znalazł się przy niej na miejscu przeskoku, pochylał się nad nią, kiedy siedziała oparta o koło.

- Jesteście pewni, ojczyste, że tu właśnie znalazł mnie Gawyn?

Zmarszczył brwi.

- Tak - odparł, przypatrując się jej uważnie.

- Jeśli napadną nas zbójce, odgonię ich moim sztyletem! - oświadczyła Agnes, wymachując kijkiem o mocno nadpalonym końcu. Po jakimś gwałtowniejszym ruchu kij złamał się na pół, więc dziewczynka znalazła następny, po czym przykucnęła przy resztkach ogniska i poczęła uderzać nim w wypalony krąg.

Kivrin przyglądała się jej w milczeniu. Kiedy Gawyn rozpalał ogień, siedziała oparta plecami o pień, śledząc półprzymotnym spojrzeniem rudą czuprynę. Później zdeptał płomień, a dym, jaki wówczas powstał, buchnął jej prosto w twarz.

Agnes znudziła się zabawą i cisnęła patyk na ziemię.

- Pamiętasz? - zapytała.

Ojciec Roche wciąż wpatrywał się w Kivrin ze zmarszczonymi brwiami.

- Dobrze się czujecie, lady Kivrin?

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Tak, tylko... Miałam nadzieję, że kiedy ujrzę to miejsce, wszystko sobie przypomnę, a tymczasem...

Jeszcze przez chwilę przyglądał się jej uważnie, tak jak niedawno temu w kościele, po czym odwrócił się i podszedł do osiołka.

- Chodźmy.

- Pamiętasz? - zapytała ponownie Agnes, energicznie zabijając ręce. Futrzane rękawice z jednym palcem były całe umazane sadzą.

- Agnes! Zobacz, co zrobiłaś z rękawicami! - Rosemunda szarpnęła siostrę za ramię, zmuszając ją, by podniosła się na nogi. - Ty nieznośny bachorze! Wybrudziłaś całe ubranie!

Kivrin rozdzieliła dziewczynki.

- Rosemundo, odwiąż kucyka siostry - poleciła stanowczym tonem. - Najwyższa pora wziąć się do zbierania bluszczu.

Otrzeпаła mokry śnieg z szubki Agnes, ale nie udało jej się usunąć brudnych plam z białego futerka, którym była obszyta.

Ojciec Roche stał przy osle, wciąż z tym samym, trudnym do rozszyfrowania, wyrazem twarzy.

- Rękawicami zajmiemy się w domu - zdecydowała Kivrin. - Chodźmy, ojciec Roche czeka na nas.

Po przejściu zaledwie kilku metrów, ku jej zdziwieniu kapłan skręcił z wydeptanego szlaku i zaraz potem znaleźli się na drodze. Nigdzie jednak nie było widać rozwidlenia, Kivrin nie mogła więc stwierdzić, gdzie właściwie są. Całkiem możliwe, iż dotarli do zupełnie innej drogi, choć okolica wyglądała dokładnie tak samo: nagie, przysypane śniegiem drzewa liściaste, świerki i jodły, gdzieniegdzie kępy wierzb, dęby i małe polanki.

Sprawa była jasna: Gawyn próbował zawieźć ją do dworu, ale ona, półprzymotna, co chwila zsuwała się z końskiego grzbietu, więc skręcił z drogi, rozpalił ognisko, zostawił ją, opartą o grubego konar, sam zaś udał się po pomoc. Albo może zamierzał zostać przy niej do rana, lecz przejeżdżający drogą ojciec Roche dostrzegł ogień, dzięki czemu jeszcze przed świtem znalazła się w ciepłym łóżku. Wynikało z tego, że ojciec Roche nie ma pojęcia, gdzie jest miejsce przeskoku. Przypuszczał, iż Gawyn znalazł ją właśnie tutaj, pod dębem.

Widok jego twarzy pochylającej się nad nią przy roztrzaskanym wozie stanowił jedynie część majaczeń wywołanych gorączką. Wyśniła to sobie podczas choroby, tak samo jak bicie dzwonów, stos oraz białego konia.

- Dokąd on idzie? - zapytała Rosemunda, nawet nie starając się ukryć irytacji. Kivrin poczuła wielką ochotę, żeby nią porządnie potrząsnąć, albo dać jej w twarz. - Bluszcz można znaleźć bliżej domu. Czy on nie widzi, że zaczyna padać?

Miała rację. Wilgotna mgła niepostrzeżenie przeistoczyła się w dokuczliwą mżawkę.

- Już dawno wróciłybyśmy do dworu, gdyby ta głupia Agnes nie zabrała swojego szczeniaka!

Z wściekłą miną pogalopowała naprzód, lecz tym razem Kivrin nie próbowała jej zatrzymać.

- Rosemunda jest niedobra - poskarżyła się Agnes.

- Zgadza się - przyznała jej rację Kivrin. - Wiesz może, co jej się stało?

- To przez sir Bloeta. Ma zostać jego żoną.

- Co takiego? - Co prawda lady Imeyne wspomniała o jakimś małżeństwie, lecz Kivrin była pewna, że chodzi o związek, jaki ma zawrzeć któraś z córek sir Bloeta z jednym z synów lorda Guillaume'a. - Jak to możliwe? Przecież jego żoną jest lady Yvolde!

- Wcale nie - odparła dziewczynka. - Lady Yvolde jest siostrą sir Bloeta.

- Ale przecież... Przecież Rosemunda jest za młoda! Nieprawda, odpowiedziała sobie natychmiast w myśli.

W XIV wieku dziewczętom często wybierano mężów jeszcze zanim osiągnęły dojrzałość, czasem nawet zaraz po urodzeniu. W średniowieczu małżeństwo stanowiło coś w rodzaju umowy handlowej, będąc jednocześnie jednym ze sposobów podnoszenia statusu społecznego, Rosemunda zaś bez wątpienia od dawna była przyzwyczajona do myśli, że wyjdzie za kogoś w rodzaju sir Bloeta. Mimo to Kivrin natychmiast przypomniała sobie wszystkie opowieści o niewinnych dziewczynkach poślubianych przez rozpustnych bezzębnych starców.

- Czy Rosemunda lubi sir Bloeta?

Oczywiście, że go nie lubi. Od chwili, gdy dowiedziała się o jego przyjeździe, zachowuje się tak, jakby miała diabła za skórą.

- Ja go lubię - odparła Agnes. - Obiecał, że da mi srebrny łańcuszek do uzdy dla Saracena.

Kivrin przeniosła spojrzenie na Rosemundę, czekającą na nich niecierpliwie daleko z przodu. Sir Bloet wcale nie musi być bezzębny i rozpustny. Nie ma żadnych podstaw, by tak przypuszczać, podobnie jak nie miała podstaw, by uważać, że lady Yvolde jest jego żoną. Równie dobrze może być młody i przystojny, rozdrażnienie Rosemundy stanowi zaś wyłącznie objaw jej niestałego charakteru. Kto wie, może polubi go jeszcze przed ślubem albo wkrótce potem. Sama ceremonia odbywała się zazwyczaj wtedy, kiedy oblubienica skończyła czternaście lub piętnaście lat, albo gdy zaczęła wykazywać oznaki dojrzałości płciowej.

- Kiedy mają się pobrać?

- Na Wielkanoc.

Dotarli do kolejnego rozwidlenia. Dwie dróżki biegły równolegle co najmniej przez sto metrów, po czym ta, którą wybrała Rosemunda, wspinała się po zboczu łagodnego wzniesienia.

Mieć dwanaście lat i w perspektywie ślub za trzy miesiące... Nic dziwnego, że lady Eliwys wołała, aby sir Bloet nie dowiedział się o ich przybyciu do Ashencote. Może nie chciała, by córka wyszła tak młodo za mąż? Kto wie, czy małżeństwo nie zostało zaaranżowane tylko po to, by wydobyć lorda Guillaume'a z kłopotów.

Rosemunda dotarła do szczytu wzniesienia, zawróciła i podjechała galopem do ojca Roche'a.

- Dokąd nas prowadzicie? - zapytała obcesowym tonem. - Las zaraz się skończy.

- Jesteśmy prawie na miejscu - odparł łagodnie.

Pogalopowała naprzód, na chwilę znikła im z oczu, zaraz wróciła, przemknęła obok Kivrin i Agnes, ostro ściągnęła cugle, po czym znowu popędziła na szczyt wzniesienia. Zupełnie jak szczur, miotający się w poszukiwaniu drogi ucieczki, pomyślała Kivrin.

Mżawka stopniowo zamieniała się w marznący deszcz. Ojciec Roche naciągnął kaptur na wygoloną głowę i poprowadził objuczzonego osła ku szczytowi pagórka. Niespodziewanie zwierzę zatrzymało się tak gwałtownie, że wyrwało mu wodze z ręki. Roche chwycił konopny sznur i pociągnął mocno, lecz osioł zaparł się czterema nogami i ani myślał iść dalej.

- Co się stało? - zapytała Kivrin.

- Chodźże, Balaam! - przemówił do osła ojciec Roche, lecz zwierzę nadal stało nieruchomo jak posąg. Kapłan ponownie szarpnął za wodze, tym razem mocniej niż poprzednio, lecz osiągnął tylko tyle, że osioł spróbował się cofnąć, niemal przysiadając na zadnich nogach.

- Może nie lubi deszczu? - zastanawiała się Agnes na głos.

- Możemy jakoś pomóc? - spytała Kivrin.

- Nie - odparł i dał im znak ręką, by jechały dalej. - Spróbuję przemówić mu do rozsądku.

Owinął sobie sznur dokoła ręki i zaszedł osła od tyłu, jakby zamierzał go popchnąć. Kivrin co chwila ogłądała się wstecz, gdyż bała się, by uparte zwierzę nie zaczęło wierzgać, co mogło zakończyć się fatalnym w skutkach kopnięciem w głowę.

Wkrótce dotarły do szczytu wzniesienia. Padający gęsto deszcz utrudniał widoczność, śnieg na drodze zaczął się szybko topić, u dołu wzgórza utworzyło się błotniste bajoro. Po obu stronach drogi rosły gęste krzaki przykryte śnieżnymi czapami. Rosemunda czekała na szczycie następnego pagórka; las kończył się mniej więcej w połowie zbocza, wierzchołek był zupełnie nagi, za nim zaś - Kivrin wiedziała o tym tak dokładnie, jakby znajdowała się na miejscu Rosemundy - zaczynała się rozległa równina przecięta gościńcem wiodącym do Oxfordu.

- Lady Kivrin, zaczekaj! - krzyknęła Agnes, ale Kivrin była już w zagłębieniu terenu między dwoma wzgórzami. Zeskoczyła z deresza i poczęła strząsać śnieg z gałęzi, aby przekonać się, czy młode drzewka, właściwie krzewy, to wierzby, których widok tak głęboko utkwiał jej w pamięci. Tak! A tam, za nimi, nieco w głębi, korona potężnego dębu! Zarzuciła wodze na kark zwierzęcia, po czym zaczęła przedzierać się przez

gęstwinię. Śnieg i mróz połączyły gałęzie wierzb, tworząc z nich coś w rodzaju elastycznej, ale jednocześnie stawiającej silny opór ściany. Jednak po krótkiej walce zdołała pokonać przeszkodę, niemal biegiem przebyła kilkanaście metrów rzadszego lasu, rozsunęła kolejną zasłonę z gałęzi i znalazła się na polanie.

Rósł tam dąb, a nieco dalej kępa brzoź; patrząc na ich białe pnie łatwo można było odnieść wrażenie, że to prześwity między innymi, większymi drzewami. Tak, to na pewno tutaj!

A jednak nie wszystko się zgadzało. Tamta polana była chyba trochę mniejsza i dąb miał więcej suchych liści. Nie mogła sobie również przypomnieć dorodnego krzewu tarniny rosnącego przy samej ścianie lasu. Tak bardzo rzucał się w oczy, że z pewnością zapamiętałaby, gdyby go kiedyś widziała.

Wszystko przez ten śnieg, przemknęło jej przez głowę. To dlatego polana wydaje się większa. Miejscami głębokość śniegu z pewnością przekraczała pół metra, na powierzchni zaś, skuty warstewką topniejącego lodu, był nie naruszony. Przez kilka minionych dni z pewnością nikt tędy nie chodził.

- Czy ojciec Roche zamierza zbierać tu bluszcz? - zapytała Rosemunda, wychodząc z lasu na polanę, po czym oparła ręce na biodrach i rozejrzała się dokoła. - Nie widzę tu żadnego bluszczu.

Właśnie: przecież pień dębu był opleciony bluszczem! A dokoła rosły grzyby. Tak, to śnieg. Przykrył ziemię grubą warstwą, kryjąc charakterystyczne szczegóły, a także ślady, jakie z pewnością pozostawił Gawyn, ciągnąc w kierunku drogi resztki wozu i kufry.

Została tylko szkatułka. Gawyn nie przywiózł jej do dworu, ponieważ Kivrin ukryła ją w krzakach przy drodze.

Zawróciła raptownie, mało nie przewracając Rosemundy, i szybkim krokiem ruszyła z powrotem ku ścieżce. Naturalnie szkatułka także znalazła się pod śniegiem, ale tam nie był on aż tak głęboki, sama szkatułka zaś miała co najmniej czterdzieści centymetrów wysokości.

- Lady Katherine! - zawołała Rosemunda, biegnąc za nią. - Dokąd idziecie?

- Kivrin! - Głos Agnes zabrzmiał niczym żalosne echo. Dziewczynka usiłowała zsiąść z kucyka, który spokojnie stał na środku drogi, ale stopa uwięzła jej w strzemieniu. - Lady Kivrin, pomóż mi!

Kivrin przez chwilę wpatrywała się w nią nie widzącym spojrzeniem, po czym popatrzyła w stronę, z której niedawno przybyli. Ojciec Roche wciąż walczył z upartym osłem. Zrozumiała w okamgnieniu, że jeśli ma znaleźć szkatułkę, musi uczynić to teraz, dopóki księdza nie ma w pobliżu.

- Nie zsiadaj z konia, Agnes! - poleciła małej, a następnie uklękła i zaczęła oburącz grzebać w śniegu pod wierzbami.

- Czego szukacie? - spytała zadyszana Rosemunda. - Przecież tam nie ma bluszczu!

- Lady Kivrin, na pomoc!

Może powinna szukać głębiej pod drzewkami? Sięgnęła najdalej jak mogła, ale choć odrzucała śnieg pełnymi garściami, niczego nie znalazła. Gdyby szkatułka była w tym miejscu, zobaczyłaby ją bez żadnego trudu, ponieważ przez gęsto splecione gałęzie przedostało się niewiele śniegu i grunt dokoła cienkich pni pokrywała zaledwie kilkunastocentymetrowa warstwa. Musi gdzieś tu być! - kołatała jej w głowie rozpaczliwa myśl. Przecież to tutaj! Na pewno!

- Lady Kivrin!

Agnes zdołała zsunąć się z grzbietu kucyka i co sił w nogach biegła w jej stronę. Kivrin otworzyła już usta, aby ostrzec małą, ale zanim zdążyła powiedzieć choćby słowo, dziewczynka zawadziła stopą o wystający korzeń i rozciągnęła się jak długa na ziemi.

Siła uderzenia była tak wielka, że Agnes przez dłuższą chwilę nie mogła złapać tchu. Kiedy kilka sekund później znalazły się przy niej Kivrin i Rosemunda, dziewczynka wciąż łapała powietrze szeroko otwartymi ustami. Dopiero gdy Kivrin chwyciła ją w objęcia i podniosła z ziemi, mała zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

- Idź po ojca Roche'a - poleciła Kivrin Rosemundzie. - Jest tam, na szczycie wzgórza. Osioł mu się znarowił.

- Ojciec Roche już tu idzie - odparła Rosemunda.

Istotnie, choć nie tyle szedł, co raczej kłusował niezgrabnie drogą, naturalnie bez osła, który jakby nigdy nic stał nieruchomo na wzniesieniu. Kivrin chciała go ostrzec, żeby uważał na siebie, ale zrezygnowała z tego zamiaru; Agnes darła się tak głośno, że z pewnością niczego by nie usłyszał.

- Cicho, kochanie - próbowała uspokoić rozhisteryzowane dziecko. - Nic ci nie będzie. Zaraz normalnie odetchniesz.

Kiedy tylko zadyszany i spocony kapłan stanął przy nich, dziewczynka rzuciła mu się w ramiona, on zaś objął ją delikatnie i przytulił do piersi.

- Szszsz, Agnes - wymamrotał ciepłym, kojącym głosem. - Już dobrze, dobrze...

Przeraźliwe krzyki zamieniły się w szloch.

- W co się uderzyłaś? - zapytała Kivrin, otrzepując małą ze śniegu. - Podrapałaś sobie ręce?

Ojciec Roche odwrócił dziewczynkę, by Kivrin mogła ściągnąć jej rękawice. Agnes miała mocno zaczerwienione ręce, ale nie było na nich żadnych zadrapań ani skaleczeń.

- Powiedz, co cię boli?

- Nic ją nie boli! - prychnęła pogardliwie Rosemunda. - Ryczy, bo mazgaj z niej i tyle!

- Wcale nie jestem mazgaj! - wrzasnęła Agnes, wkładając w to tyle energii, że niewiele brakowało a wysu-
nęłaby się z objęć kapłana. - Uderzyłam się w kolano!

- W które? To, które miałaś skaleczone?

- Tak - odparła nieco ciszej dziewczynka. - Nie patrz! - krzyknęła, kiedy Kivrin pochyliła się, by obejrzeć jej nóżkę.

- Jak chcesz. - Strup, który zdążył utworzyć się na ranie, z pewnością został częściowo lub całkowicie
zdarty, ale skoro krwawienie nie było zbyt silne, ściąganie ubrania i wystawianie dziecka na chłód nie miało
najmniejszego sensu. - Ale pokażesz mi je, kiedy tylko wrócimy do domu.

- A kiedy wrócimy?

Kivrin bezradnie rozejrzała się dokoła. To musi być to miejsce! Wierzby, polana, bezleśne wzgórze...
Wszystko się zgadza! Może gdyby poszukała szkatułki trochę dalej od drogi albo...

- Ja chcę do domu! - oświadczyła Agnes płaczącym tonem. - Zimno mi! Chcę już wracać!

Kivrin z ociąganiem skinęła głową.

- Dobrze.

Rękawice dziewczynki były zupełnie przemoczone, więc oddała jej własne, które, ku zachwytowi Agnes,
sięgały jej prawie do łokci. Kivrin miała już nadzieję, że dziewczynka zapomniała o stłuczonym kolanie,
lecz kiedy ojciec Roche spróbował wsadzić ją na kucyka, mała ponownie zaczęła szlochać.

- Wolę jechać z tobą, lady Kivrin.

Kivrin dosiadła deresza i odebrała dziewczynkę od kapłana, ten zaś wziął kucyka za uzdę, po czym ruszył
z powrotem na szczyt wzgórza. Osiołek zszedł tymczasem z drogi i flegmatycznie skubał suche chwasty
wystające gdzieś pod śniegu.

Kivrin obejrzała się przez ramię, próbując dostrzec polanę przez zasłonę z gałęzi i padającego bez przerwy
deszczu. To na pewno tutaj, powtórzyła w myślach, lecz zaraz potem ogarnęły ją wątpliwości. Z tego miejs-
ca nawet łysy pagórek wyglądał nie tak jak powinien.

Kiedy tylko ojciec Roche chwycił osła za wodze, zwierzę pochyliło łeb i wbiło kopyta w śnieg, ale szybko
zrezygnowało z oporu, ponieważ właściciel poprowadził je z powrotem w kierunku, z którego niedawno
przybyli.

Topiący się śnieg sprawiał, iż z każdą chwilą robiło się coraz bardziej ślisko. Zwróciła na to uwagę nawet
Rosemunda, bo choć znowu wysforowała się na czoło, to nie zmuszała klaczy do galopu, zadowolając się
kłusem.

Minęli pierwsze rozwidlenie, na drugim natomiast ojciec Roche skręcił w lewo. Niemal co kilkanaście
metrów mijali kępy wierzb i rozłożyste dęby, a u podnóża każdego wzniesienia znajdowały się częściowo
zamarznęte błotniste kałuże z wyżłobionymi koleinami.

- Czy już wracamy do domu? - zapytała Agnes, szcękając z zimna zębami.

- Tak. - Kivrin otuliła ją szczelniej połą swojego płaszcza. - Boli cię kolano?

- Nie. Zapomniałyśmy narwać bluszcza. - Nagle wyprostowała się i odwróciła w stronę Kivrin. - Czy
przypomniałaś sobie wszystko, kiedy zobaczyłaś to miejsce?

- Nie.

- To dobrze. - Dziewczynka ponownie przytuliła się do niej. - Teraz zostaniesz z nami na zawsze.

17.

Andrews zadzwonił do Dunworthy'ego dopiero późnym popołudniem w Boże Narodzenie. Jak można
było oczekiwać, Colin nastawił budzik na nieprzyzwoicie wczesną godzinę, by jak najprędzej dobrać się do
skromnego stosiku prezentów.

- Będzie pan gnął w łóżku przez cały dzień? - zapytał Dunworthy'ego, kiedy ten po omacku szukał okula-
rów na nocnym stoliku. - Już prawie ósma!

W rzeczywistości było dopiero piętnaście po szóstej. Na zewnątrz panowały jeszcze ciemności tak głębo-
kie, że nawet nie sposób było stwierdzić, czy pada. Colin miał prawo czuć się wypoczęty i rześki, gdyż
znacznie wcześniej położył się spać. Po nabożeństwie Dunworthy odesłał chłopca do college'u, sam zaś pos-
zedł do kliniki zapytać o zdrowie Latimera.

- Ma gorączkę, ale płuca są w porządku, przynajmniej na razie - poinformowała go Mary. - Zgłosił się o
piątej. Powiedział, że mniej więcej od pierwszej boli go głowa i ma kłopoty z koncentracją. Czterdzieści osi-
em godzin, prawie co do minuty. Nawet nie trzeba go wypytywać żeby domyślić się, od kogo to złapał. A
jak ty się czujesz?

Zmusiła go, żeby oddał krew do badania, a ponieważ akurat przywieziono nowego chorego, zaprowadziła
go do sali, by spróbował zidentyfikować nieszczęśnika. Kiedy wreszcie wrócił do domu, była już pierwsza w
nocy.

Colin wsadził mu na głowę koronę z kolorowego papieru, zmusił do rozerwania rulonu niespodzianki, a
następnie przeczytał na głos znaną w środku sentencję:

- "Kiedy renifer świętego Mikołaja wie, że może wejść do środka? Wtedy, kiedy drzwi są otwarte".

Chłopiec także miał na głowie papierową koronę. Otwierał paczki z prezentami siedząc po turecku na podłodze. Cukierki, co do których Dunworthy miał wątpliwości, czy nie są granulowanym mydłem, okazały się strzałem w dziesiątkę.

- Widzi pan? - zapytał chłopiec, wystawiając język. - Zmieniają kolor!

Istotnie. Przy okazji kolor zmieniały również dziąsła, język, zęby i podniebienie.

Książka także sprawiła mu sporo uciechy, choć nie ulegało wątpliwości, że żałuje, iż nie zawiera hologramów. Niemniej jednak z zainteresowaniem przeglądał ilustracje.

- Niech pan popatrzy! - powiedział, po czym rzucił tom Dunworthy'emu, który wciąż jeszcze usiłował się obudzić.

Rycina przedstawiała grobowiec rycerza z tradycyjnym wizerunkiem zmarłego na pokrywie; jednak na bocznej ścianie grobowca umieszczono płaskorzeźbę zupełnie innego rodzaju: zmarły usiłował wydostać się z trumny, przegniłe ciało odpadało płatami od kości, zakrzywione palce przypominały szpony drapieżnego ptaka, puste oczodoły czaszki budziły przerażenie wypełniającą je czarną nicością, ohydne robaki wyslizgiwały się spomiędzy obnażonych żeber i wiły się dokoła miecza. "Oxfordshire, ok. 1350" - głosił podpis. "Typowa dekoracja grobowca z okresu Czarnej Śmierci".

- Ale wdechowe! - zachwycił się Colin.

W kwestii szalika zachował się jak wytrawny dyplomata.

- Liczą się chyba intencje, prawda? - zauważył, trzymając go dwoma palcami i przyglądając mu się krytycznie, po jakiejś minucie zaś dodał: - Będę go zakładał idąc w odwiedziny do chorych. Im i tak jest wszystko jedno.

- Jakich chorych? - zaniepokoił się Dunworthy.

Colin podniósł się z podłogi, podszedł do leżącej w kącie pokoju torby i zaczął w niej grzebać.

- Pastor zapytał mnie wczoraj wieczorem, czy zgodziłbym się pomóc mu roznosić ludziom lekarstwa, sprawdzać, czy czegoś nie potrzebują, i w ogóle, trochę zająć się nimi... - Wreszcie wyłowił szarą papierową torebkę i wręczył ją Dunworthy'emu. - To pański prezent. Jest nie zapakowany - poinformował zupełnie niepotrzebnie - bo Finch powiedział, że trzeba oszczędzać papier.

W torebce znajdowała się niezbyt gruba książka w czerwonej oprawie.

- To kalendarz - wyjaśnił Colin. - Żeby mógł pan skreślać dni do powrotu tej dziewczyny. - Otworzył kalendarz na pierwszej stronie. - Widzi pan? Specjalnie szukałem takiego, który zaczyna się od grudnia.

- Dziękuję - powiedział Dunworthy, przerzucając strony. Boże Narodzenie. Dzień Młodzianków. Nowy Rok. Trzech Króli. - To bardzo miło z twojej strony.

- Co prawda chciałem panu kupić miniaturę Wieży Carfax z pozytywką grającą kolędę, ale okazało się, że kosztuje dwadzieścia funtów.

Zadzwoił telefon. Colin i Dunworthy jednocześnie rzucili się do aparatu.

- Założę się, że to mama!

Jednak na ekranie pojawiła się twarz Mary.

- Jak się czujesz?

- Jeszcze śpię - odparł Dunworthy.

Colin posłał mu niewinny uśmiech.

- Co z Latimerem?

- W porządku. - Co prawda Mary wciąż była w lekarskim fartuchu, ale zdążyła się uczesać i miała pogodny wyraz twarzy. - Chyba przejdzie przez to bez komplikacji. Udało nam się znaleźć "amerykańskiego łącznika".

- Latimer był w Stanach?

- Nie. Jeden ze studentów, z którymi rozmawiałeś wczoraj... to znaczy, przedwczoraj wieczorem. Boże, zaczynam tracić poczucie czasu! Wiesz, jeden z tych, którzy byli na zabawie w Headington. Wtedy skłamał, bo miał niezbyt czyste sumienie: otóż po kryjomu wymknął się z college'u, żeby spotkać się z dziewczyną, a w tym czasie...

- Wymknął się do Południowej Karoliny?

- Nie, do Londynu, ale jego przyjaciółka właśnie przyleciała ze Stanów. Miała przesiadkę w Charleston w Południowej Karolinie. Amerykanie już poszukują ludzi, którzy przebywali wtedy na terenie lotniska. Masz gdzieś pod ręką Colina? Chciałam życzyć mu wesołych Świąt.

Dunworthy oddał słuchawkę chłopcu, który natychmiast zaczął wliczać otrzymane prezenty, nie zapominając nawet o zacytowaniu sentencji znalezionej w rulonie-niespodziance.

- Pan Dunworthy dał mi książkę o średniowieczu. - Zbliżył ją do ekranu. - Czy wiesz, babciu, że wtedy ucinano złodziejom głowy i wywieszano je na London Bridge?

- Podziękuj za upominki, ale nic nie mów, że zgodziłeś się pomagać pastorowi! - szepnął Dunworthy, lecz chłopiec już oddawał mu słuchawkę.

- Babcia chce jeszcze z panem porozmawiać.

- Wygląda na to, że dobrze się nim opiekujesz - powiedziała Mary. - Jestem ci ogromnie wdzięczna. Jeszcze nie udało mi się wyrwać do domu, a nie darowałabym sobie, gdyby musiał spędzić sam Święta. Zapewne prezenty, które obiecała mu matka, jeszcze nie dotarły?

- Nie - odparł ostrożnie Dunworthy, zerkając na Colina, ale chłopiec z zainteresowaniem przeglądał książkę.

- Ani nawet nie zadzwoniła! - stwierdziła Mary z goryczą. - Ta kobieta w ogóle nie ma instynktu macierzyńskiego! Na szczęście Colin jest zdrowy, ale przecież równie dobrze mógłby leżeć w szpitalu z czterdziestopniową gorączką.

- Co z Badrim? - zapytał, zmieniając temat.

- Temperatura trochę spadła, ale z płucami wciąż nie jest w porządku. Od dzisiaj zacnie dostawać syntamycynę. U chorych, którzy zetknęli się z wirusem z Południowej Karoliny, po podaniu tego leku stwierdzono znaczną poprawę.

Obiecała, że zrobi wszystko, by wziąć udział w świątecznym obiedzie, po czym odłożyła słuchawkę.

- Czy pan wie, że w średniowieczu palono ludzi na stosach? - zapytał chłopiec, odrywając wzrok od książki.

Andrews wciąż nie dzwonił. Dunworthy posłał chłopca na śniadanie, sam zaś usiadł przy telefonie, ale nie uzyskał żadnego połączenia "z powodu świątecznego przeciążenia linii", jak poinformował go uprzejmy komputer, najwyraźniej nie przeprogramowany od początku kwarantanny. Dunworthy wysłuchał rady, aby ograniczyć do minimum liczbę rozmów, po czym spróbował jeszcze dwa razy, ale bez rezultatu.

Rozległo się pukanie i do pokoju wkroczył Finch z tacą.

- Dobrze pan się czuje? - zapytał z niepokojem. - Nie jest pan chory?

- Nie, nie jestem chory. Czekam na ważny telefon.

- Dzięki Bogu! Kiedy nie przyszedł pan na śniadanie, ogarnęły mnie makabryczne przeczucia. - Zdjął z tacy mokrą od deszczu przykrywkę. - Obawiam się, że to niezbyt wystawne śniadanie jak na Boże Narodzenie, ale już prawie skończyły się jajka. Nawet boję się myśleć o obiedzie, bo wątpię, by na terenie objętym kwarantanną uchowala się choć jedna gęś.

Śniadanie wcale nie było takie złe: jajko na twardo, odrobina wędzonego łososia, bułeczki i dżem.

- Miałem nadzieję, że uda się zrobić świąteczny pudding, ale wyszła nam już prawie cała brandy.

Finch wyjął z kieszeni plastikową kopertę i wręczył ją Dunworthy'emu.

Jako pierwsza wypadła z niej ulotka przygotowana przez Ministerstwo Zdrowia zatytułowana "Wczesne objawy grypy". Tymi wczesnymi objawami miały być w kolejności: 1) Trudności ze skupieniem uwagi; 2) Bóle głowy; 3) Bóle mięśni. Zalecenia, jak nie dopuścić do zarażenia, brzmiały następująco: "Unikaj kontaktu z wirusem. Nie wychodź z domu bez maski na twarzy".

- Maski? Jakie znowu maski?

- Przysłali je dziś rano - odparł Finch. - Naprawdę nie wiem, jak poradzimy sobie ze zmywaniem. Zostało bardzo niewiele płynu.

Koperta zawierała jeszcze kilka ulotek i broszur o bardzo podobnej treści oraz zdobyty przez Williama Gaddsona komputerowy wydruk wydatków Badriego dokonanych w poniedziałek 20 grudnia. Z wydruku wynikało, że od dwunastej do wpół do trzeciej technik był na zakupach. W tym czasie nabył cztery książki (wszystkie w miękkiej oprawie), czerwony szalik u Blackwella oraz pozytywkę u Debenhama. Wspaniale. Oznaczało to co najmniej kilkadziesiąt kolejnych osób, które miały pecha i się z nim zetknęły.

Wrócił Colin ze stosem bułek posmarowanych grubo dżemem. Wciąż miał na głowie papierową koronę, której nie bardzo posłużył kontakt z deszczem.

- W takim razie poinformuję wszystkich, że przyjdzie pan do jadalni, kiedy tylko skończy pan rozmowę. Szczególnie pani Gaddson jest pewna, że dopadł pana wirus. Twierdzi, iż stało się tak z powodu niesprawnego systemu wentylacji pomieszczeń mieszkalnych.

- Przyjdę na pewno - obiecał Dunworthy.

Finch ruszył do wyjścia, ale w drzwiach zatrzymał się nagle, jakby coś sobie przypomniał.

- Skoro już mowa o pani Gaddson... Zachowuje się wręcz skandalicznie. Bez przerwy krytykuje władze college'u, domaga się, by zakwaterowano ją z synem i przyczynia się do obniżenia morale.

- Nowina! - mruknął Colin, kładąc bułki na stole. - Przed chwilą powiedziała mi, że białe pieczywo wpływa niekorzystnie na mój układ odpornościowy.

- Czy nie można by zatrudnić jej w klinice albo gdziekolwiek? - zapytał Finch. - Byle tylko nie kręciła się po terenie college'u!

- Chciałby pan, żeby chorzy trafili w jej szpony? Część z nich mogłaby tego nie przeżyć. Już prędzej naupuscimy na nią pastora. Zdaje się, że poszukiwał ochotników.

- Pastora? - jęknął Colin. - Litości! Przecież ja pracuję dla niego!

- W takim razie księdza z Kościoła Reformowanego - zdecydował Dunworthy. - Sądząc po tym, jaki fragment Pisma Świętego wybrał na wczorajszą mszę, powinni łatwo znaleźć wspólny język.

- Zaraz do niego zadzwonię - powiedział Finch i wyszedł. Dunworthy zjadł śniadanie, rezygnując jednak z bułek z dżemem, co spotkało się z pełną aprobatą Colina, po czym udał się z pustą tacą do stołówki, nakazawszy chłopcu, by ten zawiadomił go natychmiast, jeśli tylko zadzwoni Andrews. Deszcz ciągle padał, drzewa były czarne i mokre, nieliczne kolorowe lampki, które miały przypominać o Świętach, zdawały się świecić najwyżej połową mocy.

Wszyscy siedzieli jeszcze przy stołach, z wyjątkiem dzwonniczek, które szykowały się chyba do próby, gdyż założyły już nieskazitelnie białe rękawiczki i zgromadziły się przy jednym ze stolików przy ścianie, na którym stały narzędzia ich pracy. Finch demonstrował zebranym, w jaki sposób należy posługiwać się maską.

- Nie wygląda pan najlepiej, panie Dunworthy - stwierdziła pani Gaddson. - I nic dziwnego. Warunki, jakie panują w tym college'u, są poniżej wszelkiej krytyki! Niedostateczna wentylacja, niezyczliwy personel... Proszę sobie wyobrazić, że pan Finch potraktował mnie co najmniej obcesowo, kiedy zwróciłam się do niego z prośbą, by zechciał przekwaterować mnie do pokoju mego syna! Powiedział, ni mniej, ni więcej, tylko że nikt nie kazał mi przyjeżdżać do Oxfordu podczas kwarantanny, i że skoro już tu jestem, to muszę podporządkować się decyzjom władz, które on reprezentuje!

Do jadalni wpadł zadyszany Colin.

- Telefon do pana! - zawołał.

Dunworthy ruszył w stronę wyjścia, lecz pani Gaddson zastąpiła mu drogę.

- Odparłam mu na to, że być może on siedziałby spokojnie w domu, wiedząc, iż jego ukochany syn jest wystawiony na śmiertelne niebezpieczeństwo, lecz ja na pewno tego nie uczynię!

- Doceniam pani poświęcenie, ale obawiam się, że muszę iść do telefonu...

- Powiedziałam mu również, że żadna matka nie pozostanie głucha na głos serca wzywającego ją, by pospieszyła z pomocą swemu dziecku.

- Panie Dunworthy! - syknął Colin.

- Ale trudno oczekiwać, by zrozumiał pan, co mam na myśli. Wystarczy popatrzeć na to nieszczęsne dziecko! - Chwyliła Colina za ramię. - Przy takiej temperaturze, w padającym deszczu, biega po dworze bez kurtki ani płaszcza!

Dunworthy skorzystał z okazji i przemknął obok rozjuszonych kobiety.

- Najwyraźniej nic pana nie obchodzi, czy ten biedny chłopiec zachoruje na tę straszną indyjską grype! - zawołała za nim. Colin gwałtownym szarpnięciem wyswobodził się z jej uścisku. - Mógłby pan przynajmniej dopilnować, żeby założył szalik!

Dunworthy gnał klusem przez dziedziniec, a Colin pól kroku za nim.

- Wcale mnie nie zdziwi, jeśli okaże się, że wirus rozprzestrzenia się właśnie stąd, z Balliol! Całkowita beztroska i brak odpowiedzialności! Właśnie to: brak odpowiedzialności!

Dunworthy wbiegł do pokoju i ciężko dysząc chwycił słuchawkę. Obrazu nie było, tylko dźwięk.

- Andrews? Jest pan tam? Nie widzę pana!

- Sieć jest przeciążona, więc wyłączyli wizję - powiedział kobiecie głos. - To ja, Lupe Montoya. Czy pan Basingame woli pstrągi, czy łososie?

- Słucham? - wykrztusił Dunworthy, wpatrując się z osłupieniem w pusty ekran.

- Od rana wydzwaniam do wszystkich biur turystycznych organizujących wyprawy wędkarskie do Szkocji. Wszyscy mówią mi, że po to, by ustalić miejsce jego pobytu, trzeba wiedzieć, czy woli łowić łososie, czy pstrągi. Ma może jakichś przyjaciół, którzy wiedzieliby coś na ten temat?

- Nie mam pojęcia. Ogromnie mi przykro, że nie mogę pani pomóc, ale właśnie czekam na bardzo ważny telefon...

- Sprawdzalam wszędzie, gdzie się dało: w hotelach, zajazdach, wypożyczalniach łodzi, nawet u fryzjera. Wytropiłam jego żonę w Torquay, ale ona twierdzi, że mąż nigdy nie mówi jej, gdzie będzie wędkował. Mam nadzieję, że nie ma na boku jakiejś baby, bo to mogłoby oznaczać, że wcale nie jest w Szkocji, tylko zupełnie gdzie indziej.

- Nie przypuszczam, by pan Basingame...

- Jasne, ale w takim razie czemu nikt nie wie, gdzie się podział? I dlaczego nie zadzwonił, chociaż o epidemii trąbią we wszystkich dziennikach i piszą w gazetach?

- Naprawdę nie...

- Wygląda na to, że będę musiała szukać i w łososiach, i w pstrągach. Dam panu znać, jeśli tylko go znajdę.

Rozłączyła się, Dunworthy zaś z ciężkim sercem odłożył słuchawkę. Przecucie podpowiadało mu, iż Andrews próbował skontaktować się z nim właśnie wtedy, kiedy rozmawiał z Montoyą.

- Mówił pan, że w średniowieczu było mnóstwo różnych epidemii?

Colin siedział z książką na kolanach w fotelu przy oknie i zjadał kolejną bułkę z dżemem.

- Zgadza się.

- Nie mogę o nich nic znaleźć. Pod czym mam szukać?

- Spróbuj pod Czarną Śmiercią.

Odczekał kwadrans, po czym po raz kolejny wystukał numer Andrews. Niestety, linia była zajęta.

- Wie pan, że Czarna Śmierć była w Oxfordzie? - wykrzyknął z zachwytem chłopiec. Spałaszował już wszystkie bułki, więc ponownie zajął się barwiącymi cukierkami. - I to w Boże Narodzenie, zupełnie jak teraz!

- Nasza grypa nie może równać się z dżumą - odparł Dunworthy, wpatrując się w telefon, jakby miał nadzieję, że w ten sposób zmusi go, by się odezwał. - Czarna Śmierć zgładziła jedną trzecią albo nawet połowę ludności Europy.

Colin skinął głową.

- Wiem. I była dużo bardziej interesująca. Przenosiły ją szczury, chorzy dostawali wielkich guzów...

- Nie guzów, tylko dymienic.

- ...wielkich dymienic pod pachami, te dymienice rosły i rosły, i robiły się coraz bardziej czarne, a potem bach, i po gościu! Przy grypie nie ma czegoś takiego - stwierdził z rozczarowaniem.

- Istotnie.

- Poza tym, grypa to grypa, a dżumy były aż trzy rodzaje: dymienicza, to ta z guzami, płucna, czyli taka, która włąziła w płuca, i wtedy pluło się krwią, i po... posok...

- Posocznicowa.

- Właśnie, czyli taka, która włąziła w krew, a wtedy gość umierał po trzech godzinach i był cały czarny. Ale wdechowo!

Dunworthy nic nie odpowiedział.

Telefon zadzwonił ponownie tuż po jedenastej, ale okazało się, że to Mary, która poinformowała ich, że nie będzie mogła przyjść na obiad.

- Od rana przywieziono nam pięciu kolejnych pacjentów.

- Przyjdziemy do szpitala, jak tylko doczekam się na połączenie - obiecał Dunworthy. - Ma dzwonić jeden z moich techników. Poproszę go, żeby przyjechał tu i sprawdził obliczenia.

- Skonsultowałeś się z Gilchristem?

- Z Gilchristem? On nie ma czasu na takie głupstwa. Myśli już tylko o tym, w jaki sposób wysłać Kivrin do średniowiecza w okresie, kiedy Czarna Śmierć zbierała najobfitsze żniwo!

- Niemniej wydaje mi się, że powinienś go zawiadomić. Bądź co bądź, to on zastępuje dziekana i lepiej go sobie nie zrażać. Jeśli okaże się, że jednak coś jest nie w porządku i Andrews będzie musiał ściągać Kivrin w trybie awaryjnym, współpraca z nim stanie się koniecznością. - Uśmiechnęła się do Dunworthy'ego. - Pogadamy o tym kiedy przyjdziecie. Przy okazji dostaniecie zastrzyki wzmacniające układ odpornościowy.

- Myślałem, że poczekaś na wyniki badań?

- Ja też tak myślałam, ale nie podoba mi się reakcja chorych na leki, które stosowano w przypadkach zarażenia wirusem z Południowej Karoliny. Co prawda u kilku osób zaobserwowaliśmy niewielką poprawę, ale na przykład Badri poczuł się wyraźnie gorzej. Doszłam do wniosku, że wszyscy, którzy mają zwiększone szanse na zetknięcie się z wirusem, powinni poddać się profilaktycznym szczepieniom wzmacniającym układ odpornościowy.

Minęło południe a Andrews wciąż jednak nie dzwonił. Dunworthy posłał Colina do szpitala na zastrzyk; chłopiec wrócił ze zboląłą miną.

- Aż tak źle?

- Gorzej - odparł Colin, siadając z westchnieniem w fotelu. - W korytarzu wpadłem na panią Gaddson. Rozcierałem sobie miejsce po zastrzyku, a ona natychmiast wszystkiego się domyśliła i zaczęła mnie wypytywać, dlaczego to ja zostałem zaszczepiony, a nie William. - Spojrzał z wyrzutem na Dunworthy'ego. - Nie dość, że mnie bolało, to jeszcze musiałem wysłuchać wykładu o tym, że jeśli ktokolwiek jest narażony bardziej od innych na kontakt z wirusem, to właśnie jej biedny William, i że fakt, iż to mnie zaszczepiono, zamiast niego, świadczy o szerzącej się ne... nekrofilii.

- Może nepotyzmie?

- Może. Mam nadzieję, że pastor da jej najgorszą robotę.

- A co u babci?

- Nie widziałem jej. Mają tam prawdziwe urwanie głowy - łóżka w korytarzach, i w ogóle.

Ustalili, że na obiad najpierw pójdzie Colin, a kiedy wróci, zastąpi Dunworthy'ego przy telefonie. Chłopiec zjawił się już po kwadransie.

- Dzwonniczki postanowiły uświetnić obiad dając koncert, a pan Finch prosił, aby panu powiedzieć, że skończył się już cukier i masło, a lada chwila zabraknie śmietanki. - Ostrożnie wyjął z kieszeni kurtki ciastko z marmoladą. - Jak to jest, że wciąż mają pod dostatkiem brukselki?

Dunworthy przypomniał mu, aby go natychmiast wezwał, gdyby zadzwonił Andrews, oraz by zapisywał wszystkie inne wiadomości, po czym udał się do jadalni. Dźwięki, które dotarły do jego uszu już na dziedzińcu, świadczyły o tym, iż koncert trwa w najlepsze.

Finch wręczył mu talerz, na którym piętrzyła się niemal sama brukselka.

- Przykro mi, proszę pana, ale indyk już się prawie skończył. Dobrze, że pan przyszedł, bo niebawem królowa wygłosi świąteczne orędzie.

Dzwonniczki odstawiły narzędzia tortur, co spotkało się z entuzjastyczną owacją, pani Taylor zaś, wciąż w białych rękawiczkach, podeszła do stolika, przy którym usiadł Dunworthy.

- A, jest pan wreszcie. Nie widziałam pana przy śniadaniu, a pan Finch twierdzi, że tylko pan może nam pomóc. Potrzebujemy sali ćwiczeń.

- Sali ćwiczeń?

- Tak, żebyśmy mogły przeprowadzić próbę Mszy Chicagowskiej. Ustaliłam z dziekanem kościoła Jezusa Chrystusa, że wystąpimy tam w Nowy Rok, ale najpierw będziemy musiały trochę poćwiczyć. Odpowiadałaby nam ta duża sala we wschodnim skrzydle...

- Chodzi o pokój wykładowców, proszę pana.

- ...ale pan Finch twierdzi, iż zmagazynowano w niej zapasy żywności.

Zapasy żywności? - zdziwił się w duchu Dunworthy. Jakie zapasy? Przecież, jeśli wierzyć Finchowi, brakuje nam już wszystkiego, naturalnie z wyjątkiem brukselki.

- Odmówił też udostępnienia sal wykładowych pod pretekstem, że mogą być potrzebne dla chorych, kiedy zabraknie miejsca w szpitalu. Zależy nam na jakimś spokojnym zakątku, żebyśmy mogły się skupić. Msza Chicagowska to bardzo skomplikowany utwór. Częste zmiany głosu prowadzącego wymagają maksymalnej koncentracji, a do tego, naturalnie, dochodzą problemy natury technicznej.

- Oczywiście - przytaknął skwapliwie.

- Pomieszczenie nie musi być duże, ale powinno znajdować się na uboczu. Do tej pory ćwiczyłyśmy w jadalni, ale tutaj bez przerwy ktoś się kręci. W takich warunkach trudno skoncentrować się na pracy.

- Jestem pewien, że znajdziemy coś odpowiedniego.

- Co prawda w takim składzie powinniśmy zagrać Mszę Filadelfijską, ale z tego co wiem, w ubiegłym roku wykonał ją Septet Północnoamerykański - nawiasem mówiąc, w sposób dość daleko odbiegający od ideału. Podobno tenor ciągle się spóźniał, a w dodatku szwankowała precyzja uderzeń. Między innymi dlatego chcemy przeprowadzać tyle prób, ile się da. Dobre uderzenie to podstawa.

- Oczywiście - powtórzył Dunworthy. Zerknąwszy ponad ramieniem panny Taylor dostrzegł w drzwiach jadalni panią Gaddson. Prezentowała się jeszcze bardziej imponująco niż zazwyczaj i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż jest czymś mocno zirytowana. - Proszę mi wybaczyć, ale teraz muszę wracać do siebie, ponieważ czekam na ważny telefon.

Obiecał panie Taylor, że poszuka odpowiedniego pokoju albo sali, gdzie mogłyby do woli ćwiczyć precyzję uderzeń, po czym wymknął się drzwiami prowadzącymi do kuchni. Andrews wciąż nie dzwonił, jedyna wiadomość zaś pochodziła od Montoi.

- Mam panu przekazać, że nieważne.

- I to wszystko? Nie powiedziała nic więcej?

- Nic. Tylko tyle: "Powiedz panu Dunworthy'emu, że to już nieważne".

O co mogło jej chodzić? Po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że albo odszukała Basingame'a, albo uznała, iż nie ma znaczenia, czy wybrał się na łososie, czy na pstrągi. Korciło go, by zadzwonić do niej i wyjaśnić wszystko u źródła, ale obawiał się, że w tym samym czasie będzie telefonował Andrews.

Technik zadzwonił dopiero tuż przed czwartą.

- Bardzo przepraszam, że nie skontaktowałem się z panem wcześniej. - Nadal nie włączono wizji, ale w tle słychać było wyraźne dźwięki muzyki i gwar rozmów. - Wczoraj wieczorem nie było mnie w domu, a dzisiaj miałem ogromne trudności, żeby się dodzwonić na Uniwersytet. Sieć jest chyba przeciążona, jak zwykle podczas Świąt, a w dodatku...

- Musi pan przyjechać do Oxfordu - przerwał mu Dunworthy. - Trzeba powtórnie obliczyć parametry przeskoku.

- Oczywiście, proszę pana. Kiedy?

- Jak najszybciej. Na przykład dziś wieczorem.

- Och... - Andrews wyraźnie się zawahał. - A może jutro? Moja dziewczyna wróci dopiero późnym wieczorem, więc chcielibyśmy spędzić razem przynajmniej część drugiego dnia Świąt, ale po południu albo wieczorem mógłbym wsiąść w pociąg i przyjechać do Oxfordu. Czy to wystarczy? Naturalnie, jeśli są jakieś ograniczenia czasowe...

- Naszemu technikowi udało się zlokalizować dziewczynę, którą wysłaliśmy w XIV wiek, ale zaraz potem rozchorował się na gripę, więc potrzebujemy kogoś, kto odczytałby współrzędne - wyjaśnił Dunworthy. Z drugiego końca linii dobiegł donośny wybuch śmiechu, więc na wszelki wypadek podniósł głos. - O której mógłby pan tu być?

- Jeszcze nie wiem. Zadzwonię do pana jutro i powiem, jak przedstawia się sytuacja, dobrze?

- W porządku, ale proszę pamiętać, że metrem dojedzie pan tylko do Barton. Stamtąd musi pan wziąć taksówkę. Zawiadomię kogo trzeba, żeby wpuszczono pana na teren objęty kwarantanną.

Technik nie odpowiedział, choć połączenie nie zostało przerwane, ponieważ Dunworthy wciąż słyszał dźwięki muzyki.

- Andrews, jest pan tam jeszcze?

Kiedy wreszcie włączą wizję? To okropne, rozmawiać z kimś mając przed sobą pusty ekran.

- Tak, proszę pana - odparł Andrews niezbyt pewnym tonem. - Zechciałby pan powtórzyć, co mam zrobić?

- Odczytać współrzędne. Nasz technik zlokalizował...

- Chodzi o to, jak mam się dostać do Oxfordu.

- Dojedzie pan metrem do Barton. - Dunworthy mówił głośno i wyraźnie. - Dalej metro nie kursuje, więc wsiądzie pan w taksówkę, która dowiezie pana do granicy obszaru objętego kwarantanną.

- Kwarantanną?

- Tak. - Powoli ogarniała go irytacja. - Załatwię panu przepustkę, żeby mógł pan przekroczyć kordon.

- Co to za kwarantanna?

- W związku z pojawieniem się nowego wirusa. Nie słyszał pan o tym?

- Nie, proszę pana. Monitorowałem przeskok we Florencji i wróciłem dopiero kilka godzin temu. Czy to coś poważnego?

Wydawał się bardziej zaintrygowany niż zaniepokojony.

- Do tej pory zanotowaliśmy osiemdziesiąt jeden przypadków zachorowań.

- Osiemdziesiąt dwa - poprawił go Colin.

- Na szczęście wirus został już zidentyfikowany i niebawem otrzymamy skuteczną szczepionkę. Nie było też żadnych ofiar śmiertelnych.

- Ale założę się, że macie tam mnóstwo ludzi, którzy nie mogli wrócić na Święta do domów - zauważył technik. - W takim razie zadzwonię do pana przed południem, jak tylko będę wiedział o której godzinie przyjadę.

- Znakomicie. - Dunworthy jeszcze bardziej podniósł głos, ponieważ wrzawa na drugim końcu linii znacznie przybrała na sile. - Będę czekał.

- Do zobaczenia.

Usłyszał jeszcze jeden wybuch śmiechu, po czym połączenie zostało przerwane.

- I co, przyjedzie? - zapytał Colin.

- Tak. Jutro.

Wystukał numer Gilchrista. Tymczasowy zastępca Basingame'a pojawił się na ekranie niemal natychmiast.

- Panie Dunworthy, jeśli znowu zamierza pan mnie przekonywać, że należy natychmiast ściągnąć z powrotem pannę Engle... - zaczął z wojowniczą miną.

Na pewno zrobiłbym to, gdybym mógł, pomyślał Dunworthy, zastanawiając się, czy Gilchrist naprawdę nie zdaje sobie sprawy, że Kivrin już dawno opuściła miejsce przeskoku, w związku z czym nie pozostaje im nic innego jak czekać do ustalonej daty ponownego otwarcia sieci.

- Nie - wpadł tamtemu w słowo. - Chcę tylko powiedzieć, że udało mi się znaleźć technika, który precyzyjnie odczyta współrzędne.

- Pozwolę sobie panu przypomnieć, że...

- Ani przez chwilę nie zapominałem, że to pan kieruje tym przeskokiem. - Dunworthy czynił wszystko co w jego mocy, by zachować spokój. - Po prostu staram się pomóc. Zdaję sobie sprawę, iż w czasie ferii w Oxfordzie trudno znaleźć technika, więc skontaktowałem się telefonicznie z jednym z naszych, mieszkającym w Reading. Będzie tu jutro.

Gilchrist z dezaprobatą potrząsnął głową.

- Byłoby to zupełnie niepotrzebne, gdyby wasz technik nie uznał za stosowane rozchorować się w najmniej odpowiednim momencie, ale skoro już tak się stało, będziemy musieli zadowolić się tym, co mamy. Niech zgłosi się do mnie natychmiast po przyjeździe.

Dunworthy zdołał w miarę uprzejmie wymamrotać coś w rodzaju "do widzenia", ale kiedy tylko ekran ściemniał, cisnął słuchawkę, by zaraz potem ponownie chwycić za nią i zacząć pospiesznie wystukiwać kolejne numery. Znajdzie Basingame'a, choćby miał do wieczora siedzieć przy aparacie!

Niestety, komputer poinformował go, że wszystkie linie są zajęte, więc Dunworthy odłożył słuchawkę i zapatrzył się bezmyślnie w pusty ekran.

- Czekają pan jeszcze na jakiś telefon? - zapytał Colin.

- Nie.

- Więc może poszlibyśmy do szpitala? Mam prezent dla babci.

A ja przy okazji załatwię Andrewsowi zezwolenie na przekroczenie granicy obszaru objętego kwarantanną, pomyślał Dunworthy, na głos zaś powiedział:

- Znakomity pomysł. Będziesz mógł pokazać się jej w nowym szaliku.

Chłopiec wetknął szalik do kieszeni kurtki.

- Założę go dopiero na miejscu - powiedział z uśmiechem. - Nie chcę, żeby po drodze ktoś mnie w nim zobaczył.

Obawy Colina okazały się całkowicie nieuzasadnione, ponieważ na ulicach nie spotkali żywego ducha. Nie jeździły nawet taksówki ani rowery. Dunworthy przypomniał sobie słowa pastora, który powiedział, że podczas epidemii ludzie zazwyczaj kryli się w domach jak zwierzęta w norach. Tym razem pewną rolę mogła odegrać chęć ucieczki przed wszechobecnymi dźwiękami kurantów wygrywających opętańczo wciąż tę samą melodię; albo wszyscy drzemią po świątecznym obiedzie, albo uznali - bardzo słusznie - iż przy takiej pogodzie nie ma najmniejszego sensu wystawiać nosa na dwór.

Pierwszą osobą, jaką spotkali, była stojąca przed wejściem do kliniki kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym, z tablicą opatrzoną napisem: PRECZ Z IMPORTOWANYMI CHOROBIAMI. Towarzyszący jej mężczyzna w masce na twarzy otworzył im drzwi i wręczył przemoczoną ulotkę.

Dunworthy najpierw poprosił recepcjonistkę, by zawiadomiła Mary o ich przybyciu, a potem przyjrzał się ulotce. Wydrukowany tłustą czcionką nagłówek wzywał: WALCZ Z GRYPĄ! GŁOSUJ ZA WYSTĄPIENIEM Z UE! Poniżej znajdował się tekst następującej treści: "Dlaczego te Święta musisz spędzić z dala od najbliższych? Dlaczego musiałeś wbrew swojej woli zostać w Oxfordzie? Dlaczego grozi ci niebezpieczeństwo, że zachorujesz, a może nawet umrzesz? Dlatego, że Unia Europejska zmusza nas, byśmy wpuszczali do Anglii zarażonych cudzoziemców, my zaś nie mamy w tej sprawie nic do powiedzenia. Pewien indyjski emigrant, nosiciel śmiertelnie niebezpiecznego wirusa..."

Dunworthy spojrzał na odwrotną stronę mokrego świstka. "Głosując za wystąpieniem z UE, głosujesz za zdrowiem! Popieraj Komitet na Rzecz Niezależności Wielkiej Brytanii".

W hallu pojawiła się Mary. Colin pospiesznie wyszarpnął szalik z kieszeni i owinał go sobie dokoła szyi.

- Wesółych Świąt, babciu - powiedział. - Dziękuję za prezent. Mogę otworzyć twój rulon-niespodziankę?

- Tak, oczywiście.

Wyglądała na bardzo zmęczoną. Miała na sobie wciąż ten sam fartuch, który założyła dwa dni temu. Ktoś przypiął jej do kieszonki małą gałązkę jemioli.

Colin rozerwał rulon.

- Musisz to włożyć - powiedział, wręczając jej koronę z niebieskiego papieru.

- Udało ci się choć trochę zdrzemnąć? - zapytał Dunworthy.

- Kilka minut. - Wsadziła koronę na potargane siwe włosy. - Od południa przybyło nam trzydziestu chorych. Przez cały dzień próbuję dodzwonić się do Centrum Badań nad Grypą, żeby dowiedzieć się, czy zsekwencjonowali już wirusa, ale wszystkie linie są zajęte.

- Wiem. Mogę porozmawiać z Badrim?

- Najwyżej przez minutę albo dwie. - Zmarszczyła brwi. - W ogóle nie reaguje na syntamycynę, podobnie jak ci dwaj studenci z przyjęcia w Headington. Tylko Beverly Breen czuje się trochę lepiej. - Spojrzała na niego z niepokojem. - A co z tobą? Byłeś już na zastrzyku?

- Jeszcze nie, ale wysłałem Colina.

- Bolało jak diabli - poskarżył się chłopiec, rozwijając karteczkę, która wypadła z rozerwanego rulonu. - Przeczytać ci sentencję?

- Tak, proszę.

- Ściągnąłem na jutro technika, żeby odczytał współrzędne ustalone przez Badriego. Co mam zrobić, żeby wpuścili go do miasta?

- Nic. Zależy im tylko na tym, żeby nikt się stąd nie wydostał.

Rejestratorka wzięła Mary na stronę i powiedziała jej coś do ucha.

- Muszę już iść - oznajmiła babka Colina. - Tylko nie próbuj stąd uciec, dopóki nie dostaniesz zastrzyku! Zgłoś się zaraz, jak tylko wrócisz od Badriego. Colin, ty zaczekasz tutaj.

Dunworthy samodzielnie trafił na oddział zakaźny, wbił się w jednorazowy kombinezon, pamiętając o tym, by rękawiczki założyć na samym końcu, po czym wszedł do pokoju Badriego. Pielęgniarka - ta sama, która tak bardzo interesowała się Williamem Gaddsonem - mierzyła choremu puls, wpatrując się w monitory. Dunworthy podszedł na palcach i zatrzymał się przy łóżku.

Co prawda Mary uprzedziła go, że Badri jest w nie najlepszym stanie, niemniej jednak wygląd technika wywarł na nim wstrząsające wrażenie. Śniada skóra Badriego stała się niemal granatowa, pod oczami miał ciemne plamy, jakby niedawno ktoś go pobił, prawe ramię zaś, unieruchomione na zmyślnym wyciągu od łokcia aż do dłoni, przypominało jeden ogromny siniak. Drugie, spoczywające nieruchomo na kocu, wyglądało jeszcze gorzej.

- Badri?

Pielęgniarka oderwała wzrok od monitorów.

- Może pan zostać tylko kilka minut - uprzedziła go.

Dunworthy skinął głową.

Dziewczyna uwolniła przegub chorego z delikatnego uścisku, wystukała coś na klawiaturze komputera, po czym wyszła z pokoju.

Dunworthy usiadł na składanym krzeselku, a następnie przez chwilę przyglądał się wskaźnikom. Dla niego wyglądały tak samo jak przedtem: tajemnicze wykresy, przecinające się linie, zmieniające się bezustannie liczby. Przeniósł spojrzenie na Badriego, łagodnie poklepał go po ręce, po czym wstał i skierował się do drzwi.

- Wszystko przez szczury... - wymamrotał technik. Dunworthy zawrócił i pochylił się nad łóżkiem.

- Słyszysz mnie pan, Badri? To ja, Dunworthy.

- Panie Dunworthy... - wyszeptał Badri nie otwierając oczu. - Ja umieram, prawda?

Dunworthy poczuł ukłucie niepokoju.

- Skądże znowu! - zaprzeczył energicznie. - Co panu przyszło do głowy?

- Prawie nikt nie ocalał...

- Kiedy? O czym pan mówi?

Badri nie odpowiedział. Dunworthy siedział przy nim aż do powrotu pielęgniarki, lecz technik nie odezwał się już ani słowem.

- Przykro mi, ale chory potrzebuje spokoju.

- Wiem.

Podniósł się z krzesła, podszedł do drzwi, otworzył je, ale w progu zatrzymał się jeszcze i obejrzał na Badriego.

- Zabiła prawie wszystkich - wyszeptał technik. - Umarło pół Europy.

Colin stał przy biurku recepcjonistki i opowiadał jej o swoich świątecznych upominkach.

- Z powodu kwarantanny nie dostałem prezentów od mamy. Utknęły gdzieś na poczcie.

Dunworthy powiedział rejestratorce, że z polecenia doktor Ahrens miał dostać zastrzyk wzmacniający układ odpornościowy organizmu.

- Proszę chwilę poczekać.

Usiedli więc i czekali. Dunworthy wciąż rozpamiętywał słowa Badriego. "Zabiła prawie wszystkich. Umarło pół Europy".

- Nie zdążyłem przeczytać sentencji - przypomniał sobie Colin. - Chce pan ją usłyszeć? - Nawet nie czekał na odpowiedź. - "Gdzie był ojciec, kiedy zgasło światło?"

Dunworthy bezradnie pokręcił głową.

- "W ciemności!" - oznajmił triumfalnie chłopiec, po czym wyjął z kieszeni gumę do żucia, rozpakował ją i wepchnął do ust. - Martwi się pan o tę dziewczynę, prawda?

- Owszem.

Colin w skupieniu składał kolorowy papierek.

- Czemu więc po prostu nie ściągnie jej pan z powrotem?

- Bo jej już tam nie ma. Musimy czekać do wyznaczonego dnia.

- Ale mógłby pan cofnąć się do chwili, kiedy ona dopiero co tam przybyła, i zabrać ją stamtąd! Przecież możecie przenosić się w czasie, dokąd tylko chcecie, prawda?

- Niestety nie - odparł Dunworthy. - To znaczy, możemy wysłać kogoś w dowolny punkt czasowy, ale kiedy już się tam znajdzie, sieć, która przeniosła go w przeszłość, może działać wyłącznie w czasie rzeczywistym. Uczyłeś się w szkole o paradoksach?

- Tak. - Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. - Chodzi o coś w rodzaju przepisów ruchu w czasie?

- Kontinuum czasoprzestrzenne nie dopuszcza do wystąpienia paradoksów. Paradoks nastąpiłby wtedy, gdyby za sprawą Kivrin zdarzyło się coś, co naprawdę nie miało miejsca, albo gdyby spowodowała anachronizm.

Chłopiec wciąż miał nietęgą minę.

- Jedną z podstawowych zasad jest taka, że nie można być jednocześnie w dwóch miejscach. Kivrin przebywa w przeszłości od czterech dni i nikt ani nic nie zdoła tego zmienić. To się po prostu stało, i już.

- W takim razie, jak ona wróci?

- Zaraz po przeskoku technik zlokalizował ją, to znaczy obliczył koordynaty przestrzenne i czasowe jej położenia. Od tej pory Kivrin porusza się jakby po torze, który doprowadzi ją do punktu w czasie, kiedy sieć zostanie ponownie otwarta. Jednak żeby to nastąpiło, o wyznaczonej porze Kivrin musi czekać w tym samym miejscu, w którym wylądowała po podróży w tamtą stronę.

- Tak samo, jak na przykład ja umówiłem się z panem o wpół do siódmej w kościele?

- Dokładnie tak samo. Datę powrotu Kivrin wyznaczono za dwa tygodnie, na dwudziestego ósmego grudnia. Tego dnia technik otworzy sieć i dziewczyna znajdzie się ponownie wśród nas.

- Przecież do dwudziestego ósmego grudnia zostały trzy dni, a nie dwa tygodnie!

- W średniowieczu posługiwano się innym kalendarzem. Teraz jest tam dopiero siedemnasty grudnia. Według naszego kalendarza Kivrin wróci szóstego stycznia.

Naturalnie jeśli zdoła dotrzeć na miejsce przeskoku i jeżeli ja znajdę jakiegoś technika, który otworzy sieć, dodał w myśli.

Colin wyjął gumę z ust i przyjrzał się jej krytycznie. Była biała w niebieskawe zacieki, trochę przypominała model księżycy. Chłopiec oglądał ją przez dłuższą chwilę, po czym wepchnął z powrotem do ust.

- A więc, gdybym jutro przeniósł się w XIV wiek, mógłbym drugi raz obchodzić Święta?

- Zgadza się.

- Ale wdechowo! - Ponownie zajął się składaniem opakowania po gumie. - Coś mi się wydaje, że oni zupełnie o panu zapomnieli.

- Ja też zacznę tak myśleć.

Dunworthy zatrzymał przechodzącego obok nich lekarza dyżurnego z izby przyjęć i powiedział mu, że czeka na zastrzyk wzmacniający układ odpornościowy.

- Naprawdę? - zdziwił się mężczyzna. - Zaraz się tym zajmę. Zniknął w korytarzu.

“Wszystko przez szczury” - powiedział Badri, pierwszej nocy zaś zapytał Dunworthy’ego o rok. Ale powiedział też, że poślizg był minimalny i że obliczenia praktykanta okazały się prawidłowe.

Colin co kilka minut wyjmował gumę, by podziwiać zmieniające się barwy.

- A jeśli zdarzyłoby się coś naprawdę okropnego? Czy wtedy można złamać przepisy? Na przykład, gdyby ucięło jej rękę, albo wybuchła bomba, albo spadła z drzewa?

- To nie są przepisy, tylko prawa natury. Nie udałoby nam się ich złamać, nawet gdybyśmy próbowali. Jeśli ktoś chciałby odwrócić bieg zdarzeń albo w jakikolwiek sposób wpłynąć na te, które już miały miejsce, sieć po prostu się nie otworzy.

Chłopiec wypluł gumę i starannie zawinął ją w papierek.

- Jestem pewien, że nic jej się nie stało. - Wepchnął gumę do kieszeni, wyciągnął zaś jakąś mocno wymiętą paczuszkę. - O kurczę! - wykrzyknął, zrywając się z miejsca. - Zapomniałem dać babci prezent!

Ruszył biegiem w kierunku szklanych drzwi, za którymi zaczynał się korytarz wiodący na oddział zakaźny, ale zanim Dunworthy zdołał zareagować, chłopiec stanął jak wryty, odwrócił się na pięcie i wrócił pędem.

- Kryj się, kto może! Nadciąga pani Gaddson!

Dunworthy także poderwał się z krzesła.

- Tylko jej tutaj brakowało!

- Tędy! - Colin ruszył biegiem w przeciwną stronę. - Wiem, gdzie jest tylne wyjście. Niech się pan pospieszy, ona zaraz tu będzie!

Co prawda Dunworthy nie miał dość sił, żeby biec, ale szedł tak prędko, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Colin bez wahania prowadził go labiryntem korytarzy; po kilku minutach znaleźli się na zalewanej strumieniami deszczu ulicy. Nawet tutaj, przed wejściem dla personelu, stał przemoczony do suchej nitki mężczyzna z dwiema kartonowymi tablicami zawieszonymi na ramionach. Obie zdobił identyczny napis: **DZIEŃ SĄDU JEST BLISKO**.

- Sprawdź, czy nas nie zauważyła - powiedział Colin i pobiegł w kierunku głównego wejścia.

Mężczyzna wręczył Dunworthy’emu ulotkę. **ZBLIŻA SIĘ KONIEC ŚWIATA!** głosiły płomieniście czerwone litery, pod spodem zaś, nieco mniejszą, czarną czcionką:

“Ułęknicie się Boga i dajcie Mu chwałę, bo godzina sądu Jego nadeszła!

Apokalipsa św. Jana, 14,7”.

Zza narożnika budynku wyłonił się zadyszany Colin.

- Wszystko w porządku - oznajmił. - Jest w środku i wrzeszczy na recepcjonistkę.

Dunworthy oddał ulotkę demonstrantowi, po czym ruszył za chłopcem. Kiedy dotarli do Woodstock Road, zerknął z niepokojem w kierunku frontowych drzwi szpitala, ale nie dostrzegł tam nikogo; zniknęła nawet pikieta zmarzniętych przeciwników Unii Europejskiej.

Minęli kolejną przecnicę, po czym nieco zwolnili kroku. Colin wyjął z kieszeni pudełko z kolorowymi cukierkami i poczęstował Dunworthy’ego, ale ten uprzejmie odmówił, więc chłopiec wepchnął sobie do ust różową pastylkę, przez chwilę mlaskał ze smakiem, następnie zaś oznajmił niezbyt wyraźnie:

- To najbardziej wdechowe Boże Narodzenie, jakie pamiętam.

Dunworthy długo rozmyślał nad tym zaskakującym stwierdzeniem. Kuranty wciąż znęcały się nad ludźmi, wydzwanając “Wśród nocnej ciszy”, co zresztą jak najbardziej pasowało do scenerii opustoszałych, pogrążonych w ciemności ulic. Kiedy skręcili w Broad Street, ujrzeli zmierzającą w ich stronę znajomą postać.

- To pan Finch!

- O mój Boże - jęknął Dunworthy. - Jak myślisz, czego tym razem nam zabrakło?

- Mam nadzieję, że brukselki.

Ponieważ Finch szedł pod wiatr i miał pochyloną głowę, gdyż starał się osłonić twarz przed zacinającym deszczem, zauważył ich dopiero wtedy, kiedy prawie się z nimi zderzył.

- Jest pan, panie Dunworthy! Jakże się cieszę! Wszędzie pana szukam.

- Co się stało? Przecież obiecałem pani Taylor, że znajdę im jakąś salę.

- Nie o to chodzi, proszę pana. Mamy kłopot z internowanymi. Dwoje z nich zachorowało.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO
(032631-034122)

21 grudnia 1320 (według starej rachuby czasu). Ojciec Roche nie wie, gdzie jest miejsce przeskoku. Poprosiłam go, żeby zabrał mnie tam, gdzie spotkał Gawyna, ale widok polany i dębu nie obudził we mnie żadnych wspomnień. Przypuszczalnie Gawyn spotkał go daleko od miejsca, w którym mnie znalazł, a ja byłam już wtedy bardzo chora i mającym w gorączce.

Dzisiaj uświadomiłam sobie, że na własną rękę nigdy nie zdołam tam trafić. Las jest ogromny, pełno w nim polan, dębów i kęp wierzb, a teraz, kiedy spadł śnieg, wszystkie wyglądają tak samo. Powinam oznaczyć miejsce przeskoku czymś bardziej rzucającym się w oczy niż szkatułka.

Jedyna nadzieja w Gawynie, ale on jeszcze nie wrócił z Courcy. Co prawda Rosemunda twierdzi, że to tylko pół godziny jazdy stąd, lecz ze względu na złą pogodę na pewno zdecydował się zostać tam na noc.

Pada bez przerwy, odkąd wróciliśmy z lasu. Właściwie powinnam się z tego cieszyć, bo przy takiej pogodzie śnieg chyba szybko się stopi, ale jednocześnie nie mogę wyruszyć do lasu na poszukiwania, we dworze zaś jest przeraźliwie zimno. Wszyscy chodzą zakutani po czubki nosów i przez większą część dnia grzeją się przy ogniu.

Ciekawe, jak sobie radzą wieśniacy? Ich chaty są tak nędzne, że zapewne wiatr hula bez żadnych przeszkód, a w tym marnym szałasie, w którym byłam, nie zauważyłam nawet żadnego koca. Muszą potwornie marznąć, a wiem od Rosemundy, że rządcą jest przekonany, iż będzie padać aż do Wigilii.

Rosemunda przeprosiła mnie też za swoje zachowanie w lesie.

- Byłam zła na moją siostrę - powiedziała.

Naturalnie Agnes nie ma z tym nic wspólnego; dziewczynę przygnębiła wiadomość, że będzie musiała spędzić Święta w towarzystwie niechcianego narzeczonego. Korzystając z chwili, kiedy zostałyśmy same, zapytałam ją, co myśli o swoim małżeństwie.

- Ojciec wszystko już ustalił - odparła, nawlekając igłę. - Zrękowiny były na świętego Marcina, a ślub będzie w Wielkanoc.

- Cieszysz się?

- Sir Bloet to dobra partia. Ma wielu możnych przyjaciół, a w dodatku jego ziemie graniczą z ziemiami ojca.

- Lubisz go?

Wbiła igłę w lniane płótno rozpięte na drewnianej ramce.

- Mój ojciec nigdy by nie pozwolił, żeby spotkała mnie jakaś krzywda.

Nic więcej od niej nie wyciągnęłam, od Agnes zaś dowiedziałam się tylko tyle, że sir Bloet jest miły i dał jej srebrny pieniążek; przypuszczalnie był to jeden z podarunków, jakie przywiózł na zaręczyny.

Agnes zanadto przejmuję się swoim kolanem, żeby zaprzętać sobie głowę jakimiś głupstwami. Co prawda mniej więcej w połowie drogi do domu przestała uskarżać się na ból, ale kiedy zsiadłam ją z konia, natychmiast zaczęła przesadnie kuleć. Początkowo przypuszczałam, iż tylko pragnie zwrócić na siebie uwagę, lecz kiedy wreszcie przekonałam ją, by pokazała mi ranę, okazało się, że strup został całkowicie zerwany, a kolano jest czerwone i opuchnięte.

Przemyłam skaleczenie, po czym zrobiłam opatrunek z najczystszej kawałka płótna, jaki udało mi się znaleźć. (Obawiam się, że była to najlepsza chusta lady Imeyne, ponieważ odkryłam go na dnie skrzyni stojącej przy łóżku.) Poleciłam małej, by siedziała spokojnie przy ogniu i bawiła się drewnianym wózkiem, ale nie wiem, czy to wystarczy. Jeśli w ranę wda się zakażenie, sprawa może się bardzo skomplikować. W XIV wieku nie znano jeszcze antybiotyków.

Eliwys także jest zaniepokojona, choć z innego powodu. Najwyraźniej spodziewała się Gawyna jeszcze dziś wieczorem i co chwila wyglądała przez okno albo wychodziła na próg. Do tej pory nie zdołam stwierdzić, jakie żywi do niego uczucia. Czasem wydaje mi się, że go kocha i boi się, zdając sobie sprawę, co to oznacza dla nich obojga (ludzi przyłapanych na cudzołóstwie spotykało nie tylko potępienie ze strony Kościoła, rodziny i przyjaciół, ale niekiedy coś znacznie gorszego), czasem znowu jestem pewna, że nawet nie zdaje sobie sprawy z jego zadurzenia, tak bardzo bowiem niepokoi się o męża, iż nie jest w stanie myśleć o niczym innym.

Czysta, niedostępna dama stanowiła ideał opiewany w niezliczonych romansach. Nie ulega wątpliwości, iż Gawyn także nie wie, czy ona go kocha; przywożąc mnie nieprzytomną z lasu i opowiadając o bandzie złoczyńców, którzy mnie obrabowali, przede wszystkim pragnął zaimponować ukochanej. (Z pewnością wywarłby na niej znacznie większe wrażenie, gdybym istotnie została ograbiona i zgwałcona przez dwudziestu zbirów uzbrojonych w miecze, pałki i topory.) Jest gotów poważyć się na każde szaleństwo, byle zdobyć jej przychyłność, i nawet jeśli lady Eliwys nie zdaje sobie z tego sprawy, to lady Imeyne doskonale wie o wszystkim. Przypuszczam, że właśnie dlatego wysłała go do Courcy.

Zanim dotarli do college'u Balliol, zachorowały kolejne dwie osoby. Dunworthy kazał Colinowi iść spać, sam zaś pomógł Finchowi zapakować chorych do łóżek, po czym zatelefonował do kliniki po karetkę.

- Wszystkie wyjechały do wezwań - poinformowała go rejestratorka. - Wyślemy do was pierwszą, która wróci z miasta.

Karetką przyjechała o północy. Zanim Dunworthy wrócił ze szpitala, była już pierwsza.

Colin spał smacznie na kozetce dostarczonej przez Fincha, z "Epoką rycerstwa" pod głową. Dunworthy zastanawiał się przez chwilę, czy odstawić książkę na półkę, ale bał się, że obudzi chłopca, więc zostawił go w spokoju i położył się do łóżka.

Niemożliwe, żeby Kivrin trafiła w czasy zarazy. Przecież Badri wyraźnie powiedział, że poślizg wyniósł tylko cztery godziny, Czarna Śmierć zaś dotarła do Anglii dopiero w roku 1348, Odwrócił się na bok i zamknął oczy, lecz sen nie chciał nadejść. Nie, to nie może być dżuma. Badri majaczył w gorączce. Już wcześniej wygadywał różne bzdury, więc fakt, że nagle zaczął mówić o szczurach, niczego nie dowodzi. Technik po prostu bredził, i to wszystko. Przecież kazał mu cofnąć się, wręczał nie istniejące kartki... Tak, to nie ma najmniejszego znaczenia.

"Wszystko przez te szczury" - powiedział. W tamtych czasach ludzie nie mieli pojęcia, że chorobę przenoszą pchły żerujące na szczurach. Nie wiedzieli, jakie są jej przyczyny, obarczali więc winą kogo się dało: Żydów, czarownice, szaleńców... Mordowali upośledzonych umysłowo, wieszali stare kobiety, palili obcych na stosach.

Wstał z łóżka, przeszedł na palcach do sąsiedniego pokoju i ostrożnie wyjął chłopcu książkę spod głowy. Colin poruszył się, ale nie obudził.

Dunworthy usiadł w fotelu przy oknie, po czym odszukał fragment dotyczący Czarnej Śmierci. Zaraza wybuchła w Chinach w roku 1333, stamtąd zaś na statkach handlowych przedostała się do Messyny na Sycylii, a zaraz potem do Pizy. Na kilka lat zatrzymała się we Włoszech i Francji - osiemdziesiąt tysięcy ofiar w Sienie, sto tysięcy we Florencji, trzysta tysięcy w Rzymie - by wreszcie w roku 1348, "na krótko przed dniem św. Jana Chrzciciela", czyli 24 czerwca, przekroczyć Kanał i zaatakować Anglię.

Żeby Kivrin trafiła w tamte czasy, poślizg musiałby wynieść aż dwadzieścia osiem lat, a przecież Badri przypuszczał, iż w najgorszym razie mógłby sięgnąć kilku tygodni.

Dunworthy zdjął z półki "Wielkie epidemie" Fitzwillera.

- Co pan robi? - zapytał Colin zasnany głosem.

- Czytam o Czarnej Śmierci - odparł szeptem. - Śpij, chłopcze.

- Wtedy jej tak nie nazywali - wymamrotał Colin, owijając się szczelniej kocem. - Mówili na nią "sina choroba".

Dunworthy zabrał obie książki do łóżka. Zdaniem Fitzwillera zaraza dotarła do Anglii w dniu św. Piotra, czyli 29 czerwca 1348 roku. W Oxfordzie pojawiła się w grudniu, w Londynie w październiku następnego roku, potem zaś ruszyła na północ oraz z powrotem na drugi brzeg Kanału, do Niderlandów, a nawet Norwegii. Zbierała obfite żniwo wszędzie, z wyjątkiem Czech, Polski (gdzie obowiązywała ścisła kwarantanna), a także, nie wiadomo czemu, części terytorium Szkocji.

Wszędzie, gdzie przeszła, pozostawiała za sobą wymarłe wioski i miasta. Zwłoki rozkładały się na ulicach, ponieważ nie było komu pochować zmarłych. W pewnym klasztorze ocalał jeden jedyny mnich, John Clyn, który napisał następujące słowa: "Po to, by rzeczy, o których winniśmy pamiętać, nie zaginęły w otchłaniach czasu i nie uleciały z pamięci tych, co przyjdą po nas, ja, który widziałem tyle nieszczęść w świecie opętanym przez Złego, i który sam mało nie umarłem, czekając na przyjście śmierci, opisałem wszystko, czego byłem świadkiem".

Istotnie opisał wszystko jak rzetelny historyk, a potem najprawdopodobniej umarł, zupełnie sam. Jego pismo stawało się coraz mniej wyraźne, aż wreszcie urwał w pół słowa, nieco niżej zaś ktoś inny dopisał: "W tym miejscu, jak należy się domyślać, autor wyzionął ducha".

Rozległo się pukanie do drzwi. Okazało się, że to Finch, w szlafroku, z nieprzytomnym spojrzeniem, wytrącony z równowagi.

- Jeszcze jeden, proszę pana.

Dunworthy przyłożył palec do ust, wyszedł na korytarz i przymknął za sobą drzwi.

- Zadzwonił pan do szpitala?

- Tak, ale powiedzieli mi, że karetka przyjedzie najwcześniej za kilka godzin. Kazali mi odizolować ją od pozostałych - bo to kobieta, proszę pana - i dać dużo soku pomarańczowego.

- Który właśnie nam się kończy, jak przypuszczam?

- Tak, ale nie o to chodzi. Ona stawia czynny opór.

Dunworthy zostawił Fincha za drzwiami, ubrał się pospiesznie, założył maskę, po czym poszedł za nim do skrzydła, w którym umieszczono internowanych. Przed drzwiami jednej z sal zgromadziła się spora grupa ludzi; przedstawiali sobą dość niezwykły widok, część bowiem była tylko w bieliźnie, niektórzy zarzucili

płaszcz albo palta, inni natomiast owinięli się kocami. Tylko kilka osób pamiętało o maskach. Najdalej pojutrze wszyscy będą chorzy, pomyślał Dunworthy.

- Dzięki Bogu, że pan wreszcie przyszedł - powiedział jakiś mężczyzna. - Nie możemy sobie z nią poradzić.

Finch wprowadził go do sali. Chora siedziała wyprostowana na łóżku. Była to starsza kobieta o mocno przerzedzonych siwych włosach i nienaturalnie błyszczących oczach. Takie same oczy miał Badri zaraz po tym, jak trafił do szpitala.

- Odejdź! - wykrzyknęła na widok Fincha. Machnęła ręką, jakby chciała go uderzyć, po czym skierowała nieprzytomne spojrzenie na Dunworthy'ego. - Tatusiu! - zapiszczała dziecinnym głosem. - Byłam bardzo niegrzeczna. Zjadłam cały tort urodzinowy i teraz boli mnie brzuszek!

Finch bezradnie rozłożył ręce.

- Sam pan widzi - westchnął.

- Tatusiu, czy przyjadą po mnie Indianie? Ja nie lubię Indian. Mają łuki i strzały.

Siedzieli przy niej aż do świtu. Uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy Dunworthy powiedział: "Tatusi chce, żeby jego córeczka położyła się grzecznie i przestała marudzić!" Zaraz potem przyjechała karetka.

- Tatusiu! - wykrzyknęła rozpaczliwie, kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi samochodu. - Nie zostawiaj mnie samej!

- O Boże! - jęknął Finch, kiedy ambulans wreszcie odjechał. - Już po śniadaniu. Mam nadzieję, że nie porarli całego bekonu!

Pobiegł ratować co się da z zapasów, Dunworthy natomiast wrócił do mieszkania, by czekać na wiadomość od Andrews. Na schodach spotkał Colina, który zjadał tosta posmarowanego grubo masłem, usiłując jednocześnie założyć kurtkę.

- Pastor poprosił mnie, żebym pomógł mu w zbiorce ubrań dla internowanych - oznajmił z pełnymi ustami. - Aha, dzwoniła babcia Mary. Ma pan zaraz do niej zatelefonować.

- A Andrews? Colin pokręcił głową.

- Włączyli już wizję?

- Nie.

Chłopiec popędził w dół po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz.

- Nie zapomnij o masce! - zawołał za nim Dunworthy. - I o szaliku!

Zadzwoił do szpitala, po czym czekał niecierpliwie przez pięć minut, aż Mary podeszła do aparatu.

- To ty, James? Chodzi o Badriego. Chce się z tobą zobaczyć.

- Czuje się lepiej?

- Niestety nie. Wciąż ma wysoką temperaturę, a do tego jest bardzo pobudzony. Bez przerwy woła cię i powtarza, że ma ci coś do powiedzenia. Nie muszę chyba dodawać, że to nie przyczynia się do poprawy jego stanu. Gdybyś tu zajrzał, może by się trochę uspokoił.

- Czy wspominał coś o zarazie?

- O zarazie? - powtórzyła z irytacją. - Czyżbyś ty też uwierzył w te bzdury o cholercie, dżumie, czarnej ospie czy Bóg wie czym jeszcze?

- Nie, nie - zaprzeczył pospiesznie. - To Badri zaczął o tym mówić. Wczoraj powiedział: "Wszystko przez te szczury" i "Umarło pół Europy".

- On majaczy, James. Jeśli ktoś ma tak wysoką temperaturę, może wygadywać niestworzone historie.

Mary ma rację, pomyślał. Przecież chora kobieta próbowała uciekać przed Indianami uzbrojonymi w łuki i strzały, a mimo to nie kazałem barykadować drzwi i okien, żeby bronić college'u przed Apaczami. Ubzdurzyła sobie, że przyczyną jej choroby jest nadmiar urodzinowego tortu, Badri natomiast wymyślił zarazę. I jedno, i drugie wyjaśnienie było całkowicie pozbawione sensu.

Mimo to obiecał, że zaraz zjawi się w szpitalu, po czym wyruszył na poszukiwania Fincha. Co prawda Andrews nie zapowiedział, o której dokładnie godzinie zadzwoni, lecz Dunworthy wołał zostawić kogoś przy telefonie. Pluł sobie teraz w brodę, że nie kazał Colinowi zaczekać przynajmniej do końca rozmowy z Mary.

Finch najprawdopodobniej jest w jadalni, gdzie własną pierś broni dostępu do resztek bekonu. Dunworthy położył słuchawkę obok aparatu, a następnie ruszył przez dziedziniec w kierunku stołówki.

W drzwiach zderzył się z panną Taylor.

- Właśnie pana szukam - powiedziała. - Słyszałam, że wirus zaczął rozprzestrzeniać się wśród internowanych?

- Owszem - odparł, rozglądając się w poszukiwaniu Fincha.

- O mój Boże... A więc wszyscy jesteśmy zagrożeni! - Finch zniknął bez śladu. - Ile wynosi okres inkubacji?

- Dwanaście do dwudziestu czterech godzin.

Wspiął się na palce, próbując dostrzec coś nad głowami ludzi.

- To okropne! - Panna Taylor najwyraźniej nie mogła dojechać do siebie. - A co będzie, jeśli któraś z nas zachoruje i nie zdoła wystąpić? Gramy według tradycyjnego kanonu, więc nieobecność nawet jednego członka zespołu oznacza dla nas prawdziwą katastrofę.

Dunworthy pomyślał, że w takim razie powinny na wszelki wypadek zmienić kanon, ale uznał, że roztropniej będzie powstrzymać się przed udzieleniem pannie Taylor tej rady.

- Jedna z naszych niewzruszonych zasad głosi, iż każdy wykonawca musi od początku do końca utworu stać przy swoich dzwoneczkach. Żadne nagłe zastępstwo nie wchodzi w grę. Poza tym, takie zamieszanie na pewno zakłóciłoby rytm.

Wyobraził sobie, jak jedna z dzwoniczek mdleje podczas koncertu i zostaje czym prędzej odciągnięta na bok, żeby broń Boże nie popsuć rytmu.

- Czy występują jakieś objawy ostrzegawcze? - zapytała panna Taylor.

- Nie.

- Czytałam tę ulotkę waszego Ministerstwa Zdrowia o trudnościach z koncentracją, gorączce i bólach głowy, ale w naszym przypadku nie na wiele się to przyda. Każdego, kto ma do czynienia z dzwoneczkami i dzwoniącymi, bez przerwy boli głowa.

Wcale mnie to nie dziwi, pomyślał Dunworthy. Szukał wzrokiem Williama Gaddsona albo jakiegoś innego studenta, którego mógłby posłać do swego mieszkania, by pełnił dyżur przy telefonie.

- Naturalnie gdybyśmy nie przestrzegali tak ściśle tradycji, nie byłoby żadnego problemu. Niektóre zespoły bez przerwy dokonują zmian w składzie, a czasem nawet powiększają go, zupełnie nie licząc się z wymaganiami kanonu. Proszę sobie wyobrazić, że kiedyś słuchałam koncertu w wykonaniu dziewiętnastu dzwoniczków!

Nieliczni studenci, jacy zostali na ferie w college'u, przebywali w tej chwili nie wiadomo gdzie, ale na pewno nie w jadalni, Finch przypuszczalnie zabarykadował się w spiżarni, Colin natomiast zbierał ubrania dla internowanych.

- Czy wciąż jeszcze potrzeba paniom sali ćwiczeń? - zapytał Dunworthy.

- Owszem, przynajmniej dopóki któraś z nas nie złapie tego przekłętego wirusa. Rzecz jasna, mogłybyśmy wówczas wykonać jakiś krótszy utwór, ale przecież to nie byłoby to samo, prawda?

- Pozwolę wam skorzystać z mojego gabinetu, pod warunkiem, że będziecie odbierać telefon i zapisywać wszystkie wiadomości. Czekam na ważną rozmowę zamiejscową, więc jest dla mnie bardzo ważne, żeby przez cały czas ktoś był przy aparacie.

Zaprowadził pannę Taylor do swego mieszkania.

- Cóż, pokój nie jest zbyt duży - stwierdziła, obrzuciwszy pomieszczenie krytycznym spojrzeniem. - Będziemy miały kłopoty z ćwiczeniem najsilniejszych uderzeń. Czy możemy trochę poprzestawiać meble?

- Możecie robić co wam przyjdzie do głowy, pod warunkiem, że dotrze do mnie każda wiadomość, jaka zostanie przekazana podczas mojej nieobecności. Czekam na telefon od pana Andrews. Proszę mu powiedzieć, że nie potrzebuje żadnej przepustki, żeby wejść na teren objęty kwarantanną, oraz by udał się natychmiast do college'u Brasenose i zaczekał tam na mnie.

- W porządku - odparła takim tonem, jakby robiła mu przysługę. - I tak będzie nam tu chyba lepiej niż w jadalni. Najgorsze są te nieustające przeciągi.

Dunworthy wcale nie był pewien, czy słusznie postąpił powierzając tak ważne zadanie zespołowi amerykańskich dzwoniczek, ale było już za późno; zostawił pannę Taylor zajętą przestawianiem mebli, sam zaś udał się w odwiedziny do Badriego. Nie ulegało wątpliwości, iż technik stara się coś mu powiedzieć. "Zabiła ich wszystkich. Umarło pół Europy".

Deszcz zmienił się w drobniutką mgiełkę, toteż tłumek zwolenników wystąpienia z Unii Europejskiej zgromadzonych przed głównym wejściem do kliniki znacznie zgęstniał. Dołączyło do nich kilku chłopców w czarnych maskach na twarzach, skandujących:

- Wypuście nas na wolność!

Jeden z nich złapał Dunworthy'ego za ramię.

- Rząd nie ma prawa trzymać nas tutaj wbrew naszej woli! - wykrzyknął, zbliżając twarz do jego twarzy.

- Nie bądź idiotą - odparł spokojnie Dunworthy. - Chcesz, żeby wybuchła kolejna Wielka Epidemia?

Zaskoczony wyrostek nic nie odpowiedział, a Dunworthy wykorzystał jego wahanie i skrył się w budynku.

Główny hall był przepełniony pacjentami; siedzieli na krzesłach, leżeli na noszach, kilku stało przy windzie. Potężnie zbudowana pielęgniarka spowita w papierowy jednorazowy kombinezon, czytała na głos z książki w plastikowych okładkach.

- "Bo czy kiedykolwiek kara dosięgła niewinnego?..."

Uświadomił sobie z przerażeniem, że to nie pielęgniarka, tylko pani Gaddson.

- "Albo czy zagłada spotkała prawych i bogobojnych?..."

Zacząła przerzucać cienkie kartki Biblii w poszukiwaniu kolejnego, podtrzymującego na duchu, fragmentu. Dunworthy wołał nie kusić losu, więc skulił się, jakby bolał go żołądek, i popędził w kierunku schodów, błogosławiąc w duchu Ministerstwo Zdrowia za pomysł z maskami.

- "Pan pokarze cię wtedy suchotami, gorączką i świerzbem..." - usłyszał za plecami jej stentorowy głos.

Pan pokarze cię też panią Gaddson, która będzie ci czytała Pismo Świąte, abyś nie upadł na duchu, pomyślał z goryczą. Dotarłszy na piętro stwierdził ze zdziwieniem, iż oddział chorób zakaźnych zajmuje już niejedyn korytarz, ale całą kondygnację.

- Jest pan wreszcie! - wykrzyknęła na jego widok młoda pielęgniarka. Może powinienem ostrzec ją przed panią Gaddson? - przemknęła mu przez głowę niespokojna myśl. - Już prawie straciłam nadzieję, że pan przyjdzie. Chory pyta o pana od samego rana. - Wręczyła mu kombinezon, zaczęła, aż się ubierze (za każdym razem szło mu to coraz sprawniej), po czym zaprowadziła do pokoju Badriego. - Pół godziny temu zaczął się bardzo niepokoić - poinformowała go szeptem. - Wykrzykiwał, że natychmiast musi z panem rozmawiać, że ma do pana jakąś sprawę niecierpiącą zwłoki... Na szczęście teraz czuje się trochę lepiej.

To widać, pomyślał Dunworthy. Twarz Badriego straciła niepokojący ciemnoniebieski odcień, i choć był trochę zanadto blady, to jednak wyglądał niemal tak jak przed chorobą. Leżał oparty wysoko na poduszkach, z podkulonymi nogami i rękami spoczywającymi nieruchomo na kocu. Palce wciąż miał zakrzywione jak szpony.

- Panie Badri... - Pielęgniarka pochyliła się i delikatnie dotknęła jego ramienia. - Przyszedł pan Dunworthy.

Otworzył oczy.

- Pan Dunworthy?

- Tak. - Wskazała go ruchem głowy. - Mówiłam panu, że na pewno przyjdzie.

Technik podciągnął się jeszcze wyżej, ale w dalszym ciągu wpatrywał się w jakiś odległy punkt.

- Tutaj jestem - powiedział Dunworthy i przesunął się nieco, by znaleźć się na linii wzroku chorego. - Podobno chciał mi pan coś powiedzieć?

Badri nadal nie poruszał oczami, natomiast jego nieruchome do tej pory ręce zaczęły powoli przesuwac się po kolanach. Dunworthy spojrzał pytająco na pielęgniarkę.

- Robi to prawie bez przerwy - wyjaśniła. - Wydaje mi się, że pisze na klawiaturze.

Zerknęła na monitory, po czym wyszła z pokoju.

Miała rację. Badri pisał na klawiaturze komputera. Oparł przeguby na kolanach, palcami przesuwac po kocu, uderzając nimi w szybkim tempie, spojrzenie zaś miał skierowane prosto przed siebie, jakby wpatrywał się w monitor. W pewnej chwili zmarszczył brwi.

- To niemożliwe... - mruknął, po czym zaczął pisać jeszcze szybciej.

- O co chodzi? - zapytał Dunworthy. - Co jest niemożliwe?

- Gdzieś musi być błąd... - Technik pochylił się nieco w prawo i do przodu. - Dajcie mi odczyt liniowy - rzucił półgłosem.

Mówi do mikrofonu, domyślił się Dunworthy. Sprawdza parametry przeskoku, żeby zlokalizować Kivrin.

- Co się nie zgadza, Badri?

- Poślizg. - Technik wciąż nie odwracał spojrzenia od nie istniejącego ekranu. - Będzie potrzebne powtórne przeliczenie współrzędnych. To na pewno niemożliwe.

- O co chodzi z tym poślizgiem? Jest większy, niż pan oczekiwał?

Badri nie odpowiedział. Przez chwilę pisał jak szalony, znieruchomiał na kilka sekund, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w ekran wyimaginowanego monitora, po czym znowu zaczął uderzac w klawiaturę.

- Jak duży jest poślizg? - zapytał Dunworthy.

Badri pisał jeszcze co najmniej przez minutę, a kiedy przestał, spojrzał wprost na niego.

- Martwię się... - mruknął z zadumą.

- Czym się pan martwi?

Technik niespodziewanie zrzucił koc i chwycił za krawędzie łóżka.

- Muszę poszukać pana Dunworthy'ego - oświadczył. Szarpnął za plastikowy przewód wyrastający z igły wbitej w przedramię. Niemal wszystkie wskaźniki nad jego głową oszalały: wszędzie migotały alarmowe czerwone światełka a gdzieś na zewnątrz rozległ się ostry brzęczyk.

- Proszę tego nie robić!

- Na pewno jest w pubie. Zaraz go przyprowadzę.

Dunworthy rzucił się w stronę łóżka, ale zanim zdążył unieruchomić chorego, poszarpane wykresy przesuwające się po ekranach monitorów zamieniły się nagle w linie proste, cyfrowe wskaźniki natomiast pokazały same zera.

- Monitorowanie przerwane - poinformował komputer wypranym z emocji głosem. - Monitorowanie przerwane.

Do pokoju wpadła zadyszana pielęgniarka.

- O Boże! - jęknęła. - Znowu! Zrobił to już dwa razy. Panie Chaudhuri, proszę leżeć spokojnie! Przecież może pan sobie zrobić krzywdę.

- Wezwijcie pana Dunworthy'ego, szybko! Coś się nie zgadza. - Opadł bez sił na łóżko i nie zaprotestował, kiedy pielęgniarka przykrywała go kocem. - Dlaczego on nie przychodzi?

Dunworthy czekał niecierpliwie aż dziewczyna na nowo podłączy Badriego do aparatury. Technik leżał bez ruchu z całkowicie obojętnym, wręcz apatycznym wyrazem twarzy. Na jego przedramieniu wykwitł kolejny siniak.

Pielęgniarka wyszła ze słowami:

- Chyba poproszę lekarza, żeby dał mu jakiś środek uspokajający.

- Panie Badri, to ja, Dunworthy - powiedział, jak tylko za dziewczyną zamknęły się drzwi. - Zdaje się, że chciał mi pan coś powiedzieć. Proszę na mnie spojrzeć. O co chodzi? Co się nie zgadza?

Badri posłusznie spojrzał na niego, ale bez większego zainteresowania.

- Czy poślizg był większy, niż pan oczekiwał, i Kivrin trafiła w czasy zarazy?

- Nie mam czasu - odparł technik. - Byłem tam w sobotę i niedzielę.

Jego palce ponownie zaczęły wystukiwać na kocu niespokojny rytm.

Pielęgniarka wróciła z kolejną kroplówką.

- Och, jak dobrze... - westchnął, a rysy jego twarzy nagle złagodniały. - Nie wiem, co się stało. Okropnie bolała mnie głowa...

Zamknął oczy i zanim pielęgniarka zdążyła podłączyć kroplówkę, spał już, pochrapując cicho.

Dziewczyna odprowadziła Dunworthy'ego na korytarz.

- Gdzie można pana znaleźć, gdyby znowu chciał się z panem widzieć?

Podał jej numer telefonu.

- Co dokładnie mówił przed moim przyjściem? - zapytał, ściągając kombinezon.

- Powtarzał pańskie nazwisko, że koniecznie musi pana znaleźć, i że ma panu coś ważnego do powiedzenia.

- Wspominał może o szczurach?

- Nie. Raz tylko powiedział, że musi odszukać jakąś Karen albo Katherine...

- Może Kivrin?

Skinęła głową.

- Właśnie. "Muszę znaleźć Kivrin. Czy laboratorium jest otwarte?" Mówił też coś o owieczce albo jagnięciu, ale nie o szczurach. Przez większą część czasu bełkotał coś tak niewyraźnie, że nic z tego nie rozumiałam.

Dunworthy wrzucił rękawiczki do torby na odpadki.

- Proszę zapisywać wszystko, co mówi. Naturalnie z wyjątkiem niezrozumiałych fragmentów - dodał pośpiesznie, widząc, że dziewczyna otwiera usta, by zaprotestować. - Zajrzę po południu.

- Spróbuję - odparła bez większego przekonania. - W większości to zupełny bełkot.

Dunworthy zszedł na parter. Jasne, że to w większości bełkot, pozbawione sensu majaczenia umysłu trawionego gorączką, niemniej jednak chciał mieć wszystko zapisane, teraz zaś zależało mu na tym, by jak najprędzej wrócić do college'u i porozmawiać z Andrewsem. Musi go ściągnąć, żeby wreszcie ktoś odczytał współrzędne.

"To niemożliwe" - powiedział Badri. Z pewnością miał na myśli rozmiary poślizgu. Czy mogło zdarzyć się tak, że za pierwszym razem niewłaściwie odczytał wynik pomiaru, uznał, że poślizg wyniósł tylko cztery godziny, i dopiero po kolejnym sprawdzeniu przekonał się, iż w rzeczywistości poślizg jest znacznie większy, bo wynosi... Właśnie, ile? Cztery lata? A może dwadzieścia osiem?

- Szybciej dojdzie pan na piechotę - usłyszał obok siebie czyjś głos i otrząsnął się z zamyślenia. - Jeśli czeka pan na taksówkę, postoi pan sobie do końca świata - ciągnął chłopak w czarnej masce na twarzy. - Wszystkie samochody zostały zarekwirowane przez nasz cholerny rząd.

Przed wejście do kliniki właśnie zajechała taksówka. Istotnie, na szybach w tylnych drzwiach miała przyklejone plakietki z czerwonym krzyżem.

Dunworthy podziękował młodzieńcowi i ruszył na piechotę w kierunku college'u. Szedł szybko, nie zważając na deszcz, który tymczasem znowu zaczął padać, pchany naprzód nadzieją, że Andrews zadzwonił i jest już w drodze do Oxfordu. "Sprowadźcie pana Dunworthy'ego" - powiedział Badri. "Coś się nie zgadza". Z pewnością przeżywał na nowo wydarzenia, które nastąpiły zaraz po tym, kiedy powtórnie odczytał współrzędne. Przybiegł wtedy bez płaszcza do pubu, żeby przekazać alarmującą wiadomość. "To niemożliwe" - powtórzył kilka razy.

Niemal biegiem pokonał dziedziniec i popędził po schodach na górę, do swego mieszkania. Nie wiedzieć czemu dopiero teraz przyszło mu do głowy, że dźwięk dzwonek może zagłuszyć sygnał telefonu, ale kiedy otworzył drzwi, jego oczom ukazał się niezwykle widok: panna Taylor i jej koleżanki z zespołu w całkowitej ciszy stały kręgiem na środku pokoju, poruszały w dziwny sposób wyciągniętymi sztywno przed siebie rękami i od czasu do czasu przykładały to na jedno, to na drugie kolano. Wszystkie miały maski na twarzach.

- Dzwonił służący pana Basingame'a - poinformowała go panna Taylor nie przerywając ćwiczeń. - Jego zdaniem pan Basingame powinien być gdzieś w górach Szkocji. Dosłownie przed chwilą telefonował też pan Andrews. Prosił, żeby skontaktował się pan z nim najszybciej jak to będzie możliwe.

Dunworthy'ego ogarnęła cudowna ulga. Wystukał numer Andrews'a i czekając na połączenie obserwował przedziwny rytuał odbywający się w jego gabinecie, próbując doszukać się w nim jakiegoś sensu lub schematu. Panna Taylor dygała w miarę regularnie, ale pozostałe członkinie zespołu klękały i poruszały rękami w całkowicie chaotyczny sposób. Najpotężniejsza z nich, panna Piantini, przez cały czas liczyła po cichu, marszcząc brwi, aby uzyskać lepszą koncentrację.

- Nie powinien pan mieć żadnych problemów z wjazdem na teren objęty kwarantanną - poinformował Andrews, jak tylko technik podniósł słuchawkę. - Kiedy pan przyjedzie?

- Właśnie na tym polega problem, proszę pana. - Co prawda połączenie wizyjne zostało wznowione, ale obraz był tak niewyraźny, że nie dało się odczytać wyrazu twarzy technika. - Ten pomysł nie wydaje mi się najlepszy. Z tego, co mówią w telewizji, wynika, że ta indyjska grypa jest szalenie niebezpieczna.

- Nie będzie pan się musiał z nikim kontaktować - odparł Dunworthy. - Uda się pan prosto do Brasenose i wejdzie do laboratorium. To naprawdę bardzo pilna sprawa.

- Wiem, proszę pana, ale niektórzy dziennikarze twierdzą, że winę ponosi wadliwie zaprojektowany system ogrzewania Uniwersytetu, więc...

- System ogrzewania? Nie ma czegoś takiego jak "system ogrzewania Uniwersytetu", natomiast instalacje centralnego ogrzewania w poszczególnych college'ach mają już ponad sto lat i nie są nawet w stanie niczego ogrzać, a cóż dopiero mówić o zarażeniu kogokolwiek! - Amerykanki nie spuszczały wzroku z jego twarzy, przez cały czas kontynuując ćwiczenia. - Ta grypa nie ma nic wspólnego z centralnym ogrzewaniem, Indiami ani gniewem bożym. Przybyła do nas z Południowej Karoliny. Szczepionka jest już w drodze. Nikomu nic nie grozi.

- Niemniej wydaje mi się, proszę pana, że nie powinienem teraz przyjeżdżać.

Dzwonniczki nagle znieruchomiały.

- Przepraszam - powiedziała panna Piantini.

Natychmiast wznowiły ćwiczenia.

- Ale ktoś musi odczytać te współrzędne! Wysłaliśmy historyka do roku 1320 i nawet nie wiemy, jaki nastąpił poślizg. Dopilnuję, żeby zapłacono panu za pracę w warunkach bezpośredniego zagrożenia życia i zdrowia. - Z pewnym opóźnieniem uświadomił sobie, że podszedł do sprawy z niewłaściwej strony. - Zagwarantuję panu całkowitą izolację, dostanie pan kombinezon i maskę...

- Właściwie mógłbym odczytać te współrzędne stąd, z domu - wpadł mu w słowo Andrews. - Mam koleżankę, która potrafi dokonać transmisji danych. Studiuje w Shrewsbury. - Umilkł na chwilę, po czym dodał: - Nic więcej nie mogę dla pana zrobić. Bardzo mi przykro.

- Przepraszam - powiedziała znowu panna Piantini.

- W tym miejscu wchodziś jako druga - wyjaśniła jej panna Taylor. - Akcentujesz "dwa" i "cztery", a potem prowadzisz aż do następnej zmiany. I patrz na nas, a nie w podłogę. Uwaga! Raz, dwa... i trzy!

Zaczęły od nowa swój skomplikowany taniec.

- Po prostu nie mogę ryzykować - dodał Andrews.

Było jasne, że nikt ani nic nie zdoła go przekonać.

- Jak się nazywa ta koleżanka z Shrewsbury? - zapytał Dunworthy, by nie tracić czasu.

- Polly Wilson - odparł technik z wyraźną ulgą, po czym podał numer telefonu. - Proszę jej powiedzieć, że potrzebna mi będzie bezpośrednia transmisja danych i połączenie zwrotne z dublowaniem zapisu. Będę czekał przy telefonie.

Zrobił ruch, jakby zamierzał odłożyć słuchawkę.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Dunworthy, ściągając na siebie niechętne spojrzenia dzwonniczek. - Jaki może być maksymalny poślizg przy przeskoku w początek XIV wieku?

- Nie mam pojęcia - odparł natychmiast Andrews. - Trudno jest przewidzieć rozmiary poślizgu. W grę wchodzi zbyt wiele czynników.

Dunworthy nie dawał jednak za wygraną.

- A w przybliżeniu? Może wynieść dwadzieścia osiem lat?

- Dwadzieścia osiem lat? - nuta rozbawienia brzmiała w głosie technika podziałała na nerwy Dunworthy'ego niczym kojący balsam. - Nie wydaje mi się to możliwe. Co prawda im dalej w przeszłość się cofamy, tym większe zdarzają się poślizgi, ale to nie jest taka prosta zależność. Przybliżone dane można uzyskać po wstępnej kontroli parametrów.

- Niestety, nie zrobiono tego.

- Wysłali człowieka w średniowiecze nie przeprowadziwszy nawet wstępnej kontroli parametrów? - zapytał ze zdumieniem Andrews.

- Nie posłali też sondy ani nie poprzedzili zasadniczej ekspedycji krótkim zwiadem. Dlatego właśnie tak bardzo zależy mi na odczytaniu współrzędnych. Mam do pana jeszcze jedną prośbę...

Andrews natychmiast zeszytniał.

- Nie będzie pan musiał tu przyjeżdżać, żeby ją spełnić - zapewnił go pospiesznie Dunworthy. - Ci z Jesus College mają akurat placówkę terenową w Londynie, bo szykowali się do jakiegoś eksperymentu. Mógłby pan zajrzeć do nich i obliczyć parametry dla przeskoku w południe 13 grudnia 1320?

- Jakie były koordynaty przestrzenne?

- Nie mam pojęcia. Dowiem się w Brasenose. Proszę zadzwonić natychmiast, jak tylko skończy pan obliczenia. Czy mogę na pana liczyć?

- Tak - odparł Andrews, lecz bez specjalnego przekonania.

- To dobrze. Spróbuję skontaktować się z Polly Wilson. Bezpośrednia transmisja danych, połączenie zwrotne z dublowaniem zapisu. Dam panu znać, kiedy wszystko będzie gotowe.

Rozłączył się, zanim Andrews zdążył cokolwiek powiedzieć, po czym, ze słuchawką w ręce, przez dłuższą chwilę przyglądał się płasom dzwoniczek. Wciąż nie był w stanie wyczuć, w jakim rytmie wymachują ramionami i przyklękają, ale wyglądało na to, że panna Piantini już nie wywołuje żadnego zamieszania.

Do Polly Wilson szczęśliwie dodzwonił się za pierwszym razem. Przedstawił jej żądania Andrewsa, zastanawiając się przez cały czas, czy ona także oglądała telewizję i obawia się zgubnego wpływu uniwersyteckich instalacji centralnego ogrzewania, ale dziewczyna powiedziała tylko:

- Muszę znaleźć jakiś posterunek albo coś w tym rodzaju, żeby dostać się na teren objęty kwarantanną. Spotkamy się w college'u za jakieś czterdzieści pięć minut.

Zostawił Amerykanki wykonujące coraz bardziej skomplikowane figury i wyruszył do Brasenose. Deszcz nieco osłabł i na ulicach od razu zrobiło się tłoczniej, mimo iż większość sklepów była zamknięta. Konserwator kurantów z Wieży Carfax albo legł zmożony grypą, albo z powodu kwarantanny nie mógł wykonywać swoich obowiązków, ponieważ dzwonki wciąż wygrywały coraz trudniejsze do zidentyfikowania melodie.

Przed sklepem z hinduską odzieżą stała trzyosobowa pikietka, znacznie większa zaś ustawiła się przed bramą college'u Brasenose. Nad głowami zgromadzonych powiewał transparent z napisem: PODRÓŻE W CZASIE STANOWIĄ ZAGROŻENIE DLA NASZEGO ZDROWIA. Wśród demonstrantów Dunworthy'emu mignęła twarz młodej sanitariuszki z ambulansu.

Centralne ogrzewanie, Unia Europejska i podróże w czasie. Podczas Wielkiej Epidemii winą obarczono amerykańskie doświadczenia z bronią bakteriologiczną i klimatyzację, w średniowieczu natomiast Szatana i komety. Kiedy okaże się, że wirus przybył z Południowej Karoliny, na indeksie znajdują się jazz i kurczaki z różną.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w oczy po wejściu do portierni, była stojąca na kontuarze, obwieszona ozdobami choinka z archaniołem na czubku.

- Jestem umówiony ze studentką ze Shrewsbury, która ma przeprowadzić dla mnie kilka obliczeń - poinformował Dunworthy portiera. - Będziemy musieli dostać się do laboratorium.

- Przykro mi, proszę pana, ale obowiązuje zakaz wstępu do laboratorium.

- Zakaz wstępu?

- Tak, proszę pana. Zostało zamknięte i nikt nie może tam wchodzić.

- Dlaczego? Co się stało?

- To z powodu epidemii, proszę pana.

- Z powodu epidemii?

- Tak, proszę pana. Chyba będzie lepiej, jeśli porozmawia pan o tym z panem Gilchristem.

- Rzeczywiście, powinienem to zrobić. Proszę mu powiedzieć, że przyszedłem, i że muszę dostać się do laboratorium.

- Obawiam się, że go nie ma.

- A gdzie jest?

- Przypuszczalnie w klinice. Kiedy...

Dunworthy nie czekał na ciąg dalszy. W połowie drogi do szpitala przyszło mu do głowy, że Polly Wilson nie będzie wiedziała gdzie go szukać, w samej klinice zaś uświadomił sobie, iż Gilchrist mógł zachorować na grypę.

Dobrze mu tak, pomyślał z satysfakcją. Zasłużył sobie na to. Niestety, chwilę potem ujrzał w małej poczekalni zdrowego jak ryba Gilchrista w masce na twarzy, zmierzającego z podwiniętym rękawem w stronę stołika, przy którym siedziała pielęgniarka.

- Portier powiedział mi, że laboratorium jest zamknięte - oświadczył Dunworthy bez żadnych wstępów, zastępując mu drogę. - Mimo to muszę się tam dostać. Znalazłem technika, który skontroluje parametry przeskoku, ale żeby to zrobił, trzeba przesłać mu dane z sieci.

- To niemożliwe - odparł Gilchrist. - Laboratorium będzie objęte kwarantanną aż do chwili, kiedy zostanie ustalone pochodzenie wirusa.

- Pochodzenie wirusa? - powtórzył ze zdumieniem Dunworthy. - Przecież już wiadomo, że przybył do nas z Południowej Karoliny!

- Na razie to tylko przypuszczenia oparte na nie sprawdzonych przesłankach, uznałem więc, że najrozsądniej będzie ograniczyć ryzyko zamykając laboratorium. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... Przyszedłem tu po to, żeby oddać krew do analizy.

Ominął Dunworthy'ego, lecz ten chwycił go za ramię.

- O jakim ryzyku pan mówi?

- Cóż, znaczna część opinii publicznej uważa, że wirus dotarł do nas poprzez sieć.

- Znaczna część opinii publicznej? Czy ma pan na myśli tych półgłówków z transparentem, których widziałem przed bramą Brasenose?!

- Panie Dunworthy, jest pan w szpitalu - zwróciła mu uwagę pielęgniarka. - Proszę mówić trochę ciszej.

- Inna, także znaczna część opinii publicznej, jest zdania, że winę za wybuch epidemii ponoszą ludzie, którzy stworzyli zbyt liberalne przepisy imigracyjne. Czy pan też zamierza wystąpić z Unii Europejskiej?

Gilchrist hardo zadarł głowę.

- Jako pełniący obowiązki dziekana Wydziału Historycznego mam obowiązek działać w interesie całego Uniwersytetu. Chyba zdaje pan sobie sprawę, jak ważne jest dla nas utrzymanie poprawnych stosunków z miejscową społecznością? Doszedłem do wniosku, że zamknięcie laboratorium przynajmniej częściowo zdoła uspokoić opinię publiczną. Jeśli po zsekwencjonowaniu wirusa okaże się, iż rzeczywiście pochodzi on z Południowej Karoliny, wtedy, ma się rozumieć, laboratorium natychmiast zostanie udostępnione wszystkim, którzy zechcą z niego korzystać.

- A co z Kivrin?!

- Jeśli natychmiast nie zacznie pan mówić ciszej, będę musiała zawiadomić doktor Ahrens - ostrzegła Dunworthy'ego pielęgniarka.

- Znakomicie! - parsknął z wściekłością. - Proszę ją przyprowadzić. Niech się dowie, jakie głupoty wygaduje pan Gilchrist. Nie ma sposobu, żeby ten wirus przybył do nas z przeszłości!

Pielęgniarka szybkim krokiem opuściła poczekalnię, Dunworthy natomiast zwrócił się do Gilchrista.

- Nawet jeśli pańska "znaczna część opinii publicznej" jest za głupia, żeby pojąć podstawowe prawa fizyki, to z pewnością wie, że mamy do czynienia z przeskokiem z teraźniejszości w przeszłość, a nie w odwrotną stronę. Nic, co było, albo jest, w roku 1320, nie może nam zagrozić!

- Skoro tak, to pannie Engle także nie grozi żadne niebezpieczeństwo, a więc nic się nie stanie, jeśli laboratorium będzie przez jakiś czas nieczynne.

- Nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo? Przecież pan nawet nie wie, gdzie ona teraz jest!

- Pański technik zlokalizował ją krótko po przeskoku i stwierdził, że wszystko odbyło się zgodnie z planem, a poślizg był minimalny. - Gilchrist opuścił podwinięty rękaw, po czym starannie zapiął mankiet. - Nie mam najmniejszych wątpliwości, iż panna Engle jest dokładnie tam, gdzie powinna.

- Ja natomiast mam ich aż nadto i pozbędę się ich dopiero wtedy, kiedy tu wróci, cała i zdrowa.

- Chyba muszę panu przypomnieć, że to ja odpowiadam za eksperyment z udziałem panny Engle, nie pan - odparł Gilchrist, zakładając palto. - Działam nie tylko w najlepiej pojętym interesie uczelni, ale także mojej podopiecznej.

- Uważa pan więc, że zamknięcie laboratorium z powodu hałaśliwych protestów garstki niedouczonej kretynów jest "w najlepiej pojętym interesie" Kivrin? - zapytał z goryczą Dunworthy. - Skoro tak, to proszę pamiętać, iż "znaczna część opinii publicznej" jest przekonana, że wszelkie epidemie i zarazy są karą, która spotyka nas z ręki Boga. Co zamierza pan uczynić, by utrzymać poprawne stosunki z miejscową społecznością? Zacznie pan palić ludzi na stosie?

- Pańska uwaga jest co najmniej nie na miejscu. Poza tym, mam już dosyć pańskiego bezustannego wtrącania się w sprawy, które nie powinny pana obchodzić. Od samego początku czynił pan wszystko, by zdyskredytować sekcję średniowiecza i ograniczyć jej dostęp do podróży w czasie, teraz zaś skierował pan swoje ataki bezpośrednio przeciwko mojej osobie. Przypominam panu po raz kolejny, że podczas nieobecności pana Basingame'a to ja pełnię funkcję dziekana Wydziału Historycznego, w związku z tym jestem...

- Jest pan tępym, zarozumiałym głupcem, który nigdy nie powinien zostać szefem sekcji, a tym bardziej kierować przeskokiem!

- Nie widzę sensu kontynuowania tej dyskusji - oświadczył Gilchrist lodowatym tonem. - Laboratorium jest nieczynne i pozostanie nieczynne aż do chwili, kiedy otrzymamy wyniki dokładnych badań wirusa.

Wymaszerował z poczekalni. Dunworthy ruszył za nim z pewnym opóźnieniem, ale kiedy otworzył drzwi, niemal zderzył się z Mary. Miała na sobie aseptyczny kombinezon i wpatrywała się w kartę chorobową jakiegoś pacjenta.

- Nie uwierzysz, co wymyślił Gilchrist! Garstka demonstrantów przekonała go, że wirus przedostał się przez sieć, i dlatego wydał polecenie zamknięcia laboratorium!

Nie odpowiedziała, ani nawet nie podniosła głowy znad karty.

- Badri mówił dziś rano, że coś jest nie tak z wielkością poślizgu. Powtarzał to kilka razy.

Dopiero teraz spojrziała na Dunworthy'ego, ale jej wzrok tylko prześlizgnął się po jego twarzy.

- Udało mi się znaleźć technika, który nie przyjeżdżając tutaj mógłby sprawdzić parametry przeskoku i na nowo obliczyć wielkość poślizgu, ale Gilchrist nie wpuszcza nikogo do laboratorium. Musisz z nim porozmawiać, przekonać go, że wirus przedostał się tu z Południowej Karoliny...

- To nieprawda.

- Jak to: nieprawda? Zsekwencjonowali go wreszcie?

Pokręciła głową.

- Szczegółowe badania jeszcze trwają, ale wstępne wyniki świadczą o tym, że mamy do czynienia z zupełnie innym wirusem. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Teraz już wiem, że tak jest na pewno. Tamten wirus nikogo nie zabił.

- Co masz na myśli? Czy... Czy coś się stało z Badrim?

- Nie - odparła, przyciskając kartę do piersi. - Nie z Badrim. Z Beverly Breen.

Podświadomie spodziewał się, że padnie nazwisko Latimera, ale tego, które usłyszał, w żaden sposób nie mógł sobie skojarzyć z niczyją twarzą.

- To ta kobieta z kolorową parasolką - powiedziała Mary gniewnym tonem. - Umarła przed chwilą.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(046381-054957)

22 grudnia 1320 (według starej rachuby czasu). Kolano Agnes wygląda coraz gorzej. Jest czerwone i opuchnięte, bardzo ją boli, bo kiedy próbuje go dotknąć, mała krzyczy wniebogłosy, a w dodatku dziewczynka ma kłopoty z chodzeniem. Nie wiem co robić; jeśli powiem lady Imeyne, natychmiast zaaplikuje jedną ze swoich maści, co tylko pogorszy sprawę, natomiast Eliwys jest wyraźnie rozkojarzona i zaniepokojona.

Gawyn jeszcze nie wrócił. Powinien zjawić się wczoraj około południa, a kiedy zadzwoniono na nieszpór, a jego wciąż nie było, Eliwys zarzuciła teściowej, że wysłała go aż do Oxfordu.

- To nieprawda - zaprzeczyła stanowczo Imeyne, choć bez tak dla niej charakterystycznej pewności siebie.

- Kazałam mu pojechać do Courcy, tak jak ci powiedziałam.

Eliwys nie dała jednak zbyć się tak łatwo.

- Tylko do Courcy? A może zupełnie dokądś indziej, żeby przywiózł wam nowego kapelana?

Imeyne wyprostowała się z godnością.

- Ojciec Roche nie potrafi prawidłowo odprawić zwykłej mszy, a co dopiero mówić o bożonarodzeniowym nabożeństwie, tymczasem na Święta zjedzie do nas sir Bloet z kompanią. Czy chcesz świecić ze wstydu oczami przed narzeczonym Rosemundy?

Krew odpłynęła Eliwys z twarzy.

- Dokąd go posłaście? - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

- Do biskupa, z wiadomością, że pilnie potrzebujemy nowego kapelana.

- Do Bath?! - wykrzyknęła Eliwys i podniosła rękę, jakby zamierzała uderzyć starszą kobietę.

- Nie, tylko do Cirencestre. Z tego, co wiem, archidiakon miał zjechać na Święta do opactwa. Przykazałam Gawynowi, by tylko przekazał wiadomość, a stamtąd ktoś zanieśie ją do biskupa. Zresztą, śmiało mogłabym posłać go nawet do Bath, bo chyba sprawy nie stoją tam najgorzej. Gdyby było inaczej, mój syn z pewnością już by wrócił.

- Wasz syn na pewno będzie okrutnie zagniewany, kiedy dowie się, że nie postąpiliśmy zgodnie z jego wolą. Nakazał nam przecież nie ruszać się na krok z dworu!

Widziałam, że z trudem stara się zapanować nad gniewem. Opuściła rękę, ale natychmiast zacisnęła ją w pięść, jakby miała ochotę spuścić teściowej takie samo lanie, jakie co najmniej raz dziennie dostaje nieszcześna Maisry. Zauważyłam jednak, iż w chwili, gdy z ust Imeyne padła nazwa "Cirencestre", wściekłość Eliwys wyraźnie osłabła.

"Śmiało mogłabym posłać go nawet do Bath, bo chyba sprawy nie stoją tam najgorzej". Nie ulega wątpliwości, że Eliwys uważa inaczej. Boi się, że Gawyn mógłby wpaść w pułapkę, czy raczej lęka się, by nie ściągnął do dworu nieprzyjaciół lorda Guillaume'a? A może fakt, że jej mąż nie wraca do domu, świadczy o tym, iż sprawy w Bath przybrały wyjątkowo niekorzystny obrót?

Przypuszczalnie w grę wchodzi wszystkie trzy przyczyny. Dziś rano Eliwys co najmniej dziesięć razy wychodziła przed drzwi i, nie zważając na deszcz, wyglądała Gawyna, jej nastrój zaś niewiele różni się od tego, w jakim wczoraj była Rosemunda. Niedawno zapytała Imeyne, czy archidiakon aby na pewno miał zjawić się w Cirencestre; najwidoczniej obawia się, że gdyby go tam nie było, Gawyn mógłby uznać za stosowne zawieźć wiadomość aż do Bath.

Jej lęk udzielił się wszystkim. Lady Imeyne klęczy w kącie i modli się, przyciskając do piersi beczenny relikwiarz, Agnes popłakuje cichutko, Rosemunda zaś siedzi bez ruchu na ławie z robótką w ręku i wpatruje się w nią nie widzącym spojrzeniem.

(przerwa)

Po południu zaprowadziłam, a raczej zaniiosłam Agnes do ojca Roche'a. Z jej kolaniem jest coraz gorzej. Zupełnie nie mogła iść, a w dodatku nad raną pojawiło się chyba coś w rodzaju czerwonej, biegnącej w górę, pręgi. Co prawda nie byłam tego pewna - całe kolano jest czerwone i opuchnięte - ale wolałam nie czekać.

W roku 1320 nie istniało żadne lekarstwo na zakażenie krwi, a jeśli w tym przypadku doszło do zakażenia, to wyłącznie z mojej winy. Gdybym nie uparła się, by pojechać do lasu i szukać miejsca przeskoku, mała nie przewróciłaby się i wszystko byłoby w porządku. Co prawda zdaję sobie sprawę, że skoro się pozwoliła, bym tu dotarła, to znaczy, że moja obecność nie wpłynie w żaden sposób na los ludzi żyjących w tych czasach, niemniej wolę nie ryzykować. Teoretycznie nie powinnam niczym się zarazić, a jednak zachorowałam, i to ciężko.

Wyczekałam więc, aż Imeyne pójdzie po coś na stryszek, i zaniiosłam Agnes do kościoła, żeby ojciec Roche obejrzał ranę i spróbował coś poradzić. Lało jak cebra, ale mała nie narzekała ani na chłód, ani na przemoczone ubranie; szczerze mówiąc, zaniepokoiło mnie to bardziej niż czerwona pręga.

W pograżonym w mroku wnętrzu kościoła czuć było wilgocia i pleśnią. Głos ojca Roche'a dobiegał gdzieś z okolic ołtarza; brzmiał tak, jakby kapłan z kimś rozmawiał.

- Lord Guillaume wciąż jeszcze nie powrócił z Bath. Coraz bardziej lękam się o jego bezpieczeństwo.

Pomyślałam sobie, że może Gawyn wrócił już z wyprawy do Cirencestre, więc wstrzymałam oddech i stałam nieruchomo z Agnes w ramionach, licząc na to, że nie zauważona zdołam dowiedzieć się czegoś o przebiegu procesu.

- Od dwóch dni pada prawie bez przerwy, a na domiar złego zerwał się dokuczliwy wiatr z zachodu - ciągnął Roche. - Zrobiło się tak zimno, że musieliśmy przygnać owce z pastwisk.

Chyba dopiero po minucie, wyteżywszy wzrok, zdołałam dostrzec go w ciemnej nawie. Klęczał przed tęczą z potężnymi dłońmi złożonymi do modlitwy.

- Najmłodsze dziecko rządcy dostało kolki i zwraca pokarm, a Tabord, ten chory wieśniak, czuje się coraz gorzej.

Ojciec Roche modlił się, ale nie czynił tego po łacinie, jego modlitwa zaś nie przypominała ani melodyjnej recytacji kapłanów Kościoła Reformowanego, ani napuszonych przemówień naszego pastora. Mówił zwyczajnie i do rzeczy, prawie tak samo jak ja teraz mówię do pana, panie Dunworthy.

W XIV wieku Bóg był dla ludzi znacznie bardziej realny, niż świat, który ich otaczał. "Wkrótce wrócisz do domu" - powtarzał mi ojciec Roche, kiedy byłam chora, ponieważ tak właśnie uważał on i jemu współcześni (a przynajmniej powinni tak uważać): że życie i ciało są tylko złudzeniem, prawdziwe życie zaś może stać się udziałem jedynie nieśmiertelnej duszy, której przejściowy pobyt w fizycznym świecie można porównać do krótkiej wizyty, takiej na przykład, jaką ja składałam w tym stuleciu. Kiedy jednak rozglądałam się dokoła, dostrzegam niewiele dowodów świadczących o tym, że naprawdę są o tym przekonani. Eliwys pracowicie odklepuje zdrowaśki, po czym wstaje z klęczek, otrzepuje spódnicę i zachowuje się tak, jakby jej modlitwy nie miały żadnego związku z obawami o los męża i Gawyna albo troską o dziewczynki, Imeyne natomiast, mimo uwagi okazywanej relikwiarzowi, troszczy się wyłącznie o to, by nie narazić na szwank swojej reputacji i utrzymać, albo nawet podnieść, pozycję społeczną. Nie dostrzegłam żadnych dowodów świadczących o tym, że Bóg jest dla nich realną osobą... aż do tej chwili, kiedy stałam w ciemnym, wilgotnym kościele i słuchałam ojca Roche'a.

Ciekawe, czy widzi Boga i niebo równie wyraźnie jak ja, kiedy tylko zamknę oczy, widzę Oxford, dziedziniec naszego college'u zalewany potokami deszczu i pana w zaparowanych okularach, które musi pan raz po raz zdejmować i wycierać rękawem swetra? Ciekawe, czy jemu też Bóg wydaje się tak bliski, a jednocześnie tak niewyobrażalnie daleki?

- Uchowaj nasze dusze od złego i doprowadź nas bezpiecznie do Twego Królestwa - zakończył ojciec Roche.

Agnes poruszyła się gwałtownie w moich ramionach i zawołała, jakby na sygnał:

- Ojciec Roche! Ja chcę do ojca Roche!

Kapłan zerwał się na równe nogi i gwałtownie odwrócił w naszą stronę.

- Kto tu?

- To ja, lady Katherine - odparłam. - Przyniosłam Agnes. Jej kolano jest... - Jakie? Zainfekowane? - Myślę, że ojciec powinien je obejrzeć.

W kościele było na to za ciemno, więc zaniiosłam ją do swego domu, gdzie panowały niemal równie głębokie ciemności. Dom okazał się niewiele większy od nędznej szopy, w której schroniłam się jakiś czas temu. Ojciec Roche nie mógł się nawet wyprostować, bo uderzyłby głową w którąś z belek.

Otworzył okiennicę w jedynym oknie - do środka natychmiast wdarł się lodowaty wiatr, niosąc ze sobą krople deszczu - po czym zapalił marną świeczkę i posadził małą na koślawym stole z nie heblowanych desek. Kiedy przystąpił do zdejmowania opatrunku, dziewczynka spróbowała się cofnąć.

- Siedź spokojnie, Agnes, to opowiem ci, jak Pan Jezus przyszedł na ziemię.

- To było w Boże Narodzenie - stwierdziła Agnes rzeczowym tonem.

Skinął głową, a następnie zaczął delikatnie obmacywać opuchnięte kolano.

- Pasterze stali zatrwożeni, bo nie wiedzieli, co ma oznaczać owo nadzwyczajne światło. Usłyszeli dziwne dźwięki, jakby dzwony były gdzieś hen, wysoko na niebie, a potem ujrzeli anioła, który wyszedł im naprzeciw...

Kiedy ja próbowałam zbadać ranę, Agnes krzyczała i odpychała moje ręce, teraz jednak bez sprzeciwu pozwałała, by ojciec Roche ugniatał bolące miejsce silnymi palcami. Czerwona pręga była znacznie wyraźniejsza niż wtedy, kiedy widziałam ją poprzednio. Roche także ją zauważył, ponieważ zbliżył świeczkę i przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami.

- A potem przybyli z odległych krain trzej królowie, niosąc wspaniałe dary...

Ostrożnie przesunął palcami po czerwonej prędze, po czym złożył ręce jak do modlitwy. Nie módl się, przemknęło mi przez głowę. Nie módl się, tylko zrób coś. Cokolwiek.

Spojrzał na mnie.

- Boję się, że do rany dostała się trucizna. Przygotuję napar z hyzopu, aby ją stamtąd wygnać.

Podszedł do paleniska, pogrzebał w ledwie żarzących się węglach, po czym nalał z wiadra wody do żelaznego garnka.

Wiadro, garnek i ręce, którymi badał ranę Agnes, były brudne. Stojąc przy ścianie i obserwując, jak grzebie tymi brudnymi rękami w brudnym worku, zaczęłam żałować, że w ogóle tu przyszłam. Ojciec Roche wcale nie jest lepszy od lady Imeyne. Jego napar z hyzopu pomoże małej nie bardziej niż ohydne maści jej babki, podobnie jak modlitwy, nawet jeśli będzie rozmawiał z Bogiem tak, jakby Ten naprawdę tu był.

Niewiele brakowało, bym zapytała: "Czy to wszystko, co możesz zrobić?" Na szczęście w porę uświadomiłam sobie, że oczekuję niemożliwego. Należałoby zastosować penicylinę i wyjałowione środki opatrunkowe, tych zaś z pewnością nie było w worku ze zgrzebnego płótna.

Przypomniałam sobie, co pan Gilchrist mówił podczas jednego ze swoich wykładów o średniowiecznych medykach. Nazywał ich głupcami i wyśmiewał za to, że podczas Czarnej Śmierci puszczali ludziom krew, kazali połykać arszenik i dawali do picia kozi mocz, ale co mieli robić? Nie dysponowali antybiotykami ani szczepionkami, nie wiedzieli nawet, co powoduje chorobę. Ojciec Roche, miażdżąc w palcach ususzone liście i wrzucając je do garnka z wodą, postępował zgodnie ze swoją najlepszą wiedzą i czynił wszystko co w jego mocy, by pomóc choremu dziecku.

- Ojcie, masz może wino? - zapytałam. - Najlepiej stare. W cienkim piwie, które tu się powszechnie pija, prawie nie ma alkoholu - zresztą podobnie jak w winie, ale im starsze wino, tym więcej alkoholu zawiera, alkohol zaś jest jedynym dostępnym tu środkiem dezynfekującym.

- Przypomniałam sobie, że stare wino wylane na ranę czasem pomaga zwalczyć infekcję - dodałam tytułem wyjaśnienia.

Nie zapytał mnie ani co to jest "infekcja", ani w jaki sposób mogłam przypomnieć sobie o tej cudownej właściwości starego wina, skoro rzekomo nie pamiętam nic ze swojej przeszłości. Natychmiast poszedł do kościoła i wrócił po chwili z kamionkową butelką wypełnioną silnie pachnącym trunkiem. Nasączyłam nim bandaż i starannie przemyłam ranę.

Butelkę zabrałam ze sobą. Ukryłam ją pod łóżkiem w "buduarze" Rosemundy (na wypadek, jeśli miałyby się okazać, że to wino mszalne; gdyby tak właśnie było, Imeyne własnoręcznie spaliłaby Roche'a na stosie jako heretyka), i zanim Agnes położyła się spać, wylałam trochę wina bezpośrednio na ranę.

19.

Padało aż do Wigilii. Grube, lodowate krople wpadały przez otwór w dachu i z sykiem wyparowywały po zetknięciu z ogniem.

Kivrin korzystała z każdej okazji, by połać winem kolano Agnes; po południu dwudziestego trzeciego grudnia opuchlizna co prawda nadal była pokaźna, ale za to znikła czerwona pręga. Kivrin natychmiast osłoniła czymś głowę i pobiegła do kościoła, by powiedzieć o tym ojcu Roche, lecz nie znalazła go ani w świątyni, ani w domu.

Żadna z kobiet nie zauważyła incydentu z kolanem dziewczynki, ponieważ obie w pośpiechu graniczącym chwilami z paniką szykowały się na przybycie sir Bloeta z rodziną: sprzątały strych, gdzie miały zostać umieszczone kobiety, rozsypywały w sieni suszone różane płatki, piekły nieprawdopodobne ilości pasztetów, puddingów i ciast, w tym także zupełnie groteskowe, w kształcie Dzieciątka leżącego w żłóbku.

Po południu zjawił się ojciec Roche, przemoczony i drżący z zimna. Mimo paskudnej pogody pojechał do lasu po bluszcz do przystrojenia sieni i głównej izby. Korzystając z okazji, że Imeyne jest zajęta w kuchni pieczeniem małego Jezusa, Kivrin zaprosiła kapłana do środka i nie bez trudności zmusiła go, by usiadł przy ogniu.

Zawołała Maisry, a kiedy kilka kolejnych wezwań pozostało bez odpowiedzi, sama pobiegła przez dziedziniec do kuchni po kubek gorącego piwa. Po powrocie ujrzała Maisry siedzącą na ławie obok księdza; miała przechyloną głowę i przytrzymała odgarnięte na bok włosy, on zaś smarował jej ucho gęsim smalcem. Na

widok Kivrin dziewczyna natychmiast złapała się za ucho drugą ręką, niwecząc w ten sposób wysiłki kapłana, po czym uciekła z izby.

- Kolano Agnes wygląda znacznie lepiej - poinformowała go Kivrin. - Czerwona pręga znikła i zaczął się robić nowy strup.

Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Nagle zaświtała jej myśl, że mogła się pomylić i że to wcale nie było zakażenie krwi. Nocą deszcz zamienił się w śnieg.

- Nie przyjadą - stwierdziła z ulgą lady Eliwys nazajutrz rano. Kivrin w duchu przyznała jej rację. Przez noc napadało co najmniej trzydzieści centymetrów białego puchu i nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie pogoda miała się zmienić. Nawet Imeyne chyba pogodziła się z faktem, że jednak nie będzie im dane spędzić Świąt w towarzystwie narzeczonego Rosemundy, choć nie zwalniała tempa przygotowań, znosząc ze strychu cynowe miski i prawie bez przerwy rugając Maisry.

Około południa śnieg niespodziewanie przestał padać, o drugiej zaś zupełnie się wypogodziło i Eliwys poleciała, by wszyscy założyli najlepsze ubrania. Kivrin z zaskoczeniem stwierdziła, iż odświętne koszule dziewczynek są uszyte z delikatnego jedwabiu i bardzo starannie wykonane. Agnes założyła na swoją koszulę ciemnoczerwoną atlasową spódnicę, naturalnie ze srebrną zapinką, Rosemunda natomiast zieloną suknię o szerokich rękawach i rozcięciach odsłaniających misterne hafty na żółtym jedwabiu. Nikt nie sugerował Kivrin, w czym powinna przywitać sir Bloeta, i dopiero kiedy skończyła czesać dziewczynki, Agnes powiedziała stanowczym tonem:

- Musisz założyć swoją błękitną suknię.

W porównaniu z odświętymi strojami dziewcząt suknia nie wydawała się może tak bardzo nie na miejscu, choć nadal nie ulegało wątpliwości, że materiał jest za delikatny a kolory zbyt intensywne.

Najgorsze było to, że Kivrin nie miała pojęcia, co począć z włosami. Przy uroczystych okazjach niezamężne dziewczęta nosiły włosy albo zupełnie rozpuszczone, albo związane z tyłu wstążką, lecz jej włosy były na to stanowczo za krótkie. Nie mogła ich zakryć, ponieważ tak czyniły wyłącznie mężatki, nie mogła też wystąpić z odkrytą głową, ponieważ po fryzjerskich zabiegach, jakim została poddana podczas choroby, wyglądała okropnie.

Eliwys była chyba tego samego zdania, ponieważ kiedy Kivrin sprowadziła dziewczynki do izby, żona nieobecnego pana domu natychmiast kazała Maisry przynieść ze strychu cienki, prawie przezroczysty welon, który następnie założyła dziewczynie w taki sposób, że pozostawił odsłoniętą większą część głowy, zasłonił natomiast poszarpane końce nierówno przyciętych włosów.

Wraz z poprawą pogody zdecydowanie pogorszył się nastrój Eliwys. Aż podskoczyła, kiedy Maisry wbiegła do domu trzaskając drzwiami, po czym nie omieszkała dać służącej w ucho za to, że naniósł błota na świeżo wysprzątaną podłogę. Wynajdywała mnóstwo drobnych uchybień, sprawiając wrażenie, iż ma pretensje o wszystko do wszystkich, a kiedy lady Imeyne po raz kolejny westchnęła: "Gdybyśmy pojechały do Courcy...", niewiele brakowało a Eliwys po traktowałaby ją tak samo jak Maisry.

Kivrin od początku była zdania, że Agnes należało przebrać dopiero w ostatniej chwili. Życie potwierdziło słuszność jej opinii, ponieważ już wczesnym popołudniem oba rękawy koszuli były wymazane aż po łokcie, atlasowa spódnica zaś została obficie posypana mąką.

Późnym popołudniem Gawyn wciąż jeszcze nie wrócił, wszyscy mieli nerwy napięte jak postronki, natomiast uszy Maisry przybrały intensywnie czerwoną barwę. Kivrin ucieszyła się, kiedy lady Imeyne poleciała jej zanieść do kościoła sześć świec z pszczelego wosku, ponieważ nadarzała się okazja, by usunąć dziewczynki z oczu poirytowanych kobiet.

- Powiedziecie ojcu Roche, że te świece mają wystarczyć na obie msze - dodała Imeyne zrzędlivym tonem.

- Nędznie uczcimy w tym roku narodziny Pana! Powinniśmy byli pojechać do Courcy.

Kivrin ubrała Agnes w szubkę, zawołała Rosemundę, po czym we trójkę poszły do kościoła, ale nie zastały tam księdza. Na ołtarzu stała duża żółta świeca z kilkoma obwódkami; ojciec Roche zapalił ją o zachodzie słońca, by odmierzała godziny aż do północy - godziny, które kapłan spędzi na kolanach w lodowato zimnym wnętrzu kościoła.

W domu także go nie było, więc Kivrin zostawiła świece na stole. Wracając do dworu zobaczyły osiołka ojca Roche'a uwiązanego do bramy cmentarza i liżącego śnieg.

- Zapomniałyśmy nakarmić zwierzęta - powiedziała Agnes.

- Jak to? - zaniepokoiła się Kivrin, wyobrażając sobie, jak po tej operacji będą wyglądały odświętne stroje dziewczynek.

- Przecież dzisiaj Wigilia. Czy u ciebie nie karmi się zwierząt w Wigilię?

- Ona nie pamięta - odezwała się Rosemunda. - W każdą Wigilię same karmimy zwierzęta na pamiątkę tego, że nasz Pan przyszedł na świat w stajence.

- Więc ty w ogóle nie pamiętasz Bożego Narodzenia? - zdumiała się Agnes.

- Troszeczkę - odparła Kivrin.

Wystarczyło, by przymknęła powieki, a natychmiast ujrzała odświętnie udekorowane ulice Oxfordu, sklepowe wystawy ozdobione plastikowymi gałązkami i migające różnobarwnymi laserowymi światłami, zatłoczoną High Street oraz Wieżę Magdalen, częściowo ukrytą za zasłoną padającego śniegu.

- Najpierw biją w dzwony, potem siada się do wieczery, potem jest msza, a jeszcze potem pali się wigilijne polano - wyjaśniła Agnes.

- Wszystko pokręciłaś - skarciła ją siostra. - Najpierw zapalamy polano, a dopiero później idziemy na mszę.

- Nieprawda! Dzwony są jeszcze przed mszą!

Zajrzały do stodoły po jęczmień i siano, po czym przeszły na drugą stronę dziedzińca do stajni, by nakarmić konie. Nie było wśród nich Gringoleta, co oznaczało, że Gawyn jeszcze nie wrócił z wyprawy. Muszę porozmawiać z nim zaraz po jego powrocie, pomyślała Kivrin. Do ponownego otwarcia sieci został niespełna tydzień, ona zaś wciąż nie miała pojęcia, gdzie znajduje się miejsce przeskoku. Sytuacja z każdym dniem stawała się groźniejsza, ponieważ należało liczyć się z możliwością, że wraz z powrotem lorda Guillaume'a wiele rzeczy może się radykalnie zmienić.

Eliwys odłożyła podjęcie decyzji, co począć z "lady Katherine", tylko do chwili, kiedy mąż przybędzie z Bath i ponownie weźmie sprawy rodziny w swoje ręce. Rano powiedziała dziewczynkom, że spodziewa się go przed wieczorem. Ojciec Agnes i Rosemundy mógł odesłać Kivrin do Oxfordu albo do Londynu, lub rozpocząć poszukiwania jej rodziny, albo poprosić sir Bloeta, by zechciał zabrać ją do Courcy. Tak, nie ulegało wątpliwości, że powinna się pospieszyć. Teraz, kiedy w domu będzie mnóstwo ludzi, łatwiej powinna nadarzyć się okazja, by porozmawiać z Gawynem na osobności, a wtedy może zdoła go namówić, by zabrał ją do lasu i pokazał miejsce, w którym ją znalazł.

Zwlekała jak długo się dało, licząc na to, że lada chwila zjawi się Gawyn, ale Agnes zaczęła marudzić i domagać się, by poszły do kur. Kivrin zaproponowała, żeby nakarmić krowę rządcy.

- To nie nasza krowa! - parsknęła Rosemunda.

- Ale pomogła mi, kiedy byłam chora - odparła Kivrin. Doskonale pamiętała, jak oparła się na kościstym grzbiecie tego dnia, gdy ledwo trzymając się na nogach wyruszyła na poszukiwanie miejsca przeskoku. - Chcę jej za to podziękować.

Idąc w stronę pastwiska minęły puste chlewiki.

- Biedne świnki - powiedziała Agnes. - Dałabym im jabłko.

- Niebo na północy znowu ciemnieje - zauważyła Rosemunda. - Myślę, że jednak nie przyjadą.

- Przyjadą, przyjadą! - stwierdziła jej siostra z niewzruszoną pewnością. - Sir Bloet obiecał mi srebrny łańcuszek.

Krowa stała niemal w tym samym miejscu co poprzednio - zaraz za przedostatnią chatą, melancholijnie skubiąc tę samą kępę uschniętych krzaków.

- Wesołych Świąt, pani krowo - powiedziała Agnes, trzymając wiązki siana dobry metr od pyska zwierzęcia.

- I tak ci nie odpowie - stwierdziła z wyższością Rosemunda. - One mówią tylko o północy.

- Wobec tego przyjdziemy tu o północy, dobrze, lady Kivrin?

Krowa wyciągnęła pysk w stronę siana i Agnes natychmiast cofnęła rękę.

- Nigdzie nie przyjdiesz, głuptasie - powiedziała Rosemunda. - Przecież będziesz na mszy.

Krowa postąpiła krok naprzód, więc Agnes przezornie schowała się za spódnicą opiekunki. Kivrin dała bydłociu garść siana. Dziewczynka przyglądała się z zazdrością, ale nie odważyła się, by uczynić to samo.

- Skoro wszyscy są wtedy na mszy, to skąd wiadomo, że zwierzęta mówią? - zapytała.

Słuszna uwaga, pomyślała Kivrin.

- Wiem o tym od ojca Roche'a - odparła Rosemunda.

Agnes wychyliła się zza spódnicy Kivrin, złapała garść siana i wysunęła je mniej więcej w kierunku krowy.

- A co mówią?

- Że nie potrafisz ich nakarmić.

- Nieprawda! - Dziewczynka odważnie wystawiła rękę; wygłodniała krowa rzuciła się na przysmak z szeroko otwartym pyskiem i obnażonymi zębami, więc dziewczynka oczywiście wypuściła siano z ręki i ponownie skryła się za spódnicą Kivrin. - Wychwalają Pana Jezusa!

Gdzieś niedaleko parsknął koń. Agnes pobiegła między chaty, by po chwili wrócić z rozpromienioną twarzą.

- Przyjechali! - wykrzyknęła. - Widziałam sir Bloeta! Właśnie wjeżdżają na dziedzińiec!

Kivrin pospiesznie rozsypała resztkę siana przed krową, Rosemunda zaś jakby dopiero teraz przypomniała sobie o woreczku z owsem, ponieważ wysypała nieco ziarna i zaczęła karmić zwierzę z ręki.

- Chodź, Rosemundo! - poganiała ją Agnes. - Sir Bloet przyjechał!

Rosemunda otrzepała ręce.

- Pójdę nakarmić osła ojca Roche'a - powiedziała, po czym nie oglądając się za siebie ruszyła w stronę kościoła.

- Ale przecież oni są już we dworze! - zawołała Agnes, biegnąc za starszą siostrą. - Nie chcesz zobaczyć, co nam przywieźli?

Najwyraźniej Rosemundzie zupełnie na tym nie zależało. Podeszła do osła, który tymczasem zdołał wygrzebać spod śniegu kępkę zmarzniętych ostów, i podsunęła mu pod pysk nieco ziarna, które ten całkowicie zignorował. Mimo to nie zawróciła, tylko oparła rękę na grzbiecie zwierzęcia i stała nieruchomo z pochyloną głową. Długie czarne włosy zasłaniały jej twarz.

- Rosemundo! - wykrzyknęła Agnes po raz kolejny. - Nie słyszysz? Przyjechali!

Osiół zdmuchnął na bok owies, po czym chwycił w zęby kępkę smakowitego ostu. Rosemunda wciąż stała przy nim jak posąg.

- Jeśli chcesz, mogę nakarmić osiołka - zaproponowała Kivrin. - Powinnaś przywitać gości.

- Sir Bloet obiecał, że przywiezie mi srebrny łańcuszek - przypomniała jej Agnes.

Dopiero teraz Rosemunda cisnęła na ziemię resztę owsa.

- Skoro tak go lubisz, to czemu nie poprosisz ojca, żeby wydał cię za niego za męża? - zapytała, po czym ruszyła w kierunku dworu.

- Jestem jeszcze za mała.

Ona także, pomyślała Kivrin, a następnie chwyciła dziewczynkę za rękę i podążyła za Rosemundą, która stawiała wielkie kroki, nie zadając sobie trudu, by unieść spódnicę ani nie zwracając uwagi na wołania młodszej siostry.

Kawalkada zdążyła już przejechać przez bramę, Rosemunda natomiast właśnie mijała chlewiki. Kivrin przyspieszyła kroku, ciągnąc za sobą Agnes, dzięki czemu dotarły na dziedziniec równocześnie z Rosemundą. Kivrin zatrzymała się, zaskoczona.

Spodziewała się ujrzeć oficjalną ceremonię powitania, sztywne ukłony i wymuszone uśmiechy, a tymczasem widok, jaki ukazał się jej oczom, prawie niczym nie różnił się od tego, jaki oglądała co dwanaście miesięcy po wakacjach, na początku nowego roku akademickiego: wszyscy taszczyli jakieś kufry i toboły, głośno wykrzykiwali słowa powitania, obejmowali się, mówiąc coś jednocześnie i co chwila wybuchając donośnym śmiechem. Nikt nie zauważył, że Rosemunda dopiero teraz dołączyła do witających. Jakaś potężnie zbudowana kobieta w monstrualnie wielkim, wykrochmalonym czepcu przypominającym mitrę, chwyciła Agnes w objęcia i ucałowała w oba policzki, natomiast trzy kilkunastoletnie dziewczęta otoczyły Rosemundę, szczeniąc i popiskując jak kurczęta.

Odświętnie wystrojona służba wносиła do kuchni wielkie kosze wypełnione wiktuałami, wyprzęgała konie i prowadziła je do stajni. Gawyn, wciąż na Gringolecie, rozmawiał z lady Imeyne. Kivrin usłyszała tylko jedno zdanie: "Biskup zatrzymał się w Wiveliscombe", ale Imeyne nie sprawiała wrażenia rozczarowanej ani zagniewanej, z czego należało wysnuć wniosek, iż jej prośba o nowego kapelana została dostarczona archidiakonowi. Zaraz potem pomogła zsiąść z wierzchowca kobiecie w jaskrawobłękitnym płaszczu (rzucił się w oczy chyba jeszcze bardziej niż suknia Kivrin), a następnie, trzymając ją za rękę, z uśmiechem na ustach ruszyła w stronę Eliwys.

Kivrin próbowała zorientować się, który to sir Bloet, ale wśród nowo przybyłych znajdowało się co najmniej pół tuzina mężczyzn w bogatych, obszywanych futrem strojach. Na szczęście żaden na wyglądał na wyuzdanego wszetecznika, dwóch lub trzech zaś prezentowało się nawet całkiem okazale. Chciała poprosić Agnes, by jej go wskazała, ale dziewczynka wciąż jeszcze nie zdołała uwolnić się z objęć otyłej matrony, która właśnie głaskała ją po głowie i powtarzała po raz kolejny:

- Aleś ty wyrosła! Ledwie cię poznałam.

Kivrin z trudem stłumiła śmiech. Pewne rzeczy zawsze pozostają takie same.

Większość nowo przybyłych miała rude włosy, w tym również kobieta chyba w wieku Imeyne, co jednak nie przeszkadzało jej nosić ich rozpuszczonych, jakby była młodą dziewczyną. Miała wąskie, zaciśnięte usta, a sądząc po nieprzychylnych spojrzeniach, jakich nie szczędziła służącym, była chyba niezadowolona z tempa wyładowywania bagaży. W pewnej chwili nie wytrzymała, wyrwała ciężki kosz z rąk nie potrafiącego sobie z nim poradzić nieboraka, i niemal rzuciła go otyłemu mężczyźnie w zielonym kaftanie. On także miał rude włosy, podobnie jak stojący przy nim, najwyżej dwudziestoparoletni chłopak o puciołowatej, pokrytej licznymi piegami twarzy.

- Sir Bloet! - wykrzyknęła radośnie Agnes, wyrwała się z objęć matrony, przemknęła obok Kivrin i objęła grubasa za kolana.

O nie! - jęknęła Kivrin w duchu. Nie wiadomo czemu uznała za oczywiste, że grubas jest mężem olbrzymki w wykrochmalonym czepcu. Miał co najmniej pięćdziesiąt lat, ważył ze sto kilogramów, a kiedy uśmiechnął się do Agnes, odsłonił wielkie żółtobrazowe zęby, między którymi bez trudu dało się dostrzec kilka ubytków.

- Przywieźliście mi łańcuszek? - zapytała Agnes, szarpiąc go za połę kaftana.

- Tak jak obiecałem - odparł, spoglądając na Rosemundę pograżoną w rozmowie z dziewczętami. - Tobie i twojej siostrze.

- Zaraz ją przyprowadzę!

Zanim Kivrin zdążyła ją powstrzymać, pobiegła do starszej siostry, sir Bloet zaś statecznie ruszył za nią. Na jego widok dziewczęta zachichotały i rozstąpiły się na boki, Rosemunda natomiast najpierw posłała Agnes mordercze spojrzenie, potem zaś uśmiechnęła się z przymusem i wyciągnęła rękę.

- Witamy w naszych skromnych progach, panie.

Miała hardo zadartą głowę i ciemne rumieńce na policzkach, lecz sir Bloet z pewnością uznał to za oznakę zmieszania i nieśmiałości. Ujął jej drobną rączkę grubymi palcami, po czym odparł:

- Ufam, że na wiosnę będziesz witała swego męża nieco bardziej wylewnie.

Wypieki na bladych policzkach Rosemundy stały się jeszcze wyraźniejsze.

- Na razie mamy jeszcze zimę, panie.

- Ale wkrótce nadejdzie wiosna, czyż nie tak? - zaśmiał się hałaśliwie, odsłaniając brązowe zęby.

- Gdzie mój łańcuszek? - przypomniała o sobie Agnes.

- Nie bądź taka zachłanna - skarciła ją Eliwys, stając między córkami. - Nie wypada dopominać się o podarki od gości.

Obdarzyła sir Bloeta serdecznym uśmiechem. Nawet jeśli miała coś przeciwko temu małżeństwu, to obserwując ją nie sposób było się tego domyślić. Sprawiała wrażenie całkowicie odprężonej i zadowolonej z życia.

- Obiecałem szwagierce srebrny łańcuszek, mojej narzeczonej zaś upominek z okazji naszych zaręczyn - powiedział, sięgając do pasa ciasno opiętego na grubym brzuchu. Wydobył płócienny woreczek, pogrzebał w nim, po czym wyjął broszkę wysadzaną błyszczącymi kamykami. - Pamiątka dla ukochanej - oznajmił, trzymając ją dwoma palcami. - Zawsze, kiedy ją założysz, będzie ci o mnie przypominała.

Posapując i łapiąc powietrze ustami zbliżył się do dziewczynki, by przypiąć jej broszkę do sukni. Rosemunda stała nieruchomo jak posąg, wpatrując się przed siebie nie widzącym spojrzeniem.

- Rubiny! - wykrzyknęła z zachwytem Eliwys. - Rosemundo, czy nie podziękujesz narzeczonemu za ten piękny prezent?

- Dziękuję wam za ten piękny prezent, panie - powiedziała Rosemunda bezbarwnym tonem.

- A gdzie mój łańcuszek? - dopominała się Agnes, podskakując to na jednej, to na drugiej nodze.

Sir Bloet ponownie sięgnął do woreczka, wyjął coś, pochylił się sapiąc ciężko, po czym otworzył tłustą dłoń.

- Dzwoneczek! - wykrzyknęła z zachwytem mała.

Był mosiężny, przypominał kształtem dzwonki, jakie wieszano czasem koniom przy uprzęży, i miał małe metalowe kółko.

Dziewczynka natychmiast zaczęła molestować Kivrin, żeby poszły do pokoju na piętrze i przeciągnęły przez kółko wstążeczkę, tak, by mogła nosić go na ręce jak bransoletkę.

- Tę wstążkę przywiózł mi ojciec z miasta - powiedziała z dumą, wyciągając ją z tej samej szafy, w której trzymano strój Kivrin. Wstążka była niedokładnie ufarbowana i tak sztywna, że Kivrin z najwyższym trudem udało się przewlec ją przez kółko. Nawet najgorsza wstążka, jaką można było dostać u Woolwortha, albo zwykle tasemki używane do pakowania prezentów wyglądały o niebo lepiej od tej, którą Agnes traktowała jak najdroższy skarb.

Kivrin zawiązała wstążkę na przegubie dziewczynki, po czym obie wróciły na dół. Zamieszanie zdążyło tymczasem przenieść się do wnętrza budynku; służby rozstawiali w głównej izbie skrzynie, kufry i walizy, a w każdym razie coś, co bardzo je przypominało. Wszystko wskazywało na to, iż całkiem niepotrzebnie bała się, że sir Bloet zabierze wszystkich, a więc i ją, do Courcy; sądząc po liczbie bagaży oraz rozmachu przygotowań, zamierzał tu chyba zostać co najmniej do końca zimy.

Również nieuzasadnione okazały się jej obawy, że natychmiast stanie się głównym tematem rozmów, wszyscy zaś będą starali się rozwikłać zagadkę, kim jest i skąd się tutaj wzięła. Nikt nie poświęcił jej szczególnej uwagi, nawet wtedy, kiedy Agnes domagała się głośno, by pokazały matce jej bransoletkę. Eliwys rozmawiała z sir Bloetem, Gawynem i tym młodym sympatycznym człowiekiem, który chyba był synem albo siostrzeńcem sir Bloeta. Sądząc po jej minie, a także po tym, iż nerwowo splatała i rozplatała palce, wieści z Bath nie wydawały się pomyślne.

W drugim końcu izby lady Imeyne rozmawiała z potężnie zbudowaną kobietą oraz wyjątkowo bladym mężczyzną w zakonnym habicie. Wyraz jej twarzy oraz bezustanne potrząsanie głową nasuwały podejrzenie, iż skarży się na ojca Roche'a.

Kivrin skorzystała z ogólnego rozgardiaszu, by odciągnąć Rosemundę od dziewcząt i wypytać ją, kto jest kim. Tak jak myślała, błady zakonnik okazał się kapelanem sir Bloeta, kobieta w jaskrawobłękitnym płaszczu jego przybraną córką, ogromna niewiasta w wykrochmalonym czepcu - bratową, która przybyła na zimę z Dorset. Dwaj młodzi rudowłosi mężczyźni oraz rozchichotane dziewczęta były jej dziećmi. Sir Bloet nie miał dzieci.

Przypuszczalnie właśnie dlatego postanowił ożenić się z dzieckiem, wszyscy zaś zdawali się przyklaskiwać temu pomysłowi. W tych czasach kontynuacja rodu była najważniejszą sprawą. Im młodsza kobieta, tym większe prawdopodobieństwo, że urodzi wystarczająco wielu spadkobierców, by przynajmniej część z nich dożyła wieku dojrzałego, choć w związku z częstymi porodami ich matka miała na to niewielkie szanse.

Rudowłosa jędrza okazała się, o zgrozo, lady Yvolde, czyli niezamężną siostrą sir Bloeta. Mieszkała z nim w Courcy i zapewne zajmowała się prowadzeniem domu, nosiła bowiem u pasa potężny pęk kluczy. O tym, w jaki sposób rządziła domem w Courcy, świadczył fakt, iż minutę po wejściu do izby zrobiła straszną awanturę Maisry, która upuściła jeden z koszyków. Biedna Rosemunda, pomyślała Kivrin. W starciu z tą sekretnicą nie ma żadnych szans.

- A kim są pozostali? - zapytała, żywiąc w głębi duszy nadzieję, iż znajdzie się wśród nich ktoś, kto mógłby okazać się sojusznikiem nieszczęsnej dziewczyny.

- Słudzy - odparła Rosemunda takim tonem, jakby to było zupełnie oczywiste, po czym pobiegła z powrotem do rozszczebiotanych dziewcząt.

Kivrin doliczyła się co najmniej dwudziestu osób służby (do tego należało dodać parobków zatrudnionych przy koniach), nikt jednak, nawet nerwowa Eliwys, nie wydawał się zaskoczony ich liczbą. Co prawda autorzy książek historycznych twierdzili, iż w niektórych szlacheckich domach zatrudniano nawet po kilkadziesiąt osób, lecz Kivrin przypuszczała do tej pory, że dane te są mocno zawyżone. W przekonaniu tym utwierdził ją fakt, że Imeyne i Eliwys nie miały prawie żadnej służby i same wykonywały większość czynności związanych z prowadzeniem domu; co prawda stan taki mógł, przynajmniej częściowo, wynikać z kłopotów, w jakich znalazła się rodzina, ale i tak sądziła, iż nawet w najzamożniejszych domach pracuje nie więcej niż kilku, może kilkunastu służących. Wyglądało jednak na to, że raczej mieli autorzy książek.

Służba zaczęła podawać kolację. Kivrin nie była pewna, czy w ogóle przewidziano coś takiego jak wieczerza, bo przecież Wigilia była, przynajmniej teoretycznie, dniem postu, ale kiedy tylko błady kapelan skończył odmawiać wieczorną modlitwę, lady Imeyne dała znak i na stoły wyjechały dzbany z winem, kosze chleba oraz sztokfisz, które najpierw namoczono w wodzie, potem zaś upieczono.

Agnes była tak podekscytowana, że nie przełknęła nawet kęsa, a kiedy resztki uczyły zostały uprzątnięte ze stołów, nie usiadła wraz ze wszystkimi przy ogniu, tylko biegła po całej izbie potrząsając dzwoneczkiem i strasząc psy.

Rządca oraz trzej słudzy sir Bloeta wnieśli wigilijne polano i rzucili je w palenisko. Strzeliły snopy iskier, kobiety cofnęły się, śmiejąc się głośno, dzieci natomiast zaczęły piszczeć z uciechy. Rosemunda, jako najstarsze dziecko w domu, dostąpiła zaszczytu zapalenia polana; kiedy zajęło się ogniem, rozległy się radosne okrzyki, Agnes zaś jak szalona wymachiwała ręką, do której miała przywiązany dzwoneczek.

Co prawda Rosemunda powiedziała wcześniej, że w wigilijną noc dzieci uczestniczą w odprawianej o północy pasterce, niemniej jednak Kivrin liczyła po cichu na to, iż uda jej się skłonić Agnes, by położyła się obok niej na ławie, oparła główkę na jej kolanach i zdrzemnęła się choć trochę. Tymczasem dziewczynka z godziny na godzinę wyczyniała coraz dziksze harce, aż wreszcie Kivrin musiała odebrać jej dzwonek, ponieważ mała potrząsała nim prawie bez przerwy, czyniąc dokuczliwy hałas.

Kobiety siedziały wokół paleniska, rozmawiając przyciszonymi głosami, mężczyźni natomiast stali to tu, to tam w małych grupkach, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach; od czasu do czasu wszyscy - z wyjątkiem kapelana - wychodzili na dwór, wracając zaś strzepywali śnieg z butów i śmiali się głośno. Ich zaczerwienione twarze oraz pełne potępienia spojrzenie Imeyne świadczyły o tym, iż wymykali się do kuchni albo gorzelnii na łyk piwa.

Po trzeciej takiej wyprawie sir Bloet usiadł na ławie, wyciągnął nogi w stronę ognia i przez dłuższą chwilę obserwował dziewczęta. Trzy chichotki bawiły się z Rosemundą w ślepą babkę. Kiedy Rosemunda, z oczami zasłoniętymi czarną chustką, zbliżyła się po omacku do niego, chwycił ją w pól i posadził sobie na kolanach. Wyczyn ten spotkał się z powszechnym aplauzem.

Imeyne przez cały czas siedziała obok kapelana, wylewając przed nim swe żale na ojca Roche'a. Był niedouczony, niezdarny, w minioną niedzielę pomylił porządek mszy świętej, i tak dalej, i tak dalej. A teraz klęczy na kamiennej posadzce w zimnym kościele, pomyślała Kivrin, obserwując kapelana, który co chwila wyciągał ręce do ognia i z dezaprobatą kręcił głową.

Ogień nieco przygasł, Rosemunda wyrwała się z objęć sir Bloeta i wróciła do zabawy, Gawyn (ani na chwilę nie odwracając spojrzenia od Eliwys) opowiedział historię o tym, jak własnoręcznie rozprawił się z sześcioma wilkami, kapelan natomiast wygłosił umoralniającą przypowieść o kobiecie, która na łożu śmierci okłamała go podczas spowiedzi. Kiedy dotknął jej czoła świętymi olejami, skóra zwęgliła się i buchnął z niej czarny dym.

Mniej więcej w połowie opowieści duchownego, Gawyn podniósł się z miejsca, rozgrzał ręce nad paleniskiem, po czym usiadł na żebraczej ławce i ściągnął but. Po chwili podeszła do niego Eliwys, on zaś zerwał się na równe nogi, trzymając but w ręce. Kivrin nie dosłyszała, o co go zapytała, ale odpowiedź Gawyna dotarła bez trudu do jej uszu.

- Proces ponownie odroczone, ponieważ sędziego, przed którym miał się odbyć, dosięgła choroba.

Eliwys znowu powiedziała coś tak cicho, że Kivrin nie zrozumiała ani słowa, Gawyn zaś skinął głową i odparł:

- Tak, to dobra nowina. Nowy sędzia pochodzi ze Swindone i nie jest tak życzliwie usposobiony do króla Edwarda.

Żadne z nich nie sprawiało jednak wrażenia uradowanego. Wręcz przeciwnie: Eliwys pobladła niemal tak samo jak wtedy, kiedy Imeyne wyznała, że posłała Gawyna do Courcy.

Stała pogrążona w myślach, obracając na palcu ciężki pierścień. Gawyn usiadł, wciągnął but, a następnie podniósł głowę i powiedział coś do niej. Eliwys odwróciła głowę, w związku z czym Kivrin nie mogła dostrzec wyrazu jej twarzy, ale za to bez trudu odczytała uczucia malujące się na twarzy Gawyna.

Zaraz potem uświadomiła sobie, że to samo mogą uczynić pozostali, i rozejrzała się ukradkiem po izbie. Co prawda lady Imeyne wciąż jeszcze żaliła się kapelanowi, ale siostra sir Bloeta przypatrywała się Eliwys i Gawynowi z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę. Także sir Bloet i pozostali mężczyźni spoglądali w ich stronę.

Jeszcze niedawno Kivrin żywiła uzasadnioną, jak jej się wydawało, nadzieję, że tego wieczoru zdoła wreszcie porozmawiać sam na sam z Gawynem, teraz jednak wyglądało na to, iż będzie musiała zapomnieć o tych planach.

Niespodziewanie rozległo się bicie dzwonu. Eliwys drgnęła i spojrzała w kierunku drzwi.

- Podzwonne dla Szatana - powiedział cicho kapelan. Nawet dzieci przerwały zabawę i słuchały z przechylnymi główkami.

Do XIV wieku w wielu wsiach przetrwał zwyczaj nakazujący co roku, w wigilijny wieczór, uderzyć w dzwon tyle razy, ile lat minęło od przyjścia na świat Chrystusa. Dość często modyfikowano go i dzwoniono tylko przez godzinę przed północą; Kivrin przypuszczała, iż tu będzie podobnie, bo należało wątpić, czy ojciec Roche, albo nawet kapelan sir Bloeta, są w stanie policzyć do 1320, niemniej jednak odruchowo zaczęła liczyć uderzenia.

Do izby weszli trzej służący z drewnem do paleniska. Płomienie strzeliły w górę, na ścianach zaś załatały ruchliwe cienie. Agnes aż podskoczyła z uciechy, natomiast jeden z siostrzeńców sir Bloeta ułożył ręce w taki sposób, że rzucany przez nie cień do złudzenia przypominał królika.

Pan Latimer twierdził, jakoby często spotykanym zwyczajem było wróżenie z cieni towarzyszących osobom zebranych wokół płonącego wigilijnego polana. Ciekawe, jaka przyszłość czeka tych ludzi, pomyślała Kivrin. Szczególnie teraz, kiedy lord Guillaume znalazł się w poważnych kłopotach.

Jeżeli trafi do więzienia, król natychmiast skonfiskuje jego majątek. Rodzina będzie musiała uciekać do Francji albo skorzystać z łaskawości sir Bloeta, który, być może, zechce zabrać ją do Courcy. A może za chwilę otworzą się drzwi i stanie w nich lord Guillaume, cały i zdrowy, z dobrymi wieściami oraz sokołem dla Agnes, i wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie? Naturalnie z wyjątkiem Eliwys. I Rosemundy. Właśnie, co się z nią stanie?

Już się stało, uświadomiła sobie Kivrin z czymś w rodzaju zdziwienia. Werdykt już zapadł, lord Guillaume wrócił do domu, dowiedział się o uczuciu łączącym jego żonę z Gawynem, Rosemunda poślubiła sir Bloeta, Agnes dorosła, wyszła za mąż i umarła przy pierwszym porodzie albo na zakażenie krwi, albo na cholera, albo na zapalenie płuc.

Oni wszyscy już nie żyją. Wiedziała o tym, choć wciąż nie potrafiła w to uwierzyć. Umarli ponad siedemset lat temu.

- Patrzcie! - wykrzyknęła Agnes. - Rosemunda nie ma głowy!

Jej wyciągnięta rączka wskazywała jeden ze zdeformowanych cieni na ścianie. Istotnie, był to pozbawiony głowy cień Rosemundy.

Obok Agnes jak spod ziemi wyrósł rudowłosy chłopiec i zaczął wyczyniać szaleńcze podskoki.

- Ja też nie mam głowy!

- Nie masz głowy, Rosemundo - powtórzyła Agnes radosnym tonem. - To znaczy, że umrzesz przed końcem roku.

- Nie mów takich rzeczy! - skarciła ją ostro Eliwys, ściągając na siebie spojrzenia zebranych.

- Kivrin ma głowę... I ja... A biedna Rosemunda nie ma!

Eliwys chwyciła córeczkę za ramiona.

- To niemądra zabawa. Nie wolno mówić takich rzeczy. Usta małej wygięły się w podkówkę.

- Ale cień...

- Siadaj przy lady Katherine i nie ruszaj się ani na krok! - Eliwys przyprowadziła Agnes do Kivrin, po czym niemal pchnęła ją na ławę. - Za bardzo się rozbrykałaś!

Dziewczynka przytuliła się do Kivrin, niepewna, czy powinna się już rozplakać, czy jeszcze trochę zacheć. Kivrin na chwilę straciła rachubę, ale chyba udało jej się podjąć liczenie w miejscu, w którym przerwała. Czterdzieści sześć... Czterdzieści siedem...

- Chcę mój dzwoneczek! - oświadczyła Agnes, zeskakując z ławy.

Kivrin posadziła ją sobie na kolanach.

- Później. Teraz musimy być cicho.
- Więc opowiedz mi o Świętach.
- Nie mogę, maleńka. Nie pamiętam.
- Naprawdę nic nie pamiętasz? Chociaż troszkę, żeby mi opowiedzieć?

Pamiętam wszystko, pomyślała Kivrin. Sklepy pełne towarów, wystawy przystrojone niezliczonymi bombkami, lampkami i wstążkami, a najskromniejsze z nich są tysiąc razy bardziej kolorowe od twojej tasiemki, ba, nawet od mojej sukni, bicie Wielkiego Toma i dzwonów college'u Magdalen, rozbrzmiewające wszędzie kolędy... Nagle uświadomiła sobie, że te kolędy jeszcze nie powstały, i ogarnęła ją ogromna tęsknota.

- Chcę mój dzwoneczek! - Agnes próbowała uwolnić się z jej objęć. - Oddaj mi go!
- Zrobię to, jeśli obiecasz, że położysz się przy mnie na ławie.

Usta dziecka ponownie wygięły się w podkówkę.

- Mam iść spać?

- Nie. - Kivrin zdjęła dzwonek z własnego przegubu, gdzie przywiązała go, by się nie zapodziały. - Opowiem ci bajkę. Dawno, dawno temu...

Umilkła, ponieważ przyszło jej do głowy, że w XIV wieku nie opowiadano bajek, tylko mniej lub bardziej prawdziwe historie, i chyba nie zaczynało ich w ten sposób. Występowały w nich wilki oraz czarownice, których skóra czerniała w zetknięciu ze świętymi olejami.

- Dawno temu była sobie dziewczynka - podjęła, wiążąc tasiemkę na pulchnym przegubie Agnes. Złamana czerwień zdążyła już częściowo zniknąć z końców wstążki. - Mieszkała w...

- Czy to ona? - zapytał kobiecy głos.

Kivrin podniosła wzrok i ujrzała siostrę sir Bloeta oraz Imeyne. Lady Yvolde przez dłuższą chwilę przyglądała się jej z dezaprobatą, po czym pokręciła głową.

- Nie, to nie jest córka Ulrica - stwierdziła. - Tamta była niższa i ciemnowłosa.

- Więc może wychowanka Ferrersów? - zasugerowała lady Imeyne.

- Umarła pół roku temu - odparła Yvolde, po czym zwróciła się do Kivrin: - Nie pamiętacie, kim jesteście?

- Nie, pani.

Nieco zbyt późno przypomniała sobie, że powinna skromnie opuścić wzrok.

- Uderzyli ją w głowę - oznajmiła Agnes, zadowolona, że znalazła się niemal w centrum zainteresowania.

- A jednak nie zapomnieliście swego imienia i potraficie mówić. Czy pochodzicie z dobrej rodziny?

- Nie pamiętam mojej rodziny, pani - odparła Kivrin, starając się nadać swemu głosowi jak najbardziej poprawne brzmienie.

Yvolde zmarszczyła nos.

- Sądząc po jej mowie, pochodzi chyba z zachodu. Posłaliście już kogoś do Bath, żeby o nią rozpytał?

- Nie - odparła Imeyne. - Żona mego syna czeka na jego powrót. Mieliście jakieś wieści z Oxenfordu?

- Nie, ale podobno szerzy się tam choroba.

Pojawiła się Rosemunda.

- Lady Yvolde, wiecie już, skąd jest lady Katherine?

Siostra sir Bloeta skierowała na nią niezyczliwe spojrzenie.

- Nie wiem. Gdzie broszka, którą dostałaś od mego brata?

- Ja... To znaczy, przy płaszczu.

- Czy jego podarunki nie są dla ciebie wystarczająco cenne, byś zechciała je nosić?

- Przynies natychmiast tę broszkę - poleciła Imeyne. - Chcę ją obejrzeć.

Rosemunda zacisnęła usta, ale posłusznie wyszła do sieni, gdzie wisiały wierzchnie okrycia.

- Okazuje równie mało radości z prezentów, które otrzymała od mego brata, jak z jego obecności - zauważyła Yvolde. - Podczas wieczerzy nie zamieniła z nim ani słowa.

Wróciła Rosemunda, niosąc zielony płaszcz z broszką, którą potraktowała jako zaponę. Lady Imeyne uważnie obejrzała błyskotkę i wyraziła zachwyt nad kunsztownością roboty.

- Ja też chcę zobaczyć! - zawołała Agnes.

Rosemunda schyliła się, by pokazać prezent siostrze. Na złotej, dość grubej blaszce było osadzonych kilka czerwonych kamyków. Ponieważ w XIV wieku nie znano jeszcze agrafek, z tyłu sterczała długa szpilka, którą należało przewlec przez materiał. Na odwrocie znajdował się wygrawerowany napis: *Io suiicen lui darni amo.*

- Co to znaczy? - zapytała Agnes.

- Nie wiem - odparła Rosemunda tonem, który sugerował także: "I nic mnie to nie obchodzi".

Widząc, że usta Yvolde zacisnęły się w jeszcze węższą kreskę, Kivrin postanowiła odwrócić uwagę kobiet od nieszczęsnej Rosemundy.

- To znaczy: "Zastępujesz przyjaciela, którego kocham" - wyjaśniła.

Natychmiast zdała sobie sprawę, jak niewybaczalny popełniła błąd, i spojrzała z lękiem na Imeyne, ale ta, o dziwo, niczego nie zauważyła.

- Powinnaś nosić te słowa na piersi, a nie wieszać je na kołku - skarciła Rosemundę, po czym odpięła broszkę od płaszcza i umieściła ją na sukni dziewczynki.

- Powinnaś też przebywać u boku mego brata, jak przystoi jego narzeczonej, zamiast trwonić czas na dziecinne zabawy - zawtórowała jej lady Yvolde.

Wyciągnęła rękę w kierunku paleniska, wskazując drzemiącego przy ogniu sir Bloeta. Rosemunda posłała Kivrin błagalne spojrzenie.

- Idź i podziękuj sir Bloetowi za tak wspaniały dar - poleciła surowym tonem lady Imeyne.

Rosemunda oddała płaszcz siostrze i ruszyła w stronę paleniska.

- Połóż się tutaj, Agnes - powiedziała Kivrin. - Musisz odpocząć.

- Ale ja chcę słuchać bicia dzwonów!

- Lady Katherine... - Kivrin była gotowa przysiąc, że Yvolde w szczególny sposób zaakcentowała słowo "lady". - Twierdzicie, że nic nie pamiętacie, a jednak z łatwością odczytaliście napis na broszce Rosemundy. Czyżbyście potrafili czytać?

Owszem, potrafię czytać, pomyślała Kivrin. Problem polegał na tym, że w XIV wieku tę umiejętność posiadała co najwyżej jedna trzecia społeczeństwa, wśród kobiet zaś ten odsetek był jeszcze mniejszy.

Podniósłszy wzrok napotkała spojrzenie Imeyne, która przyglądała się jej z taką samą podejrzliwością jak pierwszego ranka, kiedy dokładnie badała jej ubranie i oglądała ręce.

- Nie - powiedziała, spoglądając lady Yvolde prosto w oczy. - Nie potrafiłabym przeczytać nawet "Ojciec nasz". Wasz brat wyjaśnił nam, co znaczą te słowa, kiedy dawał broszkę Rosemundzie.

- Nieprawda! - zaprotestowała Agnes. - Niczego nie mówił!

- Nie słyszałaś, bo byłaś zajęta swoim dzwoneczkiem.

Na pewno mi nie uwierzy, przemknęła Kivrin przez głowę paniczna myśl. Zapyta brata, a on powie jej, że nic takiego nie mówił.

Jednak, ku jej zaskoczeniu, to wyjaśnienie w pełni usatysfakcjonowało siostrę sir Bloeta.

- Nie wyglądała mi na taką, co potrafi czytać - powiedziała do lady Imeyne, po czym wzięła ją pod rękę i razem wróciły w poblizze paleniska.

Kivrin z westchnieniem ulgi opadła na ławę.

- Chcę mój dzwoneczek! - przypomniała jej Agnes.

- Dostaniesz go dopiero wtedy, kiedy się położysz.

Mała ochoczo wdrapała się na ławę.

- Najpierw opowiedz mi tę historię o dziewczynce - zażądała.

- No więc, dawno temu była sobie dziewczynka...

Imeyne i Yvolde siedziały przy ogniu obok sir Bloeta. Rozmawiały z Rosemundą, która miała wysoko podniesioną głowę i wypieki na policzkach. Sir Bloet wybuchnął głośnym śmiechem, wyciągnął rękę, jakby zamierzał dotknąć broszki, ale zamiast tego położył ją na piersi narzeczonej.

- I co z tą dziewczynką? - dopominała się Agnes.

- ...która mieszkała na skraju ogromnego lasu. "Nigdy nie chodź tam sama" - upominał ją ojciec...

- ...ale ona go nie posłuchała - dokończyła mała, ziewając od ucha do ucha.

- Właśnie. Ojciec bardzo ją kochał i troszczył się o nią, ale ona nie chciała go słuchać.

Agnes przytuliła się mocniej do Kivrin.

- Co było w lesie? - zapytała sennym głosem.

Kivrin otuliła ją płaszczem Rosemundy. Zbójce i złodzieje, pomyślała. Lubieżni starcy, ich jędzowate siostry, nieszczęśliwi kochankowie, mężowie i sędziowie.

- Mnóstwo niebezpiecznych rzeczy.

- Wilki?

- Tak, wilki.

Zerknęła ukradkiem w kierunku paleniska. Imeyne oraz Yvolde odsunęły się od sir Bloeta i szeptały między sobą, spoglądając co chwila w jej stronę.

- Co się z nią stało? - zapytała Agnes z zamkniętymi oczami.

Kivrin przytuliła ją mocno.

- Nie wiem - szepnęła. - Nie wiem...

20.

Pięć minut później dzwon umilkł na chwilę, po czym zaczął uderzać w innym rytmie, znacznie szybciej, wzywając ich na mszę.

- Ojciec Roche zaczął za wcześnie - stwierdziła ze złośliwą satysfakcją lady Imeyne. - Jeszcze nie ma północy.

Ledwie zdążyła to powiedzieć, kiedy odezwały się dzwony w Wychlady i Bureford, a także, znacznie cichsze, przypominające odległe echo, dzwony Oxfordu. Kivrin wydawało się, że rozpoznaje przytłumiony dźwięk dzwonów z Wieży Carfax. Ciekawe, czy dziś w nocy nie dają spać panu Dunworthy'emu, pomyślała.

Sir Bloet z wysiłkiem dźwignął się na nogi, po czym pomógł wstać siostrze. Któryś ze służących przyniósł im z sieni wierzchnie okrycia, rozszczebiotane dziewczęta założyły swoje, ani na chwilę nie przerywając pogaduszek, natomiast lady Imeyne potrząsnęła Maisry, która błogo zasnęła na żebraczej ławce i kazała jej przynieść ze stryszku Pismo Święte. Maisry udała się tam, ziewając rozdzierająco, natomiast Rosemunda podeszła do ławy i z przesadną ostrożnością wzięła płaszcz, który tymczasem zdążył zsunąć się z ramion jej młodszej siostry.

Agnes spała jak zabita. Kivrin najchętniej zostawiłaby ją w spokoju na ławie, ale podejrzewała, iż nawet padające z nóg pięcioletnie dzieci mają obowiązek uczestniczenia we mszy.

- Agnes - szepnęła małej do ucha. - Agnes, obudź się - powtórzyła głośniej.

- Chyba będziecie musieli zanieść ją do kościoła - powiedziała Rosemunda, spinając płaszcz złotą broszką sir Bloeta.

Przed Kivrin stanął najmłodszy syn rządcy; przyniósł, a raczej przywłókł jej biały płaszcz, zamiatając nim podłogę w sieni i izbie.

- Agnes!

Delikatnie potrząsnęła dziewczynką, dziwiąc się, że nie obudziło jej bicie dzwonów, tym bardziej że dźwięki dobiegające z kościelnej wieży wydawały się znacznie głośniejsze niż codzienne bicie dzwonów w porze jutrzni albo nieszpору.

Dziewczynka wreszcie otworzyła oczy.

- Nie obudziłaś mnie - wymamrotała do Rosemundy, po czym, otrząsnąwszy się z resztek snu, powtórzyła znacznie wyraźniej: - Nie obudziłaś mnie, chociaż obiecałaś!

- Zakładaj szubkę - poleciła Kivrin. - Idziemy do kościoła.

- Ja chcę mój dzwoneczek!

- Przecież masz go.

Usiłowała zawiązać małej pod brodą tasiemki czepka, nie dusząc jej przy tym ani nie urywając jej uszu.

- Wcale nie! - Agnes była bliska płaczu. - Gdzie jest mój dzwoneczek?

- Tutaj, głuptasie. - Rosemunda schyliła się i podniosła go z podłogi. - Widocznie spadł, kiedy spałaś. Nie powinnaś nim teraz dzwonić, bo idziemy na mszę, a potem odezwą się dzwony na Boże Narodzenie.

- Nie będę dzwonić - obiecała Agnes. - Chcę go tylko potrzymać.

Naturalnie Kivrin nie dała się na to nabrać, ale musiała zrezygnować z dyskusji, ponieważ wszyscy byli już gotowi. Jeden z ludzi sir Bloeta zapalał latarnie o niewielkich szybkach osadzonych w ołowianych ramkach i rozdawał je służącym. Pospiesznie zawiązała małej wstążkę na przegubie, po czym wzięła dziewczynki za ręce.

Lady Eliwys podała dłoń sir Bloetowi, lady Imeyne skinęła Kivrin na znak, by ruszyła za nimi z dziewczynkami, pozostali ustawili się z tyłu i wszyscy poszli milcząco procesją. Lady Eliwys i sir Bloet poprowadzili pochód przez dziedziniec, minęli bramę, a następnie skierowali się w stronę kościoła.

Śnieg przestał padać, chmury rozproszyły się i na niebie zaświeciły gwiazdy. W przysypanej białym puchem wiosce panowała martwa cisza. Zupełnie jakby czas stanął w miejscu, pomyślała Kivrin. Nędzne chałupy wyglądały znacznie porządniej niż jeszcze dzień temu, przykryte śnieżnymi czapami krzywe płoty i rozpadające się zabudowania gospodarcze nie kłuły w oczy swoją bylejakością. Blask latarni padał ruchliwymi plamami na białą powłokę, załamując się w kryształkach lodu, najpiękniej jednak prezentowały się gwiazdy - setki, tysiące gwiazd lśniących na czarnym atłasie nieba niczym rozsypane klejnoty. Widok był tak oszałamiający, że Kivrin aż zaparło dech w piersi.

- Ile światełek! - ucieszyła się Agnes, nie wiadomo, na widok śniegu czy gwiazd.

Dzwon uderzał powoli, jednostajnie, w mroźnym powietrzu, jego dźwięk zaś wydawał się może nie głośniejszy, ale na pewno pełniejszy i czystszy. Znacznie lepiej było słyszeć także pozostałe dzwony. Kivrin bez trudu mogła rozróżnić ten z Esthcote, z Witenie i z Chetelintone, nie słyszała natomiast ani tego ze Swindone, ani dzwonów Oxfordu. Czyżby wcześniej tylko jej się wydawało?

- Miałaś nie dzwonić, Agnes - przypomniała siostrze Rosemunda.

- Nie dzwonię, tylko idę.

- Spójrzcie na kościół - powiedziała Kivrin. - Czyż nie jest piękny?

Lśnił niczym latarnia morska, oświetlony z zewnątrz i od środka, rozsiewając na powierzchni śniegu różnokolorowe refleksy. Droga wiodąca od bramy cmentarnej do głównego wejścia była wytyczona powtykanymi w śnieg pochodniami. Lekki podmuch wiatru przyniósł intensywny zapach płonących smolnych szczap. Inne pochodnie, niesione przez ludzi podążających na pasterkę, znaczyły jasnymi punkcikami rozległe pola i przesuwały się powoli po okolicznych wzgórzach.

Nie wiadomo czemu Kivrin przypomniała sobie Oxford w Wigilię Bożego Narodzenia, z jasno oświetlonymi witrynami sklepów i oknami college'u Brasenose jarzącymi się ciepłym, żółtym blaskiem. I z wielką choinką górującą nad college'em Balliol, migoczącą niezliczonymi kreskami laserowego światła.

- Żałuję, że nie zjechaliśmy do was na Święta - powiedziała lady Imeyne do lady Yvolde. - Moglibyśmy wtedy wysłuchać należycie odprawionej mszy świętej. Nasz kapelan ledwo potrafi odklepać "Ojciec nasz".

Wasz kapelan właśnie spędził kilka godzin w nie ogrzewanym kościele, klęcząc na kamiennej posadzce, pomyślała Kivrin. Teraz porusza ciężkim dzwonem, który musi uderzać równo przez godzinę, a niebawem będzie celebrował długą i skomplikowaną ceremonię, recytując wszystkie teksty z pamięci, ponieważ nie potrafi czytać.

- Obawiam się, że to będzie bardzo nędzne nabożeństwo - dodała lady Imeyne.

- Cóż na to poradzić - westchnęła lady Yvolde. - Wielu jest teraz takich, co nie kochają naszego Pana, ale musimy się modlić, by dobry Bóg zechciał naprawić świat i napęlić cnotą ludzkie serca.

Należało wątpić, czy właśnie takiej odpowiedzi oczekiwała lady Imeyne.

- Wysłałam wiadomość do biskupa Bath, by zechciał nam przysłać nowego kapelana, lecz nie otrzymałam jeszcze odpowiedzi.

- Mój brat powiada, że w Bath niedobrze się dzieje.

Powoli zbliżali się do bramy cmentarza. Kivrin mogła już dostrzec twarze nadciągających zewsząd ludzi, oświetlone blaskiem pochodni oraz oliwnych kaganków niesionych głównie przez kobiety. Wszystkie twarze wyglądały groźnie i tajemniczo. Pan Dunworthy na pewno doszedłby do wniosku, że to rozgniewany tłum, który zebrał się, by spalić na stosie jakiegoś nieszczęśnika, pomyślała Kivrin. Wszystko przez to oświetlenie. W blasku pochodni każdy wygląda jak rzezimieszek. Nic dziwnego, że w końcu wynaleziono elektryczność.

Wreszcie dotarli do cmentarza. Bez trudu rozpoznała kilka spośród osób zgromadzonych przed drzwiami kościoła: chłopca chorego na szkorbut, dwie dziewczyny, które pomagały przy świątecznych wypiekach, Co-ba. Żona rządcy miała na sobie płaszcz z kapuzą z futra z gronostaja, w ręce zaś trzymała niewielką metalową latarnię z szybkami z prawdziwego szkła. Rozmawiała o czymś z ożywieniem z kobietą o szyi poznaczonej białymi bliznami, która przed świętami została zatrudniona przy sprzątaniu dworu. Wszyscy zresztą rozmawiali, przytupywali i zabijali ręce, a jakiś mężczyzna z bujną czarną brodą śmiał się głośno, nie zważając na to, iż płomień jego pochodni zbliża się niebezpiecznie do welonu zwisającego z czepca stojącej obok kobiety.

Kivrin wiedziała z lektur, że władze kościelne były w końcu zmuszone znieść obowiązek odprawiania pasterki, gdyż podniosła uroczystość z czasem zatraciła religijny charakter, stając się okazją do towarzyskich spotkań, przekomarzań, niekiedy zaś zwad i kłótni. Istotnie, wygląd znacznej części wiernych świadczył o tym, iż przez cały miniony dzień zajmowali się głównie łamaniem postu. Rządca dyskutował o czymś głośno z barczystym mężczyzną, o którym Rosemunda powiedziała, że jest ojcem Maisry obaj mieli twarze mocno zaczerwienione z zimna albo nadmiaru alkoholu, lecz sprawiali wrażenie raczej rozbawionych niż zagniewanych. Rządca podkreślał wagę każdego argumentu waląc rozmówcę po ramieniu, ten zaś ryczał ze śmiechu, od czasu do czasu rzucając jakąś uwagę żartobliwym tonem świadczącym o inteligencji, o jaką na pierwszy rzut oka trudno było go podejrzewać.

Żona rządcy szarpnęła męża za ramię, ale ten uciszył się dopiero wtedy, kiedy lady Eliwys i sir Bloet przeszli przez cmentarną bramę. Wraz ze swym kompanem cofnął się o krok, w ich ślady poszli pozostali. Rozmowy i śmiechy umilkły; rozległy się ponownie dopiero wtedy, gdy procesja wkroczyła do kościoła, tłum zaś ruszył za nią, by zająć miejsca w tylnej części nawy, ale gwar był znacznie cichszy niż do tej pory.

Na progu świątyni sir Bloet odpiął miecz i wręczył go służącemu. Przyklęknął, przeżegnał się (to samo uczyniła lady Eliwys), a następnie oboje podeszli do samej tęczy i ponownie uklękli.

Kivrin wraz z dziewczynkami starała się wiernie naśladować ich zachowanie. Kiedy Agnes przeżegnała się zamasyście, dzwoneczek zadźwięczał głośno w prawie jeszcze pustym kościele. Muszę go zabrać małej, pomyślała Kivrin. Przemknęło jej przez głowę, by uczynić to od razu, albo ukryć się na chwilę za grobowcem dziadka dziewczynki, ale musiała zrezygnować z tego zamiaru, ponieważ w drzwiach świątyni czekały już niecierpliwie lady Imeyne i siostra sir Bloeta.

Nie mając wyboru, podeszła z dziewczynkami do tęczy. Sir Bloet właśnie dźwignął się z klęczek, ale musiał chwilę zaczekać na lady Eliwys; kiedy i ona podniosła się na nogi, zaprowadził ją pod północną ścianę świątyni, skłonił się lekko, po czym wrócił na stronę, gdzie gromadzili się mężczyźni.

Kivrin i dziewczynki uklękły w tym samym miejscu, w którym niedawno uczynili to sir Bloet i Eliwys. Kivrin modliła się w duchu, by Agnes przeżegnała się z nieco mniejszą energią niż poprzednio; jej modlitwy zostały wysłuchane, ale na krótko, ponieważ mała, wstając z klęczek, przydepnęła skraj trochę za długiej spódnicy, a ratując się przed upadkiem zamachała gwałtownie ramionami, czyniąc hałas wcale nie mniejszy od tego, jaki dobiegał z zewnątrz. Lady Imeyne, która (jakżeby inaczej) akurat wtedy znalazła się zaledwie krok z tyłu, niemal spopieliła dziewczynkę gniewnym spojrzeniem.

Kivrin zajęła wraz z podopiecznymi miejsce za plecami Eliwys. Lady Imeyne uklękła, natomiast lady Yvolde tylko schyliła głowę i uczyniła znak krzyża. Jak tylko Imeyne podniosła się z posadzki, zjawił się

służący z ciemnofioletową atlasową poduszczką, którą położył na podłodze obok Rosemundy. Poduszcзка była przeznaczona dla lady Yvolde, aby ta mogła wygodnie klęczeć podczas nabożeństwa. Inny służący zaniósł taką samą poduszczkę sir Bloetowi i właśnie pomagał mu na niej uklęknąć. Sir Bloet, z twarzą poczerwieniałą od wysiłku, sapał głośno, i gdyby nie asysta, z pewnością miałby poważne kłopoty z dokonaniem tego wyczynu.

Kivrin zazdrośnie spoglądała na poduszczkę lady Yvolde, myśląc o bardzo podobnych, tyle że wykonanych z miękkiego plastiku, które wisały na oparciach ławek w kościele Najświętszej Marii Panny. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy jak bardzo ułatwiały życie. Nie wiedziała również, jak wspaniałym wynalazkiem są zwyczajne, twarde kościelne ławki; zrozumiała to dopiero wówczas, gdy wszyscy wstali z klęzek, ona zaś uświadomiła sobie, iż będzie musiała stać przez całą mszę.

Podłoga była lodowato zimna, powietrze także, mimo obecności tylu ludzi oraz płonących kaganków. W oknach stały cienkie żółtawe świece, ale choć dawały sporo światła, efekt chyba nie był taki, jakiego oczekiwał ojciec Roche; w ciepłym jasnożółtym blasku różnobarwne szybki witraży wydawały się jednolicie czarne.

Jeszcze więcej świec płonęło w srebrnych kandelabrach po obu stronach ołtarza. Długie wstęgi bluszczu wiły się między nimi, jakby pod wpływem ciepła małych płomyków kamienne ściany wypuściły nagle żywe, zielone pędy. Nie ulegało wątpliwości, iż ojciec Roche zadał sobie sporo trudu, by odpowiednio udekorować świątynię. Lady Imeyne powinna chyba być zadowolona, pomyślała Kivrin i przeniosła spojrzenie na starą kobietę.

Imeyne trzymała relikwiarz w dłoniach złożonych do modlitwy, ale nie zamknęła oczu, tylko z wyrazem głębokiej dezaprobaty na twarzy wpatrywała się w szczyt drewnianej tęczy, gdzie kapłan także postawił kilka świec. Zapewne nie spodobał się jej ten pomysł, choć, zdaniem dziewczyny, był wręcz znakomity; świece oświetlały krucyfiks, a przy okazji rozpraszały mrok w części kościoła przeznaczonej dla wiernych.

Wypełniona złocistymi półcieniami świątynia sprawiała zupełnie inne wrażenie; wydawała się bardziej swojska, przytulna, niemal przyjazna, niczym kościół Najświętszej Marii Panny podczas nabożeństwa eklezjastycznego, na które Kivrin poszła w ubiegłym roku za namową pana Dunworthy'ego. Początkowo zamierzała uczestniczyć w odprawianej po łacinie mszy Kościoła Reformowanego, ale zrezygnowała, kiedy okazało się, że zamiast o północy zostanie odprawiona o czwartej po południu.

Agnes znowu zaczęła bawić się dzwonkiem. Lady Imeyne odwróciła się i spiorunowała małą spojrzeniem zza pobożnie złożonych rąk, Rosemunda zaś wychyliła się zza Kivrin i syknęła na siostrę.

- Nie wolno dzwonić, dopóki msza się nie skończy! - skarciła Kivrin szeptem dziewczynkę.

- Ja wcale nie dzwonię! - odparła Agnes również szeptem, ale tak donośnym, że słyhać go było w całym kościele. - Wstążka jest za ciasna. Zobacz!

Kivrin przyjrzała się uważnie i stwierdziła, że wręcz przeciwnie - gdyby udało jej się zawiązać tasiemkę nieco ciaśniej, być może dzwonek nie dźwięczałby przy każdym ruchu ręki. Niestety, msza miała rozpocząć się lada chwila, nie było więc czasu na dyskusje. Rada nierada, zaczęła rozsupływać węzeł.

Mała chyba usiłowała już wcześniej ściągnąć "bransoletkę" z ręki, ponieważ elegancka i łatwa do rozwiazania kokardka zamieniła się w mocno zacisnięty supeł. Kivrin bezskutecznie szarpała paznokciami tasiemkę, jednocześnie obserwując kątem oka, co dzieje się dokoła. Nabożeństwo miało zacząć się od procesji; ojciec Roche w otoczeniu ministrantów (jeśli tacy tu są, przemknęło jej przez głowę) powinien przejść środkiem nawy i skropić głowy wiernych święconą wodą.

Zrezygnowała z prób rozwiązania węzła, starała się natomiast zacisnąć go najbardziej jak się da, by uzyskać więcej luzu. Dzwon ucichł; zerknęła w kierunku drzwi, lecz ojciec Roche jeszcze się nie pojawił, nikt też nie czynił dla niego przejścia. Wieśniacy tłumnie wypełnili przeznaczoną dla nich część świątyni. Ktoś posadził nawet dziecko na grobowcu męża lady Imeyne, by lepiej widziało, ale na razie nic się nie działo, toteż Kivrin ponownie zajęła się wstążką. Za którymś razem zdołała wsunąć pod nią dwa palce; pociągnęła mocno, próbując zsunąć ją z przegubu.

- Tylko jej nie rozerwij! - upomniała ją Agnes teatralnym szeptem.

Kivrin chwyciła dzwoneczek, przesunęła go na obluźowanej tasiemce i wcisnęła małej do rączki.

- Trzymaj go mocno! - poleciła, zaginając pulchne palce dziecka.

Agnes posłusznie zacisnęła piąstkę, Kivrin natomiast nakryła tę rączkę drugą, tak że postronny obserwator mógłby uznać, iż dziecko w ten właśnie sposób złożyło dłonie do modlitwy, po czym szepnęła:

- Trzymaj go mocno, to nie będzie dzwonił.

Agnes z własnej inicjatywy pochyliła głowę i przycisnęła złożone ręce do czoła.

- Grzeczna dziewczynka - pochwaliła ją Kivrin, po czym znowu spojrzała na drzwi. Wciąż były zamknięte. Odetchnęła z ulgą, a następnie odwróciła się twarzą do ołtarza.

Stał tam już ojciec Roche, ubrany w biały haftowany ornat i w mocno pożółkłą albę obszytą poprzecieraną w wielu miejscach koronką, trzymając przed sobą rozłożoną księgę. Bez wątplenia stał tam i obserwował ją przez cały czas, kiedy zajmowała się tasiemką, ale na jego twarzy nie sposób było dopatrzeć się ani irytacji, ani zniecierpliwienia. Gościł tam zupełnie inny wyraz; przez chwilę nie mogła go zidentyfikować, ale potem

uświadomiła sobie, iż niemal tak samo wyglądał pan Dunworthy, kiedy stał po drugiej stronie szklanej ściany i obserwował ostatnie przygotowania do przeskoku.

Lady Imeyne odchrząknęła głośno i dopiero ten odgłos, niewiele różniący się od pomruku dzikiego zwierzęcia, przywołał kapłana do rzeczywistości. Przekazał księgę Cobowi, który wystroił się w coś w rodzaju wyświechtanej sutanny oraz zdecydowanie za duże skórzane buty, ukląkł przed ołtarzem, a następnie ponownie wziął księgę do rąk i zaczął czytanie lekcji - to znaczy, miało to wyglądać tak, jakby czytał, ale Kivrin doskonale wiedziała, że recytuje z pamięci.

Mówiła razem z nim, naturalnie w myśli, słysząc łacińskie słowa i monotony szept tłumacza. Potem zaczęło się responsorium.

- Kogo ujrzeliście, pasterze? - zapytał ojciec Roche po łacinie. - Powiedzcie, kto pojawił się dziś na ziemi? Umilkł, zmarszczył brwi i spojrzał prosto na nią.

Zapomniał tekstu, pomyślała, czując, jak ogarnia ją panika. Zerknęła ukradkiem na lady Imeyne, w nadziei, że stara kobieta nie zorientuje się, iż coś jest nie tak jak trzeba, ale Imeyne przeszywała nieszczęsnego kapłana bazylijszkowym spojrzeniem, jej usta zaś wykrzywiła na poły pogardliwy, na poły triumfalny uśmiech.

Roche wciąż nie spuszczał wzroku z dziewczyny.

- Powiedzcie, co ujrzeliście?

Kivrin odetchnęła z ulgą. Przypomniał sobie.

- Powiedzcie, kto do nas przybył?

Nie, nie tak!

- Ujrzeliśmy nowo narodzone Dziecię... - wyszeptała, przesadnie poruszając ustami.

Nie zwrócił na to uwagi, mimo iż ciągle patrzył prosto na nią.

- Widziałem... Widzieliśmy... - zająknął się i umilkł.

- Ujrzeliśmy nowo narodzone Dziecię! - szepnęła ponownie, po czym aż się skuliła, ponieważ lady Imeyne odwróciła się powoli i popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- ...i anioły wychwalające naszego Pana - powiedział ojciec Roche.

To też było nie tak jak trzeba, ale jego słowa odniosły przynajmniej taki skutek, że Imeyne zapomniała o Kivrin i ponownie zaczęła przypatrywać się księdzu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż starannie rejestruje w pamięci wszystkie uchybienia, aby przy pierwszej nadarzącej się okazji poinformować o nich biskupa.

- Mówcie, cóżście widzieli? - wyszeptała.

Nagle ojciec Roche jakby ocknął się z drzemki.

- Mówcie, cóżście widzieli? - powiedział głośno i wyraźnie. - Opowiedzcie nam o narodzinach Pana. Widzieliśmy nowo narodzone Dziecię i anioły wychwalające Pana.

Przeszedł do wyznania wiary. Kivrin szeptała je razem z nim po łacinie, ale kapłan szczęśliwie dobrnął do końca bez żadnych pomyłek. Trochę się odprężyła, lecz nadal obserwowała go uważnie, ponieważ odwrócił się do ołtarza, by odmówić *Oramus Te*.

Pod albą miał czarną sutannę, kiedyś chyba bardzo porządną i przypuszczalnie kosztowną, ale zarówno ona, jak i alba, lata świetności miały już dawno za sobą, a w dodatku były dla niego stanowczo za krótkie. Kiedy pochylił się, by ucałować ołtarz, Kivrin, a wraz z nią lady Imeyne i wszyscy zgromadzeni w świątyni, ujrzeli dobre dziesięć centymetrów brązowych, sfatygowanych spodni. Przypuszczalnie odziedziczył strój liturgiczny po poprzednim księdzu lub zmarłym kapłanie.

Kapłan Kościoła Reformowanego miał stylonową komżę narzuconą na dzinsy i brązową bluzę od dresu. Zapewniał Kivrin, że pasterka, chociaż odprawiana o czwartej po południu, nie będzie się niczym różnić od tych sprzed wieków. Tekst antyfony powstał w osiemnastym stuleciu, natomiast stacje drogi krzyżowej, pokazujące w okrutny sposób kolejne etapy męki Chrystusa, stanowią wierne kopie oryginałów z Turynu. Cóż z tego, kiedy funkcję kościoła musiał pełnić sklep z przyborami piśmiennymi, zamiast ołtarza był rozkładany stolik turystyczny, z zewnątrz zaś dobiegała melodia kurantów z Wieży Carfax, deformujących kolejną kolebę?

- *Kyrie eleison* - zaintonował Cob z rękami złożonymi do modlitwy.

- *Kyrie eleison* - odparł ojciec Roche.

- *Christe eleison* - powiedział Cob.

- *Christe eleison* - odparła radośnie Agnes.

Kivrin przyłożyła palec do ust i zmarszczyła brwi. Panie, zmiłuj się nad nami. Chryste, zmiłuj się nad nami. Panie, zmiłuj się nad nami.

Akt pokuty odmawiano także podczas nabożeństwa ekumenicznego; przypuszczalnie stanowiło to ustępstwo ze strony kapłana Kościoła Reformowanego, który w zamian uzyskał od pastora zgodę na przesunięcie godziny rozpoczęcia mszy. Nie zaproszony do udziału w negocjacjach ksiądz z Kościoła Tysiąclecia obraził się, odmówił czytania i tylko mierzył pozostałych kapłanów nieprzychylnym spojrzeniem. Dokładnie tak samo, jak teraz lady Imeyne.

Wyglądało na to, iż ojciec Roche zdołał zebrać myśli, ponieważ bez żadnych przygód przebrnął przez Glorie i szczęśliwie dotarł do Ewangelii.

- *Initium sancti Evangelii secundum Luke* - oznajmił, po czym zaczął "czytać", trochę jękając się i przekręcając niektóre wyrazy: - "W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzono spis ludności w całym państwie..."

Rok temu pastor czytał te same słowa. (Co prawda korzystał z Biblii dla Zwyczajnych Ludzi, w związku z tym rozdział drugi Ewangelii według św. Łukasza zaczynał się następująco: "Wtedy macherzy od polityki napuścili na ludzi agentów podatkowych", ale sens pozostał mniej więcej ten sam.)

- "I nagle przyłączyło się do anioła mnóstwo zastępów niebieskich, które wielbiły Boga słowami: Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli". - Ojciec Roche ucałował karty księgi. - *Per evangelica dicta deleantur nostro delicta*.

Teraz powinno nastąpić kazanie. W większości wiejskich kościołów księża wygłaszali kazania jedynie podczas ważniejszych mszy, a nawet wtedy ograniczali się do lekcji katechizmu, omówienia któregoś z siedmiu grzechów głównych albo Dziesięciu Przykazań. Kivrin przypuszczała, że w Boże Narodzenie kazanie zostanie wygłoszone dopiero podczas uroczystego porannego nabożeństwa.

Jednak, ku jej zdziwieniu, ojciec Roche postąpił dwa kroki w kierunku nawy wypełnionej tłumem wiernych (niektórzy opierali się o filary, inni o sąsiadów, by ulżyć zmęczonym nogom), po czym zaczął mówić:

- Dawno temu, kiedy Jezus zstąpił z nieba na ziemię, Bóg dawał ludziom znaki, aby uprzedzić ich o Jego przyjściu. Kiedy nadejdą ostatnie dni przed końcem świata, Bóg znowu będzie dawał nam znaki: ześle na ludzi głód i zarazę, a Szatan będzie galopował od miasta do miasta, od wsi do wsi, siejąc wszędzie śmierć i zniszczenie.

O nie, jęknęła Kivrin w duchu. Tylko nie mów nic o diable dosiadającym czarnego rumaka!

Zerknęła na lady Imeyne. Stara kobieta była aż czerwona ze złości, ale to, co powie, albo czego nie powie ojciec Roche, nie miało chyba większego znaczenia. Nawet gdyby nie popełnił żadnych błędów, Imeyne i tak dostrzegłaby ich wystarczająco wiele, by mieć na co poskarżyć się biskupowi. Lady Yvolde sprawiała wrażenie lekko zirytowanej, pozostali wierni zaś mieli na twarzach wyraz zrezygnowanego znudzenia, typowy dla ludzi słuchających kazań bez względu na epokę i okoliczności.

Kazanie w kościele Najświętszej Marii Panny dotyczyło problemów z zagospodarowaniem odpadów. Dziekan kościoła Jezusa Chrystusa zaczął je od słów: "Chrześcijaństwo narodziło się w stajni. Czy umrze w ściekach?"

Dla niej ten problem nie miał najmniejszego znaczenia. Minęła północ, u Najświętszej Marii Panny była kamienna posadzka i prawdziwy ołtarz, i wystarczyło zamknąć oczy, by zapomnieć o parasolach, laserowych świecach oraz miękkim chodniku w przejściu między ławkami w głównej nawie. Kivrin ukradkiem wysunęła spod kolan plastikowe podkładki, uklękła na gołej podłodze i próbowała sobie wyobrazić, że jest w średniowieczu.

Pan Dunworthy powiedział, że choćby nie wiadomo jak się starała, rzeczywistość i tak okaże się zupełnie inna od jej wyobrażeń. Oczywiście miał rację, ale nie w przypadku tej mszy. Tutaj wszystko było dokładnie tak, jak sobie wyobrażała: łacińskie modlitwy, woń kadzidła i dymu, przejmujące zimno.

- Pan ześle ogień i zarazę, i wielu zginie - mówił ojciec Roche. - Ale nawet w tych dniach ostatnich dobry Bóg nie opuści nas zupełnie. Da nam pomoc i ukojenie, a potem poprowadzi nas szczęśliwie do nieba.

Poprowadzi nas szczęśliwie do nieba... Jej myśli znowu wróciły do pana Dunworthy'ego. "Nie rób tego" - powtarzał. "Tam będzie zupełnie inaczej, niż sobie wyobrazasz".

Nie mylił się. Nigdy się nie mylił.

Ale nawet on, opanowany przerażającymi wizjami czarnej ospy, rzezimieszków i płonących stosów, nie brał pod uwagę możliwości, że zdarzy się to, co się zdarzyło: że na niespełna tydzień przed wyznaczonym terminem powrotu wciąż nie będzie wiedziała jak trafić na miejsce przeskoku. Spojrzała na męską stronę kościoła, na Gawyna, który z kolei ani na chwilę nie odwracał wzroku od Eliwys. Koniecznie musi z nim porozmawiać. Może po mszy?

Ojciec Roche wrócił do ołtarza. Zaczynała się liturgia eucharystyczna. Agnes oparła się o Kivrin, ta zaś objęła dziewczynkę, podtrzymując ją, na ile pozwalały jej siły. Biedne maleństwo, pomyślała. Ciekawe, kiedy to się skończy.

Msza u Najświętszej Marii Panny trwała godzinę i piętnaście minut. Dokładnie w połowie ofiarowania zapisał sygnalizator doktor Ahrens.

- Wzywają mnie do porodu - poinformowała szeptem Kivrin i Dunworthy'ego. - Trudno wyobrazić sobie lepszą porę, żeby przyjść na świat.

Ciekawe, czy oboje są teraz w kościele, przemknęło jej przez głowę, ale natychmiast uświadomiła sobie, że przecież tam, w domu, jest już po Świętach. Boże Narodzenie było trzy dni po jej przybyciu w średniowiecze, kiedy leżała chora w łóżku. Teraz mają... Który? Drugi stycznia. Przerwa świąteczna powoli dobiega końca, a ze sklepowych wystaw zniknęły już bożonarodzeniowe dekoracje.

W kościele stopniowo robiło się coraz bardziej duszno. Można było odnieść wrażenie, iż płonące świece i kaganki zużywają cały tlen, nie zostawiając go ani trochę zgromadzonym ludziom. Coraz częściej dawały się słyszeć szurania i ciężkie westchnienia, coraz cięższa stawała się także Agnes; gdyby Kivrin przestała ją podtrzymywać, mała z pewnością runęłaby na podłogę. Na szczęście ojciec Roche zaczął odmawiać *Sanctus* i wszyscy uklękli.

Usiłowała przypomnieć sobie jak wygląda Oxford drugiego stycznia, z milczącymi kurantami oraz ogłoszeniami w witrynach informującymi o zimowych wyprzedażach. Doktor Ahrens zapewne ma urwanie głowy z pacjentami, którzy nadmiernie objedli się podczas Świąt, pan Dunworthy zaś przygotowuje wykłady dla studentów. Nie, to nieprawda, poprawiła się natychmiast. Wciąż miała żywo w pamięci jego zatroskaną twarz za szklanym przepierzeniem w laboratorium. Na pewno martwi się o mnie.

Ojciec Roche podniósł kielich, przyklęknął, ucałował ołtarz. Szuranie przybrało na sile; spojrzała na drugą stronę kościoła i zobaczyła Gawyna, który nie klęczał wyprostowany, tylko przysiadł na piętach. Chyba nawet jemu zmęczenie zaczęło już dawać się we znaki. Sir Bloet po prostu zasnął.

Tak samo jak Agnes. Nie było najmniejszych szans, by obudzić ją na "Ojczy nasz", i Kivrin nawet nie próbowała tego uczynić. Kiedy wszyscy wstali z klęczek, skorzystała z okazji, by poprawić uchwyt i ułożyć główkę dziecka w nieco wygodniejszej pozycji. Coraz bardziej bolało ją kolano. Widocznie uklękła na spoinie między dwiema kamiennymi płytami. Przesunęła się nieco do przodu i dyskretnie podłożyła pod oba kolana złożony skraj płaszcza.

Ojciec Roche włożył do kielicha kawałek chleba, odmówił *Haec Commixtio*, po czym wierni ponownie uklękli, ponieważ nadeszła pora na *Agnus Dei*.

- *Agnus dei, qui tollis peccata mundi: miserere nobis.*

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami.

Agnus dei. Baranek Boży. Kivrin uśmiechnęła się do śpiącej Agnes. Mała niemal leżała na niej z na wpół uchylonymi ustami, ale nie wypuściła dzwonka z zaciśniętych kurczowo palców. Mój baranek, pomyślała czule Kivrin. Moja owieczka.

Klęcząc na kamiennej posadzce w kościele Najświętszej Marii Panny potrafiła wyobrazić sobie blask dymiących świec i zimno, ale nie lady Imeyne, czyhającą jak sęp na każdy błąd ojca Roche'a, ani nie Eliwys, Gawyna i Rosemundę. Ani ojca Roche'a o twarzy rzeźmieszka i wielkich, spracowanych dłoniach.

Nigdy, choćby klęczała tam nawet siedemset trzydzieści cztery lata, nie wyobraziłaby sobie Agnes z jej pieskiem, napadami złego humoru oraz rozbitym kolanem. Cieszę się, że tu jestem, pomyślała. Mimo wszystko.

Ojciec Roche uczynił kielichem znak krzyża, po czym wypił jego zawartość.

- *Dominus vobiscum.*

Za plecami Kivrin natychmiast powstało zamieszanie. Główna część spektaklu dobiegła końca, więc niektórzy ruszyli już do wyjścia, by uniknąć ścisłu. Wyglądało na to, że przy opuszczaniu świątyni rodzina lorda nie mogła liczyć na takie względy, jakie okazywano jej przed mszą. Każdy, kto znalazł się na zewnątrz, uważał chyba za swój obowiązek natychmiast podzielić się wrażeniami z sąsiadem, ponieważ zrobił się taki harmider, że Kivrin z trudem dosłyszała ostatnie słowa księdza:

- *Ite, Missa est.*

Lady Imeyne odwróciła się gwałtownie i ruszyła do wyjścia, jeszcze zanim zdążył opuścić rozłożone ramiona. Wyglądała jakby miała zamiar udać się prosto do Bath i opowiedzieć biskupowi o wszystkich karygodnych błędach niedouczzonego kapłana.

- Widzieliście te świece na ołtarzu? - syknęła do lady Yvolde. - Dał najgorsze, a ja przecież wyraźnie powiedziałam mu, że ma postawić te z pszczelego wosku!

Yvolde potrząsnęła głową, popatrzyła spode łba na ojca Roche'a, po czym obie kobiety wymaszerowały z kościoła. Rosemunda podążyła za nimi, z pewnością po to, by uniknąć towarzystwa sir Bloeta. Powinna bez trudu osiągnąć swój cel, ponieważ od narzeczonego odgrodził ją tłum rozgadanych ludzi. Zanim otyły szlachcic dźwignie się na nogi, dziewczyna przypuszczalnie będzie już w domu.

Kivrin stwierdziła, że ona także ma kłopoty ze wstaniem z klęczek. Straciła czucie w prawej stopie, Agnes zaś była zupełnie nieprzytomna.

- Agnes, obudź się! Żadnej reakcji.

- Obudź się, pora wracać do domu.

Sir Bloet wreszcie zdołał podnieść się z kamiennej posadzki, z twarzą czerwoną od wysiłku podszedł do lady Eliwys i podał jej ramię.

- Wasza córka zasnęła - poinformował ją, jakby nikt oprócz niego tego nie zauważył.

- Rzeczywiście - odparła Eliwys. Spojrzała obojętnie na Agnes, po czym ujęła go pod ramię.

- A wasz mąż nie wrócił na święta do domu.

- Rzeczywiście - powtórzyła, zaciskając mocniej palce.

Nagle odezwały się wszystkie dzwony. Chociaż ich chór nie tworzył żadnej harmonii, to i tak radosne, nieskoordynowane bicie brzmiało niczym najcudowniejsza muzyka.

Kivrin delikatnie potrząsnęła małą za ramię.

- Agnes, możesz już dzwonić swoim dzwoneczkiem!

Dziewczynka nawet nie drgnęła. Kivrin próbowała ją podnieść, ale Agnes była za ciężka. W pewnej chwili jej bezwładne ramiona zakołysały się gwałtownie i w niemal całkowicie opustoszałym wnętrzu świątyni rozległ się delikatny głos małego dzwoneczka.

- Przecież nie mogłaś się doczekać, żeby zacząć dzwonić! Obudź się, maleńka...

Nie była w stanie nawet podnieść się na nogi. Rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby jej pomóc, ale kościół był już prawie pusty; Cob szedł wzdłuż przeciwległej ściany, gasząc palcami świece wystawione w oknach, natomiast Gawyn i siostrzeńcy sir Bloeta stali przy drzwiach i przypinali miecze. Ojciec Roche zniknął bez śladu. Zapewne jest w dzwonnicy, pomyślała. Ciągnie z entuzjazmem za linę, by dać wyraz radości z narodzenia Pana.

Nieprzyjemne mrowienie świadczyło o tym, że zaczyna odzyskiwać czucie w prawej stopie. Ostrożnie podgięła nogę i spróbowała się na niej oprzeć. Wrażenie było paskudne, ale wyglądało na to, że chyba zdoła się wreszcie podnieść. Chwyciła mocniej Agnes, przeniosła ciężar ciała na prawą nogę, podparła się ręką... I runęła twarzą na posadzkę.

Z pewnością nie zdążyłaby złagodzić upadku, ale na szczęście chwyciły ją czyjeś silne ręce.

- Lady Eliwys nakazała mi, bym wam pomógł - powiedział Gawyn. - Widzę, że słusznie uczyniła.

Zabrał jej Agnes, posadził ją sobie na karku, po czym wyszedł z kościoła. Kivrin, lekko utykając, podążyła za nim.

- Dziękuję - wysapała, kiedy wyszli poza zatłoczony cmentarz. - Bałam się, że jeszcze chwila, a nie dam rady jej utrzymać.

- To duża dziewczynka - przyznał.

Dzwoneczek zsunął się z ręki dziecka i upadł w śnieg. Kivrin schyliła się, by go podnieść. Ponownie założyła tasiemkę na przegub Agnes, ale tym razem bardzo uważała, by zawiązać ją na zgrabną kokardkę.

- Zawsze chętnie pomagam ludziom, szczególnie niewiastom - dodał Gawyn, ale Kivrin nie zwracała uwagi na jego słowa.

Byli zupełnie sami na zaśnieżonej przestrzeni między cmentarzem a dworem. Reszta towarzystwa wchodziła już na dziedziniec; pierwszy szedł rządcą z latarnią, oświetlając drogę trzymającym się pod rękę lady Imeyne i lady Yvolde. Przy kościele wciąż jeszcze kręciło się mnóstwo ludzi; znaczna ich część zgromadziła się wokół ognia, który ktoś rozpałił za cmentarną bramą. Grzali się w ciepłe płomieni i przekazywali sobie z rąk do rąk drewnianą głęboką miskę. Tutaj, dokładnie w połowie drogi między dwiema grupami, było tylko ich troje, a właściwie dwoje, ponieważ Agnes wciąż spała kamiennym snem. Lepsza sposobność mogła się już nie nadarzyć.

- Chciałam wam podziękować za to, że ścigaliście nikczemników, którzy na mnie napadli, i że przywieźliście mnie z lasu - powiedziała. - Jak daleko jest do miejsca, w którym mnie znaleźliście? Możecie mnie tam zabrać?

Przystanął i spojrzał na nią.

- Nie powiedzieli wam? Cały wasz dobytek i resztki powozu są już we dworze. Złodzieje zrabowali większość rzeczy, i choć pojechałem tropem niegodziwców, to nie udało mi się ich dopaść.

Ponownie ruszył przed siebie.

- Wiem, że przywieźliście z lasu moje kufrы. Za to również jestem wam bardzo wdzięczna, ale nie dlatego proszę was, byście zechcieli pokazać mi miejsce, w którym mnie znaleźliście...

Kivrin mówiła najszybciej jak mogła, lękając się, że lada chwila dogonią pozostałych. Jej obawy wcale nie były bezpodstawne, ponieważ lady Imeyne przystanęła nagle i spojrzała w ich stronę, jakby chciała sprawdzić, czemu idą tak powoli.

- Podczas napadu straciłam pamięć, więc pomyślałam, że jeśli jeszcze raz zobaczę to miejsce, może przypomnę sobie, kim jestem i skąd się tam wzięłam.

Gawyn zatrzymał się ponownie, odwrócił i skierował wzrok na drogę wiodącą od kościoła w kierunku lasu. Pojawiło się tam kilka świateł, które, podskakując i kołyszając się na boki, zbliżały się w szybkim tempie. Czyżby jacyś spóźnialscy spieszący na mszę?

- Tylko wy wiecie, gdzie jest to miejsce - ciągnęła Kivrin. - Nie musicie nawet tam jechać; wystarczy, jeśli powiecie mi, gdzie to jest, a ja...

- Tam nic nie ma - odparł, wciąż wpatrując się w rozchwiane światelka. - Wszystkie rzeczy przewiozłem do dworu.

- Wiem - powtórzyła ze zniecierpliwieniem. - Dziękuję wam za to, ale...

W ogóle jej nie słuchał.

- Są w stodole.

Do uszu dziewczyny dotarł tętent kopyt. Światelka okazały się latarniami i pochodniami trzymanymi przez ludzi dosiadających koni. Było ich co najmniej sześciu. Przegalopowali obok kościoła, przemknęli przez wioskę i zatrzymali rumaki obok grupki, w której znajdowała się lady Eliwys.

To na pewno jej mąż, pomyślała Kivrin, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Gawyn dosłownie rzucał jej Agnes w ramiona, sam zaś dobył miecza i co sił w nogach pognął w kierunku jeźdźców.

O nie, jęknęła w duchu, po czym także pobiegła, uginając się pod ciężarem dziewczynki. To nie jej mąż, tylko ludzie, przed którymi lord Guillaume starał się ukryć rodzinę, jego wrogowie. Właśnie ze względu na nich Eliwys tak bardzo rozgniewała się na Imeyne, kiedy ta posłała Gawyna do sir Bloeta i dalej, do archidjakona.

Mężczyźni z pochodniami zsiadli z koni, trzej pozostali natomiast wciąż siedzieli na wierzchowcach. Eliwys podeszła do jednego z nich, po czym nagle osunęła się na kolana, jak po silnym ciosie w twarz.

Nie! - przemknęła Kivrin przez głowę rozpacziwa myśl. Dziewczyna biegła co sił w nogach; dzwoneczek Agnes brzęczał donośnie w krystalicznie czystym, zimowym powietrzu.

Gawyn dopadł grupki, zatrzymał się gwałtownie, a następnie schował miecz do pochwy i także padł na kolana. Niemal jednocześnie Eliwys podniosła się i wyciągnęła rękę w powitalnym geście.

Kivrin poczuła, że musi się na chwilę zatrzymać, bo jeszcze chwila a runie w śnieg, by już więcej się nie podnieść. Dysząc ciężko obserwowała, jak sir Bloet wysuwa się naprzód, jeźdźcy zaś zrzucają kaptury z głów. Wszyscy trzej mieli kapelusze albo może mitry. Jeden z nich podniósł rękę, a wtedy na jego palcu błysnęła jakby jasna gwiazda.

- Co się stało? - zapytała Agnes sennym głosem.

- Nie wiem - odparła Kivrin.

Dziewczynka spojrzała w kierunku dworu.

- Ojej! - westchnęła z zachwytem. - Przyjechali Trzej Królowie...

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(064996-065537)

Wigilia 1320 (według starej rachuby czasu). Przybył wysłannik biskupa, któremu towarzyszą jeszcze dwaj duchowni. Lady Imeyne nie posiada się z zadowolenia, ponieważ jest przekonana, iż zjawili się w związku z jej prośbami o przysłanie nowego kapelana, ale ja wcale nie byłabym tego taka pewna. Przyjechali niemal bez służby i sprawiają wrażenie, jakby grunt palił im się pod stopami. Może zlecono im jakąś sekretną misję?

Jeśli tak, to ponad wszelką wątpliwość ma ona związek z przyszłością lorda Guillaume'a. Być może biskup jest jego przyjacielem albo gorącym zwolennikiem króla Edwarda II; w obu przypadkach istnieje możliwość, że postanowił zawrzeć jakiś układ z Eliwys, w zamian ofiarowując życie jej męża.

Bez względu na to, jak przedstawia się prawda, trzeba im przyznać, że potrafią trzymać klasę. Agnes wcale nie rozminęła się tak bardzo z prawdą, kiedy wzięła ich za Trzech Króli; istotnie zachowują się niemal jak udzielni władcy. Wysłannik biskupa ma szczupłą twarz o arystokratycznych rysach, wszyscy trzej zaś są ubrani z przepychem, jakiego nie powstydziliby się żaden średniowieczny książę. Jeden z nich ma nawet płaszcz ze szkarłatnego aksamitu z naszytym na plecach białym jedwabnym krzyżem.

Lady Imeyne natychmiast uraczyła go wstrząsającą opowieścią o niedouczonym, niezdarnym i w ogóle niemożliwym ojcu Roche.

- Z pewnością nie zasługuje na parafię - powiedziała.

Na nieszczęście dla niej (a na szczęście dla ojca Roche'a), okazało się, iż rzekomy wysłannik biskupa jest tylko jego pisarzem. Sam dostojnik jest ubrany na czerwono, zachowuje się wyniośle i ma wierzchnią szatę obszytą sobolim futrem.

Trzeci duchowny, mnich, należy do zakonu cystersów - w każdym razie nosi biały habit, tyle że uszyty z materiału jeszcze lepszej jakości niż ten, z jakiego wykonano mój płaszcz, przepasuje się jedwabnym sznurkiem, na każdym palcu natomiast ma pierścień, jakiego nie powstydziliby się żaden król. Zachowuje się bynajmniej nie jak mnich. On i wysłannik biskupa na samym wstępie zażądali wina, patrząc zaś na pisarza bez trudu można się domyślić, iż po drodze zdążył wlać w siebie sporo alkoholu. Zsiadając z konia potknął się i gdyby nie tłusty mnich, z pewnością zaryłby nosem w śniegu.

(przerwa)

Moje domysły dotyczące przyczyny, dla której się tu zjawili, były chyba niesłuszne. Co prawda lady Eliwys i sir Bloet zaraz po wejściu do domu zaczęli szeptać o czymś w kącie z wysłannikiem biskupa, ale rozmowa trwała zaledwie kilka minut, kiedy zaś dołączyli do wszystkich, usłyszałam, jak Eliwys mówi do Imeyne:

- Oni też nic o nim nie wiedzą.

Jej teściowa nie sprawiała wrażenia zaskoczonej ani zasmuczonej tą wiadomością. Wciąż jest przekonana, iż niespodziewani goście zjawili się w związku z jej prośbą o przysłanie nowego kapelana, więc stara się spełniać wszelkie ich życzenia. Zarządziła, by natychmiast zastawiać stoły, i usadziła wysłannika na honorowym miejscu. Przybysze wydają się jednak znacznie więcej uwagi poświęcać trunkom niż jedzeniu. Lady

Imeyne osobiście podała im wino, ale oni błyskawicznie opróżnili kubki i zaczęli wołać o więcej. Kiedy Maisry przyniosła dzban, pisarz chwycił ją za spódnicę, przyciągnął do siebie, po czym wepchnął jej łapę za dekolty, ona zaś, rzecz jasna, w obronnym geście złapała się za uszy.

Jedna tylko dobra rzecz wynikła z ich przyjazdu: i tak już spore zamieszanie przybrało wręcz niewyobrażalne rozmiary. Co prawda nie zdążyłam wypytać Gawyna, ale jestem pewna, że w ciągu najbliższych dwóch, może trzech dni, uda mi się ponownie porozmawiać z nim na osobności, nie wzbudzając przy tym niczyich podejrzeń. Zadanie nie powinno okazać się zbyt trudne, ponieważ Imeyne ani na chwilę nie odwraca wzroku od biskupiego wysłannika, który właśnie wyrwał Maisry dzban i sam nalał sobie do pełna. Mam jeszcze mnóstwo czasu, prawie cały tydzień.

21.

Dwudziestego ósmego grudnia zmarły jeszcze dwie osoby - obie zetknęły się z Badrim podczas zabawy w Headington - natomiast Latimer doznał udaru mózgu.

- Dorobił się zapalenia mięśnia sercowego, a z tego wytworzył się zakrzep z zatorami - wyjaśniła Mary przez telefon. - Chwilowo nie mamy z nim kontaktu.

Ponad połowa internowanych, których umieszczono w college'u Balliol, zachorowała na gripę, do szpitala zaś przyjmowano już tylko najpoważniejsze przypadki. Dunworthy, Finch oraz jedna z internowanych, która chodziła przez rok do szkoły pielęgniarskiej (naturalnie dowiedział się o tym William Gaddson), przez dwadzieścia cztery godziny na dobę rozdawali leki obniżające temperaturę i sok pomarańczowy. Oprócz tego Dunworthy miał jeszcze jedno zajęcie: martwił się nieustannie.

Powtórzył Mary słowa Badriego o szurach i połowie Europy, ale ona wzruszyła ramionami.

- On majaczy, James. To, co mówi, nie ma żadnego związku z rzeczywistością. Jeden z chorych bez przerwy opowiada o słoniach królowej i pyta, czy mają dość karmy.

Mimo to wciąż prześladowała go myśl, że Kivrin zamiast do roku 1320 trafiła do 1348, "Który mamy rok?" - zapytał Badri pierwszej nocy, a zaraz potem dodał: "Nie, to niemożliwe".

Po sprzeczce z Gilchristem Dunworthy zadzwonił do Andrews'a i powiedział mu, że nie ma dostępu do laboratorium.

- Nie szkodzi - odparł technik. - Najważniejsze są koordynaty czasowe, przestrzenne nie mają takiego znaczenia. Poproszę ludzi z Jesus College, żeby dali mi namiary wykopalisk, i po kłopotcie. Rozmawiałem już z nimi w sprawie ponownego przeliczenia parametrów. - Znowu działała tylko fonia, ale brzmienie głosu Andrews'a zdradzało, jak bardzo jest zdenerwowany. Przypuszczalnie obawiał się, żeby Dunworthy nie ponowił propozycji przyjazdu do Oxfordu. - Pogrzebałem w książkach, żeby sprawdzić, jak wygląda problem poślizgów. Teoretycznie nie istnieją żadne ograniczenia, ale w praktyce minimalny poślizg zawsze jest trochę większy od zera, nawet na zupełnie nie zamieszkałych terenach, największy natomiast nie przekroczył pięciu lat, przy czym dotyczyło to sond automatycznych. W przypadku przeskoku człowieka maksymalny poślizg wyniósł dwieście dwadzieścia sześć dni.

- Skoro nie poślizg, to co? - zapytał Dunworthy. - Czy są jeszcze jakieś słabe ogniwa?

- Raczej nie. Jeśli prawidłowo obliczono współrzędne, wszystko powinno pójść jak po maśle.

Andrews obiecał, że da znać, kiedy tylko upora się z przeliczeniem parametrów.

Pięć lat oznaczałoby rok 1325, Nawet w Chinach nikt jeszcze wtedy nie słyszał o zarazie, a przecież Badri powiedział Gilchristowi, że poślizg był minimalny. Z pewnością nie chodziło też o współrzędne, ponieważ Badri zdążył sprawdzić je przed chorobą. Mimo to Dunworthy nie mógł uwolnić się od dręczącego go niepokoju i zużył kilka wolnych minut, jakie udało mu się wykroić, na wydzwanianie do wszystkich znajomych techników w poszukiwaniu kogoś, kto zgodziłby się zlokalizować Kivrin, kiedy tylko nadejdą wyniki badań wirusa i Gilchrist otworzy laboratorium. Wyniki powinny nadejść już wczoraj, ale Mary poinformowała go przez telefon, że jeszcze ich nie ma.

Późnym popołudniem zadzwoniła ponownie.

- Możesz urządzić u siebie szpital? - zapytała bez żadnych wstępów.

Znowu działała wizja, dzięki czemu zobaczył, że jej aseptyczny kombinezon wygląda tak, jakby w nim spała, maska zaś, która powinna zasłaniać jej usta i nos, kołysz się beztrząsco na jednej tasiemce.

- Już mam tu szpital - odparł. - Tylko dziś po południu zanotowaliśmy trzydzieści jeden przypadków.

- Więc przygotuj miejsce na drugi - powiedziała znużonym głosem. - Na razie jeszcze nie jest potrzebny, ale wkrótce będzie, jeśli utrzyma się to tempo zachorowań. Klinika jest już prawie pełna, a w dodatku zachorowała też część personelu.

- Oczywiście nie przysłali jeszcze wyników sekwencjonowania?

- Nie, za to dzwonił ktoś z Centrum Badań nad Grypą. Coś pochrzanilo im się przy pierwszym badaniu, więc musieli zaczynać wszystko od początku. Obiecali, że skończą do jutra. Obecnie podejrzewają, że wirus dotarł do nas z Urugwaju. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Z tego, co wiem, Badri chyba nie ma żadnych krewnych ani znajomych w Urugwaju? Na kiedy zdążysz przyszykować łóżka?

- Na wieczór.

Chwilę potem jednak dowiedział się od Fincha, że właśnie skończyły się składane łóżka turystyczne, toteż musiał osobiście pofatygować się do miejscowej placówki Służby Ochrony Epidemiologicznej i dosłownie wyrwać im z gardła dwanaście sztuk. W związku z tym nowy oddział, urządzony w dwóch salach wykładowych, był gotowy na przyjęcie pacjentów dopiero nad ranem.

Finch, który pomagał przy rozstawianiu łóżek, oznajmił, iż kończą się zapasy pościeli, masek oraz papieru toaletowego.

- Nie starczy nawet dla internowanych, a co dopiero mówić o pacjentach - narzekał, ścieląc kolejne łóżko.

- Poza tym, w ogóle nie mamy bandaży.

- Przecież to nie wojna, tylko epidemia - odparł Dunworthy. - Wątpię, czy będą jacyś ranni. Dowiedział się pan, czy w którymś z college'ów został na Święta choć jeden technik?

- Dzwoniłem do wszystkich, proszę pana, ale bez rezultatu. - Znieruchomiał z poduszką przyciśniętą do piersi. - Wywiesiłem też kartki z prośbą, aby oszczędzano papier toaletowy; niestety, nikt się nimi nie przejął. Muszę z przykrością stwierdzić, że szczególnie rozrzutne są nasze Amerykanki. - Ocknął się z zamyślenia i zaczął nawlekać poszewkę. - Chociaż, z drugiej strony, trochę mi ich żal. Wczoraj wieczorem zachorowała Helen, a przecież nie mają nikogo, kto mógłby ją zastąpić.

- Helen?

- Panna Piantini. Ta od dzwonek tenorowych. Ma 39,7. Obawiam się, że będą musiały odwołać Mszę Chicagowską.

I Bogu dzięki, pomyślał Dunworthy, na głos zaś powiedział:

- Proszę zapytać, czy teraz, kiedy już nie ćwiczą, będą mogły w dalszym ciągu dyżurować przy moim telefonie. Czekam na ważne wiadomości. Czy dzwonił Andrews?

- Nie, proszę pana. Jeszcze nie. Aha, znowu nie działa wizja. - Wstrząsnął poduszkę. - Paskudnie wyszło z tą Mszą Chicagowską. Naturalnie mogą zagrać jakiś mniejszy utwór, ale to już nie to samo.

- Przygotował mi pan listę techników?

- Tak, proszę pana. - Finch właśnie walczył z opornym łóżkiem, więc tylko wskazał ruchem głowy. - Jest tam, przy tablicy.

Dunworthy wziął do ręki plik kartek. Pierwsza była od góry do dołu pokryta kolumnami cyfr od 1 do 6, ustawionych w zmieniającym się porządku.

- To nie to! - Lekko zarumieniony Finch wyrwał mu papiery z ręki. - To kolejność wejść w trakcie Mszy Chicagowskiej. Proszę, tu jest lista. - Wręczył Dunworthy'emu pojedynczą kartkę. - Pogrupowałem nazwiska według college'ów, a obok ma pan adresy i numery telefonów.

Do sali wszedł Colin w przemoczonej kurtce, z jakimś rulonem pod pachą i rolką taśmy samoprzylepnej w ręce.

- Pastor kazał mi poprzylepiać to na wszystkich oddziałach - oznajmił, pokazując plakat o następującej treści: MASZ KŁOPOTY Z KONCENTRACJĄ? NIE MOŻESZ ZEBRAĆ MYŚLI? UWAŻAJ! KTO WIE, CZY TO NIE PIERWSZE OZNAKI GRYPY! - Oddał kawałek taśmy i przykleił plakat do tablicy. - Byłem już z tym w klinice i wiecie, kogo spotkałem? Panią Gaddson. - Rozwinął kolejny plakat, tym razem z napisem: NIE ZAPOMINAJ O MASCE! Powiesił go na ścianie nad łóżkiem, które przed chwilą udało się rozłożyć Finchowi. - Zgadnijcie, co robiła. - Zaczekał chwilę na odpowiedź, po czym schował taśmę do kieszeni i oznajmił triumfalnie: - Czytała pacjentom Biblię! Mam nadzieję, że tego nie złapię, bo gdyby przyszła do mnie, chyba bym umarł.

Wetknął rulon pod pachę, po czym skierował się do wyjścia.

- Załóż maskę - przypomniał mu Dunworthy.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

- Pani Gaddson też ciągle to powtarza, naturalnie wtedy, kiedy nie grzmi, że Pan ześle okrutną karę na tych, którzy nie okażą posłuszeństwa Jego sługom. - Wydobył z kieszeni wymięty szarobury szalik. - To moja maska - oświadczył, owijając go sobie wokół twarzy, tak że widać było tylko oczy.

- Wełna nie powstrzyma wirusów.

- Wiem. Chodzi o kolor. Na widok tego szalika każdy wirus musi paść trupem.

Wybiegł, nie czekając na odpowiedź.

Dunworthy próbował dozwonić się do Mary, by zameldować, że oddział jest już gotów na przyjęcie pacjentów, ale nie udało mu się, więc wyruszył na piechotę w kierunku szpitala. Deszcz ledwo siąpił i na ulicach pojawiło się trochę ludzi. Wszyscy mieli maski na twarzach, większość z nich albo kierowała się do apteki, albo właśnie stamtąd wracała. W mieście panowała nienaturalna, groźna cisza.

Ktoś wyłączył kuranty, uświadomił sobie po dłuższej chwili. Niemal natychmiast zaczęło mu ich brakować.

Mary siedziała w gabinecie, wpatrzona w ekran monitora.

- Dostaliśmy wyniki sekwencjonowania - oznajmiła, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Zawiadomiłaś Gilchrista?

- Nie, bo ten wirus nie dotarł do nas ani z Urugwaju, ani z Południowej Karoliny.
- Więc co to jest?
- H9N2, Tamte były H3.
- Skąd się wziął?
- Tego nikt nie wie. Światowe Centrum Badań nad Grypą twierdzi, że pojawił się po raz pierwszy. - Wręczyła mu wydruk. - To by tłumaczyło, dlaczego zabija ludzi.

Wydruk bardzo przypominał notatki dotyczące kolejności wejść podczas Mszy Chicagowskiej, ponieważ składał się niemal wyłącznie z kolumn liczb i był równie niezrozumiały.

- Skądś jednak musiał się tu dostać!
- Niekoniecznie. Średnio co dziesięć lat następuje istotna mutacja, więc równie dobrze mógł powstać u nas, w Oxfordzie, a konkretnie w organizmie Badriego. - Zabrała mu wydruk. - Nie wiesz, czy stykał się ze zwierzętami hodowanymi?

- Ze zwierzętami hodowanymi? Wynajmuje mieszkanie w kilkupiętrowym domu w Headington!
- Mutacje powstają czasem w wyniku "skrzyżowania" znanych wirusów z wirusami gnębiącymi na przykład ptactwo domowe. Centrum poleciło nam zbadać ten trop, jak również sprawdzić, czy Badri nie był wystawiony na działanie promieniowania, bo ono także potrafi przyspieszyć mutację. - Umilkła i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kolumny liczb, po czym dodała: - Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Nie ma żadnych zmian w genach hemaglutyniny.

Nic dziwnego, że nie zawiadomiła Gilchrista. Co prawda twierdził, że otworzy laboratorium, kiedy tylko nadejdą wyniki sekwencjonowania, ale gdyby je zobaczył, przypuszczalnie kazałby zamurować drzwi.

- Jest jakieś lekarstwo?
- Będzie, jak tylko uda się wyprodukować szczepionkę. Już nad nią pracują.
- Ile czasu to potrwa?
- Trzy do pięciu dni testów, potem kolejne pięć na produkcję, oczywiście pod warunkiem, że nie napotkają żadnych trudności w syntezie protein... Myślę, że powinniśmy zacząć szczepienia około dziesiątego stycznia.

Dziesiąty stycznia. A to przecież dopiero początek szczepień. Jak długo trzeba będzie czekać, zanim uodpornią się wszyscy ludzie przebywający na terenie objętym kwarantanną? Tydzień? Może nawet dwa? A ile czasu potrwa, zanim Gilchrist i ci kretyńscy demonstranci uznają, że można otworzyć laboratorium?

- Za długo - stwierdził stanowczo Dunworthy.
- Wiem - odparła Mary i westchnęła głęboko. - Jeden Bóg wie, ilu ludzi jeszcze zachoruje. Tylko dziś rano mieliśmy dwadzieścia nowych zgłoszeń.

- Naprawdę sądzisz, że to całkiem nowa mutacja?
Zastanawiała się przez chwilę.
- Nie - powiedziała wreszcie. - Wydaje mi się znacznie bardziej prawdopodobne, że Badri zaraził się od kogoś podczas przyjęcia w Headington. Mogli tam przecież być jacyś nowohinduiści albo Opiekunowie Ziemi, albo ktokolwiek, kto z takich lub innych względów nie ufa nowoczesnej medycynie i nie poddaje się regularnym szczepieniom. Nie wiem, czy pamiętasz, ale kanadyjska grypa z roku 2010 zaczęła się w komunie Wyznawców Nauki Chrystusa. W tym przypadku także musi istnieć jakieś źródło. Prędzej czy później, na pewno je znajdziemy.

- A tymczasem, co stanie się z Kivrin? Co będzie, jeśli nie uda wam się zlokalizować źródła do terminu jej powrotu? Powinna wrócić szóstego stycznia. Zdażycie do tego czasu?

- Nie wiem - odparła poważnym tonem. - Nie jestem też wcale pewna, czy będzie chciała wrócić do stulecia, które lada dzień otrzyma kategorię 10. Może uzna, że lepiej zostać w 1320 roku?

Jeśli tam właśnie jest, pomyślał, a następnie poszedł odwiedzić Badriego. Od tamtej nocy technik nie wspominał już nic o szczurach. Wydawało mu się, że jest w Balliol i szuka Dunworthy'ego.

- Poszedł do laboratorium? - zapytał szeptem.
Wyciągnął rękę, jakby chciał coś podać, po czym momentalnie zapadł w płytki, niespokojny sen.

Dunworthy zczekał parę minut, ale nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie sytuacja miała ulec zmianie, więc wyruszył do Brasenose, by porozmawiać z Gilchristem.

Kiedy dotarł przed bramę college'u, deszcz ponownie przybrał na sile. Grupa protestujących kulila się pod transparentem, drżąc z zimna. Portier zdejmował bombki z choinki. Na widok Dunworthy'ego wyraźnie się zaniepokoił, ale odezwał się dopiero wtedy, kiedy Dunworthy minął go bez słowa i skierował się w głąb budynku.

- Proszę pana, tam nie wolno wchodzić! - zawołał.
Dunworthy nawet nie zaszczycił go spojrzeniem, tylko ruszył ukosem przez dziedziniec. Gabinet Gilchrista znajdował się w głębi college'u, za budynkiem, w którym mieściło się laboratorium. Dunworthy przyspieszył kroku na wypadek, gdyby portier uznał za stosowne puścić się za nim w pogoń i siłą doprowadzić do bramy.

Na drzwiach laboratorium ujrzał ogromny napis: WSTĘP TYLKO ZA SPECJALNYM ZEZWOLENIEM oraz elektroniczne urządzenie sygnalizacyjne umieszczone tuż pod klamką. Chwilę potem zza ściany deszczu wyłonił się Gilchrist. Przypuszczalnie portier zadzwonił do niego, uprzedzając o wtargnięciu intruza.

- Już panu mówiłem, że laboratorium jest zamknięte do odwołania!

- Nie przyszedłem do laboratorium, tylko do pana - odparł Dunworthy.

Nadbiegł zadyszany portier z papierowym łańcuchem w ręce.

- Czy mam wezwać strażników? - zapytał.

- Nie trzeba - powiedział Gilchrist, a następnie zwrócił się do Dunworthy'ego. - W takim razie, proszę do mnie. Chcę panu coś pokazać.

Zaprowadził go do swego gabinetu, usiadł za biurkiem, na którym panował wyjątkowy nieład, po czym założył maskę z imponującym zestawem filtrów.

- Przed chwilą rozmawiałem ze Światowym Centrum Badań nad Grypą - powiedział głosem brzmiącym tak, jakby dochodził z bardzo daleka. - Okazało się, że zaatakował nas zupełnie nowy, nieznany nauce wirus.

- Ale został już zsekwencjonowany, więc wyprodukowanie szczepionki jest tylko kwestią czasu - odparł Dunworthy. - Doktor Ahrens obiecała, że w pierwszej kolejności zostaną zaszczepione osoby zatrudnione w college'u Brasenose, ja zaś szukam technika, który zaraz potem zlokalizuje pannę Engle.

- Obawiam się, że to niemożliwe - stwierdził Gilchrist oschłym tonem. - Przeprowadziłem szczegółowe badania dotyczące występowania grypy w XIV wieku i stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, iż kilka epidemii tej choroby, które szalały na początku stulecia, doprowadziło do znacznego osłabienia populacji, dlatego też ludzie tym łatwiej padali łupem Czarnej Śmierci. - Wziął do ręki książkę w mocno zniszczonych okładkach. - Znalazłem sześć wzmianek odnoszących się do znacznego nasilenia zachorowań między październikiem roku 1318 a lutym 1321. - Otworzył książkę, przerzucił kilka kartek i zaczął czytać: - "Wkrótce po zniwach zapanowała w Dorset wielka gorączka, która wielu pozbawiła życia. Nieszczęśnicy najpierw skarżyli się na ból głowy i utratę bystrości zmysłów. Doktorzy puszczali im krew, ale i tak mnóstwo ludzi umarło".

Gorączka, i tyle. W czasach, kiedy na porządku dziennym były tyfus, cholera i różyczka, wszystkie powodowały "ból głowy i utratę bystrości zmysłów".

- W roku 1319 odwołano posiedzenia sądu w Bath - ciągnął Gilchrist, biorąc do ręki kolejną książkę. - Proszę bardzo: "Jakaś płucna choroba padła na cały skład sędziowski, nie było więc komu rozpatryć nawet najpilniejszych spraw". - Skierował na Dunworthy'ego oskarżycielskie spojrzenie. - Twierdził pan, że obawy opinii publicznej związane z funkcjonowaniem sieci są historyczne i nieuzasadnione. Z tego, o czym mówię, wynika jednak, iż opierają się na solidnych historycznych podstawach.

Solidne historyczne podstawy. Wzmianki o gorączce i "jakiejś płucnej chorobie", która mogła być czymkolwiek: zapaleniem płuc, tyfusem albo jedną z niezliczonych bezimiennych infekcji. A w dodatku, wszystko to nie miało najmniejszego znaczenia.

- Wirus nie mógł przedostać się przez sieć - powiedział Dunworthy. Kosztowało go sporo wysiłku, by nadać swemu głosowi w miarę normalne brzmienie. - Historycy dokonywali przeskoków w czasy Wielkiej Epidemii, na pola bitewne I wojny światowej, kiedy stosowano gaz musztardowy, do Tel-Awiwu, a sekcja XX wieku wysłała nawet ochotnika do Hiroszimy, krótko po wybuchu bomby jądrowej. Wszyscy wrócili cali i zdrowi, nie przenosząc ze sobą żadnych szkodliwych substancji.

- To pan tak twierdzi - odparł Gilchrist i pokazał mu wydruk nieco mniejszy od tego, jaki niedawno oglądał w gabinecie Mary. - Zdaniem sekcji prawdopodobieństwa możliwość przedostania się jakiegoś mikroorganizmu przez sieć wynosi 0,003 procent, natomiast odpowiedź na pytanie, jakie są szanse na to, że w miejscu przeskoku historyk zetknie się z potencjalnie groźnym wirusem, brzmi: 22,1 procent.

- Na litość boską, skąd pan bierze te liczby? - wykrzyknął Dunworthy. - Wyciąga je pan z kapelusza? Zdaniem sekcji prawdopodobieństwa - nie omieszkał położyć specjalnego nacisku na to słowo - szansa na to, że ktoś zobaczy, jak Kivrin pojawia się w XIV wieku, wynosiła 0,04 procent. Sam pan oświadczył, iż tak nikłego prawdopodobieństwa w ogóle nie należy brać pod uwagę! Jak to się ma do tych 0,003 procent?

- Wirusy są szalenie odpornymi organizmami - odparł Gilchrist. - Potrafią przetrwać w uśpieniu wiele lat, czasem nawet w ekstremalnie trudnych warunkach. W pewnych okolicznościach tworzą kryształki o nadzwyczaj trwałej strukturze, a po powrocie do swej zwykłej postaci zachowują nie zmienione właściwości. Nie tak dawno temu natrafiono na kryształki pochodzące z szesnastego wieku; po rozpuszczeniu w wodzie, wirusy wykazywały normalną aktywność. Ponieważ istnieje ryzyko, że wirusy mogą przedostać się do sieci, biorąc pod uwagę okoliczności nie mogę zgodzić się na otwarcie laboratorium.

- Wirusy nie mogą przedostać się do sieci - stwierdził stanowczo Dunworthy.

- Skoro tak, to czemu tak bardzo zależy panu na odczytaniu współrzędnych?

- Ponieważ... - Dunworthy umilkł na chwilę i policzył w myśli do dziesięciu. - Ponieważ dzięki temu będziemy wiedzieli czy przeskok odbył się zgodnie z planem.

- A więc jednak przyznaje pan, że istnieje możliwość popełnienia błędu? - zapytał Gilchrist z triumfalnym błyskiem w oku. - Skąd możemy mieć pewność, że w wyniku tego błędu jakiś wirus nie wtargnął do sieci?

Dopóki nie stwierdzimy ponad wszelką wątpliwość, iż nic takiego nie miało miejsca, laboratorium pozostanie zamknięte. Jestem pewien, że pan Basingame uzna za słuszne kroki, które zdecydowałem się podjąć.

A więc o to chodzi, pomyślał z goryczą Dunworthy. Twój ośli upór nie ma żadnego związku z wirusem, "obawami znacznej części opinii publicznej" ani "chorobami płucnymi" z roku 1319. Zależy ci wyłącznie na tym, żeby usprawiedliwić się przed Basingamem.

Odkąd Gilchrist został p.o. dziekana, poruszył niebo i ziemię, by przekwalifikować XIV wiek oraz przyspieszył przygotowania do przeskoku, bez wątpienia licząc na to, że po powrocie zwierzchnika z urlopu przedstawi mu raport z zakończonego pełnym sukcesem eksperymentu. Niestety, zamiast tego mógł się pochwalić jedynie epidemią, pikietami przed college'em oraz zaginionym historykiem, teraz czynił zatem wszystko, by dowieść słuszności podejmowanych decyzji. Po to, żeby ratować swoją skórę, był gotów nawet poświęcić Kivrin.

- A co z Kivrin? - zapytał lodowatym tonem. - Czy ona także uzna za słuszne kroki, które zdecydował się pan podjąć?

- Panna Engle była doskonale świadoma wszystkich zagrożeń, kiedy zgłaszała się na ochotnika do wzięcia udziału w tym eksperymencie.

- Czy wiedziała również, że zamierza pan zostawić ją w średniowieczu?

- Dalsza dyskusja nie ma najmniejszego sensu - oświadczył Gilchrist, podnosząc się z miejsca. - Otworzę laboratorium dopiero wtedy, gdy ponad wszelką wątpliwość uda się ustalić, skąd przybył do nas wirus oraz kiedy nikt nie będzie mógł żywić podejrzeń, iż przedostał się poprzez sieć.

Odprowadził Dunworthy'ego do drzwi, za którymi czekał już portier.

- Nie pozwolę panu jej tam zostawić - ostrzegł go Dunworthy.

Gilchrist zacisnęła usta pod maską.

- A ja nie pozwolę panu narażać zdrowia, a może nawet życia członków tej społeczności. - Odwrócił się do portiera. - Proszę odprowadzić pana Dunworthy'ego do bramy. Gdyby jeszcze kiedyś próbował dostać się na teren college'u, może pan wezwać strażników.

Zatrzasnął drzwi.

Kiedy szli przez dziedziniec, portier ani na chwilę nie spuszczał Dunworthy'ego z oka, jakby obawiał się, że ten nagle zaatakuje go albo rzuci się do ucieczki. Mam wielką ochotę to zrobić, pomyślał Dunworthy.

- Muszę skorzystać z telefonu - oświadczył, kiedy dotarli do portierni. - To sprawa służbowa.

Staruszek wyraźnie się zaniepokoił, ale postawił aparat na ladzie, cofnął się o krok i obserwował czujnie, jak Dunworthy wystukuje numer college'u Balliol. Finch zgłosił się po piątym sygnale.

- Musimy jak najprędzej znaleźć Basingame'a - powiedział Dunworthy. - To bardzo pilne. Proszę zadzwonić do Szkockiego Towarzystwa Turystycznego i wziąć od nich listę wszystkich zajazdów i hoteli. Aha, jaki jest numer do Polly Wilson?

Zapisał numer, przerwał połączenie i zaczął go wystukiwać, lecz w połowie drogi rozmyślił się i zadzwonił do Mary.

- Chcę pomóc w poszukiwaniu źródła wirusa - oświadczył bez żadnych wstępów.

Od razu domyśliła się, o co chodzi.

- Gilchrist nie zgodził się otworzyć sieci?

- Właśnie. Co mam robić, żeby się na coś przydać?

- To samo co wtedy, kiedy ustalałeś z kim kontaktować się Badri. Szukaj wszystkich, którzy mieli z nim styczność, a oprócz tego zwracaj uwagę na rzeczy, o których ci mówiłam: promieniowanie, drób i zwierzęta hodowlane, religie zakazujące szczepień, i tak dalej. Najlepiej wykorzystaj te same tabele co na początku.

- Już mi się skończyły, więc przyślę Colina po nowe.

- W porządku. Powiem komuś, żeby je przygotował. Musisz sięgnąć cztery do sześciu dni wstecz, na wypadek, gdyby to jednak Badri stanowił pierwotne źródło, bo nawet wtedy okres inkubacji nie powinien być dłuższy niż przy normalnym zarażeniu.

- Zagonię do tego Williama - powiedział, a następnie odłożył słuchawkę i pchnął aparat w stronę portiera, który natychmiast wyszedł ze swojej przeszklonej budki i odprowadził go za bramę. Dunworthy zdziwił się trochę, że Gilchrist nie kazał eskortować go aż do Balliol.

Zaraz po powrocie zatelefonował do Polly Wilson.

- Czy uda się pani podłączyć do konsolyty spoza laboratorium? - zapytał. - Może poprzez centralny komputer Uniwersytetu?

- Naprawdę nie wiem - odparła, marszcząc czoło. - Główny komputer ma kilka systemów zabezpieczeń, więc mogę mieć trudności... Chyba, żeby spróbować z konsolyty w Balliol. Muszę sprawdzić, jak przedstawia się sytuacja. Znalazł już pan technika, żeby dokonał odczytu?

- Właśnie go szukam - powiedział i przerwał połączenie. Wszedł zupełnie przemoczony Colin, żeby wziąć kolejną rolkę taśmy.

- Czy pan wie, że ten wirus to mutant?

- Wiem. Pójdiesz do szpitala, znajdziesz babcię i weźmiesz od niej nowe tabele.

Colin rzucił na podłogę ładunek plakatów. Ten na samym wierzchu ostrzegał płomienście czerwonymi literami: NIE POZWÓL, ŻEBY CHOROBA DOPADŁA CIĘ POWTÓRNIE!

- Niektórzy mówią, że to broń biologiczna albo coś w tym rodzaju - ciągnął wyraźnie podekscytowany chłopiec. - Podobno uciekł z laboratorium!

Na pewno nie z laboratorium Gilchrista, pomyślał z goryczą Dunworthy.

- Wiesz może, gdzie podziewa się William Gaddson?

- Nie - odparł Colin i skrzywił się z niesmakiem. - Przypuszczalnie jest na klatce schodowej i znowu kogoś całuje.

Okazało się to nieprawdą, ponieważ William Gaddson został odnaleziony w spiżarni, gdzie obściskał jedną z internowanych. Dunworthy polecił mu ustalić, gdzie przebywał Badri od czwartku do niedzieli oraz zdobyć zestawienie zleceń płatności, jakie wystawił w grudniu Basingame posługując się swoją kartą kredytową, po czym wrócił do gabinetu i zaczął wydzwaniać po kolei do wszystkich techników.

Jeden był w Moskwie, gdzie prowadził przeskok dla sekcji XIX wieku, dwaj wyjechali na narty, pozostali zaś albo wyszli z domu, albo, ostrzeżeni przez Andrews, nie odbierali telefonów.

Colin przyniósł listy kontaktów wtórnych i pierwotnych, zarówno nowe, jak i stare. Na widok starych Dunworthy'ego natychmiast rozbolała głowa. Sprawa przedstawiała się beznadziejnie: za dużo nazwisk, zbyt wiele możliwości. Co najmniej połowa zarażonych przez Badriego uczestniczyła w zabawie w Headington, dwie trzecie było na zakupach, wszyscy, z wyjątkiem dwóch osób, korzystali z metra. Równie dobrze można by szukać igły w stogu siana.

Prawie przez pół nocy ustalał przekonania religijne chorych oraz starał się stwierdzić, czy przed wystąpieniem objawów chorobowych kontaktowali się ze sobą. Czterdzieści dwie osoby należały do Kościoła Anglikańskiego, dziewięć do Kościoła Reformowanego, siedemnaście nie sprecyzowało swoich poglądów. Osiem studiowało w Shrewsbury College, jedenaście witało świętego Mikołaja w domu towarowym, dziewięć pracowało przy wykopaliskach Montoi, trzydzieści robiło zakupy u Blackwella.

Spośród tej gromady aż dwadzieścia jeden osób mogło zetknąć się w domu towarowym z co najmniej dwoma pacjentami, którzy zachorowali nieco później, sam święty Mikołaj natomiast ucisnął rękę przynajmniej trzydziestu dwóm osobom "trafionym" w pierwszej kolejności, ale wszystkie one przebywały wcześniej w towarzystwie Badriego.

Rano przyszła Mary z pierwszymi pacjentami, których z braku miejsc nie mogła już umieścić w szpitalu.

- Łóżka gotowe? - zapytała.

- Tak. Przygotowaliśmy dwie sale, po dziesięć łóżek w każdej.

- Bardzo dobrze. Przydadzą się wszystkie.

Pomogli pacjentom dotrzeć do zaimprovizowanego oddziału, umieścili ich w łóżkach i zostawili pod opieką zdemaskowanej przez Williama pielęgniarki.

- Pacjenci w stanie ciężkim przyjadą później, jak tylko zwolni się choć jedna karetką - powiedziała, kiedy wracali przez pusty dziedziniec. Deszcz przestał padać i zaczęło się trochę przejaśniać, jakby miała nastąpić poprawa pogody.

- Co ze szczepionką?

- Jeszcze co najmniej dwa dni.

Kiedy dotarli do bramy, Mary zatrzymała się i oparła o kamienną ścianę.

- Kiedy już będzie po wszystkim, chcę przejść przez sieć - powiedziała. - Najlepiej do jakiegoś stulecia, gdzie nie ma epidemii i gdzie nie trzeba się martwić, czekać ani bezsilnie przyglądać się umierającym ludziom. - Przesunęła ręką po siwych włosach. - Do jakiegoś stulecia, które nie dostało dziesiątki. - Uśmiechnęła się melancholijnie. - Tyle że pewnie takiego nie ma, prawda?

Pokręcił w milczeniu głową.

- Czy opowiadałam ci o Dolinie Królów?

- Mówiłaś, że byłaś tam podczas Wielkiej Epidemii.

Skinęła głową.

- Kair został objęty kwarantanną, więc leciałyśmy z Addis Abeby. Przekupiłam pilota taksówki, żeby zbczył z trasy, ponieważ chciałam zobaczyć grobowiec Tutenhamona. To była wielka głupota z mojej strony. Epidemia dotarła już do Luksoru i niewiele brakowało, żeby zastała nas tam kwarantanna. Dwa razy ktoś do nas strzelał. Mogłyśmy zginąć. Moja siostra powiedziała, że nie wysiądzie z taksówki, ale ja zeszłam po schodach aż do samych drzwi grobowca i pomyślałam: "Wszystko wygląda tak samo jak wtedy, kiedy zjawił się tu Carter".

Spoglądała na Dunworthy'ego nie widzącym spojrzeniem, tonąc we wspomnieniach.

- Kiedy odkopali wejście do grobowca, okazało się, że drzwi są zamknięte. Powinni poczekać na przybycie przedstawicieli władz, ale Carter nie wytrzymał, wywiercił dziurę w drzwiach, wsunął świecę i zarzwał do środka. "Widzisz coś?" - zapytał Carnarvon. A on na to: "Tak. Cudowne rzeczy". - Zamknęła oczy. - Właśnie o tym wtedy myślałam, stojąc przed zamkniętymi drzwiami. Nigdy tego nie zapomnę. - Otworzyła oczy i spojrzała na niego. - Być może właśnie tam się przeniosę, kiedy już będzie po wszystkim. Przed gro-

bowiec, żeby być przy jego otwarciu. - Wychyliła się z bramy i rozejrzała po opustoszałej ulicy. - Boże, znowu zaczęło padać! Muszę już wracać. Przyślę ciężej chorych, jak tylko uda mi się złapać karetkę. - Zmarszczyła brwi. - Dlaczego nie nosisz maski?

- Bo kiedy mam ją na twarzy, zaparowują mi okulary. A ty dlaczego nie nosisz swojej?

- Zaczyna nam ich brakować. Zgłosiłeś się na zastrzyk?

Pokręcił głową.

- Nie miałem czasu.

- Więc go znajdź - nakazała mu surowo. - I noś maskę. Jeśli zachorujesz, nie będziesz mógł pomóc Kivrin.

I tak nie mogąc jej pomóc, pomyślał w drodze powrotnej do swego mieszkania. Nie mam dostępu do laboratorium, nie potrafię przekonać technika, żeby przyjechał do Oxfordu, nie jestem w stanie znaleźć Basingame'a. Zastanawiał się, z kim jeszcze mógłby się skontaktować, kogo jeszcze poprosić o pomoc. Sprawdził już chyba wszystkie agencje turystyczne i wypożyczalnie łodzi w Szkocji. Dziekan Wydziału Historycznego przepadł jak kamień w wodę. Może Montoya ma rację? Może w rzeczywistości wcale nie pojechał na ryby do Szkocji, tylko w tropiki z jakąś kobietą?

Właśnie: Montoya. Zupełnie o niej zapomniał. Po raz ostatni widział ją w Wigilię, podczas nabożeństwa ekumenicznego. Ona także szukała Basingame'a, żeby uzyskać od niego zgodę na kontynuowanie prac wykopaliskowych, a potem zadzwoniła, żeby zapytać o jego upodobania wędkarskie. Jeszcze później została mu wiadomość składająca się tylko z jednego słowa: "Nieważne". Albo dowiedziała się skądś, czy Basingame woli łososie, czy pstrągi, albo...

Albo go znalazła.

Niemal biegł po schodach na górę. Jeśli Montoya istotnie zlokalizowała dziekana i uzyskała od niego zezwolenie, z pewnością od razu wróciła do swych drogocennych wykopalisk, nie zadając sobie trudu, by kogośkolwiek zawiadomić. Możliwe nawet, iż nie zdawała sobie sprawy, że komuś jeszcze zależy na nawiązaniu kontaktu z Basingamem.

Zaraz po rozmowie z Montoyą Basingame na pewno wyruszył w drogę powrotną do Oxfordu, chyba że przeszkodziła mu pogoda albo trudności ze zdobyciem środka transportu... Naturalnie jeśli Montoya powiedziała mu o epidemii i kwarantannie. Biorąc pod uwagę jej obsesję na punkcie wykopalisk, należało liczyć się również z taką ewentualnością, że zażądała od niego zgody nie podając nawet przyczyn, dla jakich była konieczna.

Wpadłszy do mieszkania ujrzał widok, który sprawił, że stanął jak wryty i na chwilę zapomniał o wszystkich kłopotach. Panna Taylor, jej cztery zdrowe towarzyszkę oraz Finch stali kręgiem, wymachując ramionami i zginając rytmicznie kolana. Finch nie odrywał wzroku od jakiegoś papieru i liczył półgłosem. Na widok Dunworthy'ego wyprostował się gwałtownie, schował kartkę za plecami, po czym oznajmił, unikając wzroku pryncypała:

- Właśnie miałem zamiar wyznaczyć dyżury przy chorych. - Sięgnął po jedną z kartek leżących na biurku.

- Proszę, oto raport Williama.

Wymknął się z pokoju.

Panna Taylor i jej cztery koleżanki trzymały już walizeczki z dzwoniczkami.

- Dzwoniła jakaś panna Wilson - powiedziała panna Taylor. - Prosiła, żeby panu przekazać, że nie może dostać się do centralnego komputera i że trzeba będzie spróbować przez konsolę w Brasenose.

- Dziękuję pani - wykrztusił Dunworthy.

Wyszła, a za nią rzędem pozostałe cztery dzwoniczki.

Ochłonawszy ze zdumienia, spróbował połączyć się ze stanowiskiem Montoi, ale nikt się nie zgłaszał, więc zadzwonił do jej mieszkania, potem do gabinetu, wreszcie ponownie na stanowisko. Bez rezultatu. Jeszcze raz wystukał numer do mieszkania i nie odkładając słuchawki przejrzał raport Williama. Natychmiast rzuciła mu się w oczy informacja, że całą sobotę oraz niedzielne przedpołudnie Badri spędził przy wykopaliskach. Tę wiadomość William mógł uzyskać tylko od Montoi.

Nagle uświadomił sobie, że przecież wykopaliska znajdują się na wsi w pobliżu Witney, na farmie należącej do Funduszu Dziedzictwa Narodowego. Przypuszczalnie są tam kaczkę, kury lub świnię, albo wszystko to razem i jeszcze coś na dokładkę. Badri spędził tam półtora dnia, grzebiąc gołymi rękami w błotnistej ziemi; doskonała okazja, by zetknąć się z uśpionym wirusem.

Do pokoju wpadł Colin, przemoczony do suchej nitki.

- Skończyły się plakaty - oznajmił, grzebiąc w torbie. - Jutro mają przysłać nowe z Londynu. - Wreszcie wydobył gumę do żucia i wpakował sobie do ust. - Wie pan, kogo minąłem na schodach? - zapytał, po czym opadł na fotel i otworzył "Epokę rycerstwa". - Williama z jakąś dziewczyną. Oczywiście całowali się i gruchali jak dwa gołąbki. Ledwo zdołałem się obok nich precyzyjnie.

Dunworthy otworzył drzwi. William oderwał się niechętnie od jakiejś niewysokiej brunetki w płaszczu przeciwdeszczowym i wszedł do gabinetu.

- Wiesz, gdzie jest panna Montoya? - zapytał Dunworthy.

- Nie. Wszyscy twierdzą, że powinna być przy wykopaliskach, ale nikt nie odbiera telefonu. Pewnie poszła na cmentarz albo grzebie w ruinach kościoła i niczego nie słyszy. Miałem zamiar podłączyć krzykacz, ale akurat wtedy przypomniałem sobie, że mam znajomą, która studiuje archeohistorię... - Wskazał ruchem głowy na drzwi. - Powiedziała mi, że widziała wykaz dyżurów przy wykopaliskach. Badri był zapisany na sobotę i niedzielę.

- Krzykacz? Co to takiego?

- Urządzenie, które po podłączeniu do aparatu daje wzmocniony sygnał u rozmówcy. To na wypadek, gdyby ktoś wyszedł do ogrodu, wlaźł pod prysznic albo coś w tym rodzaju.

- Potrafiłbyś to zainstalować?

- Szczerze mówiąc, nie bardzo się na tym znam, ale mam koleżankę, dla której to będzie bułka z masłem. Zaraz poszukam jej numeru.

Wyszedł, Dunworthy zaś przekonał się ze zdziwieniem, że brunetka wciąż stoi na schodach.

- Jeśli pan wie na pewno, że panna Montoya jest przy tych swoich wykopaliskach, to mógłbym się do niej przekraść - powiedział Colin, a następnie wyjął gumę z ust i przyjrzał się jej z zainteresowaniem. - To żaden problem. Jest mnóstwo miejsc, których nikt nie pilnuje, bo policjantom nie chce się spacerować w deszczu.

- Nie po to ogłoszono kwarantannę, żebyśmy roznosili chorobę po okolicy.

- Właśnie w ten sposób rozprzestrzeniała się Czarna Śmierć - stwierdził chłopiec. Guma, którą wciąż obracał w palcach, była żółtozielona. - Kto tylko mógł uciekał przed nią, nie wiedząc, że zabiera ją ze sobą.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wetknął głowę William.

- Moja znajoma twierdzi, że podłączenie krzykacza zajmie jej dwa dni, ale zainstalowała już coś takiego przy swoim aparacie, więc gdyby chciał pan skorzystać, to proszę bardzo.

Colin poderwał się z fotela.

- Mogę iść z panem?

- Nie - odparł stanowczo Dunworthy. - I zdejmij to przemoczone ubranie. Tego tylko brakowało, żebyś i ty rozłożył się na grypę.

Zszedł z Williamem na parter.

- Studiuje na pierwszym roku w Shrewsbury - poinformował go chłopak.

Kiedy byli w połowie dziedzińca, dogonił ich zadyszany Colin.

- Nie zarazę się, bo przecież dostałem zastrzyk na wzmocnienie układu odpornościowego! - oświadczył triumfalnie. - Poza tym, w czasach Czarnej Śmierci nie stosowali kwarantanny, więc choroba rozlała się wszędzie bez żadnych przeszkód. - Wyciągnął szalik z kieszeni. - Najlepiej będzie przekraść się w okolicach Botley Road. Na rogu, tuż przy punkcie kontrolnym, jest pub, i policjanci często zaglądają tam, żeby się ogrzać.

- Zapnij kurtkę - polecił Dunworthy.

„Znajomą” Williama okazała się Polly Wilson. Poinformowała Dunworthy’ego, że usiłuje dostać się do konsoly w Brasenose korzystając z linii światłowodowej, ale na razie nie uzyskała żadnych rezultatów. Dunworthy zadzwonił z jej aparatu do Montoi, lecz również bez efektu.

- Proszę zaczekać - powiedziała Polly, kiedy, zrezygnowany, zamierzał odłożyć słuchawkę. - Być może jest daleko od telefonu. Krzykacz ma zasięg prawie pół kilometra.

Dunworthy czekał dziesięć minut, odłożył słuchawkę, pięć minut później zadzwonił ponownie, by po kwadransie bezowocnego oczekiwania uznać się wreszcie za pokonanego. W tym czasie Polly spoglądała tęsknie na Williama, Colin natomiast drżał z zimna w przemoczonej kurtce. Zaraz po powrocie do domu Dunworthy zapakował go do łóżka.

- Jeśli pan się boi, mogę pójść sam i powiedzieć jej, żeby do pana zadzwoniła - zaofiarował się chłopiec. - To dla mnie nie pierwszorzyna; bądź co bądź, już raz przechrzyłem strażników.

Nazajutrz rano, kiedy tylko zjawił się William, Dunworthy zostawił go z Colinem, sam zaś ponownie udał się do Polly Wilson i skorzystał z jej telefonu - niestety, bez rezultatu.

- Włączę automatyczne wybieranie numeru co pół godziny - obiecała dziewczyna, odprowadzając go do bramy. - Nie wie pan, czy William ma jakieś... bliskie koleżanki?

- Nie wiem - skłamał Dunworthy.

Niespodziewanie od strony kościoła Jezusa Chrystusa dobiegły dźwięki dzwonów.

- Czyżby ktoś uruchomił te przeklęte kuranty? - jęknęła Polly.

- Proszę się nie obawiać, to tylko nasze Amerykanki. - Słuchał z przechyloną głową, starając się rozpoznać utwór, lecz w porę uświadomił sobie, że to przecież nie ręczne dzwonki, tylko duże, wiszące od wielu stuleci na kościelnej wieży: Douce, Gabriel, Marie, Clement, Hautclers i Taylor. - No i Finch, ma się rozumieć.

Musiał przyznać, że brzmiały całkiem nieźle, na pewno o wiele lepiej od elektronicznych kurantów. Bez trudu wyobraził sobie pięć kobiet i swego sekretarza, stojących kręgiem w dzwonnicy, rytmicznie pociągających za liny i przyklekających na jedno kolano. Był gotów iść o zakład, że Finch korzysta ze ściągawki.

“Dzwonnik nie powinien na krok odstępować swego instrumentu” - powiedziała panna Taylor. Cóż, jeśli chodziło o niego, to ostatnio postępował wbrew tej zasadzie (gdyby się nad tym zastanowić, trzeba by chyba dojść do wniosku, iż od kilku dni jego życie składa się wyłącznie z bezustannych zmian i zakłóceń rytmu), lecz mimo to poczuł się podniesiony na duchu. Panna Taylor nie zdołała odbyć zaplanowanego tournée, nie udało jej się także wystąpić z Wielką Mszą Chicagowską, niemniej jednak dawała znać o swym istnieniu uderzając co sił w dzwony, które dźwięczały donośnie, jakby głosząc zwycięstwo. Na pewno uda mu się odszukać Montoyę i Basingame’a. A także jakiegoś technika, który nie przestraszy się kwarantanny. Uratuje Kivrin.

W chwili, gdy wszedł na klatkę schodową, usłyszał dzwoniący telefon. Popędził w górę po schodach, wpadł do mieszkania i chwycił słuchawkę. Miał nadzieję, że to Polly, ale rzeczywistość okazała się jeszcze lepsza: dzwoniła Montoya.

- To pan? Cześć, tu Lupe Montoya. Co się dzieje?

- Gdzie pani jest? - wysapał.

- Przy wykopaliskach.

Zarówno pytanie, jak i odpowiedź, były całkowicie zbędne, ponieważ działało także połączenie wizyjne. Montoya stała na częściowo odkopanym średniowiecznym cmentarzu, przed odsłoniętymi fundamentami kościoła. Dunworthy od razu przestał się dziwić, dlaczego tak bardzo chciała jak najprędzej wrócić do swoich wykopków; w niektórych miejscach głębokość wody z pewnością przekraczała trzydzieści centymetrów. Co prawda stanowisko zostało przykryte jakimiś płachtami i foliami, ale osłona nie była szczelna, więc tu i ówdzie deszczówka lała się małymi wodospadami. Wszystko - groby, mury, kable, reflektory i narzędzia - było pokryte grubą warstwą błota.

Podobnie jak Montoya. Miała na sobie tę samą wojskową kurtkę, w której widział ją ostatnio, dzinsy oraz wysokie gumowe buty, przypuszczalnie identyczne jak te, z jakich korzystał Basingame (zakładając, że naprawdę pojechał na ryby). Ślady błota widniały nawet na jej twarzy, natomiast ręka, w której trzymała słuchawkę, wyglądała tak, jakby została ulepiona z gliny.

- Szukam pani od kilku dni.

- Przez tę pompę nie słyhać telefonu. - Wskazała ręką poza obraz. Dunworthy nie słyszał żadnej pompy, tylko jednostajne łomotanie deszczu o brezentowe płachty. - Przed chwilą zerwał się pasek, a nie mam zapasowego. Czemu tam u was biją dzwony? Zniesiono kwarantannę?

- Wręcz przeciwnie - odparł. - Mamy tu autentyczną epidemię: do tej pory siedemset osiemdziesiąt przypadków, w tym osiemnaście śmiertelnych. Nie czytała pani gazet?

- Odkąd tu dotarłam, nikogo nie widziałam, z nikim nie rozmawiałam i nie miałam w ręku żadnej gazety. Od sześciu dni robię co mogę, żeby nie załało wykopalisk, ale sama nie dam rady. A teraz jeszcze ta cholerna pompa... - Odgarnęła z czoła zlepione ciemne włosy. - Skoro kwarantanna nie przestała obowiązywać, to o co to całe zamieszanie?

- Słyszy pani fragmenty Wielkiej Mszy Chicagowskiej. Nie uda się zagrać całego utworu, ponieważ zachorował jeden z wykonawców.

Przez twarz Amerykanki przemknął grymas zniecierpliwienia.

- Czy nie byłoby lepiej, gdyby te wariatki zajęły się czymś pożytecznym?

Już spełniły swoje zadanie, pomyślał. Gdyby nie one, nie przyszłoby ci do głowy skontaktować się ze mną.

- Przydałaby mi się każda para rąk. - Ponownie odgarnęła włosy z czoła. Sprawiała wrażenie równie zmęczonej jak Mary. - Miałam nadzieję, że odwołali kwarantannę i że zdołam tu kogoś ściągnąć. Jak pan myśli, ile to jeszcze potrwa?

Długo, pomyślał, obserwując wodę spływającą strumyczkami przez szczeliny między płachtami. Zbyt długo. Nie doczekasz się pomocy.

- Potrzebuję informacji na temat Basingame’a oraz Badriego Chaudhuri - oświadczył. - Próbowaliśmy ustalić źródło, z którego dotarł wirus, więc musimy wiedzieć, z kim kontaktował się Badri. Osiemnastego grudnia, a także dziewiętnastego przed południem, pracował przy wykopaliskach. Kto tam był oprócz niego?

- Ja.

- I kto jeszcze?

- Nikt. Przez cały grudzień miałam potworne problemy ze znalezieniem ludzi do pracy. Od razu, na początku ferii, wszyscy moi studenci rozjechali się do domów, więc mogłam liczyć wyłącznie na ochotników.

- Jest pani pewna, że byliście tylko we dwoje?

- Tak. Pamiętam to dobrze, bo właśnie w sobotę otwieraliśmy grób rycerza - jedyny, jaki był w kościele - i mieliśmy potworne kłopoty z podniesieniem pokrywy. Gillian Ledbetter obiecała, że wpadnie pomóc, ale w ostatniej chwili zadzwoniła i powiedziała, że nie może przyjść, bo ma randkę.

Z Williamem, dodał w myśli Dunworthy.

- A w niedzielę?

- Badri został tylko do południa, bo miał jechać do Londynu. Na pewno był sam... Przepraszam, ale muszę już kończyć. Jeśli natychmiast nie wezmę się do roboty, wkrótce wszystko szlag trafi.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Dunworthy. - Proszę się nie rozłączać!

Skrzywiła się, ale ponownie przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Muszę zadać pani jeszcze kilka pytań. To naprawdę bardzo ważne. Im szybciej zlokalizujemy źródło choroby, tym szybciej skończy się kwarantanna i uzyska pani pomoc.

Nie sprawiała wrażenia przekonanej, ale wystukała coś na klawiaturze, po czym położyła słuchawkę i zapytała:

- Będzie panu przeszkadzać, jeśli mimo wszystko wezmę się do pracy?

- Ależ skąd! - odparł z ulgą. - Bardzo proszę.

Znikła z ekranu, by po chwili zjawić się ponownie i nacisnąć kilka klawiszy.

- Przepraszam, ale nie sięga - mruknęła pod nosem.

Obraz zamigotał, zafalował i zniknął; kiedy pojawił się ponownie, Dunworthy ujrzał Montoyę klęczącą przy kamiennym grobowcu - przypuszczalnie właśnie tym, który otwierała przy pomocy Badriego.

Na pokrywie znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca rycerza w półpancerzu, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach w taki sposób, że chronione ciężkimi rękawicami ręce spoczywały niemal na barkach, i mieczem u stóp. Pokrywa stała oparta o dłuższą ścianę grobowca, w związku z czym, przechyliwszy głowę, zdołał odczytać tylko początek napisu ułożonego z ozdobnych liter: *Requiesc...*

Requiescat in pace. Spoczywaj w pokoju. Niestety, los chciał inaczej. Dunworthy nie wiedział, czy tylko mu się zdaje, czy kamienna twarz rycerza rzeczywiście wyraża dezaprobatę.

Na grubej folii, którą Montoya osłoniła wewnątrz grobowca, zebrało się sporo wody. Dunworthy zastanawiał się, czy na pionowej ścianie wyrzeźbiono taki sam, hiperrealistyczny obraz okropieństw, jakie czekają ciało po śmierci, jak ten, który skopiowano w książce Colina. Wody wciąż przybywało; zagłębienie w folii wypełniało się coraz bardziej. Nie pozostawało nic innego, jak tylko mieć nadzieję, że plastik okaże się wystarczająco wytrzymały.

Montoya wyprostowała się, odłożyła na bok blaszane pudełko, którym wygarniała błoto z grobowca, i spojrzała prosto na Dunworthy'ego.

- Podobno chciał mi pan zadać kilka pytań?

- Tak, oczywiście... Powiedziała pani, że oprócz was dwojga nie było nikogo?

- Bo nie było - odparła, wycierając pot z czoła. - Do licha, ciepło tutaj.

Ściągnęła kurtkę, po czym rzuciła ją na pokrywę.

- A miejscowi? Ludzie, którzy nie mają nic wspólnego z wykopaliskami?

- Gdyby trafił się ktoś taki, natychmiast zagoniłabym go do roboty. - Zaczęła grzebać w pudełku. Okazało się, że oprócz błota zawierało także kilka brązowych kamyków. - Ta przeklęta pokrywa waży chyba tonę, a kiedy wreszcie zdołaliśmy ją jakoś ściągnąć, akurat zaczęło padać. Zwerbowałabym każdego, kto by się natoczył, ale jesteśmy na takim zadupiu, że nikt tu nie zagłąda.

- Nawet ludzie z Funduszu Dziedzictwa Narodowego?

Podsunęła kamyki pod strumień wody, by je oczyścić.

- Siedzą tu tylko latem.

Aż do tej chwili w głębi duszy żywił nadzieję, że wirus zaatakował właśnie od strony wykopalisk, że Badri zaraził się od kogoś z okolicy, pracownika Funduszu albo przypadkiem spotkanego myśliwego, ale przecież myksowirusy nie uznawały funkcji nosicieli; tajemniczy nieznajomy też musiałby zachorować, Mary zaś skontaktowała się ze wszystkimi szpitalami i klinikami w Anglii. Poza obszarem objętym kwarantanną nie stwierdzono ani jednego przypadku.

Montoya uważnie oglądała kamyki w blasku jednego z reflektorów.

- A co z ptakami?

- Z jakimi ptakami?

Dunworthy uświadomił sobie, że jego pytanie zabrzmiało tak, jakby sugerował, żeby wezwała na pomoc przy otwieraniu grobowca gromadę wróbli albo parę jaskółek.

- Wirus może rozprzestrzeniać się za pośrednictwem ptaków, szczególnie drobiu - wyjaśnił. - Macie tam jakieś gęsi, kaczki albo kurczaki?

Zbliżyła jeden z kamyków do światła i obracała go we wszystkie strony.

- Kurczaki?

- Nowe odmiany wirusów powstają niekiedy ze skrzyżowania wirusów ludzkich ze zwierzęcymi - podzielił się z nią zdobytą niedawno wiedzą. - Drób jest najbardziej podejrzany, ale czasem może chodzić o ryby albo świnię. Nie widziała pani w pobliżu świń?

Spojrzała na niego z taką miną, jakby podejrzewała go o utratę zmysłów.

- Przecież kopiecie na terenie farmy należącej do Funduszu Dziedzictwa Narodowego, zgadza się?

- Owszem, ale zabudowania są trzy kilometry stąd. W tej chwili jesteśmy na środku pola obsianego jęczmieniem. Nie ma tu żadnych świń, kurczaków ani ryb.

Ponownie skoncentrowała uwagę na kamyku.

Żadnych ptaków. Ani świń. Ani nawet ludzi. A więc wirus nie został przyniesiony z wykopalisk. Przypuszczalnie nikt go znikąd nie przyniósł, tylko uległ spontanicznej mutacji w organizmie Badriego. Mary powiedziała, że takie rzeczy czasem się zdarzają. Pojawił się znikąd i zaatakował mieszkańców Oxfordu, tak samo jak dżuma zaatakowała kiedyś wioskę, której mieszkańcy spoczywają teraz na cmentarzu rozgrzebanym przez Montoyę.

Amerykanka wciąż przyglądała się kamykom, oskrobując je z resztek błota. Nagle, całkiem niespodziewanie, spłynęło na niego olśnienie: to nie kamienie, tylko kości. Przypuszczalnie kręgi albo fragmenty palców u stóp.

Requiescat in pace.

Wreszcie znalazła to, czego chyba szukała: niewielką kostkę wielkości orzecha włoskiego, z lekkim wgłębieniem z jednej strony. Wysypała pozostałe na tacę, po czym wydobyła z kieszeni szczoteczka do zębów i zaczęła starannie czyścić znalezisko, przerywając co pewien czas i wpatrując się w nie ze zmarszczonymi brwiami.

Gilchrist nigdy nie uwierzy w spontaniczną mutację. Zanadto przywiązał się do teorii, według której epidemię wywołał jakiś XIV-wieczny wirus, któremu udało się podstępem przedostać do sieci. Poza tym, zdążył już chyba przywyknąć do swego co prawda tymczasowego, ale jednak rokującego spore szanse na przyszłość, stanowiska. Dunworthy nie zdołałby go przekonać nawet wtedy, gdyby na terenie średniowiecznego cmentarzyska odkrył hodowlę kaczek.

- Muszę jak najprędzej skontaktować się z panem Basingamem - oświadczył. - Wie pani, gdzie on może być?

- Nie mam pojęcia - odparła, nie odrywając wzroku od kości.

- Ale myślałem, że zdołała go pani odszukać. Przecież to jego opinia była pani potrzebna do uzyskania zgody na wznowienie prac wykopaliskowych!

- Wiem o tym. Przez dwa dni nie robiłam nic innego, tylko dzwoniłam do biur turystycznych organizujących wyprawy do Szkocji na pstrąga i łososia, aż w końcu doszłam do wniosku, że szkoda na to czasu. Jeśli chce pan znać moje zdanie, to jego tam nie ma. - Odłożyła szczoteczka, wzięła do ręki scyzoryk i zaczęła delikatnie oskrobywać nierówną powierzchnię kości. - Skoro już mowa o waszym Ministerstwie Zdrowia; zrobiłby pan coś dla mnie? Wciąż próbuję się do nich dodzwonić, ale numer jest ciągle zajęty. Zechciałby pan zajrzeć do tej ich filii, biura Służby Ochrony Epidemiologicznej, czy jak to się nazywa, i powiedzieć im, że te wykopaliska mają nieoszacowaną wartość historyczną, oraz że z pewnością ulegną zniszczeniu, jeśli nie dostanę paru ludzi do pomocy. I nowej pompy.

Ostrze ześlizgnęło się z czegoś twardszego niż kość. Montoya zmarszczyła brwi.

- W jaki sposób uzyskała pani opinię Basingame'a, skoro nie wie pani, gdzie on jest? Wydawało mi się, że jego podpis był niezbędny...

- Bo był - stwierdziła lakonicznie. Kość pękła z trzaskiem na pół. Montoya obejrzała obie części, po czym rzuciła je na tackę. - Podrobiłam go.

Ponownie wygarnęła pudełkiem błoto z grobowca, pochyliła głowę i w skupieniu szukała kolejnych kości. Sprawiała wrażenie równie pochłoniętej swoim zajęciem jak Colin, kiedy oglądał przeżutą gumę. Dunworthy podejrzewał nawet, iż Montoya zapomniała o Kivrin, która przebywa w badanej przez nią przeszłości, tak samo jak zapomniała o epidemii.

Odłożył słuchawkę - na pewno tego nie zauważyła, przemknęło mu przez głowę - a następnie poszedł do szpitala, żeby poinformować Mary o swoich ustaleniach i przystąpić do ponownego przesłuchiwanie pacjentów. Deszcz zamienił się w ulewę; woda wytryskiwała z rzygaczy i płynęła wezbranymi strumieniami do studzienek, zabierając ze sobą zarówno śmieci jak i przedmioty o nieoszacowanej wartości historycznej.

Zespół panny Taylor, wzmocniony posiłkami w postaci Fincha, wciąż poruszał dzwonami w ustalonym porządku. Uczepieni lin, zginający rytmicznie kolana, przypominali zapewne Montoyę szukającą w błocie śladów przeszłości. Donośne bicie dzwonów przedzierało się bez trudu przez deszcz, ale teraz brzmiało jak ostrzegawczy okrzyk albo wołanie o pomoc.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(066440-066879)

Wigilia 1320 (według starej rachuby czasu). Mam znacznie mniej czasu, niż myślałam. Kiedy przed chwilą wróciłam z kuchni, Rosemunda powiedziała mi, że lady Imeyne chce ze mną mówić. Imeyne była pogrążona w poważnej rozmowie z wysłannikiem biskupa (sądząc po jej minie, przedstawiała mu usystematyzowany wykaz przewinień ojca Roche'a), ale kiedy zbliżyliśmy się, natychmiast wskazała mnie dostojnikowi i powiedziała:

- To właśnie ta niewiasta, o której wam mówiłam.

“Niewiasta”, nie “dziewczyna” albo nawet “dziewka”. Jej głos zabrzmiał niemal oskarżycielsko. Przemknęło mi przez głowę, czy aby nie podzieliła się z biskupim wysłannikiem podejrzeniami dotyczącymi mego rzekomego szpiegowania na rzecz Francji.

- Twierdzi, jakoby niczego nie pamiętała, a jednak potrafi mówić i czytać - dodała Imeyne, po czym przeniosła spojrzenie na Rosemundę. - A gdzie twoja broszka?

- Przy płaszczu - odparła dziewczynka. - Zostawiłam go w sieni.

- Więc idź i ją przynieś!

Rosemunda oddaliła się niechętnie, lady Imeyne zaś powiedziała:

- Sir Bloet ofiarował mej wnuczce broszkę nadzwyczaj misternej roboty, z wypisanymi słowami w rzymskim języku. - Wycelowała we mnie palec w oskarżycielskim geście. - Ona wiedziała, co znaczą, a dziś podczas mszy mówiła słowa liturgii, zanim padły z ust kapłana!

- Kto nauczył cię czytać? - zapytał wysłannik biskupa. Z powodu nadmiaru wypitego wina plątał mu się język i miał spore trudności ze skoncentrowaniem spojrzenia.

W pierwszej chwili chciałam powiedzieć, że napis na broszce przetłumaczył mi sir Bloet, ale zrezygnowałam z tego zamiaru, ponieważ przyszło mi do głowy, że mogli już go o to zapytać.

- Nie pamiętam - odparłam. - Nie wiem, co działo się ze mną, zanim ten dobry człowiek - wskazałam na Gawyna - znalazł mnie leżącą bez przytomności w lesie.

- Kiedy odzyskała zmysły, mówiła językiem, którego nikt nie rozumiał! - oznajmiła Imeyne z triumfalnym błyskiem w oku, jakby ten fakt ostatecznie dowodził mojej winy, choć doprawdy nie mam pojęcia, o co byłam oskarżona, ani czy kościelny dostojnik zgodził się być moim sędzią.

- Wielebny ojciec, czy po wizycie u nas zamierzasz udać się do Oxenfordu? - zapytała.

- Owszem - odparł. - Zostaniemy tu najwyżej kilka dni.

- Byłoby dobrze, gdybyś zabrał ją ze sobą do sióstr w Godstow.

- Nie jedziemy do Godstow. - Chyba po prostu nie miał ochoty brać sobie na głowę dodatkowego obowiązku, bo przecież Godstow leży zaledwie pięć mil od Oxfordu. - Jednak zaraz po powrocie wypytam na dworze biskupim, czy kto nie słyszał o zaginionej niewieście, i zawiadomię was, czego się dowiedziałem.

- Sądzę, że jest mniszką, bo czyta po łacinie i zna na pamięć liturgię - powiedziała Imeyne. - Gdybyście zawieźli ją do klasztoru, z pewnością szybko dałoby się ustalić, kim jest i skąd się tu wzięła.

Nie sprawiał wrażenia przekonanego ani tym bardziej zachwyconego, niemniej jednak niechętnie wyraził zgodę. Mam więc czas do ich wyjazdu. Kilka dni, jak powiedział wysłannik biskupa, czyli, przy odrobinie szczęścia, może nawet do Dnia Młodzianków. Wolę jednak nie tracić czasu; położę Agnes spać i spróbuję najprędzej, jak się da, porozmawiać z Gawynem.

22.

Kivrin dopiero o świcie zdołała zagonić Agnes do łóżka. Przybycie “Trzech Króli”, jak w dalszym ciągu nazywała biskupiego wysłannika i jego towarzyszy, całkowicie wytrąciło małą ze snu, a choć ślaniała się na nogach ze zmęczenia, nie chciała położyć się nawet na chwilę, bojąc się, że przegapi kolejne niezwykle wydarzenia.

Jęcząc, że jest głodna, pętała się Kivrin pod nogami, kiedy ta próbowała pomóc Eliwys w zastawianiu stołów, a gdy wreszcie przyniesiono potrawy i zaczęła się ucztą, nie chciała przełknąć nawet kęsa.

Kivrin nie miała czasu, żeby z nią dyskutować. Co kilka minut trzeba było przynosić nowe potrawy, w tym także gigantyczny pasztet, pod którym z pewnością załamałby się stół mniej solidnej konstrukcji. Według kapłana Kościoła Reformowanego, w dawnych czasach między pasterką a uroczystą mszą świętą w Boże Narodzenie obowiązywał post, tu jednak wszyscy jedli do syta, a nawet znacznie więcej, prym zaś w obżarstwie wodzili wysłannik biskupa oraz jego towarzysze. Oraz w opilstwie. “Trzej Królowie” bez przerwy wołali o więcej wina.

Pili bez opamiętania. Mnich coraz bardziej pożądliwie spozierał na Maisry, pisarz natomiast, który już w chwili przyjazdu miał dobrze w czubie, prawie leżał pod stołem. Wysłannik biskupa wlewał w siebie więcej niż ci dwaj razem wzięci; co chwila podstawał kubek Rosemundzie, jego ruchy zaś stopniowo stawały się coraz szersze i mniej skoordynowane.

Znakomicie, pomyślała Kivrin. Może upije się tak bardzo, że zapomni o obietnicy danej lady Imeyne. Wzięła jeden z dzbanów w nadziei, że dolewając wina Gawynowi zdoła zapytać zaufanego sługę lorda Guillaume’a, gdzie jest miejsce, w którym ją znalazł, ale on siedział wśród ludzi sir Bloeta i wraz z nimi śmiał się do rozpuku z czyjejś opowieści. Ktoś zawołał, by przyniosła więcej piwa i mięsa, kiedy zaś wróciła na swoje miejsce, zastała Agnes pogrążoną w głębokim śnie. Ostrożnie wzięła dziewczynkę na ręce i zaniósła do “buduaru” Rosemundy.

W chwili, gdy dotarła na piętro, drzwi pokoju otworzyły się i stanęła w nich Eliwys z naręczem prześcieradeł. Wyraźnie ucieszyła się na jej widok.

- Lady Katherine! Dobrze, że jesteście. Przyda mi się wasza pomoc.

Agnes poruszyła się we śnie.

- Przyniescie ze stryżku jeszcze kilka lnianych prześcieradeł. Trzej duchowni będą spać tutaj, w tym łóżku, a siostrę sir Bloeta i pozostałe kobiety umieścimy na strychu.

- A ja? - zapytała Agnes, uwalniając się z ramion opiekunki. - Gdzie ja będę spała?

- My wszyscy pójdziemy do stodoły - odparła Eliwys. - Ale dopiero wtedy, kiedy przygotujemy posłania dla gości. Na razie idź i pobaw się jeszcze.

Małej nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Ruszyła w podskokach na dół, wymachując przy tym rękami, żeby czynić jak największy hałas dzwoneczkiem.

Eliwys wręczyła prześcieradła Kivrin.

- Zanieście je na strych, a z rzeźbionej skrzyni mego męża wyjmijcie to gronostajowe futro, którym byliście przykryci podczas choroby.

- Jak długo będziemy gościć biskupiego wysłannika i jego towarzyszy? - zapytała Kivrin.

- Nie wiem - odparła Eliwys z zatroskanym wyrazem twarzy. - Modłę się, by nie chcieli zostać dłużej niż dwa tygodnie, bo w przeciwnym razie może zabraknąć nam mięsa. Aha, i nie zapomnijcie o podglówkach.

Dwa tygodnie... To nawet więcej niż trzeba, pomyślała Kivrin. Na razie nic nie wskazywało na to, by zbierali się do wyjazdu. Kiedy zeszła do izby z naręczem czystych prześcieradeł, wysłannik biskupa chrapał głośno w fotelu, pisarz trzymał nogi na stole, mnich zaś osaczył w kącie jedną ze służących lady Yvolde i grzebał przy jej dekolcie. Gawyna nie było w izbie.

Kivrin zaproponowała Eliwys, że zanieśie pościel do stodoły.

- Agnes jest bardzo zmęczona - wyjaśniła. - Powinna już pójść spać.

Eliwys obojętnie skinęła głową, Kivrin zaś czym prędzej zbiegła na dół i popędziła przez dziedziniec. Nie znalazła Gawyna ani w stajni, ani w gorzelni, więc przez jakiś czas kręciła się w okolicy latryny, aż wyszedł stamtąd jeden z rudowłosych młodzieńców i zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem. Rada nie rada, poszła do stodoły. Być może Gawyn zaszył się gdzieś z Maisry, albo dołączył do wieśniaków świętujących na błoniach. Rozkładając słomę na nagiej drewnianej podłodze słyszała dobiegające stamtąd wybuchy śmiechu.

Przyszykowała posłania, po czym wyszła ze stodoły i wyrzała zza zabudowań dworu w nadziei, że go gdzieś zobaczy. Wieśniacy rozpalili ogromny ogień i teraz stali wokół niego, grzejąc ręce oraz pijąc z wydrążonych rogów. Dostrzegła w tłumie mocno zaczerwienione twarze ojca Maisry i rządcy, ale choć wycężała wzrok, nie zdołała wypatrzeć Gawyna.

Nie było go także na dziedzińcu, natomiast przy bramie stała otulona płaszczem Rosemunda.

- Co robisz na tym zimnie? - zapytała Kivrin.

- Czekam na ojca. Gawyn powiedział, że spodziewa się go przed świtem.

- Rozmawiałaś z Gawynem?

- Tak. Jest w stajni.

Kivrin odruchowo spojrzała w tamtą stronę.

- Jest za zimno, żebyś tutaj stała. Wracaj do domu, a ja powiem Gawynowi, żeby zawiadomił cię, kiedy przyjedzie twój ojciec.

- Zostanę tutaj - odparła Rosemunda drżącym głosem. - Obiecał mi, że wróci na Święta.

Kivrin podniosła latarnię i przyjrzała się dziewczynce. Co prawda nie dostrzegła łez, ale policzki Rosemundy były mocno zaczerwienione. Ciekawe, co takiego zrobił sir Bloet, że biedactwo gotowe jest stać na mrozie, żeby tylko usunąć mu się z oczu, przemknęło jej przez głowę. Albo może przestraszyła się mnicha lub pijanego pisarza.

Ujęła dziewczynkę za ramię.

- Równie dobrze możesz czekać w kuchni - powiedziała. - Tam przynajmniej jest ciepło.

Rosemunda skinęła głową.

- Ojciec obiecał, że na pewno wróci.

I co robi? - pomyślała Kivrin. Wyrzuci nieproszonych gości z domu? Zerwie zaręczyny starszej córki z sir Bloetem? "Ojciec nigdy nie pozwoli, żeby stała mi się jakaś krzywda" - powiedziała dziewczynka parę dni wcześniej, ale było mało prawdopodobne, żeby lord Guillaume zdecydował się na tak drastyczne posunięcie, które na zawsze uczyniłoby sir Bloeta jego wrogiem.

Zaprowadziła Rosemundę do kuchni i poleciła Maisry dać jej kubek grzanego wina.

- Powiem Gawynowi, żeby dał znać, kiedy tylko zobaczy twego ojca.

Szybkim krokiem przeszła na drugą stronę dziedzińca, ale Gawyna nie było już ani w stajni, ani w gorzelni.

Wróciła do domu, podejrzewając, że lady Imeyne znowu wysłała go w jakiejś sprawie, ale stara kobieta twardo siedziała obok półprzytomnego wysłannika biskupa i wytrwale szeptała mu do ucha, Gawyn natomiast stał przy ogniu wraz z kilkoma ludźmi sir Bloeta; dostrzegła wśród nich rudzielca, który spojrział na nią ze zdziwieniem wychodząc z latryny. Sir Bloet rozparł się na ławie po drugiej stronie paleniska, mając obok siebie szwagierkę i Eliwys.

Kivrin skromnie przycupnęła na żebraczej ławce. Tutaj, przy ludziach, nie mogła do niego nawet podejść, a tym bardziej zagadnąć.

- Oddajcie mi go! - zawołała Agnes płaczliwym głosem.

Wraz z innymi dziećmi bawiła się przy schodach, ale zabawa przestała się jej podobać, ponieważ starsi chłopcy podawali sobie Blackiego nad jej głową, głaszcząc go, drapiąc po brzuszku i ciągnąc za uszy. Wiodocześnie mała przyniosła szczeniaka ze stodoły, kiedy Kivrin była w stajni albo kuchni.

- To mój piesek! - Wyciągnęła ręce, ale nie zdołała dosięgnąć szczeniaka. - Dawajcie!

Kivrin podniosła się z miejsca, ale zanim zdążyła zrobić pierwszy krok w kierunku schodów, do jej uszu dotarły słowa Gawyna:

- Jadąc przez las nagle ujrzałem niewiastę leżącą bez życia na ziemi. Została napadnięta przez zbójców, ograbiona i poturbowana, i straciła przytomność od ciosu w głowę, który także rozorał jej skórę na skroni.

Zawahała się, spojrzała niepewnie w stronę Agnes, która ze łzami w oczach łomotała piąstkami w brzuch jednego z chłopców, po czym usiadła z powrotem.

- "Pani, czy wiesz, kto to uczynił?" - zapytałem, kiedy odzyskała zmysły, ale ona nie potrafiła powiedzieć ani słowa.

Agnes wreszcie odzyskała pieska i przytuliła go mocno do piersi. Kivrin zdawała sobie sprawę, że powinna czym prędzej pospieszyć Blackiemu z odsieczą, ale bała się ruszyć z miejsca, by nie uronić ani jednego słowa z opowieści Gawyna. Powiedz im, gdzie mnie znalazłeś, błagała go w myślach. Albo przynajmniej dokładnie opisz to miejsce.

- "Chętnie podążę na koniec świata, by pomścić twe nieszczęście" - rzekłem - "lecz lękam się zostawić cię samą, pani, bo widzę, żeś w wielkiej potrzebie". - Zerknął ukradkiem na Eliwys. - Ona jednak odzyskała mowę i prosiła mnie, bym czym prędzej wyruszył w pościg za złoczyńcami.

Eliwys podeszła do drzwi, przez jakiś czas stała tam, nasłuchując z zafrasowaną miną, po czym wróciła na swoje miejsce przy palenisku.

- Nie! - wrzasnęła przeraźliwie Agnes.

Jeden z siostrzeńców sir Bloeta trzymał Blackiego wysoko nad głową. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli Kivrin natychmiast nie przerwie tej zabawy, szczeniak poniesie śmierć w męczarniach. Tym razem nie wahała się z podjęciem decyzji, ponieważ stało się jasne, iż Gawyn snuje opowieść nie po to, by przedstawić rzeczywisty przebieg zdarzeń, ale przede wszystkim pragnie zaimponować Eliwys. Kivrin podniosła się z ławki i podeszła do dzieci.

- Od napaści minęło niewiele czasu, łatwo więc odnalazłem ślad zbójców i ruszyłem za nimi, co koń wyskoczy...

Siostrzeniec sir Bloeta trzymał Blackiego za przednie łapy. Piesek piszczał żałośnie, ale nawet nie próbował się wyrwać.

- Kivrin!

Agnes objęła ją za nogi i wtuliła buzię w fałdy sukni, rudowłosy siostrzeniec sir Bloeta natychmiast oddał jej szczeniaka, pozostałe dzieci rozbiegły się zaś niczym spłoszone pisklęta.

- Uratowałaś Blackiego! - zawołała dziewczynka, wyciągając ręce po psa.

Kivrin pokręciła głową.

- Pora iść do łóżka - stwierdziła stanowczo.

- Ale mnie się... mnie się wcale nie chce spać - odparła Agnes, ziewnęła szeroko, a następnie potarła piąstkami oczy.

- Być może, ale Blackie jest już bardzo zmęczony, lecz na pewno nie zaśnie, dopóki nie położysz się przy nim.

Ta argumentacja chyba wywarła na dziewczynce pewne wrażenie. Zastanowiła się głęboko, ale zanim zdołała znaleźć w niej jakąś lukę, Kivrin oddała małej pieska; Agnes przytuliła go jak małe dziecko, Kivrin zaś schyliła się i wzięła oboje w ramiona.

- Poza tym, ktoś przecież musi opowiedzieć mu bajkę... to znaczy, historię do snu - dodała, kierując się powoli do drzwi.

- Wkrótce znalazłem się w nieznannej części lasu - ciągnął Gawyn. - Dokoła było ciemno, choć oko wykol...

Kivrin zaniósła dwoje podopiecznych do stodoły.

- Blackie najbardziej lubi historie o kotach - poinformowała ją Agnes, kołysząc pieska w ramionach.

- Więc powinnaś mu opowiedzieć historię o kocie.

Wzięła od małej szczeniaka, zaczekała, aż dziewczynka wdrapie się na stryszek, po czym weszła za nią i ułożyła psiaka na sianie tuż obok posłania. Spał już, wycieńczony pieszczotami.

- Najlepiej o bardzo niegrzecznym kocie! - stwierdziła Agnes, ponownie przytulając szczeniaka. - Ja wcale nie będę spała, tylko tak sobie poleżę z Blackiem, żeby mu nie było przykro, więc nie muszę zdejmować ubrania.

- Oczywiście.

Kivrin przykryła dziecko i psa ciężkim, grubym futrem. W stodole i tak było za zimno, żeby rozbierać się do snu.

- Blackie chce nosić mój dzwoneczek - oznajmiła dziewczynka, usiłując założyć mu tasiemkę na kark.

- Wątpię.

Kivrin skonfiskowała dzwoneczek (ku jej zaskoczeniu nie wywołało to żadnych protestów ze strony dziecka), dorzuciła jeszcze jedno futro, potem zaś sama także wsunęła się pod przykrycie. Agnes natychmiast przycisnęła się do niej całym ciałkiem.

- Dawno temu był sobie bardzo niegrzeczny kotek... - Dziewczynka ziewnęła szeroko. - Ojciec mówił mu, żeby nie chodził do lasu, ale on nie chciał się słuchać...

Przez jakiś czas walczyła z sennością, trąc oczy i wymyślając przygody, jakich doświadczył niegrzeczny kotek, ale wreszcie uległa w nierównej walce z ciemnością i ciepłem. Mimo to Kivrin leżała bez ruchu jeszcze kilka minut; dopiero wtedy, kiedy oddech dziecka stał się spokojny i miarowy, ostrożnie uwolniła Blackiego z serdecznego, choć cokolwiek za mocnego uścisku, i położyła go na słomie.

Dziewczynka poruszyła się we śnie, więc Kivrin objęła ją, a po chwili zaczęła gładzić po główce. Śpij, maleńka, powtarzała w myślach, zdając sobie sprawę, że powinna czym prędzej poszukać Gawyna, który chyba skończył już swą opowieść. Do wyznaczonego terminu powrotu został już przecież niecały tydzień.

Agnes zadrzała i przytuliła się jeszcze mocniej.

Jak mam zostawić cię samą? - zastanawiała się Kivrin. I Rosemundę? I ojca Roche'a...

Nawet nie zauważyła, kiedy zmorzył ją sen.

Obudziwszy się stwierdziła, że już prawie świta oraz że pod futrami obok Agnes leży także Rosemunda. Najciszej jak potrafiła wysunęła się spod przykrycia, zeszła po drabinie, a następnie przebiegła przez dziedziniec. Przez chwilę była prawie pewna, że zasnęła na mszę, ale kiedy weszła do izby, ujrzała taki sam widok jak wtedy, kiedy z niej wychodziła: Gawyn wciąż wodził prym przy palenisku, wysłannik biskupa siedział, a właściwie na wprost leżał w fotelu, ze znudzonym wyrazem twarzy słuchając paplaniny lady Imeyne. Mnich zaszył się w kącie z Maisry, natomiast nigdzie nie było widać pisarza. Domyśliła się, że zasnęła i został zaniesiony do łóżka.

Dzieci też poszły spać, część kobiet zaś chyba udała się na krótki spoczynek przed poranną mszą, ponieważ Kivrin nigdzie nie mogła dojrzeć ani siostry sir Bloeta, ani jego szwagierki.

- "Stój, zdrajco!" - zawołałem - "i stań do uczciwej walki" - opowiadał Gawyn.

Kivrin nie miała pojęcia, czy jest to dalsza część historii jej ocalenia, czy może jedna z przygód sir Lanceleta. Bez względu na to, czego dotyczyła opowieść, z pewnością nie spełniła pokładanych w niej nadziei, to znaczy nie wywarła większego wrażenia na Eliwys, ponieważ nie było jej w izbie. Ci słuchacze, którzy wytrwali aż do tej pory, także nie sprawiali wrażenia zbyt przejętych; dwaj z nich grali od niechcenia w kości, sir Bloet zaś spał głęboko, oparłszy brodę na szerokiej piersi.

Wyglądało na to, iż mimo dość długiej nieobecności, Kivrin nie straciła okazji, by porozmawiać sam na sam z Gawynem, nic też nie wskazywało na to, by taka okazja miała nadarzyć się w niedalekiej przyszłości. Równie dobrze mogła zostać w stodole z dziewczynkami. Doszła do wniosku, iż skoro okoliczności nie chcą jej sprzyjać, będzie musiała im trochę pomóc: zagadnie go, kiedy Gawyn wyjdzie za potrzebą, albo podejdzie do niego, gdy będą szli na mszę, i szepnie: "Spotkajmy się później w stajni".

Patrząc na biskupiego wysłannika i jego towarzyszy trudno było przypuszczać, by udali się w dalszą drogę, zanim wypiją całe wino, jakie jest we dworze, lecz mimo to powinna się pospieszyć. W każdej chwili mogli przecież zapragnąć wyruszyć na polowanie, mogła zmienić się pogoda, a wreszcie - i to było najważniejsze - do wyznaczonego terminu powrotu pozostało zaledwie pięć dni. Nie, cztery. Przecież już po Wigilii.

- Zamachnął się okrutnie... - Gawyn wstał, by zademonstrować zachowanie przeciwnika - ...i gdyby trafił tak, jak zamierzał, ani chybi rozplątałby mnie na dwoje.

- Lady Katherine!

Kivrin spojrzała w kierunku, z którego dobiegł rozkazujący głos. Lady Imeyne podniosła się z ławy i skinęła na nią ręką, wysłannik biskupa zaś przyglądał się jej z zainteresowaniem. Serce zabiło jej żywiej w piersi. O co może im chodzić? - pomyślała z niepokojem, lecz zanim zdążyła przejść na drugą stronę izby, Imeyne podeszła do niej z jakimś zawiniątkiem pod pachą.

- Zanieście je ojcu Roche - powiedziała, odchylając skrawek czystego lnianego płótna, by pokazać jej końcówki woskowych świec. - Ma je postawić na ołtarzu, nie gdzie indziej, i niech uważa, by przy gaszeniu nie pourywać knotów. Przekażcie mu, że ma przygotować kościół do mszy, którą odprawi wysłannik biskupa. Mam nadzieję, że kościół wreszcie będzie wyglądał jak świątynia naszego Pana, a nie jak chlew. Aha, i niech założy czystą albę.

Więc jednak dopięłaś swego, pomyślała Kivrin, idąc szybkim krokiem w kierunku kościoła. Pozbyłaś się mnie i będziesz miała taką mszę, jaką sobie wymarzyłaś. Został ci jeszcze tylko ojciec Roche; musisz przekonać wysłannika biskupa, żeby odebrał mu parafię albo wysłał go do opactwa Bicester.

Blonie było zupełnie puste. Dogasające ognisko żarzyło się słabo na tle szarego śniegu; tam, gdzie niedawno pod wpływem ciepła utworzyły się kałuże, teraz były nieregularne lodowe tafle. Widocznie wieśniacy poszli do domów, by odpocząć przed mszą; ojciec Roche przypuszczalnie uczynił to samo, ale kiedy spojrzała w kierunku jego skromnej chatki, nie dostrzegła światła w oknach ani dymu unoszącego się z otworu w dachu.

Minęła cmentarną bramę i weszła bocznymi drzwiami do kościoła. W środku było ciemno i chyba jeszcze zimniej niż o północy.

- Ojciec Roche! - zawołała półgłosem, kierując się po omacku ku posągowi św. Katarzyny.

Usłyszała go, ale wcale nie dlatego, że odpowiedział na jej wołanie. Minąwszy kamienną figurę dostrzegła go w półmroku, klęczącego przed ołtarzem.

- Pozwól wszystkim błądzącym wrócić szczęśliwie do domu i chroń ich po drodze od wszelkich niebezpieczeństw...

Jego spokojny, łagodny głos brzmiał tak samo jak wtedy, kiedy usłyszała go po raz pierwszy, gdy leżała w gorączce i wydawało jej się, że zewsząd otaczają ją płomienie. Przypominał głos pana Dunworthy'ego. Nie zawołała ponownie, tylko oparła się plecami o lodowato zimny posąg świętej i, oddychając najciszej jak potrafiła, wsłuchiwała się w słowa dobiegające z ciemności.

- Na święta zjechali do nas sir Bloet z krewnymi i całą służbą oraz Theodulf z Henefelde. Wczoraj przed wieczorem przestało padać, jakby niebiosy chciały z rozpogodzonym obliczem powitać narodziny Pana - mówił kapłan rzeczowym tonem, bardzo podobnym do tego, jakim ona przekazywała swoje spostrzeżenia rejestratorowi. Kronika towarzyska, a zaraz potem informacja o pogodzie.

Przez okna powoli zaczynało się sączyć blade światło. Kivrin z każdą chwilą coraz wyraźniej widziała kapłana klęczącego przed ołtarzem, jego wyświechtaną przykrótką sutannę, twarz o okrutnych rysach, jakże szpetną w porównaniu ze szczupłą, arystokratyczną twarzą biskupiego wysłannika, duże spracowane ręce.

- Tej radosnej nocy, zaraz po pastercie, zjawił się wysłannik biskupa z dwoma towarzyszami. Wszyscy są sługami bożymi wielkiej mądrości i roztropności.

Nie daj się zwieść złotu i przepychowi, pomyślała Kivrin. Jesteś wart dziesięciu takich jak oni. Imeyne oznajmiła triumfalnie, że wysłannik biskupa odprawi uroczystą mszę świętą; jakoś nie przeszkadzał jej fakt, że bynajmniej nie pościł, ani nawet nie zadał sobie trudu, by pójść wcześniej do kościoła i poczynić konieczne przygotowania.

Nie dziesięciu, tylko pięćdziesięciu, poprawiła się szybko. Albo i stu.

- Z Oxenfordu dotarły do nas wieści o chorobie. Tord czuje się lepiej, ale nalegałem, by jeszcze nie wychodził z domu. Uctreda była za słaba, żeby przyjść na mszę. Zaniósłem jej trochę zupy, lecz nie przełknęła ani odrobiny. Walthefa chwyciły mdłości - albo z nadmiaru tańców, albo piwa. Gytha oparzyła sobie rękę, próbując wyciągnąć płonącą głównię z ogniska. Nie lękam się nadejścia dni ostatnich i Sądu Ostatecznego, boś w łaskawości swojej okazał nam mnóstwo dobroci.

Mnóstwo dobroci. Cóż, jeśli będzie tak stała i słuchała go w nieskończoność, ojciec Roche całkiem niedługo zazna wszystkiego, tylko nie dobroci. Pierwsze promienie słońca, które przedostały się do wnętrza świątyni przez kolorowe szkiełka, wydobyły z mroku oblepione woskiem lichtarze, poprzekrzywiane świece, zaplamiony lniany obrus na ołtarzu. Jeżeli lady Imeyne ujrzy kościół w takim stanie, dni ostatnie i Sąd Ostateczny nadejdą bardzo szybko - przynajmniej dla nieszczęsnego kapłana.

- Ojciec Roche...

Odwrócił się gwałtownie i próbował zerwać się na nogi, ale nie zdołał tego uczynić, z pewnością dlatego, że mięśnie zeszywniały mu z zimna. Podniósł się powoli, z wyraźnym trudem, wyęzając wzrok, by dostrzec cokolwiek w mroku.

- To ja, Katherine.

Wyszła z cienia w plamę różnobarwnego światła, aby mógł ją zobaczyć.

Przeżegnał się, wciąż z niepokojem na twarzy, jej zaś zaświtało podejrzenie, czy aby nie modlił się w półśnie, z którego jeszcze nie zdołał się otrząsnąć.

- Lady Imeyne przysłała świece - powiedziała, powoli zbliżając się do niego. - Prosiła mnie, bym przekazała ci, ojciec, że masz ustawić je w srebrnych lichtarzach po obu stronach ołtarza. Masz też... - Umilkła, zawstydzona. - Przysłałam pomóc ci w przygotowaniach do mszy. Co mam robić? Może powinnam wyczyścić lichtarze?

Podążyła mu świece, on jednak stał jak posąg, w dalszym ciągu wpatrując się w nią zatrwożonym spojrzeniem. Czyżbym popełniła jakiś błąd? - pomyślała z niepokojem. W średniowieczu kobietom nie wolno było dotykać ołtarza ani naczyń mszalnych. Może ten zakaz dotyczył także świec?

- Postąpiłam nie tak, jak należy? - zapytała. - Nie powinnam była wchodzić do prezbiterium?

Dopiero teraz otrząsnął się z osłupienia.

- Nie ma miejsc, do których nie wolno by było wchodzić dzieciom bożym - odparł, wziął od niej świece i położył je na ołtarzu. - Ale ktoś taki jak wy nie powinien zajmować się zwykłą, ciężką pracą.

- To praca ku chwale Pana - odparła, po czym zaczęła zdejmować ze szpikulców wypalone do połowy świece. Na kandelabrach zgromadziło się więcej zastygniętego wosku, niż przypuszczała. - Będziemy potrzebowali trochę piasku i jakiś nóż.

Natychmiast pobiegł, by przynieść, czego zażądała, ona zaś skorzystała z jego nieobecności, by zdjąć z tęczy zwykle, krótkie świece i zastąpić je lepszymi.

Wrócił z piaskiem, kilkoma brudnymi szmatami oraz czymś, co z trudem mogło uchodzić za nóż. Jednak ostrze, chociaż przeraźliwie tępe, całkiem nieźle radziło sobie z woskiem; Kivrin zaczęła od obrusa, usiłując zeszkrobać ogromny żółtawy naciek. Bała się, że nie mają zbyt wiele czasu. Co prawda wysłannik biskupa nie okazywał najmniejszej ochoty, by zaraz zerwać się z fotela i popędzić do kościoła, ale kto wie, jak długo jeszcze uda mu się pozostać głuchym na ponaglenia lady Imeyne.

Ja także nie mam dużo czasu, pomyślała, zabierając się do lichtarzy. Co prawda do tej pory uspokajała się, powtarzając sobie, że na pewno zdąży, ale przecież niemal całą minioną noc czyhała na okazję, by wydobyć od Gawyna interesujące ją informacje, i niczego się nie dowiedziała. Jutro zaś... Jutro Gawyn mógł wyruszyć na polowanie albo kontynuować poszukiwania sprawców napadu, którego ofiarą padła, albo wysłannik biskupa i jego kompani opróżnią ostatni dzban wina, i odjadą, zabierając ją ze sobą.

"Nie ma miejsc, do których nie wolno by było wchodzić dzieciom bożym" - powiedział ojciec Roche. Z wyjątkiem miejsca przeskoku, pomyślała z goryczą.

Pracownicy skrobała świeczniki wilgotnym piaskiem. Spory kawałek wosku wystrzelił jak z procy i wpadł do kielicha polerowanego właśnie przez księdza.

- Wybacz, ojczy - powiedziała. - Lady Imeyne... Umilkła, nie kończąc zdania. Nie powinna mówić mu o tym, że ma zostać odesłana do Oxenfordu. Gdyby próbował wstawić się za nią u lady Imeyne, tylko pogorszyłby swoją, i tak nie najlepszą, sytuację. Kto wie, czy i jego nie spotkałby podobny los.

Musiała szybko coś wymyślić, bo przerwał pracę i czekał na dalszy ciąg.

- Lady Imeyne poleciła też zawiadomić cię, ojczy, że mszę świętą będzie celebrował wysłannik biskupa.

- To prawdziwe szczęście, że w dzień narodzin Jezusa Chrystusa dane nam będzie wysłuchać słów tak mądrego człowieka - odparł, odstawiając wyczyszczony kielich.

Dzień narodzin Jezusa Chrystusa. Usiłowała wyobrazić sobie kościół Najświętszej Marii Panny, wypełniony ciepłem, muzyką i blaskiem laserowych świec migoczących w kandelabrach z nierdzewnej stali, ale udało jej się to tylko częściowo; obraz był niewyraźny, jakby nierzeczywisty.

Ustawiła świeczniki po obu stronach ołtarza, cofnęła się o krok, by sprawdzić, jak prezentują się w promieniach słońca, które sącząc się przez barwne szybki, zamieniały się w różnokolorowe smugi. Po chwili umieściła w lichtarzach świece przekazane przez lady Imeyne i przesunęła jeden z nich odrobinę w lewo. Niestety, mimo najszczerszych chęci nie mogła nic zrobić z alabą ojca Roche'a; do sporej kolekcji płam dołączyła jeszcze jedna, po mokrym piasku. Najlepiej jak potrafiła wytarła ją rękawem płaszcza.

- Pójdę już, żeby obudzić dziewczynki na mszę - powiedziała, otrzepując płaszcza z piasku, po czym, pchnięta trudnym do wyjaśnienia impulsem, dodała: - Lady Imeyne uprosiła wysłannika biskupa, żeby zawiózł mnie do klasztoru w Godstow.

- Zostaliście przysłani przez Boga, który postanowił dać nam pociechę i pomoc - odparł kapłan. - Nie lękajcie się, bo On nie pozwoli, aby was stąd zabrano.

Chciałabym ci uwierzyć, myślała Kivrin, idąc przez wiejskie błonie. Dokoła wciąż nie było widać żadnych oznak życia, choć nad niektórymi dachami pojawił się dym i wypuszczono krowę z komórki. Stała przy resztkach ogniska, skubiąc zmarznięte kępki trawy, które wyłoniły się spod roztopionego śniegu. Może wszyscy śpią, a ja wreszcie będę mogła spokojnie porozmawiać z Gawynem - przemknęło jej przez głowę. Niestety, jej nadzieje prysły bardzo szybko, ponieważ chwilę potem ujrzała zmierzające ku niej Rosemundę i Agnes. Dziewczynki nie prezentowały się najlepiej: atlasowa sukienka Rosemundy była wręcz szara od pyłu, Agnes zaś miała mnóstwo siana we włosach i na ubranku.

- Dlaczego nie śpicie? - zapytała Kivrin, otrzepując czerwoną sukienkę Agnes.

- Przyszli jacyś ludzie i nas obudzili - wyjaśniła mała.

Kivrin spojrzała pytająco na Rosemundę.

- Czyżby wrócił twój ojciec?

- Nie - odparła dziewczynka. - Nie znam ich. To chyba słudzy biskupiego wysłannika.

Miała rację. Czterej mnisi (żaden nie dorównywał pozycją cystersowi) dopiero teraz dołączyli do swego pana. Mieli ze sobą dwa objuczone osiołki; Kivrin i dziewczynki przyglądały się w milczeniu, jak zdejmują z grzbietów zwierząt ogromne kufry, juki a także beczułkę wina.

- Chyba zostaną na dłużej - zauważyła Agnes.

Rzeczywiście, pomyślała Kivrin. "Zostaliście przysłani przez Boga. Nie lękajcie się, bo On nie pozwoli, aby was stąd zabrano".

- Chodźcie - powiedziała znacznie weselszym tonem. - Muszę was uczesać, bo wyglądacie jak strachy na wróble.

Na szczęście Rosemunda sama zajęła się swoimi włosami, Kivrin mogła więc poświęcić całą uwagę młodszej dziewczynce, ale i tak rozczesanie skołtunionych włosów oraz pozbycie się niezliczonych słomek trwało aż do mszy, a w dodatku było dość bolesne. W drodze do kościoła Agnes pochlipywała cichutko.

Wysłannik biskupa woził ze sobą nie tylko wino, ponieważ wystąpił w olśniewająco białych szatach, na które założył ornat z czarnego atlasu, mnich natomiast wystąpił w stroju mieniącym się od brokatu i złotych haftów. Pisarz nie uznał za stosowne pojawić się na mszy (być może nie był w stanie zwlec się z łóżka), nie pokazał się także ojciec Roche, któremu przypuszczalnie zakazano wstępu z powodu brudnej sutanny. Kivrin co chwila spoglądała w kierunku głównych drzwi w nadziei, że lady Imeyne pozwoliła kapłanowi choć popatrzeć z daleka, jak powinna wyglądać porządnie odprawiona msza, ale w tłumie wieśniaków nie dostrzegła jego znajomej postaci.

Wierni sprawiali wrażenie bardzo zmęczonych, niektórzy zaś najwyraźniej cierpieli z powodu ostrego kaca. Ta sama, przykra dolegliwość, spotkała także biskupiego wysłannika; recytował teksty liturgiczne głosem pozbawionym wyrazu, a w dodatku czynił to tak szybko i z tak dziwnym akcentem, że Kivrin nie rozumiała ani słowa. W niczym nie przypominało to ani łaciny ojca Roche'a, ani tej, jakiej uczyli ją pan Latimer i ksiądz z Kościoła Reformowanego. Samogłoski uległy przedziwnej transformacji, dźwięczne spółgłoski brzmiały jak bezdźwięczne, te z kolei w większości stały się zupełnie niesłyszalne. Kiedy była chora i kiedy ojciec Roche pochylał się nad nią, szepcząc słowa otuchy, rozumiała go bez najmniejszego trudu. "Nie opuszczę cię" - mówił. "Niczego się nie bój".

W miarę upływu czasu, wysłannik biskupa mówił coraz szybciej, jakby zależało mu na tym, by jak najprędzej skończyć i wrócić do ciepłej izby. Lady Imeyne ani trochę to nie przeszkadzało. Sprawiała wrażenie ogromnie zadowolonej z siebie, podczas kazania zaś, które dotyczyło konieczności wyrzeczenia się dóbr doczesnych i zrezygnowania z uciech, kiwała z powagą głową.

Wychodząc z kościoła po nabożeństwie, zatrzymała się nagle w drzwiach i z grymasem niezadowolenia na twarzy spojrzała w kierunku dzwonnicy. Co tym razem? - pomyślała Kivrin. Może powinien wyczyścić dzwon do połysku?

- Widzieliście, jak wyglądał kościół? - zapytała Imeyne siostrę sir Bloeta, przekrzykując donośne dźwięki dzwonu. - Zamiast świec poustawiał w oknach kaganki, jakby to nie była świątynia Pana, tylko wiejska chata. Muszę z nim o tym porozmawiać. Skompromitował nas w oczach wysłannika biskupa.

Pomaszerowała ku dzwonnicy. Gdyby postawił świece zamiast kaganków, okazałoby się, że umieścił je nie tam gdzie trzeba albo zgasił je nie tak jak należy, pomyślała Kivrin. Chętnie ostrzegłaby księdza przed zbliżającym się niebezpieczeństwem, ale Imeyne była już w połowie drogi do dzwonnicy, Agnes zaś szarpała opiekunkę za rękaw.

- Jestem śpiąca! - narzekała. - Chcę do łóżka!

Kivrin wzięła małą za rękę i zaprowadziła do stodoły, ominąwszy wieśniaków, którzy gromadzili się na drugą turę uroczystości. Na nowo rozpalono ognisko, młode kobiety zaś wzięły się za ręce, otoczyły je kręgiem i rozpoczęły skoczny taniec.

Agnes ochoczo wsunęła się pod futra, ale kiedy Kivrin dotarła do drzwi dworu i obejrzała się, tknięta niewyraźnym przeczuciem, ujrzała dziewczynkę biegnącą co sił w nóżkach przez dziedziniec.

- Co to ma znaczyć? - zapytała surowym tonem. - Dlaczego wstałaś? Podobno byłaś zmęczona.

- Blackie jest chory.

- Chory? A co mu dolega?

- Blackie jest chory - powtórzyła Agnes, po czym chwyciła ją za rękę i zaprowadziła z powrotem do stodoły. Piesek leżał na boku z na wpół otwartym pyszczkiem. - Dasz mu lekarstwo?

Kivrin wzięła szczeniaka na rękę, po czym szybko położyła go z powrotem na sianie.

- Tak mi przykro, Agnes... Boję się, że on nie żyje.

Dziewczynka przykucnęła i przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

- Tak samo jak kapelan babki - stwierdziła rzeczowym tonem. - Czy Blackie miał gorączkę?

Przypuszczalnie zaszкодził mu nadmiar pieśczoł, pomyślała Kivrin. Przechodził z rąk do rąk, był tarmoszony, głaskany, miętoszony i duszony. Zabiła go przesadna miłość, i to w Boże Narodzenie. O dziwo, Agnes nie sprawiała wrażenia szczególnie zrozpaczonej.

- Czy urządzimy mu pogrzeb? - zapytała, delikatnie głaszcząc nieruchome ucho.

Raczej nie, odparła w myślach. W średniowieczu nie znano jeszcze obyczaju grzebania ukochanych zwierzątek w pudełkach po butach. Pozbywano się ich rzucając je w krzaki albo do rzeki.

- Pochowamy go w lesie, pod drzewem - odparła, choć zaraz potem przyszło jej do głowy, że nie poradzą sobie z wykopaniem dziury w zmarzniętej ziemi.

Dopiero teraz na twarzy Agnes pojawił grymas zwiastujący wybuch płaczu.

- Ojciec Roche musi pogrzebać Blackiego na cmentarzu!

Nie ulegało wątpliwości, iż ojciec Roche gotów jest uczynić dla Agnes niemal wszystko, ale należało wątpić, by zgodził się wyprawić chrześcijański pogrzeb zdechłemu psu. Przekonanie, że zwierzęta mają dusze,

rozpowszechniło się dopiero w XIX wieku, a nawet wtedy nikt jakoś nie wpadł na pomysł urządzania pogrzebów z całym religijnym ceremoniałem.

- Odmówię modlitwę za zmarłych - obiecała Kivrin.

Usta dziewczynki wygięły się w podkówkę.

- Ojciec Roche musi pochować go na cmentarzu! - oświadczyła stanowczo. - A potem musi długo uderzać w dzwon!

- Teraz to i tak niemożliwe - powiedziała Kivrin, widząc, że dyskusja nie ma sensu. - Zaraz po Świętach zapytam go, co należy uczynić.

A co powinna tymczasem zrobić z psimi zwłokami? Przecież nie zostawi ich tutaj, na posłaniu.

- Chodź, zaniemiemy Blackiego na dół.

Wzięła martwego szczeniaka na ręce (chyba nawet udało jej się nie skrzywić) i ostrożnie zeszła po drabinie. Rozglądała się w poszukiwaniu jakiejś skrzynki albo worka, lecz nic takiego nie mogła znaleźć. Wreszcie położyła psiaka w kącie pod wiszącymi na ścianie sierpami i poleciła małej przykryć go sianem.

- Jeśli ojciec Roche nie uderzy w dzwon, Blackie nie pójdzie do nieba! - stwierdziła dziewczynka, po czym zalała się łzami.

Kivrin uspokajała ją przez pół godziny. Kiedy wreszcie rozpaczliwe łkanie zamieniło się w cichutkie pochlipywanie, na dziedzińcu rozległy się jakieś hałasy. Czyżby rozbawieni wieśniacy dotarli aż tutaj? - przemknęło dziewczynie przez głowę. A może mężczyźni wyruszają na polowanie? Bardziej prawdopodobne było to drugie wyjaśnienie, ponieważ wyraźnie słyszała rzenie koni.

- Zobaczmy, co się tam dzieje - zaproponowała. - Może wrócił wasz ojciec?

Agnes natychmiast wyprostowała się i otarła zapłakaną buzię.

- Opowiem mu o Blackiem!

Zsunęła się z kolan opiekunki. Wyszędłszy ze stodoły przekonały się, że na dziedzińcu jest tłoczno od ludzi i koni.

- Co oni robią? - zapytała dziewczynka.

- Nie wiem - odparła Kivrin, choć było to aż nadto oczywiste.

Cob właśnie wyprowadzał ze stajni białego rumaka, na którym przyjechał wysłannik biskupa, służba zaś w pośpiechu wносиła z domu kufry i worki, które dopiero co zdejmowała z grzbietów jucznych zwierząt. Eliwys stała w progu, z niepokojem przyglądając się zamieszaniu.

- Czy oni wyjeżdżają? - dopytywała się dziewczynka.

- Nie.

Nie wyjeżdżają. To niemożliwe. Przecież nie wiem, gdzie jest miejsce przeskoku.

Z dworu wyszedł mnich odziany w biały habit i obsyty futrem płaszcz, Cob zaś wrócił biegiem do stajni, by zaraz zjawić się ponownie, prowadząc za uzdę deresza, na którym jechała Kivrin podczas wyprawy po jemiolę. W drugiej ręce niósł siodło.

- Mówię ci, że wyjeżdżają! - stwierdziła stanowczo Agnes.

- Wiem - odparła Kivrin bezbarwnym tonem.

23.

Złapała małą za rękę i ruszyła z powrotem do stajni. Musi schować się gdzieś do chwili, kiedy odjadą.

- Dokąd idziemy? - zapytała Agnes.

Kivrin ominęła dwóch służących sir Bloeta taszczących ciężką skrzynię.

- Z powrotem na stryszek.

Agnes stanęła jak wryta.

- Ale ja nie chcę spać! - załkała. - Wcale nie jestem zmęczona!

- Lady Katherine! - zawołał ktoś z drugiej strony dziedzińca.

Chwyciła dziecko na ręce i nie zważając na głośnie protesty ruszyła biegiem w kierunku stajni.

- Nie chcę spać! - wrzeszczała Agnes. - Nie chcę!

Po chwili dogoniła ją zadyszana Rosemunda.

- Lady Katherine, nie słyszeliście, jak was wołałam? Matka chce zaraz z wami mówić. Wysłannik biskupa postanowił nas opuścić.

Złapała ją za rękę i zmusiła do zatrzymania.

Eliwys w dalszym ciągu stała w progu, obok niej zaś zatrzymał się wysłannik biskupa. Jego kosztowny płaszcz przypominał z daleka płamę krwi. Brakowało tylko Imeyne; pewnie pakuje moje rzeczy, pomyślała Kivrin.

- Wysłannik biskupa przypomniał sobie, że ma do załatwienia pilne sprawy w klasztorze w Bernecestre - poinformowała ją Rosemunda. - Sir Bloet postanowił mu towarzyszyć. - Uśmiechnęła się radośnie. - Zaproponował im nocleg w Courcy, a jutro pojadą stamtąd do Bernecestre.

Bernecestre. Bicester. Dobrze, że nie Godstow, choć do Godstow jechało się właśnie w tamtą stronę. - Jakie to sprawy?

- Nie wiem - odparła Rosemunda, wzruszając ramionami. Dla niej istotnie nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że sir Bloet zniknie jej z oczu - przynajmniej na jakiś czas. Dziewczynka w radosnych podskokach zmierzała ku drzwiom dworu, prowadząc za rękę Kivrin, jakby zamieniły się rolami i to ona pełniła teraz funkcję opiekunki.

Wysłannik biskupa mówił coś do jednego ze służących, Eliwys zaś przysłuchiwała się temu ze zmarszczonymi brwiami. Kivrin uświadomiła sobie, że gdyby teraz skrzyła gwałtownie i skryła się w stajni, nikt nie wiedziałby, gdzie jej szukać. Niestety, Rosemunda trzymała ją mocno za rękę i ciągnęła naprzód.

- Rosemundo, muszę wrócić do stodoły. Zdaje się, że zostawiłam tam płaszcz...

- Matko!

Agnes popędziła na oślep do Eliwys; niewiele brakowało, a wpadłaby pod konia, który gwałtownie szarpnął łbem i cofnął się, parszcząc głośno. Parobek natychmiast złapał go za cugle.

- Agnes! - krzyknęła Rosemunda, po czym rzuciła się za siostrą. Co prawda uwolniła z uchwytu rękę Kivrin, ale było już za późno na ucieczkę; zarówno Eliwys, jak i kościelny dostojnik spojrzeli w ich stronę.

- Nie wolno biegać między końmi - upomniała Eliwys młodszą córkę, kiedy ta dopadła do niej i objęła ją za kolana.

- Mój piesek umarł!

- To nie powód, żeby biegać jak szalona - odparta Eliwys.

W ogóle nie słuchała córki.

- Przekażcie mężowi, że jesteśmy mu wdzięczni za użyczenie wierzchowców, dzięki czemu nasze będą mogły odpocząć przed podróżą do Bernecestre - powiedział wysłannik biskupa. On także wydawał się czymś zatroskany. - Parobek przyprowadzi je z Courcy.

- Zobaczysz mego pieska? - zapytała Agnes, szarpiąc skraj matczynej sukni.

- Cicho bądź! - syknęła Eliwys.

- Mój pisarz nie może z nami jechać - ciągnął dostojnik. - Lękam się, że wczoraj nieco nadużył uciech i teraz cierpi z powodu nadmiaru jedła i wina. Pozwólcie, dobra pani, by nieco odpoczął. Wyruszy za nami, jak tylko odzyska siły.

- Pewnie, że może zostać - odparła Eliwys. - Czy możemy mu jakoś pomóc? Matka mego męża...

- Nie trzeba, nie trzeba... Nic nie robi tak dobrze na bolącą głowę jak długi sen. Wieczorem z pewnością będzie zdrow jak ryba.

Wysłannik biskupa także wyglądał na kogoś, kto mocno "nadużył uciech": był roztargniony, jakby zmagał się z dokuczliwym bólem głowy, jego arystokratyczna twarz miała zaś barwę popiołu. Nagle zadrżał i owinął się szczelnie płaszczem.

Do tej pory nawet nie spojrzął na Kivrin, w jej duszy więc powoli zaczęła kiełkować nadzieja, że w pośpiechu zapomniał o obietnicy złożonej lady Imeyne. Zerknęła z niepokojem w kierunku bramy; oby tylko Imeyne jak najdłużej zmywała głowę biednemu kapłanowi!

- Żałuję, że mego męża nie ma w domu i że nie mogliśmy zgotować tak szacownym gościom lepszego przyjęcia. Mój małżonek...

- Muszę dopilnować służących - przerwał jej, po czym wyciągnął rękę, Eliwys zaś uklękła i ucałowała pierścień. Zanim zdążyła wstać, szedł już szybkim krokiem w stronę stajni. Odprowadziła go zaniepokojonym spojrzeniem.

- Zobaczycie go, matko? - powtórzyła Agnes.

- Nie teraz - odparła Eliwys. - Rosemundo, musisz pożegnać się z sir Bloetem i lady Yvolde.

- Jest całkiem zimny! - oznajmiła Agnes płaczącym tonem.

Eliwys odwróciła się do Kivrin.

- Lady Katherine, wiecie może, gdzie jest lady Imeyne?

- Została w kościele - powiedziała Rosemunda, zanim Kivrin zdążyła otworzyć usta.

- Widocznie chciała się jeszcze pomodlić - mruknęła Eliwys, po czym wspięła się na palce i rozejrzała po zatłoczonym dziedzińcu. - A gdzie podziła się Maisry?

Schowała się, pomyślała Kivrin. Ja też powinnam to zrobić.

- Mam jej poszukać? - zaofiarowała się Rosemunda.

- Nie trzeba. Masz pożegnać sir Bloeta. Lady Katherine, pójdźcie do kościoła po lady Imeyne, żeby zdążyła ucałować dłoń biskupiego wysłannika. Rosemundo, co ty tu jeszcze robisz? Powinnaś być przy narzeczonym!

- Już idę - powiedziała Kivrin, w duchu zaś pomyślała: Wyjdę za bramę, a jeśli stara będzie jeszcze w kościele, skręcę za chaty i schowam się w lesie.

Szybkim krokiem ruszyła przez dziedziniec. Dwaj słudzy sir Bloeta taszczyli ogromny kufer, uginając się pod jego ciężarem. Nagle jeden z nich poślizgnął się i, by nie stracić równowagi, z łomotem postawił swój

koniec skrzyni na zamrożonej ziemi. Jego towarzysz, rzecz jasna, musiał uczynić to samo. Kivrin ominęła ich, starając się za bardzo nie zbliżyć do koni.

- Zaczekajcie! - Rosemunda złapała ją za rękaw. - Lady Katherine, pójdźcie ze mną pożegnać sir Bloeta! Nie chcę iść do niego sama.

Kivrin spojrzała niepewnie na bramę. Lada chwila mogła pojawić się lady Imeyne z relikwiarzem przyciśniętym do piersi.

- Proszę was!

Błądą twarz dziewczynki wykrzywił grymas lęku.

- Rosemundo...

- To będzie tylko chwilka! Zaraz potem pójdziecie szukać babki. - Pociągnęła Kivrin w kierunku otwartych na oścież wrót stajni. - Tylko prędko, dopóki nie jest sam!

Sir Bloet rozmawiał z otulą niewiastą w ogromnym spiczastym czepcu, przyglądając się, jak parobcy siodłają jego konia. Wyglądało na to, że kobieta ubierała się w pośpiechu, ponieważ czepiec był mocno przekrzywiony na prawą stronę.

- O jakiej to pilnej sprawie przypomniał sobie nagle wysłannik biskupa? - zapytała.

Sir Bloet pokręcił głową na znak, że nie ma pojęcia, a następnie, ujrawszy Rosemundę, uśmiechnął się szeroko i postąpił krok w jej stronę. Dziewczynka kurczowo zacisnęła palce na ręce Kivrin.

- Może otrzymał jakieś wieści z Bath? - snuła na głos rozważania szwagierka sir Bloeta.

- Ani wczoraj, ani dziś rano nie przybył żaden posłaniec.

- Skoro tak, to czemu wcześniej nic nie mówił o żadnych pilnych sprawach?

- Nie wiem - odparł zniecierpliwiony. - Jakie to ma znaczenie? Muszę pożegnać się z narzeczoną.

Wyciągnął rękę do Rosemundy, ona zaś z ociąganiem podała mu swoją.

- Żegnajcie, sir Bloet - powiedziała oficjalnym tonem.

- Czy tylko tyle masz do powiedzenia swemu przyszłemu mężowi? - zapytał. - Może choć pocałujesz go na pożegnanie?

Rosemunda zrobiła krok naprzód, pocałowała go szybko w policzek, po czym cofnęła się pospiesznie.

- Dziękuję wam za podarunek - dodała.

Opuścił spojrzenie na jej odkrytą, smukłą szyję, wyciągnął rękę i musnął palcami broszkę przypiętą do płaszcza.

- "Zastępujesz przyjaciela, którego kocham"...

Do stajni wpadła zadyszana Agnes.

- Sir Bloet! Sir Bloet!

Podbiegła do niego, a on schylił się i chwycił ją w ramiona.

- Przyszłam się z wami pożegnać. Wiecie, że mój piesek umarł?

- Przywiozę ci nowego, kiedy przyjadę na ślub - obiecał. - Pod warunkiem, że dasz mi całusa.

Dziewczynka zarzuciła mu ręce na szyję i głośno cmoknęła w rumiane policzki.

- Coś mi się widzi, że twoja siostra znacznie chętniej rozdaje pocałunki - powiedział, spoglądając znacząco na Rosemundę, po czym postawił Agnes na ziemi. - Może jednak pocałujesz mnie raz jeszcze?

Rosemunda milczała jak zakłęta.

Podszedł do niej i ujął broszkę grubymi paluchami.

- *Io suiiicien lui darni amo...* - Położył ręce na ramionach dziewczynki. - Nosząc tę broszkę, będziesz o mnie pamiętać.

Schylił się z wysiłkiem i pocałował ją w szyję. Co prawda Rosemunda nie cofnęła się, ale zbladła tak bardzo, iż Kivrin była niemal pewna, że dziewczynka zaraz zemdleje.

Sir Bloet uwolnił ją z objęć.

- Wrócę po ciebie na Wielkanoc - obiecał.

Zabrzmiało to jak groźba.

- Czy wtedy dostanę nowego pieska? - zainteresowała się Agnes.

Podeszła lady Yvolde.

- Twoi słudzy zapodziali gdzieś mój płaszcz! - zwróciła się do brata oskarżycielskim tonem.

- Zaraz go poszukam! - wykrzyknęła Rosemunda i nie czekając na odpowiedź, wybiegła ze stajni, ciągnąc za sobą Kivrin.

- Rosemundo, teraz już naprawdę muszę poszukać lady Imeyne - powiedziała Kivrin, kiedy znalazły się w bezpiecznej odległości od sir Bloeta. - Spójrz, już prawie odjeżdżają.

Miała rację. Na dziedzińcu uformowała się niezbyt uporządkowana kolumna, Cob zaś właśnie biegł otwierać bramę. Konie, na których minionego wieczoru przybyli "Trzej Królowie", zostały objuczone bagażami. Szwagierka sir Bloeta oraz jej córki dosiadły już wierzchowców, natomiast wysłannik biskupa stał obok desza i dopinał popręg u siodła.

Dziewczyna zaciskała palce aż do bólu. Jeszcze tylko kilka minut, modliła się w duchu. Zostań w kościele jeszcze kilka minut, a kiedy wrócisz, będę już bezpieczna.

- Twoja matka kazała mi ją znaleźć - powiedziała do Rosemundy, lecz ta ani myślała puścić jej rękę.
- Najpierw musicie pójść ze mną do izby.
- Rosemundo, nie ma już czasu na...
- A jeśli wejdzie do domu i zastanie mnie samą?

Kivrin przypomniała sobie sir Bloeta całującego delikatną szyję dziewczynki.

- Dobrze, pójdz z tobą - zdecydowała. - Ale musimy się pospieszyć.

Pobiegły przez dziedziniec, wpadły do sieni i niewiele brakowało, by zderzyły się z otyłym mnichem, który właśnie schodził po schodach. Wyglądał jak ktoś bardzo strapiony... albo bardzo skacowany. Nie powiedziawszy ani słowa wyszedł na dwór, one zaś wsunęły się do izby.

Nikogo tam nie było. Na stole wałały się resztki uczyty, a pozostawione własnemu losowi palenisko dymiło obficie.

- Płaszcz lady Yvolde na pewno został na strychu - powiedziała Rosemunda. - Zaczekajcie tu na mnie. Zaraz go przyniosę.

Wspięła się po drabinie w takim tempie, jakby gonił ją sir Bloet we własnej osobie.

Kivrin podeszła do jednego z okien i wyjrzała na zewnątrz. Nie widziała stąd bramy, miała za to doskonały widok na biskupiego wysłannika, który stał z jedną ręką opartą na siodle i lekko pochyloną głową, słuchając mnicha szepczącego mu coś do ucha. Wyglądało to tak, jakby cysters usprawiedliwiał się przed zwierzchnikiem albo informował go o niezbyt przyjemnym wydarzeniu.

- Jest! - oznajmiła Rosemunda. Schodziła po drabinie trzymając się szczebli jedną ręką, ponieważ w drugiej ścisnęła płaszcz lady Yvolde. - Zniosę go i zaraz wracam.

Kivrin postanowiła wykorzysta nadarżającą się okazję.

- Ja to zrobię.

Wzięła ciężki płaszcz od Rosemundy i ruszyła do drzwi. Zamierzała wręczyć go pierwszemu spotkanemu służącemu, a następnie skierować się ku przejściu między zabudowaniami. Jeśli Imeyne zostanie w kościele jeszcze minutę albo dwie, i jeśli zdąży dotrzeć do skraju lasu, albo nawet do tej nędznej chatki, zaczekam do ich odjazdu i będę bezpieczna, myślała. Otworzyła drzwi... i stanęła twarzą w twarz z lady Imeyne.

- Dlaczego nie jesteście gotowi do wyjazdu? - zapytała kobieta. - Gdzie wasz płaszcz?

Kivrin dostrzegła kątem oka, że wysłannik biskupa chwyta obiema rękami za łąk siodła i stawia stopę na złączonych dłoniach Coba.

- W kościele. Zaraz po niego pójdz.

- Nie ma czasu. Przecież widzicie, że już odjeżdżają!

Rozejrzała się rozpaczliwie, lecz w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby pospieszyć jej z odsieczą. Eliwys i Gawyn stali przy wrotach stajni, Agnes rozprawiała o czymś z jednym z siostrzeńców sir Bloeta, Rosemunda zaś jakby rozplynęła się w powietrzu. Przypuszczalnie na widok babki cofnęła się do izby i ukryła w jakimś zakamarku.

- Lady Yvolde poprosiła mnie, żebym przyniosła jej płaszcz...

- Maisry się tym zajmie - stwierdziła Imeyne tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Maisry! Boże, żeby tylko jej nie znalazła, jęknęła bezgłośnie Kivrin.

- Maisry! Gdzie jesteś, ty okropna dziewucho?

Mam nadzieję, że dobrze się ukryła...

- Maisry!

Służąca wymknęła się z gorzelni i zbliżyła się chyłkiem, przezornie trzymając się już za ucho. Imeyne wyrwała Kivrin płaszcz z rąk, po czym rzuciła go Maisry.

- Zanieś go lady Yvolde. Tylko szybko! - Chwyliła Kivrin za rękę. - Chodźcie ze mną - poleciła tonem nie znoszącym sprzeciwu, a następnie zaciągnęła ją przed oblicze biskupiego wysłannika. - Święty ojcz, zapomniałeś o lady Katherine, którą obiecałeś zawieźć do Godstow.

- Nie jedziemy do Godstow - odparł, po czym z wyraźnym trudem wspiał się na siodło. - Udajemy się do Bernecestre.

Gawyn osiodłał Gringoleta i teraz prowadził go powoli w stronę bramy. Jedzie z nimi, przemknęło Kivrin przez głowę. Może w drodze do Courcy udałoby mi się przekonać go, żeby wskazał mi miejsce przeskoku, a potem uciekłabym im i dotarła tam na własną rękę...

- Czy więc nie może pojechać z wami do Bernecestre, a stamtąd ktoś dowiózłby ją do Godstow? Ogromnie zależy mi na tym, by wróciła do swego klasztoru.

- Nie mamy na to czasu - stwierdził krótko, biorąc cugle do ręki.

Imeyne chwyciła go za skraj szkarłatnego płaszcza.

- Dlaczego odjeżdżacie tak nagle? Czy ktoś was obraził?

Zerknął ukradkiem na mnicha stojącego obok klaczy.

- Nie. - Prawą ręką uczynił w powietrzu znak krzyża. - *Dominus vobiscum, et cum spiritu tuo* - wymamrotał, spoglądając znacząco na jej rękę zaciśniętą na pole płaszcza.

- A co z nowym kapelanem? - nie dawała za wygraną Imeyne.

- Zostawiam wam mego pisarza, który może pełnić tę funkcję.

On kłamie, uświadomiła sobie nagle Kivrin, i przyjrzała mu się uważnie. Wysłannik biskupa posłał mnichowi jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie. Może nagły wyjazd spowodowany był chęcią uwolnienia się od narzekań starej kobiety?

Lady Imeyne od razu poprawił się humor.

- Waszego pisarza? A, to co innego.

Cofnęła rękę, dostojnik zaś natychmiast spiął wierzchowca ostrogami i ruszył galopem przez dziedziniec, o mało nie tratując po drodze Agnes, która w ostatniej chwili uskoczyła na bok, po czym przybiegła do Kivrin i ukryła twarz w fałdach jej spódnicy. Mnich nie zwlekając dosiadł konia, po czym podążył za wysłannikiem.

- Niech Bóg cię prowadzi, święty ojcze! - zawołała Imeyne, lecz z pewnością żaden z nich jej nie usłyszał.

Chwilę potem dziedziniec opustoszał. Jako ostatni odjechał Gawyn - zawrócił spod bramy, przegalopował przez cały dziedziniec, z pewnością po to, by zwrócić na siebie uwagę Eliwys, i dopiero potem dołączył do zasadniczej kolumny. Nie zabrali mnie ze sobą, przemknęła jej przez głowę triumfalna myśl. Zostałam tutaj, w pobliżu miejsca przeskoku! Kivrin poczuła tak wielką ulgę, że nawet przestała się martwić nieobecnością Gawyna. Przecież do Courcy jest zaledwie pół dnia drogi. Możliwe, że wróci jeszcze przed wieczorem.

Albo jej ulga udzieliła się wszystkim dokoła, albo domownicy dopiero teraz poczuli zmęczenie po nieprzespanej nocy; w każdym razie, nikt nie przejawiał najmniejszej ochoty, by przystąpić do sprzątania ze stołu resztek uczy. Eliwys opadła na fotel, przez kilka minut spoglądała obojętnie na bałagan, po czym zawołała Maisry, ale kiedy ta nie odpowiedziała, Eliwys nie powtórzyła wezwania, tylko oparła głowę o rzeźbione oparcie i zamknęła oczy.

Rosemunda oznajmiła, że idzie na strych, żeby się położyć, Agnes natomiast usiadła obok Kivrin przy palenisku, położyła główkę na jej kolanach i od niechcienia bawiła się dzwoneczkiem.

Tylko lady Imeyne nie poddała się powszechnemu lenistwu.

- Poproszę nowego kapelana, by odmówił z nami modlitwę - oznajmiła, kierując się ku schodom wiodącym na piętro.

Eliwys przypomniała jej, nie otwierając oczu, że wysłannik biskupa prosił, by chwilowo zostawić pisarza w spokoju, lecz Imeyne mimo to wspięła się po stopniach i zastukała do drzwi. Nie otrzymawszy odpowiedzi, zapukała powtórnie, znacznie mocniej, a kiedy i to nie dało rezultatu, wróciła do izby, po czym uklękła w takim miejscu, by mieć schody na oku, złożyła ręce i zaczęła się cicho modlić.

Agnes ziewnęła rozdzierająco.

- Może pójdziesz na strych i położysz się obok siostry? - zaproponowała Kivrin.

- Wcale nie jestem zmęczona! - zaprotestowała dziewczynka, siadając na ławie. - Opowiedz mi co przydarzyło się tej dziewczynce, której ojciec zakazał chodzić do lasu.

- Dobrze, ale najpierw musisz się położyć.

Agnes ponownie ułożyła główkę na jej kolanach i zasnęła w połowie drugiego zdania.

Późnym popołudniem Kivrin przypomniała sobie o martwym piesku. Nadarzała się znakomita okazja, by coś z nim zrobić, ponieważ wszyscy zasnęli - nawet lady Imeyne, która chwilowo dała spokój pisarzowi i ułożyła się do snu na strychu. Maisry spała pod stołem, informując głośnym chrapaniem o swoim istnieniu.

Kivrin ostrożnie wysunęła kolana spod główki Agnes i poszła zająć się pochówkiem szczeniaka. Na dziedzińcu nie było żywej duszy, podobnie jak na błoniu, gdzie wciąż jeszcze dymiły szczątki ogniska. Przypuszczalnie wieśniacy także ucieli sobie popołudniową drzemkę.

Wyrzebała spod słomy sztywne ciało Blackiego, po czym weszła do stajni po drewnianą łopatę. W stajni został tylko kucyk Agnes. Kivrin wydało się to trochę dziwne; w jaki sposób pisarz ma dotrzeć do Courcy? Chyba że wysłannik biskupa powiedział prawdę i jego pisarz rzeczywiście miał zostać tu na stałe jako kapelan.

Z martwym psiakiem w jednej a łopatą w drugiej ręce przeszła przez błonie, okrążyła kościół, po czym zaczęła kopać w zmarzniętej ziemi po północnej stronie budowli.

To znaczy, próbowała kopać. Lodowa skorupa na powierzchni gruntu, a także sama ziemia, były twarde jak kamień. Nawet kiedy wskoczyła obiema nogami na łopatę, nie zdołała wbić jej ani na centymetr. Po kilku bezowocnych próbach poszła w kierunku skraju lasu, dotarłszy tam przekopła się przez nie zamrożoną warstwę śniegu okalającą pień potężnego jesionu i pogrzebała szczeniaka pod grubym kobiercem zeschniętych liści.

- *Requiescat in pace* - powiedziała na wypadek, gdyby Agnes zapytała, czy Blackie miał chrześcijański pogrzeb, a następnie ruszyła w drogę powrotną do domu.

Gdyby tak właśnie teraz pojawił się Gawyn... Korzystając z okazji poprosiłaby go, żeby zabrał ją w miejsce przeskoku. Szła powoli, noga za nogą, nasłuchując tętentu galopującego konia. Należało przypuszczać, że Gawyn nadjedzie główną drogą, więc oparła łopatę o zewnętrzną ścianę chlewika i przeszła aż do bramy, ale wciąż niczego nie słyszała.

Powoli zaczynało się zmierzchać. Jeśli nie zjawi się w ciągu najbliższych kilkunastu minut, będzie za późno, żeby jechać do lasu. Za jakieś pół godziny ojciec Roche zacznie dzwonić na nieszpór i wszyscy się obudzą. Na szczęście pozostawały jeszcze inne możliwości: niezależnie od pory, o jakiej wróci, Gawyn będzie musiał obrządzić konia. Być może wtedy uda jej się zakraść do stajni i poprosić go, by jutro z samego rana pokazał jej miejsce, w którym znalazł ją wśród porzucanych resztek bagażu.

Albo przekona go, by zechciał narysować jej mapę i dokładnie opisać to miejsce, tak, żeby sama mogła tam trafić. Dzięki temu zdoła się od niego uniezależnić i nawet jeśli lady Imeyne znowu wyśle go w jakiejś sprawie, w niczym nie przeszkodzi to w realizacji jej, Kivrin, planów.

Stała przy bramie tak długo, że aż zaczęła drzeć z zimna, po czym wróciła po łopatę, odniosła ją do stajni i skierowała się ukosem przez dziedziniec w kierunku dworu. Po drodze nikogo nie spotkała, ale w sieni natknęła się na Rosemundę przygotowaną do wyjścia.

- Gdzie byliście, lady Katherine? - zapytała dziewczynka. - Wszędzie was szukałam. Pisarz...

- O co chodzi? - zapytała z niepokojem Kivrin. - Wyjeżdża?

Widocznie odespał już całonocne pijaństwo i sposobi się do odjazdu, a lady Imeyne zdołała przekonać go, by zabrał ją do Godstow.

- Nie. - Weszły do izby. Była pusta, więc zapewne Imeyne i Eliwys poszły na górę, do pokoju udostępnionego pisarzowi. Rosemunda odpięła broszkę sir Bloeta i rozwiązała tasiemki płaszcza. - Zachorował. Ojciec Roche kazał mi was przyprowadzić.

Ruszyła w górę po schodach.

- Zachorował?

- Właśnie. Nie wiedzielibyśmy o tym, gdyby babka nie posłała Maisry na górę, żeby dała mu coś do jedzenia.

A przy okazji zagoniła do roboty, pomyślała Kivrin, wspinając się za Rosemundą po schodach.

- I Maisry zawiadomiła was, że jest chory?

- Tak. Ma gorączkę.

Raczej kaca, przemknęło Kivrin przez głowę. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że nawet jeśli lady Imeyne nie potrafiła - albo nie chciała - rozpoznać objawów przepicia, z pewnością uczyniłby to ojciec Roche. Nagle zaświtała jej okropna myśl: leży w moim łóżku, więc pewnie zaraził się czymś ode mnie!

- Co mu dolega? - zapytała.

Rosemunda nie odpowiedziała, tylko otworzyła drzwi.

W małym pomieszczeniu panował niesłychany ścisk. Ojciec Roche pochylał się nad łóżkiem, Eliwys stała tuż za nim, z ręką na główce Agnes, Maisry przycupnęła przy oknie, lady Imeyne zaś klęczała przy rzeźbionej skrzyni, zawzięcie mieszając jedną z cuchnących maści swego pomysłu. Oprócz tego w pokoju czuć było inną woń, chyba nawet bardziej nieprzyjemną, a na pewno mocniejszą.

Wszyscy, z wyjątkiem Agnes, mieli zaniepokojone twarze. Mała wydawała się po prostu zaintrygowana, tak samo jak wtedy, gdy przyglądała się martwemu pieskowi. On umarł, przemknęło Kivrin przez głowę. Zraził się ode mnie i umarł. Jednocześnie jakiś spokojny, choć ledwo słyszalny głos rozsądku szeptał jej, że to niemożliwe. Przecież znalazła się tutaj w połowie grudnia, czyli okres inkubacji musiałby wynosić prawie dwa tygodnie, a nikt z tych, którzy kontaktowali się z nią codziennie, nie wykazywał najmniejszych objawów choroby.

Dopiero teraz spojrzała na pisarza. Leżał bez przykrycia, ubrany tylko w koszulę. Reszta ubrania wisiała na desce w nogach łóżka. Kosztowny płaszcz walał się na podłodze, lecz nikt nie zwracał na to uwagi. Koszula była uszyta z żółtawego jedwabiu; ktoś rozwiązał mu ją na piersi, odsłaniając bezwłosą, gładką skórę. Ręce wystające z długich rękawów miały delikatny, niemal arystokratyczny kształt.

On jest naprawdę chory, pomyślała. Bardzo chory. Bardziej niż ja byłam wtedy, kiedy wydawało mi się, że umieram.

Idąc w stronę łóżka niechcący kopnęła do połowy opróżnioną butelkę wina, która z szurgotem potoczyła się po podłodze. Przez twarz chorego przemknął bolesny grymas. Druga butelka, jeszcze nie otwarta, stała przy wezglowiu.

- Za dużo tłustego jadła - zawyrokowała lady Imeyne, niestrudzenie ucierając cuchnącą papkę.

Dla Kivrin nie ulegało wątpliwości, iż nie jest to zatrucie pokarmowe. Nie było to nawet zatrucie alkoholem, chociaż pozory zdawały się przemawiać za tą właśnie hipotezą. Pisarz był bardzo, ale to bardzo chory.

Łapał powietrze szeroko otwartymi ustami, dysząc jak nieszczęsny Blackie. Intensywnie czerwony, opuchnięty język nie mieścił mu się w ustach. Jego twarz miała odcień głębokiego szkarłatu, malował się zaś na niej wyraz przerażenia i niepewności.

A może został otruty? Wysłannikowi biskupa tak bardzo spieszyło się do wyjazdu, że niewiele brakowało, a stratowałby Agnes. Przykazał też Eliwys, by przez pewien czas zostawiono pisarza w spokoju. W średniowieczu wysocy urzędnicy kościelni wcale nierzadko załatwiali w ten sposób porachunki. W pisemnych relacjach przetrwały doniesienia o tajemniczych zgonach w klasztorach i katedrach.

Ale to nie miało najmniejszego sensu. Przecież tamci dwaj nie uciekaliby na łeb, na szyję, gdyby ich ofiara miała umrzeć od trucizny dającej objawy podobne do objawów którejs z niezliczonych chorób, na jakie ludzie umierali w tej epoce. Poza tym, dlaczego kościelny dostojnik miałby mordować swego podwładnego, kiedy bardzo łatwo mógł się go pozbyć w inny sposób - choćby tak, jak lady Imeyne zamierzała pozbyć się ojca Roche'a?

- Czy to cholera? - zapytała lady Eliwys.

Nie, pomyślała Kivrin, starając się przypomnieć sobie, jakie są objawy tej choroby. Na pewno gwałtowna biegunka i wymioty, prowadzące do odwodnienia organizmu. Chory odczuwa ogromne pragnienie, którego nie sposób zaspokoić.

- Chce wam się pić?

Pisarz nie zareagował. Miał na wpeł opuszczone powieki, które także sprawiały wrażenie opuchniętych.

Położyła mu rękę na czole. Drgnął lekko, zamrugał raptownie, po czym znowu znieruchomiał.

- Ma ogromną gorączkę... - powiedziała, myśląc jednocześnie: przy cholercze temperatura nie jest aż tak wysoka. - Dajcie mi wilgotną chustkę albo coś takiego.

- Rusz się, Maisry! - syknęła Eliwys, ale Rosemunda uprzedziła służącą i podała ten sam brudny gałgan, który Kivrin doskonale zapamiętała z okresu, jaki spędziła w łóżku.

Przynajmniej zmoczono go w czystej zimnej wodzie. Złożyła szmatę na cztery części i położyła ją choremu na czole. Pisarz oddychał z coraz większym trudem, a kiedy wilgotny materiał zetknął się ze skórą, skrzywił się boleśnie i przyłożył zaciśniętą rękę do podbrzusza. Czyżby wyrostek robaczkowy? Raczej nie, bo gorączka byłaby wtedy znacznie mniejsza. Wysoka, bo sięgająca niekiedy 40 stopni temperatura towarzyszyła durowi brzuszemu, lecz zazwyczaj nie występowała w początkowej fazie choroby. Przy durze znacznie powiększała się śledziona, powodując silne bóle.

- Gdzie was boli? - zapytała.

Ponownie zatrzepotał powiekami, jednocześnie wykonując nieskoordynowane ruchy rękami, jakby usiłował pozbierać jakieś drobne przedmioty rozsypane obok niego na łóżku. Podobnie zachowywali się chorzy na dur brzuszny, tyle że dopiero w bardziej zaawansowanym stadium choroby. Czyżby zaraził się wcześniej, jeszcze przed przyjazdem do domu lorda Guillaume'a?

Przypomniała sobie, że zsiadając z konia potknął się i upadłby, gdyby nie pomocna ręka mnicha. Potem jednak, sądząc z ilości jedzenia i wina, jakie wchłonił podczas uczty, czuł się chyba nie najgorzej. Uganiał się także za Maisry, co raczej świadczyło o dobrym samopoczuciu. Dur brzuszny dawał objawy stopniowo przybierające na sile: na początku był tylko ból głowy i lekka gorączka, która rosła powoli, by w trzecim tygodniu choroby osiągnąć 39 stopni.

Kivrin pochyliła się niżej i zajrzała pod koszulę, szukając charakterystycznej różowej wysypki, lecz nic takiego nie znalazła. Dostrzegła natomiast wyraźną opuchliznę z boku szyi, ale o niczym to nie świadczyło, bo przecież powiększenie węzłów chłonnych towarzyszyło wielu infekcjom. Delikatnie podciągnęła prawy rękaw; na przedramieniu i ramieniu również nie było żadnych plam - tylko paznokcie miały sinobrunatną barwę, co świadczyło o niedostatku tlenu w organizmie. Sinica stanowiła jeden z objawów cholery.

- Czy wymiotował albo miał rozwolnienie? - zapytała.

- Nie - odparła lady Imeyne, rozsmarowując zielonkawą maź na kawałku sztywnego płótna. - Objadł się, opił, a nadmiar cukru i przypraw zatruł mu krew.

Skoro nie było wymiotów, to w grę nie mogła wchodzić cholera, szczególnie przy tak wysokiej temperaturze. Czyżby więc wirus, który tak bardzo dał jej się we znaki? Ale przecież nie miała ani bólów brzucha, ani tak potwornie opuchniętego języka.

Chory sięgnął do czoła i ściągnął okład na poduszkę. Kivrin wzięła szmatę do ręki; była zupełnie sucha. Czy jakakolwiek niewirusowa choroba mogła spowodować tak wielką gorączkę? Poza dorem brzuszny nic innego nie przychodziło jej do głowy.

- Krwawił z nosa? - zapytała kapłana.

- Nie - odpowiedziała za niego Rosemunda, biorąc od niej szmatę. - Nie widziałam śladów krwi.

- Zmocz ją w zimnej wodzie, ale nie wyżymaj - poleciła Kivrin. - Ojcie Roche, pomóżcie mi go podnieść.

Wsunęli ręce pod plecy i kark chorego i wspólnymi siłami posadzili go na łóżku. Poduszka była czysta.

- Myślicie, że to dur? - zapytał ojciec Roche niemal z nadzieją w głosie, kiedy z powrotem położyli na wpeł przytomnego pisarza.

- Nie wiem.

Rosemunda wróciła z mokrą ścierką. Wykonała polecenie aż za dobrze, ponieważ szmata ociekała lodowatą wodą. Kivrin położyła ją choremu na czole.

Poderwał się raptownie, zrzucił okład z czoła, po czym zaczął na oślep wymachiwać rękami i nogami. Zaciśnięta pięść trafiła ją w udo z taką siłą, że zachwiała się i niewiele brakowało a runęłaby na łóżko.

- Przepraszam, przepraszam... - powtarzała, usiłując odzyskać równowagę i jednocześnie unieruchomić jego ramiona. - Tak mi przykro...

Wpatrywał się w nią wytrzeszczonymi, nabiegłymi krwią oczami.

- *Gloriam tuam!* - wrzasnął zdumiewająco wysokim, nie swoim głosem.

- Naprawdę mi przykro - powiedziała i w tej samej chwili kolejny cios trafił ją prosto w splot słoneczny, pozbawiając na chwilę tchu w piersi.

- *Requiem aeternum dona eis!* - ryczał, podnosząc się najpierw na kolana, a potem na nogi, i stając pośrodku łóżka. - *Et lux perpetua luceat eis!*

Kivrin uświadomiła sobie, że to fragmenty mszy żałobnej. Ojciec Roche chwycił za skraj koszuli, ale chory wyszarpnął mu go z rąk, po czym zaczął skakać jak szalony po łóżku, wymachując nogami i rękami.

- *Miserere nobis...*

Obracając się uderzał stopami i rękami w ścianę, ale, choć uderzenia z pewnością były bolesne, nie wywierały na nim najmniejszego wrażenia.

- Jak tylko uda nam się go złapać, trzeba powalić go na łóżko i unieruchomić mu ręce i nogi - powiedziała Kivrin.

Ojciec Roche skinął głową, ale pozostali trwali nieruchomo jak posągi, wpatrując się z przerażeniem w płasającego mężczyznę: Imeyne wciąż na kolanach, Maisry przy oknie, Rosemunda trzymając w wyciągniętej ręce mokrą szmatę, jakby oczekiwała, że Kivrin ponownie spróbuje położyć kompres na głowie chorego, Agnes z na wpół otwartymi ustami.

Po kolejnym, dzikim podskoku, pisarz znalazł się blisko krawędzi łóżka.

- Teraz!

Kivrin i ojciec Roche chwycili go za kostki. Pisarz zachwiał się, wymachując ramionami, po czym rzucił się z wysokiego łóżka prosto na nie spodziewającą się niczego Rosemundę.

- *Miserere nobis!* - ryknął. Oboje runęli na podłogę.

- Łapcie go, zanim jej coś zrobi! - wykrzyknęła Kivrin, ale chory leżał nieruchomo z szeroko rozrzuconymi ramionami, ustami prawie dotykając ust Rosemundy.

Ojciec Roche chwycił go za bezwładne ramię i przetoczył na bok. Pisarz oddychał płytko, ale nie tak szybko jak przedtem.

- Czy on nie żyje? - zapytała Agnes. Jej cienki głosik podziałał jak zimny prysznic, nagle bowiem wszyscy zaczęli się poruszać. - Wygląda jak Blackie, a Blackie umarł.

Lady Imeyne dźwignęła się z podłogi, podeszła do chorego i uklękła przy nim.

- Nie, on nie umarł - odparła. - To tylko gorączka z krwi dostała się do głowy. Często się tak dzieje.

Nieprawda, pomyślała Kivrin. Nigdy tak się nie dzieje. To nie są objawy żadnej znanej mi choroby. Co to może być? Zapalenie opon mózgowych? Padaczka?

Pochyliła się nad Rosemundą. Dziewczynka leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi piąstkami.

- Nic ci nie jest?

Rosemunda otworzyła oczy.

- On na mnie skoczył! - poskarżyła się drżącym głosem.

- Możesz wstać?

Dziewczynka skinęła głową. Przy pomocy Eliwys, która ciągnęła za sobą uczeponą jej spódnicy Agnes, udało się postawić ją na nogi.

- Boli mnie noga! - poskarżyła się, ale po minucie okazało się, że jednak może chodzić. - Stałam sobie, a on... on tak nagle...

Eliwys pomogła starszej córce dokuśtykać do łóżka i posadziła ją na rzeźbionej skrzyni. Agnes natychmiast zajęła miejsce obok siostry.

- Skoczył ci na głowę! - poinformowała ją z przejęciem.

Pisarz wymamrotał coś niewyraźnie i poruszył się na podłodze. Rosemunda spojrzała na niego z niepokojem.

- Czy on znowu zacznie skakać?

- Wątpię - odparła Eliwys, lecz mimo to na wszelki wypadek pomogła córce wstać i podeszła z nią do drzwi. - Pomóż siostrze zejść na dół i posadź ją przy ogniu - poleciła Agnes. - Masz się nią opiekować, rozumiesz?

Agnes chwyciła Rosemundę za rękę.

- Jak pisarz umrze, pochowamy go na cmentarzu - dobiegł zza drzwi jej głosik. - Tak jak Blackiego.

Pisarz już wyglądał jak nieboszczyk. Ojciec Roche ukląkł przy nim, chwycił go pod ramiona, bez większego wysiłku dźwignął z podłogi i przewiesił sobie przez ramię. Kivrin pospiesznie zgarnęła na bok futra, kapłan zaś położył go na łóżku.

- Musimy wygnąć gorączkę z jego głowy - oświadczyła Imeyne, nakładając na płótno kolejną warstwę specyfiku. - Nadmiar ostrych przypraw zatruł mu krew, a ta przeniosła chorobę do mózgu.

- Nie... - szepnęła Kivrin, wpatrując się rozszerzonymi z przerażenia oczami w nieruchome ciało duchownego. Leżał na wznak z rozrzuconymi ramionami. Rozpięta koszula zsunęła się nieco, odsłaniając prawy

bark i pachę. Właśnie tam, pod pachą, dziewczyna dostrzegła wyraźny zaczerwieniony obrzęk. - Nie... - szepnęła ponownie.

Obrzęk był wielkości kurzego jaja. Wysoka gorączka, opuchnięty język, zaburzenia układu nerwowego... Doskonale знаła te objawy. Były szczegółowo opisane niemal we wszystkich książkach o średniowieczu.

Cofnęła się o krok.

- To niemożliwe - powiedziała tak cicho, że sama z trudem usłyszała własne słowa. - To musi być coś innego.

To na pewno coś innego - na przykład jakiś czyrak albo wrzód. Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła zaczerwienionego miejsca.

Chory poruszył się gwałtownie. Roche chwycił go za przeguby i przytrzymał mocno. Powiększony węzeł chłonny był bardzo twardy, natomiast skóra dookoła niego przybierała coraz ciemniejszą, fioletowoczną barwę.

- Niemożliwe - powtórzyła. - Za wcześnie. Przecież jest dopiero Boże Narodzenie 1320.

- To powinno wypędzić gorączkę - oznajmiła Imeyne i podniosła się z kolan. Ruszyła w stronę łóżka, trzymając w wyciągniętych rękach przygotowany kompres. - Ściągnijcie mu koszulę, żebym mogła przyłożyć okład.

- Nie! - Kivrin zagroziła jej drogę. - Nie zbliżajcie się! Niech nikt go nie dotyka!

Lady Imeyne zmierzyła ją zdziwionym spojrzeniem.

- Czemu tak mówicie? - Przeniosła wzrok na Roche'a. - Przecież to zwykła gorączka od kłopotów z trawieniem.

- To nie gorączka! - wykrzyknęła Kivrin. Ona także spojrzała na księdza. - Niech ojciec natychmiast go puści i nie zbliża się do niego. To nie gorączka, tylko dżuma!

Roche, Imeyne, Eliwys i Maisry wpatrywali się w nią ze zdumionymi minami.

Przecież oni nawet nie wiedzą, co to jest, przemknęła jej przez głowę rozpaczliwa myśl. Nie mieli jeszcze do czynienia z Czarną Śmiercią. Zaraza zaczęła rozprzestrzeniać się w Chinach w roku 1333, do Anglii zaś dotarła dopiero w 1348.

- Jestem tego pewna - powiedziała, zastanawiając się jednocześnie jak ich przekonać. - Dymienice pod pachami, opuchnięty język, wylewy podskórne...

- Co też opowiadacie! - Imeyne energicznym ruchem odsunęła ją na bok. - To zwykła gorączka z przejedzenia.

Kivrin otworzyła usta, by ponowić ostrzeżenie, ale nim zdążyła wykrztusić choćby słowo, Imeyne stanęła jak wryta i wytrzeszczyła oczy.

- Panie, miej litość nad nami... - wyszeptwała, po czym cofnęła się o krok, wciąż trzymając przed sobą okład z zielonkawej mazi.

- Czy to sina choroba? - zapytała Eliwys drżącym głosem.

Nagle Kivrin wszystko zrozumiała. Kobiety przyjechały tu wcale nie ze względu na proces ani nawet nie dlatego, że lord Guillaume okazał nieposłuszeństwo królowi. Przysłał tu rodzinę, ponieważ w Bath zapanowała zaraza.

"Nasza piastunka umarła" - powiedziała Agnes. Podobnie jak kapelan, brat Hubard. "Rosemunda mówi, że umarł na siną chorobę", poinformowała ją Agnes. Sir Bloet wspomniał, że rozprawy zostały odroczone z powodu choroby sędziego. A więc dlatego Eliwys nie chciała jechać do Courcy i dlatego tak bardzo rozgniewała się na teściową, kiedy ta wysłała Gawyna do biskupa: zaraza dotarła do Bath. Ale to przecież niemożliwe. Czarna Śmierć zagościła w Bath dopiero jesienią roku 1348.

- Który mamy rok? - zapytała, z trudem poruszając wargami.

Kobiety spojrzały na nią ze zdumieniem.

- Który mamy rok? - powtórzyła pytanie, tym razem kierując je do ojca Roche'a.

- Dobrze się czujecie, lady Katherine?

Ostrożnie wyciągnął rękę w jej kierunku, jakby obawiał się, że Kivrin lada chwila powtórzy wyczyny pisarza. Cofnęła się gwałtownie.

- Powiedzcie mi, który mamy rok!

- Dwudziesty pierwszy rok panowania Edwarda III - odparła Eliwys.

Trzeciego? Dlaczego nie Drugiego? Powinien być Drugi! Ogarnięta paniką, nie była w stanie przypomnieć sobie, na jakie lata przypadało panowanie tych dwóch władców.

- Rok! - powtórzyła z rozpaczą w głosie. - Który mamy rok?

- *Anno Domini*... - wyharczał pisarz, po czym przesunął obrzmiałym językiem po spierzchniętych wargach. - *Anno Domini*... tysiąc trzysta czterdziesty ósmy.

Własnymi rękami wykopałam grób i pochowałam w nim pięcioro moich dzieci. Nie płakałam. Nikt nie bił w dzwony. Nadszedł koniec świata.

Agniola di Tura
Siena, 1347

24.

Przez następne dwa dni Dunworthy dzwonił kolejno do techników z listy Fincha, próbował skontaktować się ze wszystkimi agencjami turystycznymi oraz licencjonowanymi przewodnikami organizującymi wyjazdy wędkarskie do Szkocji, a także szykował na przyjęcie pacjentów kolejny oddział. W tym czasie zachorowało kolejnych piętnaście osób, między innymi panna Taylor, która straciła przytomność zaledwie na czterdzieści dziewięć uderzeń przed końcem utworu.

- Puściła linę i padła jak nieżywa - relacjonował Finch. - Naturalnie dzwon nadal się poruszał, a razem z nim lina, która owinęła mi się dokoła szyi i niewiele brakowało, by mnie udusiła. Co prawda panna Taylor szybko odzyskała przytomność i chciała dalej uderzać w dzwon, ale, rzecz jasna, było już po jej wejściu. Wydaje mi się, że powinien pan z nią porozmawiać, ponieważ jest ogromnie przygnębiona. Bez przerwy powtarza, że nigdy sobie nie wybaczy, że sprawiła nam taki zawód. W ogóle nie dociera do niej moja argumentacja, że to nie jej wina, bo czasem sprawy wymykają się spod kontroli i nic już nie można poradzić. Chyba mam rację, prawda, proszę pana?

- Prawda - odparł Dunworthy.

Nie udało mu się skontaktować z żadnym technikiem, nie wspominając już o ściągnięciu kogokolwiek do Oxfordu, nie zdołał też zlokalizować Basingame'a. Wspólnie z Finchem obdzwonił wszystkie hotele, zajazdy, gospody oraz wypożyczalnie łodzi w Szkocji. William zdobył zestawienie wydatków Basingame'a obciążających jego uniwersyteckie konto, lecz nie znaleźli tam niczego, co mogłoby służyć jako wskazówka. Ostatnich zakupów dziekan dokonał piętnastego grudnia.

Telefony działały coraz gorzej. O połączeniu wizyjnym nawet nie było co marzyć, komputerowy głos zaś, informujący o przeciążeniu sieci, odzywał się niekiedy po wybraniu zaledwie dwóch cyfr.

Troska o Kivrin towarzyszyła mu przez cały czas niczym ogromny ciężar. Wystukiwał numery, czekał na przyjazd karet, wysłuchiwał narzekań pani Gaddson, ale jednocześnie ani na chwilę nie przestał myśleć o dziewczynie. Andrews nie dał znaku życia; albo w ogóle nie zadzwonił, albo nie zdołał uzyskać połączenia. Badri ciągle mamrotał o śmierci, a dyżurujące przy nim pielęgniarki cierpliwie notowały jego majaczenia. W krótkich chwilach wytchnienia Dunworthy wciąż na nowo analizował słowa technika, próbując znaleźć w nich jakąś wskazówkę. Najczęściej powtarzały się słowa "czarna", "laboratorium" oraz "Europa".

Sieć telefoniczna była chyba bliska całkowitego paraliżu, ponieważ komputer włączał się już po pierwszej cyfrze, coraz częściej zaś w ogóle nie odzywał się sygnał. Dał na chwilę spokój telefonowi i skoncentrował się na tabelach ilustrujących wzajemne kontakty pacjentów. William sobie tylko wiadomymi metodami uzyskał dostęp do poufnych danych zdrowotnych pacjentów pierwszego kontaktu; Dunworthy szukał w nich wzmianek dotyczących napromieniowania oraz wizyt u stomatologa. W pewnej chwili serce zabiło mu żywiej, stwierdził bowiem, iż jeden z chorych miał robione prześwietlenie szczęki, ale zaraz potem znowu ogarnęło go przygnębienie, ponieważ okazało się, iż było to dwudziestego czwartego grudnia, a więc już po wybuchu epidemii.

Poszedł do szpitala wypytać tych chorych, którzy nie gorączkowali, czy trzymają w domu jakieś zwierzaki albo czy może niedawno polowali na kaczki. Wszystkie korytarze, a nawet główny hall, były zastawione łózkami na kółkach. Początkowo zamierzał skorzystać z windy, ale kolejka oczekujących była tak długa, że zrezygnował i wszedł na piętro po schodach.

W drzwiach oddziału spotkał jasnowłosą pielęgniarkę, którą po raz pierwszy ujrzał w ramionach Williama.

- Przykro mi, ale nie może pan wejść - powiedziała, zatrzymując go ruchem ręki ukrytej w aseptycznej rękawiczce.

Badri nie żyje, przemknęło mu przez głowę.

- Czy pan Chaudhuri... czuje się gorzej? - zapytał.

- Wręcz przeciwnie, ale skończyły nam się jednorazowe kombinezony. Jutro ma dotrzeć awaryjna dostawa z Londynu. Personel radzi sobie jak może, ale chwilowo nie wolno nam wpuszczać nikogo obcego. - Wyjęła z kieszeni zmiętą kartkę. - Zapisalam jego słowa - oznajmiła, wręczając mu ją. - Niestety, większość nie ma żadnego sensu. Najczęściej powtarza pańskie nazwisko i imię jakiejś dziewczyny... Kivrin, zgadza się?

Skinął głową, po czym rozłożył kartkę.

- Oprócz tego bełkocze coś, czego prawie nie można zrozumieć.

Okazało się, że zapisywała fonetycznie słowa Badriego, a kiedy natrafiała na jakiś zrozumiały wyraz, podkreślała go dwa razy. Podkreśleń nie było wiele: "nie mogę", "szczury", "martwię się".

W niedzielę rano w łózkach leżała już połowa internowanych, druga połowa zaś starała się nimi opiekować. Chorych było tak wielu, że Dunworthy i Finch przestali umieszczać ich w wydzielonych oddziałach - tym bardziej że skończyły się rozkładane łóżka. Każdy zostawał na swoim posłaniu, chyba że mieszkał w sali położonej na uboczu: wtedy przenoszono go wraz z łóżkiem do pomieszczenia, gdzie leżało więcej chorych. Czyniono to przede wszystkim z myślą o pielęgniarkach i pielęgniarach, by oszczędzić im bieganiny po całym college'u.

Dzwonniczki padały jedna po drugiej; Dunworthy dopilnował, by wszystkie umieszczono w starej bibliotece. Panna Taylor, która jeszcze mogła chodzić, uparła się, że koniecznie musi je odwiedzić.

- Przynajmniej tyle mogę dla nich zrobić - wysapała, dotarłszy do połowy korytarza. - Po tym, jak wystawiłam je do wiatru...

Nie protestowała jednak, kiedy William zaprowadził ją z powrotem do pokoju, położył na pneumatycznym materacu i przykrył kocem.

- Duch jest wprawdzie ochoczy, ale ciało mdłe - zauważył Dunworthy.

Sam także czuł się nie najlepiej: coraz bardziej dawało o sobie znać zmęczenie i niewyspanie, najbardziej dokuczliwe było jednak poczucie klęski. Wreszcie, między parzeniem herbaty a opróżnianiem basenów, kiedy już prawie stracił nadzieję, zdołał dodzwonić się do jednego z techników z Magdalen College. Niestety, szybko został ściągnięty z powrotem na ziemię.

- Córka jest w szpitalu - poinformowała go matka dziewczyny. Miała zmęczoną, zatroskaną twarz.

- Kiedy zachorowała?

- W pierwszy dzień Świąt.

Ponownie zaświtał mu promyk nadziei. Może to od niej zaczęła się epidemia?

- Jakie objawy miała pani córka? Bóle głowy? Gorączka? Trudności z koncentracją?

- Bolał ją brzuch. Lekarz stwierdził zapalenie wyrostka robaczkowego.

W poniedziałek rano chorowało już trzy czwarte internowanych. Zgodnie z przewidywaniami Fincha, skończyła się czysta pościel i maski, a także, co było znacznie gorsze, leki obniżające temperaturę, antybiotyki oraz aspiryna.

- Próbowałem dodzwonić się do kliniki, żeby przysłali nam, co mogą, ale nie było sygnału - oznajmił, wręczając zwierzchnikowi długą listę.

Dunworthy'emu nie pozostało nic innego, jak wyruszyć do szpitala na piechotę. Przed głównym wejściem do budynku panował niesłychany ścisk: karetki i taksówki co chwila przywoziły kolejnych chorych, między samochodami zaś kręcili się demonstranci. PREMIER SKAZAŁ NAS NA ŚMIERĆ - głosił jeden z transparentów. Kiedy Dunworthy wreszcie zdołał dopchać się do drzwi, z kliniki wybiegł Colin - jak zwykle przemoczony, z czerwonym nosem i w rozpiętej kurtce.

- Telefony nie działają. Sieć nie wytrzymała przeciążenia. Robię teraz za posłańca. - Wyciągnął zza pachy plik wymiętych papierów. - Może pan też chce komuś przekazać wiadomość?

Tak, pomyślał Dunworthy. Andrewsowi. Basingame'owi. Kivrin.

- Nie - powiedział.

Chłopiec wepchnął wilgotne kartki do kieszeni.

- W takim razie lecę. Jeśli szuka pan mojej babci, to ostatnio widziałem ją w izbie przyjęć. Właśnie przywieźli pięć osób, całą rodzinę. Najmłodsze dziecko już nie żyło.

Pognał jak szalony, lawirując między samochodami.

Dunworthy z trudem dotarł do izby przyjęć i pokazał swoją listę dyżurnemu, który skierował go do działu zaopatrzenia. We wszystkich korytarzach wzdłuż obu ścian stały łóżka, tak że zostało jedynie wąskie przejście środkiem. Nad jednym z pacjentów pochylała się potężnie zbudowana pielęgniarka w różowym fartuchu i masce na twarzy, i czytała mu coś z książki w twardej czarnej oprawie.

- "Pan ześle na ciebie wszelkie zarazy..."

Zbyt późno rozpoznał panią Gaddson, ale na szczęście była tak pochłonięta lekturą, że nie zwróciła na niego uwagi.

- "...aż nie zostanie po tobie żaden ślad na ziemi".

Pan ześle na ciebie wszelkie zarazy... Natychmiast przypomniał sobie słowa Badriego: "Wszystko przez szczury" - mówił technik. "Umarło pół Europy".

To niemożliwe, żeby Kivrin trafiła w czasy Czarnej Śmierci, myślał, skracając w korytarz prowadzący do działu zaopatrzenia. Andrews powiedział, że największy zarejestrowany poślizg wyniósł pięć lat, a w roku 1325 nawet w Chinach nikt jeszcze nie słyszał o zarazie. Co prawda Andrews wspomniął, iż przeskok doszedłby do skutku także w razie wystąpienia znacznego poślizgu albo błędnego obliczenia współrzędnych, ale przecież Badri twierdzi, że sprawdził obliczenia Puchalskiego i nie znalazł w nich żadnego błędu.

Otworzył drzwi z napisem: DZIAŁ ZAOPATRZENIA. Za jedynym biurkiem stojącym w obszernym pomieszczeniu z metalowymi regałami nie było nikogo, więc nacisnął przycisk dzwonka.

Badri kilkakrotnie powtarzał, że wyliczenia przeprowadzone przez praktykanta są prawidłowe, ale jednocześnie jego palce wędrowały niespokojnie po nie istniejącej klawiaturze, a kiedy gorączka przybierała na sile, technik mamrotał pod nosem: "To niemożliwe... Coś jest nie w porządku..."

Dopiero po drugim dzwonku spomiędzy regałów wyłoniła się zasuszona, siwa jak gołębek, pielęgniarka. Z pewnością miała co najmniej dziewięćdziesiąt lat i zapewne wezwano ją do szpitala wyłącznie w związku z awaryjną sytuacją spowodowaną przez epidemię. Jej poźółkły ze starości, ale nienagannie czyste i świeżo wykrochmalony fartuch skrzypiał przy każdym ruchu niczym średniowieczna zbroja.

- Ma pan potwierdzenie zapotrzebowania? - zapytała, zerknąwszy na listę.

- Nie.

Oddała mu listę, a wraz z nią trzystronicowy formularz.

- Każde zamówienie musi zostać potwierdzone przez siostrę oddziałową.

- Ale my nie mamy siostry oddziałowej! - odparł, z trudem opanowując wzburzenie. - Nie mamy nawet oddziału, tylko pięćdziesięciu chorych i żadnych zapasów!

- W takim razie potrzebny będzie podpis lekarza prowadzącego.

- Lekarz prowadzący zajmuje się chorymi w szpitalu, a nie podpisywaniem jakichś papierzyśk! Przecież mamy epidemię!

- Wiem o tym - odparła lodowatym tonem. - Niestety, nie będę mogła panu nic wydać, dopóki nie uzyska pan podpisu siostry oddziałowej albo lekarza prowadzącego.

Poskrzypując i szeleszcząc znikła między metalowymi regałami.

Wrócił do izby przyjęć, ale Mary już tam nie było. Skierowano go na oddział zakaźny, lecz tam również jej nie znalazł. Przemknęła mu myśl, by podrobić jej podpis, ale chciał się z nią spotkać, porozmawiać, opowiedzieć o fiasku swoich starań. Nie udało mu się znaleźć żadnego technika, nie udało mu się ominąć zakazu Gilchrista i otworzyć sieci, teraz zaś, na domiar wszystkiego, nie może dostać nawet jednej tabletki aspiryny. A jest już trzeci styczeń.

Wreszcie dopadł ją w laboratorium. Rozmawiała przez telefon, co samo w sobie stanowiło dobry znak, choć zamiast obrazu jej rozmówcy ekran wypełniało coś w rodzaju gęstej śnieżycy. Mary nie patrzyła zresztą na ekran, tylko na monitor komputera, gdzie widniał jakiś kolorowy, skomplikowany wykres.

- Co się właściwie stało? Przecież obiecaliście, że dostaniemy je dwa dni temu.

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której, jak należało się domyślać, osoba ukryta za zasłoną z płatków śniegu próbowała się usprawiedliwić.

- Co to znaczy: "Została załatwiona odmownie"? - zapytała ze zdumieniem. - Ja mam tu tysiąc ludzi chorych na grypę, a w każdej chwili może zachorować następny tysiąc!

Słuchając odpowiedzi nacisnęła kilka klawiszy; na ekranie monitora pojawił się inny wykres.

- Więc proszę spróbować jeszcze raz! - wykrzyknęła. - Potrzebuję tego zaraz, natychmiast! Nie rozumiecie, że tutaj umierają ludzie? Muszę to mieć najpóźniej do... Halo? Halo, jest pan tam?

Ekran telefonu ściemniał. Mary zastukała w klawisze, dopiero teraz zauważyła Dunworthy'ego i dała mu znak, żeby wszedł do środka.

- Halo, jest pan tam jeszcze? - Rzuciła słuchawkę. - Ładne rzeczy: telefony działają jak chcą i kiedy chcą, połowa personelu rozłożyła się na grypę, a próbna partia szczepionki nie może do nas dotrzeć, bo jakiś kretyń zatrzymał przesyłkę na granicy kwarantanny! - Opadła na fotel i przesunęła rękami po twarzy. - Przepraszam - powiedziała wreszcie znacznie spokojniejszym tonem. - Wszystko przez te nerwy. Dzisiaj mieliśmy już trzy zgony: dwoje dorosłych i sześciomiesięczne niemowlę.

Zarówno gałązka jemioly przypięta do kieszonki fartucha, jak i sam fartuch sprawiały wrażenie mocno sfatygowanych, Mary zaś wyglądała tak, jakby była ciężko chora. Ciekawe od jak dawna nie zmrużyła oka, przemknęło mu przez głowę. Mocno wątpił, czy potrafiłaby udzielić mu odpowiedzi, gdyby ją o to zapytał.

Potarła oczy kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki.

- Bardzo trudno jest pogodzić się z myślą, że nic nie można zrobić - powiedziała.

- To prawda.

Spojrzała na niego z takim wyrazem twarzy, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jego obecności.

- Chciałeś czegoś, James?

Nie spała od kilku dni, nie mogła liczyć na pomoc, niedawno zmarło troje pacjentów, w tym półroczne dziecko. Miała za dużo zmartwień, żeby dodatkowo niepokoić się o Kivrin.

- Nie - odparł, podsuwając jej formularz. - Wystarczy twój podpis.

Podpisała nie patrząc, co to jest.

- Dziś rano poszłam do Gilchrista.

Wpatrywał się w nią, zbyt zaskoczony i poruszony, żeby wykrztusić choć słowo.

- Postanowiłam spróbować, czy uda mi się go przekonać, żeby otworzył sieć. Wyjaśniłam mu, że nie ma potrzeby czekać, aż nabierze odporności cała populacja, ponieważ wystarczy uodpornić tylko pewną jej część, by ryzyko rozprzestrzenienia się choroby spadło do minimum.

- Domyślałam się, że twoje argumenty nie trafiły mu do przekonania?

- Niestety masz rację. Gilchrist jest pewien, że wirus przedostał się z przeszłości. - Westchnęła głęboko. - Przeprowadził nawet symulacje komputerowe, z których wynikało, że jednym z myksowirusów typu A, grających w Anglii w latach 1318-1319, był nasz H9N2. - Z jej piersi ponownie wyrwało się donośne westchnienie. - Kategorycznie odmówił otwarcia laboratorium aż do chwili, kiedy wszyscy nabiorą pełnej odporności, a władze zniosą kwarantannę.

- Kiedy to może nastąpić? - zapytał na wszelki wypadek, choć był niemal pewien, że zna odpowiedź.

- Kwarantanna musi obowiązywać jeszcze przez siedem dni po nabraniu pełnej odporności przez ludzi przebywających na danym terenie albo czternaście dni po zarejestrowaniu ostatniego przypadku zachorowania.

Czternaście dni. Dwa tygodnie bez żadnych zachorowań.

- Ile czasu trzeba na całkowite uodpornienie?

- Niewiele, naturalnie pod warunkiem, że otrzymamy wystarczającą liczbę szczepionek. W przypadku Wielkiej Epidemii trwało to zaledwie osiemnaście dni.

Koniec stycznia, pomyślał. A jeśli szczepionki nie wystarczy dla wszystkich?

- Za długo... - powiedział cicho.

- Wiem. Właśnie dlatego trzeba jak najprędzej zidentyfikować źródło choroby. - Spojrzała na ekran monitora. - Odpowiedź jest gdzieś tam, w tych wykresach, ale wciąż nie możemy jej znaleźć. - Stuknęła w klawisz i obraz uległ zmianie. - Przeprowadzałam analizy pod wszelkimi możliwymi kątami, szukałam studentów weterynarii, miłośników zwierząt, mieszkańców wsi... To, co widzisz, to grono znajomych i znajomych znajomych DeBretta; niestety, żadna z tych osób nie miała bliskiego kontaktu z drobiem, naturalnie jeśli nie brać pod uwagę gęsi, które prawie wszyscy jedli podczas świąt.

Wywołała listę kontaktów pierwotnych; na szczycie w dalszym ciągu figurowało nazwisko Badriego. Wpatrywała się w nią przez długą chwilę, nieobecna duchem, zupełnie jak Montoya przy swoich wykopaliskach.

- Najważniejszą umiejętnością, jaką powinien posiadać każdy lekarz, jest zdolność okazania samemu sobie pobłażliwości i serca po stracie pacjenta.

Nie wiedział, czy Mary ma na myśli Kivrin, czy Badriego.

- Mimo wszystko otworzę sieć - powiedział.

- Oby ci się udało.

Jego zdaniem, odpowiedzi wcale nie należało szukać wśród setek albo nawet tysięcy nazwisk, lecz u Badriego, do którego w dalszym ciągu prowadziły wszystkie tropy. Właśnie on, Badri Chaudhuri, był pacjentem zerowym, i to on na cztery do sześciu dni przed przeskokiem jako pierwszy zetknął się z uśpionym wirusem.

Wrócił na piętro, by odwiedzić chorego. Przy biurku przed drzwiami pokoju, który zajmował technik, siedział młody, wyraźnie speszony chłopak.

- Gdzie jest... - Dunworthy nie dokończył pytania, ponieważ nagle uświadomił sobie, że nawet nie zna imienia pielęgniarki.

Chłopak domyślił się jednak, o kogo mu chodzi.

- Zachorowała - wyjaśnił. - Wczoraj po południu. To już dwudziesta pielęgniarka, która się zaraziła. Zabrakło im ludzi, więc ściągnęli studentów trzech ostatnich lat medycyny. Ja co prawda jestem dopiero na pierwszym roku, ale przeszedłem już podstawowe szkolenie pielęgniarskie.

Wczoraj po południu. A więc przez całą dobę nikt nie dyżurował przy Badrim, nikt nie zapisywał jego słów.

- Zapamiętał pan może, co mówił chory, kiedy był pan przy nim? - zapytał bez większej nadziei. Mój Boże, student pierwszego roku! - Jakieś zdania albo przynajmniej słowa, które dało się zrozumieć?

- Pan Dunworthy, prawda? - Chłopak wręczył mu jednorazowy kombinezon. - Eloise powiedziała mi, że pan będzie o to pytał.

Dunworthy w rekordowym tempie i bez najmniejszych problemów założył kombinezon. Różnił się trochę od tych, których używał do tej pory, ponieważ był śnieżnobiały, a wzdłuż umieszczonego na plecach zapięcia biegł rząd czarnych krzyżyków.

- Powtarzała kilka razy, że to bardzo ważne.

Chłopak wprowadził Dunworthy'ego do izolátky, zerknął na wskaźniki, po czym spojrzał na Badriego. Ten przynajmniej zauważa pacjenta, pomyślał Dunworthy.

Technik leżał z rękami na kocu, skubiąc go niespokojnie palcami, które bardzo przypominały palce kościotrupa z ilustracji w książce Colina. Jego głęboko zapadnięte oczy były otwarte i wpatrzone w jakiś odległy punkt. Nie poruszył nimi, kiedy Dunworthy i pielęgniarka weszli do pokoju.

- Czytałem o tym w podręcznikach, ale nigdy do tej pory nie widziałem na własne oczy - powiedział chłopak. - To typowe zachowanie w ostatnich stadiach chorób dających powikłania w układzie oddechowym. - Podeszedł do komputera, wystukał coś na klawiaturze, po czym wskazał ekran w lewym górnym rogu. - Wszystko zanotowałem.

Rzeczywiście wszystko, łącznie z niezrozumiałym bełkotem. Większość słów zapisał fonetycznie, myślnikami oznaczył pauzy, (sic) wstawił po wyrazach, których znaczenie lub brzmienie mogło budzić wątpliwości.

- Większość pochodzi z wczorajszego dnia - wyjaśnił, a następnie przesunął kursor w dolną część ekranu.
- Dzisiaj też mówił, ale niewiele.

Dunworthy usiadł na składanym krzeselku i wziął Badriego za rękę. Nawet przez rękawiczkę poczuł, że jest lodowato zimna. Zerknął na wskazania termometru; gorączka ustąpiła, a wraz z nią sinogranatowe zabarwienie skóry. Twarz Badriego miała teraz barwę popiołu.

- Badri, słyszy mnie pan? To ja, Dunworthy. Muszę panu zadać kilka pytań.

Żadnej reakcji. Lodowata dłoń spoczywała nieruchomo pod ręką Dunworthy'ego, druga natomiast w dalszym ciągu niecierpliwie szarpała koc.

- Doktor Ahrens przypuszcza, że mógł się pan zarazić od jakiegoś zwierzęcia, na przykład od dzikiej kaczki albo gęsi.

Pielęgniarka z zainteresowaniem spojrziała na Dunworthy'ego, po czym przeniósł wzrok z powrotem na technika, jakby liczył na to, że ów ponownie zaprezentuje jakieś typowe, opisane w podręcznikach, zachowanie.

- Pamięta pan, czy w tygodniu poprzedzającym przeskok zetknął się pan z kaczką, gęsią lub jakimś innym ptakiem?

Badri poruszył palcami. Dunworthy zmarszczył brwi i cofnął rękę, podejrzewając, iż chory chce dać mu jakiś znak, ale uwolniona ręka zaczęła wykonywać identyczne ruchy jak ta, która poruszała się do tej pory.

Nagle ogarnął go wstyd, że torturuje człowieka, który nawet nie zdaje sobie sprawy z jego obecności, a być może balansuje na granicy między życiem a śmiercią.

Delikatnie poklepał Badriego po przedramieniu.

- Niech pan odpoczywa - powiedział cicho. - Proszę odpoczywać i nabierać sił.

- Wątpię, czy pana słyszy - zauważył pielęgniarka. - W tym stadium zazwyczaj traci się kontakt ze światem.

- Wiem - odparł Dunworthy, lecz mimo to pozostał przy łóżku.

Chłopak podłączył kolejną kroplówkę, przyjrzał się jej podejrzliwie, poprawił coś, cofnął się o krok, znowu coś poprawił, potem zmierzył Dunworthy'ego uważnym spojrzeniem, przesunął stojak o dwa centymetry i wreszcie wyszedł z pokoju. Dunworthy siedział nieruchomo, obserwując rozbiegane ręce chorego. Poruszały się bez przerwy, jakby próbowały coś złapać, przytrzymać... Od czasu do czasu Badri mamrotał coś pod nosem, ale czynił to tak cicho i niewyraźnie, że nic nie dało się zrozumieć. Po pewnym czasie ruchy rąk stały się znacznie wolniejsze; Dunworthy nie miał pojęcia, czy to dobry znak, czy zły.

- Cmentarz - powiedział Badri głośno i wyraźnie.

- Nie - odparł Dunworthy. - Nie.

Posiedział jeszcze trochę, trzymając Badriego za rękę, ale chory stawał się coraz bardziej niespokojny, więc wreszcie Dunworthy podniósł się z krzesła.

- Niech pan spróbuje odpocząć - powiedział, poklepał technika po ramieniu i wyszedł z pokoju.

Pielęgniarka siedziała przy biurku, pogrążony w lekturze "Podręcznika opieki nad chorym".

- Proszę zawiadomić mnie, kiedy...

Uświadomił sobie, że nie zdoła dokończyć tego zdania.

- Proszę mnie zawiadomić, dobrze?

- Oczywiście, proszę pana - odparł chłopak. - Gdzie można pana znaleźć?

Dunworthy sięgnął do kieszeni po kartkę, żeby zapisać swój adres i numer telefonu, lecz wyjął przygotowaną przez Fincha listę. Zupełnie o niej zapomniał.

- W college'u Balliol - powiedział. - Najlepiej przyslijcie posłańca.

Zszedł na dół, do działu zaopatrzenia.

- Nie wypełnił pan formularza - zaskrzeczała zaszuszona wiedźma.

- Ale jest podpisany, jak pani widzi - odparł. - Pani najlepiej będzie wiedziała, jak go wypełnić.

Wręczył jej listę, pielęgniarka zaś szybko przebiegła po niej spojrzeniem i pokręciła z dezaprobatą głową.

- Nie mamy leków przeciwgorączkowych ani masek. Ani syntamycyny. - Podała mu fiolkę z aspiryną. - To wszystko, co mogę panu zaproponować.

W fiolce było około dwudziestu tabletek. Wsadził ją do kieszeni, wyszedł ze szpitala i ruszył High Street w kierunku apteki. Tam także zebraли się demonstranci, choć było ich znacznie mniej niż przed wejściem do kliniki. Mieli też inne transparenty. **TO NIEMORALNE!** - głosiły napisy. **LEKI POWINNY BYĆ ZA DARMO!**

W aptece nie mieli już masek, natomiast leki przeciwgorączkowe oraz aspiryna były przeraźliwie drogie, niemniej jednak wykupił cały zapas.

Cały wieczór zajęło mu rozdzielanie lekarstw wśród najciężej chorych i studiowanie informacji dotyczących Badriego. Dziesiątego grudnia technik prowadził przeskok w XIX wiek na Węgry, ale nikt nie wied-

ział, w jakie konkretnie miejsce - nawet William, z zapalem podrywający te spośród internowanych dziewcząt, które nie uległy wirusowi i teraz opiekowały się chorymi. Telefony znowu przestały działać.

Nie działały także nazajutrz rano, kiedy Dunworthy usiłował zadzwonić do szpitala, by zapytać o stan zdrowia Badriego. Po kilku nieudanych próbach odłożył z trzaskiem słuchawkę i dosłownie sekundę później rozległ się dzwonek telefonu.

Zakłócenia na linii były tak duże, że Dunworthy dopiero po chwili rozpoznał głos Andrews'a.

- Przepraszam, że to trwało tak długo, ale...

Reszta utonęła w szumach i trzaskach.

- Prawie pana nie słyszę!

- Mówię, że nie mogłem się dodzwonić! Te przekłete telefony... - Znowu szum. - Sprawdziłem parametry i zlokalizowałem...

Trzaski.

- Jaki był maksymalny poślizg?! - wrzasnął Dunworthy do mikrofonu.

Zakłócenia niespodziewanie ucichły.

- Sześć dni. To znaczy, w przypadku precyzyjnej lokalizacji przestrzennej, bo w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od planowanego miejsca przeskoku maksymalny poślizg wynosi aż pięć lat, ale...

Szum wybuchł z siłą morskiego przyboju, a kiedy ucichł, połączenie było już przerwane.

Dunworthy powoli odłożył słuchawkę. Właściwie powinien czuć się podniesiony na duchu, lecz chwilowo nie był zdolny do żadnych uczuć. Gilchrist nie miał najmniejszego zamiaru otworzyć sieci szóstego stycznia, czyli w dniu, na który wyznaczono powrót Kivrin. Otrząsnąwszy się z zamyślenia, sięgnął po słuchawkę, by zatelefonować do Szkockiego Biura Turystyki, lecz nie zdążył, ponieważ telefon zadzwonił ponownie.

- Tu Dunworthy, słucham?

Wpatrywał się z oczekiwaniem w ekran, lecz widać tam było tylko wirujące płatki śniegu.

- Kto? - zaskrzeczał kobiecy głos. - Przepraszam, próbuję dodzwonić się do...

Resztę zagłuszyły przeraźliwe trzaski. Zaraz potem w słuchawce zapadła cisza, a ekran zgasł.

Zaczekał kilka minut, ale nikt już nie dzwonił, więc przeszedł na drugą stronę dziedzińca. Dzwon z Wieży Magdalen wybijał właśnie pełną godzinę; w tych okolicznościach i przy padającym nieustannie deszczu brzmiał niczym dzwon pogrzebowy. Panna Piantini najwyraźniej też usłyszała jego dźwięki, ponieważ wyszła na dwór w nocnej koszuli, stanęła w największej kałuży i próbowała dyrygować wyimaginowanym zespołem.

- Środkowy głos ciągle opóźnia wejścia! - poskarżyła się Dunworthy'emu usiłującemu zaprowadzić ją z powrotem do budynku.

Pojawił się Finch.

- To te dzwony, proszę pana - powiedział z zafrasowaną miną, ujmując kobietę pod drugie ramię. - Wciąż ją niepokoją. Byłoby dobrze, gdyby dali sobie spokój z tym dzwonieniem.

Panna Piantini wyszarpnęła rękę i odepchnęła Dunworthy'ego.

- Dzwonnik nie powinien na krok odstępować swego instrumentu! - oświadczyła stanowczym tonem.

- Oczywiście - zgodził się Finch. - Ma pani całkowitą rację.

Uczepiwszy się jej ramienia, jakby to był sznur od dzwonu, nie bez trudu zaprowadził ją z powrotem do starej biblioteki.

W korytarzu dogonił ich Colin. Był siny z zimna, miał rozpiętą kurtkę, a szalik, który otrzymał w prezencie od babki, powiewał beużytecznie we wszystkie strony. Chłopiec wręczył Dunworthy'emu karteczkę z wiadomością.

- To od pielęgniarki pana Badriego - oznajmił, po czym wytrząsnął na dłoń kolorowego cukierka i wepchnął go do ust.

Kartka była dokładnie przemoczona, podobnie jak kurtka Colina, pospiesznie skreślone litery zaś rozmazane, niemniej jednak wiadomość dała się jakoś odczytać. "Badri chce się z panem widzieć". Z pierwszego wyrazu ocalało jedynie "B".

- Czy mówił, jak on się czuje?

- Nie. Dał mi tylko tę kartkę. Natomiast babcia powiedziała, że musi pan dostać jeszcze jeden zastrzyk wzmacniający odporność. Podobno są jakieś opóźnienia w produkcji szczepionki.

Dunworthy pomógł Finchowi położyć pannę Piantini do łóżka (nie było to wcale łatwe i wymagało niemal zapaśniczych umiejętności), po czym co sił w nogach pognął do kliniki. Przed drzwiami pokoju Badriego siedziała otyła pielęgniarka, której jeszcze nigdy tam nie widział; na jego widok pospiesznie zdjęła opuchnięte stopy z biurka i podniosła się z krzesła.

- Pan Dunworthy, prawda? - Nie czekała na potwierdzenie. - Doktor Ahrens prosiła, żeby pan natychmiast do niej przyszedł.

Powiedziała to tak łagodnym, niemal współczującym tonem, że natychmiast pomyślał o najgorszym.

- Chodzi o Badriego, zgadza się? - Na pewno chce mi oszczędzić widoku nieboszczyka. Doszła do wniosku, że będzie lepiej, jeśli dowiem się wszystkiego od Mary. - Kiedy umarł?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Umarł? Wręcz przeciwnie, czuje się znacznie lepiej. Nie dostał pan wiadomości od chłopaka, który miał dyżur przede mną? Pan Chaudhuri próbuje sam siadać w łóżku.

- Siadać? - powtórzył z niedowierzaniem, zastanawiając się, czy pielęgniarka nie bredzi w gorączce.

- Naturalnie jest jeszcze bardzo osłabiony, ale temperatura prawie wróciła do normy. Najpierw powinien pan jednak zobaczyć się z doktor Ahrens. Czeka na pana w izbie przyjęć. Podobno chodzi o jakąś ważną sprawę.

Zerknął na drzwi izolatki.

- Proszę mu powiedzieć, że przyjdę natychmiast, jak tylko będę mógł.

W drzwiach oddziału zderzył się z Colinem, który, sądząc po jego przyspieszonym oddechu, chyba dopiero co wbiegł na górę po schodach.

- Co ty tu robisz? - zdziwił się Dunworthy. - Był do mnie jakiś telefon?

- Przysłała mnie babcia Mary. Mam dopilnować, żeby zgłosił się pan na zastrzyk.

- Teraz nie mogę - odparł i nie oglądając się ruszył przed siebie szybkim krokiem. Colin musiał biec, żeby nie zostać z tyłu.

- Nic nie szkodzi, przyjdzie pan później. Powiedziała, że nie mogę wypuścić pana z kliniki, dopóki nie dostanie pan tego zastrzyku.

Zjechali na dół windą. Kiedy tylko rozsunęły się metalowe drzwi, ujrzeli czekającą na nich Mary.

- Mamy kolejny przypadek - oznajmiła ponurym tonem. - To Montoya. - Skręciła w stronę izby przyjęć. - Właśnie wiozą ją z Witney.

- Montoya? - zdumiał się Dunworthy. - To niemożliwe! Przecież była poza kwarantanną, zupełnie sama...

- Wygląda na to, że jednak nie sama.

- Ale mówiła, że... Jesteś pewna, że to wirus? Pracowała w deszczu i chłodzie, więc może po prostu zaziębiła się albo złapała zwyczajną, łagodną grypę?

Mary pokręciła głową.

- Wstępne badanie przeprowadzone w karetce wykazało obecność naszego wirusa. - Zatrzymała się przy recepcji. - Są już? - zapytała dyżurnego.

- Właśnie przekroczyli granicę.

Podeszła do szklanych drzwi i wyjrzała na zewnątrz, jakby mu nie ufała.

- Zadzwoniła dziś rano. Sprawiała wrażenie zupełnie zdezorientowanej. Zawiadomiłam najbliższy szpital, żeby wysłali karetkę, ale odmówili, twierdząc, że od wczoraj obszar wykopalisk także został objęty kwarantanną. Dopiero niedawno udało mi się przekonać tych tępotliwych biurokratów ze sztabu kryzysowego, żeby pozwolili mi posłać jeden z naszych ambulansów. - Ponownie wyjrzała na ulicę. - Kiedy tam wróciła?

Dunworthy wytężył pamięć. W pierwszy dzień Świąt zadzwoniła do niego z pytaniem, czy Basingame woli łośosie, czy pstrągi, a potem zatelefonowała jeszcze raz i powiedziała "Nieważne", ponieważ zdecydowała się podrobić podpis dziekana.

- W pierwszy dzień Świąt... A może w drugi? Nie, raczej dwudziestego siódmego. Jestem pewien, że od tamtej pory z nikim się nie kontaktowała.

- Skąd wiesz?

- Skarżyła mi się przez telefon, że ledwo radzi sobie z pracą, bo jest zupełnie sama. Prosiła mnie, bym spróbował zorganizować jej jakąś pomoc.

- Kiedy to było?

Zmarszczył brwi.

- Dwa... Nie, trzy dni temu.

Kiedy w ogóle nie kładziesz się spać, wszystkie dni wydają się takie same, przemknęło mu przez głowę.

- Może potem, już po rozmowie z tobą, udało jej się znaleźć pomoc na farmie?

- Zimą nikogo tam nie ma.

- Jeśli dobrze sobie przypominam, Montoya zagania do pracy każdego, kogo dopadnie. Może złapała kogoś przechodnia?

- Tam nie ma przechodniów. Z tego, co mówiła, wynika, że stanowisko znajduje się w szczerym polu.

- Tak czy inaczej, musiała mieć z kimś kontakt. Przebywała tam siedem dni, a przecież okres inkubacji wynosi zaledwie dwanaście do czterdziestu ośmiu godzin.

- Przyjechała karetka! - wykrzyknął Colin.

Mary pchnęła drzwi i wybiegła na podjazd. Dunworthy i Colin nie zwlekając podążyli za nią. Dwaj sanitariusze właśnie wystawiali nosze z samochodu. Dunworthy rozpoznał jednego z nich; ten sam mężczyzna znajdował się w zespole, który przyjechał po Badriego do laboratorium.

Colin pochylił się nad noszami i z zainteresowaniem przyglądał się Montoi, która leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Jej twarz miała to samo, intensywnie czerwone zabarwienie, jak twarz panny Breen. Chłopiec nachylił się jeszcze niżej, a wtedy Amerykanka niespodziewanie zakasłała mu prosto w twarz.

Dunworthy złapał Colina za kołnierz i szarpnął mocno.

- Zmykaj stąd! Chcesz się zarazić? A w ogóle, dlaczego nie używasz maski?

- Bo zabrakło.

- Nie powinieneś się tu kręcić. Biegnij prosto do Balliol i...

- Nie mogę. Babcia kazała mi dopilnować, żeby zgłosił się pan na zastrzyk.

Dunworthy zaprowadził chłopca do głównego hallu.

- Więc siedź tutaj - powiedział, wpychając go w fotel - i nie zbliżaj się do pacjentów.

- Tylko niech pan nie próbuje mi uciec! - powiedział Colin ostrzegawczym tonem, po czym rozsiadł się wygodnie, wyjął z kieszeni gumę do żucia, rozpakował ją i wepchnął do ust.

Dunworthy wrócił do Montoi. Tym razem to Mary pochylała się nad noszami.

- Lupe, musimy zadać ci kilka pytań. Kiedy zachorowałeś?

- Dziś rano - odparła Montoya zachrypniętym głosem. Dunworthy nagle uświadomił sobie, że to chyba ona była tą kobietą, która dodzwoniła się pomyłkowo pod jego numer. - Wczoraj wieczorem okropnie bolała mnie głowa. - Dotknęła czoła brudną ręką. - Myślałam, że to od wyężdżania wzroku.

- Kto był z tobą na stanowisku?

- Nikt - powiedziała z nutą zdziwienia w głosie.

- A dostawcy? Ktoś przecież musiał przywozić ci żywność, napoje...

Spróbowała pokręcić głową, ale chyba wywołało to kolejny atak bólu, ponieważ skrzywiła się i znieruchomiała.

- Wszystko zabrałam ze sobą.

- I nikt nie pomagał ci w pracy?

- Nikt. Prosiłam pana Dunworthy'ego, żeby kogoś znalazł, ale nic z tego nie wyszło. - Spojrzała na niego z wyrzutem. - Może jednak przyślą mi kogoś? - zapytała. - W przeciwnym razie nigdy tego nie znajdą.

- Czego? - spytał odruchowo, choć przyszło mu do głowy, że Montoya majaczy i nie można przykładać zbyt wielkiej wagi do jej słów.

- Prawie całe stanowisko jest już pod wodą.

- Czego nie znajdują? - powtórzył pytanie.

- Rejestratora Kivrin.

Znowu ujrzał przed sobą ekran telefonu, a na nim Montoyę stojącą po kolana w błocie i wygrzebującą z pudełka małe brązowe kamyki. To nie były kamyki, tylko kości. Oglądała je dokładnie, szczególnie dużo uwagi poświęcając ostrym krawędziom, szukając rysy w miejscu, gdzie ukryto rejestrator.

- Ciągłe pada, a ja nie przeszukałam jeszcze wszystkich grobów - dodała Montoya. - Muszą tam szybko kogoś posłać, bo inaczej nic z tego nie będzie.

- Grobów? Jakich grobów? - Mary spojrzała na niego ze zdziwieniem. - O czym ona mówi?

- Przekopywała średniowieczny cmentarz w poszukiwaniu grobu Kivrin - powiedział z goryczą. - Szukała rejestratora, który wszczepiono dziewczynie.

Jednak Mary myślała już o czymś innym.

- Muszę natychmiast zobaczyć zestawienie kontaktów Badriego - powiedziała do dyżurnego, po czym zwróciła się ponownie do Dunworthy'ego. - Badri też pracował przy wykopaliskach, prawda?

- Owszem.

- Kiedy?

- Osiemnastego i dziewiętnastego.

- Właśnie na cmentarzu?

- Tak. To znaczy, w kościele. Otwierali grobowiec jakiegoś rycerza.

- Grobowiec - powtórzyła Mary z takim wyrazem twarzy, jakby to słowo stanowiło odpowiedź na wszystkie pytania. - Z którego roku pochodzi ten grobowiec?

- Z 1318 - odparła Montoya.

- Czy w tym tygodniu też przy nim pracowałaś?

Amerykanka spróbowała skinąć głową, lecz musiała zrezygnować z tego zamiaru.

- Okropnie kręci mi się w głowie, kiedy nią poruszam - wyjaśniła przepaszającym tonem. - Tak, bo musiałam szybko zabezpieczyć szkielet. Woda zaczęła przedostawać się do środka.

- Kiedy dokładnie to robiłaś?

Montoya zmarszczyła brwi.

- Nie jestem pewna... Chyba na dzień przed dzwonami.

- Trzydziestego pierwszego - przetłumaczył Dunworthy, a następnie pochylił się nad chorą. - A potem?

Zaprzeczyła ruchem oczu.

- Mam już zestawienie - zameldował dyżurny.

Mary podeszła do biurka, wystukała coś na klawiaturze, spojrzała na ekran, nacisnęła jeszcze kilka klawiszy.

- O co chodzi? - zapytał Dunworthy, lecz nie uzyskał odpowiedzi.

- Jakie warunki panują na cmentarzu?

- Warunki? - zdziwił się. - Przede wszystkim, pełno tam błota. Poprzykrywała, co się dało, ale i tak woda wciska się wszystkimi szczelinami.

- Ciepło?

- Tak, nawet parno. Włączyła dmuchawy, żeby osuszyć przynajmniej część terenu. Dlaczego pytasz?

Przesunęła palcem po ekranie, jakby szukała czegoś wśród nazwisk i dat.

- Wirusy są nadzwyczaj wytrzymałymi organizmami - powiedziała nie wiadomo, do niego czy do siebie. - Mogą przeżyć w uśpieniu wiele lat, a potem wrócić do życia. Żywe wirusy znajdowano nawet w egipskich grobowcach. - Nagle zatrzymała palec i popukała w ekran. - Tak myślałam: Badri zachorował równo cztery dni po tym, jak pracował przy wykopaliskach. - Odwróciła się do dyżurnego. - Trzeba natychmiast wysłać tam dobrze wyposażony zespół i pobrać próbki, z czego się da. Zawiadomcie Ministerstwo Zdrowia, że znaleźliśmy źródło wirusa.

Przez minutę lub dwie pisała szybko na klawiaturze, od czasu do czasu spoglądając na ekran monitora, po czym odchyliła się do tyłu razem z krzesłem.

- Do tej pory mieliśmy czterech pacjentów "pierwszego rzutu", którzy nie kontaktowali się bezpośrednio z Badrim.

Wszyscy byli przy wykopaliskach kilka dni przed zachorowaniem: dwaj trzy dni wcześniej, a dwaj cztery.

- Więc wirus jest tam, na cmentarzu? - zapytał z niedowierzaniem Dunworthy.

- Zgadza się. - Obdarzyła go niewesołym uśmiechem. - Wygląda na to, że Gilchrist mimo wszystko miał rację. Wirus istotnie dotarł do nas z przeszłości.

- Kivrin też pracowała przy wykopaliskach - powiedział bezbarwnym tonem.

Tym razem to Mary spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Kiedy?

- W niedzielę po południu. Dziewiętnastego.

- Jesteś pewien?

- Sama mi o tym powiedziała. Grzebała gołymi rękami w ziemi, żeby wyglądały bardziej autentycznie.

- Boże... - szepnęła. - Jeśli to było cztery dni przed przeskokiem, to nie miała jeszcze wzmocnionego układu odpornościowego. Wirus mógł ją zaatakować, a jeśli choroba ujawniła się dopiero po przeskoku...

Dunworthy chwycił ją za ramię, nie pozwalając dokończyć zdania.

- To niemożliwe! Sieć nie otworzyłaby się, gdyby Kivrin była chora, bo mogłaby zarazić kogoś w średniowieczu!

- Nikt by się nie zaraził - stwierdziła spokojnie, lecz stanowczo, Mary. - Jeżeli rycerz rzeczywiście umarł w roku 1318, i jeżeli wirus przetrwał właśnie w jego grobowcu, to wynika z tego, że tamci ludzie mieli już z nim kontakt, więc byli uodpornieni. - Uwolniła się z uchwytu Dunworthy'ego i podeszła do Montoi. - Czy Kivrin pracowała przy grobowcu?

- Nie wiem - odparła Amerykanka. - Nie było mnie tam wtedy. Miałam spotkanie z Gilchristem.

- A kto może wiedzieć? Kto, oprócz niej, był na stanowisku?

- Nikt. Wszyscy rozjechali się do domów na ferie.

- Więc skąd wiedziała, co i gdzie ma robić?

- Każdy, kto kończy pracę, zostawia kartkę z krótką informacją dla tego, kto przyjdzie po nim.

- A kto był tam przed nią? Na przykład rano?

- Badri! - wykrzyknął Dunworthy, po czym odwrócił się na pięcie i co sił w nogach pognął na piętro.

Otyła pielęgniarka nadal trzymała opuchnięte stopy na biurku, ale Dunworthy zjawił się tak nagle, że nie zdążyła wykonać najmniejszego ruchu.

- Tam nie wolno wchodzić bez kombinezonu! - zawołała za nim, lecz on nie słuchał. Nacisnął klamkę i wpadł jak burza do izolatki.

Badri leżał oparty wysoko na poduszkach. Był bardzo blady, jakby ustępująca gorączka zabrała ze sobą cały pigment z jego skóry, ale kiedy Dunworthy wtargnął do pokoju, technik odwrócił głowę i skierował na niego zupełnie przytomne spojrzenie.

- Czy Kivrin pracowała przy grobowcu rycerza? - zapytał Dunworthy bez żadnych wstępów.

- Kivrin...

Technik nie dokończył, ponieważ drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadła rozwścieczona pielęgniarka.

- Panie Dunworthy, tutaj nie wolno...

- W niedzielę - podpowiedział Badriemu, ignorując kobietę. - Zostawił jej pan kartkę z informacją, co ma robić. Czy napisał jej pan, żeby zajęła się grobowcem rycerza?

- Panie Dunworthy, naraża się pan na poważne niebezpieczeństwo...

Weszła Mary.

- Nie powinieneś wchodzić tu bez kombinezonu - zwróciła mu uwagę, zakładając sterylne rękawiczki.

- Próbowałam mu o tym powiedzieć, pani doktor, ale on przebiegł obok mnie jak szalony, wpadł tutaj i...

- Czy zostawił pan jej kartkę z informacją, że powinna zająć się grobowcem? - powtórzył Dunworthy.

Badri ledwo dostrzegalnie skinął głową. Dunworthy odwrócił się do Mary.

- Miała kontakt z wirusem - stwierdził. - W niedzielę, cztery dni przed przeskokiem.

- Boże...

- O co chodzi? - zapytał Badri, próbując usiąść. - Co się stało? Gdzie jest Kivrin? - Przenosił wzrok z Dunworthy'ego na lekarzkę i z powrotem. - Wyciągnęliście ją, prawda? Jak tylko zrozumieliście, co się stało? Wyciągnęliście ją, czy nie?

- A co miało się stać? - zdumiała się Mary. - Co pan ma na myśli?

- Musicie ją stamtąd wyciągnąć - wyszeptał Badri. - Kivrin nie jest w 1320, tylko w 1348.

25.

To niemożliwe - stwierdził stanowczo Dunworthy. - W 1348? - wykrztusiła Mary. - Przecież wtedy szalała Czarna Śmierć!

Właśnie, pomyślał Dunworthy. Dlatego Kivrin nie może być w 1348, Andrews powiedział, że nawet w przypadku pięćdziesięciokilometrowego przesunięcia przestrzennego maksymalny poślizg mógł wynieść najwyżej pięć lat, a sam Badri twierdził, że w obliczeniach Puchalskiego nie znalazł żadnego błędu.

- W 1348? - powtórzyła Mary z niedowierzaniem, po czym zerknęła na ekrany aparatów, do których podłączono Badriego, jakby miała nadzieję, że technik bredzi w gorączce. - Jest pan pewien?

Chory ponownie skinął głową.

- Zorientowałem się, że coś jest nie w porządku, jak tylko obliczyłem rozmiary poślizgu...

W jego głosie słyhać było zdziwienie prawie dorównujące temu, jakie okazywała Mary.

- Poślizg był za mały, żeby znieść ją aż do 1348! - przerwał mu Dunworthy. - Poprosiłem Andrews, żeby jeszcze raz obliczył parametry. Wyszło mu, że maksymalny poślizg mógł wynieść pięć lat.

Badri pokręcił głową.

- Nie chodzi o poślizg. To znaczy, chodzi właśnie o to, że był za mały. Minimalny poślizg przy przeskoku w tak odległą przeszłość powinien wynieść czterdzieści osiem godzin, a tam były zaledwie cztery godziny.

Za mały poślizg. Nie za duży, tylko za mały. Pytałem Andrews o maksymalny poślizg, ale nie przyszło mi do głowy, żeby poprosić go o obliczenie minimalnego, pomyślał Dunworthy.

- Nie mam pojęcia, jak do tego doszło - ciągnął Badri. - Okropnie bolała mnie głowa. Bolała mnie od chwili, kiedy wszedłem do laboratorium i zacząłem wprowadzać współrzędne do sieci.

- To wirus - powiedziała Mary bezbarwnym głosem. Sprawiała wrażenie zdruzgotanej straszliwą wiadomością. - Ból głowy i kłopoty z koncentracją są pierwszymi objawami choroby. - Opadła na składane krzesło stojące przy łóżku. - Mój Boże! 1348...

1348. Wciąż jeszcze nie mógł w to uwierzyć. Przez cały czas, kiedy martwił się, czy Kivrin nie zaraziła się grypą i czy trafiła we właściwe miejsce, ona była w roku 1348. W roku, w którym zaraza dotarła do Oxfordu. Dokładnie w Boże Narodzenie.

- Jak tylko zobaczyłem, że poślizg był taki mały, zorientowałem się, że coś jest nie w porządku. Natychmiast zacząłem sprawdzać współrzędne...

- Mówił pan, że są w porządku! - przerwał mu Dunworthy oskarżycielskim tonem.

- Puchalski jest dopiero na pierwszym roku. Nie prowadził jeszcze żadnego przeskoku, nawet z automatyczną sondą, nie wspominając już o człowieku. Na domiar złego, Gilchrist nie miał zielonego pojęcia, jak zabrać się do rzeczy. Usiłowałem panu o tym powiedzieć... Nie było jej na miejscu przeskoku? - Spojrzał z niepokojem na Dunworthy'ego. - Dlaczego natychmiast nie ściągnęliście jej z powrotem?

- O niczym nie wiedzieliśmy - wyszeptała Mary. Siedziała na krzeselku z opuszczoną głową i zwisającymi bezwładnie ramionami. - Nie mogliśmy się niczego od pana dowiedzieć. Bredził pan w gorączce.

- Zaraza zabiła pięćdziesiąt milionów ludzi - powiedział wolno i wyraźnie Dunworthy. - Wymordowała pół ówczesnej Europy.

- James!

- Próbowałem was ostrzec. Właśnie dlatego przyszedłem po pana do pubu. Żebyśmy wyciągnęli ją stamtąd, zanim opuści miejsce przeskoku.

Próbował ich ostrzec. Wybiegł z laboratorium bez płaszcza, nie zważając na deszcz szedł, zataczając się i potykając, w kierunku pubu, przepychał się między ludźmi, potykał o ich parasole i torby z zakupami, a kiedy dotarł na miejsce, drżąc z zimna i szcękając zębami, nie mógł sobie przypomnieć, po co przyszedł. Wiedział tylko tyle, że wydarzyło się coś niedobrego.

"Próbowałem was ostrzec". Zrobił to. "Wymordowała pół Europy" - powiedział. A także: "Wszystko przez te szczury". Pytał: "Który mamy rok?" Starał się jak mógł, ale był bardzo chory.

- Skoro poślizg nie ma tu nic do rzeczy, błąd musi znajdować się w obliczeniach - stwierdził Dunworthy, zaciskając ręce na krawędzi łóżka.

Badri cofnąłby się, gdyby mógł, ale nie był w stanie tego uczynić.

- Powiedział pan, że obliczenia Puchalskiego są prawidłowe.

- James! - syknęła Mary.

- Tylko tam mogli coś spieprzyć! - wrzasnął na nią. - Każdy inny błąd zostałby wychwycony przez sieć i nie doszłoby do przeskoku. - Wycelował w technika palec. - Powiedział pan, że dwa razy sprawdzał obliczenia Puchalskiego i nie znalazł w nich żadnej pomyłki!

- Nie znalazłem - przyznał Badri - ale wciąż nie miałem do nich zaufania. Obawiałem się, że mógł popełnić błąd w równaniach korelacyjnych, ale żeby to stwierdzić, trzeba ułożyć je wszystkie od nowa. - Przelknął z wysiłkiem ślinę. - Zrobiłem to. Wprowadziłem je do komputera z samego rana w dzień przeskoku.

Z samego rana. Kiedy już bolała go głowa, kiedy miał wysoką temperaturę i trudności z koncentracją. Dunworthy przypomniał go sobie, stukającego w klawiaturę i wpatrującego się w ekran ze zmarszczonymi brwiami. Robił to na moich oczach, pomyślał. Stałem beczynnym i gapiałem się na niego, podczas gdy on wysyłał Kivrin prosto w objęcia Czarnej Śmierci.

- Naprawdę nie mam pojęcia, jak to się stało - wymamrotał technik. - Przypuszczalnie...

- Zaraza zabijała całe wioski - wycedził Dunworthy, przeszywając go spojrzeniem. - Umierało tak wielu ludzi, że nie było komu ich grzebać.

- Zostaw go w spokoju, James - wtrąciła się Mary. - To nie jego wina. Był chory.

- Chory - powtórzył z goryczą. - Kivrin też jest chora. Miała kontakt z wirusem, a teraz znajduje się w 1348 roku.

- James...

Nie chciał tego dłużej słuchać. Odwrócił się, gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi i wypadł na korytarz.

Colin klęczał na krześle, balansując w taki sposób, by tylne nogi trwały w miarę nieruchomo kilka centymetrów nad podłogą.

- A, tu pan się schował! - wykrzyknął triumfalnie.

Dunworthy minął go bez słowa.

- Dokąd pan idzie? - zawołał Colin. Stracił równowagę, przez chwilę walczył o jej odzyskanie, ale w końcu skapitulował i tylne nogi krzesła opadły z donośnym stukotem na podłogę. - Babcia powiedziała, że bym nie wypuszczał pana z kliniki, dopóki nie zgłosi się pan na zastrzyk! - Zerwał się z krzesła i popędził za Dunworthym. - A w ogóle, to czemu nie ma pan kombinezonu?

Dunworthy pchnął uchylne drzwi, ale Colin był już tak blisko, że przemknął między szklanymi skrzydłami, zanim te zdążyły się zamknąć.

- Babcia urwie panu głowę, jeśli...

- Nie mam czasu na zastrzyki - oświadczył Dunworthy. - Ona jest w 1348 roku.

Chłopiec wytrzeszczył oczy.

- Babcia Mary?

Dunworthy szedł szybko korytarzem.

- Kivrin? - Colin dogonił go dopiero po kilku metrach. - Niemożliwe! Przecież właśnie wtedy szalała ta cała Czarna Śmierć, prawda?

Dunworthy wypadł na schody i ruszył w dół, przeskakując po dwa stopnie.

- Nic nie rozumiem - oświadczył Colin, biegnąc za nim. - Skąd się tam wzięła? Przecież miała być w 1320!

Zmierzali już w stronę aparatów telefonicznych zainstalowanych w głębi głównego hallu kliniki. Dunworthy grzebał po kieszeniach w poszukiwaniu kalendarza, który otrzymał w prezencie od Colina.

- Jak ją pan stamtąd wyciągnie? Przecież laboratorium jest nieczynne!

Wreszcie znalazł kalendarzyk, otworzył go i zaczął pospiesznie przerzucać kartki. Gdzieś z tyłu powinien być zapisany numer Andrews.

- Pan Gilchrist na pewno pana nie wpuści. Zamknął laboratorium na klucz i zainstalował alarm. Jak pan tam wejdzie?

Numer Andrews znajdował się na ostatniej stronie. Dunworthy wziął słuchawkę do ręki.

- A nawet jeśli pana wpuści, to kto poprowadzi przeskok? Pan Chaudhuri?

- Andrews - odparł lakonicznie Dunworthy, wystukując numer.

- Zdawało mi się, że on nie pali się do przyjazdu.

Dunworthy przyłożył słuchawkę do ucha.

- Nie zostawię jej tam.

- Tu numer 24837 - odezwał się kobiecy głos. - Firma Braci Shepherdów.

Jeszcze raz spojrzął na numer w kalendarzyku.

- Chciałem rozmawiać z panem Ronaldem Andrewsem. Jaki to numer?

- 24837 - powtórzyła kobieta ze zniecierpliwieniem. - Nikt taki tutaj nie pracuje.

Dunworthy rzucił z rozmachem słuchawkę.

- Przeklęte telefony! - parsknął, po czym jeszcze raz wystukał numer.

- A nawet jeśli Andrews zgodzi się przyjechać, w jaki sposób zamierza ją pan odszukać? - pytał dalej Colin, wspinając się na palce i próbując zajrzeć mu przez ramię. - Przecież nie będzie jej tam, gdzie miała być. Termin powrotu wypada dopiero za trzy dni.

Dunworthy niecierpliwie wsłuchiwał się w sygnał, zastanawiając się jednocześnie, co zrobiła Kivrin, kiedy przekonała się, dokąd i kiedy trafiła. Przypuszczalnie czym prędzej wróciła na miejsce przeskoku... Naturalnie pod warunkiem, że była w stanie to uczynić. Że nie zachorowała ani nie została oskarżona o spowodowanie zarazy do Skendgate.

- Tu 24837 - odezwał się ten sam głos co poprzednio. - Firma Braci Shepherdów.

- Jaki to numer? - wrzasnął rozwścieczony Dunworthy.

- 24837! - odparła niewiele ciszej kobieta.

- To niemożliwe, bo właśnie tam próbuję się dodzwonić!

- Wcale nie. - Colin wyciągnął rękę i wskazał palcem nabazgrany w pośpiechu numer Andrews'a. - Pomylił się pan. - Odebrał mu słuchawkę. - Chyba będzie lepiej, jeśli ja to zrobię.

Wystukał numer, po czym oddał słuchawkę.

Sygnał był zupełnie inny, znacznie cichszy. Myśli Dunworthy'ego ponownie wróciły do Kivrin. Dżuma nie pojawiła się wszędzie dokładnie w tym samym czasie. Do Oxfordu dotarła w Święta, ale nie wiadomo, kiedy zawitała do Skendgate.

Nikt się nie zgłaszał. Dunworthy odruchowo liczył sygnały: dziesięć... jedenaście... Nie mógł sobie przypomnieć, którejdy posuwała się zaraza. Dotarła z Francji, najbardziej prawdopodobne było więc, że szła ze wschodu na zachód, Skendgate zaś znajdowało się na zachód od Oxfordu. Może więc dotarła do wioski nieco później, już po Bożym Narodzeniu?

- Gdzie jest książka? - zapytał Colina.

- Jaka książka? Chodzi panu o kalendarz? Trzyma go pan w ręku.

- Książka, którą dostałeś ode mnie na Gwiazdkę. Dlaczego nie masz jej przy sobie?

- Miałbym ją wszędzie nosić? - zdumiał się chłopiec. - Przecież ona waży ze trzy kilogramy, jeśli nie więcej!

Po dwudziestym sygnale Dunworthy odwiesił słuchawkę i szybkim krokiem skierował się do wyjścia.

- Mimo wszystko wolałbym, żebyś zawsze miał ją pod ręką. Nie wiesz, że dokoła szaleje epidemia?

- Czy... Czy pan się dobrze czuje, panie Dunworthy?

- Nie gadaj, tylko biegnij po nią.

- Teraz?

- Idź do Balliol i przynieś ją najprędzej jak będziesz mógł. Muszę wiedzieć, kiedy dżuma zaatakowała Oxfordshire. Nie miasto, tylko wieś. I z którego kierunku nadeszła.

- A pan dokąd idzie? - zapytał Colin, biegnąc obok niego.

- Do Gilchrista. Zmusić go, żeby otworzył laboratorium.

- Jeśli zamknał je z powodu grypy, tym bardziej nie otworzy go, kiedy dowie się, że chodzi o dżumę.

Dunworthy otworzył drzwi i wyszedł na dwór. Wciąż łało jak z cebra. Przypominający stadko zmokniętych kur zwolennicy wystąpienia z Unii Europejskiej zbili się w ciasną gromadkę na zadaszonym podjeździe. Na widok Colina i Dunworthy'ego jeden z demonstrantów ruszył w ich kierunku, wymachując ulotką.

Chłopiec miał rację. Nawet jeśli Gilchrist dowie się prawdy, z pewnością nie zmieni zdania. W dalszym ciągu będzie przekonany, że wirus przedostał się przez sieć, jego upór zaś tylko się nasili, ponieważ z pewnością natychmiast dojdzie do wniosku, iż po otwarciu laboratorium, w ten sam sposób jak grypa, rozprzestrzeni się także dżuma.

- Daj mi jakąś kartkę - zażądał, sięgając po długopis.

- Kartkę? Po co?

Dunworthy wyrwał demonstrantowi ulotkę i zaczął coś pospiesznie bazgrać na jej odwrocie.

- To zgoda Basingame'a na otwarcie sieci - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Colin wybałuszył oczy.

- Na ulotce? On w to nigdy nie uwierzy, proszę pana.

- Więc daj mi jakiś papier, do diabła! Chłopiec cofnął się o krok.

- Dobrze. Oczywiście. Zaraz przyniosę - powiedział uspokajającym tonem. - Tylko proszę nigdzie się stąd nie ruszać, zgoda?

Wrócił zaledwie po kilkunastu sekundach z kilkoma kartkami papieru kserograficznego. Dunworthy wyrwał mu je z ręki, błyskawicznie skreślił kilka zdań, u dołu zaś umieścił podpis Basingame'a.

- A teraz goń po książkę. Spotkamy się w Brasenose.

- Zaraz, tylko przyniosę panu płaszcz.

- Szkoda czasu.

Złożył kartkę we czworo i wepchnął do kieszeni marynarki.

- Przecież pada! Może chociaż weźmie pan taksówkę?

- Nie jeżdżą.

Ruszył ulicą zalewaną strumieniami deszczu.

- Babcia mnie zabije! - zawołał za nim chłopiec. - Nie zgłosił się pan na zastrzyk!

Dość szybko doszedł do wniosku, że powinien jednak wezwać którąś z kursujących jeszcze taksówek, nawet jeśli oznaczałoby to kilkunastominutową zwłokę. Deszcz, nie dość, że ulewny, dodatkowo okazał się także lodowato zimny. Wszystko wskazywało na to, iż za godzinę lub dwie zamieni się w mokry, zmarznięty śnieg. Kiedy Dunworthy dotarł do college'u Brasenose, był zupełnie przemoczony i potwornie zziębnięty.

Deszcz spełnił jednak także pozytywną funkcję, ponieważ wypłoszył demonstrantów sprzed bramy college'u. O ich niedawnej obecności świadczyło jedynie kilka porzuconych ulotek. W samej bramie czekała na niego niespodzianka w postaci zamkniętej kraty. Zamknięte było także małe okienko portierni.

- Otwierać! - zawołał Dunworthy i szarpnął kratę. - Natychmiast otwierać!

W okienku pojawiła się twarz portiera. Ujrawszy Dunworthy'ego, staruszek najpierw przestraszył się, a potem nastroszył wojowniczo brwi.

- College jest objęty kwarantanną - oświadczył. - Nikt nie może tu wchodzić.

- Proszę natychmiast otworzyć bramę!

- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić - odparł portier. - Pan Gilchrist wydał polecenie, żeby nikogo nie wpuszczać aż do chwili, kiedy uda się ustalić pochodzenie wirusa.

- Właśnie to ustaliliśmy - poinformował go Dunworthy. - Proszę otworzyć.

Portier zamknął okienko, minutę później zaś pojawił się po drugiej stronie kraty.

- Czy był w bombkach choinkowych? - zapytał z przejęciem. - Ludzie mówili, że...

- Nie - przerwał mu Dunworthy. - Proszę wpuścić mnie do środka.

- Naprawdę nie wiem, czy mogę to zrobić... - odparł staruszek, drapiąc się po głowie. - Pan Gilchrist...

- Pan Gilchrist nie ma tu już nic do powiedzenia.

Wyciągnął z kieszeni papier i podał portierowi, który rozłożył go i wpatrzył się w niego, mrużąc krótkowzroczne oczy.

- Pan Gilchrist nie pełni już obowiązków dziekana - oświadczył Dunworthy na wypadek, gdyby staruszek miał kłopoty z odczytaniem niewyraźnego pisma. - Pan Basingame przekazał mi kontrolę nad przeskokiem. Proszę otwierać.

- Pan Basingame... - wymamrotał portier, wpatrując się w rozmazany podpis. - Idę po klucze.

Zniknął w budynku, zabierając ze sobą papier. Dunworthy postawił kołnierz marynarki, wbił ręce w kieszenie i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak zimno.

Do tej pory martwił się, czy Kivrin nie będzie musiała spać w chłodzie na gołej ziemi, a tymczasem okazało się, że dziewczyna znalazła się w samym środku holocaustu, kiedy ludzie zamarzali na śmierć, ponieważ nikt nie był w stanie narąbać drewna, a zwierzęta zdychały na pastwiskach, ponieważ nie ocalał nikt, kto mógłby przyprowadzić je do domu. Osiemdziesiąt tysięcy ofiar w Sienie, trzysta tysięcy w Rzymie, ponad sto tysięcy we Florencji. Pół Europy.

Zjawił się wreszcie portier z pękiem kluczy i pobrzękując nimi podszedł do kraty.

- Już otwieram, proszę pana.

Kiedy tylko zorientowała się, że jest w roku 1348, z pewnością natychmiast wróciła na miejsce przeskoku, myślała, czekając aż staruszek odzyska właściwy klucz. Czekła tam przez cały czas na otwarcie sieci, niepokojąc się, dlaczego nikt jeszcze nie odkrył pomyłki.

Jeżeli się zorientowała. Przecież nie miała żadnych podstaw, by podejrzewać, że coś poszło nie tak jak powinno. Badri uprzedził ją, iż maksymalny poślizg może wynieść kilka dni, więc po przybyciu na miejsce z pewnością sprawdziła datę, aby ustalić, ile czasu pozostało do Świąt oraz do ponownego otwarcia sieci, ale nie miała najmniejszego powodu, by pytać o rok. Była święcie przekonana, że jest w 1320, podczas gdy dookoła szalała już zaraza.

Wreszcie szczerknął zamek i krata uchyliła się na tyle, by Dunworthy mógł wślizgnąć się do środka.

- Proszę zabrać ze sobą klucze - zwrócił się do portiera. - Muszę wejść do laboratorium.

- Za chwileczkę - odparł staruszek. - Klucz do laboratorium został w szafce.

Ponownie zniknął w portierni. W bramie było chyba jeszcze zimniej niż na zewnątrz, ponieważ wytworzył się silny przeciąg. Dunworthy skulił się najbardziej jak mógł, wbił ręce głębiej w kieszenie marynarki i przycisnął ramiona do ciała, by choć na chwilę zapanować nad coraz gwałtowniejszymi dreszczami.

Jak ostatni głupiec zadreślał się jakimiś rzezimieszkami i złodziejami, a ona tymczasem była w 1348 roku, kiedy na ulicach wałały się sterty trupów, ci zaś, co przeżyli, palili na stosach Żydów i obcych, obwiniając ich o sprowadzenie zarazy. Tak bardzo martwił się, że Gilchrist mógł czegoś nie dopilnować, że zaraził niepokojem Badriego, który, chory i zdezorientowany, powtórzył obliczenia i wprowadził wyniki do komputera.

Błędne wyniki.

Nagle uświadomił sobie, że to niemożliwe, by portier tak długo szukał klucza do laboratorium. Na pewno zadzwonił do Gilchrista, żeby go ostrzec! - przemknęło mu przez głowę. Ruszył w kierunku portierni, lecz

nim zdążył zrobić dwa kroki, drzwi otworzyły się i pojawił się w nich staruszek z kluczem w jednej ręce a parasolem w drugiej. Otworzywszy parasol zaproponował Dunworthy'emu osłonę przed deszczem.

- I tak jestem już mokry. Pospieszmy się.

Wyszedł pierwszy na dziedziniec i skierował się w stronę prawego skrzydła gmachu.

Znalazłszy się przed drzwiami laboratorium zdarł z nich żółtą taśmę z ostrzegawczym napisem, podczas gdy portier, przekładając parasol z ręki do ręki, grzebał po kieszeniach w poszukiwaniu klucza do urządzenia alarmowego.

Dunworthy co chwila zerkał w kierunku okien mieszkania Gilchrista. Znajdowało się zaraz za zakrętem korytarza, w związku z czym z okien można było dostrzec wejście do laboratorium; w gabinecie płonęło światło, ale nikt się nie poruszał.

Portier wreszcie znalazł klucz, a raczej magnetyczną kartę kodową, wyłączył alarm, po czym, dla odmiany, zaczął szukać klucza do drzwi.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy dobrze robię nie pytając o zgodę pana Gilchrista...

- Panie Dunworthy!

Spojrzeni w kierunku bramy. Przez dziedziniec biegł co sił w nogach Colin, naturalnie w rozpiętej kurtce, a dodatkowo bez szalika na szyi. Miał go pod pachą; dopiero po chwili Dunworthy domyślił się, że chłopiec owinął szalikiem książkę, by choć częściowo uchronić ją przed zmoknięciem.

- W niektórych... częściach... hrabstwa... pojawiła się... dopiero w marcu! - wysapał Colin, robiąc przerwy między wyrazami dla nabrania oddechu. - Przepraszam... że tak dyszę... ale biegłem... całą drogę.

- W których konkretnie? - zapytał Dunworthy.

Chłopiec wręczył mu książkę, po czym, wciąż ciężko sapiąc, zgiął się w pół i oparł ręce na kolanach.

- Tego... nie napisali.

Dunworthy rozwinął szalik i spojrzał na książkę (Colin nawet nie pofatygował się, by ją zamknąć, kartki były więc mokre i pomarszczone), a do tego okulary miał tak zachlapane, że prawie nic przez nie nie widział.

- Najpierw pojawiła się w Melcombe, a stamtąd ruszyła na północ do Bath i na wschód - powiedział chłopiec, odpocząwszy po biegu. - Do Oxfordu dotarła w Boże Narodzenie, a do Londynu w październiku następnego roku, ale podobno niektóre części Oxfordshire oszczędziła aż do późnej wiosny. Były wsie, gdzie ludzie zaczęli umierać dopiero w lipcu.

Dunworthy wciąż wpatrywał się w mokre kartki, choć nie był w stanie odczytać ani słowa.

- To niezbyt konkretne informacje - zauważył.

- Zgadza się, ale wiemy przynajmniej tyle, że nie wszędzie zaraza dotarła w Święta. Kto wie, może Kivrin trafiła do jednej z tych wsi, które ocalały aż do lipca?

Dunworthy strząsnął z kartek krople wody i zamknął książkę.

- Zaraza szła z Bath na wschód - powiedział cicho. - Skendgate leży nieco na południe od drogi z Bath do Oxfordu.

Portier wreszcie znalazł właściwy klucz i włożył go do zamka.

- Zadzwońm jeszcze raz do Andrews, ale nikt się nie zgłaszał - poinformował go chłopiec.

Portier przekręcił klucz i wyjął go z zamka.

- Myśli pan, że uda się otworzyć sieć bez pomocy technika? - zapytał Colin.

Portier odwrócił się gwałtownie w ich stronę.

- Otworzyć sieć? Zrozumiałem, że chodzi panu o dostęp do komputera, bo potrzebuje pan jakichś danych. Pan Gilchrist z pewnością nie pozwoli otworzyć sieci bez zgody pana Basingame'a.

Wyjął z kieszeni kartkę z podrobionym podpisem dziekana i przyjrzał się jej podejrzliwie.

- Pan Basingame nie ma tu nic do rzeczy - oświadczył Dunworthy. - Wystarczy, że ja wyrażam zgodę.

Nacisnął klamkę, otworzył drzwi, po czym wszedł do laboratorium. Portier chciał ruszyć za nim, lecz przeszkodził mu w tym otwarty parasol; Colin błyskawicznie wykorzystał sytuację i dał nura za Dunworthym.

Gilchrist chyba wyłączył ogrzewanie, bo w laboratorium było prawie tak zimno jak na zewnątrz, niemniej jednak mokre okulary Dunworthy'ego od razu zaszyły parą. Natychmiast zdjął je i zaczął bezskutecznie wycierać połą przemoczonyj marynarki.

- Proszę. - Colin wręczył mu kawałek suchego, miękkiego papieru. - To papier toaletowy. Zbieram go, gdzie się da, dla pana Fincha... Zdaje się, że trudno będzie ją znaleźć, nawet jeśli trafimy dokładnie w to samo miejsce, a przecież sam pan mówił, że z tym też mogą być kłopoty.

- Mamy dokładne współrzędne - odparł Dunworthy, wycierając szkła papierem toaletowym. Założywszy je na nos stwierdził, że co prawda są suche, ale za to potwornie zamazane.

- Obawiam się, że muszę prosić pana o opuszczenie laboratorium - oświadczył portier, który wreszcie zdołał złożyć parasol. - Nie mogę pozwolić, żeby bez zgody pana Gilchrista...

Przerwał w pół zdania.

- O kurczę! - mruknął Colin. - To pan Gilchrist.

- Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał Gilchrist. - Co pan tu robi?
- Zamierzam sprowadzić Kivrin - odparł Dunworthy.
- Z czyjego polecenia, jeśli można wiedzieć? Ta sieć stanowi własność college'u Brasenose, pan zaś wtargnął tu bez zezwolenia. - Skierował przesywające spojrzenie na starego portiera. - Przecież powiedziałem panu jasno i wyraźnie, że pan Dunworthy nie ma wstępu na teren college'u!

- Ale... Ale on ma zgodę pana Basingame'a - wyjąkał starsuszek, zasłaniając się kartką niczym tarczą.

Gilchrist wyrwał mu ją z ręki.

- Basingame'a? - Rzucił okiem na niewyraźne pismo. - Przecież to nie jest jego podpis! - wykrzyknął z wściekłością. - Ładne rzeczy, panie Dunworthy: włamanie, a do tego fałszerstwo! Bezzwłocznie zawiadomię stosowne władze, a kiedy wróci pan Basingame, nie omieszkam poinformować go o pańskim...

Dunworthy zrobił krok w jego stronę.

- A ja nie omieszkam poinformować go o tym, że jego zastępca pominął ważne czynności podczas przygotowywania przeskoku, przez co naraził na szwank zdrowie, a może i życie człowieka, a następnie, po stwierdzeniu błędu w obliczeniach, zamknął laboratorium, uniemożliwiając w ten sposób podjęcie akcji ratunkowej. - Gwałtownym gestem wskazał konsolę. - Wie pan, co mówią współrzędne, których nie mogliśmy odczytać przez dziesięć dni z powodu głupoty paru imbecyli nie mających pojęcia o podróżach w czasie? Wie pan, co z nich wynika? Ze Kivrin nie jest w roku 1320, tylko 1348, w samym środku Czarnej Śmierci! - machnął ręką w kierunku monitorów. - I jest tam od dwóch tygodni. Przez pańską głupotę. Przez pańskie...

Zabrakło mu tchu w piersi.

- Nie ma pan prawa mówić do mnie w ten sposób! - stwierdził Gilchrist wyniosłym tonem. - Ani przebywać w tym laboratorium. Żądam, aby pan stąd natychmiast wyszedł!

Dunworthy nie odpowiedział, tylko postąpił krok w kierunku konsoli.

- Wezwać strażników - polecił Gilchrist portierowi. - Niech ich stąd wyrzucą.

Z bliska okazało się, że główny ekran jest nie tyle pusty, co ciemny, podobnie jak ekrany pomocnicze oraz światełka na konsolach. Główny przełącznik znajdował się w pozycji WYŁĄCZONE.

- Wyłączył pan zasilanie - stwierdził Dunworthy z nienaturalnym spokojem. Jego głos niewiele różnił się od głosu Badriego. - Wyłączył pan całą sieć.

- Oczywiście. I całe szczęście, że to zrobiłem. Jakiś wewnętrzny głos podszeptał mi, że jest pan zdolny do najbardziej szalonych czynów.

Dunworthy zachwiał się lekko.

- Wyłączył pan sieć... - powtórzył.

- Dobrze pan się czuje? - zapytał Colin.

- Znając pana podejrzewałem, że nie zawaha się pan nawet przed popełnieniem przestępstwa - stwierdził z satysfakcją Gilchrist. - W związku z tym wyłączyłem zasilanie, by nie dopuścić do nieszczęścia. Wygląda na to, że przeczucie mnie nie myliło.

Dunworthy wielokrotnie słyszał o ludziach "rażonych jak gromem" jakąś niedobłą wiadomością. Kiedy Badri powiedział mu, że Kivrin jest w 1348, odniósł wrażenie, jakby ktoś zdzielił go pałką w głowę, ale teraz, gdy zdał sobie w pełni sprawę, co zrobił Gilchrist, poczuł się tak, jakby runął na asfalt ze szczytu Wieży Carfax.

- Zamknął pan sieć... - wyszeptał. - Straciliśmy współrzędne...

- Straciliśmy współrzędne? Bzdura! Z pewnością są przecież jakieś zapisy pomocnicze, czy coś w tym rodzaju. Jak tylko włączymy zasilanie...

- Czy to znaczy, że teraz nie wiemy, gdzie jest Kivrin? - zapytał Colin.

- Tak - odparł Dunworthy.

Uderzę głową w konsolę, jak Badri, pomyślał padając, ale tak się nie stało. Nogi ugięły się pod nim jak od wielkiego wysiłku, a potem, niczym zemdlona kochanka, osunął się w ramiona zdumionego Gilchrista.

- Wiedziałem, że tak będzie - usłyszał jeszcze głos Colina. - Wszystko przez to, że nie zgłosił się pan na zastrzyk. Babcia Mary obedrze mnie ze skóry.

26.

To niemożliwe - stwierdziła stanowczo Kivrin. - To nie może być 1348 rok.

W głębi duszy musiała jednak przyznać, że to jest możliwe - ba, mało tego: dopiero teraz wiele tajemnic się wyjaśniło i zaczęło układać się w sensowną całość. Śmierć kapelana lady Imeyne. Brak służących. Niechęć Eliwys, by posłać Gawyna do Oxfordu w celu ustalenia tożsamości Kivrin. "W Oxfordzie panuje choroba" - powiedziała lady Yvolde. Czarna Śmierć zaatakowała Oxford w Boże Narodzenie 1348 roku.

- Jak to możliwe? Jak to możliwe? - zapytała powtórnie głosem, który wymknął jej się spod kontroli. - Przecież miałam trafić w 1320. W 1320, nie 1348! Pan Dunworthy powtarzał mi, że powinnam zrezygno-

wać, że ci z sekcji średniowiecza nie wiedzą co robią, ale nie wierzę, żeby posłali mnie w zupełnie inny rok!
- Umilkła na chwilę, po czym wykrzyknęła z przerażeniem: - Uciekajcie stąd, szybko! To Czarna Śmierć!

Spoglądali na nią z takim zdumieniem, że zaczęła się zastanawiać, czy translator nadaje z tłumaczeniem jej słów, czy też słyszą ją mówiącą po angielsku.

- To Czarna Śmierć! - powtórzyła. - Sina choroba!

- Mylicie się... - zaprotestowała nieśmiało Eliwys, lecz Kivrin nie pozwoliła jej dokończyć.

- Lady Eliwys, zejdźcie z lady Imeyne i ojcem Roche do izby.

- Mylicie się - powtórzyła, niemniej jednak posłusznie ujęła teściową pod ramię i poprowadziła w kierunku drzwi. Lady Imeyne trzymała przygotowany kompres z takim nabożeństwem, jakby to był jej relikwiarz. Maisry wybiegła za nimi z pokoju, przyciskając ręce do uszu.

- Ty także idź, ojcze - powiedziała Kivrin do ojca Roche'a. - Ja zostanę przy chorym.

- Aaaa... - jęknął pisarz.

Kapłan odruchowo spojrzął na niego, a zobaczywszy, że chory próbuje się podnieść, natychmiast ruszył w jego stronę. Kivrin w ostatniej chwili zdążyła złapać go za rękaw.

- Nie zbliżaj się do niego, ojcze! - Zastąpiła mu drogę. - Ta choroba jest zakaźna... - Modliła się, żeby translator zdołał jakoś przetłumaczyć to określenie. - Przenosi się z człowieka na człowieka za pośrednictwem pcheł i... - Zawahała się, nie wiedząc, jak opisać zakażenie kropelkowe. - I poprzez wyziewy ciała. To bardzo groźna choroba. Zabija niemal wszystkich, którzy się z nią zetkną.

Wpatrywała się w niego z napięciem. Czy zrozumie? Czy w ogóle może zrozumieć? W XIV wieku nikt jeszcze nie słyszał o istnieniu bakterii, nikt nie miał pojęcia w jaki sposób rozprzestrzeniają się choroby. Ludzie wierzyli, że Czarna Śmierć jest karą wymierzoną przez Boga. Sądziło się, że przenoszą ją mgła, wiatr i czarna magia.

- Ojcze... - wycharczał pisarz.

Ojciec Roche spróbował ominąć ją, by dostać się do chorego, lecz Kivrin ponownie zastąpiła mu drogę.

- Przecież nie możemy zostawić go na pastwę losu - powiedział.

Oni właśnie to zrobili, pomyślała. Uciekli, zostawiając go na pastwę losu. Rodzice porzucali własne dzieci, medycy z daleka omijali chorych, księża uciekali, byle dalej od wiernych.

Schyliła się i podniosła z podłogi pasek płótna, który lady Imeyne oddała przygotowując kompres.

- Musisz zasłonić sobie nos i usta.

Przez chwilę przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami, po czym złożył go na pół i przyłożył do ust.

- Nie tak. Zawiąż go.

Znalazła jeszcze jeden i obwiązała sobie dokoła głowy.

Ojciec Roche uczynił to samo, choć trochę mniej sprawnie, po czym delikatnie odsunął ją na bok, pochylił się nad chorym i położył rękę na jego odsłoniętej piersi.

- Ojcze...

Spojrzał na nią pytająco.

- Nie dotykaj go częściej, niż naprawdę musisz.

Z zapartym tchem przyglądała się badaniu. Bała się, że chory lada chwila pchnie kapłana albo uczepli się go kurczowo, on jednak leżał spokojnie, prawie bez ruchu. Z dymienicy sączyła się krew wymieszana z zielonkawą ropą.

Delikatnie pociągnęła kapłana za rękaw.

- Tego nie wolno dotykać pod żadnym pozorem. Widocznie wrzód pękł, kiedy szarpał się z Rosemundą.

Ostrożnie wytarła krew szmatką, po czym opatrzyła ranę kawałkiem płótna, zawiązując węzeł na barku. Chory nawet się nie skrzywił ani nie próbował nic powiedzieć; kiedy wyprostowała się i spojrzała na niego, przekonała się, że leży nieruchomo, wpatrzony przed siebie nie widzącym spojrzeniem.

- Czy on nie żyje? - zapytała.

- Nie - odparł ojciec Roche, ponownie kładąc mu rękę na piersi. Przyjrzawszy się dokładniej dostrzegła, że pisarz jednak oddycha. - Muszę przynieść oleje święte - dodał kapłan.

Nie, pomyślała Kivrin, czując, jak ogarniają niemożliwa do opanowania panika. Nie odchodź! A jeśli on umrze? Albo rzuci się na mnie?

- Nie obawiaj się - powiedział ksiądz. - Wkrótce wrócę.

Wyszedł, zostawiając otwarte drzwi. Podeszła do nich, by je zamknąć, i usłyszała dobiegające z dołu głosy - jego i Eliwys. Powinna poprosić go, by z nikim nie rozmawiał.

- Ja chcę do Kivrin! - wykrzyknęła Agnes, po czym zaczęła rozpaczliwie szlochać.

Rosemunda odpowiedziała coś gniewnym tonem, próbując przekrzyczeć zawodzącą siostrę.

- Zaczekaj, o wszystkim jej powiem! - odparła Agnes.

Kivrin pospiesznie zamknęła drzwi i zasunęła rygiel.

Nikt tu nie może przyjść. Ani Agnes, ani Rosemunda... Po prostu nikt. Nie wolno jej dopuścić, by narażali się na kontakt z chorobą. Na Czarną Śmierć nie było lekarstwa. Ocaleją tylko wtedy, jeśli się nie zarażą.

Usiłowała przypomnieć sobie wszystko, co czytała o dżumie. Sama wyszukiwała wiadomości w książkach, a oprócz tego sporo dowiedziała się od doktor Ahrens.

Istniały dwa... nie, trzy podstawowe rodzaje choroby. Pierwszy rozprzestrzenił się po organizmie razem z krwią i zabijał ofiarę w ciągu kilku godzin. Drugi rodzaj, dżumę dymieniczą, przenosiły pchły żerujące na szczurach; charakterystyczny objaw stanowił obrzęk węzłów chłonnych pod pachami i w pachwinach. Trzeci rodzaj atakował płuca; chory kasłał i wymiotował krwią, zarażenie zaś następowało drogą kropelkową. Nie ulegało wątpliwości, że pisarz zachorował na dżumę dymieniczą, ta zaś nie była aż tak bardzo zaraźliwa. Przebywanie w pobliżu chorego nie musiało mieć fatalnych skutków; żeby doszło do zarażenia, zdrowa osoba musiała zostać ukąszona przez pchłę, która wcześniej napiła się krwi chorego.

Przypomniała sobie, jak pisarz runął na Rosemundę, zwalając ją z nóg. A jeśli wtedy się zarażyła? Niemożliwe. Nie zarażyła się. Przecież na to nie ma lekarstwa.

Pisarz poruszył się niespokojnie na pościeli.

- Pić... - wyszeptał, na próżno usiłując zwilżyć wargi opuchniętym językiem.

Przyniosła mu kubek wody. Wypił łączywie kilka łyków, po czym zakrztusił się, opryskując ją od stóp do głów.

Cofnęła się raptownie i zdarła z twarzy mokre płótno. Uspokój się, powtarzała sobie w duchu, wycierając mokre plamy na rękawach i piersi. To dżuma dymienicza. W ten sposób na pewno się nie zarazisz. W ogóle się nie zarazisz, bo zostałam zaszczepiona. Ale została zaszczepiona także przeciwko innym chorobom, dostała też zastrzyki wzmacniające układ immunologiczny organizmu, więc nie powinna na nic zachorować, a jednak zachorowała.

Tak samo, jak nie powinna znaleźć się w roku 1348.

- Co się stało? - szepnęła.

Poślizg nie wchodził w grę. Co prawda pan Dunworthy bardzo się martwił, że nie przeprowadzono komputerowych symulacji, ale nawet w najgorszym wypadku pomyłka mogła wynieść kilka tygodni, nie lat. Widocznie coś stało się z siecią.

Pan Dunworthy twierdził też, że pan Gilchrist zupełnie nie zna się na tym, co robi. Chyba miał rację. Ktoś popełnił błąd, w wyniku którego zamiast w roku 1320 znalazła się w 1348, ale dlaczego natychmiast nie ściągnęli jej z powrotem? Nawet jeśli pan Gilchrist nie zorientował się, że coś poszło nie tak jak należy, to przecież był jeszcze pan Dunworthy. Tak długo przekonywał ją, by zrezygnowała z przeskoku... Dlaczego od razu nie otworzył powtórnie sieci?

Ponieważ mnie już tam nie było, odpowiedziała sama sobie na pytanie. Potrzebowali co najmniej dwóch godzin, żeby mnie zlokalizować, a kiedy to zrobili, ja już lażałam po lesie. Ale przecież nie zamknęliby od razu sieci, tylko zaczękaliby na nią! Pan Dunworthy z pewnością nie zostawiłby jej na pastwę losu!

Podbiegła do drzwi i odsunęła rygiel. Musi czym prędzej odszukać Gawyna i zmusić go, żeby wskazał jej miejsce przeskoku.

Pisarz z wysiłkiem uniósł się na łokciu i przełożył jedną nogę przez krawędź łóżka, jakby zamierzał pójść za nią.

- Pomóż mi... - wycharczał.

- Nie mogę ci pomóc! - odparła gniewnie. - Ja nie jestem stąd. Znalazłam się tu przypadkiem. Muszę poszukać Gawyna.

Zaraz jednak uświadomiła sobie, że go tu nie ma, że pojechał do Courcy z sir Bloetem i wysłannikiem biskupa. Z wysłannikiem biskupa, któremu było tak spieszo, że mało nie stratował Agnes.

Zasunęła z powrotem rygiel i odwróciła się do chorego.

- Czy tamci też byli chorzy? - zapytała. - Czy tamci też zarażili się dżumą? - Przypomniała sobie ziemistą cerę kościelnego dostojnika, przypomniała sobie, jak zadrżał z zimna i otulił się szczelniej wspaniałym płaszczem. Zarazi ich wszystkich: sir Bloeta, jego jędzowatą siostrę, rozszczebiotane dziewczęta. I Gawyna. - Od początku wiedziałeś, że jesteś chory, prawda? Wiedziałeś o tym, zanim zsiadłeś z konia?

Wyciągnął do niej ręce jak dziecko.

- Pomóż mi... - wyszeptał, po czym opadł bezwładnie na wznak, mało co nie zsuwając się z łóżka.

- Nie zasługujesz na to, żeby ci pomagać. Sprowadziłeś tu zarazę.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytała gniewnie.

- To ja, ojciec Roche.

Poczuła ogromną ulgę, ale nie ruszyła się z miejsca. Wciąż spoglądała na pisarza leżącego na wznak na krawędzi łóżka. Miał rozchylone wargi, a opuchnięty język wypełniał mu całe usta.

- Wpuście mnie - poprosił ojciec Roche. - Muszę wysłuchać jego spowiedzi.

Jego spowiedzi.

- Nie - odparła stanowczo.

Zastukał powtórnie, nieco mocniej.

- Nie mogę cię wpuścić, ojciec - powiedziała Kivrin. - Ta choroba jest zaraźliwa.

- Ten nieszczęśnik stoi w obliczu śmierci - tłumaczył jej cierpliwie kapłan. - Musi uzyskać rozgrzeszenie, żeby dostać się do nieba.

On i tak nie dostanie się do nieba, pomyślała. Sprowadził tutaj zarazę.

Pisarz otworzył oczy. Były podkrążone i nabiegłe krwią. Oddychał bardzo ciężko, właściwie rzeził. On umiera, przemknęło jej przez głowę.

- Katherine! - odezwał się zza drzwi ojciec Roche.

Umiera zupełnie sam, daleko od domu. Tak jak ja zaledwie kilka dni temu, pomyślała. Ona także przyniosła ze sobą chorobę, a jeśli nikt się od niej nie zaraził, należało zawdzięczać to wyłącznie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Wszyscy jej pomagali: Eliwys, Imeyne, ojciec Roche... Naraziła ich na śmiertelne niebezpieczeństwo, a jednak opiekowali się nią jak mogli. Ojciec Roche trzymał ją za rękę. Udzielił jej ostatniego namaszczenia.

Delikatnie ułożyła chorego wygodniej na łóżku, po czym podeszła do drzwi i odsunęła rygiel.

- Możesz udzielić mu ostatniego namaszczenia, ojcze, ale pod warunkiem, że najpierw porozmawiasz ze mną.

Ojciec Roche założył ornat, zdjął natomiast maskę. Wiatyk i oleje święte przyniósł w niewielkiej skrzyneczce. Postawił ją na skrzyni przy łóżku, po czym przyjrzał się choremu, który oddychał z coraz większym trudem.

- Muszę wysłuchać jego spowiedzi.

- Nie! - syknęła Kivrin. - Najpierw wysłuchasz, co ja mam ci do powiedzenia. - Wzięła głęboki oddech. - Pisarz ma dżumę dymieniczą. To straszliwa choroba. Umierają prawie wszyscy, którzy się nią zarazą. - Mówiła powoli, wsłuchując się w tłumaczenie. - Przenoszą ją pchły żyjące na szczurach, można też zachorować oddychając tym samym powietrzem, co chorzy, dotykając ich ubrań i pościeli.

Umilkła, wpatrując się z napięciem w kapłana. Modliła się w duchu, żeby pojął, żeby zrozumiał. Stał ni-eruchomo, z wyrazem skupienia na twarzy.

- To okropna choroba - powtórzyła. - Dużo gorsza niż dur albo cholera. Zabiła już setki tysięcy ludzi we Włoszech i Francji. W wielu miejscach nie został nikt, kto mógłby pochować zmarłych.

Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Przypomnieliście sobie, kim jesteście i skąd przybywacie.

Z całą pewnością nie było to pytanie.

On myśli, że uciekałam przed zarazą i zablądziłam w lesie, gdzie znalazł mnie Gawyn. Jeśli przyznam mu rację, uzna, że to ja sprowadziłam chorobę... Jednak w spojrzeniu, jakim ją mierzył, nie było pogardy ani potępienia. Poza tym, musiała uczynić wszystko co w jej mocy, żeby zrozumiał.

- Tak.

Czekała na jego reakcję.

- Co musimy zrobić? - zapytał po długiej chwili.

- Przede wszystkim nie wolno nikogo wpuszczać do tego pokoju, ty zaś, ojcze, musisz przekonać lady Eliwys i lady Imeyne, żeby pozamykały drzwi i nie pozwoliły nikomu wchodzić ani wychodzić z domu. To samo dotyczy mieszkańców wsi. Jeśli zobaczą martwego szczura, niech omijają go z daleka. Trzeba zakończyć zabawy i tańce na błoniu. Nikomu nie wolno zbliżać się do dworu, zabudowań gospodarczych i kościoła. W miarę możliwości należy unikać kontaktu z ludźmi.

Kapłan skinął głową.

- Powiem lady Eliwys, żeby zakazała dziewczynkom wychodzić na dwór, a wieśniakom, że mają siedzieć w domach.

Z gardła pisarza wydobył się donośny charkot. Oboje odwrócili się i spojrzeli na chorego.

- Czy nie ma żadnego sposobu, by pomóc tym, których już zmogła ta... dżuma? - spytał, wymawiając z wahaniem nowe dla niego słowo.

Próbowała sobie przypomnieć, jakie środki zaradcze stosowano na terenach objętych chorobą. Niektórzy wdychali zapach suszonych kwiatów, inni pili ziołowe nalewki, jeszcze inni przystawiali pijawki... Niestety, żadna z tych metod nie okazała się skuteczna. Doktor Ahrens twierdziła, że zadziałać mogłyby wyłącznie silne antybiotyki, na przykład takie jak tetracyklina i streptomycyna, te zaś wynaleziono dopiero w dwudziestym wieku.

- Musimy dawać mu dużo pić i pilnować, żeby był ciepło okryty - powiedziała.

Ojciec Roche przez dłuższą chwilę spoglądał współczująco na chorego.

- Bóg z pewnością pomoże mu wrócić do zdrowia.

Obawiam się, że nie, pomyślała Kivrin. Nie zrobił tego. Pozwolił, by umarło pół Europy.

- Bóg nic nie poradzi przeciwko Czarnej Śmierci.

Skinął głową, jakby wcale go to nie zaskoczyło, i wyjął ze skrzyneczki fiolkę ze świętym olejem.

- Musisz założyć maskę, ojcze. - Przyklękła, podniosła z podłogi ostatni pasek płótna pozostawiony przez lady Imeyne, założyła mu go na twarz i zawiązała z tyłu głowy. - Musisz zawsze mieć ją na twarzy, kiedy będziesz zbliżał się do niego - dodała.

- Czy to Bóg zesłał na nas tę chorobę? - zapytał Roche.

- Nie.

- A więc to dzieło Szatana?

Kusiło ją, by odpowiedzieć twierdząco. Większość ludzi wierzyła, iż Czarna Śmierć była dziełem Szatana, dlatego gorliwie szukano jego wysłanników: torturowano Żydów i trędowatych, kamienowano stare kobiety, palono na stosach młode dziewczyny.

- Nikt jej nie zesłał - odparła. - To choroba, taka jak wiele innych, tyle że znacznie bardziej niebezpieczna. Bóg może pomógłby nam, gdyby mógł, ale...

Właśnie: ale co? Ale nas nie słyszy? Ukrył się? Nie istnieje?

- ...nie jest w stanie tego uczynić - dokończyła trochę niezręcznie.

- Więc musimy działać w Jego imieniu?

- Właśnie.

Kapłan ukląkł przy łóżku, przez kilka chwil modlił się z pochyloną głową, a następnie podniósł wzrok na dziewczynę i powiedział:

- Od początku wiedziałem, że Pan przysłał was w dobrej sprawie.

Ona także uklękła i złożyła ręce do modlitwy.

- *Mittere digneris sanctum Angelum...*

Ześlij nam Swego świętego anioła, by strzegł i chronił wszystkich, którzy zgromadzili się w tym domu.

- I nie pozwól, żeby ojciec Roche zachorował - szepnęła Kivrin do rejestratora. - Ani Rosemunda. Niech pisarz umrze, zanim choroba dotrze do płuc.

Kapłan recytował modlitwy tym samym spokojnym głosem, którego brzmienie przynosiło jej tak wielką ulgę, kiedy była chora. Miała nadzieję, że taką samą ulgę odczuwa pisarz, ale trudno było stwierdzić, czy tak jest w istocie. Z powodu osłabienia nie mógł się nawet wypowiedzieć, a kiedy ojciec Roche delikatnie namięcił mu dłoń i czoło, drgnął gwałtownie, jakby zamierzał znowu poderwać się z łóżka. Na odkrytych ramionach pojawiły się liczne zasinienia; to pękały podskórne naczynia krwionośne.

Ojciec Roche przerwał modlitwę, odwrócił się od chorego i spojrzął na Kivrin.

- Czy to są już dni ostatnie? - zapytał. - Czy zbliża się koniec świata zapowiedziany przez wysłanników Boga?

Tak, pomyślała.

- Nie - odparła, kręcąc głową. - To nie koniec świata, tylko po prostu bardzo złe czasy. Okropne czasy. Na szczęście nie wszyscy umrą, a potem nadejdą inne czasy, znacznie lepsze, wspaniałe: renesans, muzyka, wielkie odkrycia... Zostaną wynalezione nowe lekarstwa i ludzie nie będą już musieli umierać na ospę lub zapalenie płuc. Wszyscy też będą mogli najeść się do syta, a domy staną się ciepłe nawet zimą. - Pomyślała o Oxfordzie przygotowującym się do Świąt. - Wszędzie rozjarzy się mnóstwo światła, zagrają dzwony, którymi nikt nie będzie musiał poruszać...

Jej głos podziałął kojąco na pisarza. Oddychał znacznie spokojniej, a po chwili zapadł w drzemkę.

- Nie stój przy nim, ojczu. - Odprowadziła go pod okno i podsunęła mu miskę. - Za każdym razem, jak od niego odejdziesz, musisz umyć ręce. - W misce było mało wody, ale nic na to nie mogła poradzić. - Trzeba myć po nim także naczynia i łyżki. Trzeba też spalić jego ubranie oraz bandaże. Choroba ukryła się w nich i może łatwo przenieść się na kogoś innego.

Wytrzeł ręce w sutannę, po czym zszedł na dół, by przekazać Eliwys, jakie środki należy podjąć. Wrócił ze sporym kawałkiem czystego płótna i miską wody. Kivrin podała płótno na pasy, a następnie obwiązała sobie jeden z nich dokoła głowy, tak by zasłaniał jej nos i usta.

Wody nie starczyło na długo, ponieważ pisarz dość szybko obudził się z drzemki i co chwila prosił pić. Kivrin dawała mu kubek za kubkiem, starając się nie dopuszczać ojca Roche'a w pobliże chorego.

Wreszcie kapłan poszedł do kościoła, by zadzwonić na nieszpór. Zanim dziewczyna zamknęła drzwi, nasłuchiwała przez jakiś czas dobiegających z dołu odgłosów, ale w izbie i na schodach panowała całkowita cisza. Albo wszyscy poszli spać... albo są chorzy, pomyślała, widząc przed sobą Imeyne pochyloną nad pisarzem, Agnes stojącą przy łóżku, Rosemundę usiłującą wydostać się spod jego bezwładnego ciała.

Zasunęła rygiel, wróciła na środek pokoju i zaczęła przechadzać się nerwowo od ściany do ściany. Już za późno, myślała, bezwiednie splatając i rozplatając dłonie. Ile trwa okres inkubacji? Dwa tygodnie? Nie, tyle czasu trzeba na całkowite uodpornienie organizmu po szczepieniu. A więc ile? Trzy dni? Dwa? Nie mogła sobie przypomnieć. Nie wiedziała też, od jak dawna chory zarażał wszystkich dokoła. Kto siedział obok niego podczas uczy? Z kim rozmawiał? Nie obserwowała go wówczas, ponieważ całą uwagę skupiła na Gawynie. Jedyne obrazy, jakie wryły się jej głęboko w pamięć, przedstawiał pijanego pisarza obmacującego Maisry.

Odsunęła rygiel i uchyliła drzwi.

- Maisry!

Nikt nie odpowiedział, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Służąca przypuszczalnie zasnęła albo ukryła się w jakimś kącie, a poza tym duchowny zachorował na dżumę dymieniczą, którą roznosiły pchły żyjące

na szcurach. Istniała spora szansa, że jednak nikogo nie zaraził; niemniej jednak, zaraz po powrocie ojca Roche'a, zostawiła kapłana przy chorym, sama zaś zeszła na dół, by przynieść gorących węgli oraz upewnić się, że wszyscy czują się dobrze.

Imeyne, Rosemunda i Eliwys siedziały przy palenisku. Stara kobieta była pogrążona w modlitwie, dwie młodsze natomiast zajmowały się szyciem. Agnes bawiła się drewnianym wózkiem, przemawiając do niego czule, Maisry zasnęła na jednej z ław przy stole. Nawet we śnie z jej twarzy nie zniknął posępny grymas.

Agnes przejechała wózkiem po stopie lady Imeyne, ta zaś spojrzała z góry na małą i powiedziała:

- Jeśli nie potrafisz się bawić, jak na grzeczną dziewczynkę przystało, możesz zaraz pójść do kąta!

Beztraska Agnes, gwałtowność reakcji starej kobiety oraz uśmiech, jaki przemknął przez twarz Rosemundy, pozwoliły Kivrin wyzbyć się obaw. Wszystko wyglądało tak, jak zawsze... A raczej wyglądałoby, gdyby nie kilka niepokojących szczegółów, które w pierwszej chwili łatwo mogły pozostać nie zauważone.

Zamiast szyc, Eliwys cięła płótno na długie pasy, co chwila spoglądając w kierunku drzwi, podobnie jak lady Imeyne, która poświęcała modlitwie znacznie mniej uwagi niż zwykle. Także Rosemunda, zwijająca płócienne bandaże, często zerkała to na drzwi, to na matkę. Nagle Eliwys poderwała się z miejsca i szybkim krokiem wyszła do sieni. Widocznie ktoś przyjechał, pomyślała Kivrin, ale zaledwie kilka sekund później Eliwys wróciła do izby i z powrotem usiadła przy ogniu.

Kivrin schodziła po schodach najciszej jak potrafiła, lecz jeden z drewnianych stopni skrzypnął pod jej stopą, Agnes odwróciła główkę, zobaczyła ją, rzuciła wózek i popędziła w jej stronę.

- Kivrin!

Chciała się do niej przytulić, lecz dziewczyna wyciągnęła rękę w ostrzegawczym geście.

- Ostrożnie! Te węgle są bardzo gorące.

Naturalnie skłamała, bo gdyby były gorące, nie schodziłaby przecież po nowe, niemniej jednak Agnes zatrzymała się, a następnie cofnęła o krok.

- Dlaczego masz maskę na twarzy? - zapytała. - Opowiesz mi jakąś historię?

Eliwys podniosła się z ławki, Imeyne zaś spojrzała badawczo na Kivrin.

- Jak miewa się chory? - zapytała Eliwys.

Najbliższą prawdy odpowiedzią byłoby: "Bardzo cierpi", ale zdecydowała się na łagodniejszą wersję.

- Gorączka trochę spadła. Musicie trzymać się z dala ode mnie. Choroba może być w moim ubraniu.

Teraz nawet lady Imeyne wstała z ławki, zacisnęła palce na relikwiarzu, po czym, wraz z Eliwys, cofnęła się dwa kroki od paleniska.

Płonęły tam jeszcze resztki wigilijnego polana. Kivrin chwyciła przez spódnicę metalowe przykrycie, zdjęła je z kosza i wysypała szare, stygnące węgle na skraj paleniska. Jeden z nich odbił się od polana, przeskokczył jak żywy przez kamienną krawędź i potoczył się po podłodze.

Agnes roześmiała się radośnie, wszyscy zaś odprowadzili go wzrokiem aż do chwili, kiedy znieruchomiał pod ławą. Wszyscy, z wyjątkiem Eliwys, która ponownie spojrzała w kierunku drzwi.

- Czy Gawyn wrócił już z końmi? - zapytała Kivrin, ale natychmiast pożałowała swojej ciekawości. Odpowiedź mogła przecież wyczytać z niespokojnej twarzy Eliwys, a tak tylko ściągnęła na siebie kolejne, nieprzychylnie spojrzenie lady Imeyne.

- Nie - odparła Eliwys, nie odwracając głowy. - Czy myślicie, że tamci też zachorowali?

- Nie wiem - skłamała, mając przed oczami poszarzałą twarz dostojnika.

- Robi się coraz zimniej - zauważyła Rosemunda. - Może Gawyn postanowił zostać na noc?

Nikt jej nie odpowiedział. Kivrin uklękła przy palenisku i zaczęła grzebać w nim ciężkim pogrzebaczem, przysuwając żarzące się węgle do krawędzi. Przez jakiś czas usiłowała wepchnąć je bezpośrednio do żelaznego kosza, ale po kilku nieudanych próbach zrezygnowała, nagarnęła je na pokrywę i dopiero stamtąd przesyłała do kosza.

- To ty sprowadziłaś na nas to nieszczęście - stwierdziła Imeyne lodowatym tonem.

Serce Kivrin ścisnęło się ze strachu. Szybko podniosła głowę, ale Imeyne nie patrzyła na nią, tylko na Eliwys.

- To za twoje grzechy musimy wszyscy cierpieć.

Eliwys powoli odwróciła się w stronę teściowej. Kivrin spodziewała się ujrzeć na jej twarzy wyraz gniewu, zdumienia, może nawet nienawiści, ale nic takiego nie zobaczyła. Żona lorda Guillaume'a spoglądała na starą kobietę z całkowitą obojętnością, jakby jej myśli zaprzętało coś zupełnie innego.

- Pan zawsze karze cudzołożnice i nie oszczędza ich domów - ciągnęła lady Imeyne. - Teraz ukarał ciebie.

- Pochyliła głowę i przycisnęła relikwiarz do czoła. - To twoje grzechy sprawiły, że Bóg zesłał na nas zarazę.

- Nie ja posłałam Gawyna do biskupa - odparła młodsza kobieta zupełnie spokojnym głosem. - To wyście byli niezadowoleni z usług ojca Roche'a. To wy sprowadziliście tutaj tych ludzi, a z nimi zarazę.

Odwróciła się na pięcie i zniknęła w sieni.

Imeyne długą chwilę stała bez ruchu z pochyloną głową, jakby ktoś uderzył ją w twarz, po czym wróciła na ławę, uklękła i, wpatrując się w płomienie, zaczęła przesuwać między palcami łańcuszek, na którym był zawieszony relikwiarz.

- Opowiesz mi teraz historię? - dopominała się Agnes.

Imeyne oparła łokcie na ławie i przycisnęła dłonie do czoła.

- Tę o nieposłusznej dziewczynce!

- Jutro - odparła Kivrin. - Jutro opowiem ci, co tylko zechcesz.

Wróciwszy z kocem na górę przekonała się, że chory znowu gorączkuje. Miotał się na łóżku, wykrzykując fragmenty mszy żałobnej, jakby to były przekleństwa. Często prosił o wodę; najpierw ojciec Roche, a potem Kivrin, musieli pójść po nią do studni.

Kivrin skradała się na palcach z wiadrem w jednej ręce a świecą w drugiej, modląc się w duchu, żeby Agnes jej nie zobaczyła, ale na szczęście wszyscy już spali - z wyjątkiem Imeyne. Wciąż klęczała przy ławie, pogrążona w modlitwie. Już nie była skulona, lecz sztywno wyprostowana, a jej prosty grzbiet i hardo podniesiona głowa zdawały się powtarzać wciąż to samo oskarżenie: To ty sprowadziłaś na nas to nieszczęście.

Kivrin bezszelestnie wymknęła się na dziedziniec. Gdzieś daleko dzwoniły dwa dzwony - nie wiadomo, czy wzywały wiernych na spóźniony nieszpór, czy ogłaszały o pogrzebie. Przy studni stało wiadro do połowy wypełnione wodą, ale wylała ją na ziemię i nabrała świeżej. Następnie zostawiła wiadro przed drzwiami kuchni i weszła do środka, by wziąć coś do jedzenia. Rozłożyła na stole kawał grubego płótna, którym przykrywano potrawy niosąc je do dworu, naładowała chleba i zimnego mięsa, związała razem wszystkie cztery rogi, przerzuciła sobie tłumok przez ramię, po czym zaniósła wiadro i prowiant na piętro. Jedli siedząc na podłodze przy żelaznym koszu wypełnionym rozżarzonymi węglami. Już po pierwszym kęsie poczuła, jak wracają jej nadwątlone siły.

Pisarz także miał się chyba trochę lepiej, ponieważ zasnął na kilkanaście minut, po czym nagle zaczął się obficie pocić. Wytarła mu całe ciało szorstkim płótnem, on zaś westchnął głęboko, jakby poczuł ogromną ulgę, i ponownie zasnął. Kiedy obudził się jakiś czas później, miał znacznie niższą temperaturę. Kivrin i ojciec Roche postawili na skrzyni oliwną lampkę, po czym na zmianę czuwali przy chorym; ten, kto nie miał dyżuru, odpoczywał na kamiennym siedzisku przy oknie. Było tam za zimno, żeby zasnąć, ale Kivrin zdołała się parę razy zdrzemnąć. Za każdym razem, kiedy budziła się z płytkiej drzemki, zastawała pisarza w lepszym stanie.

Wiedziała z podręczników historii medycyny, że przecięcie dymienic dawało niekiedy zbawienne rezultaty. Z wężła chłonnego pod pachą przestała sączyć się ropa wymieszana z krwią, chory zaś oddychał znacznie lżej i spokojniej niż kilka godzin temu. Może jednak nie był skazany na śmierć?

Niektórzy historycy utrzymywali, jakoby w rzeczywistości Czarna Śmierć nie zabrała aż tylu ludzi jak wynikało z lektury przekazów. Zdaniem pana Gilchrista, liczby podawane w ówczesnych statystykach były znacznie przesadzone, co wynikało z zabobonnego strachu przed chorobą oraz braku wykształcenia. Niemożliwe, żeby dżuma uśmierciła dokładnie połowę mieszkańców każdej osady, wioski i miasteczka; z pewnością były wsie, w których zachorowało tylko parę osób, a także takie, gdzie nikt nie padł ofiarą zarazy.

Zdołała odizolować chorego od domowników, jak tylko zorientowała się, co mu dolega. Nawet ojciec Roche nie zbliżał się do niego zbyt często. Podjęła wszelkie możliwe środki ostrożności a w dodatku, przynajmniej na razie, choroba nie zaatakowała płuc. Może to wystarczy. Może nie będzie więcej ofiar... Jeśli zdoła przekonać ojca Roche'a, że trzeba odciąć wieś od świata, nie wpuszczać obcych i powstrzymać ludzi przed wyprawami do sąsiednich wiosek, może zaraza przejdzie bokiem. Przecież zdarzały się takie przypadki. Nie wiadomo jakim cudem ocalało sporo wsi, a w niektórych zakątkach Szkocji w ogóle nie słyszano o zarazie.

Chyba jednak zasnęła, bo kiedy otworzyła oczy, zrobiło się już prawie całkiem jasno. Była w pokoju sama z chorym. Spojrzała na łóżko. Pisarz leżał nieruchomo na wznak, wpatrując się w sufit szeroko otwartymi oczami. On umarł! - przemknęła jej przez głowę paniczna myśl. Umarł w nocy, a ojciec Roche poszedł wykopać mu grób! Jednak zaraz potem dostrzegła lekkie poruszenia jego piersi. Podeszła i zbadała puls; był bardzo szybki, ale jednocześnie tak słaby, że z trudem zdołała go wyczuć.

Od strony kościoła dobiegło bicie dzwonu. Jutrznia. Naciągnęła maskę na twarz i pochyliła się nad chorym.

- Ojcze... - szepnęła, lecz duchowny chyba jej nie słyszał.

Położyła rękę na jego czole. Gorączka chyba znowu nieco spadła, lecz skóra była nienormalnie sucha i cienka, krwawe wybroczyny zaś na ramionach i nogach wyraźnie ściemniały. Ogniście czerwony, niemal szkarłatny język wystawał częściowo pomiędzy rozchylonych warg.

Pomimo maski poczuła ohydny smród. Czym prędzej wspięła się na kamienne siedzisko i usunęła z okna nawoskowane płótno. Świeże, zimne powietrze miało cudowny zapach. Kivrin stała wychylona do połowy przez okno, z rozkoszą napełniając nim płuca.

Na dziedzińcu nie było nikogo, ale po kilku chwilach, kiedy mróz zaczął szczypać ją w policzki, otworzyły się drzwi kuchni i pojawił się w nich ojciec Roche niosąc przed sobą miskę z czymś parującym. Ruszył w kierunku dworu, ale zanim dotarł do drzwi, z domu wyszła Eliwys i odezwała się do niego. Odpowiedział dopiero wtedy, kiedy się nieco zbliżył, najpierw jednak postawił misę na ziemi i zasłonił maską

twarz. Kivrin stwierdziła z satysfakcją, że kapłan stara się wypełniać jej zalecenia. Zamienili kilka zdań, po czym ojciec Roche wszedł do domu, Eliwys zaś skierowała się ku studni.

Wciąż stojąc na kamiennym siedzisku, Kivrin rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby nagościć nieco świeżego powietrza. Najlepiej do tego celu nadawało się grube płótno przyniesione z kuchni; zeskoczyła na podłogę, chwyciła płachtę i ponownie wspięła się do okna.

Eliwys właśnie wyciągała ze studni wiadro z wodą. Była odwrócona plecami do bramy, nie mogła więc zobaczyć, że na dziedzińcu wszedł Gawyn, prowadząc konia za cugle.

Ujrzawszy kobietę zatrzymał się tak gwałtownie, że idący tuż za nim Gringolet uderzył go łbem w plecy i parsknął zirytowany. Na twarzy Gawyna malował się ten sam wyraz co zwykle: nadziei przemieszanej z pożądaniem i czułością. Kivrin ogarnęła złość, ale zaraz wytłumaczyła sobie, że przecież on o niczym nie wie, że dopiero wrócił z Courcy. Złość ustąpiła miejsca współczuciu, kiedy uświadomiła sobie, co za chwilę powie mu Eliwys.

Kobieta wyciągnęła wiadro, tak, że jego górna krawędź zrównała się z cembrowiną, Gawyn zaś zrobił jeszcze kilka kroków naprzód, po czym znowu stanął jak wryty.

A jednak wie, pomyślała Kivrin. Wie o wszystkim. Widocznie wysłannik biskupa rozchorował się jeszcze w drodze albo zaraz po przybyciu do Courcy, on zaś przyjechał tu czym prędzej, żeby ich ostrzec. Dopiero teraz zorientowała się, że nie przyprowadził koni. A więc mnich także... Tamci dwaj zachorowali, reszta zaś uciekła, zostawiając ich na łaskę losu.

Eliwys usiłowała postawić ciężkie wiadro na cembrowinie, ale bez powodzenia.

Zrobiłby dla niej wszystko, myślała dalej Kivrin. Poszedłby za nią na koniec świata, uwolniłby ją z rąk najokrutniejszych zbójców, ale choćby nie wiadomo jak bardzo się starał, przed tym nie zdoła jej ocalić.

Gringolet, któremu spieszo było do stajni, potrząsnął niecierpliwie łbem. Gawyn chwycił go mocniej za cugle i poklepał uspokajająco, ale było już za późno: Eliwys usłyszała hałas, odwróciła się gwałtownie, przez sekundę lub dwie stała jak sparaliżowana, po czym wypuściła sznur z rąk. Wiadro z donośnym pluskiem wpadło do wody, ona zaś rzuciła się Gawynowi w ramiona.

Przerażona Kivrin aż zasłoniła usta ręką.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Zeskoczyła z siedziska, podbiegła do drzwi i uchyliła je ostrożnie. Na podeście stała Agnes.

- Opowiesz mi tę historię? - zapytała cienkim głosem. Wyglądała tak nędznie, że dziewczynie aż ścisnęło się serce.

Nikt nie zadał sobie trudu, by ją uczesać, toteż zmierzwiłone włosy sterczały spod czepka w różne strony. Nie trzeba też było wielkiej przenikliwości, aby domyślić się, że mała spała przy palenisku; rękaw sukienki, rękę oraz cały policzek miała wymazane sadzami.

Niewiele brakowało, by Kivrin odruchowo wytarła jej buzię, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

- Nie możesz tu wchodzić - powiedziała, jeszcze bardziej przysmykając drzwi, tak że została tylko wąska szpara. - Zarazisz się chorobą.

- Nie mam się z kim bawić! - poskarżyła się Agnes. - Matka dokądś sobie poszła, a Rosemunda śpi i śpi!

- Matka poszła tylko po wodę - odparła Kivrin. - A co z babką?

- Modli się.

Dziewczynka wyciągnęła rączkę, by złapać ją za skraj sukni, ale Kivrin cofnęła się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie!

Usta Agnes wygięły się z podkówkę.

- Dlaczego gniewasz się na mnie?

- Wcale się nie gniewam - powiedziała znacznie łagodniejszym tonem. - Po prostu nie możesz tu wchodzić, i tyle. Pisarz jest bardzo chory. Każdy kto tu wejdzie... - Wszelkie próby wyjaśnienia mechanizmu przenoszenia chorób zakaźnych były z góry skazane na niepowodzenie, a poza tym nie miała na to czasu. - Każdy, kto tu wejdzie, też może zachorować.

- Czy on umrze? - zapytała Agnes, próbując zajrzeć do pokoju.

- Obawiam się, że tak.

- A ty?

- Nie. - Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że przestała się bać. - Idź już. Rosemunda na pewno wkrótce się obudzi. Poproś ją, żeby coś ci opowiedziała.

- A ojciec Roche? Czy on umrze?

- Nie, maleńka. Tymczasem pobaw się swoim wózkiem.

- Ale opowiesz mi historię, jak tylko pisarz umrze?

- Tak. Idź już, proszę.

Po trzech krokach Agnes zatrzymała się i odwróciła.

- My wszyscy też umrzemy?

- Na pewno nie.

Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby nikt nie umarł, pomyślała Kivrin, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie plecami.

Pisarz wciąż leżał bez ruchu. Jego organizm nie reagował prawie na żadne bodźce zewnętrzne, koncentrując się na walce z wewnętrznym przeciwnikiem, którego nigdy do tej pory nie spotkał i przeciwko któremu nie potrafił się skutecznie bronić.

Ponownie rozległo się pukanie do drzwi.

- Idź na dół, Agnes! - zawołała Kivrin.

Okazało się jednak, że to ojciec Roche. Przyniósł miskę z bulionem oraz wiadro wypełnione rozżarzonymi węglami. Wręczył miskę Kivrin, wsypał węgle do żelaznego kosza, po czym ukląkł i zaczął na nie dmuchać.

Ostrożnie powąchała zawartość miski; była już zaledwie lekko ciepła i obrzydliwie cuchnęła. Ciekawe, co to takiego, przemknęło jej przez głowę. Najciekawsze, że działa, bo mnie przecież spędziło gorączkę.

Ojciec Roche wyjął jej miskę z rąk, po czym, przy jej pomocy, spróbował nakarmić chorego, ale opuchnięty język wypełniał prawie całe usta pisarza, i większa część zawartości każdej łyżki spływała mu po brodzie i szyi na poduszkę.

Ktoś znowu zastukał do drzwi.

- Odejdź, Agnes! - zawołała Kivrin, nawet nie starając się ukryć zniecierpliwienia. - Mówiłam ci, że nie powinnaś tu przychodzić!

- Ale matka kazała mi pójść po ciebie i powiedzieć, żebyś zaraz zeszła na dół.

Ojciec Roche zerwał się na nogi i ruszył do drzwi.

- Czy lady Imeyne jest chora?

- Nie. Rosemunda.

Serce Kivrin skurczyło się boleśnie.

Ojciec Roche otworzył drzwi, lecz Agnes nie próbowała wejść do pokoju. Stała na podeście, wpatrując się w jego zasłoniętą maską twarz.

- Rosemunda zachorowała? - zapytał z niepokojem.

- Upadła.

Kivrin przemknęła obok nich i zbiegła po schodach. W głównej izbie ujrzała lady Imeyne pochyloną nad Rosemundą siedzącą na ławie przy palenisku.

- Co się stało?

- Upadłam - odparła dziewczynka ze zdziwieniem. - Uderzyłam się w łokieć.

Lady Imeyne wymamrotała coś niewyraźnie.

- Słucham? - zapytała Kivrin, ale natychmiast uświadomiła sobie, że stara kobieta po prostu modli się półgłosem.

Rozejrzała się po izbie w poszukiwaniu Eliwys, lecz nigdzie jej nie dostrzegła. Maisry kulila się bojaźliwie przy stołowej nodze i Kivrin zaświtała niedorzeczna myśl, że Rosemunda potknęła się o służącą.

- Potknęłaś się o coś?

- Nie. - W głosie dziewczynki wciąż było słycać zdziwienie. - Boli mnie głowa.

- Uderzyłaś się w nią?

- Nie. - Podciągnęła rękaw. - Tylko w łokieć.

Kivrin podciągnęła rękaw jeszcze wyżej i obejrzała łokieć. Znalazła spore zadrapanie, ale nigdzie nie dostrzegła śladu krwi. Zaniepokoilo ją, że dziewczynka wciąż trzyma ramię wykrzywione pod dziwnym kątem. Chyba nie złamała ręki?

- Boli cię tutaj? - zapytała, delikatnie poruszając przedramieniem.

- Nie.

Ostrożnie spróbowała przekreślić je nieco w stawie łokciowym.

- A teraz?

- Też nie.

- Możesz poruszać palcami?

Rosemunda kilka razy zgięła i wyprostowała wszystkie palce. Kivrin zmarszczyła brwi. Może to zwichnięcie? Ale wtedy dziewczynka na pewno miałaby kłopoty z poruszaniem palcami.

- Lady Imeyne, czy zechcielibyście sprowadzić ojca Roche'a?

- On na pewno nic tu nie pomoże - odparła wyniośle stara kobieta, niemniej jednak skierowała się ku schodom.

- Nie martw się - powiedziała Kivrin do Rosemundy. - Myślę, że to nic groźnego.

Dziewczynka spróbowała opuścić ramię, syknęła z bólu i szybko uniosła je do poprzedniej pozycji. Zbladła jak ściana a nad jej górną wargą wystąpiły krople potu.

Wygląda na to, że jednak coś sobie złamała, pomyślała Kivrin. Wyciągnęła ręce, by ponownie zbadać uszkodzony łokieć; Rosemunda cofnęła się gwałtownie i, zanim Kivrin zdążyła zareagować, spadła z ławy na kamienną posadzkę.

Tym razem na pewno uderzyła się w głowę. Bolące ramię leżało przerzucone nad głową dziewczynki; Kivrin przeskoczyła przez ławę, ułękła na podłodze i dotknęła go ostrożnie; Rosemunda poruszyła powiekami, lecz nie otworzyła oczu.

- Rosemundo! Rosemundo, słyszysz mnie?

Żadnej reakcji.

Kivrin rozejrzała się rozpaczliwie dokoła, ale lady Imeyne nie było już ani w izbie, ani na schodach. Zamierzała pobiec po nią na górę, lecz właśnie wtedy Rosemunda otworzyła oczy.

- Nie zostawiajcie mnie samej... - wyszeptwała.

- Muszę sprowadzić pomoc.

Dziewczynka lekko pokręciła głową.

- Ojczy Roche! - zawołała Kivrin, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że nie usłyszy jej przez grube drzwi. Niespodziewanie do izby wbiegła z sieni Eliwys.

- Co się stało? - zapytała, z trudem łapiąc oddech. - Czy to sina choroba?

- Nie - odparła Kivrin. - Potknęła się i upadła.

Dotknęła ręki dziewczynki. Była gorąca. Rosemunda ponownie zamknęła oczy. Oddychała spokojnie i powoli, jakby była pogrążona we śnie.

Kivrin podciągnęła rękaw sukienki aż do barku, po czym odchyliła ramię, by obejrzyć pachę. Rosemunda szarpnęła się gwałtownie, lecz nie zdołała uwolnić się z uchwytu.

Dymienica nie dorównywała wielkością tej pod pachą pisarza, ale była równie czerwona i twarda. Nie, pomyślała rozpaczliwie Kivrin. Tylko nie to. Rosemunda jęknęła, wciąż nie otwierając oczu i ponownie próbowała uwolnić ramię.

- Co się stało? - zawołała Agnes ze schodów. - Czy Rosemunda też zachorowała?

Nie mogę do tego dopuścić! Muszę jak najprędzej sprowadzić pomoc! Myśli przemykały przez głowę Kivrin z prędkością błyskawic. Wszyscy, nawet Agnes, mieli już kontakt z chorobą. Są zgubieni. Nikt ani nic nie zdoła ich uratować. Leki, które mogłyby ocalić im życie, zostaną wynalezione dopiero za sześćset lat.

- To twoje grzechy ściągnęły na nas to nieszczęście - wycedziła lady Imeyne.

Kivrin podniosła głowę. Eliwys wpatrywała się w starą kobietę pustym spojrzeniem, jakby jej nie słyszała.

- Twoje, a także Gawyna - dodała Imeyne.

- Gawyn... - szepnęła Kivrin.

Gawyn wskaże jej miejsce przeskoku. Na pewno czekają tam na nią. Zapyta doktor Ahrens, co trzeba robić. I pana Dunworthy'ego. Doktor Ahrens da jej szczepionki i streptomycynę.

- Gdzie Gawyn? - zapytała głośno.

- Pojechał - odparła Eliwys.

- Pojechał? Dokąd? Muszę z nim porozmawiać. Trzeba zorganizować pomoc!

- Nie ma dla nas pomocy - stwierdziła ponuro lady Imeyne, po czym uklękła obok Rosemundy i złożyła ręce do modlitwy. - To kara Boża.

Kivrin poderwała się na nogi.

- Dokąd pojechał? Muszę wiedzieć!

- Do Bath - powiedziała Eliwys. - Po mojego męża.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(070114-070526)

Chociaż mam pełne ręce roboty, postanowiłam opowiedzieć w skrócie o wszystkim. Pan Gilchrist mówił mi, że w niedługim czasie ma zamiar uzyskać relacje naocznych świadków z okresu panowania Czarnej Śmierci; cóż, nie musi czekać. Oto taka relacja.

Pierwszą ofiarą dżumy padł pisarz towarzyszący wysłannikowi biskupa. Nie mam pojęcia, czy był chory już wtedy, kiedy tutaj przyjechał, czy zachorował później; podejrzewam jednak, że był chory i właśnie dlatego zamiast jechać prosto do Oxfordu zjawili się w domu lorda Guillaume'a. Zamierzali zostawić go tutaj, żeby nie zawiózł choroby do miasta. Rano w Boże Narodzenie nie mógł już wstać z łóżka, co najprawdopodobniej oznacza, że dzień wcześniej pozarażał wszystkich, z którymi się stykał.

Drugą osobą, u której wystąpiły objawy dżumy, jest starsza córka lorda Guillaume'a, Rosemunda. Zachorowała... Dwudziestego szóstego grudnia? Chyba tak. Pomału tracę rachubę czasu. Naturalnie nie jestem specjalistką, ale wydaje mi się, że oboje mają klasyczną dżumę dymieniczną, ze znacznie powiększonymi, czerwonymi i twardymi węzłami chłonnościami pod pachami. Pisarzowi pękł jeden z nich, natomiast dymienica pod pachą Rosemundy ciągle rośnie, choć jest już wielkości orzecha włoskiego. Skóra dokoła niej też jest mocno czerwona, prawie sina. Oboje mają wysoką temperaturę i od czasu do czasu majaczą w gorączce.

Z pomocą ojca Roche'a ułożyłam ich w pokoju Rosemundy na piętrze. Nakazałam wszystkim nie ruszać się na krok z domu i unikać kontaktów ze sobą, ale boję się, że jest już za późno. Przecież w przygotowaniach do uczyty pomagały kobiety ze wsi, parobcy uczestniczyli w zabawie na błoni, cała rodzina zaś przeby-

wała w towarzystwie pisarza a także mnicha i biskupiego wysłannika, którzy, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, także byli nosicielami choroby.

Niestety nie mam pojęcia, czy dżuma jest zaraźliwa przed wystąpieniem wyraźnych objawów ani ile wynosi okres inkubacji. Na szczęście (jeśli w ogóle można mówić o jakimś szczęściu), zarówno pisarz, jak i Rosemunda, zachorowali na dżumę dymieniczą.

Jestem tak przerażona, że nie potrafię zebrać myśli. Co prawda chwilami odzyskuję pewność siebie i wydaje mi się, że jednak jakoś dam sobie radę, ale zaraz potem paniczny strach ogarnia mnie niczym morską falą i muszę mocno chwycić się krawędzi łóżka, bo gdybym tego nie zrobiła, z pewnością zerwałabym się na równe nogi i uciekła z tego pokoju, domu, z wioski, byle dalej stąd!

Co prawda zaszczepiono mnie przeciwko dżumie, ale to jeszcze o niczym nie świadczy, bo dostałam także zastrzyki wzmacniające układ odpornościowy organizmu, a jednak zachorowałam na gripę, czy cokolwiek to było. Za każdym razem, kiedy dotykam pisarza, dostaję gęsiej skórki ze strachu. Ojciec Roche wciąż wspomina o masce, więc obawiam się, że on też zachoruje. Boję się również, że zachoruje Agnes, że Rosemunda umrze, że ktoś z wieśniaków będzie miał dżumę płucną i pozaraża wszystkich dokoła, że Gawyn nie wróci i nie znajdę miejsca przeskoku, i nie będę tam o wyznaczonej porze...

(przerwa)

Chyba trochę się uspokoiłam. To bardzo pomaga, kiedy można się przed kimś wyzalić, bez względu na to, czy ten ktoś słyszy mnie, czy nie.

Rosemunda jest młoda i silna, a zaraza przecież nie zabiła wszystkich. W niektórych wioskach nie umarł ani jeden człowiek.

27.

Zanieśli Rosemundę do jej pokoju i położyli na prowizorycznym pościeliu z futer nakrytych lnianym prześcieradłem. Ojciec Roche poszedł do stajni, by przynieść futra, które służyły Kivrin i dziewczynkom jako przykrycie.

Kivrin obawiała się, że Rosemunda przestraszy się pisarza - z ciemnymi plamami na skórze i groteskowo wielkim językiem wyglądał dość przerażająco - ale ona ledwo na niego spojrzała, po czym ściągnęła buty i kaftan, i z ulgą położyła się na wąskim pościeliu. Kivrin tymczasowo przykryła ją cienką narzutką ze skórek króliczych.

- Czy będę krzyczała i rzucała się na ludzi, jak on? - zapytała dziewczynka.

- Na pewno nie - odparła Kivrin. Spróbowała się uśmiechnąć, ale chyba nie najlepiej jej to wyszło. - Leż spokojnie i odpoczywaj. Boli cię coś?

- Tak, brzuch. - Przycisnęła rękę do żołądka. - I głowa. Sir Bloet opowiadał, że ludzie, którzy mają gorączkę, tańczą jak szaleni, aż w końcu krew wypływa im z ust i umierają. Wiem, że mówił to tylko po to, żeby mnie przestraszyć, ale... Gdzie Agnes?

- Na strychu, razem z waszą matką.

Kivrin nakazała Eliwys, by zabrała Agnes oraz Imeyne, i zamknęła się z nimi na stryszku. Kobieta zrobiła to bez słowa protestu, nie pytając, co stanie się z Rosemundą.

- Wkrótce przyjedzie mój ojciec...

- Nic nie mów, tylko leż i odpoczywaj.

- Babka powiada, że to grzech śmiertelny uciekać przed mężem, ale ja nic nie mogę na to poradzić. Sir Bloet dotyka mnie w nieprzystojny sposób i opowiada okropne historie.

Mam nadzieję, że umrze w męczarniach, pomyślała Kivrin. Mam nadzieję, że już zdążył się zarazić.

- Ojciec będzie tu lada chwila...

- Spróbuj zasnąć, Rosemundo.

- Gdyby był tu sir Bloet, nie odważyłby się teraz mnie dotknąć. - Zamknęła oczy. - To on bałby się mnie, nie ja jego.

Zjawił się ojciec Roche z naręczem futer, po czym znowu zszedł na dół. Kivrin starannie otuliła dziewczynkę, a następnie przykryła pisarza narzutką z króliczych skórek. Leżał spokojnie, ale oddychał z wyraźnym trudem, od czasu do czasu zaś jego piersią wstrząsał słaby kaszel. Usta miał otwarte, dzięki czemu widać było, że tylną część opuchniętego języka pokrywa biały nalot.

Nie mogę pozwolić, żeby to samo spotkało Rosemundę, myślała Kivrin. Przecież ona ma dopiero dwaście lat! Muszę coś wymyślić. Cokolwiek. Dżuma jest chorobą bakteryjną, więc streptomycyna albo sulfonamidy poradziłyby sobie z nią bez trudu; problem polega tylko na tym, że są nieosiągalne, a ja wciąż nie wiem, gdzie jest miejsce przeskoku.

Gawyn pojechał do Bath. Oczywiście, że pojechał. Przecież Eliwys wybiegła mu naprzeciw, rzuciła mu się w ramiona, więc zrobiłby dla niej wszystko, spełniłby każdą jej prośbę.

Nawet gdyby poprosiła go, żeby sprowadził jej męża.

Ile czasu może zająć Gawynowi droga do Bath i z powrotem? Odległość wynosiła siedemdziesiąt kilometrów. Gdyby nie oszczędzał konia, zdążyłby dotrzeć na miejsce w ciągu półtorej doby. W sumie trzy dni, a i to pod warunkiem, że nie natrafi na żadne przeszkody, że szybko odnajdzie lorda Guillaume'a, że nie zachoruje. Co prawda doktor Ahrens twierdziła, że osoby zarażone dżumą umierały w cztery do pięciu dni po wystąpieniu pierwszych objawów, ale Kivrin nie wydawało się prawdopodobne, żeby pisarz zdołał tak długo utrzymać się przy życiu. Znowu miał wysoką temperaturę.

Robiąc miejsce na posłanie Rosemundy wepchnęła pod łóżko skrzynkę lady Imeyne. Teraz wyciągnęła ją na środek pokoju i zaczęła uważnie przeglądać jej zawartość. Były tam najróżniejsze suszone zioła i tajemnicze sproszkowane substancje. Wszędzie, gdzie docierała zaraza, ludzie próbowali ratować się stosując dobrze znane, sprawdzone metody leczenia; niestety nie dawały one żadnego efektu. Może płesznik, jako namiastka antybiotyku... Niestety, w żadnym z lnianych woreczków, w których były przechowywane suszone zioła, nie znalazła charakterystycznych różowych i fioletowych płatków.

Kiedy tylko zjawił się ojciec Roche, posłała go nad strumień po cienkie gałązki wierzby, po czym załaziła je wrzątkiem w misecze.

- Co to jest? - zapytał jakiś czas później kapłan, skosztowawszy łyk naparu. - Bardzo gorzkie.

- Aspiryna - odparła Kivrin. - Przynajmniej mam taką nadzieję...

Ojciec Roche zdołał zmusić pisarza do przełknięcia kilku łyżek; nie wiadomo, czy należało zawdzięczać to dobroczynnemu działaniu naparu, czy jakiejś innej przyczynie, ale nie ulegało wątpliwości, że chory ma znacznie mniejszą gorączkę. Niestety, stan Rosemundy pogarszał się z godziny na godzinę, temperatura rosła, aż wreszcie, mimo kilku warstw futer, którymi była otulona, dziewczynka drżała jak w febrze. Kiedy ojciec Roche poszedł zadzwonić na nieszpór, jej skóra była już tak gorąca, że prawie parzyła.

Kivrin zgarnęła futra i usiłowała obmyć ramiona oraz nogi dziewczynki chłodną wodą, lecz Rosemunda broniała się gwałtownie.

- Nie uchodzi, panie, żebyście mnie dotykali - wymamrotała, szcękając zębami. - Kiedy tylko zjawi się mój ojciec, zaraz mu o wszystkim opowiem.

Ojciec Roche nie wracał. Kivrin ponownie otuliła Rosemundę futrami i zapaliła oliwne lampki, zachodząc w głowę, co mogło go zatrzymać w kościele.

W niepewnym blasku chwiejnych, dymiących płomyków dziewczynka wyglądała jeszcze gorzej. Niemal bez przerwy mamrotała coś pod nosem, wołała Agnes, a w pewnej chwili zapytała z niepokojem:

- Gdzie on jest? Przecież powinien już tutaj być!

Właśnie, pomyślała Kivrin. Dzwon przestał uderzać co najmniej pół godziny temu. Widocznie ojciec Roche poszedł do kuchni, powtarzała sobie, próbując się uspokoić. Albo do Eliwys, żeby powiedzieć jej jak się miewa Rosemunda. Na pewno nie zachorował. Mimo to wspięła się na kamienne siedzisko i wyjrzała przez okno. Na dworze robiło się coraz zimniej, a ciemne niebo zasnęło się chmurami. Na opustoszałym dziedzińcu panowała martwa cisza.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł ojciec Roche.

- Gdzie byłeś, ojcze? - zapytała z uśmiechem, zeskakując na podłogę. - Myślałam...

Przerwała w pół zdania.

Kapłan miał na sobie ornat, do piersi zaś przyciskał fiolkę ze świętym olejem i wiatyk. Odruchowo spojrzała na Rosemundę. Nie, przemknęła jej przez głowę rozpacзлиwa myśl. Nie!

- Odwiedziłem Ulfa Powroźnika i wysłuchałem jego spowiedzi.

Dzięki Bogu! - westchnęła w duchu. A więc nie chodzi o Rosemundę! Jednak zaraz potem dotarło do niej pełne znaczenie jego słów. Był u Ulfa Powroźnika. Zaraza dotarła do wsi.

- Jesteś pewien, ojcze? Widziałeś oznaki choroby?

- Tak.

- Ile osób mieszka w jego chacie?

- Żona i dwaj synowie - odparł bezbarwnym tonem. - Kazałem jej nosić maskę, chłopców zaś wysłałem po wierzbowe witki.

- To dobrze.

Nie było w tym nic dobrego. Chociaż... Powroźnik miał dżumę dymieniczą, nie płucną, więc mimo wszystko istniała nadzieja, że nie zarazi rodziny. Ale ilu ludzi zaraził przedtem, a przede wszystkim, od kogo sam się zaraził? Przecież z pewnością nie zetknął się z pisarzem. Może od któregoś ze służących?

- Czy ktoś jeszcze jest chory?

- Nie.

Fakt, że kapłan nie wiedział o innych przypadkach zachorowań, o niczym nie świadczył. Przecież wieśniacy posyłali po księdza dopiero wtedy, kiedy należało wyspowiadać umierającego. Kto wie, czy we wsi nie ma jeszcze trzech albo czterech chorych. Albo dziesięciu.

Usiadła pod oknem, by zastanowić się, co począć. Nic, przemknęło jej przez głowę. Nic nie możesz zrobić. Zaraza przeskakiwała ze wsi do wsi, z miasta do miasta, zabijając całe rodziny, nie oszczędzając nikogo. Wymordowała pół Europy.

- Nie! - wrzasnęła przeraźliwie Rosemunda, usiłując zerwać się z posłania.

Kivrin i Roche rzucili się, by ją powstrzymać, ale dziewczynka sama opadła z powrotem na legowisko. Próbowali ją przykryć, lecz ona natychmiast odgarniała futra na bok.

- Agnes, ty niedobre dziecko... Zaraz powiem matce... - mamrotała niewyraźnie. - Wypuść mnie. Wypuść mnie natychmiast, słyszysz?

Z każdą chwilą robiło się coraz zimniej. Ojciec Roche dorzucił węgli do piecyka, Kivrin zaś wspięła się na kamienne siedzisko i zasłoniła okno nawoskowanym płótnem, lecz niewiele to pomogło. Skulili się razem przy piecyku i oboje niemal jednocześnie zapadli w niespokojną drzemkę, a kiedy się obudzili, trzęśli się niemal tak samo jak Rosemunda.

Pisarz nie drżał, ale narzekał na przejmujący chłód. Mówił powoli i niewyraźnie, jakby był pijany. Ręce i stopy miał lodowato zimne, pozbawione czucia.

- Powinni się rozgrzać - powiedział Roche. - Musimy znieść ich na dół, do izby.

On wciąż nic nie rozumie, pomyślała Kivrin ze smutkiem. Jeśli w ogóle istniała jeszcze jakakolwiek szansa, to po to, by ją wykorzystać, należało odizolować pacjentów i nie dopuścić do rozprzestrzenienia się choroby. Wiele wskazywało jednak na to, że choroba już się rozprzestrzeniła.

Spróbowała wyobrazić sobie jak się teraz czuje Ulf Powroźnik i co oddałby za kilka chwil spędzonych przy prawdziwym ogniu. Jeśli paleniska we wszystkich chatach wyglądały tak jak w tej, w której schroniła się podczas pierwszej, nieudanej wyprawy do lasu, to mogła mu tylko współczuć. Taki nędzny ogień nie ogrzałby nawet zziębniętego kota.

Koty także umierały podczas epidemii, pomyślała nie wiadomo czemu i spojrzała na Rosemundę. Ciałem dziewczynki wstrząsnął kolejny dreszcz. Już teraz, zaledwie po kilku godzinach, sprawiała wrażenie chudszej, prawie wynędzniałej.

- Życie z nich uchodzi... - szepnął ojciec Roche.

Westchnęła głęboko.

- Wiem. - Zaczęła zbierać porzucane futra i prześcieradła. - Ojczy, każ Maisry rozesać słomę na podłodze.

Pisarz zdołał zejść o własnych siłach, choć ojciec Roche i Kivrin musieli podtrzymywać go z obu stron, ale Rosemundę trzeba było znieść po schodach. Eliwys i Maisry rozłożyły już słomę na podłodze w głębi izby. Agnes spała na ławie, Imeyne natomiast klęczała w tym samym miejscu co poprzedniego wieczoru, z rękami złożonymi do modlitwy.

Położyli Rosemundę obok pisarza, matka zaś przykryła ją futrem.

- Gdzie mój ojciec? - zapytała dziewczynka donośnym, chrapliwym głosem. - Dlaczego jeszcze nie przyszedł?

Agnes poruszyła się we śnie. Gdyby się obudziła, ciekawość z pewnością okazałaby się silniejsza od wszelkich zakazów i mała natychmiast zjawiłaby się przy chorych, aby im się przyjrzeć. Muszę trzymać ją od nich z daleka, pomyślała Kivrin. Ale w jaki sposób? Spojrzała na belki pod sufitem; niestety, były za wysoko, żeby dało się umocować do nich jakąś zasłonę. Po chwili namysłu przyciągnęła najbliższą ławę, położyła ją na boku, następnie zaś chwyciła za drugą, by zbudować coś w rodzaju barykady. Ojciec Roche i Eliwys pospieszyli jej z pomocą. Na koniec wspólnymi siłami zdjęli z kozłów ciężki blat i oparli go ukosem o piramidę z ław.

Zaraz potem Eliwys usiadła obok Rosemundy. Twarz pogrążonej we śnie dziewczynki oświetlał czerwony blask bijący z paleniska.

- Musicie założyć maskę - powiedziała Kivrin.

Eliwys skinęła głową, lecz nie ruszyła się z miejsca. Po chwili, bardzo powoli, jakby z wahaniem, wyciągnęła rękę i odgarnęła córce włosy z czoła.

- Była ulubienicą mego męża... - szepnęła.

Rosemunda spała nieprzerwanie aż do przedpołudnia. Kivrin odsunęła wypalone wigilijne polano, dołożyła kilka sporych kawałków drewna, po czym odsłoniła zziębnięte stopy pisarza, żeby jak najszybciej poczuł ożywcze ciepło.

Kiedy Czarna Śmierć zbierała w Rzymie obfite żniwo, papieski lekarz kazał swemu podopiecznemu siedzieć w pokoju między dwoma otwartymi paleniskami. Papież nie zachorował - niektórzy historycy twierdzili, iż dzięki temu, że żar płomieni zabił groźne bakterie. W rzeczywistości znacznie większe znaczenie miał zapewne fakt, iż Ojciec święty był starannie odizolowany od swej zarażonej trzódki, niemniej jednak z pewnością nie zaszkodziło spróbować. Wszystkiego warto spróbować, pomyślała Kivrin, patrząc na śpiącą Rosemundę, i dołożyła jeszcze kilka kawałków drewna.

Choć było już dawno po wschodzie słońca, ojciec Roche poszedł do kościoła zadzwonić na jutrznię. Dźwięk dzwonu obudził Agnes. Usiadła, ziewnęła rozdzierająco, po czym zobaczyła barykadę z ławek i natychmiast pobiegła w tamtą stronę.

- Kto poprzewracał ławy? - zapytała z przejęciem.

- Nie wolno ci przekraczać tego ogrodzenia - powiedziała Kivrin, trzymając się możliwie daleko od dziewczynki. - Musisz zostać tam, gdzie twoja babka.

Agnes wspięła się na ławę tworzącą podstawę piramidy, chwyciła się sterczącej drewnianej nogi i zapuściła żurawia nad krawędzią blatu.

- Widzę Rosemundę! - wykrzyknęła. - Czy ona umarła?

- Jest bardzo chora - powiedziała Kivrin surowym tonem. - Nie wolno ci się tu zbliżać, rozumiesz? Idź pobawić się wózkami.

- Ja chcę do Rosemundy! - oświadczyła stanowczo mała, przekładając nogę na drugą stronę barykady.

- Ani się waż! - krzyknęła Kivrin. - Natychmiast wracaj do babki!

Agnes znieruchomiała, zaskoczona wybuchem gniewu opiekunki, po czym załżała się łzami.

- Ja chcę do Rosemundy! - szlochała rozpaczliwie, niemniej jednak cofnęła się, zlazła na podłogę, wróciła do Imeyne i, okrutnie nadąsana, usiadła obok niej.

Wrócił ojciec Roche.

- Starszy syn Ulfa jest chory - oznajmił. - Widziałem go. On też ma te... guzy.

Przed południem dowiedzieli się o dwóch kolejnych przypadkach, po południu zaś o jednym. Wśród chorych była także żona rządcy. Wszyscy, oprócz niej, mieli wyraźne dymienice pod pachami.

Kiedy Kivrin i ojciec Roche weszli do izby, akurat karmiła piersią najmłodsze dziecko. Jej szczupła twarz o wyrazistych rysach wydawała się jeszcze bardziej mizerna niż zazwyczaj, ale kobieta nie kasłała ani nie miała torsji; Kivrin w głębi duszy żywiła nadzieję, że dymienice po prostu nie zdążyły się jeszcze pojawić.

- Noście wszyscy maski - nakazała rządcy. - Starajcie się trzymać od niej z daleka. Dziecko niech pije mleko od krowy.

Miała poważne wątpliwości, czy te środki ostrożności dadzą pożądany skutek. Sześcioro dzieci i dwoje dorosłych w dwóch izbach... Oby tylko to nie była dżuma płucna, modliła się w duchu. Oby nikt się nie zaraził.

Całe szczęście, że przynajmniej Agnes jest bezpieczna... Od chwili, kiedy dziewczynka dostała od niej ostrą reprymendę, nie próbowała zbliżyć się do barykady. Przez pewien czas siedziała nadąsana w kącie, wodząc za Kivrin spojrzeniem pełnym wyrzutu (w innych okolicznościach z pewnością wyglądałaby bardzo zabawnie), a kiedy wreszcie doszła do wniosku, że w wystarczający sposób dała wyraz swemu oburzeniu, przyniosła ze strychu ukochany, czerwonozłocisty wózek i zaczęła się nim cichutko bawić.

Rosemunda obudziła się, poprosiła schrypniętym głosem o wodę, a zaspokoiwszy pragnienie natychmiast zasnęła. Ponieważ pisarz także zapadł w drzemkę - może to było tylko złudzenie, ale chyba oddychał lżej i ciszej - Kivrin mogła wreszcie usiąść na skraju posłania Rosemundy i trochę odpocząć.

Właściwie powinna pomóc ojcu Roche'owi zająć się dziećmi rządcy albo przynajmniej dopilnować, żeby założył maskę i mył ręce po każdym kontakcie z chorymi, ale ogarnęło ją tak wielkie znużenie, że nie mogła ruszyć się z miejsca. Położę się na minutkę, pomyślała. Może coś sensownego przyjdzie mi do głowy?

- Chcę do Blackiego! - powiedziała głośno Agnes.

Kivrin gwałtownie podniosła głowę, wyrwana ze stanu, który jeszcze nie był snem, ale niewiele brakowało.

Agnes stała po drugiej stronie barykady w czerwonym czepku i szubce z kapturem nasuniętym na głowę.

- Obiecałaś, że zaprowadzisz mnie na grób mojego pieska.

- Cicho bądź, bo obudzisz siostrę!

Dziewczynka rozplakała się, ale zamiast zawodzić donośnie, jak czyniła zawsze, kiedy chciała postawić na swoim, szlochała cichutko z pochyloną głową. Ona też nie może już więcej wytrzymać, pomyślała Kivrin. Przez cały dzień nikt się nią nie zajmował, nie mogła zbliżyć się do mnie i Rosemundy, wszyscy byli zajęci... Biedactwo.

- Obiecałaś! - powtórzyła Agnes.

- Teraz nie mogę zaprowadzić cię na grób twojego szczeniaka, ale jeśli chcesz, opowiem ci historię. - Przyłożyła palec do ust. - Ale pamiętaj, że musimy być bardzo cicho. Nie wolno nam ich obudzić.

Wskazała ruchem głowy pograżonych we śnie Rosemundę i pisarza.

Agnes wytarła nos rękawem.

- Opowiesz mi o tej dziewczynce, co nie słuchała ojca? - zapytała scenicznym szeptem.

- Tak.

- Czy mój wózek też może posłuchać?

- Oczywiście.

Mała co sił w nogach pobiegła w drugi koniec izby, chwyciła zabawkę, wróciła, po czym bez namysłu zaczęła wspinać się na barykadę.

- Nie wolno ci tu wchodzić! - przypomniała jej Kivrin. - Musisz usiąść na podłodze po swojej stronie, a ja usiądę po mojej

- Nie będę cię słyszeć!

- Na pewno będziesz, tylko nie hałasuj.

Agnes z ociąganiem zeszła na podłogę, przycupnęła tak blisko piramidy z ławek, jak się dało, a następnie postawiła wózek na kamiennej posadzce i pogroziła mu palcem.

- Pamiętaj, że masz być cicho!

Kivrin wstała, sprawdziła, jak czują się jej pacjenci, po czym wróciła na miejsce i oparła się o jedną z ław, czując, jak ponownie ogarniają niemożliwe do przewyciężenia zmęczenie.

- Kiedyś, dawno temu... - ponagliła ją Agnes.

- Kiedyś, dawno temu, daleko stąd, przy wielkim lesie mieszkała mała dziewczynka...

- Ojciec zakazał jej chodzić do tego lasu, ale ona była niegrzeczna i wcale, ale to wcale go nie słuchała!

Skinęła głową, choć mała nie mogła tego zobaczyć.

- Właśnie. Wcale go nie słuchała. Pewnego dnia założyła płaszczyk...

- Cały czerwony, z kapturem - wtrąciła Agnes. - I poszła do lasu, chociaż ojciec ciągle powtarzał jej, żeby tego nie robiła.

Chociaż mówił jej, żeby tego nie robiła... "Nic mi nie będzie, panie Dunworthy. Dam sobie radę".

- Nie powinna tego robić, prawda? - zapytała Agnes donośnym szeptem.

- Oczywiście, ale ona bardzo chciała zobaczyć, co jest w lesie. Poza tym zamierzała zajrzeć tam na krótką chwilkę i zaraz wrócić.

- I tak nie powinna tego robić! - stwierdziła stanowczo dziewczynka. - Ja na pewno nie poszłabym sama do lasu. Tam jest okropnie ciemno.

- W lesie było ciemno, zewsząd dobiegały przerażające odgłosy...

- Wilki!

Kivrin usłyszała jakiś szmer po drugiej stronie barykady; domyśliła się, że Agnes skuliła się jeszcze bardziej i przysunęła do przeszkody, by znaleźć się jak najbliżej opiekunki. Przypuszczalnie już od jakiegoś czasu tuliła do piersi drewniany wózek.

- Nie podoba mi się tutaj, pomyślała dziewczynka i zawróciła do domu, ale nie mogła znaleźć ścieżki, którą przyszła. Nagle zrobiło się zupełnie ciemno, a chwilę potem coś wyskoczyło zza drzewa!

- Wilk! - pisnęła Agnes.

- Nie, to był niedźwiedź. Zatrzymał się, popatrzył na dziewczynkę, po czym zapytał: "Co robisz w moim lesie?"

- Dziewczynka chyba bardzo się przestraszyła... - szepnęła Agnes.

- O, tak. "Proszę, nie zjadaj mnie, panie Niedźwiedziu!" - powiedziała. "Zabłądziłam i nie mogę znaleźć drogi do domu". Niedźwiedź, chociaż wyglądał bardzo groźnie, miał miękkie serce, więc odparł: "Dobrze, pomogę ci wydostać się z lasu". "Ale jak?" - zdziwiła się dziewczynka. "Przecież jest całkiem ciemno". A niedźwiedź na to: "Poprosimy o pomoc sowę. Ona widzi w ciemności".

Opowieść rozwijała się sama, Kivrin zaś stwierdziła ze zdziwieniem, że nie tylko czuje się trochę podnieśiona na duchu, ale także czeka z zainteresowaniem na to, co będzie dalej. Po pewnym czasie Agnes przesłała jej przerywać, kilka minut później zaś Kivrin, nie przestając mówić, wstała i ostrożnie zajrzała na drugą stronę barykady.

- "Czy wiesz jak wyjść z lasu? - zapytał niedźwiedź kruka. Oczywiście - odparł kruk. - Musicie iść..."

Mała spała z główką opartą o ustawiony ukosem blat, przyciskając wózek do piersi. Kivrin pomyślała, że powinna ją czymś przykryć, ale po namyśle postanowiła tego nie robić. We wszystkich futrach i prześcieradłach z pewnością roilo się od bakterii. Spojrzała na lady Imeyne, która wciąż modliła się w kącie z twarzą zwróconą do ściany.

- Lady Imeyne... - zawołała półgłosem, ale stara kobieta albo jej nie usłyszała, albo nie uznała za stosowne przerwać modlitwy.

Kivrin dorzuciła do ognia, po czym wróciła na miejsce, usiadła przy piramidzie z ławek, odchyliła głowę do tyłu i oparła o jedną z nich.

- "Oczywiście, że wiem, jak wyjść z lasu" - powiedział kruk - wyszeptała tak cicho, że sama z trudem usłyszała własne słowa. - "Zaraz wam pokażę". Wzbił się nad wierzchołki drzew, ale poleciał tak szybko i wysoko, że wkrótce stracili go z oczu...

Chyba zasnęła, bo kiedy ponownie otworzyła oczy, ogień dogasał w palenisku, ją zaś okropnie bolał kark. Obie dziewczynki jeszcze spały, lecz pisarz już się obudził. Powiedział coś do niej, jednak nie zdołała zrozumieć ani słowa. Biały nalot pokrywał już cały jego język, natomiast oddech cuchnął tak, że musiała odwrócić głowę. Z wielkiego, niemal czarnego wrzodu pod pachą sączyła się gęsta ciemna ciecz o woni gnijącego mięsa. Kivrin zmieniła bandaż - musiała mocno zacisnąć zęby, ponieważ czuła, że zbiera jej się na wymioty - wyniosła zużyty opatrunek do sieni, po czym starannie opłukała ręce lodowatą wodą ze studni, głęboko wdychając rześkie mroźne powietrze.

Kiedy wracała do domu, dołączył do niej ojciec Roche, który właśnie nadszedł od strony wsi.

- Ulric, syn Hala - powiedział głosem wypranym z emocji. - I najstarszy syn rządcy, Walthef.

Był tak wycieńczony, że nawet nie doszedł do paleniska, by się ogrzać, tylko opadł bez sił na ławę stojącą najbliżej drzwi.

- Jesteś zmęczony, ojczu. Powinieneś położyć się i odpocząć.

Imeyne z wysiłkiem dźwignęła się na nogi, po czym, utykając nieco, ruszyła w ich kierunku.

- Nie mogę - odparł kapłan. - Przyszedłem tylko po nóż, żeby naciąć wierzbowych witek.

Mimo to dowlóknął się do ognia, usiadł ciężko i zapatrzył się w płomienie.

- To ty sprowadziłeś na nas chorobę! - zaskrzeczała lady Imeyne.

Kivrin odwróciła się gwałtownie. Stara kobieta stała na środku izby, wpatrując się w księdza przesywającym spojrzeniem. Wokół złożonych rąk miała owinięty łańcuszek, na którym kołysał się srebrny relikwiarz.

- Twoje grzechy ściągnęły na nas karę Bożą. - Przeniosła wzrok na dziewczynę. - Modlitwę do świętego Marcina odmówił w dzień świętego Euzebiusza. Chodzi w brudnej sutannie. - Przypuszczalnie w taki sam sposób wyliczała przewinienia kapłana siostrze sir Bloeta. - Zdmuchuje świece, a kiedy gasi je palcami, jak należy, robi to tak niezdarnie, że urywa knoty.

Biedaczka stara się zabić w sobie poczucie winy, pomyślała Kivrin, obserwując kobietę. Wysłała Gawyna do biskupa z prośbą o nowego kapelana. Zdradziła miejsce ich pobytu. Nie jest w stanie pogodzić się z myślą, że znacząco przyczyniła się do nieszczęścia. Mimo to nie potrafiła współczuć staruszce. Nie masz prawa oskarżać ojca Roche'a, odparła w duchu na jej zarzuty. Robi wszystko co w jego mocy, żeby pomóc choremu, a ty w tym czasie klęczysz w kącie i mamroczesz swoje modlitwy.

- To nie Bóg zesłał na nas zarazę - odparła lodowatym tonem. - Dżuma jest zwykłą chorobą, jedną z wielu, choć groźniejszą od większości z nich.

Jej słowa nie wywarły na Imeyne najmniejszego wrażenia.

- Pomylił się w wyznaniu wiary. Świece, które były przeznaczone na ołtarz, ustawił na tęczy...

Powoli wycofała się z powrotem do kąta i uklękła z wyraźnym trudem, Kivrin natomiast podeszła do kapłana.

- Nie można nikogo winić za to, co się stało - powiedziała. W dalszym ciągu wpatrywał się w ogień.

- Musieliśmy popełnić jakiś straszny grzech, skoro Bóg postanowił ukarać nas w taki sposób... - wyszeptał.

- Nie popełniliśmy grzechu, ojczu. Nikt nas za nic nie karze.

- *Dominus!* - ryknął nagle pisarz, raptownie siadając na posłaniu. Chciał chyba wykrzyknąć coś jeszcze, ale nie zdołał, ponieważ jego piersią wstrząsnął potworny kaszel. Odgłos był okropny, zupełnie jakby chory próbował wypluć płuća. Hałas obudził Rosemundę, która zaczęła cichutko pojękiwać.

Może i to nie jest kara, pomyślała Kivrin, ale nawet gdyby ktoś bardzo się starał, nie zdołałby wymyślić dotkliwszej.

Sen ani trochę nie pomógł Rosemundzie. Miała wysoką gorączkę i głęboko zapadnięte, szkliste oczy. Na każdy, nawet najmniejszy szmer reagowała gwałtownym ruchem głowy.

Ta choroba ją zabija, uświadomiła sobie Kivrin. Muszę coś zrobić, i to prędko.

Zaczekała na powrót ojca Roche'a, po czym przyniosła z pokoiku na piętrze szkatułkę lady Imeyne. Stara kobieta obserwowała uważnie jej poczynania, ale kiedy Kivrin postawiła przed nią szkatułkę i poprosiła o wyjaśnienie jak działają poszczególne specyfiki, Imeyne zamknęła oczy i pochyliła głowę w modlitewnym skupieniu.

Mimo to dziewczyna zdołała rozpoznać niektóre zioła. Na szczęście doktor Ahrens zmusiła ją, by opanowała podstawowe informacje z dziedziny zielarstwa, dzięki czemu wśród ususzonych lub sproszkowanych korzeni, liści i kwiatów znalazła żywokost, miodunkę plamistą oraz wrotycz pospolity. Jeden z lnianych wreczków zawierał siarczek rtęci, którego nikt przy zdrowych zmysłach nie dałby nawet śmiertelnemu wrogowi, inny zaś nieco naparstnicy o niemal równie zgubnym działaniu.

Zagotowała wody i zrobiła napar ze wszystkich ziół, które udało się jej rozpoznać. W izbie rozszedł się wspaniały zapach, przywodzący na myśl pełną kwiatów łąkę skąpaną w promieniach słońca; ziołowa herbata była znacznie smaczniejsza od naparu z wierzby, ale, niestety, okazała się równie mało skuteczna. O zmroku pisarz kasłał już prawie bez przerwy, natomiast na tułowiu i ramionach Rosemundy pojawiły się czerwone plamy. Dymienica osiągnęła wielkość kurzego jaja i była twarda jak kamień. Kiedy Kivrin dotknęła jej delikatnie, dziewczynka krzyknęła z bólu.

XIV-wieczni medycy okładali powiększone węzły chłonne najróżniejszymi kompresami lub przecinali je, uwalniając zgromadzoną w nich ropę. Upuszczali także ludziom krew i truli ich arsenikiem, dodawa natychmiast w myślach. Co prawda sama była świadkiem, jak po pęknięciu dymienicy stan pisarza poprawił się na jakiś czas; należało jednak liczyć się z ryzykiem rozprzestrzenienia infekcji albo, co byłoby jeszcze gorsze, wprowadzenia jej do krwiobiegu chorego.

Zagrzała nieco wody i przygotowała kilka okładów, lecz choć były zaledwie ciepłe, Rosemunda zaczęła przeraźliwie krzyczeć, kiedy tylko zetknęły się z jej skórą. Kivrin pospiesznie przyniosła zimnej wody, lecz

efekt był dokładnie taki sam. Nie jestem w stanie im pomóc, myślała z rozpaczą, ocierając pot z czoła dziecka. Nic a nic.

Muszę jak najprędzej odszukać miejsce przeskoku. Pamiętała jednak, że las ciągnął się kilometrami, rosły w nim setki dębów i można było natrafić na dziesiątki niemal identycznych polanek. Sama nigdy nie zdoła dotrzeć do właściwej, a poza tym, przecież nie może zostawić Rosemundy.

Może Gawyn niedługo wróci? Przecież podczas zarazy zamykano bramy niektórych miast. Może nie dostanie się do Bath albo spotka po drodze ludzi, którzy stamtąd uciekli, i dowie się od nich o śmierci swego pana? Wracaj jak najprędzej, błagała go w myślach. Pospiesz się. Zostało mi niewiele czasu.

Jeszcze raz przejrzała szkatułkę Imeyne, ostrożnie kosztując zawartości niektórych woreczków. Żółty proszek okazał się siarką. Średniowieczni lekarze często palili ją w pomieszczeniach, w których przebywali chorzy, w nadziei, że cuchnące opary zabijają chorobę. Mieli sporo racji, bo Kivrin wyczytała w podręczniku historii medycyny, że pewne związki siarki mają właściwości bakteriobójcze. Co prawda nie pamiętała, które, niemniej jednak metoda ta wydawała się znacznie bezpieczniejsza od przecinania dymienic.

Na próbę wrzuciła szczyptę proszku do ognia. W górę buchnął kłęb gryzącego dymu, po izbie zaś rozszedł się ohydny smród zepsutych jaj. Pisarz zaniósł się jeszcze donośniejszym kaszlem, a chwilę później to samo uczyniła Imeyne, kiedy odór dotarł do jej kąta.

Kivrin przypuszczała, że nieprzyjemny zapach zniknie po kilku minutach, ale dym uparcie wisiał w powietrzu niczym żółtawa mgła. Maisry nie wytrzymała wreszcie i uciekła na dwór, Eliwys zaś zabrała Imeyne i Agnes na strych, gdzie smród nie dawał się tak bardzo we znaki.

Kivrin otworzyła na oścież drzwi, po czym przez kilka minut zawzięcie wymachiwała wielką płachtą. Powietrze z wolna stawało się bardziej przejrzyste, choć wciąż jeszcze czuła w płucach każdy oddech. Pisarz ani na chwilę nie przestał kasłać, Rosemunda natomiast leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Kiedy Kivrin wzięła ją za przegub, by zbadać puls, wyczuła go tylko z najwyższym trudem.

- Naprawdę nie wiem, co robić! - wyszeptła z rozpaczą, trzymając dziewczynkę za rękę. - Próbowałam już wszystkiego!

Wszedł ojciec Roche, kaszląc i trąc zażawione oczy.

- To tylko siarka - poinformowała go. - Rosemunda chyba czuje się gorzej.

Dotknął czoła dziecka, po czym odwrócił się i bez słowa wyszedł z izby. Uznała to za dobry znak. Przecież nie zostawiłby Rosemundy, gdyby jej stan był naprawdę poważny.

Wrócił po kilku minutach, z wiatykiem i świętymi olejami.

- Co się stało? - zapytała z niepokojem Kivrin. - Czy żona rządcy...

Zawiesiła głos, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami, ale kapłan pokręcił głową.

- Nie.

Spoglądał ponad jej głową na Rosemundę.

Kivrin poderwała się na równe nogi i zagroziła mu drogę do dziecka.

- Nie pozwolę ci - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. - Nie możesz tego zrobić!

- Powinna umrzeć pogodzona z Bogiem - odparł łagodnym tonem, wciąż wpatrując się w dziewczynkę.

- Ona nie umiera!

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i aż zaniemówiła z przerażenia. Rosemunda wyglądała jak nieżywa; leżała bez ruchu, z rozchylonymi ustami i otwartymi oczami wpatrzonymi w sufit, choć najeżało wątpić, czy cokolwiek widzi. Jej cienka jak pergamin skóra przybrała okropny, żółtoszary odcień. To niemożliwe! - przemknęła Kivrin przez głowę paniczna myśl. Muszę coś zrobić, żeby do tego nie dopuścić. Przecież ona ma dopiero dwanaście lat!

Ojciec Roche postąpił krok naprzód, Rosemunda zaś uniosła rękę, wyciągnęła ją ku niemu w błagalnym geście, a następnie pozwoliła jej bezwładnie opaść.

- Trzeba otworzyć wrzód z ropą - powiedziała Kivrin, zaskakując tym samą siebie. - Może dzięki temu choroba opuści jej ciało.

Spodziewała się sprzeciwu, żądania, by najpierw dziewczynka spróbowała się wypowiedzieć, ale ojciec Roche bez słowa postawił kielich i fiolkę na kamiennej posadzce, a następnie poszedł do kuchni po nóż.

- Tylko żeby był ostry! - zawołała za nim. - I przynieście też wino!

Ponownie postawiła na ogniu gar z wodą. Kiedy kapłan przyniósł nóż, starannie umyła ostrze świeżą wodą z wiadra, zeszkrobała, na ile się dało, rdzę oraz zaschnięty brud, potem owinęła rękojeść jakąś szmatą, przez kilka minut rozgrzewała ostrze w płomieniach, na koniec zaś polala je winem i opłukała we wrzątku.

Wspólnymi siłami ułożyli Rosemundę przy palenisku w taki sposób, aby jak najwięcej światła padało na pole operacyjne. Ojciec Roche ukląkł przy głowie dziewczynki, Kivrin natomiast delikatnie obnażyła jej ramię i bark. Kapłan ostrożnie podniósł ramię dziecka i unieruchomił je w silnym uścisku. Powiększony węzeł chłonny widać było jak na dłoni.

Osiągnął już wielkość jabłka, skóra dokoła niego była ogniście czerwona. Środkowa część dymienicy dorównywała twardością ziemniakowi, ale bliżej krawędzi była miękka, wręcz galaretowata.

Kivrin wytarła ją delikatnie czystą szmatką nasączoną winem. Odniosła wrażenie, że dotyka kamienia ukrytego płytko pod skórą. Nie miała pojęcia, czy nóż zdoła przebić skórę - chyba że z boku, tam gdzie guz nie był tak twardy.

Podniosła nóż... i zawahała się, ponieważ nagle ogarnął ją lęk, że uszkodzi tętnicę, że doprowadzi do rozprzestrzenienia infekcji, że tylko pogorszy sytuację.

- Ona nie czuje już bólu - powiedział łagodnie ojciec Roche.

Kivrin spojrzała w dół, na Rosemundę. Dziewczynka nie poruszyła się nawet wtedy, kiedy manewrowali jej ramieniem i obmywali nabrzmiałą dymienicę. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ich twarze, lecz zamiast nich widziała chyba coś nieporównanie bardziej przerażającego. Nie zdołała jej zaszkodzić, pomyślała Kivrin. Nawet jeśli ją zabije. Jej w żaden sposób nie można już zaszkodzić.

- Przytrzymaj ramię, ojczu.

Roche chwycił za przegub i przedramię, i z całej siły przycisnął je do podłogi. Nawet wtedy dziewczynka nie zaprotestowała ani nie próbowała się wyrwać.

Dwa szybkie cięcia. Jak najprędzej, żeby ograniczyć ból do minimum.

Wstrzymała oddech i przyłożyła ostrze do opuchlizny.

Rosemunda wyprężyła się raptownie, jakby pod wpływem wstrząsu elektrycznego, a jej szczupła, obciążona wysuszoną skórą ręka zacisnęła się w pięść.

- Co robicie? - wychrypiała. - Poskarżę się ojcu!

Kivrin pospiesznie cofnęła nóż, ojciec Roche zaś z najwyższym trudem unieruchomił ramię dziewczynki. Rozpaczliwie, ale bez powodzenia, usiłowała odepchnąć go drugą ręką.

- Jestem córką lorda Guillaume D'Iverie! - wykrzykiwała. - Nie wolno wam traktować mnie w taki sposób!

Niewiele brakowało a zawadziłyby ręką o nóż. Kivrin wycofała się szybko i zerwała na nogi, starając się niczego nim nie dotknąć. Korzystając z tego, że zadyszana dziewczynka na chwilę przestała się szamotać, ojciec Roche chwycił jej drugą rękę i unieruchomił w swych silnych dłoniach. Rosemunda natychmiast zaczęła wierzcąc nogami. Nikomu nie wyrządziła krzywdy, ale zdołała przewrócić kielich i wylać resztkę wina.

- Musimy ją związać - zdecydowała Kivrin.

Nagle uświadomiła sobie, że stoi z uniesionym nożem, jak morderczyni. Pospiesznie zwinęła go w kawałek czystego płótna, po czym zabrała się do darcia na pasy szmat, których sporo wałało się na podłodze.

Ojciec Roche związał Rosemundzie ręce, Kivrin zaś skrepiła jej nogi w kostkach i uwiązała do jednej z przewróconych ław. Rosemunda nie bronila się, ale kiedy kapłan odsunął na bok jej koszulę, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

- Ja ciebie znam! To ty napadłeś w lesie na lady Katherine!

Ojciec Roche ponownie oparł się całym ciężarem ciała na ramionach dziewczynki, Kivrin zaś wzięła głębokimi wdech i rozcięła skórę.

Krew trysnęła obfitym strumieniem. Mój Boże, trafiłam na tętnicę! - przemknęła jej przez głowę rozpaczliwa myśl. Oboje z ojcem Roche'em rzucili się po przygotowane opatrunki, ale ona była pierwsza; chwyciła cały stos i przycisnęła do rany. Błyskawicznie przesiąkły krwią, a kiedy odrzuciła je na bok, zobaczyła, jak z niewielkiej rany tryska cienki, lecz silny strumień. Próbowała zatamować krwotok gołymi rękami, ale bez powodzenia. Nagle z gardła Rosemundy wydobył się cichy, żaloszny odgłos, podobny do skamlenia Blackiego, po czym dziewczynka przestała się szamotać i opadła bezwładnie na posłanie.

Zabiłam ją, pomyślała Kivrin.

- Nie mogę powstrzymać krwotoku! - syknęła do kapłana, lecz po chwili stwierdziła, że to nieprawda. Krwotok ustał.

Na wszelki wypadek policzyła do stu, a potem jeszcze do dwustu, po czym ostrożnie cofnęła rękę. Krew sączyła się leniwie, razem z nią zaś z rany wydobywała się szarozółta ropa. Ojciec Roche pochylał się, by ją wytrzeć, lecz Kivrin powstrzymała go ruchem ręki.

- Nie dotykaj tego, ojczu. Tam roi się od bakterii.

Sama zebrała ropę jednym z bandaży. Natychmiast wypłynęła kolejna porcja, potem zaś wodnista surowica.

- To chyba wszystko - mruknęła. - W każdym razie, tak mi się wydaje. Podaj mi wino, ojczu, jeśli jeszcze trochę zostało.

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś czystej szmatki, ale nigdzie nie mogła jej dojrzeć. Zużyli wszystkie, usiłując opanować krwotok. Rada nie rada, ostrożnie przechyliła kamionkową butelkę i wylała nieco wina na ranę. Rosemunda nawet nie drgnęła. Miała popielatoszarą twarz, jakby zupełnie się wykrwawiła. Istotnie, straciła mnóstwo krwi. A ja nie mogę zrobić jej transfuzji, pomyślała Kivrin. Co tam transfuzja; nie mam nawet czystej szmaty!

Ojciec Roche zdjął więzy z rąk dziewczynki i delikatnie ujął ją za przegub.

- Jej serce uderza znacznie mocniej.

- Potrzeba więcej czystego płótna - powiedziała Kivrin, a następnie wybuchnęła płaczem.

- Mój ojciec każe was za to powiesić... - wyszeptła Rosemunda.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(071145-071862)

Rosemunda jest nieprzytomna. Wczoraj wieczorem rozciąłam jej dymienicę pod pachą, ale chyba tylko pogorszyłam sytuację. Utraciła mnóstwo krwi, a teraz jest śmiertelnie blada i ma tak słaby puls, że prawie nie mogę go wyczuć.

Pisarz też wygląda znacznie gorzej. Podskórne wylewy pojawiają się w coraz to nowych miejscach i wszystko wskazuje na to, że zbliża się koniec. Co prawda doktor Ahrens twierdziła, że dżuma zabija w ciągu czterech do pięciu dni, ale nie wydaje mi się prawdopodobne, by ten biedak przetrwał aż tak długo.

Lady Eliwys, lady Imeyne oraz Agnes czują się dobrze, choć lady Imeyne zachowuje się jak szalona, usiłując za wszelką cenę znaleźć kogoś, na kogo mogłaby zrzucić całą winę. Dziś rano natarła Maisry uszu i powiedziała, że Bóg pokarał nas za jej głupotę i lenistwo.

Maisry rzeczywiście jest leniwa i głupia. Boję się zostawiać Agnes pod jej opieką. Kiedy posłałam ją po wodę potrzebną do przemycia rany Rosemundy, przepadła na pół godziny, po czym wróciła z pustymi rękami.

Mimo to, nic jej nie powiedziałam, bo nie chciałam, żeby lady Imeyne znowu ją uderzyła, a poza tym zdaje sobie sprawę, iż już niebawem przyjdzie kolej na mnie i to ja zostanę oskarżona o sprowadzenie zarazy. Zauważyłam spojrzenie, jakim obrzuciła mnie, gdy wychodziłam po wodę, której zapomniała przynieść służąca, i bez trudu odczytałam jej myśli: za dużo wiem o chorobie, za wiele pamiętam jak na osobę, która utraciła pamięć, byłam chora, ale wyzdrowiałam, teraz zaś chorują wszyscy dokoła mnie...

Boję się, że jeśli zacznę mnie oskarżać, nadszarpienie zaufanie, jakim darzy mnie lady Eliwys, a wtedy zdemontują barykadę z ławek, uklękną wszystkie wokół paleniska i będą się modlić o ratunek.

W jaki sposób powinnam bronić się przed zarzutami? Czy mam powiedzieć: Słuchajcie, przybywam z przyszłości, gdzie potrafimy sobie radzić ze wszystkimi chorobami, łącznie z dżumą, tyle że jedynym lekarstwem jest streptomycyna, a ja nie wiem, jak wrócić do moich czasów, żeby ją zdobyć?

Gawyna wciąż nie ma. Eliwys nie posiada się z niepokoju. Kiedy ojciec Roche szedł zadzwonić na nieszpór, odprowadziła go do bramy i stała tam bardzo długo, wpatrzona w ciemność. Wątpię, czy przyszło jej do głowy, że mógł zarazić się jeszcze przed wyruszeniem w podróż; przecież towarzyszył wysłannikowi biskupa w drodze do Courcy, a ten prawie na pewno zaraził się od swego pisarza.

(przerwa)

Ulf Powroźnik jest bliski śmierci, zachorowała też jego żona i jeden z synów. Nie zauważyłam powiększonych węzłów chłonnych, ale kobieta ma coś w rodzaju grubej wysypki na wewnętrznej stronie uda. Muszę bez przerwy przypominać ojcu Roche'owi, żeby nosił maskę i nie dotykał pacjentów częściej niż to jest konieczne.

Twórcy filmów historycznych, których akcja toczy się w epoce Czarnej Śmierci, pokazywali ludzi podobnych do stada przerażonych zwierząt - uciekali w popłochu, pozostawiali chorych i umierających bez opieki, nie grzebali zmarłych. Ich zdaniem pierwsi uciekali księża. To nieprawda.

Oczywiście wszyscy są przerażeni, niemniej jednak każdy stara się jak może, a ojciec Roche jest po prostu cudowny. Przez cały czas, kiedy badałam żonę Ulfa, siedział przy niej i trzymał ją za rękę, i nie wzdraga się przed wykonywaniem najcięższych, najbardziej nieprzyjemnych robót. W dodatku nigdy nie zobaczyłam na jego twarzy grymasu lęku. Naprawdę nie wiem, skąd czerpie tę nadludzką odwagę.

Jak zwykle odmawia godzinki i nieszpory, opowiada Bogu o Rosemundzie i pozostałych chorych, skrupulatnie zdaje relację z tego, kogo i czym staramy się leczyć, zupełnie jakby On mógł go słyszeć. Zupełnie tak, jak ja mówię teraz do pana, panie Dunworthy.

Czasem myślę sobie, że być może Bóg jednak istnieje, tylko jest od nas odgradzony barierą jeszcze trudniejszą do pokonania niż otchłań czasu. I chociaż nas słyszy, nie jest w stanie pospieszyć nam z pomocą.

(przerwa)

Nie widzimy zarazy, ale doskonale ją słyszymy. W każdej wsi po pogrzebie biją w dzwon: dziewięć uderzeń dla mężczyzny, trzy dla kobiety, jedno dla dziecka, a potem godzina bezustannego dzwonięcia. Dziś rano w Esthcote były dwa pogrzeby, a w Osney dzwon nie milknie od wczoraj. Ucichł natomiast dzwon na południowym zachodzie - ten, który usłyszałam jako pierwszy zaraz po przeskoku. Nie wiem, czy oznacza to, że zaraza już stamtąd odeszła, czy raczej, że we wsi nie pozostał nikt żywy.

(przerwa)

Nie pozwól, żeby umarła Rosemunda. Nie pozwól, żeby umarła Agnes. Przyślij z powrotem Gawyna.

28.

W nocy zachorował chłopiec, który uciekł przed Kivrin, kiedy ta podjęła pierwszą, nieudaną wyprawę do lasu. O świcie matka czekała na ojca Roche'a przed kościołem. Chłopak miał dymienicę na szyi, nie pod pachą; ksiądz i matka przytrzymali dziecko na pościeli, Kivrin zaś przecięła twardą, niemal fioletową skórę.

Zrobiła to z silnymi wewnętrznymi oporami, ponieważ chłopiec i tak był już bardzo wycieńczony z powodu skorbutu, ona zaś nie miała pojęcia, czy w pobliżu nie przebiegają jakieś ważne nerwy albo tętnice. Poza tym, po identycznym zabiegu Rosemunda wcale nie czuła się lepiej, choć ojciec Roche zaklinał się, że jej puls stał się znacznie silniejszy. Dziewczynka była tak blada, jakby w jej ciele nie pozostała ani kropla krwi, i leżała zupełnie bez ruchu. Chłopiec nie wyglądał na kogoś, kto może sobie pozwolić na utratę znacznej ilości krwi.

Jednak, ku jej zdziwieniu, krwotok był bardzo mały, policzki chłopca zaś zaróżowiły się jeszcze zanim skończyła cięcie.

- Dajcie mu herbaty z owoców dzikiej róży - poleciła. Naturalnie zdawała sobie sprawę, że dzika róża nie jest skutecznym lekarstwem na dżumę, ale odrobina witaminy C z pewnością nie mogła mu zaszkodzić. - I naparu z wierzbowej kory.

Przytrzymała ostrze noża nad płomieniem. Ognisko rozpalone na środku chaty, a raczej szałas, było równie nędzne jak tamtego dnia, kiedy usiłowała się przy nim ogrzać. Nie mogła jednak powiedzieć kobiecie, żeby poszła po drewno, bo w ten sposób naraziłaby kogoś na zarażenie.

- Przyniosę wam trochę opału - oświadczyła, lecz natychmiast przyszło jej do głowy, że niełatwo będzie jej zrealizować obietnicę.

Po świątecznej uczcie zostało jeszcze sporo jedzenia, ale inne zapasy kurczyły się w zastraszającym tempie. Próbuąc ogrzać izbę zużyli większą część narąbanego drewna, nie było zaś kogo poprosić, by pociął na mniejsze kawałki potężne kłocę ułożone w stos przy ścianie kuchni; powroźnik zachorował, rządcą natomiast opiekował się żoną i synem.

Zebrała naręczę szczap, dołożyła trochę kory na podpałkę i wyruszyła z powrotem do chaty. Najchętniej przeniosłaby chłopca do dworu, ale Eliwys chyba nie dałaby rady pielęgnować jeszcze jednego pacjenta; sama wyglądała tak, jakby miała lada chwila zemdleć z osłabienia.

Całą noc przesiedziała przy córce, pojąc ją wywarem z wierzbowej kory i zmieniając opatrunki na ranie. Ponieważ zabrakło czystego płótna, podarła na pasy swój największy czepiec. Co kilka minut podnosiła się z miejsca, szła do drzwi i wyglądała na zewnątrz, jakby usłyszała czyjeś kroki; przez chwilę stała w progu, nasłuchując, po czym wracała za barykadę z ławek. Z rozpuszczonymi, sięgającymi ramion włosami, sprawiała wrażenie niewiele starszej od Rosemundy.

Kivrin rzuciła drewno na klepisko obok pustej klatki. Szczur przypuszczalnie został zabity; czy sąd uznałby go za współwinnego nieszczęścia, jakie spadło na tych ludzi? - przemknęło dziewczynie przez głowę.

- Bóg nie zapomina o nas w trudnych chwilach - powiedziała kobieta, uklękła przy ogniu i zaczęła ostrożnie dokładać drewno.

Kivrin ponownie obejrzała chłopca. Z rany sączyła się bezbarwna przezroczysta ciecz, co stanowiło dobry znak; Rosemunda po zabiegu krwawiła całą noc, potem zaś dymienica zaczęła rosnąć od nowa. Kivrin doskonale zdawała sobie sprawę, że nie może przeciąć jej raz jeszcze. Utrata kolejnej porcji krwi z pewnością zabiłaby dziewczynkę.

Ruszyła z powrotem do dworu, zastanawiając się, czy zmienić Eliwys, by ta wreszcie przespała się choć trochę, czy raczej spróbować narąbać drewna. Kiedy mijała dom rządcy, spotkała ojca Roche'a, który poprosił ją, by weszła do środka. Zachorowało kolejnych dwoje dzieci.

Byli to najmłodszy chłopcy. Nie ulegało wątpliwości, że obaj mają dżumę płucną. Kasłali niemal bez przerwy, ich matka zaś wymiotowała wodnistym śluzem. "Bóg nie zapomina o nas w trudnych chwilach". Rzeczywiście.

Kiedy wreszcie Kivrin dotarła do dworu i weszła do izby, natychmiast poczuła wciąż jeszcze wyraźny smród siarki. W żółtawym świetle ramiona pisarza wydawały się niemal czarne. Ogień był równie nędzny jak w chacie ubogiej kobiety. Kivrin przyniosła resztkę porąbanego drewna, a następnie powiedziała Eliwys, żeby położyła się spać, bo teraz ona zajmie się Rosemundą.

Eliwys pokręciła głową.

- Nie trzeba - odparła, po czym dodała szeptem: - Mija już trzeci dzień, odkąd jest w drodze...

Do Bath było siedemdziesiąt kilometrów: półtorej doby jazdy konno i tyle samo z powrotem, naturalnie pod warunkiem, że udało mu się zdobyć wypoczętego wierzchowca. Gawyn mógł zjawić się lada chwila - jeśli od razu odszukał lorda Guillaume'a, jeśli bezzwłocznie wyruszyli w drogę powrotną...

Jeśli w ogóle wróci, pomyślała Kivrin.

Eliwys ponownie zerknęła w kierunku drzwi, jakby usłyszała czyjeś kroki, ale w izbie słychać było jedynie głosik Agnes przemawiającej czule do drewnianego wózcza. Otuliła go chustką jak kocem i kołysała w ramionach.

- On też ma siną chorobę - poinformowała z powagą opiekunkę.

Kivrin spędziła resztę dnia wykonując różne prace domowe: przyniosła wodę, ugotowała coś w rodzaju zupy, wielokrotnie opróżniała nocniki. Na dziedziniec przysła krowa rządcy z wymionami wezbranymi mlekiem; najwyraźniej, mimo zaleceń Kivrin, niemowlę nadal było karmione piersią. Wychudzona krowina tak długo laziła za nią i trącała ją pyskiem, że wreszcie Kivrin dała za wygraną i wydoiła nieszczęsne zwierzę. W przerwie między odwiedzinami w domu rządcy i u chorego chłopca, ojciec Roche narąbał nieco drewna; niestety nie porozbijał go na drobne szczapy, musiała więc taszczyć do domu grube, ciężkie pniaki.

O zmierzchu zjawił się rządcza z informacją, że zachorowała młodsza córka. To już ósmy przypadek, pomyślała Kivrin, a przecież wioska liczy zaledwie czterdziestu mieszkańców. Według przekazów historycznych, na dzumę zmarło od jednej trzeciej do połowy stanu ludności Europy, ale pan Gilchrist twierdził, że te dane są mocno przesadzone. Jedna trzecia oznaczałaby trzynaście przypadków, czyli zaledwie o pięć więcej niż do tej pory. Połowa to dwanaścioro kolejnych chorych; niewiele, zważywszy na fakt, że wszystkie dzieci rządcy, a także on sam, mieli już kontakt z chorobą.

Popatrzyła na nich ze smutkiem: na ciemnowłosą jak ojciec dziewczynkę o krępej sylwetce, szczupłego chłopca o pociągłej twarzy odziedziczonej po matce, maleńkie niemowlę. Wszyscy zachorujecie i prawie na pewno umrzecie, pomyślała. Ale może dzięki temu ocaleje ktoś inny.

Nie czuła żadnych emocji, do jej oczu nie napłynęły łzy, nie ścisnęło się serce - nawet wtedy, kiedy niemowlę rozplakało się głośno, a najstarsza dziewczynka wzięła je na kolana i dała mu do ssania brudny palec. Trzynaście, modliła się w duchu. Może dwadzieścia. Ale nie więcej.

Nie współczuła także pisarzowi, choć stało się jasne, że nie dotrwa do świtu. Usta i język miał pokryte brązowym śluzem, kasłał bezustannie, spluwając wodnistą śliną wymieszaną z krwią. Pielęgnowała go nie myśląc o tym, co robi.

Wszystko przez brak snu, przemknęło jej przez głowę. To dlatego wszyscy jesteśmy tacy otępiali. Skuliła się przy ogniu i próbowała zasnąć, ale bezskutecznie. Była tak wyczerpana fizycznie i psychicznie, że nie mogła zmrużyć oczu. Jeszcze ośmioro, powtarzała sobie bez przerwy, rachując w myślach. Matka. Żona powroźnika. Jej dzieci.

Jeszcze czworo.

Oby tylko nie Agnes. Ani Eliwys. Ani ojciec Roche.

O świcie ojciec Roche znalazł kucharkę leżącą w śniegu przed jej chatą. Prawie zamarzła i bardzo kasłała, spluwając samą krwią.

Dziewięć.

Kucharka była wdową, nie miała żadnych krewnych, więc przynieśli ją do dworu i ułożyli w głównej izbie obok pisarza, który nie wiadomo dlaczego wciąż żył. Podskórne krwotoki wystąpiły już na całym jego ciele; ramiona i nogi miał zupełnie czarne, tułów zaś fioletowosiny. Czarną szczecinę, która wyrosła na jego policzkach i brodzie, łatwo można było uznać za jeden z objawów choroby.

Rosemunda leżała bez ruchu, blada i milcząca, zawieszona między życiem i śmiercią. Eliwys obsługiwała ją tak ostrożnie i delikatnie, jakby bała się, że każdy gwałtowniejszy ruch albo donośny odgłos wepchnie jej córkę w ramiona śmierci. Kivrin podświadomie zaczęła zachowywać się tak samo, chodząc na palcach i odzywając się tylko szeptem, Agnes natomiast, która doskonale wyczuwała narastające napięcie, zupełnie się rozkleiła. Marudziła prawie bez przerwy, wspinała się na barykadę, domagała się, by zaprowadzić ją do pieska albo do kucyka, chciała jeść i pić, prosiła o dokończenie opowieści o niegrzecznej dziewczynce, która zgubiła się w lesie.

- I co było dalej? - pytała po raz setny płaczliwym tonem. Kivrin musiała zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć na małą, by wreszcie dała jej spokój. - Zjadły ją wilki?

- Nie wiem - odpowiedziała ze zniecierpliwieniem. - Idź do babki.

Agnes obrzuciła niechętnym spojrzeniem lady Imeyne, która wciąż klęczała w kącie, odwrócona do nich plecami. Spędziła tam całą noc.

- Ona nie chce się ze mną bawić.

- Więc pobaw się z Maisry.

Posłuchała, ale po pięciu minutach tak bardzo dała się we znaki służącej, że ta zaczęła przed nią uciekać, Agnes zaś wróciła z płaczem, twierdząc, iż Maisry ją uszczypnęła.

- Wcale jej się nie dziwię - powiedziała Kivrin i posłała obie na strych.

Poszła sprawdzić, co z chłopcem. Okazało się, że jego stan uległ znacznej poprawie. Kiedy wróciła, zastała Maisry skuloną w fotelu i pogrążoną we śnie.

- Gdzie Agnes?

Eliwys potoczyła dokoła półprzytomnym spojrzeniem.

- Nie wiem. Była na strychu.

- Maisry! - Kivrin podeszła do fotela. - Maisry, obudź się! Gdzie jest Agnes?

Służąca zamrugała, wpatrując się w nią z otwartymi ustami.

- Nie powinnaś zostawiać jej bez opieki.

Kivrin wspięła się na strych, ale nie znalazła tam dziewczynki, więc zajrzała do pokoju na piętrze. Bez rezultatu.

Podczas jej nieobecności w izbie Maisry wstała z fotela i teraz z przerażoną miną kulila się przy ścianie.

- Gdzie ona jest? - zapytała Kivrin ostrym tonem. Maisry w obronnym geście podniosła rękę do ucha.

- Masz rację. Wytargam cię za uszy, jeśli natychmiast nie powiesz, gdzie podziała się Agnes.

Służąca ukryła twarz w dłoniach.

- Gdzie ona jest?! - Kivrin szarpnęła ją za ramię. - Przecież miałaś jej pilnować! Mów natychmiast, co się z nią stało!

Z gardła przerażonej dziewczyny wydobyło się zwierzęce skamlenie.

- Przestań! - Pchnęła służącą w stronę drzwi. - Pokaż mi, dokąd poszła!

Do izby wszedł ojciec Roche.

- Co się stało? - zapytał.

- Musimy znaleźć Agnes. Tutaj jej nie ma, więc może poszła do wsi.

Pokręcił głową.

- Nie widziałem jej, a właśnie stamtąd wracam. Myślę, że jest gdzieś w pobliżu.

- Stajnia! - wykrzyknęła z ulgą Kivrin. - Chciała odwiedzić kucyka.

Jednak dziewczynki nie było w stajni.

- Agnes! - Z ciemnego, cuchnącego nawozem wnętrza nie dochodził żaden odgłos. - Agnes, odezwij się!

Dopiero teraz kucyk zarżał żałośnie, usiłując wydostać się z boksu. Przypuszczalnie od dawna nie dostał jeść. Został w stajni zupełnie sam, ponieważ zniknęły także psy, które miały tu specjalną zagrodę.

Kivrin szła powoli, zaglądając do każdego boksu, za żłoby, sprawdzając wszystkie miejsca, w których mogła ukryć się mała dziewczynka. Albo zasnąć.

Na pewno jest w stodole! Kivrin wyszła ze stajni, lecz musiała na chwilę przystanąć i zamknąć oczy, oślepiło ją bowiem jaskrawe światło. Kiedy uniosła powieki, zobaczyła ojca Roche'a, który właśnie wyszedł z kuchni.

- Znalazłeś ją, ojcze? - zapytała, ale nie uzyskała odpowiedzi. Kapłan spoglądał w kierunku bramy, zdając się czegoś nasłuchiwać. Ona także wyteżyła słuch, lecz niczego nie usłyszała.

- Co się stało? Słyszysz jej płacz?

- Słyszę mego Pana! - wykrzyknął i rzucił się ku bramie.

O nie! - pomyślała Kivrin, biegnąc za nim. Tylko nie ojciec Roche!

- Ojcze...

Umilkła, nie kończąc zdania, ponieważ teraz ona także usłyszała tętent końskich kopyt. Wierzchowiec najwyraźniej pędził galopem z ogromną prędkością, ponieważ łoskot kopyt uderzających w zmarzniętą ziemię narastał z każdą chwilą. Ojciec Roche miał na myśli pana tego dworu, nie Pana Boga! - uświadomiła sobie z ulgą. Jest pewien, że lord Guillaume wreszcie wrócił z Bath.

Nagle, nie wiadomo skąd ani dłaczego, przyszła jej do głowy szaleńcza myśl: to pan Dunworthy!

Potrzebujemy streptomycyny i środków odkażających, a Rosemunda musi jak najprędzej trafić do szpitala, gdzie zrobią jej transfuzję.

Kapłan chwycił oburącz ciężki bal i wysunął go z żelaznych obejm.

I szczepionka! Będzie potrzebna szczepionka. Najlepiej doustna. Gdzie jest Agnes? Musi ją znaleźć i jak najprędzej zabrać stąd w bezpieczne miejsce.

Brama otworzyła się ze skrzypieniem.

Dopiero ten odgłos sprawił, że na Kivrin spłynęło opamiętanie.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie, ale było już za późno. Rozpędzony koń był tuż, tuż.

- Nie może tu wjechać! - zawołała, rozglądając się za czymś, co mogłoby ostrzec jeźdźca. - Zarazi się chorobą!

Kątem oka dostrzegła drewnianą łopatę opartą o ścianę chlewika - tę samą, którą posłużyła się przy pocchówku Blackiego. Niewiele myśląc rzuciła się w tamtą stronę.

- Zatrzymaj go przed bramą! - zawołała w stronę ojca Roche'a, ten zaś posłusznie rozłożył ramiona, usiłując powstrzymać rozpędzonego wierzchowca, ale nie zdążył i koń wpadł na dziedziniec.

- Gawyn! - wykrzyknął kapłan, ponieważ czarny rumak na pierwszy rzut oka przypominał Gringoleta, ale dosiadał go chłopak z pewnością niewiele starszy od Rosemundy. Jego twarz i ubranie pokrywała warstwa zaschniętego błota. Koń także był zablocony, z pyska kapała mu piana, boki zaś miał mokre od potu. Chłopiec sprawiał wrażenie kompletnie wyczerpanego. Przez chwilę siedział na grzbiecie wierzchowca, przechylony mocno do przodu, i oddychał ciężko, a potem wykonał ruch, jakby zamierzał zeskoczyć na ziemię.

- Nie możesz się tu zatrzymać - powiedziała Kivrin powoli i wyraźnie, żeby translator na pewno poradził sobie z tłumaczeniem. - We wsi jest zaraza.

Wysunęła przed siebie łopatę, jakby to była włócznia.

Chłopiec zdążył już wysunąć stopę ze strzemienia, ale zawahał się, po czym opadł na siodło.

- Sina choroba - dodała na wszelki wypadek; całkiem niepotrzebnie, bo właśnie skinął głową.

- Ona jest wszędzie. - Sięgnął do sakwy. - Przywożę wam wiadomość.

Podał ojcu Roche'owi coś w rodzaju skórzanego portfela, kapłan zaś zbliżył się o krok i wyciągnął rękę.

- Nie! - wykrzyknęła rozpaczliwie, po czym machnęła łopatą. - Rzuć to na ziemię. Nie wolno ci nas dotykać.

Chłopiec wyjął z portfela rulon ciasno zwiniętego pergaminu i cisnął go na bruk dziedzińca, tuż obok stóp księdza. Ojciec Roche natychmiast schylił się, podniósł rulon i zaczął go rozwijać.

- Co to za wiadomość? - zapytał chłopca.

Oczywiście, pomyślała Kivrin. Przecież on nie umie czytać.

- Nie wiem. Pismo jest od biskupa Bath. Dostałem polecenie, żeby dostarczyć je do wszystkich parafii.

- Pozwolisz, ojcze, że ja je przeczytam? - zaproponowała Kivrin.

- Może jest tam jakaś wiadomość od naszego pana - powiedział ojciec Roche z nadzieją. - Może skorzystał z okazji, aby zawiadomić nas, że wróci nieco później...

- Kto wie - odparła, wyjmując mu zwój z ręki, ale w głębi duszy doskonale wiedziała, że chodzi o coś zupełnie innego.

Pergamin był pokryty odręcznym pismem, tak ozdobnym, że z trudem dało się odczytać poszczególne litery, ale to nie miało znaczenia. Znała treść tego dokumentu. Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że już go czytała.

W bibliotece.

Postawiła łopatę na ziemi, oparła ją sobie o pierś i przeczytała list na głos, tłumacząc łacinę na angielski:

- "Morowe powietrze, którego padliśmy ofiarą, rozprzestrzeniając się po kraju sprawiło, że wiele parafii, a nawet całych diecezji, zostało bez duszpasterzy, zdarza się więc wcale nierzadko, iż ludzie umierają bez spowiedzi, nie pogodziwszy się z Bogiem..."

Przerwała na chwilę i zerknęła ukradkiem na ojca Roche'a. Nie tutaj, pomyślała. Nie pozwolę, żeby tutaj wydarzyło się coś takiego.

- "Ponieważ nie ma księży, którzy..."

Znała treść listu na pamięć. Nie musiała nawet patrzeć na czarne litery, ponieważ wystarczyło, aby przymknęła powieki, a bez trudu mogła je odtworzyć - mocno wyblakłe, choć nadal wyraźne - takie, jakie przetrwały do dwudziestego pierwszego wieku w uniwersyteckiej bibliotece. Księża albo poumierali razem z wiernymi, albo uciekali dokąd ich oczy poniosą, zostawiając swoje trzódki na pastwę losu. Uważała, że list był nadęty i arogancki. "Ludzie padali jak muchy" - powiedziała do pana Dunworthy'ego - "a tymczasem biskup myślał tylko o tym, by zadośćuczynić kościelnej tradycji".

Teraz jednak, czytając go na dziedzińcu dworu lorda Guillaume'a, odniosła wrażenie, iż słowa biskupa przesycane są bólem i rozpaczą.

- "...jeśli śmierć zajrzy im w oczy, a nie będzie w pobliżu kapłana, który mógłby wysłuchać ich spowiedzi, niech wyznają sobie nawzajem wszystkie grzechy. Zachęcamy was, byście to czynili, w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa".

Skończyła czytać, lecz ani posłaniec, ani ojciec Roche nie odezwali się ani słowem. Ciekawe, czy biedak wiedział, co zawiera pismo, które kazano mu zawieźć do wszystkich parafii w diecezji, pomyślała, a następnie zwinęła pergamin i oddała go chłopcu.

- Od trzech dni jestem w drodze - poskarżył się, chowając pismo do sakwy. - Czy nie mógłbym choć trochę odpocząć?

Kivrin zrobiło się żal chłopca, ale nie chciała niepotrzebnie narażać go na niebezpieczeństwo.

- To zbyt wielkie ryzyko. Damy ci jedzenie i trochę owsa dla konia.

Ojciec Roche natychmiast ruszył w kierunku kuchni, Kivrin zaś nagle przypomniała sobie o Agnes.

- Widziałeś może na drodze małą dziewczynkę w czerwonej szubce i czepku?

- Chyba nie - odparł posłaniec. - Ale na drogach teraz aż tłoczno od ludzi. Wszyscy uciekają przed morowym powietrzem.

Ojciec Roche pojawił się z płóciennym woreczkiem wypełnionym żywnością. Kivrin ruszyła w stronę stajni, by przynieść nieco owsa dla konia, w związku z czym nie zauważyła Eliwys biegnącej od strony dworu. Kiedy ją zobaczyła, było już za późno.

- Nie! - wykrzyknęła rozpaczliwie, ale Eliwys przemknęła obok niej jak strzała i chwyciła rumaka za uddę.

- Skąd przyjeżdżasz? - zapytała, drugą ręką szarpiąc chłopca za połą kaftana. - Widziałeś się z Gawynem, zaufanym człowiekiem mego męża?

Chłopak sprawiał wrażenie lekko wystraszonego.

- Przybywam z Bath, z posłaniem od biskupa - powiedział. Musiał mocno ściągnąć wodze, ponieważ koń szarpał niespokojnie łbem, próbując uwolnić się z uchwytu kobiety.

- Z jakim posłaniem? Czy to wiadomość od Gawyna?

- Nie znam tego człowieka.

Kivrin postanowiła odwrócić jej uwagę.

- Lady Eliwys...

Jednak Eliwys nie dawała za wygraną.

- Gawyn ma czarnego ogiera ze srebrnymi sznureczkami wplecionymi w grzywę. Pojechał do Bath, by odszukać mego męża, który występuje jako świadek przed sądem.

- Nikt teraz nie jedzie do Bath. Kto żyw ucieka z miasta, byle dalej od choroby.

Eliwys zachwiała się nagle i gdyby nie trzymała się kurczowo uzdy, przypuszczalnie osunęłaby się na ziemię.

- Nie ma sądu, nie obowiązują żadne prawa - ciągnął chłopiec. - Martwi leżą na ulicach, a kto choćby na nich spojrzy, też wkrótce umiera. Niektórzy twierdzą, że to koniec świata.

Kobieta cofnęła się o krok, potrząsnęła głową jak po silnym uderzeniu, po czym skierowała pełne nadziei spojrzenie na Kivrin i księdza.

- A więc z pewnością wkrótce tu będą! - Ponownie spojrzała na posłańca. - Jesteś pewien, że nie spotkałeś ich po drodze? Gawyn ma czarnego ogiera...

- Widziałem wiele czarnych ogierów.

Usiłował ruszyć koniem w kierunku ojca Roche'a, lecz Eliwys nie ustąpiła mu z drogi.

Widząc, co się dzieje, ksiądz rzucił mu worek z jedzeniem; chłopak złapał go w locie, po czym zawrócił wierzchowca, mało nie przewracając Eliwys, która wciąż stała bez ruchu jak sparalizowana.

Kivrin złapała za uzdę.

- Nie wracaj do biskupa.

Szarpnął wodze. Z każdą chwilą sprawiał wrażenie coraz bardziej wystraszonego, ale sądząc po jego minie, Kivrin budziła w nim znacznie większy lęk niż Eliwys.

- Jedź na północ - powiedziała z naciskiem. - Zaraza jeszcze tam nie dotarła.

Cofnął rumaka, uderzył go wozami i ruszył galopem ku bramie.

- Trzymaj się z dala od uczęszczanych dróg! - zawołała za nim. - I z nikim nie rozmawiaj!

Przemknął przez bramę, a chwilę potem zniknął im z oczu. Eliwys wciąż stała jak posąg.

- Chodźmy - zwróciła się do niej Kivrin. - Musimy poszukać Agnes.

- Widocznie mój mąż i Gawyn pojechali najpierw do Courcy, żeby ostrzec sir Bloeta - powiedziała bezbarwnym tonem, po czym nie stawiając oporu pozwoliła zaprowadzić się do domu.

Kivrin posadziła ją przy ogniu, a następnie zajrzała do stodoły, lecz zamiast Agnes znalazła swój płaszcz, który przeleżał tam od Wigilii. Narzuciwszy go na ramiona sprawdziła jeszcze na stryszku, potem zaś przeszukała gorzelnię. W tym samym czasie ojciec Roche zaglądał po kolei do pozostałych pomieszczeń, ale bez rezultatu. Podczas rozmowy z posłańcem zerwał się zimny wiatr, który przyniósł wyraźny zapach śniegu.

- Może jest w domu? - zastanawiał się na głos ojciec Roche. - Sprawdziliście za fotelem?

Ponownie przeszukała izbę, stryszek oraz pokój na piętrze. Maisry leżała tam, gdzie Kivrin ją zostawiła, kwiląc cichutko; z trudem zapanowała nad pokusą, by podejść do nieudolnej służącej i z całej siły kopnąć ją w bok. Zamiast tego zapytała lady Imeyne, w dalszym ciągu klęczącą w kącie, kiedy ostatnio widziała Agnes.

Stara kobieta w dalszym ciągu modliła się, poruszając bezgłośnie ustami i nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

Rozjuszona Kivrin bezceremonialnie potrząsnęła nią za ramię.

- Widzieliście ją, czy nie?

Dopiero teraz Imeyne odwróciła się i wlepiła w nią spojrzenie błyszczących oczu.

- To ona jest winna! - syknęła.

- Agnes?! - wykrzyknęła z oburzeniem Kivrin. - Co wy wygadujecie? Jak może być czemukolwiek winna?

Stara kobieta pokręciła głową i przeniosła wzrok na Maisry.

- Bóg każe nas za opieszałość tej dziewczki.

Kivrin z najwyższym trudem zmusiła się do zachowania spokoju.

- Agnes zniknęła, a wkrótce zacznie się ściemniać. Musimy odszukać ją przed zapadnięciem zmroku. Wiacie może, dokąd poszła?

- To kara boska... - wyszeptła lady Imeyne, a następnie odwróciła się z powrotem twarzą do ściany.

Istotnie robiło się coraz ciemniej, na domiar złego wiatr z każdą chwilą przybierał na sile. Kivrin wybiegła z dworu, przemknęła między zabudowaniami gospodarczymi i wyszła na błonie.

Sceneria przypominała tę, jaką ujrzała owego dnia, gdy po raz pierwszy wyruszyła na poszukiwanie miejsca przeskoku. Różnica polegała tylko na tym, że nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie było żywego ducha. Miała wrażenie, iż wiatr chwyta ją za ubranie niewidzialnymi pazurami, czyniąc wszystko, by zatrzymać ją w mie-

jscu. Wraz z jego podmuchami gdzieś z daleka, z północnego wschodu, dobiegało dostojne, żalobne bicie dzwonu.

Właśnie: Agnes była przecież zafascynowana dzwonami. Kivrin wsunęła się do dzwonnicy i choć wystarczył jeden rzut oka, aby stwierdzić, że w środku jest pusto, kilka razy zawołała dziewczynkę, po czym wyszła na zewnątrz i bezradnie rozejrzała dokoła, zastanawiając się, gdzie jeszcze mogłaby sprawdzić.

Na pewno nie w chatach. Cmentarz? Po co Agnes miałyby przychodzić na cmentarz? Oczywiście: żeby odwiedzić pieska. Kivrin nie powiedziała jej, że pochowała szczeniaka na skraju lasu, było więc całkiem logiczne, iż mała będzie szukać mogiły na cmentarzu. Co prawda między przysypanymi śniegiem nagrobkami nic się nie poruszało, niemniej jednak Kivrin weszła na teren przykościelnego cmentarza.

Niemal natychmiast zauważyła ślady maleńkich bucików prowadzące od grobu do grobu, potem zaś kierujące się ku północnej ścianie kościoła. Jej wzrok powędrował w stronę wzgórza i majaczącej na szczycie wyniosłości ściany lasu. A jeśli mała postanowiła pospieszyć z pomocą dziewczynce, która nie posłuchała ojca i zabłądziła w lesie?

Pobiegła co sił w nogach, ale na szczęście po drugiej stronie budowli przekonała się, że ślady zakręcają i prowadzą do wejścia do świątyni. Kivrin pchnęła drzwi. W kościele było prawie zupełnie ciemno i znacznie zimniej niż na dworze.

- Agnes?

Nikt nie odpowiedział, ale od strony ołtarza dobiegł ledwo uchwytny szelest, jakby przestraszony szczur pospiesznie umknął w jakiś zakamarek.

- Agnes!

Zajrzała za grobowiec, za filary.

- Agnes, jesteś tam?

- To ty, Kivrin? - zapytał cichy, drżący głosik.

- Agnes! - Pobiegła w jego kierunku. - Gdzie jesteś, maleńka? Znalazła ją u stóp posągu św. Katarzyny, skuloną wśród niedopalonych ogarków. Dziewczynka tuliła się do kamiennych szat świętej, drżąc z zimna i wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi, mokrymi od łez oczami. Te łzy, które już zdążyły popłynąć, zostawiły wyraźne ślady na umorusanych, zaczerwienionych policzkach.

- Kivrin! - wykrzyknęła, po czym rzuciła się jej w ramiona.

- Co tu robisz? - zapytała Kivrin na poły z gniewem na poły z ulgą, i przytuliła ją mocno. - Wszędzie cię szukaliśmy!

Mała przycisnęła główkę do jej piersi.

- Schowałam się - wyznała szeptem. - Chciałam pokazać wózczkowi grób mojego pieska, ale nie mogłam go znaleźć, a potem potknęłam się i przewróciłam, i wołałam cię, ale ty nie przyszedłeś.

Otarła nos rękawem.

- Nie miałam pojęcia, że tu jesteś, kochanie - powiedziała Kivrin, gładząc dziecko po włosach. - Przed kim się schowałeś?

- Przed zbójem!

Kivrin zmarszczyła brwi.

- Przed jakim zbójem?

Ciężkie drzwi kościoła otworzyły się powoli. Agnes tak mocno zacisnęła ramiona wokół szyi Kivrin, że ta z trudem mogła złapać oddech.

- To on! - pisnęła z przerażeniem dziewczynka. - Zbój! Idzie po mnie!

- Tu jestem, ojczu! - zawołała Kivrin. - Znalazłam ją. - Drzwi zamknęły się, w świątyni zaś rozległy się ciężkie męskie kroki. - Uspokój się, to tylko ojciec Roche - powiedziała do Agnes. - On też cię szukał. Nie widzieliśmy, co się z tobą stało.

Uchwyt trochę zelżał.

- Maisry powiedziała, że przyjdzie okrutny zbój i zabierze mnie do lasu.

Mocno zadyszany ojciec Roche wyłonił się z mroku. Dziewczynka ponownie przytuliła się mocno do Kivrin.

- Czy ona jest chora? - zapytał z niepokojem.

- Chyba nie, ale na pewno zmarzła. Okryj ją moim płaszczem, ojczu.

Ksiądz nieporadnie zdjął płaszcz z ramion Kivrin i otulił nim dziewczynkę.

- Schowałam się przed zbójem - poinformowała go Agnes.

- Przed jakim zbójem?

- Przed tym, który nastraszył Kivrin w kościele. Maisry powiedziała, że jeśli ten zbój mnie złapie, umrę na siną chorobę.

- Nie bój się, tu nie ma żadnych zbójów - próbowała ją uspokoić Kivrin, myśląc jednocześnie: Niech no tylko dopadną Maisry, to porachuję jej wszystkie kości.

Wyprostowała się, wciąż trzymając Agnes w objęciach. Mała znów zacisnęła mocniej ramiona wokół jej szyi. Tymczasem ojciec Roche dotarł do bocznych drzwi i otworzył je na oścież. Do mrocznego wnętrza świątyni wdarła się smuga niebieskawego, przyćmionego światła.

- Powiedziała mi, że złapał mojego pieska - dodała Agnes, szcękając zębami. - Mnie nie znalazł, bo dobrze się schowałam.

Kivrin przypomniawszy sobie martwego szczeniaka i zrobiło jej się słabo z niepokoju. Nie, przemknęło jej przez głowę, kiedy szybkim krokiem zmierzała w kierunku dworu. To niemożliwe. Mała drży dlatego, że zbyt długo przebywała w lodowatym kościele, a policzki ma gorące wyłącznie od płaczu.

Zapytała dziewczynkę, czy boli ją głowa.

Agnes tylko poruszyła główką, lecz nie sposób było stwierdzić, czy miało to być skinięcie, czy potrząśnięcie. Na pewno wszystko jest w porządku, powtarzała Kivrin w duchu, ale na wszelki wypadek jeszcze przyspieszyła kroku. Ojciec Roche podążał jak cień tuż za nią.

- Nie poszłam do lasu - oświadczyła niespodziewanie Agnes, kiedy dotarli do domu. - Tamta dziewczynka poszła i potem nie mogła wrócić. Prawda?

- Tak - powiedziała Kivrin, sadzając ją na ławie przy ogniu. - Ale wszystko skończyło się szczęśliwie. Ojciec znalazł ją i zaprowadził do domu, a potem żyli długo i szczęśliwie.

Zdjęła małej czepek.

- I już nigdy nie chodziła sama do lasu - uzupełniła Agnes.

- Nigdy. - Kivrin ściągnęła jej przemoczone buciki, po czym rozpostarła płaszcz na podłodze tuż przy palenisku. - A teraz musisz się położyć. Zaraz przyniosę ci gorącą zupkę.

Dziewczynka posłusznie ułożyła się na posłaniu, Kivrin zaś otuliła ją najlepiej jak mogła i poszła po zupę. Okazało się jednak, że Agnes nie jest głodna, a kilka minut później spała już głębokim snem.

- Przeziębła się, nic więcej - powtarzała Kivrin Eliwys i ojcu Roche'owi. - Zbyt długo była na dworze. To na pewno tylko zwykłe przeziębienie.

Niemniej jednak, kiedy tylko ojciec Roche poszedł odmówić nieszpór, starannie obejrzała małą, szczególną uwagę poświęcając pachom, pachwinom oraz szyi. Fakt, że nigdzie nie znalazła ani śladu zmian, podzielał na nią uspokajająco.

Ojciec Roche wrócił zbyt szybko, a poza tym nie zadzwonił na nieszpór, więc chyba zrezygnował z odmówienia modlitwy. Przyniósł za to mocno sfatygowaną koldrę, przypuszczalnie ze swojego posłania, złożył ją starannie, umościł na podłodze i przeniósł na nią pogrążone we śnie dziecko.

Tymczasem rozdzwoniły się inne dzwony: w Oxfordzie, Godstow, a także ten z południowego zachodu. Milczały natomiast bliźniacze dzwony z Courcy. Kivrin spojrzała z niepokojem na Eliwys, lecz ta chyba niczego nie słyszała; siedziała nieruchoma jak posąg, z twarzą zwróconą w kierunku sieni.

Dzwony z Courcy odezwały się dopiero wtedy, kiedy umilkły wszystkie pozostałe, lecz uderzały wolniej niż zwykle, ich dźwięk zaś wydawał się dziwnie stłumiony.

- Czyżby ktoś tam umarł? - zapytała ojca Roche'a.

- Nie - odparł, wpatrując się w Agnes. - Dzisiaj jest święto.

Święto... Zupełnie straciła rachubę czasu. Wysłannik biskupa odjechał rankiem w Boże Narodzenie, po południu okazało się, że pisarz ma dżumę, potem zaś wszystko połączyło się w jeden, potwornie długi, kosztowny dzień. Teraz dopiero się zorientowała, że minęły już cztery dni.

Pragnęła zjawić się w XIV wieku akurat w okolicy Bożego Narodzenia, ponieważ wypadło wtedy tyle świąt, że łatwo można było ustalić datę, a to miało ogromne znaczenie ze względu na konieczność stawienia się w miejscu przeskoku dokładnie tego dnia, na który został wyznaczony termin powrotu. Tymczasem Gawyn pojechał do Bath po pomoc, wysłannik biskupa zabrał wszystkie konie, ona zaś wciąż nie wiedziała, gdzie jest miejsce przeskoku.

Eliwys podniosła się z ławy i przez chwilę nasłuchiwała z wyrazem skupienia na twarzy.

- Czy to dzwony z Courcy? - zapytała wreszcie kapłana.

- Tak, ale nie macie się czego obawiać. Dziś jest Dzień Młodzianków.

Obchodzony na pamiątkę rzezi niewiniątek, pomyślała Kivrin, spoglądając na Agnes. Dziewczynka spała jak kamień i przestała drzeć, choć wciąż miała gorące czoło i policzki.

Po drugiej stronie barykady rozległ się jakiś hałas. Okazało się, że kucharka usiłowała podnieść się z posłania, ale straciła równowagę, klapnęła na nie z rozmachem, teraz zaś wodziła dokoła nieprzytomnym wzrokiem.

- Muszę wracać do domu... - wychrypiała.

Kivrin zdołała jakoś uspokoić kucharkę, ale kiedy chciała przynieść kobiecie wody, okazało się, że wiadro jest puste, chwyciła je więc i ruszyła do drzwi.

- Powiedz Kivrin, żeby do mnie przyszła - odezwała się głośno i wyraźnie Agnes, siadając na posłaniu.

Kivrin odstawiła wiadro, po czym uklękła przy dziewczynce.

- Jestem tutaj, maleńka.

Agnes obrzuciła ją nieprzyjaznym spojrzeniem, a jej twarz pociemniała ze złości.

- Jeśli Kivrin mnie nie obroni, zbój zabierze mnie do lasu - oświadczyła. - Musi tu przyjść, i to prędko!

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(073453-074912)

Przegapiłam dzień powrotu. Opiekując się Rosemundą straciłam rachubę czasu, potem szukałam Agnes, a zresztą i tak nie mam pojęcia, gdzie jest miejsce przeskoku.

Na pewno okropnie się pan zdenerwował, panie Dunworthy. Myśli pan, że wpadłam w ręce morderców i bandytów; w pewnym sensie ma pan rację. Teraz dopadli Agnes.

Ma wysoką temperaturę, lecz ani jednej dymienicy, nie wymiotuje też ani nie kaszle. Tylko gorączka. Nie poznaje mnie i bez przerwy powtarza moje imię. Próbowaliśmy zmniejszyć gorączkę okładając małą zimnymi kompresami, ale efekty były niewielkie.

(przerwa)

Zachorowała lady Imeyne. Ojciec Roche znalazł ją dziś rano na podłodze w kącie izby. Przypuszczalnie przeleżała tam całą noc. Od dwóch dni nie kładła się spać, tylko klęczała odwrócona twarzą do ściany i modliła się o ocalenie dla siebie oraz innych bogobojnych, przyzwoitych ludzi.

Jej modlitwy nie zostały wysłuchane. Ma dżumę płucną. Okropnie kaszle, a od czasu do czasu wymiotuje śluzem zmieszonym z krwią.

Nie pozwoliła się nikomu dotknąć.

- To wszystko jej wina - powiedziała do ojca Roche'a, wskazując na mnie. - Spójrz na jej włosy i ubranie. Żadna przyzwoita niewiasta nie pokazałaby się w takim stroju.

Mam na sobie jakieś portki i chłopięcy kaftan, który znalazłam na strychu. Musiałam zdjąć suknię, kiedy zwymiotowała na nią lady Imeyne, koszulę zaś podarłam na bandaż.

Ojciec Roche usiłował napoić starą kobietę naparem z wierzbowej kory, ale wypluła wszystko na podłogę.

- Skłamała mówiąc, że napadnięto ją w lesie - wycedziła, przeszywając mnie nienawistnym spojrzeniem. - Została tu przysłana, żeby nas zabić.

Ojciec Roche otarł z jej ust i podbródka ślinę wymieszaną z krwią.

- To choroba sprawia, że mówicie takie rzeczy - odparł łagodnym tonem.

- Przysłano ją, żeby nas otruła - twierdziła uparcie Imeyne. - Otruła już dzieci mego syna, a teraz próbuje zrobić to samo ze mną, ale nie uda jej się, bo nie będę nic jadła ani piła!

- Cii... Nie wolno źle mówić o tych, którzy starają się pomóc.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Ona chce nas wszystkich zabić! Musicie czym prędzej spalić ją na stosie. To służebnica Szatana!

Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, stracił panowanie nad sobą. Przez chwilę wyglądał niemal jak rzezi-mieszek, za którego wzięłam go w chorobie.

- Gadacie bzdury! - parsknął z wściekłością. - Sam Bóg w Swej niezmierzonej dobroci przysłał ją tutaj, by niosła nam pomoc w nieszczęściu!

Jakżebym chciała, żeby tak właśnie było, żeby mogła im pomóc. Niestety, nie mogę. Agnes wciąż wzywa mnie na pomoc, Rosemunda leży nie dając znaku życia, pisarz szerniał jak kawałek drewna rzucony w ogień, a ja wiem, że nic nie jestem w stanie zrobić. Zupełnie nic.

(przerwa)

Choruje już cała rodzina rządcy. Dymienicę ma tylko najmłodszy syn, Lefric; kazałam go tu przynieść i przecięłam opuchliznę. Pozostałych musiałam zostawić na łasce losu. Wszyscy mają dżumę płucną.

(przerwa)

Umarło niemowlę.

(przerwa)

Odezwały się dzwony w Courcy. Dziewięć uderzeń. Kto umarł? Wysłannik biskupa? Tłusty mnich? A może sir Bloet? Mam nadzieję, że to on.

(przerwa)

Okropny dzień. Po południu umarli żona rządcy oraz chłopiec, który uciekł na mój widok tego dnia, kiedy szukałam miejsca przeskoku. Rządca poszedł wykopać groby, choć ziemia jest tak zmarznięta, że nie mam

pojęcia, jak zamierza to zrobić. Rosemunda i Lefric czują się znacznie gorzej, szczególnie ona; prawie nie może przełykać, a puls ma słaby i nieregularny. W porównaniu z nią Agnes jest w całkiem niezłym stanie, choć nadal gorączkuje. Ojciec Roche nie poszedł do kościoła, tylko odmówił nieszpór w izbie, a potem powiedział:

- Dobry Jezu, wiem, że pomagasz nam jak możesz, lecz mimo to nie dajemy sobie rady z okrutną zarazą. Twoja święta służebnica Katarzyna twierdzi, że to zwykła choroba, ale czy tak jest naprawdę? Nie przenosi się przecież z człowieka na człowieka, tylko jest wszędzie jednocześnie!

Ma rację.

(przerwa)

Umarł Ulf Powroźnik.

I Sibbie, córka rządcy.

Joan, jego druga córka.

Kucharka. (Nawet nie wiem, jak miała na imię.)

I Walthef, najstarszy syn rządcy.

(przerwa)

Choruje albo już umarło ponad pięćdziesiąt procent mieszkańców wsi. Ocalał chociaż Eliwys. I ojca Roche'a.

29.

Wzywał pomocy, ale nikt się nie zjawił, więc doszedł do wniosku, że wszyscy pomarli i został tylko on, zupełnie sam, jak ten mnich John Clyn z zakonu braci mniejszych. "Czekając na przyjście śmierci..." Szukał przycisku, żeby wezwać pielęgniarkę, lecz nie mógł go znaleźć. Na szafce przy łóżku stał ręczny dzwonek; sięgnął po niego i nawet zdołał zacisnąć palce na uchwycie, ale kiedy spróbował przyciągnąć go bliżej, dzwonek wyslizgnął mu się z ręki i spadł na podłogę. Rozległo się donośne, przerażające brzęknięcie, podkład dźwiękowy z koszmarnego snu, ale nawet wtedy nikt się nim nie zainteresował.

Kiedy obudził się po raz drugi, dzwonek stał znowu na szafce, z czego wynikało, że ktoś jednak tutaj zagląda. Leżał bez ruchu, wpatrując się z natężeniem w sufit i zastanawiając się jak długo spał. Przypuszczalnie bardzo długo, choć chwilowo nie sposób było stwierdzić nic na pewno. Do pokoju sączyło się dzienne, lekko przyćmione światło, ale sprzęty nie rzucały cienia, więc równie dobrze mogło być późne popołudnie jak wczesny ranek. W zasięgu wzroku nie miał żadnego zegara, nie czuł się zaś jeszcze na siłach, by odwrócić się i spojrzeć na aparaturę ustawioną za łóżkiem. Widział tylko górną część okna, ale i to wystarczyło, by stwierdzić, że niebo jest zachmurzone i pada deszcz. Padało też wtedy, kiedy szedł do Brasenose; może więc wciąż jest to samo popołudnie? Może tylko zasnął i ocknął się wkrótce po tym, jak przywieziono go do szpitala na obserwację?

- "Wam uczynię to samo" - powiedział ktoś tuż obok.

Odruchowo sięgnął do kieszeni po okulary, ale nie znalazł ani kieszeni, ani okularów.

- "Sprowadzę na was strach, suchoty i malarię".

To pani Gaddson siedziała na krześle przy łóżku i czytała Biblię. Była bez białego fartucha i nie miała maski na twarzy.

- "A kiedy, zrozpaczeni i przerażeni, zgromadzicie się w miastach, na próżno szukając ratunku, ześlę na was zarazę".

- Jaki mamy dziś dzień? - zapytał.

Przerwała, spojrzała na niego ze zdziwieniem, po czym jakby nigdy nic wróciła do lektury:

- "I zostaniecie wszyscy wydani na pastwę nieprzyjaciół waszych".

Chyba jednak nie minęło zbyt wiele czasu, bo kiedy ostatnio szedł do Badriego, widział ją czytającą pacjentom fragmenty Pisma Świętego. Możliwe nawet, że wciąż jest to samo popołudnie i lada chwila zjawi się Mary, by wyrzucić ją z pokoju.

- Może pan przełykać? - zapytała pielęgniarka, pojawiając się w jego polu widzenia. Była to ta sama wiekowa osoba, z którą zetknął się w dziale zaopatrzenia. - Pora na lekarstwo. Może pan przełykać?

Otworzył usta, a ona położyła mu kapsułkę na języku, po czym nachyliła się i uniosła mu głowę, aby łatwiej było mu napić się z plastikowej szklanki. Wykrochmalony fartuch szeleścił przy każdym ruchu.

- Połknął pan?

Co prawda kapsułka utknęła mu w połowie przełyku, niemniej jednak skinął głową. Wysilek okazał się tak wielki, że aż zrobiło mu się ciemno przed oczami.

- Znakomicie. W takim razie to nie będzie już nam potrzebne.

Odkleiła mu coś od przedramienia.

- Która godzina? - zapytał, starając się nie zakrztusić lekarstwem.

- Na pewno właściwa, żeby trochę odpocząć - odparła, mrużąc oczy dalekovidza i spoglądając na monitory nad jego głową.

- A jaki dzień? - wyszeptał, lecz pielęgniarki już przy nim nie było. - Jaki mamy dziś dzień? - zapytał panią Gaddson, ale ona także zniknęła.

Z każdą chwilą coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że minęło niewiele czasu. Wciąż miał gorączkę i bolała go głowa, co zazwyczaj oznaczało wczesne stadium grypy. Być może zachorował zaledwie kilka godzin temu. Być może stracił zaledwie godzinę lub dwie, obudził się zaś zaraz po tym, jak umieszczono go w izolatce, zanim ktokolwiek zdążył podłączyć dzwonek alarmowy albo dać mu środek obniżający temperaturę.

- Pora na lekarstwo - powiedziała pielęgniarka.

Tym razem była to ładna blondynka, która wypytywała go o Williama Gaddsona.

- Dopiero co brałem.

- To było wczoraj. No, szybciotko. Szkoda czasu.

Student pierwszego roku medycyny, który pełnił dyżur przed pokojem Badriego, powiedział mu, że dziewczyna zachorowała.

- Myślałem, że pani jest chora...

- Bo byłam, ale wyzdrowiałam. Pan też wkrótce wyzdrowieje.

Delikatnie uniosła mu głowę, położyła pastylkę na języku i podała wodę do popicia.

- Którego dziś mamy?

- Jedenasty stycznia - odparła po krótkim zastanowieniu. - Trudno się zorientować, bo pod koniec wszystko stanęło na głowie. Zrobiło się takie zamieszanie, jakiego w życiu nie widziałam. Prawie cały personel rozłożył się na grype, a ci, co nie zachorowali, pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chyba straciłam rachubę czasu.

Wystukała coś na klawiaturze, po czym ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na ekran.

W głębi duszy wiedział, co się stało, jeszcze zanim ją zapytał. Ba, zanim wyciągnął rękę do dzwonka. Gorączka sprawiła, że wszystkie wypełnione majaceniami dnie i noce zwały się w jedno popołudnie, ale tym razem ciało dowiodło swej wyższości nad umysłem, ponieważ w kościach, mięśniach i skórze zachowało się wspomnienie minionych godzin. Właśnie dlatego podświadomie spodziewał się najgorszych wiadomości.

Minął termin powrotu Kivrin.

Nie było żadnego terminu, pomyślał z goryczą. Gilchrist wyłączył się. Nawet gdybym nie zachorował, nic by to nie zmieniło. Laboratorium było zamknięte, sieć nieczynna, nic nie można zrobić.

Jedenasty stycznia... Jak długo Kivrin czekała w miejscu przeskoku? Dzień? Dwa? Trzy? Czy potem zaczęła podejrzewać, że pomyliła datę albo miejsce? Czy spędziła pod rząd kilka nocy przy drodze z Bath do Oxfordu, kuląc się z zimna, ponieważ nie rozpałała ognia z obawy, że w ten sposób zwróci na siebie uwagę zbójców, dzikich zwierząt albo wieśniaków uciekających przed zarazą? Kiedy uświadomiła sobie wreszcie, że nikt się po nią nie zjawi?

- Ma pan jakieś życzenia? - zapytała pielęgniarka, poprawiając kroplówkę.

- Czy może pani dać mi coś na sen?

- Oczywiście.

- To dobrze - odparł z wdzięcznością i zamknął oczy.

Obudzony się nie wiedział, czy przespał kilka godzin, dzień czy cały rok. Pokój wyglądał tak samo, skrawek nieba za oknem i tylko zamiast pani Gaddson przy łóżku siedział Colin pogrążony w lekturze książki, którą dostał od niego na Gwiazdkę. Chłopiec poruszał miarowo szczęką. Ciekawe, czy wciąż żuje tę samą gumę, przemknęło Dunworthy'emu przez głowę.

- O kurczę! - Colin zatrzasnął z hukiem książkę. - Ta okropna pielęgniarka pozwoliła mi wejść tutaj pod warunkiem, że pana nie obudzę. Nie obudziłem pana, prawda? Powie jej pan, że sam się pan obudził? - Wyjął gumę z ust, obejrzał pobieżnie i wetknął do kieszeni. - Widział ją pan? Wygląda tak, jakby urodziła się w średniowieczu. Jest chyba jeszcze gorsza niż pani Gaddson.

Dunworthy przyglądał mu się uważnie. Chłopiec miał na sobie nową zieloną kurtkę, przy której szary wełniany szalik owinięty niedbale wokół szyi sprawiał jeszcze bardziej ponure wrażenie, niż można było sobie wyobrazić. Colin także wyglądał znacznie poważniej, jakby bardzo wydorósł w ciągu tych kilkunastu dni.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- To ja, Colin. Poznaje mnie pan?

- Oczywiście. Dlaczego nie masz maski na twarzy?

Colin uśmiechnął się szeroko.

- Bo nie muszę. Nikogo pan już nie zarazi, nawet gdyby pan chciał. Dać panu okulary?

Dunworthy ostrożnie skinął głową.

- Poprzednio, kiedy pan się budził, w ogóle mnie pan nie poznawał. - Otworzył szufladę nocnej szafki, przez chwilę grzebał zawzięcie, aż wreszcie znalazł okulary i wręczył je Dunworthy'emu. - Naprawdę było z panem niewesoło. Myślałem już, że kopnie pan w kalendarz. Wydawało się panu, że jestem Kivrin.

- Który dziś dzień?

- Dwunasty - odparł chłopiec ze zniecierpliwieniem. - Przecież pytał pan już dzisiaj rano. Nie pamięta pan?

Dunworthy założył okulary.

- Nie.

- W ogóle nic pan nie pamięta?

Pamiętam, że zawiodłem Kivrin, pomyślał. I że zostawiłem ją w samym środku Czarnej Śmierci.

Colin przysunął się z fotelem i położył książkę na krawędzi łóżka.

- Pielęgniarka mówiła mi, że przez tę gorączkę może pan nic nie pamiętać. - W jego głosie dało się jednak słyszeć lekką pretensję, jakby mimo wszystko uważał, iż Dunworthy ponosi część odpowiedzialności za taki stan rzeczy. - Nie chciała mnie tu wpuścić ani powiedzieć jak się pan czuje. Moim zdaniem to nie w porządku. Człowiek siedzi jak głupi w poczekalni, a oni tylko powtarzają w kółko, że nic nie możesz pomóc i żebyś poszedł do domu, a kiedy zapytasz o coś, mówią: "Lekarz zaraz przyjdzie i wszystko wyjaśni", ale on oczywiście nie przychodzi. Traktują cię jak dziecko, a przecież kiedyś i tak wszystkiego się dowiesz, prawda? Wie pan, co ta jęzda zrobiła dziś rano? Po prostu wyrzuciła mnie za drzwi! I wie pan, co powiedziała? "Pan Dunworthy jest poważnie chory i nie można go niepokoić". Tak jakbym nie miał nic lepszego do roboty, tylko pana niepokoić!

Mówił to wszystko z oburzeniem, ale jednocześnie sprawiał wrażenie wycieńczonego zarówno fizycznie jak i emocjonalnie. To zrozumiałe, pomyślał Dunworthy. Godzinami włóczył się po korytarzach, przesiadywał w poczekalni, nagabywał kogo się da. Nic dziwnego, że wydoroślał.

- A pani Gaddson powiedziała mi przed chwilą, że mogę panu przekazywać wyłącznie dobre wiadomości, bo złe na pewno pana zabiją, i to będzie naturalnie moja wina.

- Widzę, że pani Gaddson niestrudzenie stara się podtrzymywać nas na duchu - zauważył z uśmiechem Dunworthy. - Zapewne nie ma żadnych nadziei na to, żeby zachorowała?

Colin wybaluszył oczy.

- Zachorowała? A jakim cudem? Przecież epidemia już się skończyła. W przyszłym tygodniu mają odwołać kwarantannę.

Oznaczało to, iż monity Mary odniosły jednak skutek i dostarczono leki zwalczające tę odmianę wirusa, a także szczepionkę. Ciekawe, czy dotarły w porę, żeby uratować Badriego... Nagle przyszło mu do głowy, iż być może to właśnie była ta zła wiadomość, o której myślała pani Gaddson. Gdyby ktoś zapytał go o zdanie, to najgorszą wiadomość już mu przekazano: minęła ustalona data powrotu Kivrin i dziewczyna została w średniowieczu.

- W takim razie czekam na dobre wieści - powiedział.

- Od dwóch dni nikt nie zachorował, a wczoraj dotarł transport z zaopatrzeniem, więc wreszcie jemy jak ludzie.

- Widzę, że dostarczono też nowe ubrania.

Colin zerknął z roztargnieniem na rękaw kurtki.

- Ach, to... Dostałem ją od matki na Gwiazdkę. Przysłała prezenty po... - Umilkł, wzruszył ramionami, po czym dokończył: - W paczce były też filmy do przeglądarki i maski do nalepiania na twarz.

Ciekawe, czy wysłała to wszystko dopiero wtedy, kiedy dowiedziała się z telewizji, że epidemia ma się ku końcowi, pomyślał Dunworthy. I co Mary miała do powiedzenia na ten temat.

Colin podniósł się z fotela.

- Proszę spojrzeć: zapina się automatycznie. Wystarczy dotknąć guzika, o, tak... Teraz nie będzie pan musiał powtarzać mi bez przerwy, żebym zapiął kurtkę.

Głośny szelest oznajmił, że do pokoju weszła wiekowa pielęgniarka.

- Więc jednak obudził pana? - zaskrzeczała, mierząc chłopca nieprzychylnym spojrzeniem.

- A nie mówiłem? - mruknął Colin pod nosem, głośno zaś powiedział: - Wcale nie, siostró. Siedziałem cicho jak mysz pod miotłą. Prawda, panie Dunworthy?

- Nie obudził mnie i wcale mi nie przeszkadza - oświadczył, uprzedzając kolejne pytanie pielęgniarki. - Przekazuje mi wyłącznie dobre wiadomości.

- Nie powinien pan słuchać żadnych wiadomości, wszystko jedno, dobrych czy złych, tylko odpoczywać - poinformowała go surowym tonem, po czym zawiesiła na stojaku kolejną kroplówkę z przezroczystą cieczą. - Jest pan zbyt poważnie chory, żeby przyjmować gości.

Delikatnie, ale stanowczo, zaczęła popychać Colina w kierunku drzwi.

- Skoro tak bardzo troszczycie się o pacjentów, to czemu wpuszczacie tu panią Gaddson i pozwalacie, żeby czytała im Biblię? - zaprotestował chłopiec. - Wybiera takie fragmenty, że każdego wpędziłaby do grobu! - Zaparł się w drzwiach. - Przyjdę jutro, panie Dunworthy. Przyniesie coś panu?

- Dziękuję, nie trzeba. Co z Badrim?

Odruchowo zacisnął ręce na krawędziach łóżka, przygotowując się na najgorsze.

- Wszystko w porządku. Już prawie wyzdrowiał, ale miał lekki nawrót, choć i tak czuje się całkiem nieźle. Koniecznie chce się z panem zobaczyć.

Zamierzał odpowiedzieć, że nie widzi potrzeby, że sobie tego nie życzy, ale nie zdążył, ponieważ pielęgniarka wypchnęła Colina na korytarz i wyszła z izolatki, zamykając za sobą drzwi.

“To nie jest wina Badriego” - powiedziała Mary. Oczywiście miała rację. Przecież trudności z koncentracją stanowiły jeden z wczesnych objawów każdej grypy. Przypomniał sobie, jak nie był w stanie wystukać numeru Andrews'a oraz jak myliła się panna Piantini, opóźniając wejścia, zmieniając rytm i mruczając co chwila pod nosem, że bardzo jej przykro.

- Mnie też jest przykro - powiedział do sufitu.

Istotnie, to nie Badri ponosił odpowiedzialność za to, co się stało, tylko on. Tak bardzo się niepokoił, czy niedoświadczony praktykant prawidłowo przeprowadził obliczenia, że w końcu zaraził techniką swymi obawami i skłonił do ponownego wyliczenia współrzędnych.

Colin zostawił książkę na łóżku. Dunworthy przyciągnął ją bliżej (okazała się zdumiewająco ciężka), oparł na podstawce z zawiniętej kołdry, po czym zaczął powoli przewracać strony, aż wreszcie znalazł to, czego szukał.

Czarna Śmierć dotarła do Oxfordu w Boże Narodzenie. Natychmiast zamknięto Uniwersytet, znaczna część ludności uciekła zaś do okolicznych wsi, zanosząc tam zarazę. Ci, którzy nie chcieli albo nie mogli opuścić miasta, umierali setkami, aż wreszcie “nie pozostał nikt, kto mógłby zająć się konającymi albo pochować zmarłych”. Nieliczni, którzy pozostali przy życiu, zabarykadowali się w kilku college'ach, szukając wśród zdrowych kogoś, kogo mogliby obarczyć winą za sprowadzenie nieszczęścia.

Nawet nie zauważył kiedy zasnął; obudził się dopiero wtedy, kiedy ktoś zdjął mu okulary z nosa. Otworzywszy oczy ujrzał jasnowłosą przyjaciółkę Williama.

- Przepraszam - powiedziała z uśmiechem, chowając okulary do szuflady. - Nie chciałam pana obudzić.

- Nie szkodzi. Czy to prawda, że jest już po epidemii?

- Tak - odparła, spoglądając na wskaźniki nad jego głową. - Dosłownie w ostatniej chwili udało się ustalić pochodzenie wirusa i dostarczyć leki oraz szczepionkę. Gdyby nie to, byłoby naprawdę nieciekawie, bo według obliczeń sekcji prawdopodobieństwa wskaźnik zachorowań miał sięgnąć 85 procent, natomiast śmiertelność mogła wynieść nawet 32 procent. Jeśli dodatkowo wziąć pod uwagę, że kończyły się zapasy żywności, a połowa personelu medycznego leżała w szpitalu... Skończyło się na 19 procentach zgonów, ale kilkanaście osób wciąż znajduje się w stanie krytycznym. - Ujęła go delikatnie za przegub. - Trochę spadła panu temperatura. Miał pan naprawdę sporo szczęścia. Leki, które nam przysłano, nie działały równie skutecznie na wszystkich zarażonych. Doktor Ahrens...

Umilkła w pół zdania, Dunworthy zaś pomyślał z zaciekawieniem, co takiego mogła powiedzieć Mary.

- Miał pan dużo szczęścia - powtórzyła dziewczyna. - A teraz proszę spróbować zasnąć.

Zasnął bez najmniejszego trudu, a kiedy ponownie się obudził, ujrzał nad sobą gotową do ataku panią Gaddson z Biblią w dłoniach.

- “Sprowadzi na was wszystkie plagi egipskie” - zacytowała, kiedy tylko zobaczyła, że otworzył oczy. -, A także wszystkie choroby i zarazy, aż obróćcie się w proch”.

- “I zostaniecie wydani w ręce nieprzyjaciół waszych...” - wymamrotał.

- Słucham?

- Nic, nic.

Udało mu się jednak zbić ją z pantafyku. Przez dłuższą chwilę wertowała Pismo Święte w poszukiwaniu bardziej wstrząsających fragmentów, po czym znowu zaczęła czytać:

- “...i dlatego Pan zesłał na świat swego jednorodzonego Syna...”

Z pewnością nigdy by go nie przysłał, gdyby wiedział co się stanie, pomyślał Dunworthy. Gdyby wiedział o Herodzie, rzezi niewiątek i Ogrodzie Oliwnym.

- Proszę przeczytać mi fragment Ewangelii według św. Mateusza - powiedział. - Rozdział 26, wiersz 39. Pani Gaddson posłała mu niechętnie spojrzenie, niemniej jednak posłusznie przerzuciła kartki opasłej księgi.

- “I odszedłszy nieco dalej, upadł na twarz i modlił się tymi słowami:»Ojcze mój, jeśli to możliwe, niech Mnie ominie ten kielich!«”

Bóg nie miał pojęcia, co się dzieje z Jego synem, myślał Dunworthy, słuchając słów Pisma Świętego. Zesłał swego jednorodzonego syna na świat, ale ktoś popełnił błąd przy obliczaniu parametrów, ktoś inny wyłączył sieć, więc Bóg nie mógł pospieszyć synowi z pomocą. Żli ludzie aresztowali go, włożyli mu na głowę cierniową koronę, a potem przybili do krzyża.

- Rozdział 27, wiersz 46.

Zacisnęła usta i przewróciła kolejną kartkę.

- Nie wydaje mi się, żeby w obecnej sytuacji akurat te fragmenty...

- Proszę czytać.

- "Około godziny dziewiątej Jezus zawołał donośnym głosem: »Eli, Eli, lema sabachthani?«, to znaczy: »Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?«"

Kivrin nie wiedziała, co się stało. Z pewnością przypuszczała, że zjawiała się w niewłaściwym miejscu albo o niewłaściwym czasie, że pomyliła datę, że wydarzyła się jakaś awaria... Że wszyscy ją opuścili.

- Ma pan jakieś specjalne życzenia? - zapytała pani Gaddson.

- Nie.

Pospiesznie wróciła do Starego Testamentu.

- "Będą padać od głodu, miecza i chorób..." - przeczytała z wyraźnym zadowoleniem. - "Ci zaś, co znajdują się daleko, umrą od zarazy".

O dziwo, jednak udało mu się zasnąć, a obudziwszy się stwierdził z ulgą, że są jeszcze inne pory dnia niż nie kończące się, wciąż takie samo popołudnie. Deszcz ciągle padał, ale tym razem sprzęty rzucały wyraźne cienie, dzwony zaś wybijały godzinę czwartą. Jasnowłosa pielęgniarka zaprowadziła go do łazienki. Książka znikła; uznał, że widocznie Colin przyszedł w odwiedziny, ale nie chciał go budzić, więc tylko zabrał swoją własność, lecz kiedy dziewczyna otworzyła nocną szafkę, by wyjąć jego kapcie, ujrzał książkę leżącą na półce. Poprosił pielęgniarkę o podniesienie zagłówka, a po powrocie z łazienki założył okulary i wrócił do przerwanej lektury.

Zaraza rozprzestrzeniała się tak błyskawicznie i zbierała tak obfite żniwo, że ludzie widzieli w niej coś więcej niż zwyczajną, choć bardzo groźną, chorobę. Oskarżali trędowatych, stare kobiety oraz upośledzonych umysłowo o zatrutowanie studni i rzucanie uroków. Każdy nieznajomy, każdy przybysz z odległych stron natychmiast stawał się podejrzany. W hrabstwie Sussex ukamienowano dwóch Bogu ducha winnych podróżnych, w Yorkshire natomiast spalono na stosie młodą kobietę.

- A więc tutaj jest! - wykrzyknął Colin, wchodząc do pokoju. - Bałem się, że ją gdzieś zgubiłem.

Miał na sobie nową zieloną kurtkę i, jak zwykle, był zupełnie przemoczony.

- Zniosłem pannie Taylor skrzynki z dzwoneczkami do kościoła reformowanego. Leje jak z cebra.

Dunworthy poczuł ogromną ulgę, a jednocześnie ogarnął go wstyd, że wcześniej nie zapytał o zdrowie żadnej spośród osób zakwaterowanych w Balliol.

- A więc ona też wyzdrowiała?

Colin dotknął guzika i kurtka rozpięła się samoczynnie, rozpryskując dokoła wodę.

- Aha. Piętnastego grają tam jakiś koncert.

Pochylił się nad łóżkiem, ale Dunworthy pośpiesznie zamknął książkę i wręczył ją chłopcu.

- A reszta zespołu? Co z panną Piantini?

- Jest jeszcze w szpitalu. Tak zeszczuplała, że na pewno by pan jej nie poznał. - Otworzył książkę. - Czytał pan o Czarnej Śmierci, prawda?

- Owszem. Mam nadzieję, że pan Finch jest cały i zdrowy?

- Jak najbardziej. Zastępuje pannę Piantini. Ostatnio bardzo się zdenerwował, bo w transporcie nie było papieru toaletowego, a podobno zużyliśmy już prawie cały zapas. Okropnie pokłócił się o to z panią Gaddson. - Chłopiec zamknął książkę i położył ją na łóżku. - Co będzie z tą pana studentką?

- Nie mam pojęcia - przyznał Dunworthy.

- Jest jakiś sposób, żeby ją stamtąd wyciągnąć?

- Obawiam się, że nie.

- Ta Czarna Śmierć to paskudna sprawa - stwierdził Colin. - Umarło tylu ludzi, że nikt ich nie grzebał. Podobno trupy wałały się na ulicach.

- Nic na to nie poradzę. W chwili, kiedy Gilchrist wyłączył sieć, utraciliśmy połączenie z punktem czasoprzestrzeni, w którym się znalazła.

- Wiem, ale może jednak da się coś wymyślić?

- Niestety nie.

- Ale...

- Chyba porozmawiam z lekarzem prowadzącym, żeby ograniczył liczbę gości, którym wolno pana odwiedzać - oświadczyła wiekowa pielęgniarka, chwytając chłopca za kołnierz kurtki i ciągnąc go do drzwi.

- Proszę zacząć od pani Gaddson! - zawołał za nią Dunworthy. - A w ogóle, to chcę jak najprędzej porozmawiać z Mary!

Zamiast Mary zjawiała się Montoya. Sądząc po oplakany stan, w jakim znajdowało się jej ubranie, buty, a nawet włosy, dopiero co przerwała pracę przy wykopaliskach. Towarzyszący jej Colin również był cały utyłany w błocie.

- Musieliśmy zaczekać, aż ta jęcza sobie pójdzie! - oznajmił konfidencjonalnym szeptem.

Montoya ogromnie schudła. Ręce zaciśnięte na poręczy łóżka przypominały szpony drapieżnego ptaka, zegarek zaś wisiał smętnie na przegubie.

- Jak pan się czuje?

- Lepiej - skłamał, spoglądając na jej ręce. Były przeraźliwie brudne, za paznokciami znajdowały się tony błota. - A pani?

- Też.

Z pewnością zaraz po wypisaniu ze szpitala wróciła na stanowisko, by kontynuować poszukiwania rejestratora, teraz zaś przyjechała prosto tutaj.

- Ona nie żyje, prawda? - zapytał.

Zacisnęła palce jeszcze mocniej, po czym puściła poręcz.

- Tak.

A więc mimo wszystko Kivrin trafiła we właściwe miejsce. Przesunięcie przestrzenne wyniosło najwyżej kilometr lub dwa, a może tylko kilkanaście metrów; w każdym razie zdołała odnaleźć drogę łączącą Bath z Oxfordem, trafiła do Skendgate... I umarła tam na gripę, którą zaraziła się jeszcze przed przeskokiem, albo z głodu i wyczerpania po przejściu zarazy, albo z rozpacz. Nie żyła od siedmiuset lat.

- A więc znalazła pani.

Nawet nie starał się, by zabrzmiało to jak pytanie.

- Co znalazła? - zdziwił się Colin.

- Rejestrator Kivrin.

- Nie - odparła Montoya. Wcale nie poczuł ulgi.

- Ale znajdzie go pani.

Ponownie zacisnęła dłonie na poręczy, lecz mimo to nie udało jej się ukryć ich drżenia.

- Kivrin sama mnie o to poprosiła. Tego dnia, kiedy miała wyruszyć. To ona zaproponowała, żeby wszczepić rejestrator do kości łódkowatej, żeby w razie czego dotrwał do naszych czasów. "Pan Dunworthy za bardzo się wszystkim przejmuje", powiedziała, "ale gdyby naprawdę coś poszło nie tak jak należy, spróbuj tak wszystko zorganizować, by pochowali mnie na cmentarzu w Skendgate, żeby..." - Montoya umilkła, odchrząknęła, po czym dokończyła łamiącym się głosem: - "...żeby nie musiała pani przekopywać polowy Anglii".

Dunworthy zamknął oczy.

- Czyli wcale nie macie pewności, że ona umarła! - wykrzyknął Colin. - Nie znaleźliście przecież rejestratora! Sam pan powiedział, że nie wiadomo, dokąd trafiła, więc skąd może pan wiedzieć, czy umarła?

- Przeprowadziliśmy eksperymenty ze szczurami laboratoryjnymi - odparła Montoya, wyręczając Dunworthy'ego. - Wstawialiśmy klatki do grobowca. Najpóźniej po kwadransie 75 procent szczurów było zarażonych wirusem. Kivrin pracowała przy grobowcu ponad trzy godziny, możemy więc mieć co najmniej 75 procentową pewność, że zaraziła się gripą, a jeśli weźmiemy pod uwagę ograniczone możliwości uzyskania fachowej opieki medycznej, musimy założyć, że choroba, i tak bardzo groźna, przebiegała z licznymi powikłaniami.

Ograniczone możliwości uzyskania fachowej opieki medycznej... W XIV wieku leczono ludzi pijawkami i strychniną, nikomu nawet jeszcze się nie śniło o bakteriach, wirusach, sterylizacji albo wzmacnianiu układu odpornościowego. Ci, co się nią opiekowali - zakładając, że w ogóle ktoś się o nią zatroszczył - okładali ją gorącymi kataplazmami, klepali modlitwy i upuszczali jej krew. Można było przeczytać o tym w tekstach źródłowych. "Medycy upuszczali im krew, lecz mimo to wielu umarło".

- W tej odmianie grypy bez właściwego leczenia śmiertelność sięga 45 procent. Według obliczeń sekcji prawdopodobieństwa...

- Sekcja prawdopodobieństwa! - parsknął Dunworthy. - Czy przeprowadzali te obliczenia na podstawie danych dostarczonych przez Gilchrista?

Montoya zerknęła na Colina i groźnie zmarszczyła brwi.

- Prawdopodobieństwo, że Kivrin zaraziła się wirusem grypy, wynosi 75 procent, natomiast 68 procent, że zetknęła się z dżumą. Biorąc pod uwagę, iż dżumą zaraża się około 91 procent osób, które miały z nią kontakt oraz że śmiertelność wynosi co najmniej...

- Nie zaraziła się dżumą - przerwał jej ponownie Dunworthy. - Została zaszczepiona. Dziwne, że ani doktor Ahrens ani Gilchrist nie powiedzieli wam o tym.

Montoya znowu zerknęła na Colina, lecz tym razem chłopiec odwzajemnił się jej nieruchomym spojrzeniem. Dunworthy natychmiast zorientował się, że coś jest nie w porządku.

- Czy Gilchrist też zachorował?

Pamiętał doskonale, że tracąc przytomność w laboratorium osunął się w jego ramiona. Czyżby go wtedy zaraził?

- Pan Gilchrist umarł trzy dni temu - powiedziała Montoya bezbarwnym tonem.

- Co jeszcze kazali ci przede mną ukrywać? - zapytał, patrząc Colinowi prosto w oczy. - Czy umarł jeszcze ktoś, kogo znałem?

Montoya podniosła rękę, jakby zamierzała nie dopuścić chłopca do głosu, ale było już za późno.

- Babcia Mary - powiedział cicho Colin.

Maisry uciekła. Ojciec Roche i ja szukaliśmy jej wszędzie, bojąc się, że zachorowała, poczuła się niedobrze i wpełzła w jakiś kąt, ale rządcą powiedział, że kopiąc grób dla Walthefa widział ją, jak jechała w stronę lasu na kucyku Agnes.

Osiągnie tyle, że zanieś chorobę dalej, choć bardziej prawdopodobne wydaje mi się, iż dotrze tylko do którejś z pobliskich wsi, gdzie zaraza rozgościła się na dobre. Dżuma otacza nas już ze wszystkich stron. Dzwony biją prawie bez przerwy, jakby wzywały wiernych na nie kończący się nieszpór, tyle że uderzają w szalonym, przerywanym rytmie. Nie sposób rozróżnić, czy zadźwięczały dziewięć, czy tylko trzy razy. Dziś rano ponownie odezwały się dzwony w Courcy. Uderzyły jeden jedyny raz. Czyżby któraś z rozszechbiotanych dziewcząt?

Rosemunda wciąż nie odzyskuje przytomności. Prawie nie mogę wyczuć pulsu. Agnes miota się w gorączce, woła mnie, ale kiedy podchodzę, próbuje uciekać, wymachuje rączkami i wierzga nogami.

Eliwys dosłownie leci z nóg, ponieważ dogląda obu córek, a także teściowej, która w ogóle nie pozwala mi zbliżyć się do siebie. Na mój widok wykrzykuje "Precz, Szatanie!", a niedawno niewiele brakowało, żeby podbiła mi oko. Oprócz Rosemundy tylko pisarz zachowuje się zupełnie spokojnie, ale jemu już w niczym nie mogę pomóc. Wątpię, czy doczeka wieczora. Cuchnie od niego tak bardzo, że musiałyśmy przeciągnąć go w najdalszy kąt izby. Z pękniętej dymienicy znowu wydobywa się ropa.

(przerwa)

Gunni, drugi syn rządcy.
Kobieta z bliznami po skrofułach.
Ojciec Maisry.
Cob.

(przerwa)

Z lady Imeyne jest coraz gorzej. Roche zamierzał udzielić jej ostatniego namaszczenia, ale nie chciała się przed nim wypowiedzieć.

"Przed śmiercią powinniście pogodzić się z Bogiem" - próbował ją przekonać, ale ona odwróciła się twarzą do ściany i powiedziała: "To Jego wina".

(przerwa)

Trzydzieści jeden przypadków. Ponad siedemdziesiąt pięć procent mieszkańców. Dziś rano ojciec Roche poświęcił fragment błonia, bo na cmentarzu zaczyna brakować miejsc.

Maisry nie wróciła. Przypuszczalnie zaszyła się w jakimś dworze, którego mieszkańcy umarli na dżumę, a kiedy będzie po wszystkim, zostanie założycielką nowej szlacheckiej rodziny.

Może właśnie dlatego nasze czasy wyglądały tak, a nie inaczej? Ludzie, którzy nas otaczali, a także my sami, byliśmy potomkami Maisry, wysłannika biskupa oraz sir Bloeta. Ci, którzy nie uciekli przed dżumą, natomiast czynili wszystko, by pomóc bliźnim, zarazili się i pomarli.

(przerwa)

Lady Imeyne jest nieprzytomna, a ojciec Roche udziela jej ostatniego namaszczenia. Przekonałam go, żeby mimo wszystko to uczynił.

- Przez jej usta przemawia choroba. Możesz być pewien, ojczu, że nie odwróciła się od Boga.

Naturalnie to nie jest prawda i chyba lady Imeyne nie zasłużyła na wybaczenie, ale z pewnością nie zasłużyła również na los, jaki ją spotkał. Wcale jej nie winię za to, że za wszystko obarcza winą Boga, chociaż w tym także nie ma racji. To po prostu choroba, i tyle.

Skończyło się mszalne wino i święty olej, więc ojciec Roche musiał skorzystać ze zużytego oleju do smażenia, który znalazł w kuchni. Olej jest zupełnie czarny i zostawia ślady na skórze.

To tylko choroba, nic więcej.

(przerwa)

Stan Agnes wyraźnie się pogorszył. Czuję się okropnie siedząc i obserwując bezsilnie, jak dyszy ciężko niczym jej psiak, rzuca się na posianiu i krzyczy: "Przyprowadźcie Kivrin! Powiedzcie jej, żeby mnie stąd zabrała!"

Nawet ojciec Roche ma już dosyć.

- Czemu Bóg karze nas w ten sposób? - zapytał mnie jakiś czas temu.

- To nie jest kara boska, tylko choroba - odpowiedziałam, choć oboje doskonale zdajemy sobie sprawę, iż takie wyjaśnienie w gruncie rzeczy niczego nie tłumaczy.

Oprócz nas zdaje sobie z tego sprawę cała Europa a także Kościół. Przetrwają jeszcze kilka stuleci, wyszukując różne usprawiedliwienia, lecz fakt pozostanie faktem: Bóg dopuścił do tego potwornego nieszczęścia i nikomu nie pospieszył z pomocą.

(przerwa)

Dzwony umilkły. Ojciec Roche zapytał mnie, czy uważam, że świadczy to o tym, iż zaraza ustąpiła.

- Może jednak Bóg znalazł jakiś sposób, żeby nam pomóc - powiedział z nadzieją.

Nie wydaje mi się, żeby tak było. W Tournai zakazano bić w dzwony, żeby nie siać paniki wśród mieszkańców. Być może biskup Bath wydał podobne rozporządzenie.

Rzeczywiście, nieustający lament dzwonów był przerażający, ale cisza jest jeszcze gorsza. Zupełnie jakby nastąpił koniec świata.

30.

Mary umarła wkrótce po tym, jak Dunworthy trafił do szpitala. Zachorowała tego samego dnia, kiedy dostarczono szczepionkę. Natychmiast przypętało się zapalenie płuc, nazajutrz zaś jej serce po prostu przestało bić. Szóstego stycznia. W święto Trzech Króli.

- Powinieneś mi powiedzieć.

- Przecież mówiłem! - odparł Colin z oburzeniem. - Nie pamięta pan?

Niczego nie pamiętał, ale mógł się domyślić, kiedy ujrzał panią Gaddson siedzącą przy łóżku, albo kiedy Colin powiedział, że wolno mu przekazywać wyłącznie dobre wiadomości. Nie miał żadnego przecucia. Nie zastanowiło go nawet, dlaczego do niego nie przychodzi.

- Mówiłem panu, że zachorowała, a potem, jak umarła, też od razu do pana przyszedłem, ale pan był tak chory, że nic do pana nie docierało.

Wyobraził sobie chłopca, czekającego nie wiadomo jak długo pod drzwiami, stojącego przy łóżku i próbującego podzielić się z nim straszną wiadomością.

- Bardzo mi przykro, Colin.

- Przecież to nie pana wina, że pan zachorował.

Jakiś czas temu Dunworthy w taki sam sposób pocieszał pannę Taylor; teraz zrozumiał, dlaczego jego wysiłki nie odniosły żadnego skutku.

- Nawet nie było tak źle - mówił dalej Colin. - Wszyscy byli dla mnie bardzo mili, tylko ta okropna pielęgniarka nie pozwoliła mi rozmawiać z panem nawet wtedy, kiedy poczuł się pan lepiej, a pani Gaddson bez przerwy czytała mi fragmenty Pisma Świętego o tym, jak to Bóg karze grzeszników. Pan Finch zadzwonił nawet do mojej matki, ale ona nie mogła przyjechać, więc sam zajął się pogrzebem. On też był bardzo miły, tak samo jak Amerykanki. Dostałem od nich mnóstwo słodyczy.

- Tak mi przykro... - wymamrotał Dunworthy. - Tak mi przykro... - powtórzył, kiedy wiekowa pielęgniarka wygoniła chłopca z pokoju.

Colin długo nie wracał - nie wiadomo, czy dlatego, że zmumifikowana siostra zabroniła mu wstępu na oddział, czy dlatego, że wbrew temu, co powiedział, w głębi serca czuł żal do Dunworthy'ego.

Miał do tego prawo. Bądź co bądź, Dunworthy opuścił go w najtrudniejszym momencie, zmuszając, by samodzielnie stawiał czoło pani Gaddson, bezwzględnej pielęgniarce oraz lekarzom, którzy nie chcieli mu nic powiedzieć. W najmniej odpowiedniej chwili stał się bardziej nieosiągalny niż Basingame, łowiący łososie lub pstrągi w jakiejś szkockiej rzece. Bez względu na to, co mówił Colin, w głębi duszy chłopiec z pewnością żywił przekonanie, że gdyby Dunworthy naprawdę chciał, to mimo choroby zdołałby mu jakoś pomóc.

- Pan też uważa, że Kivrin nie żyje? - zapytał po wyjściu Montoi.

- Niestety tak.

- Ale przecież sam pan powiedział, że nie mogła zarazić się dżumą, więc może jednak wcale nie umarła? A jeśli wciąż czeka na pana w wyznaczonym miejscu?

- Jeszcze przed przeskokiem zaraziła się gripą.

- Tak samo jak pan, a przecież pan żyje. Myślę, że powinien pan porozmawiać z Badrim i dowiedzieć się, czy ma jakieś pomysły. Może uda mu się na nowo włączyć sieć albo coś w tym rodzaju?

- Nic nie rozumiesz - odparł Dunworthy ze zniecierpliwieniem. - To nie to samo, co włączyć latarkę. Nie ma możliwości powtórnego trafienia w ten sam czas i miejsce.

- Ale przecież można spróbować dokonać przeskoku na podstawie nowych obliczeń, celując dzień albo dwa później, prawda?

Nawet znając wszystkie współrzędne trzeba było kilku dni na przygotowanie przeskoku, a Badri przecież nie znał współrzędnych, tylko datę. Naturalnie, na tej podstawie mógłby obliczyć nowe parametry, pod warunkiem jednak, że do danych, które wprowadził do sieci w początkowym stadium choroby, nie wkraść się żaden dodatkowy błąd oraz że sama sieć dopuści do przeskoku w bezpośrednie sąsiedztwo poprzedniego. Gdyby istniało najmniejsze ryzyko spowodowania paradoksu, całe przedsięwzięcie spaliłoby na panewce.

Nie miał siły ani ochoty tłumaczyć tego Colinowi, a już szczególnie nie chciał mu powiedzieć tego, co najważniejsze: że w stuleciu, w którym standardową metodą leczenia było upuszczanie krwi, Kivrin nie miała prawie żadnej szansy, by wyjść zwycięsko ze starcia z grypą.

- Nie da rady, Colin. Przykro mi, ale już po wszystkim.

- Więc po prostu zostawi ją pan tam, nie wiedząc, czy na pewno umarła? Nawet nie porozmawia pan z Badrim?

- Posłuchaj, Colin...

- Moja babcia zrobiła dla pana wszystko, co mogła! Nie poddała się do końca!

- Co tu się dzieje? - zaskrzeczała wiekowa pielęgniarka, wchodząc do izolatki. - Młody człowieku, jeśli natychmiast nie przestaniesz denerwować pacjenta, będę musiała wyprosić cię za drzwi!

- I tak już wychodziłem! - parsknął Colin, po czym wypadł jak burza z pokoju.

Nie zjawił się ani po południu, ani wieczorem, ani nawet nazajutrz rano.

- Czy wolno mnie odwiedzać? - zapytał na wszelki wypadek przyjaciółkę Williama, kiedy objęła dyżur.

- Naturalnie - odparła, spoglądając uważnie na ekrany. - Właśnie ktoś przyszedł do pana.

Tym kimś okazała się pani Gaddson. Weszła do pokoju z otwartą Biblią.

- Ewangelia według św. Łukasza, rozdział 23 wiersz 33 - powiedziała. - Specjalnie dla pana, skoro tak bardzo interesuje się pan ukrzyżowaniem. "Gdy przyszedli na miejsce zwane Czaszką, ukrzyżowali tam Jego i złoczyńców..."

Gdyby Bóg wiedział, gdzie jest Jego Syn, z pewnością nie pozwoliłby, aby to uczyniono, pomyślał Dunworthy. Wyciągnąłby go stamtąd. Pospieszyłby mu z pomocą i wyrwał z rąk oprawców.

Podczas Czarnej Śmierci ludzie uwierzyli, że Bóg ich opuścił. "Dlaczego odwróciłeś się od nas?" - pisali. "Dlaczego nie zważasz na nasze wołania?" Być może dlatego, że ich po prostu nie słyszał. Być może On także zachorował i leżał nieprzytomny w niebie, niezdolny pomóc nie tylko im, ale nawet Sobie.

- "...I mrok ogarnął całą ziemię aż do godziny dziewiątej." - ciągnęła pani Gaddson. - "Słońce się zaćmiło..."

Ludzie byli pewni, że zbliża się koniec świata, że nadchodzi Armageddon, że Szatan zwyciężył w ostatecznej rozgrywce. Tak właśnie się stało, przemknęło Dunworthy'emu przez głowę. Wyłączył sieć. Utracił koordynaty.

Jego myśli skierowały się ku Gilchristowi. Ciekawe, czy przed śmiercią zdał sobie sprawę z popełnionego błędu, czy może umierał nieprzytomny, nieświadomy tego, że zamordował Kivrin?

- "Potem Jezus wyprowadził ich ku Betanii i podniósłszy ręce błogosławił ich. A kiedy ich błogosławił, rozstał się z nimi i został uniesiony do nieba".

Rozstał się z nimi i został uniesiony do nieba... A więc Bóg jednak po Niego przybył - tyle że za późno. Dużo za późno.

Czytała nieprzerwanie aż do wieczora, kiedy do pokoju weszła jasnówłosa pielęgniarka.

- Pora spać! - oznajmiła pogodnym tonem, spoglądając znacząco na panią Gaddson, która natychmiast zamknęła Biblię i bez słowa opuściła izolatkę.

Dziewczyna pomogła Dunworthy'emu usiąść w łóżku, po czym kilka razy strzepnęła poduszkę.

- Czy Colin...

- Nie widziałam go od wczoraj - odparła, kładąc go delikatnie. - Byłoby dobrze, gdyby pan się teraz trochę przespał.

- A panna Montoya?

- Też się nie pokazała.

Wręczyła mu pastylkę i kubek z wodą.

- Są dla mnie jakieś wiadomości?

- Żadnych. - Zabrała pusty kubek. - Proszę spać.

Żadnych wiadomości. "Spróbuję tak wszystko zorganizować, żeby pochowali mnie na cmentarzu w Skendgate". Ale na cmentarzach bardzo prędko zabrakło miejsca. Ofiary zarazy grzebano w przydrożnych rowach i płytkich zbiorowych grobach lub wrzucano je do rzek, potem zaś nikt nie zaprzętał sobie głowy pochówkiem. Trupy wały się na ulicach i gościńcach, gdzieś tam układano je w ogromne stosy i palono.

Montoi nigdy nie uda się odnaleźć rejestratora. A nawet gdyby go znalazła, to co by usłyszeli? Przerażony głos Kivrin. "Byłam na miejscu przeskoku, ale sieć się nie otworzyła. Co się stało? Dlaczego mnie stąd nie zabraliście?"

Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?

Przyjaciółka Williama pomogła mu przejść na fotel i podała lunch. Właśnie kończył kompot śliwkowy, kiedy do pokoju wszedł Finch.

- Kończą nam się przetwory owocowe - oznajmił, spoglądając znacząco na tacę. - I papier toaletowy. Czy oni naprawdę uważają, że w takich warunkach da się normalnie prowadzić zajęcia? - Przesiadł na skraju łóżka. - Rektor ustalił, że semestr zacznie się dwudziestego piątego stycznia, ale nie ma mowy, żebyśmy zdążyli się przygotować. W Salwinie leży jeszcze piętnastu pacjentów, masowe szczepienia dopiero się zaczęły, a ja wcale nie jestem pewien, czy rzeczywiście jest już po epidemii.

- Co z Colinem? Wszystko w porządku?

- Tak, proszę pana. Co prawda śmierć doktor Ahrens bardzo go przygnębiła, ale odzyskał dawny humor, kiedy tylko zaczął pan wracać do zdrowia.

- Jestem panu bardzo wdzięczny za pomoc, jaką mu pan okazał. Colin powiedział mi, że załatwiał pan wszystkie formalności związane z pogrzebem.

- Och, to naprawdę drobnostka. Został przecież całkiem sam wśród obcych ludzi. Byłem pewien, że jego matka przyjedzie na pogrzeb, ale podobno nie udało jej się załatwić przepustki. Za to przysłała piękny wieniec z lilii i goździków. Nabożeństwo zostało odprawione w kaplicy naszego college'u. - Poruszył się niespokojnie. - Właśnie, skoro mowa o kaplicy... Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że w pańskim imieniu wyraziłem zgodę, by piętnastego stycznia Kościół Reformowany urządził tam koncert? Nasze Amerykanki zagrają "Kiedy wreszcie przybędzie mój Zbawiciel" Rimbauda. Chyba dobrze zrobiłem, prawda?

- Jak najbardziej - odparł Dunworthy, zastanawiając się, kiedy odbył się pogrzeb Mary i czy wyprowadzaniu trumny ze zwłokami towarzyszyły dźwięki dzwonów.

- Naturalnie mogę im powiedzieć, żeby przeniosły się do Najświętszej Marii Panny...

Ocknął się z zamyślenia.

- Skądże znowu, nie trzeba. Nasza kaplica będzie w sam raz. Widzę, że doskonale daje pan sobie radę pod moją nieobecność.

- Cóż, staram się, jak mogę, choć chwilami wydaje mi się, że nie podołam. Szczególnie z powodu pani Gaddson. - Wstał z łóżka. - Pójdę już. Powinien pan jak najwięcej odpoczywać i wracać do zdrowia. Ma pan jakieś życzenia? Mogę coś dla pana zrobić?

Dunworthy pokręcił głową.

Finch ruszył do drzwi, ale zatrzymał się z ręką na klamce i odwrócił w jego stronę.

- Proszę przyjąć szczerze wyrazy współczucia - powiedział, przestępując niepewnie z nogi na nogę. - Wiem, że doktor Ahrens i pan byliście sobie bardzo bliscy.

Bliscy? - pomyślał, kiedy za Finchem zamknęły się drzwi. Czy naprawdę byliście sobie bliscy? Wyteżył pamięć, by przypomnieć sobie Mary pochylającą się nad nim z zatroskaną miną, podłączającą mu kroplówkę, spoglądającą na ekrany monitorów, a także Colina, w nowej zielonej kurtce i z szyją okrytą szaroburym szalikiem, mówiącego głośno: "Babcia Mary umarła. Umarła! Słyszysz mnie pan?"

Bez skutku.

Pielęgniarka odprowadziła go do łóżka, podłączyła kroplówkę, a kiedy się obudził - nawet nie zauważył, że zasnął - stwierdził ze zdziwieniem, iż czuje się znacznie lepiej.

- Wreszcie wziął się do pracy pański układ odpornościowy - poinformowała go przyjaciółka Williama. - Te zastrzyki wzmacniające jednak coś dają. Mieliśmy już kilka prawie cudownych ozdrowień.

Pomogła mu dotrzeć do łazienki, po lunchu zaś oznajmiła, iż powinien udać się na przechadzkę po korytarzu.

- Im dalej pan zajdzie, tym lepiej - powiedziała, zakładając mu kaptcie.

Nigdzie nie idę, pomyślał. Nie mam po co. Gilchrist wyłączył się.

Przykleiła mu kroplówkę do ramienia, podłączyła zasilaną przez baterię pompkę dozującą i pomogła założyć szlafrok.

- Na pewno odczuwa pan przygnębienie, ale proszę się tym nie przejmować. Po tak ciężkiej chorobie mała depresja nie jest niczym nadzwyczajnym. Minie natychmiast, kiedy tylko pański organizm odzyska równowagę chemiczną i hormonalną.

Wyprowadziła go na korytarz.

- Jeśli pan chce, może pan odwiedzić znajomych. W tej chwili mamy dwoje pacjentów z Balliol. Panna Piantini leży w sali na końcu korytarza. Pański widok z pewnością podniósłby ją na duchu.

- Czy pan Latimer... - Umilkł, a po chwili zadał zupełnie inne pytanie niż to, jakie cisnęło mu się na usta:

- Czy pan Latimer jest jeszcze w szpitalu?

- Tak. Leży w trzecim pokoju po prawej stronie.

Z tonu, jakim to powiedziała, domyślił się, że z Latimerem nie jest najlepiej.

Powłócząc nogami ruszył we wskazanym kierunku. Nie odwiedził starego wykładowcy, kiedy tylko dowiedział się o jego chorobie, bo czekał na telefon od Andrews'a, potem zaś w szpitalu zabrakło sterylnych kombinizonów. Wiedział to, co powiedziała mu Mary: że Latimer jest ciężko chory i nieprzytomny.

Ostrożnie uchylił drzwi. Stary mężczyzna leżał na wznak z ramionami spoczywającymi nieruchomo na prześcieradle. Plastikowe rury łączyły piętrzącą się przy ścianie aparaturę z jego ustami i nosem, do lewego ramienia była podłączona kroplówka, cienkie włókna optyczne zdawały się wyrastać z jego klatki piersiowej i czaszki, niknąc w płataninie innych przewodów, które spowijały go niczym pajęczyna. Część z nich zasłaniała mu twarz, lecz jemu zdawało się to wcale nie przeszkadzać.

Dunworthy wszedł do pokoju najciszej jak potrafił i stanął przy łóżku.

- Latimer? - szepnął.

Pacjent nie zareagował. Miał otwarte, zupełnie nieruchome oczy, jego twarz zaś - a raczej ta jej część, którą można było dostrzec pod rurami i kabelkami - przypominała woskową maskę. Zamarł na niej wyraz lekkiego zdziwienia połączonego ze skupieniem, jakby mężczyzna na próżno usiłował przypomnieć sobie doskonale znany fragment z Chaucera.

- Panie Latimer - powtórzył nieco głośniejszym głosem Dunworthy i zerknął na ekrany. Widoczne na nich wykresy oraz liczby także nie uległy zmianie.

Do niego nic nie dociera, uświadomił sobie, po czym oparł się o stojące przy łóżku krzesło.

- Pan o niczym nie wie - powiedział drżącym głosem. - Mary nie żyje, Kivrin została w 1348, a Gilchrist wyłączył sieć.

Pofalowane linie wciąż przesuwają się obojętnie przez ekrany, kolorowe lampki migają w nie zmienionym rytmie, w okienkach wskaźników świecą te same liczby.

- We dwóch wysłaliście ją prosto w objęcia Czarnej Śmierci, a teraz leży pan tutaj i nawet...

Tak bardzo zakreśliło mu się w głowie, że musiał usiąść nakrześle.

"Mówiłem panu, że babcia umarła, ale pan był tak chory, że nic do pana nie docierało". Colin mówił do niego, a on leżał jak Latimer, obojętny, niedostępny.

Nigdy mi tego nie wybaczy, pomyślał. Tak samo jak nigdy nie wybaczy matce, że nie przyjechała na pogrzeb. Co powiedział Finch? Że nie zdołała uzyskać przepustki? Wyobraził sobie chłopca stojącego przed trumną, o którą oparto wieniec z lili i goździków, zupełnie samego, zdanego na łaskę i niełaskę pani Gaddson oraz amerykańskich dzwonniczek.

"Matka nie mogła przyjechać" - powiedział Colin, ale z pewnością w to nie wierzył. Oczywiście, że przyjechałaby, gdyby naprawdę chciała.

Nigdy mi nie wybaczy, tak samo jak Kivrin. Co prawda jest starsza od niego, więc zdoła sobie wyobrazić mnóstwo okoliczności, które mogły uniemożliwić zabranie jej z miejsca przeskoku, ale w głębi serca będzie przekonana, że gdybym chciał, znalazłbym jakiś sposób, by przybyć po nią i ocalić ją przed niebezpieczeństwem.

Gdybym tylko chciał.

Z trudem podniósł się z krzesła, przez chwilę stał, trzymając się kurczowo oparcia, po czym wyszedł z izolatki, nie patrząc ani na Latimera, ani na monitory. Przy ścianie stało puste łóżko na kółkach; ciężko odychając przysiadł na nim i pochylił głowę.

- Tu pan jest, panie Dunworthy!

Ocknąwszy się z otępienia stwierdził, że stoi przed nim pani Gaddson.

- Szłam właśnie, żeby panu poczytać. - Otworzyła Biblię. - Jest pan pewien, że wolno panu chodzić?

- Tak.

- Muszę przyznać, że cieszę się, iż wreszcie zaczyna pan wracać do zdrowia. Pod pańską nieobecność wszystko stanęło na głowie.

- Rzeczywiście.

- Koniecznie musi pan poważnie porozmawiać z panem Finchem. Pozwala tym okropnym Amerykankom ćwiczyć o każdej porze dnia i nocy, a kiedy zwróciłam mu na to uwagę, zbył mnie w bardzo nieuprzejmy sposób. Poza tym, zatrudnił mojego Willy'ego jako pielęgniarza. Jako pielęgniarza, wyobraża pan sobie? Mojego syna, który zawsze był nadzwyczaj chorowity! To prawdziwy cud, że do tej pory niczym się nie zaraził.

Istotnie, można to uznać za cud, pomyślał Dunworthy, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę imponującą liczbę dziewcząt, z którymi William Gaddson kontaktował się (i to dość blisko) podczas epidemii. Ciężkie, jakie szanse przeżycia dałaby mu sekcja prawdopodobieństwa?

- Tym razem pan Finch przebrał miarę - mówiła dalej pani Gaddson. - Naturalnie stanowczo sprzeciwiłam się jego niecnym zakusom. "Zabraniam panu lekkomyślnie narażać na szwank zdrowie mego syna" - powiedziałam. "Nie będę stała bezczynnie i przyglądała się, kiedy mojemu dziecku grozi śmiertelne niebezpieczeństwo".

Śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Przepraszam, ale muszę odwiedzić pannę Piantini.

- Powinien pan wrócić do łóżka. Wygląda pan okropnie. - Pogroziła mu Pismem Świętym. - W tym szpitalu dzieją się skandaliczne rzeczy! Nikogo nie obchodzi, że ciężko chorzy ludzie leżą po korytarzach. Jeśli nastąpi nawrót choroby, na pewno pan umrze, i będzie pan mógł mieć o to pretensje wyłącznie do siebie!

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Dunworthy, po czym otworzył drzwi do sali ogólnej.

Podświadomie oczekiwał, że będzie niemal pusta, tymczasem okazało się, iż wszystkie łóżka są zajęte. Większość pacjentów siedziała w łóżkach, czytając książki lub czasopisma albo oglądając filmy na przenośnych odtwarzaczach. Tylko jeden nic nie robił; po prostu siedział bez ruchu w fotelu na kółkach i wpatrywał się w mokre od deszczu okno.

Minęła dłuższa chwila, zanim Dunworthy rozpoznał tego człowieka. Co prawda Colin wspomniał, że technik jest jeszcze w szpitalu, ale Dunworthy nie był przygotowany na taki widok: Badri wyglądał jak starzec. Jego smagła niegdyś twarz miała popielatoszarą barwę, oczy zapadły się głęboko, między nosem a ustami pojawiły się głębokie bruzdy, włosy zaś były zupełnie siwe.

- Badri... - wyszeptał.

Technik odwrócił się razem z fotelem. - Pan Dunworthy.

- Nie wiedziałem, że pana tu zastanę.

- Przenieśli mnie po tym, jak... - Umilkł w pół zdania. - Słyszałem, że czuje się pan znacznie lepiej - dookończył po jakimś czasie.

- Owszem.

Nie zniosę tego, pomyślał Dunworthy. Jak pan się czuje? Dziękuję, całkiem nieźle. A pan? Och, znacznie lepiej. Co prawda jestem w depresji, ale podobno to typowe dla rekonwalescentów.

Badri ponownie odwrócił się w stronę okna. Widocznie dla niego to jest też nie do zniesienia, przemknęło Dunworthy'emu przez głowę.

- Pomyliłem się przy wprowadzaniu danych do komputera - powiedział technik, śledząc wzrokiem krople deszczu spływające po szybie.

Dunworthy doskonale wiedział, co powinien odpowiedzieć. "Był pan chory, miał pan gorączkę". Albo: "Kłopoty z koncentracją stanowią jeden z wczesnych objawów grypy" - Albo: "To nie pańska wina".

Nic nie odpowiedział.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem chory - ciągnął technik, skubiąc połę szlafroka tak samo jak przedtem, w gorączce, skubał skraj koca. - Od rana bolała mnie głowa, ale pomyślałem sobie, że to pewnie z przepracowania. Powinienem się zorientować, że coś jest ze mną nie w porządku i odwołać przeskok.

A ja powinienem odmówić, kiedy poprosiła mnie, żebym został jej opiekunem, powinienem dopilnować Gilchrista, żeby najpierw przeprowadził symulację przeskoku, powinienem zmusić go do otwarcia sieci, kiedy tylko znalazł mnie pan w pubie i powiedział, że coś się nie zgadza.

- Należało otworzyć sieć, nie czekając na wyznaczony termin - dodał Badri, mnąc szlafrok wychudzonymi rękami. - Nie czekając, aż pan wyzdrowieje.

Dunworthy odruchowo zerknął na ścianę, ale nad łóżkiem Badriego nie było żadnej aparatury kontrolno-pomiarowej. Czy to możliwe, by technik nie wiedział, że Gilchrist wyłączył sieć? A może nie powiedzieli mu o tym w trosce o jego zdrowie, tak samo jak jemu nie powiedzieli o śmierci Mary?

- Nie chcieli wypisać mnie ze szpitala, ale gdybym się uparł, na pewno by mnie wypuścili.

Muszę mu o tym powiedzieć, powtarzał w myślach Dunworthy. Muszę. Teraz, natychmiast.

Nie zrobił tego jednak, tylko stał, obserwując w milczeniu, jak Badri znęca się nad szlafrokiem.

- Panna Montoya pokazała mi obliczenia sekcji prawdopodobieństwa - powiedział technik. - Sądzi pan, że Kivrin nie żyje?

Mam nadzieję, pomyślał. Mam nadzieję, że wirus zabił ją, zanim zorientowała się, gdzie jest. Zanim zorientowała się, że zostawiliśmy ją na pastwę losu.

- To nie pańska wina - wymamrotał.

- Spóźniłem się tylko dwa dni. Kiedy otworzyłem sieć, byłem pewien, że będzie na nas czekała, ale jej tam nie było. Tylko dwa dni!

- Słucham?

- Błagałem, żeby wypisali mnie szóstego stycznia, ale oni zatrzymali mnie do ósmego. Natychmiast pojechałem do laboratorium i otworzyłem sieć, lecz Kivrin już tam nie było.

- Co pan wygaduje? - zapytał Dunworthy. - W jaki sposób mógł pan otworzyć sieć? Przecież Gilchrist ją wyłączył!

Badri ponownie odwrócił się od okna i podniósł na niego wzrok.

- Wykorzystałem zapis rezerwowy.

- Zapis rezerwowy?

- Zapis parametrów przeskoku - odparł technik z nutą zdziwienia w głosie. - Tak bardzo niepokoił się pan, że sekcja średniowiecza popełni jakiś błąd, że postanowiłem na wszelki wypadek zdublować wszystkie obliczenia. We wtorek po południu przyszedłem do Balliol, żeby panu o tym powiedzieć, ale pana nie zastałem, więc zostawiłem kartkę z wiadomością, że muszę z panem porozmawiać.

- Kartkę z wiadomością... - wyszeptał Dunworthy.

- Na szczęście laboratorium było otwarte, więc przeprowadziłem symulację korzystając z sieci Balliol. Zależało mi na tym, żeby pana uspokoić.

Pod Dunworthym nagle ugięły się kolana. Na szczęście stał przy łóżku, więc tylko usiadł na nim ciężko; gdyby łóżka nie było, najprawdopodobniej osunąłby się na podłogę.

- Później próbowałem panu o tym powiedzieć, ale byłem już tak chory, że nikt nie mógł mnie zrozumieć.

A więc przez cały czas istniał zapis oryginalnych, prawidłowych parametrów, podczas gdy on marnotrawił bezcenne godziny i dni, usiłując przekonać Gilchrista, żeby otworzył laboratorium, szukając Basingame'a, czekając aż Polly Wilson znajdzie sposób, żeby włamać się do komputera Uniwersytetu. "Martwię się" - bredził Badri w gorączce. "Czy laboratorium jest otwarte?" "Zapis".

Zapis.

- Może pan jeszcze raz otworzyć sieć?

- Oczywiście, ale nawet jeżeli Kivrin nie zaraziła się dżumą...

- Nie zaraziła się - stwierdził lakonicznie Dunworthy. - Została zaszczepiona.

- ...to na pewno już jej tam nie będzie. Od wyznaczonej daty minęło osiem dni. Niemożliwe, żeby czekała tak długo. Nie było jej już na trzeci dzień.

- Czy ktoś może się tam przedostać?

Badri zamrugał raptownie.

- Po co?

- Żeby jej poszukać, rzecz jasna. Czy ktoś inny może skorzystać z tego samego połączenia?

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

- Ile czasu potrzebuje pan na ponowne otwarcie sieci?

- Z gotowymi parametrami... Najwyżej dwie godziny. Niestety nie jestem w stanie przewidzieć rozmiarów poślizgu.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do sali wpadł zdyszany Colin.

- Tu pan jest! - wykrzyknął triumfalnie. - Pielęgniarka powiedziała, że poszedł pan na spacer, ale nigdzie nie mogłem pana znaleźć. Myślałem już, że pan się zgubił.

- Nie zgubiłem się - odparł Dunworthy, w dalszym ciągu wpatrując się w Badriego.

- Kazała mi pana przyprowadzić. - Colin chwycił go pod ramię i pomógł wstać z łóżka. - Za pierwszym razem nie wolno się przemęczać.

Poprowadził go w kierunku drzwi. Dunworthy zatrzymał się w progu i odwrócił do technika.

- Z którego laboratorium korzystał pan ósmego stycznia, kiedy otworzył pan sieć?

- W Balliol - odparł Badri. - Bałem się, że w Brasenose po wyłączeniu sieci mogła ulec skasowaniu część pamięci, a nie miałem czasu, żeby wszystko sprawdzać od zera.

Colin pociągnął Dunworthy'ego za rękaw.

- Za pół godziny zaczyna dyżur zmumifikowany potwór - ostrzegł go. - Na pańskim miejscu wolałbym już wtedy być w łóżku.

Wyszli na korytarz, ale kiedy tylko drzwi zamknęły się za nimi, Dunworthy oparł się o nie plecami.

Poślizg może być za duży. Technik unieruchomiony w wózku inwalidzkim. On sam tak słaby, że miałby kłopoty z dotarciem o własnych siłach do końca korytarza, a co dopiero mówić o powrocie do college'u. "Zaniepokojony" - bredził Badri w gorączce. Dunworthy myślał, że miało to być coś w rodzaju: "Był pan tak zaniepokojony, że na wszelki wypadek ponownie przeprowadziłem obliczenia". Tymczasem technik chciał powiedzieć: "Był pan tak zaniepokojony, że na wszelki wypadek zdublowałem zapis".

Zapis.

- Dobrze się pan czuje? Chyba nie ma pan nawrotu, czy czegoś w tym rodzaju?

Pokręcił głową.

- Zapytał pan pana Chaudhuri, czy uda mu się na nowo obliczyć współrzędne?

- Nie trzeba niczego obliczać. Istnieje zapis rezerwowy.

Chłopcu natychmiast rozblęśły oczy.

- Zapis rezerwowy? Czy to znaczy, że można dokonać jeszcze jednego przeskoku?

- Tak.

- A więc jednak spróbuje pan ją uratować?

Dunworthy przeszedł kilka kroków, ale zrobiło mu się tak słabo, że musiał ponownie przystanąć i oprzeć się o łóżko na kółkach.

- Sam nie wiem...

- Pomogę panu! - oświadczył chłopiec z entuzjazmem. - Co mam zrobić? Wystarczy, że pan powie, a wszystko załatwię. Nie będzie pan musiał nawet kiwnąć palcem.

- Nie wiadomo czy się uda. Poślizg...

- Ale spróbuje pan, prawda? Prawda?

Czuł, jak z każdym krokiem wokół jego piersi coraz silniej zaciska się żelazna obręcz. Badri już miał nawrót choroby. Nawet jeśli zdołają przygotować przeskok, sieć może się nie otworzyć.

- Tak - powiedział. - Spróbuję.

- Ale wdechowo!

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(078926-079064)

Lady Imeyne, matka lorda Guillaume'a D'Iverie.

(przerwa)

Rosemunda gaśnie w oczach. Nie jestem w stanie wyczuć pulsu, a jej skóra jest żółta i przypomina pergamin, co, jak wiem, stanowi niedobry znak. Agnes walczy nadspodziewanie dzielnie. Wciąż nie ma dymienic ani torsji, a to z kolei, jak mi się wydaje, pozwala żywić nadzieję. Eliwys musiała ściąć jej włosy, bo mała szarpała za nie, wołając mnie, żebym przyszła i wreszcie ją uczesała.

(przerwa)

Ojciec Roche udzielił Rosemundzie ostatniego namaszczenia. Oczywiście nie była w stanie się wypowiedzieć. Agnes chyba czuje się trochę lepiej, choć niedawno miała krwotok z nosa. Poprosiła o dzwoneczek.

(przerwa)

Ty draniu! Nie pozwolę ci jej zabrać. To przecież jeszcze dziecko, ale ty chyba się w tym specjalizujesz, prawda? Pamiętasz rzeź niewiniątek? Zabiłeś już małeństwo rządcy i pieska Agnes, i chłopca, który pobiegł sprowadzić pomoc, kiedy zamarałam w chacie. Wystarczy. Nie pozwolę, żebyś ją też zabił, ty cholerny sukiny! Nie oddam ci jej!

31.

Agnes umarła dzień po Nowym Roku, ani na chwilę nie przestając wzywać Kivrin.

- Ona tu jest - powtarzała Eliwys, trzymając dziecko za rękę. - Lady Katherine jest przy tobie.

- Nieprawda! - zawodziła dziewczynka schrypniętym, lecz zaskakująco silnym głosem. - Powiedźcie jej, żeby zaraz przyszła!

- Zrobię to - odparła matka, po czym spojrzała na Kivrin z wyrazem twarzy, którego ta nie potrafiła odczytać. - Pójdźcie po ojca Roche'a.

- Co się stało? - zapytała Kivrin. Kapłan udzielił już małej ostatniego namaszczenia. Przez cały czas, kiedy dotykał jej czoła i dłoni, wrzeszczała i miotła się jak ogarnięta szaleństwem, potem zaś nie pozwalała mu się zbliżyć. - Źle się czujecie, pani?

Eliwys pokręciła głową.

- Co powiem mojemu mężowi, kiedy wróci?

Delikatnie położyła rączkę córki na posłaniu. Kivrin dopiero wtedy zorientowała się, że Agnes nie żyje.

Umyła małe ciało, niemal wszędzie pokryte niebieskofioletowymi sińcami. Rączka, którą ścisnęła Eliwys, była prawie całkiem czarna. Zupełnie jakby małą ciężko pobito. Bo to prawda, przemknęło jej przez głowę. Agnes była bita, torturowana, na koniec zaś została zamordowana.

Rzeź niewiniątek.

Ubranie Agnes znajdowało się w oplakany stan, jej płócienną koszulkę już dawno temu podarły na bandaż. Kivrin zawinęła ją w swój biały płaszcz. Pochówkiem zajęli się ojciec Roche i rządcą.

Eliwys nie uczestniczyła w pogrzebie.

- Muszę zostać przy Rosemundzie - odparła, kiedy Kivrin powiedziała jej, że już pora. Rosemunda nie potrzebowała żadnej pomocy; wciąż leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami, nie odzywając się ani słowem. Kivrin podejrzewała, że wysoka gorączka doprowadziła do uszkodzenia mózgu. - Poza tym, lada chwila może wrócić Gawyn.

Na dworze było bardzo zimno. Kiedy mężczyźni opuszczali ciało do grobu, z ich ust buchały kłęby pary. Kivrin poczuła, jak ogarnia ją złość. Dlaczego tak sapiecie? - cisnęły się jej na usta gorzkie słowa. Przecież ona prawie nic nie waży. Można ją podnieść jedną ręką.

Jeszcze większa złość ogarnęła ją na widok grobów. Cmentarz był już pełen, podobnie jak fragment błonia, który ojciec Roche poświęcił nie tak dawno temu. Mogiła lady Imeyne znajdowała się tuż przy bramie, natomiast dziecko rządcy nie miało swojego grobu; ojciec Roche pochował je razem z matką, mimo iż nie było ochrzczone.

A co z najmłodszym synem rządcy i pisarzem? Gdzie zamierzasz ich pochować? Przecież tu już nie ma miejsca! Kto powiedział, że Czarna Śmierć zabiła jedną trzecią do połowy stanu mieszkańców Europy? Tutaj umierają wszyscy.

- *Requiescat in pace. Amen.*

Ojciec Roche cofnął się o krok, a rządcą zaczął zgarniać do płytkiego grobu bryły zmarzniętej ziemi.

Miał pan rację, panie Dunworthy, pomyślała z goryczą. Biały kolor jest niepraktyczny. Szybko się brudzi. Miał pan rację także w wielu innych sprawach. Ostrzegając mnie pan, że mogą wydarzyć się różne okropne rzeczy, i wydarzyły się. Teraz zapewne nie może się pan doczekać, żeby powiedzieć: "A nie mówiłem?" Niestety, zostanie pan pozbawiony tej satysfakcji, ponieważ nie wiem jak trafić na miejsce przeskoku, a jedyny człowiek, który mógłby wskazać mi drogę, najprawdopodobniej nie żyje.

Nie czekała aż rządcą usypie niski kopczyk nad grobem Agnes ani kiedy ojciec Roche zakończy przyjacielską pogawędkę z Bogiem. Szybkim krokiem ruszyła z powrotem w kierunku dworu. Była wściekła na wszystkich: na rządcę, za to, że macha z zapalem łopatą, jakby nie mógł się doczekać, kiedy pozwoli mu wykopać następne groby. Na Eliwys, za to, że została w domu. Na Gawyna, za to, że nie wrócił.

- Katherine! - zawołał ojciec Roche.

Odwróciła się, a on podbiegł do niej, ciągnąc za sobą biały obłok oddechu.

- O co chodzi?

Wpatrywał się w nią z powagą.

- Nie wolno nam tracić nadziei - powiedział.

- Niby dlaczego? - wybuchnęła. - Mamy osiemdziesiąt pięć procent chorych, a przecież zabawa dopiero się zaczęła! Pisarz umrze lada chwila, Rosemunda też, wy wszyscy przypuszczalnie zdążyliście się już zarażić. Dlaczego nie miałabym stracić nadziei?

- Bóg nie opuścił nas zupełnie. Agnes jest teraz bezpieczna w Jego ramionach.

Bezpieczna, pomyślała z goryczą. W grobie. Pod warstwą zmrożonej ziemi. W ciemności.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Trafiła prosto do nieba, gdzie nie dosięgnie jej żadna choroba. Miłość Boga jest zawsze z nami i nic nie zdoła nas od Niego oddzielić: ani śmierć, ani życie, ani anioły, ani rzeczy obecne...

- Ani przyszłe - wtrąciła Kivrin.

- ...ani góry, ani morza, ani żadne stworzenie - dokończył, po czym delikatnie dotknął jej ramienia. - Właśnie Jego miłość sprawiła, że znaleźliście się tutaj z nami.

Położyła rękę na jego dłoni i przycisnęła mocno.

- Musimy sobie pomagać - szepnęła.

Stali tak co najmniej minutę, aż wreszcie ojciec Roche powiedział:

- Trzeba uderzyć w dzwon, żeby jej dusza została wpuszczona do nieba.

Skinęła głową, po czym cofnęła rękę.

- Sprawdź co z Rosemundą i pozostałymi.

Co prawda Eliwys twierdziła, że musi zostać, by opiekować się córką, ale kiedy Kivrin wróciła do dworu, zastała ją nie przy Rosemundzie, lecz skuloną na posłaniu Agnes i wpatrującą się w drzwi.

- Może ci, co uciekają przed zarazą, zabrali mu konia i dlatego jeszcze nie wrócił?

- Już po pogrzebie - poinformowała ją Kivrin lodowatym tonem, a następnie podeszła do Rosemundy.

Dziewczynka obudziła się ze snu. Skierowała na Kivrin poważne spojrzenie, po czym, kiedy ta uklękła przy posłaniu, ujęła ją za rękę.

- Rosemundo! - wyszeptała Kivrin, starając się powstrzymać napływające do oczu łzy. - Kochanie, jak się czujesz?

- Jestem głodna. Czy mój ojciec wrócił?

- Jeszcze nie. - W tej chwili wszystko wydawało jej się możliwe, nawet powrót lorda Guillaume'a. - Zaraz przyniosę ci coś do jedzenia, ale pamiętaj, że musisz odpoczywać i nie wolno ci wstawać. Byłaś bardzo chora.

Dziewczynka posłusznie zamknęła oczy. Wydawały się mniej zapadnięte, choć nadal otaczały je ciemnofioletowe, niemal czarne sińce.

- Gdzie Agnes? - zapytała.

- Śpi - odparła Kivrin, odgarniając jej z czoła zmierzwiłone, posklejane włosy.

- To dobrze. Nie chcę, żeby bawiła się gdzieś w pobliżu. Robi okropnie dużo hałasu.

- Zaraz dam ci jeść. - Podniosła się z kolan i podeszła do Eliwys. - Lady Eliwys, mam dla was dobrą wiadomość: Rosemunda jest przytomna!

Kobieta uniosła się na łokciu, ale spojrzenie, jakim obrzuciła córkę, było zupełnie apatyczne, jakby myślała o czymś innym. Zaraz potem, nie odezawszy się ani słowem, opadła z powrotem na posłanie.

Zaniepokojona Kivrin dotknęła jej czoła. Było ciepłe, może nawet cieplejsze niż powinno, ale ona z kolei miała zimne ręce, bo przecież niedawno wróciła z dworu.

- Źle się czujecie? - zapytała.

- Nie - odparła Eliwys obojętnym tonem. - Co ja mu powiem, kiedy wróci?

- Powiecie mu, że Rosemunda ma się lepiej.

Chyba dopiero teraz znaczenie słów Kivrin utorowało sobie drogę do jej świadomości, ponieważ Eliwys wstała, podeszła do córki i usiadła obok niej. Jednak kiedy Kivrin wróciła z kuchni z miską bulionu, zastała ją zwinietą w kłębek na posłaniu Agnes i przykrytą płaszczem.

Rosemunda ponownie zasnęła, lecz nie był to już przerażający, głęboki sen podobny do śmierci. Na jej policzkach pojawiły się nawet słabe rumieńce, choć cienka skóra nadal była ciasno opięta na kościach policzkowych.

Eliwys również spała albo udawała, że śpi. Pod nieobecność Kivrin pisarz wypełził ze swego kąta i zdołał doczołgać się aż do barykady; kiedy Kivrin usiłowała zaciągnąć go z powrotem, zaczął stawiać tak zacięty opór, że musiała sprowadzić na pomoc ojca Roche'a.

Z prawego oka chorego sączyła się cuchnąca ropa. Ból musiał być nieznośny, ponieważ pisarz uparcie próbował wydłubać sobie oko zakrzywionymi jak szpony pazurami i z pewnością osiągnąłby cel, gdyby mu na to pozwolili i gdyby nie zawodziła go koordynacja ruchów.

- *Dominejesu Christe!* - jęczał. - *Fidelium defunctorium de poenis infermis!*

Uchroń dusze zmarłych wiernych od mąk piekielnych.

Zrób to, prosiła razem z nim Kivrin, trzymając go mocno za rękę.

Kiedy tylko trochę się uspokoił, dokonała kolejnego przeglądu zawartości szkatułki lady Imeyne. Szukała czegoś, co mogłoby posłużyć jako środek przeciwbólowy. Czy w roku 1348 w Anglii uprawiano już mak? W jednym z woreczków natrafiła na ususzone płatki przypominające nieco barwą płatki maku i przygotowała z nich napar, ale pisarz nie był w stanie przełknąć ani jednego łyka. Wnętrze jego ust przypominało jeden ogromny wrzód, zęby zaś i język były pokryte zakrzepniętą krwią.

Nie zasłużył sobie na to, pomyślała, nawet jeśli przywłókł tu zarazę. Nikt sobie na to nie zasłużył.

- Proszę... - wyszeptwała, nie bardzo wiedząc, o co właściwie prosi.

Cokolwiek to było, nie zostało jej dane, ponieważ wkrótce potem pisarz zaczął wymiotować czarnym śluzem wymieszanym z krwią, przez dwa dni padał śnieg, a Eliwys słabła z godziny na godzinę. Nie kasłała, nie miała torsji ani dymienic pod pachami, więc Kivrin podejrzewała, że za stan kobiety odpowiedzialna jest nie dżuma, ale rozpacz lub poczucie winy. Lub obie te rzeczy naraz.

- Co ja mu powiem? - powtarzała bez przerwy Eliwys, spoglądając z niepokojem na drzwi. - Przecież przysłał nas tutaj, żebyśmy były bezpieczne...

Nie ulegało już wątpliwości, że jej czoło jest znacznie cieplejsze niż powinno. W końcu wszyscy zachorują i umrą, pomyślała Kivrin z przerażeniem. Lord Guillaume starał się uchronić rodzinę przed zagrożeniem, ale jego wysiłki na nic się zdały. Koniecznie muszą coś zrobić.

Niczego jednak nie była w stanie wymyślić. Niewielką szansę ocalenia dawała jedynie ucieczka, ale jak mieliby uciekać z chorą Rosemundą i coraz słabszą Eliwys?

Przecież Rosemunda powoli, ale stale odzyskuje siły, natomiast Eliwys nie ma dżumy, tylko zwykłą gorączkę, najprawdopodobniej wywołaną przemęczeniem oraz ciężkimi przeżyciami. Może lord Guillaume ma jeszcze jedną posiadłość, gdzieś na północy? Może zdołaliby się tam ukryć?

Zaraza nie dotarła jeszcze do Yorkshire. Gdyby podczas podróży unikali kontaktu z ludźmi spotykanymi na gościńcu, może udałoby im się nie zawlec tam choroby.

Zapytała Rosemundę, czy ojciec ma majątek w Yorkshire.

- Nie - odparła dziewczynka. Siedziała na posłaniu oparta plecami o ławę. - W Dorset.

Odpada. Zaraza grasowała tam już od dłuższego czasu. Poza tym, choć stan Rosemundy uległ wyraźnej poprawie, dziewczynkę męczyło nawet kilkuminutowe siedzenie. Z pewnością nie zdołaliby wspiać się na konia, pomyślała Kivrin. Nawet gdybyśmy mieli konie.

- Mój ojciec ma też posiadłość w Surrey - powiedziała Rosemunda. - Tam właśnie urodziła się Agnes. - Spojrzała Kivrin prosto w oczy. - Czy ona umarła?

- Tak.

Skinęła głową, jakby ta wiadomość wcale jej nie zaskoczyła.

- Słyszałam jej krzyki.

Kivrin nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

- Mój ojciec też umarł, prawda?

Na to pytanie również nie było odpowiedzi, choć wiele wskazywało na to, że tak właśnie się stało. Gawyn najprawdopodobniej spotkał taki sam los. Minęło już osiem dni, odkąd wyruszył do Bath. Co prawda Eliwys stwierdziła rano, że Gawyn z pewnością zjawi się natychmiast, kiedy tylko przestanie padać, ale powiedziała to bez większego przekonania.

- Macie rację - odparła Kivrin, by podnieść ją na duchu. - Widocznie musiał przeczekać śnieżycę.

Do izby wszedł rządcą, zatrzymał się przed barykadą i oparł na łopacie. Przychodził codziennie, by popatrzeć na syna, ale tym razem tylko zerknął na niego przelotnie, po czym skierował spojrzenie na Rosemundę. Ubranie miał przysypane śniegiem, łopata zaś była mokra i zabrudzona ziemią. Kopał kolejny grób, domyśliła się Kivrin. Dla kogo?

- Ktoś umarł? - zapytała.

- Nie - odparł, nie odrywając wzroku od Rosemundy.

Kivrin podniosła się z miejsca.

- Chcecie czegoś?

Przez chwilę wpatrywał się w nią pustym spojrzeniem, jakby nie mógł pojąć, co do niego mówi.

- Nie - powiedział wreszcie, wziął łopatę i wyszedł z izby.

- Poszedł kopać grób dla Agnes? - zapytała Rosemunda.

- Nie, kochanie - odparła Kivrin łagodnym tonem. - Agnes już została pochowana.

- A więc będzie kopał grób dla mnie?

- Nie! Ty nie umrzesz. Czujesz się coraz lepiej. Byłaś bardzo chora, ale najgorsze już minęło. Teraz musisz jak najwięcej spać, odpoczywać i wracać do zdrowia.

Rosemunda posłusznie położyła się i zamknęła oczy, ale najdalej po minucie otworzyła je ponownie.

- Skoro ojciec nie żyje, król zabierze jego majątek i pozbawi mnie posagu. Myślicie, że sir Bloet też umarł?

Mam nadzieję, pomyślała Kivrin. Czyżby to nieszczęsne dziecko przez cały czas martwiło się, co będzie, kiedy wyjdzie za niego za mąż? Biedactwo. Zabijając sir Bloeta, zaraza wyświadczyła jej ogromną przysługę. Jeśli rzeczywiście go zabiła, ma się rozumieć.

- Nie myśl o tym. Najważniejsze, żebyś jak najszybciej odzyskała siły.

- Król czasem honoruje wcześniejsze zaręczyny, ale tylko wtedy, jeśli obie strony wyrażą na to zgodę.

Nie musisz się na nic zgadzać, pomyślała Kivrin. Sir Bloet nie żyje. Wszyscy nie żyją. Zabił ich wysłannik biskupa.

- Jeśli nie, wówczas wybierze mi kogoś według swego uznania, kogoś zupełnie obcego. Nie lubię sir Bloeta, ale przynajmniej go znam.

Kivrin dopiero teraz pojęła, że dziewczynka lękała się losu znacznie gorszego, niż mogli jej zgotować wszyscy sir Bloetowie, złoczyńcy i bandyci razem wzięci; zagrożenie to, w przeciwieństwie do niebezpieczeństwa spotkania z żadnym krwi rzeźmieszkim, było jak najbardziej realne. Rosemunda mogła najzwyczajniej w świecie zostać sprzedana jakiemuś szlachcicowi albo przekazana jako upominek jednemu z baronów, na których poparciu tak bardzo zależało królowi, i wywieziona Bóg wie dokąd.

Istniały znacznie gorsze rzeczy od wyuzdanego starca i jego jędzowatej siostry. Baron Garnier przez dwadzieścia lat trzymał żonę w dybach, hrabia Anjou spalił swoją na stosie... Rosemunda znalazłaby się w zupełnie obcym miejscu bez rodziny, bez przyjaciół, bez jednej życzliwej osoby, która służyłaby jej radą i opieką.

Zabiorę ją stąd gdzieś, gdzie sir Bloet na pewno jej nie znajdzie, postanowiła Kivrin. Gdzieś, gdzie obie będziemy mogły ukryć się przed zarazą.

Niestety, takie miejsce nie istniało. Zaraza dotarła już do Bath i Oxfordu. Wkrótce ogarnie Londyn, potem Kent, ruszy na północ do Yorkshire, tam zaś zawróci, przedostanie się z powrotem na drugi brzeg Kanału, by uderzyć na Niemcy i Niderlandy. Zapędzi się nawet do Norwegii, zaniesiona tam przez statek z martwą żoną. Nigdzie nie można było się przed nią schować.

- Czy jest tu Gawyn? - zapytała Rosemunda głosem podobnym do głosu jej matki i babki. - Niech natychmiast pojedzie do Courcy i powie sir Bloetowi, że wkrótce do niego przybędę!

- Gawyn? - odezwała się Eliwys ze swego posłania. - Gawyn przyjechał po nas?

Nie, odpowiedziała jej w myślach Kivrin. Nikt po nas nie przyjechał. Ani Gawyn, ani pan Dunworthy.

Fakt, że w wyznaczonym dniu nie stawiała się w miejscu przeskoku, nie miał najmniejszego znaczenia. I tak nikt na nią tam nie czekał, bo przecież nikt nie wiedział, że wyładowała w roku 1348. Gdyby wiedzieli, nie zostawiliby jej tutaj.

Coś musiało popsuć się w sieci. Pan Dunworthy niepokoił się, że przed dokonaniem przeskoku nie przeprowadzono symulacji. "Przy tak wielkich odległościach mogą wystąpić różne komplikacje" - powiedział. Cóż, najwyraźniej wystąpiły. Stało się coś, w wyniku czego zamiast do roku 1320 trafiła do 1348. Spóźniłam się nie o kilka dni, ale prawie o trzydzieści lat, pomyślała.

- Gawyn?

Eliwys usiłowała wstać z posłania, ale nie zdołała tego uczynić. Z każdym dniem stawała się coraz słabsza, choć w dalszym ciągu nie wykazywała żadnych objawów dżumy. Kiedy rozszalała się śnieżnica, powiedziała z ulgą: "Na pewno przeczeka w jakimś zacisznym miejscu i przyjedzie, kiedy tylko śnieg przestanie padać", po czym wstała i usiadła przy Rosemundzie, ale już po południu musiała się znowu położyć. Nie ulegało wątpliwości, iż ma wysoką gorączkę.

Słaniający się na nogach ojciec Roche wysłuchał jej spowiedzi. Wszyscy byli wykończeni; każdy, kto usiadł choć na chwilę, natychmiast zasypiał, rządca zaś zasnął stojąc, oparty o łopatę. Niewiele brakowało, by Kivrin ciężko się poparzyła, ponieważ sen dopadł ją akurat wtedy, kiedy dokładała drewno do ognia.

Nie wytrzymamy tego dużo dłużej, pomyślała, przyglądając się, jak ojciec Roche czyni znak krzyża nad Eliwys. A już on na pewno. Umrze z wycieńczenia, naturalnie jeśli wcześniej nie zabierze go zaraza.

Muszę ich stąd zabrać. Przecież dzuma nie dotarła do każdego zakątka Europy. Nie wiadomo dlaczego oszczędziła niektóre wsie, ominęła Polskę i Czechy, zostawiła w spokoju znaczne obszary północnej Szkocji.

- *Agnus dei, qui tollis peccata mundi, miserere nobis.*

Głos kapłana brzmiał w jej uszach równie pokrzepiająco jak wtedy, kiedy walczyła ze śmiercią; z tamtej potyczki wyszła zwycięsko, jednak doskonale zdawała sobie sprawę, że tej bitwy nie zdoła wygrać.

Ojciec Roche na pewno nie zostawi swoich parafian na pastwę losu. W relacjach historycznych z okresu Czarnej Śmierci pełno było opowieści o duchownych, którzy uciekali z parafii albo odmawiali swego uczestnictwa w pogrzebach, albo zamykali się za murami kościołów lub klasztorów w nadziei, że tam zaraza ich nie dosięgnie. Czyżby autorzy tych historii rozminęli się z prawdą?

Zresztą, nawet gdyby znalazła jakiś sposób, aby ich wszystkich stąd zabrać, Eliwys z pewnością chciałaby poczekać jeszcze dzień albo dwa na Gawyna oraz na męża. Nawet teraz, spowiadając się być może po raz ostatni w życiu, wciąż spoglądała na drzwi, jakby miała nadzieję, iż lada chwila otworzą się i staną w nich utrudzeni przybysze.

- Ojciec Roche wyszedł mu naprzeciw, prawda? - zapytała, kiedy kapłan odniósł wiatyk do kościoła. - Lada chwila tu będzie. Zapewne najpierw zajechał do Courcy, by ostrzec ich przed zarazą. Stamtąd ma już tylko pół dnia drogi.

Zażądała, by przesunąć jej posłanie w pobliże drzwi.

Kiedy Kivrin przemieszczała barykadę z ławek w taki sposób, by choć trochę zasłonić Eliwys przed przeciugiem, pisarz wykrzyknął coś głośno, po czym zaczął miotać się w konwulsjach. Wyglądało to tak, jakby został poddany eletrowstrząsom. Całe jego ciało prężyło się i drżało na przemian, wytrzeszczone oczy zaś (prawego prawie nie było widać spod gęstej ropy) wpatrywały się w sufit.

- Zostaw go wreszcie w spokoju! - załkała, próbując wepchnąć mu między zęby trzonek drewnianej łyżki, którą karmiła Rosemundę. - Czy nie dość już wycierpiał?

Szarpnął się tak mocno, że niewiele brakowało a spadłby z posłania.

- Przestań go męczyć! Wystarczy!

Pisarz nagle znieruchomiał, a z kącika ust pociekła mu struzka czarnego śluzu.

Umarł, pomyślała, ale jeszcze nie była w stanie w to uwierzyć. Przez minutę albo dwie obserwowała go uważnie, jakby obawiała się, że tylko udaje, by zmylić jej czujność. Wyglądał nie jak człowiek, tylko jak zmaltretowana, cuchnąca, szmaciana lalka. W końcu nakryła mu twarz jakąś derką, żeby nie zobaczyła go Rosemunda.

- Czy on nie żyje? - zapytała dziewczynka, zerkając z zainteresowaniem na nieruchome ciało.

- Tak - odparła Kivrin. - Dzięki Bogu. - Podniosła się na nogi. - Muszę zawiadomić ojca Roche'a.

- Wolalabym, żebyście nie zostawiali mnie samej.

- Przecież jest tu twoja matka i syn rządcy, a poza tym niedługo wrócę.

- Boję się... - wyszeptala Rosemunda.

Ja też, pomyślała Kivrin, spoglądając na podłużny kształt okryty derką. Nieszczęśnik wreszcie umarł, ale nawet po śmierci nie zaznał spokoju. Widziała przecież na własne oczy, że na jego twarzy zastygł grymas przerażenia i bólu.

Strach przed mękami piekielnymi.

- Nie zostawiajcie mnie, proszę.

- Naprawdę zaraz wrócę - powiedziała Kivrin, lecz mimo to usiadła przy posłaniu Rosemundy i wyruszyła na poszukiwania ojca Roche'a dopiero wtedy, kiedy dziewczynka zapadła w niespokojny sen.

Nie było go ani na dziedzińcu, ani w kuchni. W przejściu między zabudowaniami gospodarczymi ujrzała krowę rządcy, pracownicę wyskubującą, żdźbło po żdźbło, podściółkę z chlewików. Na jej widok wychudzone zwierzę podniosło łeb, po czym ruszyło za nią rozkołysanym krokiem.

W nowo powstałej części cmentarza zobaczyła rządcę zajętego kopaniem kolejnego grobu. Stał ukryty po pierś w świeżej mogile i metodycznie wyrzucał na wierzch czarną, wilgotną ziemię. Kivrin poczuła, jak serce łomocze jej w piersi. On już wie, przemknęła jej przez głowę niespokojna myśl. Ale skąd? To niemożliwe!

- Gdzie jest ojciec Roche? - zawołała, lecz mężczyzna jej nie usłyszał. Krowa podeszła do niej od tyłu i delikatnie trąciła ją pyskiem.

- Idź sobie! - odgoniła zwierzę, a następnie podeszła do rządcy.

Z bliska dostrzegła jeszcze dwa groby. Oba zostały dopiero co wykopane, ponieważ zwalona na sterty ziemia, wydobyta z głębokości prawie półtora metra, nie zdążyła jeszcze zamarać.

- Co robicie? - zapytała. - Czyje to groby?

Mężczyzna wyrzucił z dołu kolejną łopatę ziemi. Czarne grudy potoczyły się po zboczku niewielkiego pagórka i znieruchomiały na śniegu.

- Dlaczego kopiecie trzy mogiły? Kto umarł?

Nie zrażona niedawną odprawą krowa stanęła tuż za nią i dla odmiany szturchnęła ją rogiem. Kivrin niecierpliwie machnęła ręką.

- Kto umarł? - powtórzyła.

Rządca z rozmachem wbił łopatę w ziemię.

- Oto nadeszły dni ostatnie, chłopcze - odparł głosem wypranym z jakichkolwiek emocji.

Ogarnęło ją przerażenie, że mężczyzna majaczy, lecz szybko uświadomiła sobie, że nie poznał jej w chłopięcym stroju.

- To ja, Katherine!

Podniósł na nią wzrok i skinął głową.

- Nadszedł koniec świata - powiedział. - Ci, co jeszcze nie umarli, wkrótce wyzioną ducha.

Pochylił się nad łopatą.

Krowa tym razem usiłowała wsadzić jej łeb pod ramię.

- Odejdź!

Machnęła na oślep ręką i trafiła uparte zwierzę prosto w pysk. Krowa zamuczała niechętnie i cofnęła się, lawirując między mogiłami. Kivrin dopiero teraz zwróciła uwagę, że groby różnią się wielkością.

Pierwszy był całkiem duży, ale dwa kolejne, w tym także ten, przy którym obecnie pracował rządca, przypominały rozmiarami mogiłę Agnes. Powiedziała Rosemundzie, że nikt jeszcze nie kopie dla niej grobu, lecz to nieprawda, pomyślała z czymś w rodzaju poczucia winy.

- Nie macie prawa tego robić! - wykrzyknęła. - Wasz syn i Rosemunda czują się coraz lepiej, a lady Eliwys jest tylko zmęczona i przybita cierpieniem. Żadne z nich nie umrze!

Mężczyzna spojrzął na nią z takim samym wyrazem twarzy, z jakim stał przy barykadzie z ławek i przyglądał się Rosemundzie.

- Ojciec Roche powiada, że przysłano was, pani, byście nam pomagali, ale co można zdziałać, kiedy zbliża się koniec świata? - Ponownie wbił łopatę w ziemię. - Te groby na pewno się przydadzą. Wszyscy umrą. Wszyscy, co do jednego.

Krowa podeszła od drugiej strony, pochyliła łeb, tak że znalazł się na jednym poziomie z głową rządcy, i zaryczała mu żałośnie prosto w twarz, lecz on nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

- Musicie natychmiast przestać! - powiedziała stanowczo Kivrin. - Nakazuję wam, rozumiecie?

Kopał dalej, jakby jej nie słyszał.

- Oni nie umrą. Czarna Śmierć zabiła tylko od jednej trzeciej do połowy ludności Europy. Już osiągnęliśmy ten pułap.

Nadal nie przerywał pracy.

W nocy umarła Eliwys. Rządca musiał przedłużyć grób przygotowany dla Rosemundy, zaraz po pogrzebie zaś zaczął kopać następny.

Muszę ich stąd jak najprędzej zabrać, myślała, przyglądając mu się, podczas gdy ojciec Roche odmawiał krótką modlitwę. Rządca stał spokojnie, wsparty na łopacie, a kiedy kapłan skinął głową, począł zgarniać do grobu bryły zmarzniętej ziemi. Muszę ich stąd zabrać, zanim wszyscy się zarażą.

Śmiertelnie groźne mikroorganizmy czyhały wszędzie: w ubraniach, pościeli, na sprzętach, w jedzeniu, nawet w powietrzu, którym oddychali. A nawet gdyby, jakimś cudem, ktoś uniknął teraz zarażenia, dzuma dopadnie go na wiosnę, kiedy będzie zmierzała w kierunku Londynu. Nie mogli tu zostać. Musieli uciekać.

Ale dokąd?

Do Szkocji, pomyślała, wracając do dworu. Mogłabym zabrać ich do północnej Szkocji. Zaraza nie dotarła tak daleko. Syn rządcy jechałby na osle, Rosemunda zaś leżałaby na noszach ciągniętych przez zwierzę.

Kiedy weszła do izby, ujrzała Rosemundę siedzącą na posłaniu.

- Wzywał was przez cały czas - powiedziała dziewczynka.

Syn rządcy zwymiotował wielką ilość krwawego śluzu. Kivrin potrzebowała sporo czasu, aby doprowadzić do porządku posłanie i obmyć mu twarz, a kiedy uporała się z tym zadaniem, okazało się, że jest tak osłabiony, iż nawet nie może podnieść głowy. Nie ma mowy o tym, żeby wsiadł na osła, pomyślała z rozpaczą. Nigdzie nie pojedziemy.

W nocy przypomniała sobie o swoim wozie, rzekomo zniszczonym przez zbójców. Gdyby rządca pomógł jej naprawić pojazd, Rosemunda oraz jego syn mieliby zapewnione niemal komfortowe warunki podróży. Nie zwlekając zapaliła kaganek i pobiegła do stajni. Kiedy uchyliła jedno skrzydło szerokich wrót i wślizgnęła się do środka, osiołek przywitał ją donośnym parsknięciem, z głębi pomieszczenia zaś dobiegł gwałtowny szelest.

Kiedy tylko odgarnęła na bok roztrzaskane resztki kufrów, stało się dla niej jasne, że nie zdoła zrealizować swego pomysłu. Po pierwsze, wóz był za duży i osioł z pewnością nie zdołałby go uciągnąć, a po drugie, brakowało drewnianej osi, którą zapewne przywłaszczył sobie jakiś przedsiębiorczy wieśniak, by wstać ją w miejsce brakującej sztachety albo spalić w ognisku.

Albo żeby oganiać się nią od zarazy, pomyślała z gorczą.

Na dziedzińcu panowała kompletna ciemność. Wysoko w górze, na smolście czarnym niebie, świeciły niezliczone gwiazdy. Były równie piękne jak w Wigilię. Przypomniała sobie, jak wracała z kościoła z Agnes w ramionach, jak dzwoneczek zsunął się z przegubu dziewczynki i spadł w śnieg, jak rozległo się bicie dzwonów, obwieszczając o klęsce Szatana.

Za wcześnie, przemknęło jej przez głowę. Szatan nie został pokonany. Wręcz przeciwnie: to on jest teraz panem świata.

Bardzo długo leżała z otwartymi oczami, próbując obmyślić jakiś plan. Może udałoby się zrobić coś w rodzaju noszy, których końce osioł ciągnąłby po śniegu? Może wsadziliby mu na grzbiet oboje dzieci, sami zaś poszliby na piechotę, niosąc bagaże na plecach?

Wreszcie zdołała zasnąć, lecz niemal natychmiast (tak przynajmniej jej się wydawało) obudził ją ojciec Roche. Było jeszcze ciemno, kapłan zaś pochylał się nad nią i delikatnie potrząsał za ramię. Na jego twarz padał czerwony blask dogasającego ognia; ojciec Roche wyglądał niemal tak samo jak owej nocy na polanie, kiedy wzięła go za zbójcę. Wciąż niezupełnie przytomna, wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

- Lady Katherine!

Dopiero teraz otrząsnęła się z resztek snu. Rosemunda! - przemknęła jej przez głowę paniczna myśl. Natychmiast spojrzała na sąsiednie posłanie; dziewczynka spała spokojnie na boku, z ręką podłożoną pod policzek.

- Co się stało? Źle się czujesz, ojczu?

Pokręcił głową, otworzył usta, po czym zamknął je, nie powiedziawszy ani słowa.

- Ktoś przyjechał? - zapytała, zrywając się na nogi. Ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

Niemożliwe, żeby ktoś zachorował, pomyślała. Przecież nie został nikt zdrowy. Zerknęła na stertę koców przy drzwiach, gdzie sypiał rządcą, lecz nie dostrzegła go tam.

- Czy rządcą...

- Umarł jego syn - wykrztusił wreszcie ojciec Roche dziwnym głosem. Spojrzała na posłanie Lefrica i stwierdziła, że jest puste. - Szedłem do kościoła, żeby odmówić jutrznię... - Kapłan umilkł w pół zdania, przez kilka sekund łapał powietrze, jakby miał trudności z oddychaniem, po czym powiedział: - Chodźcie ze mną.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Kivrin chwyciła koc, otuliła się nim i podążyła za księdzem.

Była najwyżej szósta, może wpół do siódmej. Nad wschodnim horyzontem pojawił się zaledwie skrawek słonecznej tarczy. Zarówno zachmurzone niebo, jak i śnieg pokrywający ziemię grubą warstwą, miały intensywnie różową barwę. Ojciec Roche właśnie zniknął w przejściu prowadzącym na błonie. Kivrin owinęła się szczelniej kocem i pobiegła za nim.

W przejściu, jak zwykle, stała krowa. Udało jej się wyłamać oblużowaną albo nadgniłą deskę, dzięki czemu mogła wsadzić cały łeb do chlewika i bez przeszkód delektować się wyschniętą podściółką. Usłyszawszy kroki, wysunęła łeb z otworu w ścianie, spojrzała na Kivrin, po czym zamuczała donośnie i poczłapała w jej kierunku.

- Idź sobie! - wykrzyknęła dziewczyna, wymachując rękami, lecz krowa nie zamierzała zawrócić. - Nie mam teraz czasu cię doić! Zaczekaj trochę!

Odepchnęła rogaty łeb i popędziła co sił w nogach. Dopadła ojca Roche'a dopiero w połowie błonia.

- Co się stało? Dlaczego nic nie mówisz?

Nie zatrzymał się, ani nawet na nią nie spojrzął. Zorientowała się, że idą w kierunku świeżo wykopanych grobów, i poczuła ogromną ulgę. Nikt nie zachorował. Widocznie rządcą pochował syna bez udziału księdza, i to właśnie tak bardzo wzburzyło ojca Roche'a.

Mały grób był wypełniony ziemią. Rządcą zdążył już dokończyć mogiłę Rosemundy oraz wykopał jeszcze jeden grób, znacznie większy od pozostałych. Z otworu w ziemi sterczał trzonek łopaty.

Ojciec Roche nie podszedł do mogiły Lefrica, tylko zatrzymał się przy nowym grobie i powtórzył to, co powiedział w izbie:

- Szedłem do kościoła, żeby odmówić jutrznię...

Kivrin zajrzała do grobu.

Rządcą próbował chyba nagarniać ziemię łopata, ale w ciasnej przestrzeni narzędzie okazało się niezbyt poręczne, więc odstawił je i zgarniał ziemię rękami. Duża, zmarznięta bryła, pozostała w nieruchomej prawej ręce. Przed śmiercią zdołał przykryć sobie nogi, w związku z czym wyglądał trochę tak, jakby właśnie brał kąpiel.

- Musimy go pochować.

Sięgnęła po łopatę, ale Roche pokręcił głową.

- To poświęcona ziemia - powiedział bezbarwnym tonem.

On myśli, że rządcą popełnił samobójstwo! Przecież to nie ma żadnego znaczenia... Nagle uświadomiła sobie, że mimo wszystko, po tym co przeżył, po okropieństwach, jakich był świadkiem, ojciec Roche nadal

wierzy w Boga. Znalazł martwego rządcę w chwili, gdy szedł do kościoła odmówić jutrznię. Odmawiałby ją nawet wtedy, gdyby wszyscy pomarli, nie dostrzegając absurdalności sytuacji.

- To choroba - powiedziała, mimo iż nie miała pojęcia, czy tak jest w istocie. - Dżuma posocznicowa. Atakuje krew.

Skierował na nią puste spojrzenie.

- W ostatnim stadium choroby pomieszało mu się w głowie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co czyni.

- Jak lady Imeyne - szepnął niemal z ulgą.

Było jasne, że gotów jest chwycić się każdego pretekstu, żeby tylko pochować nieszczęśnika tutaj, na kawałku błonia zamienionym w cmentarz. Pomogła mu wyprostować sztywne ciało, po czym ojciec Roche zasłonił twarz zmarłego kawałkiem płótna i, zmieniając się przy łopacie, zasypali grób. Zmarznięte bryły ziemi spadały do dołu jak kamienie.

Ojciec Roche nie poszedł do kościoła, aby przywdziać strój liturgiczny, tylko stanął najpierw przy mogile Lefrica, odmówił modlitwę za zmarłych, potem zaś to samo uczynił przy grobie rządcy. Kivrin w milczeniu przysłuchiwała się łacińskiemu słowom. Nie wiem, czy rządcą naprawdę umarł na dżumę, ale wcale nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że postradał zmysły, myślała. Pochował żonę i sześcioro dzieci, pochował niemal wszystkich, których znał, nic więc dziwnego, że w końcu sam wszedł do świeżo wykopanego dołu i położył się, czekając na śmierć. Nie zasłużył na samotny grób samobójcy. Nie zasłużył na żaden grób. Przecież miał pojechać z nami do Szkocji.

Właśnie.

Aż się zachwiała, zdumiona i przerażona ogromną ulgą, niemal radością, która nagle ją ogarnęła. Wreszcie możemy uciec do Szkocji! Rosemunda pojedzie na osiołku, ojciec Roche i ja będziemy szli na piechotę, niosąc koce oraz zapasy żywności! Spojrzała z niepokojem w niebo, ale teraz, kiedy słońce wypłynęło ponad horyzont, chmury wydawały się mniej groźne. Kto wie, może rozproszą się jeszcze przed południem? Gdyby wyruszyli natychmiast, nie zwlekając, około południa dotarliby do drogi łączącej Bath z Oxfordem, wieczorem zaś znaleźliby się na gościńcu wiodącym do Yorku.

- *Agnus dei, qui tollis peccata mundi, dona eis requiem.*

Musimy zabrać owies dla osła, siekierę, żeby było czym narąbać drewna na ognisko, i koce.

- *Dominus vobiscum et cum spiritu tuo* - zakończył modlitwę ojciec Roche. - *Requiescat in pace. Amen.*

Ruszył w stronę kościoła, by uderzyć w dzwon.

Szkoda na to czasu, myślała, biegnąc do domu. Natychmiast zacznie się pakować, a kiedy ojciec Roche wróci z kościoła, wystarczy objuczyć osiołka, usadowić na nim Rosemundę, zwinąć kilka koców, i będą mogli ruszać w drogę. Aha, jeszcze trochę węgla, żeby było od czego rozpalić ogień. Włożyła je do szkatułki lady Imeyne.

Zadyszana wpadła do izby. Rosemunda jeszcze spała; znakomicie. Obudzi ją dopiero wtedy, kiedy wszystko będzie gotowe. Najciszej jak potrafiła przekradła się obok posłania dziewczynki, opróżniła szkatułkę, postawiła ją przy palenisku, po czym, wciąż na palcach, skierowała się do drzwi.

- Obudziłam się, ale was nie było - powiedziała Rosemunda, siadając na posłaniu. - Bałam się, że odjechałście.

- Wszyscy wyjeżdżamy - poinformowała ją Kivrin. - Do Szkocji. - Podeszła do dziewczynki. - Połóż się, żeby nabrać sił przed podróżą. Zaraz wrócę.

- Dokąd idziecie?

- Do kuchni. Jesteś może głodna? Przyniosę ci trochę owsianki. A teraz leż i odpoczywaj.

- Nie chcę być sama - powiedziała Rosemunda płaczącym tonem. - Posiedźcie trochę przy mnie!

Nie mam czasu, pomyślała ze zniecierpliwieniem Kivrin.

- Naprawdę idę tylko do kuchni. Ojciec Roche jest w pobliżu. Słyszysz? To on uderza w dzwon. Zaraz do ciebie wrócę, dobrze? - Uśmiechnęła się do Rosemundy, która bez przekonania skinęła głową. - Nawet nie zauważysz, że mnie nie ma.

Wybiegła z izby. Dzwon wciąż uderzał w powolnym, dostojnym rytmie. Pospiesz się, przemknęło jej przez głowę. Nie mamy wiele czasu. Przeszukała kuchnię, gromadząc na stole nadającą się do zabrania żywność. Znalazła gomółkę sera oraz sporo małych chlebków; wsunęła chleb do worka po mące, dołożyła ser, po czym zarzuciła sobie worek na ramię, wyszła na dziedziniec i ustawiła go przy studni.

W otwartych na oścież drzwiach dworu stała Rosemunda, trzymając się kurczowo futryny.

- Mogę posiedzieć z wami w kuchni? - zapytała.

Co prawda założyła kaftan i buty, ale i tak trzęsła się z zimna.

- Zaziębisz się! - Kivrin podbiegła do dziewczynki. - Przecież miałaś odpoczywać!

- Bałam się, że już do mnie nie wrócicie.

- Jak widzisz, wróciłam. - Dyskusja z Rosemundą nie miała sensu. Kivrin wpadła do izby, chwyciła jej płaszcz i stertę futer, po czym wróciła do sieni. - Możesz sobie siedzieć tu, na progu, i patrzeć jak szykują wszystko do wyjazdu. - Zarzuciła jej płaszcz na ramiona, a kiedy dziewczynka usiadła, otuliła ją ze wszystkich stron futrami. - Tak dobrze?

Do płaszcza była przypięta broszka - prezent od sir Bloeta. Rosemunda usiłowała ją odpiąć, ale ręce drżały jej tak bardzo, że nie mogła poradzić sobie ze szpilką.

- Czy jedziemy do Courcy? - zapytała.

- Nie. - Odpięła broszkę i przyczepiła ją dziewczynce do kaftana. *Io suiicen lui darni amo*. Zastępujesz przyjaciela, którego kocham. - Jedziemy do Szkocji. Ukryjemy się tam przed zarazą.

- Myślicie, że mój ojciec nie żyje?

Kivrin zawałała się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Matka powiada, że zatrzymały go jakieś ważne sprawy. Może moi bracia też są chorzy? Ona twierdzi, że wkrótce na pewno wróci.

- Całkiem możliwe. - Okryła futrem stopy Rosemundy. - Na wszelki wypadek zostawimy mu list z wiadomością, gdzie ma nas szukać.

Dziewczynka pokręciła głową.

- Gdyby żył, na pewno by po mnie przyjechał.

Kivrin nasunęła jej kaptur na głowę.

- Muszę jeszcze wrócić do kuchni.

Rosemunda nie zaprotestowała, więc Kivrin ponownie przebiegła przez dziedziniec. W kuchni znalazła jeszcze dwie rzeczy godne uwagi: dwa worki, jeden wypełniony cebulą, drugi jabłkami. Jabłka były zwiędnięte, większość zaś miała brązowe plamy, niemniej jednak wyciągnęła oba worki na zewnątrz. Zarówno cebula, jak i jabłka, stanowiły naturalne źródło witamin, a na ich nadmiar z pewnością nie mogli się skarżyć.

- Masz ochotę na jabłko?

Dziewczynka skinęła głową. Kivrin dość długo grzebała w worku, szukając najładniejszego. Wreszcie znalazła zielonkawoczerwone, w miarę twarde i nie pomarszczone, wytarła je starannie o spodnie, po czym zaniósła Rosemundzie. Ach, gdyby ktoś pomyślał o tym, by dać jej takie jabłko, kiedy była chora...

Po przełknięciu pierwszego kęsa Rosemunda straciła zainteresowanie jedzeniem. Oparta plecami o futrynę, spoglądała w niebo, wsłuchując się w dźwięki dzwonu.

Kivrin w pośpiechu sortowała jabłka, wybierając najmniej uszkodzone i zastanawiając się, jakim ładunkiem można obarczyć osiołka. Muszą przecież zabrać dla niego owies, bo na razie nie było co marzyć o trawie, choć w Szkocji powinien znaleźć wystarczająco dużo wrzosów. Obfitość rzek i strumieni rozwiązywała problem wody, ale koniecznie trzeba wziąć jakieś naczynie, w którym będą mogli ją zagotować.

- Wasi ludzie nie zjawili się po was - powiedziała Rosemunda, wrywając ją z zamyślenia.

Kivrin podniosła wzrok. Dziewczynka wciąż siedziała na progu domu z jabłkiem w ręku.

Zjawili się, pomyślała, tylko mnie tam nie było.

- Masz rację, Rosemundo.

- Myślicie, że zabiła ich zaraza?

- Na pewno nie.

Przynajmniej nie muszę się o nich martwić. Przynajmniej wiem, że nic im nie grozi.

- Kiedy tylko zobaczę się z sir Bloetem, opowiem mu, jak bardzo nam pomogliście. Poproszę go, by pozwolił wam i ojcu Roche'owi zostać przy mnie. - Zadarła z dumą nosekiem. - Wolno mi mieć własną damę do towarzystwa i kapelana.

- Dziękuję ci, Rosemundo - odparła Kivrin z powagą.

Ustawiła worek z jabłkami obok tego z chlebem i serem. Dzwon umilkł, lecz echo wciąż jeszcze powtarzało odgłos ostatniego uderzenia. Kivrin opuściła wiadro do studni; ugotuje garnek owsianki i wkroi do niego trochę gorszych jabłek. Będzie czym zapchać żołądki przed podróżą.

Kątem oka dostrzegła, jak coś toczy się po ziemi. Było to jabłko Rosemundy. Doturlało się aż pod stopy Kivrin i zatrzymało przy cembrowinie. Schyliła się, podniosła je, po czym wytarła o koszulę.

- Upuściłaś jabłko - powiedziała i odwróciła się, by oddać je dziewczynce.

Siedziała wpatrując się w niebo szeroko otwartymi nieruchomymi oczami. Prawa ręka zamarła w takiej pozycji, jakby w ostatniej chwili usiłowała złapać wymykający się owoc.

- Rosemundo...

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(079110-079239)

Ojciec Roche i ja uciekamy do Szkocji. Chyba nie ma sensu, żebym o tym mówiła, bo wątpię, by ten rejestrator kiedykolwiek trafił w pańskie ręce, ale może ktoś, kiedyś, znajdzie go na torfowisku albo panna Montoya wykopie go w północnej Szkocji, kiedy już skończy pracę w Skendgate. Gdyby tak się stało, chciałabym, żeby pan wiedział, co się wydarzyło.

Zdaję sobie sprawę, że ucieczka nie ma sensu, ale chcę za wszelką cenę ocalić ojca Roche'a. Tutaj dzuma jest wszędzie - w naszych ubraniach, łóżkach, jedzeniu - a w dodatku aż roi się od szczurów. Pojawiły się nawet w kościele. Widziałam jednego, kiedy poszłam po albę i stułę, które ojciec Roche założył z okazji pogrzebu Rosemundy. Moglibyśmy spróbować czegoś innego: zgromadzić zapasy żywności i wody w

jakimś pomieszczeniu, i czekać, aż zaraza odejdzie. Wiem jednak, że nie zdołam go do tego namówić. Będzie chciał iść do wsi, by pomagać ludziom.

Postaramy się trzymać z dala od uczęszczanych dróg oraz osad ludzkich. Jedzenia mamy mniej więcej na tydzień; przez siedem dni powinniśmy dotrzeć wystarczająco daleko na północ, żeby dokupić żywności na targu. Pieniądzy na pewno wystarczy, bo w rzeczach pisarza znalazłam trzos wypełniony srebrem. Proszę się nie martwić, panie Dunworthy. Wszystko będzie dobrze. Jak powiada pan Gilchrist, “przedsięwzięłam wszelkie możliwe środki ostrożności”.

32.

Pomysł, by ratować Kivrin, mógł wzbudzić entuzjazm 12-letniego chłopca, lecz to jeszcze nie oznaczało, że miał jakiegokolwiek szanse na realizację. Zanim Dunworthy, przy wydatnej pomocy Colina, wrócił do pokoju, był już kompletnie wyczerpany, a w dodatku podskoczyła mu temperatura.

- Niech pan odpoczywa - powtórzył chłopiec po raz kolejny, pomagając mu usiąść na łóżku. - Jeśli znowu pan zachoruje, na pewno nie zdoła jej pan pomóc.

- Muszę porozmawiać z Badrim. I Finchem.

- Wszystkim się zajmę - obiecał Colin, po czym wybiegł z pokoju.

“Wszystko” oznaczało w tym wypadku przyspieszenie wypisania Dunworthy’ego ze szpitala, zorganizowanie wsparcia medycznego na wypadek, gdyby Kivrin była chora, załatwienie szczepień przeciwko dżumie. Kiedy szczepionka zacznie działać? Mary wspomniała, że zaszczepiła Kivrin, kiedy dziewczynie implantowano rejestrator. Było to dwa tygodnie przed dokonaniem przeskoku, lecz Dunworthy miał nadzieję, iż nie będzie musiał czekać tak długo.

Zjawiła się młoda pielęgniarka, by zmierzyć mu temperaturę.

- Kończę już dyżur - poinformowała go, wprowadzając rezultat pomiaru do komputera.

- Kiedy zostaną wypisany?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Wypisany? Czyżby czuł się pan już tak dobrze?

- Czuję się znakomicie. Więc kiedy?

Zmarszczyła brwi.

- Fakt, że jest pan w stanie przespacerować się po korytarzu, nie musi oznaczać, że może pan wrócić do domu. - Zawiesiła kroplówkę na stojaku. - Lepiej dmuchać na zimne.

Wyszła, a kilka minut później zjawił się Colin z Finchem i “Epoką rycerstwa”.

- Pomyślałem, że przyda się panu przy wyborze strojów, i w ogóle - oznajmił, rzucając książkę na łóżko. - Zaraz przeprowadzę Badriego.

Wybiegł, jakby się paliło.

- Wygląda pan znacznie lepiej - powiedział Finch. - Ogromnie się cieszę. Nie możemy się doczekać pańskiego powrotu. Pani Gaddson stała się po prostu nie do zniesienia. Oskarża nas o celowe stwarzanie zagrożenia dla zdrowia Williama. Twierdzi, że stres związany z epidemią oraz lektura sonetów Petrarcki poważnie nadwątlili jego zdrowie. Ma zamiar wystąpić z oficjalnym protestem do dziekana Wydziału Historycznego.

- Proszę jej powiedzieć, że może robić, co jej się żywnie podoba. Basingame jest gdzieś w Szkocji - odparł Dunworthy. - Teraz mamy na głowie ważniejsze sprawy. Proszę się dowiedzieć, ile dni po szczepieniu przeciwko dżumie osiąga się pełną odporność. Trzeba też przygotować laboratorium do przeprowadzenia przeskoku.

- Chwilowo wykorzystujemy je jako magazyn - poinformował go Finch. - Wreszcie przysłali nam zaopatrzenie z Londynu, ale nie dali ani rolki papieru toaletowego, mimo że wyraźnie...

- Zapasy można przenieść do jadalni albo kuchni - przerwał mu Dunworthy. - Sieć musi zostać włączona najszybciej, jak się da.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wjechał Badri na wózku pchanym przez Colina.

- Musiałem ukraść wózek i zmylić czujność pielęgniarki, ale jakoś się udało - oznajmił z dumą chłopiec.

- Trzeba...

Dunworthy spojrzał na Badriego i głos uwiązał mu w gardle. Sprawa była beznadziejna. Technik już teraz sprawiał wrażenie kompletnie wyczerpanego, chociaż przejechał na wózku zaledwie kilkanaście metrów, jego palce zaś wciąż ugniatały skraj szlafroka.

- Będziemy potrzebowali pełnego dopływu mocy i zgody na przeprowadzenie przeskoku - powiedział Badri. Mówił cicho, z wyraźnym znużeniem, ale z jego głosu znikła nuta rozpaczy.

- A co z demonstrantami przed bramą Brasenose? - zapytał Dunworthy. - Nie sprawią nam jakichś kłopotów?

- Nie powinni - odparł Colin. - Przenieśli się przed siedzibę Funduszu Dziedzictwa Narodowego i żądają zaprzestania prac wykopaliskowych.

To dobrze, pomyślał Dunworthy. Montoya będzie zbyt zajęta obroną swoich dziur w ziemi, żeby zaprzętać sobie głowę czymkolwiek innym, w tym również poszukiwaniami rejestratora Kivrin.

- Czego jeszcze pan potrzebuje? - zapytał Badriego.

- Zdublowanego połączenia z głównym komputerem. - Technik wyjął z kieszeni wymiętą kartkę i spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami. - Naturalnie z możliwością przeprowadzenia symulacji przeskoku.

Wręczył listę Dunworthy'emu, który natychmiast przekazał ją Finchowi.

- Ja natomiast potrzebuję opieki medycznej dla Kivrin oraz telefonu w tym pokoju - oświadczył.

Finch wpatrywał się w kartkę z niewyraźną miną.

- Tylko proszę mi nie mówić, że czegoś nie ma albo coś właśnie się kończy - uprzedził Dunworthy jego protest - To mnie po prostu nie interesuje. - Spojrzał na Badriego. - Trzeba panu czegoś jeszcze?

- Owszem. Wypisu ze szpitala. Obawiam się jednak, że z tym będą największe problemy.

- Kto pana prowadzi?

- Doktor Gates, ale...

- Chyba nie będzie stawiał przeszkód, jeśli wyjaśnimy mu, o co chodzi i przedstawimy okoliczności?

Badri pokręcił głową.

- Lepiej tego nie robić. Kiedy pan był chory, prosiłem go, żeby zwolnił mnie na pół dnia. Zgodził się, chociaż miał poważne wątpliwości. Przywieźli mnie z powrotem po półgodzinie. Wątpię, czy zaryzykuje jeszcze raz.

Dunworthy przyglądał mu się z niepokojem.

- Jest pan pewien, że da sobie radę? Może powinienem ściągnąć Andrewsa? Teraz, kiedy epidemia została opanowana, chyba zgodziłby się przyjechać.

- Nie ma na to czasu - odparł Badri. - Poza tym, to wszystko moja wina. Ja wprowadziłem do komputera błędne dane. Może pan Finch zdoła przekonać innego lekarza?

- Właśnie. A mojemu proszę powiedzieć, że muszę z nim natychmiast porozmawiać. - Wziął do ręki książkę Colina. - Będę potrzebował kostiumu. - Przewracał niecierpliwie kartki w poszukiwaniu ilustracji. - Żadnych guzików, zamków błyskawicznych ani zatrzasków. - Znalazł rycinę przedstawiającą Boccaccia i pokazał ją Finchowi. - Wątpię, czy w sekcji dwudziestego wieku mają coś w tym rodzaju. Proszę zadzwonić do Towarzystwa Dramatycznego i poprosić, żeby czegoś poszukali.

- Postaram się, proszę pana - odparł Finch, spoglądając z powątpiewaniem na ilustrację.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadła jak burza szeleszcząca siostra.

- Panie Dunworthy, z przykrością muszę stwierdzić, że jest pan całkowicie nieodpowiedzialny! - oświadczyła tonem, który na oddziale kardiologicznym bez wątpienia spowodowałby gwałtowny wzrost śmiertelności. - Jeśli nawet nie zależy panu na własnym zdrowiu, to mógłby pan przynajmniej nie narażać na szwank zdrowia innych pacjentów. - Przeszyła Fincha potępiającym spojrzeniem. - Od tej pory pan Dunworthy nie może przyjmować żadnych gości! - Odepchnęła Colina i chwyciła za uchwyty fotela. - Co pan sobie właściwie wyobraża, panie Chaudhuri? - zapytała z irytacją, po czym tak gwałtownie odwróciła fotel w kierunku drzwi, że Badriemu mało głowa nie spadła z karku. - Przecież miał pan już jeden nawrót. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło.

Wypchnęła wózek na korytarz.

- Mówiłem panu, że nie uda się go stąd wydostać - powiedział Colin.

Pielęgniarka uchyliła drzwi i wsunęła głowę do pokoju.

- Żadnych gości! - powtórzyła stanowczo.

- Niedługo wrócę - szepnął chłopiec, mrugnął porozumiewawczo, po czym przemknął obok kobiety. Mimo zaawansowanego wieku miała znakomity słuch, ponieważ pogroziła mu palcem i oświadczyła:

- Na pewno nie, przynajmniej dopóki ja mam tu coś do powiedzenia!

Najwyraźniej miała sporo do powiedzenia, ponieważ Colin zjawił się ponownie dopiero po jej dyżurze. Dostarczył Badriemu przenośny terminal, dzięki któremu technik mógł połączyć się ze szpitala z laboratorium w college'u oraz z głównym komputerem Uniwersytetu, przekazał także Dunworthy'emu informacje zdobyte przez Fincha w Ministerstwie Zdrowia. Częściową odporność uzyskiwało się siedem dni po szczepieniu, całkowitą natomiast po kolejnym tygodniu.

- Pan Finch pyta, czy nie powinien pan zaszczepić się też przeciwko cholercie i durowi brzuszemu.

- Nie ma na to czasu.

Nie było czasu nawet na szczepienie przeciwko dżumie. Kivrin przebywała w XIV wieku już ponad trzy tygodnie; każdy kolejny dzień zmniejszał jej szansę na przeżycie.

Kiedy tylko Colin wyszedł, Dunworthy zadzwonił po pielęgniarkę (na szczęście dyżur miała jasnowłosa przyjaciółka Williama) i oznajmił jej, że pragnie porozmawiać z lekarzem.

- Możecie mnie już wypisać - oświadczył.

Skwitowała to wybuchem śmiechu.

- Naprawdę czuję się całkiem nieźle - powiedział urażonym tonem. - Dziś rano przeszedłem dziesięć razy przez cały korytarz.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Obawiam się, że nic z tego nie będzie. Zbyt często mieliśmy do czynienia z bardzo niebezpiecznymi nawrotami choroby. - Obdarzyła go promiennym uśmiechem. - Dokąd się panu tak spieszy? Kilka dni nie powinno sprawić dużej różnicy.

- Chodzi o początek semestru - odparł wymijająco, ale ku swemu zdziwieniu stwierdził, iż częściowo pokrywa się to z prawdą. - Proszę przekazać lekarzowi, że muszę z nim porozmawiać.

- Doktor Warden powie panu to samo co ja - odparła, lecz mimo to przekazała wiadomość, ponieważ w porze podwieczorku zjawił się lekarz prowadzący we własnej osobie.

Wystarczyło na niego spojrzeć, by stwierdzić, że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, w związku z epidemią ściągnięto go na łeb, na szyję z zasłużonego odpoczynku w domu spokojnej starości. Nie dopuszczając Dunworthy'ego do głosu wygłosił długą i całkowicie pozbawioną sensu tyradę na temat warunków, jakie panowały podczas Wielkiej Epidemii, po czym oznajmił drżącym, gderliwym głosem:

- Za moich czasów, panie... tego... trzymaliśmy pacjentów w szpitalu tak długo, panie... aż wyzdrowieli!

Dunworthy nawet nie próbował z nim dyskutować, tylko zaczekał, aż lekarz i wiekowa pielęgniarka, która znowu objęła dyżur, wyjdą z pokoju, dzieląc się wspomnieniami z Wojny Stuletniej, po czym przylepił sobie kroplówkę do barku i wyruszył w długą wędrówkę do automatu telefonicznego w hallu, by uzyskać raport od Fincha.

- Nie zgadzają się, żeby zainstalować panu telefon w pokoju, ale za to mam dobre wiadomości na temat zarazy. Otóż streptomycyna w połączeniu z gammaglobuliną i zastrzykami pobudzającymi system immunologiczny dają tymczasową odporność już po dwunastu godzinach.

- Znakomicie. W takim razie proszę znaleźć lekarza, który zgodzi się mnie wypisać. Od razu panu mówię, że to musi być ktoś młody. I proszę przysłać Colina. Czy sieć jest gotowa?

- Prawie. Mamy już wszystkie potrzebne zezwolenia. Zostało nam jeszcze tylko kilka drobnych problemów technicznych.

Dunworthy bez najmniejszych kłopotów wrócił do izolatki. Nie okłamał pielęgniarki: dosłownie z godziny na godzinę czuł się coraz lepiej, chociaż, rzecz jasna, był jeszcze daleki od szczytowej formy. W pokoju ujrzał panią Gaddson; siedziała przy łóżku i przeglądała Biblię w poszukiwaniu fragmentów o kataklizmach, nieszczęściach oraz nagłych zgonach.

- Ewangelia według św. Łukasza, rozdział 11 wiersz 9 - zażądał.

Zerknęła na niego podejrzliwie, ale bez sprzeciwu odczytała wskazany ustęp.

- "I ja wam powiadam: Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam".

Tuż przed końcem pory odwiedzin zjawiła się panna Taylor z centymetrem krawieckim.

- Colin polecił mi pana wymierzyć - oznajmiła. - Ta stara zrzęda nie wpuściła go na oddział. - Owinęła mu centymetr wokół bioder. - Mnie też chciała zatrzymać, ale powiedziałam jej, że przyszłam do panny Piantini. Proszę wyprostować ramię. - Zmierzyła długość rękawa. - Czuje się już znacznie lepiej. Przypuszczalnie będzie mogła uczestniczyć w koncercie, który gramy piętnastego. Właściwie powinniśmy wystąpić w kościele reformowanym, ale na czas epidemii urządzono tam magazyn, czy coś w tym rodzaju. Na szczęście pan Finch powiedział, że możemy skorzystać z kaplicy w Balliol. Jaki ma pan numer butów?

Skrupulatnie zanotowała wyniki pomiarów, powiedziała mu, że Colin na pewno zjawi się nazajutrz i żeby niczym się nie martwił, bo wszystko jest już prawie gotowe do przeskoku. Wreszcie sobie poszła, przypuszczalnie do panny Piantini, ale wróciła już po dziesięciu minutach z kartką od Badriego.

"Panie Dunworthy, przeprowadziłem dwadzieścia cztery próby symulacyjne. We wszystkich dwudziestu czterech przypadkach poślizg był zdumiewająco mały: w jedenastu nie przekraczał godziny, a w pięciu wynosił zaledwie około czterech minut. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Właśnie próbuję ustalić, jak to możliwe".

Ja wiem, jak to możliwe, pomyślał Dunworthy. Wszystko przez Czarną Śmierć. Poślizg stanowił coś w rodzaju mechanizmu obronnego sieci, pozwalającego uniknąć paradoksów i anachronizmów. Jeśli poślizg był minimalny, oznaczało to, że w wyznaczonym miejscu przeskoku nie ma nikogo, kto mógłby dostrzec pojawienie się przybysza z przyszłości i na tej podstawie wysnuć o tyle fantastyczne, co całkowicie błędne wnioski. Oczywiście, że nikogo tam nie ma, myślał z goryczą. Przecież tamtędy przeszła Czarna Śmierć. Wszyscy umarli.

Colin nie pojawił się ani nazajutrz rano, ani w południe. Zaraz po lunchu Dunworthy ponownie przespacerował się do automatu i zadzwonił do Fincha.

- Na razie nie udało mi się znaleźć lekarza, który zgodziłby się pana przejąć - poinformował go sekretarz. - Obdzwońłem już wszystkich, którzy przebywają na obszarze objętym kwarantanną. Niestety, wielu jest chorych, a kilku...

Przerwał w pół zdania, ale Dunworthy bez trudu domyślił się, co chciał powiedzieć. Kilku umarło, w tym także jedyna osoba, która bez wahania uczyniłaby wszystko, by pomóc Kivrin, która dałaby potrzebne zastrzyki i wypisała Badriego ze szpitala. "Babcia Mary na pewno walczyłaby do upadłego" - powiedział

Colin. Oczywiście. Nie poddałaby się, dopóki istniała choćby najmniejsza szansa, nie zważałaby na jędzowatą pielęgniarkę, panią Gaddson ani na osłabienie. Gdyby tu była, pomagałaby mu ze wszystkich sił.

Wrócił do pokoju. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: ZAKAZ ODWIEDZIN, ale mumia w wykrochmalonym kitlu znikła bez śladu, jakby zapadła się pod ziemię. Pojawił się natomiast Colin z paczką zawiniętą w mokry papier.

- Szeleszcząca siostra jest bardzo zajęta - oznajmił z szerokim uśmiechem. - Panna Piantini zemdlą jak zawodowa aktorka. Szkoda, że pan tego nie widział; była naprawdę świetna. - Zaczął szarpać przesiąknięty wodą sznurek. - Młoda właśnie zaczęła dyzur, ale może się pan jej nie obawiać; jest w szafie na bieliznę z Williamem Gaddsonem. - Wreszcie udało mu się rozsupłać sznurek. Okazało się, że paczka zawiera ubranie, a konkretnie długi czarny kubrak, czarne bryczesy oraz również czarne kobiece rajstopy. Żadna z tych rzeczy nie miała nic wspólnego ze średniowieczem.

- Skąd to masz? - zapytał Dunworthy. - Ktoś ostatnio wystawiał "Hamleta"?

- Prawie pan zgadł - odparł chłopiec. - To "Ryszard III". Wszystko, co zostało po ubiegłorocznym przedstawieniu studenckim.

- Test tu jakiś płaszcz? Powiedz Finchowi, żeby zdobył skądś obszerny, długi płaszcz. Taki, spod którego nic nie będzie widać.

- W porządku - odparł z roztargnieniem Colin. Od dłuższej chwili mocował się z automatycznym guzikiem swojej nowej kurtki; wreszcie zdołał go uruchomić, kurtka rozpięła się, on zaś zrzucił ją, rozpryskując dokoła krople wody. - I co pan o tym myśli?

Spisał się znacznie lepiej niż Finch. Najwięcej zastrzeżeń można było mieć do butów, które podejrzanie przypominały zielone ogrodnicze gumowce, ale już płócienna koszula, brązowy kaftan oraz szarobrązowe portki prezentowały się niemal bez zarzutu. Colin wyglądał jak chłop pańszczyźniany ze średniowiecznej ryciny.

- W spodniach jest suwak, ale spod koszuli prawie go nie widać - oznajmił z dumą chłopiec. - Będę pańskim giermkim.

Powinien się tego spodziewać.

- Ty zostajesz, Colin.

- Dlaczego? Mógłbym pomóc panu jej szukać. Jestem w tym bardzo dobry, naprawdę.

- Nawet nie ma mowy. W tamtych...

- Wiem, wiem: zaraz zacznie mi pan opowiadać, jak to niebezpiecznie żyło się w średniowieczu. A czy teraz, pańskim zdaniem, jest bezpiecznie? Skoro tak, to czemu umarła babcia Mary? Myślę, że w XIV wieku nic by się jej nie stało! Ja też robiłem już mnóstwo niebezpiecznych rzeczy: nosiłem lekarstwa chorym, przyklejałem plakaty, i w ogóle. A kiedy pan był chory...

- Colin...

- Jest pan za stary, żeby znaleźć się tam bez żadnej pomocy. Poza tym, babcia Mary kazała mi się panem opiekować. Co będzie, jeśli nagle poczuje się pan gorzej?

- Colin...

- Moją matkę nie obchodzi, co robię ani gdzie jestem.

- Ale mnie to obchodzi. Nie mogę cię zabrać.

- Więc mam znowu siedzieć i czekać, i znowu nikt nie będzie chciał mi niczego powiedzieć, i znowu nie będę wiedział, czy pan jeszcze żyje, czy już pan umarł? - zapytał ze łzami w oczach, po czym schylił się i podniósł kurtkę z podłogi. - To nieuczciwe!

- Wiem.

- Czy przynajmniej będę mógł przyjść do laboratorium?

- Tak.

- Mimo wszystko uważam, że powinien pan wziąć mnie ze sobą. - Zaczął składać przyniesione ubranie. - Zostawić panu kostium?

- Lepiej nie. Nasza ulubiona siostra mogłaby go skonfiskować.

- Co tu się dzieje, panie Dunworthy? - zapytała pani Gaddson.

Obaj aż podskoczyli z wrażenia. Stała przy drzwiach, przyciskając Biblię do obfitej piersi.

- Colin zbiera ubrania dla internowanych - wyjaśnił pospiesznie, pomagając chłopcu zwinąć spodnie i kubrak w ciasny rulon. - Niektórzy z nich nie mają niczego na zmianę.

- Przekazując sobie ubrania ułatwiamy rozprzestrzenianie się choroby! - oświadczyła surowym tonem.

Colin byle jak owinął tłumoczek mokrym papierem i chyłkiem wymknął się z pokoju.

- W dodatku naraża pan to niewinne dziecko! Wczoraj wieczorem zaproponował, że odprowadzi mnie do domu, ale ja nie zgodziłam się, bo zdrowie tego chłopca jest dla mnie znacznie ważniejsze od mego bezpieczeństwa! - Usiadła przy łóżku i otworzyła Biblię. - Doprawdy, nie jestem w stanie zrozumieć, jak pan może pozwalać mu, żeby tu przychodził. Chociaż, biorąc pod uwagę sposób, w jaki kieruje pan collegem, chyba nie powinnam się temu dziwić. Pod pana nieobecność pan Finch zamienił się w nieodpowiedzialnego tyra. Wczoraj, kiedy poprosiłam go o rolkę papieru toaletowego, wpadł w szał i zaczął wykrzykiwać...

- Muszę zobaczyć się z Williamem.

- Tutaj? - Gwałtownie zamknęła Pismo Święte. - W szpitalu? Nie pozwolę na to! Nikt mi nie zagwarantuje, że minęło niebezpieczeństwo zarażenia się tą okropną chorobą, a mój biedny Willy...

Jest teraz w szafie na bieliznę z pielęgniarką, dokończył w myśli Dunworthy, na głos zaś powiedział:

- Proszę mu przekazać, że muszę się z nim zobaczyć najprędzej jak to będzie możliwe.

Potrząsnęła Biblią niczym Mojżesz laską, gdy rzucał klątwę na Egipt.

- Przy najbliższej okazji poinformuję dziekana o pańskim braku odpowiedzialności i lekceważeniu zdrowia studentów! - oświadczyła lodowatym tonem, a następnie wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Chwilę potem z korytarza dobiegł jej podniesiony głos. Przypuszczalnie skarżyła się na niego jasnowłosej pielęgniarkie, ponieważ kilkanaście sekund później do izolatki wszedł William, przyglądając zmierzwiłone włosy.

- Muszę mieć streptomycynę i gammaglobulinę - poinformował go Dunworthy bez żadnych wstępów. - Muszę też zostać jak najprędzej wypisany ze szpitala. To samo dotyczy pana Chaudhuri.

William skinął głową.

- Wiem. Colin powiedział mi, że będzie pan próbował uratować tę dziewczynę. - Zastanowił się przez chwilę. - Tak się składa, że dość dobrze znam pielęgniarkę, która ma dzisiaj dyżur, więc...

- Pielęgniarka nie może podać mi żadnego leku bez zgody lekarza ani nie może wypisać mnie ze szpitala.

- Ale oprócz niej znam też pewną dziewczynę w administracji. Kiedy chce pan wyjść?

- Jak najszybciej.

- W takim razie, zaraz biorę się do roboty. - Ruszył w kierunku drzwi. - Za dwa, najdalej trzy dni wszystko będzie załatwione. Spotkałem kiedyś tę Kivrin. Chyba szła wtedy do pana. Zdaje się, że jest bardzo ładna, prawda?

Muszę pamiętać, żeby ją przed nim ostrzec, pomyślał Dunworthy. Zaraz potem uświadomił sobie, że na przekór wszystkiemu zaczął wierzyć w powodzenie akcji ratunkowej. Wytrzymaj jeszcze trochę, Kivrin. Niedługo cię stamtąd zabiorę. Już za dwa, może za trzy dni.

Całe popołudnie spędził spacerując po korytarzu. Na drzwiach sali, w której umieszczono Badriego, wisiała tabliczka z napisem: ZAKAZ ODWIEDZIN, wiekowa pielęgniarka zaś zjawiała się nie wiadomo skąd za każdym razem, kiedy przechodził obok nich.

Przed kolacją do pokoju wpadł zdyszany i, jak zwykle, przemoczony Colin.

- Ona ma oczy dokoła głowy! - stwierdził z podziwem. - Przyniosłem panu buty. Pan Finch prosił, żeby przekazać, że sieć jest już gotowa, ale wciąż nie może znaleźć nikogo, kto mógłby udzielić Kivrin pomocy medycznej.

- Niech William się tym zajmie. Obiecał załatwić mi zastrzyki i wypis ze szpitala.

- Wiem. Przekazał mi wiadomość dla Badriego. Zaraz wracam.

Nie wrócił, a William też się nie pojawił. Kiedy Dunworthy wyruszył do telefonu, by skontaktować się z Finchem, w połowie drogi został schwytyany przez wykrochmalony fartuch i doprowadzony z powrotem do pokoju. Albo ofiarą zaostrzonych środków ostrożności padła także pani Gaddson, albo wciąż jeszcze była na niego wściekła z powodu Williama - tak czy inaczej, nie zjawiała się, by przeczytać mu jakiś podnoszący na duchu ustęp z Pisma Świętego.

Tuż po piątej do pokoju weszła młoda, ładna pielęgniarka, której do tej pory nigdy nie widział, ze strzykawką w dłoni.

- Siostra oddziałowa została wezwana do izby przyjęć - wyjaśniła, chociaż o nic nie pytał.

Wyglądało na to, że zмумifikowana pielęgniarka dopiero na emeryturze osiągnęła szczyt zawodowej kariery.

- Co to? - zapytał, wskazując strzykawkę.

Wystukała coś jednym palcem na klawiaturze, zerknęła na ekran, nacisnęła jeszcze jeden klawisz.

- Streptomycyna - oznajmiła.

Nie wyglądała na zdenerwowaną ani wystraszoną, co oznaczało, że otrzymała oficjalne polecenie od lekarza. A więc William zdołał już zrealizować pierwszą część obietnicy. Dziewczyna wstrzyknęła streptomycynę do kroplówki, uśmiechnęła się i wyszła, zostawiając włączony terminal komputera.

Na ekranie widniała jego karta. Dunworthy szybko przebiegł wzrokiem szeregi cyfr i liter. Ostatni zapis wyglądał następująco:

ICU 15802691 14.1.55 1805 150/RPT 1800CRS IMSTMC 4ML/q6h MZ40-2H7 M AHRENS

Och, Mary...

William zdobył jej kod identyfikacyjny (przypuszczalnie od znajomej w administracji) i sam wprowadził do komputera polecenie zaaplikowania streptomycyny. Było to możliwe wyłącznie dzięki zamieszeniu spowodowanemu przez epidemię; zdzięsiętkowany chorobą personel administracyjny nie nadążał z wprowadzaniem ogromnej liczby danych, w związku z czym, przynajmniej z punktu widzenia systemu informatycznego szpitala, Mary wciąż jeszcze żyła. Rzecz jasna nadużycie musiało prędzej czy później wyjść na jaw, choć należało przypuszczać, że wszędobylski potomek pani Gaddson nawet wtedy znajdzie jakieś wyjście z sytuacji.

Dunworthy przeglądał wstecz swoją kartę. Wpisy opatrzone nazwiskiem Mary pojawiały się aż do ósmego stycznia, czyli do dnia jej śmierci. Opiekowała się nim do ostatniej chwili, nawet wtedy, kiedy sama była chora. Nic dziwnego, że zmęczone serce odmówiło wreszcie posłuszeństwa.

Wyłączył terminal, żeby nikt nie zauważył ostatniego zapisu, i wrócił do łóżka. Zastanawiał się, czy William zamierza opatrzyć jej nazwiskiem także spreparowany wypis ze szpitala; miał nadzieję, że tak. Gdyby żyła, z pewnością przyklasnęłaby temu pomysłowi.

Przez cały wieczór nikt się już nie zjawił. Dopiero o dziewiątej przykuśtykał mamut w wykrochmalonym fartuchu, dał mu wieczorną porcję lekarstw, zmierzył temperaturę i wstukał wynik pomiaru do komputera; godzinę później zjawiła się kolejna, nieznana i, dla odmiany, bardzo ładna pielęgniarka, uzupełniła kroplówkę o kolejną porcję streptomycyny, dodatkowo zaś zaaplikowała mu też sporą dawkę gammaglobuliny.

Ona także nie wyłączyła terminala, dzięki czemu, ułożywszy głowę w odpowiedni sposób, widział nazwisko Mary. Wydawało mu się, że nie zaśnie, ale bardzo szybko zapadł w sen. Śnił mu się Egipt i Dolina Królów.

- Panie Dunworthy! - szepnął Colin, świecąc mu latarką w oczy. - Panie Dunworthy, proszę się obudzić!

- Co?... Kto tu jest?... - Zamrugał raptownie i po omacku sięgnął po okulary.

- To ja, Colin! - Chłopiec skierował na siebie snop światła. Z niewiadomych przyczyn był ubrany w biały laboratoryjny fartuch, a jego oświetlona od dołu twarz przypominała groźną maskę.

- Co się stało? - zapytał Dunworthy.

- Nic. Po prostu wypisali pana ze szpitala, i to wszystko. Wreszcie zdołał założyć okulary, ale nadal prawie nic nie widział.

- Która godzina?

- Czwartą rano. - Colin podsunął mu kaptcie, po czym oświetlił nocną szafkę. - Proszę się pospieszyć. - Podał Dunworthy'emu szlafrok. - Ona może wrócić lada chwila!

Półprzutomny Dunworthy nieporadnie usiłował zawiązać pasek, zastanawiając się, dlaczego wypisują go o takiej dziwnej porze oraz gdzie podział się strzegący go Harpagon.

Colin podkraść się do drzwi, uchylił je odrobinę i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Zaraz potem wyłączył latarkę, schował ją do kieszeni stanowczo zbyt obszernego fartucha, a następnie wystawił na korytarz głowę. Dunworthy'emu wydawało się, że dopiero po nieskończonej długim czasie cofnął się o krok i dał znak ręką.

- Wszystko w porządku - oznajmił. - William zwał ją do szafy na bieliznę.

- Kogo? - zdumiał się Dunworthy. - Wydawało mi się, że dyżur ma nasza ulubiona siostra oddziałowa...

- A co miałyby z nią robić w szafie na bieliznę? To ta młodsza, z jasnymi włosami.

- A pani Gaddson?

Colin wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

- Czyta Biblię panu Latimerowi. Sam pan rozumie, że musiałem coś z nią zrobić, a panu Latimerowi akurat jest wszystko jedno, bo i tak nic nie słyszy.

Otworzył drzwi na oścież i wciągnął do pokoju czekający na zewnątrz wózek.

- Mogę iść - zaprotestował Dunworthy.

- Nie ma czasu. Poza tym, jeśli ktoś nas zobaczy, zawsze mogę powiedzieć, że wiozę pana na prześwietlenie albo coś w tym rodzaju.

Dunworthy potulnie usiadł w fotelu na kółkach, chłopiec zaś powiózł go korytarzem, obok szafy na bieliznę i pokoju Latimera. Zza drzwi izolatki dobiegał głos pani Gaddson czytającej fragmenty Księgi Wyjścia.

W pobliżu hallu z windami Colin zwolnił na chwilę, rozejrzał się uważnie dokoła, po czym ruszył w takim tempie, że nikt, kto by go zobaczył, z pewnością nie uwierzyłby w historię z prześwietleniem. Nie zmniejszając prędkości skręcił w boczny korytarz, potem w jeszcze jeden, aż wreszcie pchnął z rozmachem szerokie dwuskrzydłowe drzwi i wypadł na boczną, pogrążoną w ciemności uliczkę, gdzie nie tak dawno temu Dunworthy spotkał samotnego demonstranta z tablicą opatrzoną napisem: ZBLIŻA SIĘ KONIEC ŚWIATA.

Od tamtego czasu niewiele się zmieniło, ponieważ deszcz ciągle padał. U wylotu uliczki majaczyła niewyraźnie sylwetka zaparkowanego ambulansu. Kiedy znaleźli się przy samochodzie, chłopiec załomotał pięścią w tylne drzwi; otworzyły się natychmiast, z karetki zaś wyskoczyła ta sama sanitariuszka, która wiozła Badriego do szpitala, a potem uczestniczyła w pikniku przed bramą college'u Brasenose.

- Da pan radę wejść? - zapytała, rumieniąc się mocno.

Dunworthy skinął głową i wstał z fotela.

- Nie zapomnij porządnie zamknąć drzwi - rzuciła Colinowi, po czym przeszła do szoferki.

- Tylko nie mów mi, że ona też jest znajomą Williama!

- Oczywiście, że jest - odparł chłopiec. - Pytała mnie nawet, co sądzę o pani Gaddson i jaką, moim zdaniem, będzie teściową.

Pomógł mu wspiąć się po stopniu do karetki.

- Gdzie Badri? - zapytał Dunworthy, wycierając krople deszczu z okularów.

Colin zatrzasnął drzwi.

- W Balliol. Zawieźliśmy go pierwszego, żeby zdążył wszystko przygotować. - Zerknął niespokojnie przez tylne okienko. - Mam nadzieję, że siostrzyczka nie uzna za stosowne akurat teraz wszcząć alarm.

- Na twoim miejscu zupełnie bym się tym nie przejmował - odparł Dunworthy.

W głębi duszy musiał jednak przyznać, że nawet jego zaszokowały zdolności Williama. Przypuszczalnie tak zawrócił w głowie nieszczęsnej dziewczynie, że do końca dyżuru nie będzie robiła nic innego, tylko wyszywała jego inicjały na szpitalnej pościeli i ręcznikach.

Colin poświecił latarką na nosze.

- Przygotowałem pańskie przebranie - oznajmił, wręczając Dunworthy'emu czarny kubrak.

Dunworthy zrzucił szlafrok i zaczął zakładać kostium, ale karetka właśnie wtedy ruszyła z piskiem opon i niewiele brakowało, a wypadłby przez tylne drzwi. Jakimś cudem zdołał wsadzić oba ramiona w rękawy, po czym usiadł na brzegu noszy i zajął się wciąganiem rajstop.

Przyjaciółka Williama nie włączyła syreny, ale prowadziła ambulans z taką prędkością, że raczej powinna to uczynić. Dunworthy przez cały czas musiał trzymać się czegoś jedną ręką, więc zmiana stroju szła mu dość opornie. Po kolejnym gwałtownym hamowaniu Colin, który właśnie schylił się, by podać mu buty, wywinął kozła na podłodze karetki.

- Zdobyliśmy płaszcz, o który pan prosił - powiedział, rozcierając sobie guza na głowie. - Pan Finch wypożyczył go z Towarzystwa Dramatycznego.

Wyciągnął spod noszy smolście czarną pelerynę podszytą szkarłatnym jedwabiem, jednoznacznie wiktoriańską w stylu. Chłopiec zarzucił ją Dunworthy'emu na ramiona, po czym cofnął się w kąt podskakującego wściekle ambulansu i z satysfakcją przyjrzał się swemu dziełu.

- Przypuszczam, że to rekwizyt ze spektaklu o Drakuli?

Samochód zatrzymał się raptownie, chwilę potem zaś sanitariuszka otworzyła tylne drzwi. Colin pomógł Dunworthy'emu wysiąść z karetki, niosąc za nim skraj płaszcza niczym paż. Przemknęli chyłkiem do bramy. Deszcz łomotał o kamienne sklepienie i o bruk dziedzińca, lecz oprócz tego słychać było także jakieś uporcezywe dzwonienie.

- Co to takiego? - zapytał Dunworthy, rozglądając się z niepokojem.

- Amerykanki ćwiczą przed koncertem - wyjaśnił Colin. - Wdechowo, co nie?

- Pani Gaddson skarżyła się, że przeprowadzają próby o najdziwniejszych porach, ale nie sądziłem, iż oznacza to także piątą rano.

- Widocznie urządziły sobie próbę generalną. Koncert ma się odbyć dziś wieczorem.

- Naprawdę?

Dunworthy dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest już piętnasty stycznia, a więc szósty według kalendarza juliańskiego. Święto Trzech Króli. Pokłon trzech mędrców.

Nadbiegł Finch z parasolem.

- Przepraszam za spóźnienie, ale nigdzie nie mogłem znaleźć parasola. - Oślonił Dunworthy'ego przed zacinającym deszczem. - To znaczy, mojego parasola, bo tak w ogóle, to jest ich całe mnóstwo. Nawet pan sobie nie wyobraża, ilu internowanych...

Dunworthy ruszył przez dziedziniec.

- Wszystko gotowe?

- Tak, z wyjątkiem wsparcia medycznego, ale William Gaddson dzwonił przed chwilą z wiadomością, że już to załatwił i że dziewczyna niedługo będzie na miejscu.

Dunworthy wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że "dziewczyną" okaże się pielęgniarka ze szpitala, i że zgłosiła się na ochotnika.

- Mam nadzieję, że ten chłopiec nigdy nie zboczy na ścieżkę przestępstwa.

- Och, to całkowicie niemożliwe, proszę pana. Matka do tego nie dopuści. - Finch truchtał obok niego, bezskutecznie usiłując zasłaniać go parasolem. - Pan Chaudhuri rozpoczął już wprowadzanie parametrów. Przyszła też pani Montoya.

Zatrzymał się gwałtownie.

- Montoya? Czy coś się stało?

- Nie wiem, proszę pana. Powiedziała tylko tyle, że ma dla pana wiadomość.

Nie teraz, jęknął w duchu. Nie teraz, kiedy jesteście tak blisko celu!

Weszli do laboratorium. Badri siedział przy konsolce, Montoya zaś, ubrana jak zwykle w wojskową kurtkę i zabłocone dzinsy, pochylała się nad nim, wpatrzona w ekran. Technik powiedział coś do niej; pokręciła głową i zerknęła na zegarek. Kątem oka dostrzegła chyba ruch przy drzwiach, spojrzała bowiem w tamtą stronę. Na widok Dunworthy'ego przez jej twarz przemknął wyraz współczucia. Wyprostowała się i powoli sięgnęła do kieszeni.

Nie, pomyślał rozpaczliwie. Tylko nie to.

Podeszła do niego.

- Nie wiedziałam, że będzie pan próbował ją uratować - powiedziała, wyciągając z kieszeni zmiętą kartkę. - Chciałabym pomóc. - Wręczyła mu ją. - Oto informacje, jakimi dysponowała Kivrin w chwili przeskoku.

Odruchowo rozłożył kartkę i spojrzał na nią. Trzymał w ręku mapę; co prawda bardzo niedokładną, wręcz schematyczną, ale jednak mapę.

Wskazała czarny krzyżyk.

- Tu jest miejsce przeskoku. A tutaj Skendgate. Rozpozna pan wieś po kościele. Jest w stylu romańskim, z freskami w prezbiterium i posągami św. Antoniego. - Uśmiechnęła się. - To patron zabłąkanych. Wczoraj go odkopałam. - Przesunęła palcem po kilku sąsiednich krzyżykach. - Jeżeli z jakichś powodów nie dotarła do Skendgate, najprawdopodobniej znajdzie ją pan w którejś z tych trzech wiosek: Esthcote, Henefelde lub Shrivendun. Na odwrocie wypisałam ich znaki szczególne.

Badri wstał od konsoly i zbliżył się powolnym, chwiejnym krokiem, jak stary człowiek, którym się stał. Sprawiał wrażenie jeszcze drobniejszego i bardziej wycieńczonego niż w szpitalu.

- Bez względu na zmiany parametrów, wciąż otrzymuję śmiesznie małe wartości poślizgu - oznajmił, po czym skrzywił się i przycisnął rękę do boku. - Mam zamiar uzyskać połączenie ciągle, to znaczy otwierać się na pięć minut w dwugodzinnych odstępach. W ten sposób będzie pan miał całą dobę na poszukiwania, a przy odrobinie szczęścia nawet półtorej.

Dunworthy'emu przemknęła myśl, że jest raczej mało prawdopodobne, żeby Badri doczekał końca tego okresu. Już teraz wyglądał jak ktoś, kto lada chwila może zemdleć z wyczerpania.

- Jak tylko zaobserwuje pan falowanie powietrza albo początki kondensacji, proszę wejść na teren objęty zasięgiem sieci.

- A jeśli będzie ciemno? - zapytał Colin.

Zdjął biały laboratoryjny fartuch, dzięki czemu okazało się, że wciąż ma na sobie kostium średniowiecznego chłopca.

- Falowanie da się zauważyć nawet w nocy, a poza tym usłyszycie nasze głosy. - Badri ponownie chwycił się za bok. - Zaszczepili pana?

- Tak.

- To dobrze. W takim razie czekamy już tylko na opiekę medyczną. - Przyjrzał się bacznie Dunworthy'emu. - Jest pan pewien, że czuje się wystarczająco dobrze?

- A pan? - odpowiedział pytaniem Dunworthy.

Otworzyły się drzwi i do laboratorium weszła jasnowłosa przyjaciółka Williama. Na widok Dunworthy'ego oblała się intensywnym rumieńcem.

- William powiedział, że będziecie potrzebować pomocy medycznej. Gdzie mam się ustawić?

Konieczność muszę ostrzec Kivrin, pomyślał Dunworthy. Badri pokazał dziewczynie, gdzie powinna stać, Colin zaś pobiegł do karetki po sprzęt.

Montoya zaprowadziła Dunworthy'ego do kręgu zakreślonego kredą na podłodze.

- Nie zdejmie pan okularów?

- Nie. Najwyżej za jakiś czas wykopie je pani na cementarzu.

- Jestem pewna, że ich tam nie będzie - odparła z powagą.

- Woli pan siedzieć czy leżeć?

Przypomniał sobie Kivrin, leżącą na boku z twarzą zasłoniętą ramieniem, ślepą i bezradną.

- Będę stał - oświadczył.

Wrócił Colin z walizeczką, postawił ją przy konsolce i podbiegł do nich.

- Naprawdę uważam, że nie powinien pan robić tego sam - powiedział.

- Muszę - odparł Dunworthy.

- Dlaczego?

- Bo to zbyt niebezpieczne. Nawet sobie nie wyobrażasz, co się działo w czasach, kiedy szalała Czarna Śmierć.

- Nie muszę sobie niczego wyobrażać, bo wszystko wiem. Dwa razy przeczytałem książkę od deski do deski, a w dodatku kazałem sobie zrobić... - Umilkł nagle, jakby ugryzł się w język, po czym dokończył: - Naprawdę wiem wszystko o Czarnej Śmierci. Poza tym, jeśli wtedy było naprawdę tak źle, to tym bardziej powinien pan mieć kogoś do pomocy. Nie będę przeszkadzał, słowo honoru!

- Nawet nie ma mowy - odparł stanowczo. - Teraz ja za ciebie odpowiadam. Ryzyko jest zbyt duże.

Podszedł Badri ze światłomierzem.

- Siostra prosi, żeby ktoś pomógł jej przynieść resztę sprzętu. - Jeśli pan nie wróci, nawet nie będę wiedział, co się z panem stało!

Colin odwrócił się na pięcie i, nie czekając na odpowiedź, popędził do drzwi.

Badri powoli okrążył Dunworthy'ego, starannie dokonując pomiarów. W pewnej chwili zatrzymał się, zmarszczył brwi, zbliżył światłomierz, po czym cofnął się o krok i ponownie spojrzał na przyrząd.

Podeszła pielęgniarka z napełnioną strzykawką. Dunworthy podwinął rękaw kubraka.

- Chcę, żeby pan wiedział, że wcale mi się to nie podoba - powiedziała, a następnie wbiła mu igłę w ramię. - Zarówno pan, jak i pan Badri, powinniście zostać w szpitalu.

Badri zaczął, aż Dunworthy opuści rękaw, przesunął mu trochę ramię, zmierzył natężenie światła, przesunął ramię jeszcze trochę w bok. Colin wtaszczył do laboratorium przenośny aparat do badania rezonansem magnetycznym, po czym zaraz wyszedł, nie spojrzawszy nawet w kierunku koła zakreślonego białą kredą.

Dunworthy obserwował ekrany wypełnione zmieniającymi się w błyskawicznym tempie kolumnami liter i liczb. Zza zamkniętych drzwi docierały przytłumione dźwięki dzwonów; z tej odległości i w tym natężeniu brzmiały niemal jak muzyka, ale kiedy tylko Colin ponownie otworzył drzwi, jazgot stał się trudny do zniesienia.

Chłopiec ustawił ostatnią walizkę obok poprzednich, po czym podszedł do konsoli i zatrzymał się obok Montoi. Dunworthy zaczynał powoli żałować, że nie zdecydował się dokonać przeskoku w pozycji siedzącej; niedokładnie dopasowane buty uwierały go coraz bardziej, jemu samemu zaś z każdą chwilą coraz wyraźniej dawało się we znaki zmęczenie.

Badri powiedział coś do mikrofonu i jedna z zasłon opadła nad podłogę, zmarszczyła się nieco, po czym znieruchomiła. Colin zagadnął o coś Montoye; Amerykanka oderwała wzrok od monitora, spojrzała na zasłonę, skinęła głową, a następnie z powrotem utkwiała spojrzenie w ekranie. Colin podszedł do zasłony.

- Co robisz? - spytał zirytowany Dunworthy.

- Trzeba to poprawić - odparł chłopiec, wygładzając zawinięty materiał.

- Gotowe? - zapytał Badri od konsoli.

- Tak. - Colin cofnął się o dwa kroki. - Nie, zaczekajcie! - Zbliżył się ponownie do Dunworthy'ego. - Czy nie powinien pan zdjąć okularów? Wie pan, na wypadek, gdyby ktoś od razu pana zauważył.

Dunworthy ściągnął szkła z nosa i wepchnął je do kieszeni kubraka.

- Jeśli pan nie wróci, wyruszę na ratunek - oznajmił Colin, po czym zrobił dwa kroki wstecz. - Gotowe!

Dunworthy ponownie spojrzał na ekrany, ale dane przemykały przez nie z taką prędkością, że nie sposób było niczego odczytać. Montoya po raz kolejny zerknęła na zegarek, Badri zaś rzucił krótkie polecenie do mikrofonu.

Dunworthy zacisnął powieki. Dzwonniczki z zapalem znęcały się nad "Kiedy wreszcie przybędzie mój Zbawiciel".

Otworzył oczy.

- Teraz! - powiedział Badri.

Wcisnął przycisk i w tej samej chwili Colin wyskoczył jak z procy, dał nura pod zasłoną i wpadł w objęcia kompletnie zaskoczonych Dunworthy'ego.

33.

Pochowali Rosemundę w grobie, który przygotował dla niej rządcą. "Przydadzą się wam te groby" - powiedział, i miał rację. We dwójkę z ojcem Roche na pewno nie zdołaliby wykopać tak głębokiej mogiły. Z najwyższym trudem zdołali donieść dziewczynkę na miejsce pochówku.

Położyli ją na śniegu obok grobu. Wychudzona, skulona, wydawała się wręcz nieprawdopodobnie krucha i delikatna. Palce jej prawej ręki, z których wysunęło się jabłko, wyglądały tak, jakby składały się wyłącznie z cienkich kosteczek obciągniętych poźółkłą, pergaminową skórą.

- Czy wysłuchaliście jej spowiedzi? - zapytał ojciec Roche.

- Tak.

Rzeczywiście miała wrażenie, jakby wysłuchała spowiedzi dziewczynki. Rosemunda wyjawiała przecież przed nią, że boi się mroku i samotności, że kocha ojca oraz że wie, iż już nigdy go nie zobaczy. Kivrin nie potrafiła wyznać tego samego nawet samej sobie.

Odpięła broszkę, którą sir Bloet podarował Rosemundzie z okazji zaręczyn, starannie owinęła małe zwłoki płaszczem, ojciec Roche zaś wziął dziewczynkę na ręce, zszedł z nią do grobu i ułożył jak do snu.

Nie mógł sobie poradzić z wyjściem; Kivrin musiała chwycić go za wielkie, czerwone ręce, a następnie pociągnąć z całej siły.

- *Domine, ad adiuvandum me festina* - wyszeptał, zanim zaczął odmawiać modlitwę za zmarłych.

Spojrzała na niego z niepokojem. Musimy stąd czym prędzej uciec, zanim i on się rozchoruje, pomyślała, ale nie zwróciła mu uwagi na błąd. Szkoda czasu. Liczy się każda minuta.

- *Dormiunt in somno pacts* - powiedział wreszcie kapłan, po czym zaczął zgarniać łopatą do grobu grudy zmarzniętej ziemi.

Miała wrażenie, że usypywanie mogiły trwa bez końca. Próbowwała mu pomóc, rozbijając obcasem twarde jak kamień bryły, starając się jednocześnie obliczyć w myśli, jak daleko zdołają dotrzeć przed zachodem słońca. Jeszcze nie minęło południe. Gdyby wyruszyli niebawem, powinni przebyć cały las, przekroczyć drogę z Bath do Oxfordu i znaleźć się na Nizinie Angielskiej. Najdalej za tydzień będą w Szkocji, w pobliżu Invercassley lub Dornoch, gdzie zaraza nigdy nie dotarła.

- Ojciec Roche - powiedziała, kiedy zaczął uklepywać ziemię łopatą. - Musimy iść do Szkocji.

- Do Szkocji? - powtórzył takim tonem, jakby usłyszał tę nazwę po raz pierwszy w życiu.

- Tak. Musimy stąd uciec. Weźmiemy osiołka i wyruszymy do Szkocji.

Skinął głową.

- W takim razie spakuję Przenajświętszy Sakrament. I uderzę w dzwon, żeby dusza Rosemundy dotarła bezpiecznie do Królestwa Niebieskiego.

Chciała zaprotestować, chciała powiedzieć mu, żeby dał sobie spokój, bo to i tak nie ma najmniejszego sensu, lecz nie uczyniła tego.

- Dobrze, ojczu. Pójdę przygotować Balaama.

Ruszył w kierunku dzwonnicy, ona zaś pobiegła do stajni. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wyruszą. Obawiała się, że lada chwila stanie się coś strasznego, że zaraza przyczaiła się w jakimś kącie niczym dzikie zwierzę, gotowe skoczyć i zatopić kły w karku niczego nie spodziewającej się ofiary.

Przemknęła przez dziedziniec, wpadła do stajni i pospiesznie wyprowadziła osiołka, by objuczyć go przygotowanymi zapasami.

Dzwon odezwał się raz, po czym umilkł. Kivrin zamarła w bezruchu z parcianym pasem w rękach; czekała na kolejne uderzenia, lecz nic nie mąciło martwej ciszy wiszącej w mroźnym powietrzu. Trzy uderzenia dla kobiety, pomyślała, i nagle zrozumiała, dlaczego kapłan zadzwonił jeden jedyny raz: jedno uderzenie dla dziecka. Och, Rosemundo...

Zacisnęła mocniej pas spinający dwa wiklinowe kosze, przytroczyła je zwierzęciu do grzbietu i zaczęła napełniać prowiantem. Bardzo szybko okazało się, że są za małe, by wszystko pomieścić. Cóż, trzeba będzie załadować także worki. Aha, owies dla osła! Wróciła biegiem do stajni, pospiesznie zgarnęła owies do sporego worka, po czym zawiązała go sznurkiem, którego drugi koniec był przymocowany do jednego z żelaznych pierścieni w ścianie. Nie mogła go przerwać, więc musiała popędzić do kuchni po nóż.

Taki mocny sznurek mógł się jeszcze do czegoś przydać. Pocięła go na kawałki, zwinęła w kłębek, cisnęła nóż na ziemię i wróciła do osła, który tymczasem zaczął pracowicie przegryzać worek, by dostać się do ziarna. Załadowała worki na grzbiet zwierzęcia, umocowała je najlepiej jak potrafiła za pomocą kawałków sznura, chwyciła zwierzę za uzdę, po czym wyprowadziła przez bramę na błonie i podążyła w kierunku kościoła.

Ojciec Roche zniknął bez śladu. Kivrin musiała jeszcze wrócić po koce i świece, ale chciała najpierw zapakować jego rzeczy. Koce, świece, owies, prowiant... Co jeszcze? Czy o czymś zapomniała?

Ojciec Roche stanął w drzwiach kościoła. Z pustymi rękami.

- Gdzie Przenajświętszy Sakrament? - zapytała, z trudem powstrzymując gniew. - Przecież miałaś go naszykować!

Nie odpowiedział. Stał nieruchomo, oparty o futrynę, wpatrując się w nią z takim samym wyrazem twarzy jak wtedy, kiedy przyszedł, by powiedzieć jej o Ulfie Powroźniku. Ale przecież wszyscy już nie żyją, przemknęło jej przez głowę. Nikt nie został przy życiu, więc co mogło nim tak bardzo wstrząsnąć?

- Muszę uderzyć w dzwon - oświadczył wreszcie i ruszył w kierunku dzwonnicy.

- Już to zrobiłeś, ojczu. Nie mamy czasu. Powinniśmy czym prędzej wyruszyć do Szkocji.

Uwiązała osiołka przy bramie (palce miała zupełnie sztywne z zimna, więc zasupłanie grubego sznura sprawiło jej sporo kłopotu), po czym pobiegła za nim i chwyciła go za rękaw.

- Czy coś się stało?

Odrzucił się gwałtownie z taką miną, że odruchowo cofnęła się o krok. Wyglądał teraz jak rzezimieszek z jej najgorszych koszmarów.

- Muszę uderzyć w dzwon - powtórzył bezbarwnym tonem. - Już pora na nieszpór.

Nie. Tylko nie to.

- Jest środek dnia - przemówiła najłagodniej jak potrafiła. - Do nieszpóru mamy jeszcze mnóstwo czasu.

Jest po prostu zmęczony, myślała intensywnie. Tak zmęczony, że wszystko mu się pomyliło. Ponownie ujęła go delikatnie za ramię.

- Chodź, ojczu. Musimy zaraz wyruszyć, jeśli chcemy przed zmrokiem wyjść z lasu.

- Spóźniłem się - wymamrotał, jakby nie dotarło do niego nic z tego, co mówiła. - Lady Imeyne będzie niezadowolona. Trzeba zadzwonić na nieszpór.

Nie. Nie, nie, nie.

- Ja to zrobię, ojczu. - Zagroziła mu drogę do dzwonnicy.

- Ty idź do domu odpocząć.

- Nie widzisz, że się ściemnia? - zapytał podniesionym głosem. Otworzył usta, jakby chciał na nią krzyknąć, zachwiał się, po czym zwymiotował na jej kaftan ogromną ilością krwi wymieszanej z treścią żołądkową i śluzem.

Nie! Nie, nie, NIEEEEEEE!!!

Wciąż chwiejąc się na nogach, spoglądał ze zdumieniem na zabrudzony kaftan i krwawą plamę na śniegu. Grymas gniewu i wściekłości zniknął bez śladu z jego twarzy.

- Musisz się położyć, ojczu - wykrztusiła, zdając sobie doskonale sprawę, że ojciec Roche najprawdopodobniej nie zdoła dojść o własnych siłach nawet do dworu.

- Czy... Czy ja jestem chory? - zapytał cichym głosem.

- Nie - odparła. - Jesteś tylko bardzo zmęczony. Musisz odpocząć.

Zaprowadziła go do kościoła. W progu potknął się i niewiele brakowało, by runął jak długi. Jeśli się przewróci, nie zdołam go podnieść, uświadomiła sobie z przerażeniem. W ostatniej chwili chwyciła go pod ramię, wprowadziła do wnętrza i posadziła przy ścianie.

Oparł głowę o kamienie, po czym zamknął oczy.

- Rzeczywiście jestem znużony - wyszeptał. - Chyba trochę się zdrzemnę.

- Tak, tak. Śpij, ojczu.

Pobiegła do dworu po futra i poduszkę, żeby umościć mu posłanie. Kiedy, zadyszana i spocona, wpadła do kościoła, jego już tam nie było.

- Ojczu Roche! - zawołała, wytężając wzrok, by dojrzeć coś w ciemnym wnętrzu. - Ojczu Roche, gdzie jesteś?

Nie odpowiedział, więc ponownie wybiegła na zewnątrz. Nie było go w dzwonnicy ani na cmentarzu, a w tak krótkim czasie z pewnością nie zdołałby dotrzeć do domu. Wróciła do kościoła i powoli ruszyła w kierunku ołtarza, rozglądając się uważnie na boki. Wreszcie go dostrzegła; klęczał na kamiennej posadzce przed figurą świętej Katarzyny.

- Musisz się położyć, ojczu - powiedziała łagodnym tonem, rozkładając futra.

Uczynił to bez sprzeciwu, ona zaś podłożyła mu poduszkę pod głowę.

- To zaraza, prawda? - zapytał, wpatrując się jej w oczy.

- Nie. - Przykryła go starannie. - Po prostu jesteś zmęczony, i to wszystko. Spróbuj zasnąć.

Bez słowa odwrócił się na bok, ale zaledwie kilka minut później odrzucił przykrycie i usiadł na posłaniu z okrutnym grymasem na twarzy.

- Trzeba zadzwonić na nieszpór! - oświadczył gniewnym tonem.

Kivrin musiała użyć całej swojej siły, żeby go powstrzymać. Kiedy wreszcie uspokoił się i zasnął, oddarła dwa pasy płótna z dołu koszuli i przywiązała mu ręce do tęczy.

- Nie zabijaj go - mamrotała pod nosem, nie zdając sobie z tego sprawy. - Nie rób mu tego. Proszę, zostaw go w spokoju!

Niespodziewanie otworzył oczy.

- Pan nie może pozostać głuchy na tak żarliwe modlitwy - powiedział, a następnie zapadł w głębszy, spokojniejszy sen.

Wyszła na palcach, żeby go nie obudzić, rozjuczyła osła, odwiązała go, po czym przeniosła worki z zapasami oraz latarnię do kościoła. Ojciec Roche wciąż spał jak zabity, więc pobiegła jeszcze do studni i przyniosła wiadro wody.

Leżał w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawiła, przypuszczała więc, że jeszcze śpi, ale kiedy otarła mu czoło szmatką umoczoną w zimnej wodzie, powiedział nie otwierając oczu:

- Bałem się, że odeszliście.

Wytarła zaschniętą krew w kąciку ust.

- Bez ciebie na pewno nie wyruszyłabym do Szkocji, ojczu.

- Nie do Szkocji. Do nieba.

Zjadła nieco sera, zagryzła chlebem, po czym spróbowała zasnąć, ale było jej za zimno. Kiedy ojciec Roche wdychał przez sen, z jego ust wydobywały się kłęby pary.

Rozpaliła ognisko ze sztachet powyrywanych z pobliskiego płotu, ale prędko musiała je zgasić, ponieważ, mimo otwartych na oścież drzwi, wnętrze świątyni wypełniło się gryzącym dymem, ojciec Roche zaczął kasłać, a wreszcie znowu zwymiotował, tym razem samą krwią. Przedsięwzięła jeszcze dwie wyprawy do dworu, za każdym razem wracając z naręczem koców i futer, z których następnie umościła mu coś w rodzaju gniazda.

W nocy zaczął bardzo gorączkować. Miotał się gwałtownie na posłaniu, ściągał przykrycie, wykrzykiwał słowa, których w większości nie rozumiała, ale w pewnej chwili powiedział całkiem wyraźnie: "Odejdź, przeklinam cię!", zaraz potem zaś: "Robi się ciemno".

Zdjęła świece z ołtarza i tęczy, ustawiła je na podłodze u stóp świętej Katarzyny, a kiedy ojciec Roche ponownie zaczął uskarżać się na ciemności, zapaliła wszystkie i otuliła go futrami. Uspokoił się, ale na krótko.

Gorączka rosła w zastraszającym tempie. Pomimo przykrycia, ciałem kapłana wstrząsały gwałtowne dreszcze. Kivrin odniosła wrażenie, że jego skóra ciemnieje, że zaczęły pękać naczynka krwionośne. Nie rób mu tego, powtarzała w myślach. Proszę.

Rankiem poczuł się lepiej. Okazało się także, że skóra wcale nie zmieniła koloru; po prostu Kivrin padła ofiarą złudzenia spowodowanego psychicznym napięciem oraz niewystarczającym oświetleniem. Temperatura chyba trochę opadła, ponieważ bez najmniejszych problemów przespał cały dzień aż do zmierzchu. Zanim się ściemniło, przyniosła kolejne wiadro wody.

Byli tacy, którzy nie wiadomo w jaki sposób wracali do zdrowia, innych zaś ocaliły żarliwe modlitwy. Nie wszyscy umarli. W przypadku dżumy płucnej śmiertelność wynosiła tylko dziewięćdziesiąt procent.

Kiedy wróciła z wypełnionym w trzech czwartych wiadrem, już nie spał. Leżał z otwartymi oczami w smudze przyćmionego światła sączącego się przez jedno z zachodnich witrażowych okien. Ukłękła przy nim, delikatnie uniosła mu głowę i przytknęła do ust kubek z wodą.

- To sina choroba, prawda? - zapytał, kiedy zaspokoił pragnienie.

- Nie obawiaj się, ojczu. Nie umrzesz.

Dziewięćdziesiąt procent, powtarzała w myślach. Dziewięćdziesiąt procent.

- Musicie wysłuchać mojej spowiedzi.

Nie. To niemożliwe. On nie może umrzeć. Przecież wtedy zostałaby zupełnie sama.

Nie była w stanie wykrztusić ani słowa, więc tylko pokręciła głową.

- Wybacz mi, Ojczu, bo zgrzeszyłem... - zaczął po łacinie.

Nie zgrzeszył. On na pewno nie. Opiekował się chorymi, towarzyszył umierającym w ich ostatnich chwilach, grzebał zmarłych. To Bóg powinien prosić go o wybaczenie.

- ...myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem. Rozzłościłem się na lady Imeyne. Krzyczałem na Maisry. - Przelknął z wysiłkiem ślinę. - Miałem grzeszne myśli o Twojej służebnicy.

Grzeszne myśli.

- Pokornie proszę Cię o wybaczenie, Boże, ciebie zaś, ojczu, o rozgrzeszenie i pokutę.

On nie ma ci czego wybaczać, cisnęły jej się na usta gwałtowne słowa. Twoje grzechy nie są grzechami. Grzeszne myśli... Dobrze sobie! Wspólnie pielęgnowaliśmy Rosemundę, wygnaliśmy ze wsi zmęczonego posłańca, pochowaliśmy niemowlę. Chyba po tym wszystkim możesz sobie pozwolić na kilka grzesznych myśli?

Uniosła prawą rękę, ale nie mogła sobie przypomnieć formułki rozgrzeszenia. Na szczęście nie zwrócił na to uwagi.

- Panie mój, zechciej mi wybaczyć, bom okrutnie Cię obraził.

Ty Go obraziłeś? Przecież jesteś najświętszym z ludzi, a gdzie On jest, do cholery? Czemu nie zjawi się tutaj, żeby cię uratować?

Nie wiedziała, gdzie szukać świętego oleju, więc umaczała palec w wodzie, po czym uczyniła znak krzyża na jego oczach, uszach, nosie, ustach, a także na rękach, których dotyk niósł jej nadzieję i otuchę, kiedy była umierająca.

- *Quid quid deliquiste* - wyszeptał.

Ponownie zanurzyła palec w wodzie i dotknęła jego stóp.

- *Libera nos, quaesumus, Domine...*

- *...ab omnibus malis, praeteritis, praesentibus, et futuris.* Uchowaj nas, Panie, od zła wszelkiego.

- *Perducat te ad vitam aeternam...*

- Amen - dokończyła Kivrin.

Zaraz potem musiała pochylić się nad nim, by otrzeć krew, która wypłynęła mu z ust.

Wymiotował przez całą noc i większą część dnia, a kiedy wreszcie po południu zapadł w niespokojny sen, Kivrin wciąż siedziała obok niego, wycierając mu gorące czoło.

- Nie umieraj - szeptała za każdym razem, kiedy krztusił się i charczał, walcząc o oddech. - Nie umieraj, ojczu. Co pocznę bez ciebie? Będę całkiem sama.

Z trudem uniósł opuchnięte, zaczerwienione powieki.

- Nie możecie tu zostać - szepnął.

- Myślałam, że śpisz, ojczu - odparła również szeptem. - Nie chciałam cię obudzić.

- Musicie wrócić do nieba, skąd przyszlście, i modlić się za moją duszę w czyśćcu, żeby i ona jak najprędzej mogła cieszyć się szczęściem wiecznym.

W czyśćcu. Jakby Bóg mógł skazać go na jeszcze większe cierpienia.

- Nie będziesz potrzebował moich modlitw - powiedziała stanowczo.

- Musicie czym prędzej wracać tam, skąd przybyliście.

Jego oczy rozszerzyły się nagle i uniósł rękę, jakby chciał zasłonić się przed ciosem. Kivrin delikatnie chwyciła go za przegub, po czym przycisnęła dłoń ojca Roche'a do swego policzka.

Musicie wrócić tam, skąd przybyliście... Gdybym tylko mogła! Ciekawe, po ilu dniach bezowocnego oczekiwania zdecydowali się zamknąć się: po czterech? Siedmiu? A może wciąż jest otwarta? Pan Dunworthy nie zrezygnowałby, dopóki pozostałby chociaż cień nadziei. Ale takiego cienia nie było. Przecież oni czekali na nią w roku 1320, ona zaś trafiła w 1348. Znalazła się zupełnie sama na końcu świata.

- Nie mogę - odparła. - Nie pamiętam drogi.

- Musicie sobie przypomnieć. - Uwolnił rękę z jej uchwytu. - Tam, gdzie Agnes, za rozwidleniem!

Majaczy, przemknęło jej przez głowę. Przygotowała się na wypadek, gdyby znowu usiłował zerwać się z posłania.

- Tam, gdzie spadliście... - Drugą ręką podtrzymywał łokieć. Nagle zrozumiała, iż ojciec Roche usiłuje wskazać jej kierunek, ale jest tak słaby, że nawet nie jest w stanie wyciągnąć ręki. - Za rozwidleniem.

Za rozwidleniem.

- Co tam jest?

- Miejsce, gdzie was znalazłem, kiedy spadliście z nieba.

Opuścił ramię.

- Myślałam, że to Gawyn mnie znalazł?

- Tak jest - odparł, jakby nie dostrzegał sprzeczności między tymi stwierdzeniami. - Spotkałem go na drodze, kiedy wiozłem was do dworu.

Spotkał go na drodze.

- Tam, gdzie upadła Agnes - powtórzył. - Tego dnia, kiedy pojechaliśmy po jemiolę.

Dlaczego wtedy jej tego nie powiedział? Dlatego, że musiał walczyć z osłem, który zaparł się czterema kopytami na szczycie wzniesienia i ani myślał iść dalej. Co mogło być tego przyczyną?

To, że zwierzę zapamiętało to miejsce. Zapamiętało, że nie tak dawno wydarzyło się tam coś, co je wystraszyło. Kivrin doskonale wiedziała, co to było: ojciec Roche i Balaam byli świadkami jej przeskoku. Widzieli, jak pojawiła się nie wiadomo skąd na leśnej polanie, razem z kuframi i roztrzaskanym wozem.

Kapłan zsiadł z osła i podszedł do niej. Słyszałam go, kiedy stał nade mną, pomyślała. Widziałam jego ślady.

- Musicie wrócić w to miejsce, a stamtąd z pewnością dostaniecie się do nieba - wyszeptał, po czym zamknął oczy.

Ojciec Roche widział ją, kiedy zjawiała się na polanie, stał nad nią, kiedy leżała z zamkniętymi oczami, a gdy przekonał się, że jest chora, wsadził ją na grzbiet osiołka. Nie domyśliła się tego nawet wtedy, gdy zobaczyła go w kościele. Nawet wówczas, gdy dowiedziała się od Agnes, że ksiądz uważa ją za świętą.

Wszystko przez Gawyna, który powiedział, że to on ją znalazł. Przez Gawyna, który lubił się przechwalać i był gotów uczynić wszystko, żeby tylko zaimponować lady Eliwys. "Znalazłem was w lesie, pani, i przywiózłem do dworu". Całkiem możliwe, iż w swojej ocenie wcale jej nie okłamał. Kim bowiem był zwykły wiejski ksiądz? Nikim. Przez cały czas, kiedy Rosemunda leżała chora, Gawyn zaś pojechał do Bath, sieć czekała na nią, by wreszcie zamknąć się na zawsze.

A ojciec Roche wiedział, gdzie jest miejsce przeskoku.

- Nie musicie na mnie czekać - wyszeptał z zamkniętymi oczami. - Z pewnością już tam was oczekują.

- Ciii... - przemówiła najłagodniej jak potrafiła. - Spróbuj zasnąć, ojcze.

Zapadł w płytką drzemkę, ale jego ręce bez przerwy wędrowały po przykryciu, usiłowały je ściągnąć, unosiły się i opadały jak umierające motyle. W pewnej chwili odgarnął futra, chwycił się za krocze i skulił w pozycji embrionalnej. Biedaczysko, przemknęło jej przez głowę. Nie dość, że jest bardzo chory, to jeszcze musi walczyć z głęboko zakorzenionym wstydem.

Ponownie ułożyła go na wznak i przykryła po szyję, ale on zaraz powtórzył wszystko od nowa. Choć nie miał wysokiej gorączki, jego ciałem wciąż wstrząsały gwałtowne dreszcze.

Kivrin zmarszczyła brwi. Bardzo podobnie zachowywała się Rosemunda. Co prawda ksiądz, w przeciwieństwie do dziewczynki, wymiotował krwią, w związku z czym uznała niemal za pewnik, iż dosięgła go nie dzuma dymienicza, lecz płucna, ale fakt, że nie miał powiększonych węzłów chłonnych pod pachami, jeszcze o niczym nie świadczył. Ostrożnie wysunęła płócienną koszulę z jego spodni i spróbowała rozwiązać sznurek, ale został zaciśnięty tak mocno i tak głęboko werznął się w ciało, że nie była w stanie tego uczynić.

Delikatnie położyła mu rękę na udzie, pamiętając dobrze, jak wrażliwe na dotyk było ramię Rosemundy. Skrzywił się przez sen, lecz nie obudził, więc powoli przesunęła rękę w górę, prawie nie dotykając materiału, ale i tak wyraźnie czuła coraz większe ciepło.

- Wybacz mi - szepnęła, po czym wsunęła rękę między jego nogi.

Wrzasnął przeraźliwie i zwinął się w kłębek, ale Kivrin już wyszarpnęła rękę. Niewiele brakowało, by i ona krzyknęła. Dymienica była ogromna, twarda, gorąca. Powinna była przeciąć ją wiele godzin temu.

Ojca Roche'a nie obudził nawet jego własny krzyk. Twarz miał poznaczoną czerwonymi i sinymi cętkami, oddychał chrapliwie, z wyraźnym trudem. Ponownie przykryła go futrami, a on znowu podkulił kolana, lecz tym razem uczynił to znacznie mniej gwałtownie. Kivrin zapaliła najdłuższą świecę od jednej z płonących przed posągami świętej Katarzyny i wstawiła ją do latarni.

- Niedługo wrócę - powiedziała na wypadek, gdyby jednak słyszał, co się wokół niego dzieje, po czym przebiegła przez nawę i wyszła z kościoła głównymi drzwiami.

Chociaż był już prawie wieczór, musiała na chwilę przymknąć oczy, przywykłe do półmroku panującego we wnętrzu świątyni. Co prawda niebo zaciągnęło się ołowianymi chmurami, ale wiatr znacznie osłabł i na dworze wciąż jeszcze było cieplej niż w kościele. Popędziła przez błonie co sił w nogach, zasłaniając ręką pozbawioną szyby ściankę latarni.

W stajni zostawiła ostry nóż, którym cięła sznur podczas pakowania zapasów. Musi go wysterylizować a potem rozciąć dymienicę, zanim nastąpi samoistny wylew. Dymienice usytuowane w pachwinie były szczególnie niebezpieczne, ponieważ znajdowały się blisko tętnicy udowej. Nawet jeśli ojciec Roche nie umrze w wyniku krwotoku, cała trucizna dostanie się do jego krwiobiegu, a wtedy już z pewnością nie będzie dla niego ratunku. Gdyby domyśliła się wcześniej...

Przemknęła obok pustych chlewików i wpadła na dziedziniec. Wrota stajni były szeroko otwarte, we wnętrzu zaś coś się poruszało. Kivrin stanęła jak wryta.

- Kto tam jest? - zapytała, podnosząc latarnię.

Okazało się, że to krowa rządcy, która wędrowała od boks do boksu, skrętnie zbierając rozsypany owies. Usłyszawszy głos Kivrin zwróciła ku niej łeb, po czym zarzyczała ponuro i ruszyła ku niej ciężkim truchtem.

- Odejdź! Nie mam teraz czasu!

Dziewczyna chwyciła nóż - leżał dokładnie tam, gdzie go zostawiła - po czym wybiegła ze stodoły. Krowa, wciąż rycząc żałośnie, podążała uparcie za nią. Nabrzmiałe wymiona sięgały niemal do ziemi.

- Odejdź! - powtórzyła bliska łez Kivrin. - Muszę mu pomóc, bo umrze.

Spojrzała na potwornie brudny nóż. Już wtedy, kiedy brała go z kuchni, nie był najczystszy, teraz zaś, kiedy poleżał trochę na klepisku, w błocie i zwierzęcych odchodach, przedstawiał sobą żalosny widok.

Skierowała kroki ku studni. W wiadrze, stojącym obok cembrowiny, została zaledwie odrobina wody. Stanowczo za mało, żeby umyć nóż, a gdyby chciała rozpaść ogień i zagotować pełen gar wody, straciłaby mnóstwo czasu. Przydałby się alkohol, ale przecież zużyli już cały zapas wina na sakramenty oraz do odkażania "narzędzi chirurgicznych". Nagle przypomniała sobie o butelce, która została w pokoju Rosemundy.

Krowa otarła się o nią i spojrzała błagalnie.

- Nic z tego - stwierdziła stanowczo Kivrin, po czym weszła do dworu.

W sieni było zupełnie ciemno, natomiast do głównej izby przedostawały się przez wąskie, wysokie okna smugi szarego światła, kładąc się regularnymi plamami na wygasłym palenisku, zasłanej słomianymi matami posadzce oraz stole, na którym zostały nadpsute jabłka.

Wśród jabłek krzątały się szczury. Nie uciekły na jej widok, tylko przez chwilę wpatrywały się w nią uważnie czarnymi, błyszczącymi oczkami, po czym wróciły do przerwanej uczty. Było ich z pewnością ponad dziesięć, jeden zaś stał słupka na trójnożnym zydelku Agnes, z łapkami złożonymi jak do modlitwy.

Postawiła latarnię na podłodze.

- Wyoście się - powiedziała.

Szczury urzędujące na stole nawet na nią nie spojrzały, uczynił to natomiast ten ze stołka; zmierzył ją lodowatym, pogardliwym wzrokiem, dając jej do zrozumienia, że uważa ją za intruza.

- Wyoście się stąd! - zawołała i podbiegła do stołu.

Nadał ani myślały uciekać. Dwa niespiesznie schowały się za kamienną miseczkę z solą, inny natomiast wypuścił z łapek jabłko, które potoczyło się na krawędź stołu i spadło z głuchym plaśnięciem na podłogę.

Kivrin uniosła nóż.

- Wyoście... - Wbiła go w blat i szczury wreszcie rozbiegły się w panice. - ...się... - Powtórzyła cios. Kolejne jabłko spadło na podłogę, potoczyło się po zaśmieconej posadzce i znieruchomiało przy palenisku. - ...stąd!

Jeden z gryzoni pomylił kierunki, zeskoczył na podłogę i pomknął w stronę dziewczyny.

- Uciekaj! - krzyknęła, a następnie cisnęła w niego nożem.

Naturalnie nie trafiła, lecz zwierzę zrozumiało jej intencje, zawróciło raptownie, po czym znikło w jakimś ciemnym kącie.

- Wyoście się wszystkie! - załkała Kivrin i ukryła twarz w dłoniach. - Idźcie sobie! Nie chcę was tutaj!

- Muuu! - odezwała się krowa z sieni.

- To tylko choroba. - Ręce dziewczyny, choć trzymała je przyciśnięte do twarzy, drżały jak w febrze. - Nikt nie jest winien. To po prostu choroba, taka sama jak wiele innych.

Opanowała się jakoś, podniosła z podłogi nóż, wzięła do ręki latarnię i wyszła do sieni. Krowa wlaźła do połowy do domu, ale zaklinowała się w drzwiach. Nie zwracając uwagi na żalosne postękiwania zwierzęcia, Kivrin wspięła się po schodach na piętro.

W pokoju panował okropny ziąb. Wiatr zerwał nawoskowane płótno, które teraz zwisało smętnie obok okna. Łóżko było w potwornym nieładzie, tak jak zostawił je pisarz, próbując wygrzebać się z pościeli. Spod łóżka dobiegały jakieś szeleszczące odgłosy, lecz Kivrin nie uznała za stosowne tam zajrzeć. Skrzynia o rzeźbionym wieku była otwarta; na samym wierzchu leżał zwinięty byle jak, szkarłatny płaszcz pisarza.

Butelka z winem znikła bez śladu. Dziewczyna rozglądała się uważnie dokoła, a wreszcie, rada nie rada, ukłękła i spojrzała pod łóżko. Poświeciwszy latarnią dostrzegła niewyraźny obły kształt; wyciągnęła rękę, ale butelka potoczyła się tak daleko, że po to, by jej dosięgnąć, musiała prawie do połowy wpełznąć pod mebel.

Wyczołgawszy się spod łóżka stwierdziła, że butelka jest pusta.

- O, nie... - jęknęła rozpaczliwie.

Co najmniej minutę siedziała bez ruchu na podłodze, wpatrując się w puste naczynie. Nie mieli już wina. Ojciec Roche zużył cały zapas na rozdzielanie sakramentów.

Chwileczkę: a co z butelką, którą dał jej, kiedy Agnes rozbiła sobie kolano? Kivrin ponownie wpełzła pod łóżko i ostrożnie, po omacku, przesunęła ręką przy samej ścianie. Nie pamiętała w tej chwili, ile wina zostało w butelce, ale była pewna, że nie zużyła całego.

Niewiele brakowało, by jednak ją przewróciła. Chwyciła za szeroką szyjkę w ostatniej chwili. Wycofała się spod łóżka, po czym delikatnie potrząsnęła naczyniem; było co najmniej w połowie pełne. Wsunęła nóż za sznurek podtrzymujący jej portki, wetknęła butelkę pod pachę, chwyciła płaszcz pisarza i zeszła na dół. Szczury wróciły już do przerwanej uczty, tym razem jednak pierzchyły natychmiast, kiedy tylko pojawiła się w sieni.

Krowa wciąż tkwiła w drzwiach, blokując wyjście. Kivrin zgarnęła na bok słomiane maty, postawiła butelkę na kamiennej posadzce, po czym zapała się rękami o rogaty łeb i zaczęła pchać z całej siły. Minęło sporo czasu, nim zdołała wyprowadzić krowę na dziedziniec, ta jednak natychmiast ponowiła próbę wtargnięcia do domu.

- Nic z tego - stwierdziła stanowczo dziewczyna.

Krowa zaryczała rozpaczliwie.

- Później cię wydoję.

Zrobiło jej się jednak żal zwierzęcia, więc pobiegła do stodoły, zrzuciła ze stryszku trochę siana, po czym wróciła po swoje skarby i popędziła z nimi do kościoła.

Ojciec Roche był nieprzytomny. Leżał na wznak z szeroko rozrzuconymi nogami i ramionami, niczym człowiek ogłuszony silnym ciosem w szczękę. Oddychał głośno, z wyraźnym trudem, jego ciałem zaś od czasu do czasu wstrząsały dreszcze.

Kivrin przykryła go płaszczem.

- Już wróciłam, ojcze - powiedziała i delikatnie dotknęła jego ramienia, nic jednak nie wskazywało na to, że ją usłyszał.

Wyjęła świecę z latarni, po czym zapaliła pozostałe - były już tylko trzy, a i to wypalone do połowy - oraz kaganki, a także dużą, grubą świecę stojącą przed samym posągami, po czym ustawiła wszystkie przy stopach ojca Roche'a.

- Teraz zdejmę ci spodnie, ojcze - powiedziała łagodnie, odsuwając na bok przykrycie. - Muszę przeciąć dymienicę.

Rozwiązała sznurek. Kapłan nawet się nie skrzywił, ale z jego rozchylonych ust wydobył się cichy jęk.

Pociągnęła za nogawki, potem jeszcze raz, mocniej, lecz bez rezultatu.

- Będę musiała je rozciąć - powiedziała, biorąc do ręki nóż i przysuwając butelkę z winem. - Nie obawiaj się, na pewno cię nie skaleczę.

Powąchała butelkę, po czym na próbę pociągnęła łyk wina. Oczy natychmiast zaszyły jej łzami, zakrzuszyła się i przez dłuższą chwilę próbowała złapać oddech. Wino było stare i bardzo mocne. To dobrze. Polała ostrze noża, wytarła je o nogawkę, polała ponownie, ale niezbyt obficie, ponieważ musiała zachować trochę wina do odkażenia rany.

- Beata... - wyszeptał ojciec Roche. Sięgnął ręką do krocza.

- Wszystko będzie dobrze. - Ostrożnie rozcięła prawą nogawkę. - Wiem, że teraz bardzo cię boli, ale jak tylko przetnę dymienicę, od razu poczujesz się dużo lepiej. - Stary, wełniany materiał nie stawiał najmniejszego oporu, lecz pojawiły się inne problemy: Roche ścisnął nogi i podkulił kolana. - Wyprostuj nogi, ojcze. Muszę się tam dostać. Proszę, pomóż mi.

Nie mogła sobie poradzić, więc chwilowo zostawiła go w spokoju i rozcięła do końca obie nogawki, odsłaniając ogromny, całkiem czarny węzeł chłonny. Powinna zlikwidować go kilka dni temu.

- Ojcze, proszę! - Naparła całym ciężarem na jego nogi. - Przysięgam, że nie zrobię ci nic złego. Muszę dostać się do dymienicy i przeciąć ją, by uwolnić cię od choroby!

Nie zareagował - przypuszczałnie dlatego, że nie mógł. Była prawie pewna, że kapłan nie jest w stanie rozluźnić mięśni, tak samo jak pisarz nie potrafił zapanować nad potwornymi drgawkami, które wstrząsały jego ciałem. Nie powinna jednak czekać, aż spazm minie, bo zropiały węzeł chłonny mógł w każdej chwili pęknąć.

Uklękła przy jego podkurczonych nogach, pochyliła się, a następnie, ściskając nóż z całej siły, zaczęła delikatnie zbliżać go do nabrzmiałego guza, aż wreszcie czubek ostrza dotknął twardej, czarnej powierzchni.

Uderzenie było tak silne, że poleciała kilka metrów do tyłu i rozciągnęła się na wznak na kamiennej posadzce. Dopiero po chwili zorientowała się, co się stało; ojciec Roche, zapewne pod wpływem bólu, gwałtownie wyprostował nogi, trafiając ją w klatkę piersiową. Minęło sporo czasu, nim zdołała nabrać powietrza w płuca, ale kiedy spróbowała usiąść, poczuła potworny ból z prawej strony klatki piersiowej, i ponownie osunęła się na zimne kamienie.

Ojciec Roche wył jak torturowane zwierzę. Kivrin powoli, z wielkim trudem, zdołała przekręcić się na lewy bok, uniosła głowę i spojrzała na niego. Z kolanami podciągniętymi do piersi kołysał się do przodu i do tyłu, wydając nieludzkie, rozpaczliwe skowyty. Z miejsca, w którym leżała, nie mogła stwierdzić, co stało się z dymienicą.

Pomału, centymetr po centymetrze, dźwignęła się do pozycji siedzącej, odpoczęła trochę, następnie zaś, zaciskając zęby, zdołała uklęknąć. W pewnej chwili poczuła tak silne ukłucie bólu, że krzyknęła, ale jej głos nie zdołał przebić się przez nieludzkie wycie Roche'a. Nie ulegało wątpliwości, że złamał jej co najmniej jedno żebro. Splunęła na rękę, ale na szczęście w płwocinie nie było krwi.

Długo, bardzo długo nie zmieniała pozycji. Sparaliżował ją lęk przed bólem.

- Wybacz mi, ojcze - szepnęła, choć doskonale zdawała sobie sprawę, iż nie może jej usłyszeć. - Nie chciałam zrobić ci krzywdy.

Wreszcie, przyciskając prawą rękę do boku, popelzła ku niemu na kolanach, podpierając się lewą. Wysiłek sprawił, że zaczęła głębiej oddychać, każdy oddech zaś zdawał się wwiercać w jej płuca niczym świder.

- Już idę, ojcze... Już idę.

Tym razem chyba ją usłyszał, ponieważ podkulił nogi, więc musiała nadłożyć nieco drogi, by obejść go w bezpiecznej odległości. Jedna ze świec leżała na podłodze tuż przy jego boku; o dziwo, nie zgasła. Kivrin postawiła ją, a następnie delikatnie położyła mu rękę na ramieniu.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Jestem przy tobie.

Przestał krzyczeć.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Nie chciałam sprawić ci bólu. Zamierzałam tylko wypuścić ropę, by uwolnić cię od choroby.

Podciągnął kolana jeszcze bliżej do piersi. Kivrin wzięła świecę do ręki i przysunęła ją do jego nagich pośladków. Dymienica była taka sama jak poprzednio: czarna, ogromna i błyszcząca. Nie zdołała jej nawet zadrasnąć. Podniosła świecę wyżej, rozglądając się w poszukiwaniu noża. Potoczył się chyba po podłodze w kierunku grobowca. Poświeciła w tamtą stronę, w nadziei, że dostrzeże błysk ostrza, ale niczego nie zauważyła.

Powoli, najostrożniej jak mogła, zaczęła podnosić się na nogi. Była już prawie pewna, że jej się udało, ale nagle ból uderzył ją w bok z taką siłą, że krzyknęła głośno i zgięła się w pół.

- Co się stało? - zapytał Roche. Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, a w kąciку jego ust pojawiła się kropla krwi. Nie wiedziała, czy to krwotok, czy tylko ugryzł się w język albo wewnętrzną powierchnię policzka. - Zrobiłem coś złego?

- Nie - odparła, klękając przy nim. - Nie zrobiłeś nic złego, ojcze.

Otarła mu krew rękawem.

- Musicie... - Umilkł, ponieważ z ust pociekło mu jeszcze trochę krwi. Przełknął ją z wysiłkiem, po czym wyszeptał: - Musicie odmówić modlitwę za umierających.

- Nie trzeba - zapewniła go. - Nie umrzesz. - Ponownie otarła strużkę krwi spływającą mu z kąciку ust. - Ale powinnam przeciąć ci dymienicę, zanim sama pęknie.

- Nie...

Chciał chyba dodać coś jeszcze (Nie róbcie tego? Nie odchodźcie? Nie zostawiajcie mnie samego?), ale nie zdołał, bo krew napłynęła mu do ust znacznie obfitszym strumieniem. Kivrin ostrożnie usiadła na piętach i położyła sobie jego głowę na kolanach.

- *Requiem aeternam dona eis...* - wyszeptał po dłuższym czasie. Coś zabulgotało mu w gardle, więc umilkł na chwilę, po czym dokończył: - *...et lux perpetua...*

Zakrzuszył się, toteż uniosła mu nieco głowę i podłożyła pod nią zwinięty skraj szkarłatnego płaszcza. Był wilgotny, a kiedy spojrzała na rękę, przekonała się, że jest cała zbroczona krwią. Sięgnęła w bok, by wytrzeć ją o albę.

- Nie odchodźcie - poprosił.

- Nie odejdę - obiecała. - Jestem tu, przy tobie.

- Módlcie się za mną.

Spróbował złożyć ręce na piersi, ale był na to zbyt słaby. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz wydobył się z nich jedynie niezrozumiały charkot.

- *Requiem aeternam* - wyszeptała Kivrin. - *Requiem aeternam dona eis, Domine.*

- *Et lux...* - wykrztusił.

Płomień stojącej najbliżej świecy zamigotał, zaskwierczał, po czym zgasł. Z trzech pozostałych dwie też już prawie zakończyły żywot; pełnym blaskiem płonęła tylko jedna, woskowa, którą lady Imeyne przetrzymała na ołtarz, chociaż i tej zostało już niewiele życia.

- *Et lux perpetua...*

- *Luceat eis.* - Ponownie umilkł i spróbował zwilżyć spierzchnięte wargi. Opuchnięty język pokrywała warstwa ciemnego, wymieszanego z krwią śluzu. - *Dies irae, dies ilia.*

Zamknął oczy.

- Nie każ mu dłużej cierpieć - wyszeptała po angielsku. - Proszę. Nie znęcaj się nad nim.

- Beata... - wyszeptał, a potem dodał coś jeszcze.

- Co mówisz, ojcze? - zapytała, pochylając się nad nim.

- ...w tych dniach ostatnich...

Mówił bardzo niewyraźnie, przypuszczalnie z powodu opuchniętego języka.

Pochyliła się jeszcze niżej.

- Obawiałem się, że Bóg zupełnie nas opuści.

Uczynił to, pomyślała. Wytarła mu brodę, szyję i odsłoniętą pierś. Właśnie to uczynił.

- Ale On, w Swojej wielkiej łaskawości, przysłał nam jedną ze Swoich Świętych.

Podniósł głowę, zakasłał, a potem z ust buchnęła mu krew, spływając po jego piersi i kolanach Kivrin. Rozpaczliwie usiłowała zrobić coś, żeby powstrzymać krwotok, ale mogła tylko podtrzymać mu głowę.

- A ja na nic się nie przydałam - wyszlochała, ocierając łzy rękawem.

- Dlaczego płaczecie? - zapytał z łagodnym zdziwieniem.

- Bo ty ocaliłeś mi życie, a ja nie potrafię odwdziżyć ci się tym samym.

- Wszyscy ludzie muszą umrzeć i nikt, nawet sam Jezus Chrystus, nie jest w stanie zmienić ich losu.

- Wiem - szepnęła.

Usiłowała schwytać w dłoń łzy spływające jej po twarzy, ale one łatwo znalazły drogę między jej palcami i skapywały na pierś kapłana.

- Ocaliliście mnie - powiedział zaskakująco głośno i wyraźnie. - Przed strachem... - Znowu coś zabulgotało mu w gardle. - ...i niewiarą.

Wytarła mokrą dłoń w kaftan, po czym wzięła go za rękę. Palce miał zupełnie zimne i sztywne.

- Uczyniliście mnie najszczęśliwszym z ludzi, będąc tutaj ze mną - dodał, a następnie zamknął oczy.

Kivrin przesunęła się nieco i oparła plecami o ścianę. Na zewnątrz zapadła już noc; przez wysokie witrażowe okna nie przedostawał się żaden, nawet najslabszy promyk światła. Woskowa świeca lady Imeyne zaskwierczała głośno. Nagle ojciec Roche napiął mięśnie, jakby usiłował wyrwać rękę, ale ona zacisnęła mocniej palec.

Chwilę potem płomień świecy rozbłysł gwałtownie, po czym zgasł, pozostawiając ich w całkowitej ciemności.

ZAPIS Z KSIĘGI SĄDU OSTATECZNEGO

(082808-083108)

Panie Dunworthy, chyba nie uda mi się wrócić do miejsca przeskoku. Co prawda ojciec Roche powiedział mi, jak tam dotrzeć, ale mam złamanych kilka żeber. Gdyby został choć jeden koń... Wątpię, czy zdołam utrzymać się bez siodła na grzbiecie osła.

Postaram się zrobić wszystko, żeby panna Montoya znalazła ten rejestrator. Proszę powiedzieć panu Latimerowi, że w roku 1348 obowiązywała jeszcze fleksja przymiotnikowa, a panu Gilchristowi, że statystyki nie kłamały.

(przerwa)

Nie chcę, żeby winił pan siebie za to, co się stało. Wiem, że gdyby tylko pan mógł, z pewnością zjawiłby się pan tutaj, by mnie zabrać, ale ja i tak bym została. Przecież ktoś musiał opiekować się Agnes. I Rosemundą. I ojcem Roche.

Gdybym tu nie przybyła, umieraliby zupełnie sami i nikt nie dowiedziałby się, jacy byli przerażeni, dzielni i niezastąpieni.

(przerwa)

To dziwne... Kiedy nie mogłam odszukać miejsca przeskoku i kiedy pojawiła się zaraza, wydawało mi się, że jest pan okropnie daleko i że już nigdy pana nie odnajdę. Teraz zdaję sobie sprawę, że był pan tu ze mną przez cały czas, że nic, ani Czarna Śmierć, ani siedemset lat, ani cokolwiek, co się przez ten czas wydarzyło, nie zdołało nas rozdzielić. Wiem, że pańska troska i dobre słowo towarzyszyły mi bez chwili przerwy.

34.

Colin! - wykrzyknął Dunworthy, chwytając chłopca za ramię. - Co ty wyprawiasz, na litość boską? Chłopiec bez trudu wyzwolił się z uchwytu.

- Musi pan mieć kogoś do pomocy!

- Ale przecież nie możesz ot, tak sobie, wbiegać do sieci! Gdyby Badri akurat ją otworzył, mógłbyś zgiąć! - Ponownie złapał go za ramię i ruszył w kierunku konsoly. - Badri! Proszę natychmiast wstrzymać przeskok!

Nie było ani Badriego, ani konsolety. Dunworthy ze zdumieniem rozejrzał się dokoła, mrużąc oczy. Znajdowali się wśród przysypanych śniegiem drzew. Śnieg leżał też grubą warstwą na ziemi, w powietrzu zaś migotały kryształki zamrożonej pary wodnej.

- Kto się panem zajmie, jeśli coś się panu stanie, albo jeśli znowu pan zachoruje? - Colin dopiero teraz oderwał wzrok od twarzy Dunworthy'ego, wybałuszył oczy, po czym wykrztusił: - Czy... Czy to już?

Dunworthy obmacywał kieszenie kubraka w poszukiwaniu okularów.

- Badri! - wykrzyknął. - Słyszysz mnie pan? Proszę natychmiast otworzyć sieć!

Wreszcie znalazł okulary i wsadził je na nos, ale niewiele mu to dało, ponieważ szkła były zamrożone. Ściągnął je i z furią zaczął ścierać grubą warstwę szronu.

- Badri!

- Gdzie właściwie jesteśmy? - zapytał Colin.

Dunworthy jako-tako doczyścił szkła, ponownie wsadził okulary na nos, po czym uważnie rozejrzał się dokoła. Drzewa były stare, niektóre nawet bardzo stare, obrośnięte zwojami bluszczu.

Nigdzie ani śladu Kivrin.

Podświadomie spodziewał się ją tu zastać, choć, naturalnie, zdawał sobie sprawę na jak kruchych podstawach opierają się jego nadzieje. Po cichu liczył na to, że kiedy tylko dziewczyna zorientuje się, iż trafiła w niewłaściwy czas, wróci na miejsce przeskoku i będzie czekać na ratunek. Niestety, wszystko wskazywało na to, że tak się nie stało.

W śniegu nie było widać żadnych śladów. Co prawda spadło go tyle, że mógł ukryć odciski sprzed kilku dni albo nawet sprzed kilkunastu godzin, ale z pewnością nie zdołałby przysypać kufrów oraz wozu. Na domiar złego, nigdzie w pobliżu nie było widać drogi łączącej Bath z Oxfordem.

- Nie mam pojęcia - przyznał.

- W każdym razie na pewno nie w Oxfordzie, bo nie pada - stwierdził Colin, po czym ruszył w kierunku kępy rosnących nieopodal wierzb.

Dunworthy spojrział w górę, na blade, czyste niebo. Jeśli poślizg wyniósł tyle samo, co przy przeskoku Kivrin, powinno zbliżać się południe.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał chłopca.

- Szukać drogi. Zdaje się, że powinniśmy wylądować w pobliżu jakiejś drogi, prawda?

Zniknął w płataninie nagich gałęzi.

- Colin! - wrzasnął Dunworthy. - Wracaj natychmiast!

Podążył za chłopcem, ale zanim zdążył zrobić trzy kroki, zza kępy wierzb dobiegł triumfalny głos Colina:

- Znalazłem! Jest droga!

- Wracaj natychmiast, słyszysz?!

Gałęzie rozchyliły się i pojawiła się głowa chłopca.

- Chodź tutaj i nigdzie się nie ruszaj - powiedział Dunworthy nieco łagodniejszym tonem.

- Droga prowadzi na wzgórze - oznajmił Colin, wychodząc na polanę. - Moglibyśmy tam wejść i przynajmniej rozejrzeć się po okolicy.

Naturalnie był już cały przysypany śniegiem, ubranie zaś miał prawie przemoczone. Sądząc po jego minie, spodziewał się najgorszego.

- Odeśle mnie pan z powrotem? - zapytał ponuro.

- Nie mam wyboru - odparł Dunworthy, chociaż w głębi duszy wcale nie był tego taki pewien. Badri otworzy sieć najwcześniej za dwie godziny, ale co potem? Dwie godziny to mnóstwo czasu. Byłoby głupotą zmarnować je czekając beczynnie w środku lasu, a przecież nie mógł zostawić tu chłopca samego. - Odpowiadam za ciebie.

- A ja za pana! - oświadczył Colin z buńczucznością. - Babcia Mary kazała mi się panem opiekować. Co będzie, jeśli znowu źle się pan poczuje?

- Nic nie rozumiesz. Czarna Śmierć...

- Proszę się nie obawiać, nic mi nie będzie. Słowo honoru. Dostałem wszystko, co trzeba. Koleżanka Williama dawała mi te same zastrzyki, co panu. Teraz nie może mnie pan odesłać, bo sieć jest zamknięta, a przecież nie będziemy stali tu przez dwie godziny, bo obaj dorobimy się zapalenia płuc. Jeśli natychmiast zaczniemy poszukiwania, kto wie, czy przez ten czas nie znajdziemy Kivrin.

Miał rację: nie mogli tutaj zostać. Chłód już zaczął przenikać przez wiktoriański płaszcz Dunworthy'ego, kubrak Colina natomiast stanowił chyba jeszcze słabszą ochronę przed mrozem niż jego stara kurtka.

- W porządku - zdecydował. - Wejdziemy na szczyt wzgórza, ale najpierw oznakujemy tę polanę, żebyśmy potem mogli ją odszukać. Pamiętaj, że nie wolno ci nigdzie ganiać, tak jak przed chwilą. Przez cały czas muszę cię mieć na oku. Tylko tego jeszcze brakowało, żebyś i ty gdzieś się zgubił.

- Spokojna głowa, na pewno się nie zgubię. - Z triumfalnym uśmiechem wyjął z kieszeni niewielki prostokątny przedmiot. - Zabrałem ze sobą lokalizator. Wskaże nam drogę nawet w zupełnych ciemnościach.

Pomógł Dunworthy'emu przedrzeć się przez kępę wierzb i chwilę potem stali już na drodze. "Droga" było to określenie zdecydowanie na wyrost; szli wąską ścieżką, przysypaną śniegiem i od dawna przez nikogo nie

używaną, jeśli nie liczyć psa (a może wilka), lisów, wiewiórek oraz jeszcze jakichś stworzeń, które pozostały po sobie wyraźne tropy na śniegu. Colin posłusznie włókł się obok Dunworthy'ego mniej więcej do połowy wzniesienia, ale wreszcie nie wytrzymał i pobiegł naprzód.

Dunworthy spróbował przyspieszyć kroku, lecz natychmiast wrócił do poprzedniego tempa, ponieważ poczuł, jak na żebrach zaczyna mu się zaciskać żelazna obręcz. Wyszli z lasu już kilka minut temu; przenikliwy wiatr, którego nie czuli między drzewami, sprawiał, że z każdą chwilą robiło się coraz zimniej.

- Widzę jakąś wieś! - zawołał Colin ze szczytu wzniesienia.

Dunworthy dotarł do chłopca i zatrzymał się przy nim, dysząc ciężko. Wiatr wiał tu z jeszcze większą siłą, szarpał płaszczem i bez trudu wciskał się pod ubranie. Na bladym, bezchmurnym do tej pory niebie, pojawiły się rozwleczone szare obłoki. Daleko na południu słup dymu wznosił się pionowo w górę, by potem, porwany wiatrem, skręcić nagle na wschód.

Colin wyciągnął rękę.

- Widzi pan?

Przed nimi rozciągała się pofalowana równina, przykryta śniegiem tak białym, że oczy łzawiły, kiedy się na niego patrzyło. Nagie drzewa oraz drogi wyróżniały się jako ciemne plamy i kreski niczym znaki na mapie. Najszersza kreska, czyli droga z Bath do Oxfordu, przecinała równinę niemal na dwie równe części; hen, daleko, widać było nawet sam Oxford, a raczej delikatny, jakby wykonany twardym ołówkiem, zarys jego murów i wież. Najbardziej rzucała się w oczy charakterystyczna sylwetka Wieży św. Michała.

- Nie wygląda na to, żeby tam grasowała Czarna Śmierć - zauważył Colin.

Miał rację. Widok był sielankowy, nieziemsko piękny, wręcz bajkowy. Trudno było sobie wyobrazić to cudowne miasto ogarnięte zarazą, wąskie uliczki pełne trupów, zamknięte college, wszechobecny smród rozkładu. Jeszcze trudniej było sobie wyobrazić Kivrin, odciętą od świata w jednej z okolicznych wsi.

- Widzi pan? - zapytał ponownie Colin, wskazując na południe. - Tam, za tymi drzewami.

Wyteżywszy wzrok, Dunworthy zdołał dostrzec ciemniejszy kształt prześwitujący między gałęziami drzew - coś jakby kościelna wieża albo stromy dach szlacheckiego dworu.

- Nawet jest coś w rodzaju drogi - zauważył chłopiec.

Istotnie, w kierunku kępy drzew prowadziła szara wąska kreska. Dunworthy wyjął z kieszeni mapkę naszkicowaną przez Montoyę, ale na jej podstawie nie sposób było stwierdzić, co to zawiesz. Nie wiedzieli przecież jak daleko znajdują się od planowanego miejsca przeskoku. Jeśli wylądowali na południe od niego, wieś leżała zbyt daleko na wschód, aby to mogła być Skendgate, ale z kolei tam, gdzie, jego zdaniem, powinno znajdować się jakieś osiedle, rozciągała się przykryta śniegiem, pofalowana równina.

- Więc jak? - zapytał chłopiec ze zniecierpliwieniem. - Idziemy tam, czy nie?

Nie mieli wielkiego wyboru, bowiem była to jedyna osada w zasięgu wzroku, a w dodatku odległość nie przekraczała chyba kilometra. Nawet jeśli okaże się, że to nie Skendgate, to może przynajmniej zdołają ustalić swoje położenie.

- Idziemy, ale musisz trzymać się blisko mnie i z nikim nie rozmawiać, rozumiesz?

Colin skinął głową, choć Dunworthy mógłby przysiąc, że chłopiec nie usłyszał ani słowa.

- Zdaje się, że droga powinna być tam...

Popędził wielkimi susami w dół zbocza.

Dunworthy podążył, starając się dotrzymać kroku, za nim, usiłując nie myśleć o tym, ile wsi jest w okolicy, ile czasu może im zająć zbadanie choćby tylko kilku z nich, jak mało tego czasu im zostało ani jak bardzo jest zmęczony po przejściu zaledwie kilkuset metrów.

- W jaki sposób przekonałeś Williama, żeby zapisał ci streptomycynę i gammaglobulinę? - zapytał chłopca, kiedy wreszcie udało mu się go dogonić.

- Potrzebował kodu babci Mary, a ja znałem go, bo był w zestawie pierwszej pomocy, który zostawiła w torbie z zakupami.

- Więc dokonałeś transakcji wymiennej: kod za kurację uodparniającą?

- Zgadza się. Oprócz tego zagroziłem mu, że opowiem jego matce o tych wszystkich dziewczynach.

Ponownie pognął naprzód.

Rzekoma droga okazała się ogrodzeniem z płaskich kamieni. Dunworthy nie chciał nawet słyszeć o tym, by podążyć na przełaj przez pole.

- Musimy trzymać się dróg - powtarzał z uporem.

- Ale przecież w ten sposób będzie znacznie prędzej! - zaprotestował Colin. - Nie zgubimy się, bo mam lokalizator.

Dunworthy był zanadto zmęczony, żeby kontynuować dyskusję. Brnął powoli przez śnieg, rozglądając się uważnie dokoła. Wąskie pola ciągnęły się aż do skraju lasu.

- A jeśli tam nie ma żadnej drogi? - zaczął zastanawiać się Colin, kiedy przeszli przez trzecie ogrodzenie.

Zaraz potem, całkiem niespodziewanie, dotarli do niej. Była jeszcze węższa od ścieżki, na którą natrafili w pobliżu miejsca przeskoku; od chwili, kiedy spadł śnieg, nie szedł nią żaden człowiek ani zwierzę. Wędrowało się nią równie niewygodnie jak po polu, ponieważ cienka zamrożona skorupa pękała pod ich ciężarem

i zapadali się do połowy łydek, miejscami zaś po kolana. Dunworthy wyteżał wzrok, ale nie mógł dostrzec żadnych oznak świadczących o tym, że zbliżają się do osady.

Co gorsza, żelazna obręcz zaciskała się z coraz większą siłą.

- Co zrobimy, kiedy już tam dotrzemy? - zapytał Colin, po którym nie było widać najmniejszego zmęczenia.

- Jeśli chodzi o ciebie, to będziesz udawał, że cię nie ma, i trzymał język za zębami - wysapał Dunworthy.

- Rozumiemy się?

- Tak, tak... Jest pan pewien, że to właściwa droga?

Dunworthy nie był niczego pewien. Droga skręcała łagodnym łukiem na zachód, w kierunku przeciwnym do tego, w jakim, jego zdaniem, powinna znajdować się wieś. Odnosił wrażenie, iż od kępy drzew dzieli ich wciąż taka sama odległość jak na początku wędrówki.

- Niemożliwe, żeby ta wieś była aż tak daleko - stwierdził po pewnym czasie chłopiec, zabijając ręce. - Idziemy już parę godzin.

W rzeczywistości minęła najwyżej godzina, niemniej jednak Dunworthy'ego coraz bardziej niepokoił fakt, że oprócz strużki dymu na horyzoncie, nie dostrzegli jeszcze ani jednej chaty, nie wspominając już o całej wsi. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż w tej okolicy jest mnóstwo ludzkich osad; tylko jak je znaleźć?

Colin wyjął z kieszeni lokalizator, wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym pokazał go Dunworthy'emu.

- Widzi pan? Zboczyliśmy za daleko na południe. Moim zdaniem, powinniśmy skrócić na północ i spróbować dotrzeć do innej drogi.

Dunworthy przyjrzał się ciekłokrystalicznemu wyświetlaczowi, a następnie spojrzął na mapę. Od miejsca przeskoku dzieliło ich ponad trzy kilometry. Gdyby teraz ruszyli na północ, przez dość długi czas nie mieliby żadnych szans na odnalezienie Kivrin. Należało także brać pod uwagę jeszcze jeden czynnik: jego wyczerpujące się w szybkim tempie siły. Już teraz czuł się bardzo zmęczony, a do nieznośnego ucisku w piersi dołączył kłujący ból.

Stał niezdecydowany, zastanawiając się co począć.

- Nogi mi zmarzły! - poskarżył się Colin.

Podskoczył kilka razy, ubijając śnieg stopami. Z pobliskich zarośli poderwał się jakiś ptak i z głośnym furkotem poleciał w kierunku lasu.

Dunworthy spojrzął w górę. Niebo coraz bardziej zaciągało się chmurami.

- Trzeba było iść wzdłuż ogrodzenia - stwierdził chłopiec. - Może wtedy...

- Cicho!

- Co się stało? - zapytał szeptem. - Ktoś idzie?

- Ciii... - syknął ponownie Dunworthy.

Nakazał gestem Colinowi, żeby cofnął się na skraj drogi, po czym znowu wyteżył słuch. Przed chwilą wydawało mu się, że słyszy parsknięcie konia, ale teraz nie był już tego pewien. Może to tylko ptak?

- Zostań tutaj! - szepnął do chłopca, a następnie ruszył ostrożnie naprzód.

Zaraz za zakrętem stał czarny koń uwiązany do głogu. Dunworthy cofnął się o krok, przypadł do ziemi i przez długą chwilę rozglądał się uważnie dokoła w poszukiwaniu jeźdźcy, ale zarówno na drodze, jak i wśród rosnących nie opodal krzaków, nie dostrzegł żadnego ruchu. Wstrzymał nawet oddech, nasłuchując, lecz do jego uszu docierało jedynie bicie jego serca oraz przytłumione pacnięcia kopyt uderzających w częściowo udeptany śnieg. Koń przestępował nerwowo z nogi na nogę i szarpał łbem, próbując się uwolnić.

Był osiodłany, w grzywę miał wplecione srebrne sznureczki, ale pod zmatowiałą czarną sierścią odznaczały się wyraźnie wszystkie zębra, siodło zaś zsunęło się nieco na bok. Kiedy zwierzę ponownie potrząsnęło łbem, Dunworthy przekonał się, że wcale nie zostało uwiązane, tylko zbyt długie cugle zaplątały się w kolczaste gałęzie, unieruchamiając je przy krzaku.

Wyprostował się i minął zakręt, a wtedy koń skierował na niego wytrzeszczone ślepia i zaczął rzeć rozpaczliwie.

- Już dobrze, dobrze... Wszystko w porządku... - przemawiał łagodnie, podchodząc powoli z boku. W chwili, gdy położył rękę na karku wierzchowca, koń natychmiast się uspokoił i zaczął go uważnie obwąchiwać, przypuszczalnie w poszukiwaniu żywności. Dunworthy rozejrzał się dokoła. Spod śniegu gdzieś sterczały kępki pożółkłej trawy, ale teren w promieniu mniej więcej półtora metra, czyli wszędzie tam, gdzie zwierzę było w stanie sięgnąć, został ogołocony ze wszystkiego, co nadawało się do zjedzenia.

- Od jak dawna tu tkwisz, biedaku? - zapytał rumaka, klepiąc go po karku.

Czy właściciel zwierzęcia zasnął podczas jazdy i spadł z siodła? A może umarł w domu, koń zaś, przerażony wonią śmierci, uciekł ze stajni i pogonił na oślep przed siebie, aż wreszcie cugle zaplątały się w ciemne gałęzie? A może jeździec dotarł aż tutaj, poczuł się niedobrze, zsiadł z konia i odszedł między drzewa, by już nie wrócić?

Przeciwko tej hipotezie przemawiał fakt, że nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnych śladów. Koń znowu załośnie zarżał, więc Dunworthy zerwał kilka garści trawy i wepchnął mu do pyska.

- Koń! - wykrzyknął Colin, wyłaniając się zza zakrętu. - Prawdziwy koń! Ale wdechowo!
- Chyba miałeś nie ruszać się z miejsca?
- Wiem, ale usłyszałem końskie rzenie i pomyślałem sobie, że ma pan kłopoty.
- Tym bardziej powinienes zostać tam, gdzie byłeś. - Dunworthy wręczył chłopcu resztkę trawy. - Daj mu to.

Sam zajął się rozplątywaniem cugli. Zadanie okazało się znacznie trudniejsze, niż początkowo przypuszczał, ponieważ koń, usiłując wyrwać się z pułapki, zacisnął rzemienie ze znaczną siłą, te natomiast najpierw nasiąkły wodą z topniejącego śniegu, by potem zeszywnieć na mrozie. Musiał niemal wpełznąć pod krzak, jedną ręką odgarnąć gałęzie, drugą zaś z całej siły szarpnąć za wodze. Ostre ciernie bezlitośnie kaleczyły mu twarz i dłonie.

- Czyj to koń? - zapytał Colin, wysuwając w stronę zwierzęcia rękę z kępką trawy. Wygłodniały wierzchowiec natychmiast rzucił się w stronę pokarmu, więc chłopiec wypuścił trawę z ręki i cofnął się gwałtownie. - Czy aby na pewno jest oswojony?

Gwałtowne poruszenie końskiego łba zważyło na Dunworthy'ego lawinę śniegu, ale przynajmniej udało mu się rozplatać wodze. Owinął je wokół podrapanej do krwi ręki i ostrożnie wycofał się spomiędzy kolczastych gałęzi.

- Oczywiście.

Colin podszedł do zwierzęcia, przez chwilę mierzył je bacznym spojrzeniem, po czym wyciągnął rękę i delikatnie pogładził po pysku.

- A do kogo należy?

- Do nas.

Poprawił popręg przy siodle, podsadził nie przejawiającego nadmiernego entuzjazmu chłopca, po czym także wspiął się na grzbiet wierzchowca.

Koń, który nie zdawał sobie sprawy, że został już uwolniony, spojrzął na niego z wyrzutem, kiedy poczuł delikatne szturchnięcie piętami, ale zaraz potem posłusznie ruszył stępą zaśnieżonym traktem, ciesząc się odzyskaną wolnością.

Początkowo Colin trzymał się kurczowo Dunworthy'ego, obejmując go dokładnie w miejscu, gdzie ten czuł największy ból, ale zaledwie po stu metrach odzyskał pewność siebie.

- Jak się nim kieruje? - zapytał, chwilę później zaś chciał wiedzieć, w jaki sposób można zmusić wierzchowca do przyspieszenia kroku.

Dotarcie do głównej drogi zajęło im zaledwie kilka minut. Colin chciał wrócić do kamiennego ogrodzenia i wyruszyć na przelaj przez pola, ale Dunworthy skierował konia w przeciwną stronę. Po przejechaniu niespełna kilometra dotarli do rozwidlenia; wybrał lewą odnogę drogi, ponieważ sprawiała wrażenie znacznie bardziej uczęszczanej, choć prowadziła przez wyjątkowo gęsty las. Chmury zasłoniły już niebo od horyzontu po horyzont, wiatr zaś zdecydowanie przybrał na sile.

- Tam! - wykrzyknął nagle Colin i wskazał kierunek wyciągniętą ręką.

Chwilę potem Dunworthy także zobaczył szary kamienny dach tylko niewiele ciemniejszy od zachmurzonego nieba; kościół, a może wielka obora. Znajdował się dokładnie na wschód od nich, lecz nim zaczęli się zastanawiać, w jaki sposób tam dotrzeć, ujrzeli ścieżkę. Była bardzo wąska, a żeby się do niej dostać, należało przejechać po wąskiej kładce nad niedużym, ale wartko płynącym strumieniem.

Koń nie przyspieszył kroku ani nie zastrzygł uszami, więc Dunworthy domyślił się, iż nie był własnością żadnego z mieszkańców tej wsi - a raczej dworu, do którego wieś należała. I całe szczęście, pomyślał. W przeciwnym wypadku mogliby powiesić nas jako koniokradów, zanim zdołalibyśmy zapytać kogokolwiek o Kivrin.

Zaraz potem zobaczył owce.

Większość leżała nieruchomo na boku, niczym sterty porzuconej przez kogoś, brudnej wełny, kilka zaś zbiło się w ciasną gromadkę pod drzewami, szukając osłony przed wiatrem i mrozem. Colin niczego nie zauważył.

- Co zrobimy, kiedy już tam dotrzemy? Wślizgniemy się cichcem, czy wjedziemy oficjalnie i od razu zaczniemy wypytywać o Kivrin?

Tam nie ma już nikogo, kto mógłby nam cokolwiek wyjaśnić, przemknęło Dunworthy'emu przez głowę. Nic nie odpowiedział, tylko zmusił wierzchowca do przyspieszenia kroku. Kilka minut później znaleźli się we wsi.

Ani trochę nie przypominała tej z ilustracji w książce Colina. Tam domy stały obok siebie dokoła głównego placu, tutaj były rozrzucone bezładnie na skraju lasu, tak że sprzed wrót jednego, widziało się zaledwie dach sąsiedniego. Nieco dalej, z kępy jesionów sterczała wieża kościoła, ale pierwszymi budynkami, które ukazały się ich oczom, były: niewielka chałupa o spadzistym dachu oraz niska, rozpadająca się szopa.

Tak skromne domostwo z pewnością nie należało do zamożnego człowieka. W obejściu panowała niczym nie zmacona cisza, wrota szopy stały otworem, z prostokątnej dziury w dachu nie unosiła się nawet najcieńsza strużka dymu.

- Może wszyscy uciekli? - zastanawiał się na głos Colin. - Mnóstwo ludzi uciekało na wieść o zbliżającej się zarazie. Podobno właśnie dzięki temu rozprzestrzeniła się w tak szybkim tempie.

Może i uciekli. Śnieg przed budynkiem był zdeptany, jakby całkiem niedawno kręciło się tam sporo ludzi i wierzchowców.

- Pilnuj konia - polecił Dunworthy chłopcu, po czym zsunął się z grzbietu rumaka i ruszył w kierunku domu. Drzwi chałupy także były otwarte, tyle że nie na oścież. Pchnął je, schylił się, po czym wszedł do niskiego wnętrza.

Panował tam głęboki mrok, jego oczy zaś, olśnione blaskiem bijącym od nieskazitelnie białego śniegu, nie były w stanie dostosować się do zmienionych warunków. Przymknął powieki, ale kiedy kilkanaście sekund później otworzył oczy, wciąż widział tylko ciemność wypełnioną roztańczonymi czerwonymi plamami.

Dopiero po dwóch albo trzech minutach zaczął dostrzegać szczegóły. W chałupie były dwie izby rozdzielone cienkim przepierzeniem z desek, na klepisku leżały słomiane maty. W większej izbie stał zupełnie pusty stół przysunięty w pobliże paleniska; sądząc po wyglądzie popiołu, od wielu dni nikt nie rozpałał tam ognia. Najprawdopodobniej domownicy uciekli przed Czarną Śmiercią, a wraz z nimi pozostali mieszkańcy wioski, zabierając ze sobą zarazę.

Oraz Kivrin.

Oparł się plecami o drzwi. Ucisk na klatkę piersiową przybrał na sile, ale tym razem Dunworthy poczuł dodatkowo ukłucie zupełnie innego bólu. Martwiąc się o Kivrin, a później szykując akcję ratunkową, zupełnie nie brał pod uwagę ewentualności, że dziewczyny może już tu nie być.

W chwili, gdy zjrzał do sąsiedniej izby, w drzwiach wejściowych pojawiła się głowa Colina.

- Ten głupi koń chce się napić z wiadra, które stoi przy studni - powiedział. - Mam mu pozwolić?

- Tak - odparł Dunworthy, zasłaniając sobą wnętrze mniejszej izby. - Tylko uważaj, żeby nie wypił za dużo. Od kilku dni nie miał wody w pysku, więc teraz musi stopniowo zaspokajać pragnienie.

- Proszę się nie obawiać; wątpię, czy będzie tego pół wiadra. - Rozejrzał się z zainteresowaniem dokoła. - Kurczę, ci ludzie naprawdę byli bardzo biedni! Znalazł pan coś?

- Nie. Wracaj do konia. Gdyby uciekł albo gdyby ktoś nam go ukradł, mielibyśmy się z pyszna.

Chłopiec wycofał się, niemal zawadzając głową o popękana futrynę.

Niemowlę leżało w kącie na poduszce. Przypuszczalnie żyło jeszcze, kiedy umierała jego matka, ponieważ rozciągnięta na klepisku kobieta zastygła z rękami wyciągniętymi w kierunku dziecka. Obie ręce były niemal czarne, koszulkę niemowlęcia zaś pokrywała skorupa zaschniętej krwi.

- Panie Dunworthy!

Cofnął się gwałtownie, przekonany, że chłopiec lada chwila wpadnie do chałupy, ale kiedy wyszedł przed dom, ujrzał Colina stojącego obok konia, który z ukontentowaniem pił wodę z drewnianego cebrzyka.

- O co chodzi?

- Tam coś leży na ziemi. - Colin wskazał w kierunku sąsiedniej chaty. - Zdaje się, że trup.

Nie czekając na odpowiedź popędził w tamtą stronę; chyba zapomniał, że wciąż ściska w rękę wodze, bowiem mocno szarpnął koński łeb, zmuszając wierzchowca, by ten wyjął pysk z kubła. Koń chyba jednak zdążył już częściowo zaspokoić pragnienie, ponieważ bez protestu podążył za chłopcem.

- Tak, to zwłó...

Urwał w pół słowa. Dunworthy ruszył za nim najprędzej jak mógł, przyciskając rękę do bolącego boku.

Istotnie, było to ciało młodego mężczyzny. Trup leżał na wznak w zamrożonej kałuży ciemnej cieczy. Jego twarz pokrywała cienka warstwa świeżego śniegu. Widocznie pękły mu dymienice, pomyślał Dunworthy i spojrzał na Colina, ale ten wcale nie patrzył na ciało, tylko na dość rozległy odkryty teren, wokół którego przycupnęło kilka nędznych chat. Nieco dalej wznosił się romański kościółek, natomiast pośrodku, na stratowanym śniegu, leżały zwłoki.

Mnóstwo zwłok.

Nikt nie zadał sobie trudu, by je pochować, mimo iż wzdłuż ściany kościoła biegł płytki rów, który najprawdopodobniej miał spełnić funkcję zbiorowej mogiły. Kilka osób usiłowało pełznąć w kierunku świątyni, ponieważ leżały z dala od pozostałych, jeden z mężczyzn zaś skierował się w stronę swej chaty i umarł na jej progu.

- "Łękajcie się Pana, oto bowiem nadeszła godzina Jego gniewu" - wyszeptał Dunworthy.

- Zupełnie jakby tu była jakaś bitwa albo coś w tym rodzaju - powiedział Colin zduszonym głosem.

- Bo była - odparł Dunworthy.

Chłopiec postąpił krok naprzód i ponownie skierował wzrok na ciało, które dostrzegł pierwsze.

- Myśli pan, że wszyscy nie żyją?

- Nikogo nie dotykaj! Nawet nie zbliżaj się do nich.

- Dostałem zastrzyki... - odparł niepewnie chłopiec, lecz mimo to cofnął się posłusznie.

Dunworthy położył mu rękę na ramieniu.

- Staraj się głęboko oddychać. I nie patrz na nich.

- W książce było napisane, że to wyglądało właśnie w taki sposób - powiedział Colin, wpatrując się w koronę pobliskiego dębu. - Szczerze mówiąc, myślałem, że będzie jeszcze gorzej. Wie pan: różne zapachy, i w ogóle.

- Wiem.

Chłopiec z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Już mi lepiej. - Rozejrzał się dokoła. - Jak pan myśli, gdzie jest Kivrin?

Oby nie tutaj, przemknęła Dunworthy'emu przez głowę rozpacзлиwa myśl.

- Mogła schować się w kościele - mówił dalej Colin. - Poza tym i tak musimy sprawdzić, czy jest tam grobowiec rycerza. Mogliśmy przecież trafić do niewłaściwej wioski.

Ruszył w kierunku świątyni, ciągnąc za sobą konia, ale ten, po przejściu zaledwie dwóch kroków, stanął jak wryty, wybałuszył ślepią i zarżał przeraźliwie.

- Musisz odprowadzić go do szopy - powiedział Dunworthy. - Zwęszył krew. Spętaj go, bo jeszcze gotów nam uciec.

Delikatnie poklepał zwierzę po pysku i odprowadził je od zwłok, po czym oddał cugle Colinowi.

- W porządku, nic się nie bój - usłyszał, jak Colin przemawia do wierzchowca. - Doskonale wiem, jak się czujesz.

Dunworthy zaczął aż chłopiec i koń dotrą do obejścia, po czym, najszybciej jak mógł, podążył w stronę kościoła. W płytkim rowie ujrzał cztery ciała, dwa kolejne zaś, przykryte cienką warstwą śniegu, leżały obok sterty zamarznętej ziemi wybranej z grobu. Ci ludzie przypuszczalnie umarli znacznie wcześniej, kiedy jeszcze było komu myśleć o urządzaniu pogrzebów.

Skręcił w prawo, w kierunku głównych drzwi.

Przed samym wejściem do świątyni w śniegu leżały następne dwa trupy: starego mężczyzny i chyba młodej dziewczyny. Prawa ręka mężczyzny spoczywała na karku kobiety, jakby śmierć dopadła go w chwili, kiedy włókł ją gdzieś za sobą.

Dunworthy delikatnie chwycił go za ramię i odwrócił na bok, po czym przyjrzał się dziewczynie. Poła brudnego płaszcza odchyliła się nieco, odsłaniając również brudną i zakrwawioną suknię; mimo to łatwo dało się stwierdzić, iż suknia była kiedyś jaskrawoniebieska.

Ściągnął kaptur z głowy dziewczyny. Wokół szyi miała zaciśnięty gruby konopny sznur, a jej długie włosy przypominały kępę pozlepianych wodorostów.

Powiesili ją, pomyślał bez zdziwienia.

Nadbiegł zadyszany Colin.

- Już wiem, co oznaczają te ślady na śniegu! - oznajmił. - Ciągnęli zwłoki w stronę grobu, ale albo zabrakło im sił, albo wszyscy poumierali. Za szopą leży małe dziecko ze sznurem na szyi.

Dunworthy w milczeniu przyglądał się dziewczynie. Włosy były tak brudne, że jedynie z najwyższym trudem można było się domyślić, iż kiedyś miały barwę dojrzałego zboża.

- Ciągnęli je, bo nie mieli siły ich nieść - dodał chłopiec.

- Zaprowadziłeś konia do szopy?

- Tak. Musiałem uwiązać go do belki, bo nie chciał zostać.

- Jest głodny. Wracaj i daj mu trochę siana.

- Czy coś się stało? - zapytał Colin, przyglądając mu się z niepokojem. - Chyba nie ma pan nawrotu albo czegoś w tym rodzaju?

Z miejsca, w którym stał, z pewnością nie mógł dostrzec odsłoniętego skrawka sukni.

- Nie - odparł Dunworthy. - Nic mi nie jest. Poszukaj siana albo owsa i nakarm konia.

- W porządku. - Chłopiec popędził w kierunku szopy, ale w połowie drogi zatrzymał się, odwrócił i zawołał: - Chyba nie muszę karmić go z ręki? Wystarczy, jeśli rzucę mu siano na ziemię, prawda?

- Tak - odpowiedział Dunworthy, spoglądając na jej rękę, również pokrytą zakrzepniętą krwią. Ramię było lekko zgięte w łokciu, jakby w ostatniej chwili usiłowała złagodzić upadek. Bardzo łatwo mógł przewrócić ją na wznak. Wystarczyło złapać za łokieć i pociągnąć.

Jednak zamiast łokcia, najpierw dotknął ręki. Była przeraźliwie zimna, brudna i podrapana. Doskonale pamiętał ręce Kivrin; niemożliwe, żeby w ciągu dwóch tygodni zmieniły się aż tak bardzo, a jeśli jednak, to wolał nie myśleć o tym, czego doświadczyła w tym krótkim okresie.

I tak dowie się wszystkiego z rejestratora. Przyjrzał się uważnie przegubowi w poszukiwaniu małej blizny po implancie, ale warstwa brudu i zaschniętej krwi była zbyt gruba, aby mógł cokolwiek dostrzec.

A nawet gdyby ją znalazł, to co dalej? Czy powinien posłać Colina po siekiere i odrąbać jej rękę, by mogli wysłuchać opowieści o koszarze, którego aż do tej pory nikt nie potrafił sobie nawet wyobrazić? Oczywiście, że nie zdobyłby się na coś takiego, tak samo jak teraz nie mógł się zdobyć na to, by odwrócić dziewczynę na plecy i przekonać się wreszcie, czy to Kivrin, czy nie.

Przez chwilę stał bez ruchu, pochylony nad zwłokami, a następnie, zaskakując samego siebie, chwycił trupa za łokieć, szarpnął mocno i przewrócił go na wznak.

Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna umarła na dżumę dymieniczą; pod prawą pachą na sukni widniała ciemna, cuchnąca nawet mimo mrozu, plama. Czarny, opuchnięty język nie mieścił się w ustach - wystawał spomiędzy warg niczym jakiś ohydny obiekt, który, przemocą wtłoczony do gardła, stał się przyczyną jej śmierci - a na bladej, nalanej twarzy zamarł wyraz panicznego przerażenia.

To nie była Kivrin.

Dunworthy wyprostował się, zachwiał, ponieważ pomyślał, że powinien zakryć jej twarz.

- Panie Dunworthy!

Skierował na chłopca puste spojrzenie.

- Co się stało? - zapytał Colin. - Znalazł ją pan?

- Nie - odparł, starając się zagrozić mu drogę. Nigdy jej nie znajdziemy, dodał w duchu.

Chłopiec wspiął się na palce, by spojrzeć na kobietę nad jego ramieniem, ale mógł dostrzec jedynie biały owal twarzy i niebieską suknię.

- To ona, prawda? Nie żyje? Spóźniliśmy się?

- To nie ona - powiedział głośno i wyraźnie Dunworthy.

Ale to mogła być ona, pomyślał. A ja oszaleję, jeśli będę musiał jeszcze choć raz odwrócić jakiegoś trupa twarzą do góry, żeby mu się przyjrzeć. Po prostu nie dam rady.

Nogi ugięły się pod nim i z pewnością upadłby, gdyby nie chwycił się ramienia chłopca.

- Zaprowadź mnie do szopy - poprosił.

Colin nawet nie drgnął.

- Może mi pan śmiało powiedzieć. Wytrzymam.

Ale ja nie wytrzymam, pomyślał Dunworthy. Nie wytrzymam niepewności. Nie wytrzymam wstrząsu, jakiego doznam, kiedy okaże się, że Kivrin jednak nie żyje.

Powoli ruszył w kierunku chat, opierając się prawą ręką o kamienny mur kościoła i zastanawiając się, co pocnie, kiedy dotrze do odkrytej przestrzeni.

Colin dogonił go po kilku krokach, ujął pod ramię i spojrzał na niego z niepokojem.

- Co się stało? Ma pan jakiś atak, czy coś w tym rodzaju?

- Po prostu muszę trochę odpocząć - odparł, po czym dodał, zaskakując tym również samego siebie: - Kivrin też miała na sobie niebieską suknię, kiedy...

Kiedy dokonała przeskoku, kiedy leżała na podłodze laboratorium, zupełnie bezbronna, zasłaniając oczy ramieniem, kiedy zniknęła na zawsze w tym koszmarze.

Nawet nie zauważył, że minęli zwłoki i znaleźli się przy szopie. Colin pchnął obiema rękami ciężkie wrota, po czym ostrożnie wprowadził go do środka. Koń zerknął na nich obojętnie, ale nie uznał za stosowne wyjąć pyska z worka wypełnionego owsem.

- Nigdzie nie mogłem znaleźć siana, więc dałem mu jakieś ziarno - powiedział Colin. - Konie chyba jadają ziarno, prawda?

- Owszem. - Dunworthy z westchnieniem ulgi przysiadł na koślawym stole wepchniętym w kąt szopy. - Tylko nie pozwól mu zjeść wszystkiego, bo pęknie.

Chłopiec natychmiast chwycił worek i zaczął ciągnąć go po klepisku.

- Dlaczego myślał pan, że to Kivrin?

- Zobaczyłem niebieską suknię. Taki sam kolor miała suknia Kivrin.

Worek okazał się tak ciężki, że Colin musiał chwycić go obiema rękami, a i tak nie był w stanie utrzymać go prosto, toteż sporo ziarna wysypało się na ziemię.

- Ale przecież ci ludzie umarli na zarazę, prawda? Kivrin została zaszczepiona, więc nie mogła zachorować, a skoro tak, to i nie mogła umrzeć. Chyba, żeby umarła na coś innego, ale na co?

Choćby ze zgrzyoty, pomyślał Dunworthy. Choćby z rozpacz i poczucia bezsilności, jakie musi ogarnąć każdego, kto patrzy, jak umierają dzieci, kobiety i starcy, jak martwe ciała wrzuca się do płytkich, zbiorowych mogił albo zostawia na pastwę losu, bo nie ma komu zająć się pochówkiem. Czy mogła to przeżyć?

Colin wreszcie zdołał odciągnąć worek poza zasięg końskiego pyska, oparł go o jakąś szkatułę, po czym, łapiąc ciężko powietrze, stanął przed Dunworthym.

- Na pewno nie ma pan nawrotu?

- Na pewno - odparł, mimo iż z każdą chwilą robiło mu się coraz zimniej, a jego ciałem zaczęły wstrząsać niepokojące dreszcze.

- Może po prostu zmęczzył się pan - powiedział chłopiec. - Proszę siedzieć i odpoczywać. Zaraz wracam.

Wybiegł, zamykając za sobą drzwi.

Koń pracowicie zbierał z klepiska pojedyncze ziarenka, sięgając łbem tak daleko, jak pozwalały mu luźno związane wodze. Dunworthy powoli dźwignął się na nogi, po czym, trzymając się poprzecznej belki, podszedł do szkatułki, o którą Colin oparł worek. Mosiężne okucia pokrywała patyna czasu, a skóra, którą obito wieko, przetarła się miejscami, lecz poza tym szkatułka była w znakomitym stanie.

Usiadł obok niej, odpoczął nieco, a następnie podniósł wieko. Kiedyś służyła zapewne jakiejś damie, ale jej obecny - a raczej dawny - właściciel przechowywał w niej narzędzia, rzemienie oraz konopne sznury.

Wrócił Colin z drewnianym wiadrem.

- Przyniosłem panu trochę wody ze strumienia - oznajmił. Postawił wiadro na ziemi i wydobył z kieszeni szklaną fiolkę. - Mam tylko dziesięć aspiryn, więc lepiej niech się pan nie rozchoruje. Podwędziłem je panu Finchowi. - Wytrząsnął na dłoń dwie pastylki. - Ukradłem też trochę syntamycyny, ale pomyślałem sobie, że jej jeszcze nie wynaleziono. Chyba mieli już aspirynę, prawda? - Podał tabletki Dunworthy'emu a następnie przysunął wiadro. - Musi pan nabrać jej ręką. Woląłem nie dotykać naczyń, bo na pewno roi się tam od zarazków i takich różnych.

Dunworthy przełknął aspirynę i popił ją dwoma łykami wody.

- Posłuchaj, Colin...

Chłopiec nie pozwolił mu dojść do słowa.

- Coś mi się wydaje, że trafiliśmy nie do tej wsi, co trzeba - oświadczył, podstawiając wiadro wierzchowcowi. - Byłem w kościele. Nie ma tam żadnego grobowca rycerza, tylko grób jakiejś kobiety. - Wyjął z kieszeni mapę i lokalizator. - Jesteśmy za daleko na wschód, chyba gdzieś tutaj. - Wskazał jeden z punktów zaznaczonych na mapce Montoi. - Gdybyśmy wrócili do głównej drogi i cofnęli się na zachód...

- Wracamy do miejsca przeskoku - przerwał mu Dunworthy, po czym z wysiłkiem dźwignął się na nogi, nie dotykając jednak ani ściany, ani szkatuły.

- Dlaczego? Przecież Badri powiedział, że mamy co najmniej jeden dzień na poszukiwania, a sprawdziliśmy dopiero w jednej wiosce! Takich wsi jest tu całe mnóstwo! Kivrin może być w każdej z nich!

Dunworthy odwiązał już wierzchowca.

- Jeśli pan chce, wezmę konia i pojedę po nią. Nauczyłem się już jeździć, więc na pewno szybko obrócę i powiem panu, gdzie ją znalazłem... Albo rozdzielimy się i każdy sprawdzi w połowie wsi, a ten, kto pierwszy ją znajdzie, da jakiś sygnał, na przykład rozpali wielki ogień, a wtedy ten drugi...

- Colin, ona nie żyje. Nigdy jej nie znajdziemy.

- Niech pan tak nie mówi! - wykrzyknął chłopiec wysokim, dziecinnym głosem. - To nieprawda! Nie mogła umrzeć! Przecież została zaszczepiona!

Dunworthy wskazał ruchem głowy szkatułę wypełnioną narzędziami.

- To jeden z kufrów, które zabrała ze sobą.

- I co z tego? Takich kufrów były przecież setki, może tysiące! A nawet jeśli ten był jej, to skąd pan wie, że nie uciekła przed zarazą? Przecież nie możemy tak po prostu wrócić i zostawić ją samą! A gdybym to ja zgubił się i czekał, aż ktoś po mnie przyjdzie?

Po policzkach spłynęły mu dwie wielkie łzy.

- Czasem starasz się jak możesz, a jednak okazuje się, że nic nie jesteś w stanie zrobić i ci, których kochasz, muszą odejść.

- Wiem. - Chłopiec otarł twarz rękawem. - Jak babcia Mary. Ale tylko czasem, nie zawsze.

Zawsze, pomyślał Dunworthy.

- Masz rację - powiedział. - Tylko czasem.

- A czasem można ich uratować.

- W porządku. - Ponownie uwiązał konia. - Będziemy jej szukać. Daj mi jeszcze dwie aspiryny, pozwól mi trochę odsapnąć, a potem wyruszymy na poszukiwania.

- Ale wdechowo! - Colin chwycił wiadro, nie zważając na to, że koń właśnie zamierzał się napić. - Przyniosę jeszcze trochę wody.

Wybiegł z szopy, Dunworthy zaś usiadł na klepisku i oparł się plecami o ścianę.

- Oddaj nam ją - wyszeptał. - Proszę, pozwól nam ją odnaleźć.

Drzwi otworzyły się powoli i na tle szarego nieba pojawiła się w nich sylwetka chłopca.

- Słyszysz pan?

Dźwięk docierał z daleka, a w dodatku zatrzymywały go ściany szopy, lecz po kilkunastu sekundach nasłuchiwania Dunworthy nie miał żadnych wątpliwości, że to słabe, nierówne bicie dzwonu.

Wstał i wyszedł na zewnątrz.

- To chyba gdzieś tam - powiedział Colin, wskazując na południowy zachód.

- Wyprowadź konia.

- Naprawdę myśli pan, że to ona? Powinna być bardziej na północ...

- To Kivrin - powiedział Dunworthy.

35.

Dzwon umilkł, zanim zdolali ponownie osiodłać wierzchowca.

- Pospiesz się! - syknął Dunworthy, zapinając popręg.

- Proszę się nie obawiać. - Colin spojrzał na mapę. - Zdążyłem go zlokalizować. Jest na południowy zachód od nas, prawda? A my jesteśmy tutaj, w Henefelde. - Podsunął mu mapę pod nos i wskazywał kolejne miejsca. - A więc musimy dostać się do tej wioski, o, tutaj.

Dunworthy wcale nie był tego taki pewien. Nie pamiętał już, z którego właściwie kierunku dobiegał dźwięk dzwonu, choć bez najmniejszego trudu mógł sobie przypomnieć jego brzmienie. Czuł się fatalnie. Żeby ta aspiryna zaczęła wreszcie działać!

Colin chwycił konia za cugle i wyprowadził na zewnątrz.

- Proszę wsiadać - powiedział. - Szkoda czasu.

Usadowienie się na końskim grzbiecie sprawiło Dunworthy'emu sporo kłopotów, a kiedy wreszcie się tam znalazł, zakręciło mu się w głowie i niewiele brakowało, by runął na ziemię. Chłopiec zmierzył go krytycznym spojrzeniem, po czym oświadczył:

- Chyba będzie lepiej, jeśli ja poprowadzę...

Bez trudu wskoczył na wierzchowca i zajął miejsce przed Dunworthym. Co prawda szturchnięcie piętami, które zaaplikował zwierzęciu, było stanowczo za słabe, natomiast szarpnięcie wodzami za mocne, koń jednak, o dziwo, potulnie ruszył we właściwym kierunku.

- Wiemy, gdzie jest tamta wieś, więc musimy tylko znaleźć drogę, która do niej prowadzi - stwierdził Colin z godną pozazdroszczenia pewnością siebie.

Zaledwie kilka minut później stwierdził, że już ją znalazł. Stosunkowo szeroka ścieżka prowadziła w dół zbocza i nikła między młodymi sosnami. Niestety, bardzo szybko dotarli do rozwidlenia. Colin zerknął niepewnie na Dunworthy'ego, ale koń nie miał żadnych wątpliwości: bez wahania skręcił w prawą odnogę.

Chłopiec był zachwycony.

- Widzi pan? On zna drogę!

Cieszę się, że można to powiedzieć przynajmniej o jednym z nas, pomyślał Dunworthy. Miał tak silne zawroty głowy, że aż musiał zamknąć oczy. Koń przypuszczalnie wracał do domu, co oznaczało, że już wkrótce mogli znaleźć się zupełnie nie tam, gdzie chcieli. Zdawał sobie sprawę, iż powinien ostrzec chłopca, ale czuł się tak marnie, że bał się nawet odezwać. Całą uwagę skupił na tym, by mocno trzymać się Colina. Gdyby choć na chwilę zwolnił uchwyt, z pewnością zwałiby się w śnieg i nie wiadomo, czy zdołałby się podnieść. Było mu przeraźliwie zimno, a do zawrotów głowy dołączył pulsujący ból. Najprawdopodobniej miał wysoką gorączkę; to dobrze, bo przecież gorączka świadczy o tym, że organizm zmobilizował siły do obrony przed wirusem. Gdyby nie to okropne zimno...

- Kurczę, ależ tu zimno! - powiedział Colin, otulając się szczelniej kubrakiem. - Mam nadzieję, że nie zacznie padać.

Wypuścił wodze z rąk i starannie owinął sobie szyję szalikiem, naciągając go aż po nos. Koń jakby nigdy nic podążał ścieżką przez coraz gęstszy las. Minęli jeszcze kilka rozwidleń; przy każdym Colin konsultował się z lokalizatorem i mapą, ale i tak nie miało to większego znaczenia, ponieważ wierzchowiec bez wahania wybierał drogę, nie dając mu czasu na zastanowienie.

W powietrzu zatańczyło kilka białych płatków, chwilę potem zaś rozpadało się na dobre. Gęsty, drobny śnieg zasypywał ścieżkę i topił się na szklach Dunworthy'ego, tak że ten musiał je bez przerwy wycierać, żeby cokolwiek widzieć.

Wreszcie zaczął odczuwać działanie aspiryny. Wyprostował się na siodle, poprawił płaszcz, po raz kolejny wytarł okulary. Palce miał czerwone i sztywne z zimna. Przez chwilę energicznie rozcierał ręce, chuchając w nie, by przywrócić krążenie. Wciąż znajdowali się w środku lasu, ścieżka zaś stopniowo stawała się coraz węższa.

- Według mapy z Henefelde do Skendgate jest pięć kilometrów - poinformował go Colin. - Przejechaliśmy już co najmniej cztery, więc niedługo powinniśmy dotrzeć na miejsce.

Na razie nic nie wskazywało na to, by w dającej się przewidzieć przyszłości mieli dokądkolwiek dotrzeć. Dokoła rozciągała się dziewicza puszcza, szlak zaś, którym się posuwali, przypuszczalnie był dróżką wydeptaną przez jelenie albo inną zwierzynę.

- A nie mówiłem? - wykrzyknął triumfalnie Colin. Istotnie, za zasłoną bezlistnych drzew pojawiła się wieża kościoła. Wierzchowiec chyba również zorientował się, że jest już blisko ludzkich siedzib, ponieważ niespodziewanie przeszedł ze stępa do cwału. - Stój! - zawołał chłopiec, ciągnąc za wodze. - Zaczekaj!

Dunworthy przejął od Colina kierowanie rumakiem, zmusił go do zwolnienia kroku, zaraz potem las skończył się, a po następnych kilku chwilach stanęli na szczycie łagodnego wzniesienia.

Gdyby nie padający śnieg, mieliby wspaniały widok na wioskę, ale i tak mogli dostrzec ciemne bryły zabudowań: dworu, chat, kościoła, dzwonnicy. Z pewnością nie było to Skendgate (Montoya nie znalazła niczego, co można by uznać za pozostałości dzwonnicy), lecz nawet jeśli Colin zdawał sobie z tego sprawę, to nie odezwał się ani słowem. Szturchnął konia piętami, a ten zaczął powoli schodzić ze wzgórza.

Na razie nie zauważyli ciał, ale nigdzie nie było widać także żywych ludzi, nad dachami nie unosił się dym, do drzwi dzwonnicy nie prowadziły żadne ślady.

- Chyba coś zauważyłem - powiedział Colin, kiedy byli w połowie wzgórza.

Dunworthy także to zobaczył: jakieś poruszenie, ale przecież mógł to być ptak zrywający się do lotu albo gałąź, która wystrzeliła w górę, uwolniwszy się spod ciężaru śniegu.

- Tam!

Zza jednej z chałup wyłoniła się wychudzona krowa. Poruszała się powoli, jakby brakowało jej sił, wymi-
ona miała wypełnione mlekiem. Nie ulegało wątpliwości, że zaraza dotarła i tutaj.

- To tylko krowa! - stwierdził chłopiec z rozczarowaniem.

Usłyszawszy jego głos, zwierzę podniosło łeb, zaryczało żałośnie i ruszyło w ich kierunku.

- Gdzie są wszyscy? - zastanawiał się Colin. - Przecież ktoś uderzał w dzwon!

Nie żyją, pomyślał Dunworthy, spoglądając na liczne, niektóre prawie nie przykryte śniegiem, groby. Mam nadzieję, że wszyscy zostali pochowani na cmentarzu. Ona też.

Chwilę potem dostrzegł pierwsze zwłoki. Krótko ostrzyżony chłopiec, ubrany w nędzne portki, zgrzebną koszulę i kaftan, siedział oparty plecami o jeden z grobów, jakby odpoczywał.

- Niech pan patrzy, tam ktoś jest! - szepnął z podnieceniem Colin, po czym zamachał ręką. - Halo! - Obejrzał się na Dunworthy'ego. - Myśli pan, że rozumieją, co do nich mówimy?

- On nie... - zaczął Dunworthy, lecz nie dokończył, ponieważ domniemany trup dźwignął się z wysiłkiem na nogi, rozglądając się dokoła jakby w poszukiwaniu broni.

- Nie obawiaj się, nie zrobimy ci nic złego - powiedział łagodnie, zastanawiając się jednocześnie, jak byłoby to po staroangielsku, po czym zsunął się z końskiego grzbietu, ale musiał przytrzymać się łęku siodła, bo natychmiast zakręciło mu się w głowie. Dopiero po dłuższej chwili poczuł się na tyle pewnie, by wyciągnąć przed siebie ręce w geście świadczącym (taką przynajmniej miał nadzieję) o pokojowych zamiarach.

Przeraźliwie brudna twarz chłopca była pokryta zaschniętą krwią, zakrwawiony też był cały kaftan i górna część spodni. Schylił się, chwycił prawą ręką za bok, jakby coś zabolalo, podniósł z ziemi ukryty częściowo pod śniegiem kij, a następnie, wciąż zgięty w pół, postąpił krok naprzód, by zagrozić im drogę.

- *Kepe from haire. Derfevreblau hast bifallen us.*

- Kivrin! - wykrzyknął Dunworthy i ruszył w jej stronę.

- Nie zbliżajcie się - powiedziała po angielsku.

Wystawiła kij, jakby to był karabin z bagnetem.

- To ja, Dunworthy!

- Nie! - Cofała się powoli, wciąż mierząc w niego kijem. Przyjrząwszy się bliżej, stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że to trzonek złamanej drewnianej łopaty. - Nic nie rozumiecie. To zaraza!

- Wiem. Nie musisz się obawiać. Zostaliśmy zaszczepieni.

- Zaszczepieni? - powtórzyła takim tonem, jakby usłyszała to słowo po raz pierwszy w życiu. - Wszystko przez wysłannika biskupa i jego ludzi. Przywlekli ze sobą Czarną Śmierć.

Zamierzyła się trzonkiem na Colina, który podbiegł do Dunworthy'ego.

- Nie obawiaj się, to przyjaciel. Ma na imię Colin. On też został zaszczepiony. Przyszliśmy, żeby zabrać cię do domu.

Wpatrywała się w niego co najmniej przez minutę.

- Do domu - powiedziała wreszcie głosem pozbawionym wyrazu, po czym spojrzała na mogiłę, przy której stała, znacznie mniejszą i węższą od sąsiednich.

Po kolejnej minucie podniosła wzrok na Dunworthy'ego, lecz jej twarz wciąż przypominała nieruchomą maskę. Za późno, przemknęła mu przez głowę rozpaczliwa myśl. Zjawiłem się za późno. Oni już ją ukrzyżowali.

- Kivrin... - wyszeptał bezradnie.

Trzonek wysunął się jej z rąk.

- Musicie mi pomóc - powiedziała, a następnie odwróciła się i ruszyła w stronę kościoła.

- Jest pan pewien, że to ona? - zapytał szeptem Colin.

- Tak.

- Co jej się stało?

Spóźniłem się, kołatała mu po głowie wciąż ta sama myśl. Musiał oprzeć się na ramieniu chłopca, bo ponownie zakręciło mu się w głowie. Nigdy mi tego nie wybaczy.

- O rety! - przestraszył się chłopiec. - Coś z panem nie tak?

- Wszystko w porządku - odparł, ale minęło trochę czasu, zanim odważył się stanąć o własnych siłach.

Kivrin zatrzymała się przed drzwiami kościoła i ponownie przycisnęła rękę do boku. Dunworthy poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie. Zaraziła się, pomyślał. To dzuma.

- Jesteś chora? - zapytał.

- Nie. - Spojrzała na rękę, jakby spodziewała się ujrzeć na niej krew. - Kopnął mnie. - Spróbowała pchnąć ciężkie drzwi, ale skrzywiła się z bólu i cofnęła o krok, robiąc miejsce Colinowi. - Chyba złamał mi kilka żeber.

Weszli do kościoła. Dunworthy mrugał rozpaczliwie, starając się dojrzeć cokolwiek w niemal całkowitej ciemności. Przez wąskie witrażowe okna przedostawało się tak mało światła, że równie dobrze mogło go wcale nie być. W głębi świątyni, po lewej stronie, leżał jakiś czarny, podłużny kształt (ciało?), po obu stronach głównej nawy stały solidne filary, ale poza tym niczego nie dało się zobaczyć.

Daleko z przodu, chyba przy ołtarzu, przez chwilę zamigotał płomień świecy, po czym zgasł. Dunworthy niezdecydowanie skierował się w tamtą stronę.

- Chwileczkę - powstrzymał go Colin i włączył kieszonkową latarkę.

Wyglądało to tak, jakby snop światła wrzynał się w jakąś smolistą substancję, rozpraszając ją na boki, przez co wszędzie tam, gdzie nie docierał, stawała się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Chłopiec zatoczył latarką szeroki krąg, wydobywając z mroku solidne filary, pokryte malowidłami ściany, nierówną posadzkę. Ciemny kształt, który w pierwszej chwili wzięli za czyjeś zwłoki, okazał się kamiennym grobowcem.

- Ona jest tam - powiedział Dunworthy, wskazując w kierunku ołtarza i chłopiec posłusznie poświecił w tamtą stronę.

Kivrin klęczała przy człowieku leżącym tuż przed tęczą. Kiedy podeszli bliżej, przekonali się, że to mężczyzna. Dolną połowę ciała miał przykrytą szkarłatnym płaszczem, potężne ręce skrzyżował na piersi. Kivrin usiłowała zapalić świecę od dymiącego oliwnego kaganka, ale ze świecy został właściwie tylko ogałek, który gasł natychmiast, jak tylko odsunęła płomień lampki. Dziewczyna uśmiechnęła się z wdzięcznością, kiedy Colin poświecił latarką.

- Musicie mi pomóc - powiedziała, mrużąc oczy, po czym położyła dłoń na ręce mężczyzny.

Wydaje jej się, że on jeszcze żyje, pomyślał Dunworthy, ale właśnie wtedy Kivrin dodała spokojnym, rzeczowym tonem:

- Umarł dziś rano.

Colin skierował snop światła na zwłoki. W jaskrawym blasku nieruchome ręce miały taki sam kolor jak płaszcz, ale twarz mężczyzny była biała i spokojna.

- Czy to rycerz? - zapytał chłopiec.

- Nie - odparła Kivrin. - Święty.

Pogładziła go po ręce brudną, pokrytą odciskami, pokaleczoną dłonią o połamanych paznokciach. - Musicie mi pomóc - powtórzyła.

- W czym? - zdziwił się Colin.

Pochować go, odpowiedział w myślach Dunworthy, zdając sobie doskonale sprawę, że to niemożliwe. Martwy mężczyzna, nie dość, że wysoki, był także potężnie zbudowany. Za życia z pewnością górował nad Kivrin co najmniej o dwie głowy. Nawet gdyby zdołali wykopać grób w zmarzniętej ziemi, z pewnością, nawet we trójkę, nie zdołaliby go tam zanieść, a raczej nie należało przypuszczać, by Kivrin zgodziła się zawiązać mu sznur dokoła szyi i powlec po śniegu.

- Jak mamy ci pomóc? - zapytał ponownie Colin. - Musimy się pospieszyć, bo nie mamy wiele czasu.

W ogóle nie mieli czasu. Było już późne popołudnie, po zapadnięciu ciemności zaś na pewno nie udałoby im się znaleźć drogi w gęstym lesie. Poza tym, nikt nie mógł zaręczyć, jak długo Badri zdoła wytrwać przy konsolocie. Co prawda obiecał, że będzie otwierał sieć co dwie godziny co najmniej przez dobę, ale wyglądał fatalnie, jakby lada chwila miał zemdleć, a minęło już osiem godzin. Do tego była zima, śnieg wciąż sypał, Kivrin miała połamane żebra, a aspiryna przestawała działać. Dunworthy czuł, jak z każdą chwilą robi mu się coraz zimniej.

Nie zdołamy go pochować, pomyślał, patrząc na dziewczynę klęczącą przy zwłokach. Jak mam jej o tym powiedzieć, skoro czekała na mnie, liczyła na moją pomoc, a ja zjawiłem się za późno?

- Kivrin...

Ponownie pogładziła nieruchomą rękę.

- Chyba nie damy rady go pochować - powiedziała zupełnie spokojnym głosem. - Musieliśmy złożyć Rosemundę w jego grobie, bo rządcą... - Wzruszyła bezradnie ramionami i spojrzała na Dunworthy'ego. - Chciałam wykopać mu grób, ale ziemia jest za twarda. Złamałam łopatę. Odmówiłam modlitwę za zmarłych i próbowałam zadzwonić.

Colin skinął głową, choć z pewnością nie mogła tego dostrzec, oślepiąca blaskiem latarki.

- Usłyszeliśmy cię. Właśnie dzięki temu tu trafiliśmy.

- Powinno być dziewięć uderzeń, ale nie dałam rady. - Na chwilę przyłożyła rękę do boku i skrzywiła się na wspomnienie bólu. - Musicie dokończyć za mnie.

- Po co? - zdziwił się Colin. - Tu już chyba nie ma nikogo, kto mógłby to usłyszeć.

- Tak trzeba - powiedziała, w dalszym ciągu wpatrując się w Dunworthy'ego.

- Ale nam się naprawdę spieszy! Robi się ciemno, do miejsca przeskoku jest kawał drogi i...

- Ja to zrobię - przerwał mu Dunworthy. - Zostań tu, Kivrin - polecił, chociaż nic nie świadczyło o tym, by dziewczyna zamierzała podnieść się z klęczek. - Zadzwonię dziewięć razy.

Odwrócił się i poszedł ku drzwiom.

- Co pan wyrabia? - zapytał zdesperowany Colin, biegnąc za nim. Plama światła rzucanego przez latarkę tańczyła po ścianach, filarach i podłodze. - Przecież sam pan powiedział, że nie wiadomo jak długo będzie otwarta sieć i że powinniśmy... Niech pan na mnie zaczeka!

Dunworthy otworzył drzwi i odruchowo zmrużył oczy, by nie zostać oślepionym przez blask bijący od śniegu, ale na dworze panowała już przedwieczorna szarówka. Szybkim krokiem ruszył przez cmentarz w

kierunku dzwonnicy. Krowa, którą dostrzegli zjeżdżając ze wzgórza, wsadziła łeb przez bramę, a ujrawszy ludzi, podążyła ku nim, brnąc w śniegu zalegającym wąskie przejścia między grobami.

- Po co dzwonić, skoro i tak nikt tego nie usłyszy?

Colin przystanął na chwilę, wyłączył latarkę, wsadził ją do kieszeni, po czym dogonił go kilkoma susami.

Weszli do dzwonnicy. Było tam równie zimno i ciemno jak w kościele, a w dodatku śmierdziało szczurami. Krowa także wsadziła łeb do środka, ale drzwi okazały się dla niej za wąskie.

- Najpierw powtarza pan bez przerwy, że musimy prędko wracać, bo nie wiadomo jak długo będzie otwarta sieć, a potem traci pan czas na jakieś głupstwa! - stwierdził chłopiec z wyrzutem. - Musiałem pana namawiać, żebyśmy tu przyjechali, tak bardzo spieszyło się panu z powrotem!

Dunworthy oddychał ciężko, czekając, aż serce przestanie mu bić jak szalone i ustąpi ucisk żelaznej obręczy wokół klatki piersiowej. Za dużo wysiłku, za dużo przeżyć. Podniósł wzrok na gruby konopny sznur z węzłem zawiązanym jakieś trzydzieści centymetrów od końca.

- Mogę pociągnąć? - zapytał Colin.

- Jesteś za mały.

- Wcale nie!

Odbił się z obu nóg i zdołał chwycić sznur tuż poniżej węzła. Wisiał kilka sekund, zanim wypuścił go z rąk i wylądował z łoskotem na ziemi. Sznur lekko się poruszył, dzwon zaś wydał ledwo słyszalny dźwięk, jakby ktoś rzucił w niego kamykiem.

- Ciężki jest! - stwierdził chłopiec z podziwem.

Dunworthy odetchnął głęboko kilka razy, po czym chwycił za sznur. Był szorstki i przeraźliwie zimny. Pociągnął z całej siły, daleki od pewności, czy zdoła osiągnąć dużo więcej niż Colin.

Bummmmm!...

- Ale głośno! - wykrzyknął zachwycony chłopak, zakrywając uszy rękami i zadzierając głowę.

- Raz - powiedział Dunworthy.

W dół i w górę. Przypomniawszy sobie Fincha ćwiczącego z Amerykankami, niemal wyprostował ramiona, a kiedy poczuł, że lina opada, pociągnął ponownie, przyklękając jednocześnie na jedno kolano.

Dwa.

Znowu w górę i w dół.

Trzy.

Jak to możliwe, że Kivrin, z połamanymi żebrami, zdołała go w ogóle poruszyć? Dzwon był znacznie cięższy i miał dużo donośniejszy głos, niż należało oczekiwać. Każde uderzenie wypełniało mu czaszkę, zdawało się rozsadzać od środka obolałą klatkę piersiową.

Bummmmm!...

Pomyślał o panie Piantini, zginającej rytmicznie chude kolana i odliczającej półgłosem. Nie przypuszczał, że to taka ciężka praca. Po każdym pociągnięciu wydawało mu się, iż nie zdoła nabrać powietrza w płuca.

Sześć.

Marzył o tym, aby przestać choć na chwilę i odpocząć, ale nie chciał, by Kivrin pomyślała, że zrezygnował, że tym razem także ją zawiódł. Zaciśnął mocniej palce na konopnym sznurze i na kilka sekund oparł się plecami o kamienną ścianę, czekając, aż znowu będzie mógł złapać oddech.

- Dobrze pan się czuje? - zapytał Colin.

- Tak.

Pociągnął tak mocno, jakby chciał wyrwać sobie płuca.

Siedem.

Nie powinien opierać się o ścianę. Kamienie były zimne jak lód. Chwyciły go dreszcze. Pomyślał o panie Taylor, usiłującej za wszelką cenę dokończyć Mszę Chicagowską, liczącą kolejne uderzenia, starającą się wygrać nierówną walkę z osłabionym organizmem.

- Może ja dokończę? - zaproponował Colin. Dunworthy słyszał go jak przez grubą warstwę waty. - Albo pobiegnę po Kivrin i zrobimy to razem. Na pewno damy sobie radę.

Dunworthy pokręcił głową.

- Dzwonnik nie powinien na krok odstępować swego instrumentu - wymamrotał i ponownie szarpnął za sznur.

Osiem.

Nie wolno mu przerwać. Panna Taylor zemdląła, wypuściła linę, a ta owinęła się Finchowi dokoła szyi i niewiele brakowało, by go udusiła. Trzeba wytrwać do końca, bez względu na okoliczności.

Pociągnął jeszcze raz, najmocniej jak potrafił. Gdyby nie lina, która poderwała go w górę, chyba nie zdołałby się wyprostować.

- Dziewięć - powiedział.

Colin przyglądał mu się ze zmarszczonymi brwiami.

- Chyba nie ma pan nawrotu albo czegoś w tym rodzaju? - zapytał podejrzliwie.

- Nie - odparł i wypuścił linę z rąk.

Krowa wciąż stała w drzwiach, ani myśląc ustąpić z drogi. Odepchnęli ją wspólnymi siłami, po czym wrócili do kościoła.

Zastali Kivrin w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawili: na kolanach, z dłonią spoczywającą na ręce martwego mężczyzny.

- Zadzwoń, tak jak chciałaś - powiedział Dunworthy.

Podniosła na niego wzrok, ale nawet nie skinęła głową.

- Nie uważa pan, że powinniśmy już iść? - odezwał się Colin. - Robi się ciemno.

- To prawda. Moim zdaniem...

Niespodziewanie tak bardzo zakręciło mu się w głowie, że zatoczył się i niewiele brakowało, by runął na zwłoki. Kivrin wyciągnęła rękę, by go podtrzymać, Colin zaś chwycił go pod ramię. Snop światła rzucany przez latarkę zatańczył dziko w ciemności. Dunworthy w ostatniej chwili zdołał przykłęknąć i podeprzeć się ręką; kiedy sprzed oczu ustąpiły mu czarne i czerwone plamy, spojrzał na Kivrin, lecz dziewczyna zdążyła już cofnąć rękę, zerwać się na nogi i odsunąć o metr lub dwa w kierunku ołtarza.

- Jesteś chory! - stwierdziła oskarżycielskim tonem. - Zaraziłeś się dżumą, prawda? - W jej głosie po raz pierwszy pojawiły się emocje. - To zaraza!

- Wcale nie - zaprotestował słabo. - Ja tylko...

- To nawrót grypy - wyjaśnił Colin rzeczowym tonem, po czym umieścił latarkę w zagięciu ramienia posągu i pomógł Dunworthy'emu usiąść na podłodze. - Nie czytał plakatów, które rozwieszałem.

- Jestem chory, ale nie na dżumę - powiedział Dunworthy, opierając się plecami o kamienną figurę. - Obaj dostaliśmy streptomycynę i gammaglobulinę. Na pewno się nie zarazimy. - Odchylił głowę do tyłu. - To zwykły wirus. Wszystko będzie w porządku. Muszę tylko trochę odpocząć.

- Mówiłem mu, żeby zostawił w spokoju ten dzwon - stwierdził Colin z goryczą.

- Zostało nam jeszcze trochę aspiryny?

- Tak, ale nie powinien pan brać jej częściej niż co trzy godziny i trzeba popijać ją wodą.

- Więc przynieś mi wody!

Chłopiec zerknął na Kivrin, szukając w niej oparcia, ale ona wciąż stała po drugiej stronie zwłok, przyglądając się nieufnie Dunworthy'emu.

- Pospiesz się!

Colin popędził do drzwi. Kiedy ucichło echo jego kroków, Dunworthy spojrzał na dziewczynę.

Cofnęła się jeszcze o krok.

- Nie bój się - przemówił najłagodniej jak potrafił. - To nie zaraza, tylko wirus. Obawialiśmy się, że ty też miałaś z nim kontakt przed przeskokiem. Chorowałaś?

- Tak. - Ponownie uklękła przy zwłokach. - Ojciec Roche ocalił mi życie.

Wyglądziła szkarłatny płaszcz. Dunworthy dopiero teraz dostrzegł, że płaszcz został uszyty z kosztownego ałtasu oraz że zdobi go duży jedwabny krzyż.

- Powiedział mi, żebym się nie bała - dodała dziewczyna.

Troskliwie podciągnęła płaszcz wyżej, jakby obawiała się, że martwemu mężczyźnie może być zimno, ale płaszcz okazał się za krótki i spod jego obszytego futrem skraju wyłoniły się stopy w drewnianych, topornych sandałach. Dunworthy pochylił się, zakrył je, po czym, trzymając się posągu, ostrożnie dźwignął się na nogi.

Kivrin musnęła dłonią policzek ojca Roche'a.

- Nie chciał zrobić mi krzywdy. Kopnął mnie dlatego, że sprawiłam mu ból.

Wrócił Colin z wiadrem wypełnionym do połowy wodą. Sądząc po jej kolorze, nabrał ją rozłupawszy warstwę lodu na jakiejś kałuży.

- Ta przekłeta krowa chciała mnie strącić! - oświadczył drżącym z emocji głosem, po czym wyjął z wiadra przeraźliwie brudny czerpak, nabrał wody i wytrząsnął Dunworthy'emu na rękę całą zawartość fiołki: pięć tabletek.

Dunworthy połknął dwie z nich, wypił tylko tyle wody, żeby się nie udławić, pozostałe zaś podał dziewczynie. Włożyła je do ust klęcząc na podłodze, jakby przyjmowała komunię.

- Nie znalazłem koni, tylko jakiegoś krasnalowatego muła - powiedział Colin.

Zanurzył czerpak w wodzie i podał go dziewczynie.

- To osioł - poprawiła go Kivrin. - Maisry zabrała kucyka Agnes. - Oddała chłopcu czerpak, po czym znowu ujęła ojca Roche'a za rękę. - Dzwonił po każdym pogrzebie, żeby wszyscy dotarli bezpiecznie do nieba.

- Proszę pana! - szepnął Colin. - Naprawdę musimy ruszać. Już jest prawie całkiem ciemno!

- Zadzwoń też dla Rosemundy - ciągnęła - chociaż był już wtedy bardzo chory. Mówiłam mu, że nie mamy czasu, że musimy uciekać do Szkocji.

- My też musimy już iść - powiedział Dunworthy. - Zanim zapadnie noc.

Chyba go nie słyszała.

- Trzymał mnie za rękę, kiedy leżałam umierająca.

- Kivrin...

Dotknęła dłonią policzka ojca Roche'a, przez kilka sekund przyglądała się w milczeniu nieruchomej twarzy, po czym z wysiłkiem podniosła się z podłogi. Dunworthy podał jej rękę, ale nie skorzystała z pomocy. Przycisnęła dłoń do prawego boku i powoli ruszyła w kierunku wyjścia.

Przy samych drzwiach zatrzymała się i odwróciła w stronę ołtarza.

- Przed śmiercią powiedział mi, gdzie jest miejsce przeskoku, żebym mogła wrócić do nieba. Chciał, żebym czekała tam na niego, kiedy umrze.

Wyszła w padający śnieg.

36.

Koń i osioł czekały cierpliwie przy bramie cmentarza. Dunworthy pomógł Kivrin dosiąść wierzchowca; tym razem nie zawahała się wesprzeć na jego ramieniu, ale kiedy tylko znalazła się w siodle, cofnęła rękę i chwyciła za wodze, drugą rękę zaś przycisnęła do boku i skrzywiła się z bólu.

Dunworthy trząsł się jak w ataku febry. Gdyby nie to, że z całej siły zacisnął zęby, z pewnością szczękałby nimi tak głośno, iż nie uszłoby to uwagi Colina. Dopiero za trzecim razem udało mu się wspiąć na grzbiet osiołka, a i tak obawiał się, że lada chwila runie w śnieg.

- Chyba będzie lepiej, jeśli poprowadzę pańskiego muła - powiedział chłopiec, przyglądając mu się z dezaprobatą. - To znaczy osła.

- Nie mamy czasu. Robi się ciemno. Siadaj razem z Kivrin.

Colin wyprowadził wierzchowca za bramę, po czym wgramolił się na koński grzbiet i zajął miejsce za dziewczyną.

- Masz lokalizator? - zapytał Dunworthy, starając się zmusić osła do ruszenia z miejsca, a jednocześnie nie spaść na ziemię.

- Znam drogę - powiedziała Kivrin.

- Jasne. - Chłopiec wyjął urządzenie z kieszeni. - I latarkę. - Poświecił w dół, jakby szukał jakiejś zguby, po czym skierował snop światła na groby. - To tutaj ich wszystkich grzebaliście?

- Tak.

- Dawno umarli?

- Nie - odparła lakonicznie, a następnie zawróciła konia i skierowała go w stronę szczytu wzniesienia.

Krowa towarzyszyła im mniej więcej do połowy zbrocza, ale wreszcie zrezygnowała, obrzuciła ich żalnym spojrzeniem, po czym zaczęła przeraźliwie ryczeć. Kiedy oddalili się na kilkanaście metrów, umilkła, przez chwilę stała bez ruchu, jakby zastanawiała się, co począć, następnie zaś odwróciła się i podążyła w dół, ku wymarłej wsi. Groby, nawet te najświeższe, całkowicie zniknęły pod białym przykryciem, kościół był ledwo widoczny, a dzwonnice zupełnie stracili z oczu - wszystko przysłonił im padający śnieg.

Kivrin nawet się nie obejrzała. Siedziała wyprostowana na końskim grzbiecie, wpatrując się prosto przed siebie. Śnieg sypał coraz słabiej: przez pewien czas w powietrzu wirowały jeszcze pojedyncze płatki, ale kiedy znaleźli się w lesie, one także zniknęły.

Osiółek podążał flegmatycznie za koniem. Dunworthy walczył z gorączką, starając się zachować przytomność umysłu i nie zsunąć się z grzbietu zwierzęcia. Tym razem aspiryna prawie nie podziałała. Odnosił wrażenie, iż od światła odgradza go coraz grubszy, deformujący kształty pęcherz, przez który głos Colina przedziera się jedynie z najwyższym trudem.

Chłopiec właśnie opowiadał Kivrin o epidemii w Oxfordzie; gdyby wierzyć jego słowom, była to wspaniała przygoda.

- Ogłosili, że jest kwarantanna i że wszyscy muszą wracać do Londynu, ale ja koniecznie chciałem odwiedzić babcię Mary, więc przekradłem się na drugą stronę bariery, ale strażnik zauważył mnie i zawołał: "Hej, chłopcze! Stój!" Pogonił za mną, ale ja uciekłem i skręciłem w boczną alejkę, a potem...

Koń przystanął na chwilę. Colin zdjął szalik i dał go dziewczynie, ona zaś podciągnęła zakrwawiony kaptan i owinęła sobie dolną część klatki piersiowej. Dunworthy domyślał się, że dziewczyna bardzo cierpi i zdawał sobie sprawę, że powinien jej jakoś pomóc, ale bał się, że jeśli zsiądzie z osła, już nie zdoła się na niego wdrapać.

Ruszyli ponownie, jeszcze wolniej niż do tej pory. Na każdym zakręcie i krzyżówce zatrzymywali się, by sprawdzić kierunek na lokalizatorze; Colin długo wpatrywał się w ekran i odczytywał wskazania, Kivrin zaś kiwała głową.

- To tutaj spadłam z osła - powiedziała, kiedy dotarli do pierwszego rozwidlenia. - Pierwszej nocy, zaraz po przeskoku. Byłam bardzo chora. Wzięłam ojca Roche'a za rzeźmieszka, który chce mnie obrabować.

Przy kolejnym rozwidleniu Colin musiał wydobyć latarkę i oświetlić ekran urządzenia. Nie padało już, ale szybko zapadał zmrok, a w dodatku całe niebo zasnęło się ciężkimi, ciemnymi chmurami. Po chwili wskazał ścieżkę biegnącą w prawo, a kiedy ponownie ruszyli w drogę, wrócił do swojej opowieści.

- Pan Dunworthy powiedział: "Zgubiliśmy ją!" i rzucił się na pana Gilchrista, i obaj upadli, ale na razie zachorował tylko pan Dunworthy, a pan Gilchrist nawet nie pozwolił mi go przykryć, chociaż trząsł się jak galareta, i powtarzał bez przerwy: "Osobiście odpowiada pan za wszystko, co się stało!"

Powiał wiatr przynosząc ze sobą kilka płatków śniegu. Dunworthy czuł się tak, jakby nie miał na sobie ubrania; drząc spazmatycznie skulił się najbardziej jak mógł i wtulił głowę w ramiona.

- Nie chcieli mi nic powiedzieć - mówił dalej Colin - a kiedy próbowałem wejść, żeby zobaczyć się z babcią Mary, wyrzucili mnie, bo podobno nie wpuszczają dzieci na oddział.

Po pierwszym powiewie wiatru przyszedł następny, a potem jeszcze jeden, syjąc im śniegiem w twarze. Dunworthy pochylił się do przodu tak bardzo, że prawie dotykał czołem karku osiołka.

- W końcu wyszedł jakiś lekarz i zaczął coś szeptać do pielęgniarki, a ja od razu domyśliłem się, że babcia umarła...

Dunworthy poczuł bolesne ułknięcie w sercu, jakby dopiero teraz dowiedział się o śmierci Mary.

- Nie miałem pojęcia co robić, więc siedziałem w korytarzu, aż wreszcie przyszła pani Gaddson - mówię ci, to straszna osoba! - i zaczęła mi czytać z Biblii o tym, że taka była wola Boga, czy coś w tym rodzaju. Ni-enawidzę jej! - stwierdził z gniewem. - Powinna zachorować pierwsza!

Do stłumionego, dobiegającego jakby z wielkiej odległości głosu chłopca dołączyły niezwykle echa. W końcu tak bardzo przybrały na sile, że prawie całkiem go zagłuszyły i Dunworthy pomyślał, iż na pewno słychać je nawet w Oxfordzie, siedemset lat stąd.

Zaraz potem nawiedziły go inne, nie mniej dziwne myśli: Mary wcale nie umarła. Tutaj, w XIV wieku, w stuleciu zasługującym na więcej niż dziesiątkę, jej śmierć jeszcze nie nastąpiła. Świadomość tego faktu spłynęła na jego udreżone serce niczym cudowny balsam.

- I właśnie wtedy usłyszeliśmy dzwon, a pan Dunworthy powiedział, że to na pewno ty wzywasz pomocy - zakończył relację Colin.

- Bo tak było - odparła Kivrin. - On chyba zaraz spadnie. Zatrzymali się ponownie, a kiedy Dunworthy otworzył oczy, zobaczył chłopca i dziewczynę stojących na ścieżce i przyglądających mu się z zatroskanymi minami. Kivrin trzymała osła za uzdę.

- Wsadzimy pana na konia - powiedziała. - W siodle będzie panu wygodniej.

Pomogli mu zsiąść z osła. Oparł się o dziewczynę w taki sposób, że na pewno sprawił jej ból, ale nie dała po sobie niczego poznać.

- Gdybym mógł usiąść choć na chwilę... - wyszeptał, szcękając zębami.

- Nie mamy czasu - odparł Colin, niemniej jednak zaprowadzili go na skraj ścieżki i posadzili na kamieniu.

Kivrin wyjęła spod kaftana trzy aspiryny.

- Niech pan to połknie - powiedziała, podając mu je na otwartej dłoni.

- Przecież one były dla ciebie. Twoje żebra...

Wpatrywała się w niego nieruchomym, poważnym spojrzeniem.

- Nic mi nie będzie.

Wróciła do konia, by uwiązać go do gałęzi.

- Chce pan wody? - zapytał Colin. - Mógłbym rozpaść ognisko i stopić trochę śniegu.

- Nie trzeba.

Połknął tabletki bez popijania.

Kivrin poprawiła siodło, wprawnymi ruchami zacisnęła mocniej popręg, po czym wróciła, by pomóc mu podnieść się z kamienia.

- Gotów? - zapytała, biorąc go pod ramię.

- Tak.

Spróbował wstać, ale nawet nie drgnął.

- To był błąd - stwierdził rzeczowo Colin. - Nie powinniśmy pozwolić mu usiąść. Teraz już go nie ruszymy.

Jednak zdołali to uczynić, a nawet wsadzili go na siodło. Ku swemu zdziwieniu poczuł się o tyle lepiej, że nawet podał rękę Colinowi i pomógł mu się wdrapać na grzbiet wierzchowca.

Dreszcze ustąpiły, lecz Dunworthy wcale nie był pewien, czy powinien się z tego cieszyć. Kiedy tylko ruszyli ponownie w drogę, pochylił głowę, oparł ją na ramieniu siedzącego przed nim chłopca i zamknął oczy. Kivrin jechała przodem na osiołku.

- Postanowiłem, że zaraz po szkole zacznę studia w Oxfordzie i zostanę historykiem jak ty - powiedział Colin. - Ale zdaje mi się, że bardziej niż Czarna Śmierć będą mnie interesowały wyprawy krzyżowe.

Słuchał gadaniny chłopca, lecz myślał o tym, że zapada zmrok, a oni są w roku 1348, w środku dziewiczego lasu, dwoje chorych i dzieciak, a inny chory, Badri, walczy z osłabieniem w XXI wieku, otwierając się co dwie godziny i czekając na ich powrót. Nie ogarnęła go jednak panika, ba, nawet nie czuł szczególnego niepokoju. Przecież Colin ma lokalizator, a Kivrin wie, gdzie jest miejsce przeskoku. Wszystko będzie w porządku.

Nawet gdyby nie zdołali wrócić, nawet gdyby zostali tu na zawsze, nawet gdyby Kivrin nigdy mu nie wybaczyła, nie stanie im się nic złego. Pojadą do Szkocji, gdzie zaraza nie dotarła, Colin wyciągnie z kieszeni wędkę i patelnię, i będą łowić w górskich potokach pstrągi albo łososie. Kto wie, może nawet spotkają Basingame'a?

- Oglądałem filmy o rycerzach, a teraz już wiem, jak się jeździ na koniu, więc...

Chłopiec gwałtownie ściągnął wodze; wierzchowiec stanął jak wryty, prawie dotykając pyskiem oślego ogona. Znajdowali się na szczycie niewielkiego wzniesienia. Poniżej widać było kilka zamrzniętych kałuż oraz kępę wierzb.

- Spróbuj go kopnąć - poradził dziewczynie, ale ona już zsiadła z osła.

- Dalej nie pójdziesz - powiedziała. - Był tu, kiedy dokonywałam przeskoku i zapamiętał to miejsce. Myślałam, że pierwszy znalazł mnie Gawyn, ale okazało się, że to ojciec Roche.

Ściągnęła zwierzęciu z łba konopną uprząż, a ono natychmiast zawróciło i potruchtało z powrotem po swoich śladach.

- Wsiadaj - zaproponował Colin, robiąc jej miejsce na grzbiecie konia, ale Kivrin pokręciła głową.

- Wolę iść. Mniej będzie bolało.

Spoglądała na wzgórze wznoszące się po drugiej stronie płytkiego zagłębienia terenu. Las kończył się mniej więcej w połowie zbocza, wyżej zaś rozciągała się biała, nieskalana przestrzeń. Śnieg znowu przestał padać, ale Dunworthy nawet tego nie zauważył - W warstwie ciężkich, nisko wiszących chmur pojawiło się trochę dziur i szczelin wypełnionych soczystym, głębokim granatem.

- Wziął mnie za świętą Katarzynę. Widział, jak zjawiam się nie wiadomo skąd, dokładnie tak, jak się pan obawiał. Przypuszczał, że zostałam przysłana przez Boga, by pomagać ludziom w nieszczęściu.

- Chyba robiłaś to, prawda? - zapytał Colin, po czym niezdarnie szarpnął wodzami i koń ruszył w dół po pochyłości. Kivrin szła obok niego. - Ciesz się, że nie widziałaś, co się działo w tamtej wsi! Wszędzie mnóstwo trupów. Założę się, że im nikt nie pomagał. - Nie zatrzymując wierzchowca zeskoczył na ziemię i rzucił dziewczynie wodze. - Pobiegnę sprawdzić, czy sieć jest otwarta. Badri obiecał, że będzie ją otwierał co dwie godziny.

Zniknął w gęstwinie. Kivrin zatrzymała konia i pomogła zsiąść Dunworthy'emu.

- Trzeba zdjąć siodło i uprząż - powiedział. - Gdybyśmy go nie znaleźli, zdechłby z głodu, bo wodze zaplątały się w gałęziach.

Wspólnymi siłami rozpięli popręg, ściągnęli siodło, zdjęli wierzchowcowi uzdę i wędzidło. Kiedy się z tym uporali, Kivrin czule poklepała konia po karku.

- Da sobie radę - zapewnił ją Dunworthy.

- Być może.

Spomiędzy wierzb wypadł Colin, obsypując ich śniegiem.

- Sieć jest zamknięta - zameldował.

- Badri wkrótce ją otworzy.

- Zabieramy konia? Ale wdechowo! - ucieszył się chłopiec. - Co prawda czytałem gdzieś, że historykom nie wolno zabierać niczego do przyszłości, ale gdyby wrócił z nami, może udałoby mi się z nim zaprzyjaźnić, a potem wyruszyłbym na nim na wyprawę krzyżową!

Odwrocił się i ponownie pognał przez gęstwinę, strząsając śnieg z gałęzi.

- Ruszajcie się! Musimy być gotowi do przeskoku.

Kivrin skinęła głową, cofnęła się o krok, a następnie klepnęła konia w zad. Zwierzę przeszło kilka kroków, ale natychmiast zatrzymało się, odwróciło łeb i spojrzało na nich pytająco.

- Chodźcie! - zawołał Colin z głębi lasu, lecz dziewczyna tylko skrzywiła się i przycisnęła rękę do boku.

Dunworthy zbliżył się, by jej pomóc, ale ona pokręciła głową, odwróciła się, rozgarnęła gałęzie i zagłębiła się w las.

Pod drzewami było znacznie ciemniej niż na drodze. Nagie konary dębu odznaczały się wyraźnie na tle granatowego nieba. Zasapany Colin właśnie taszczył ułamaną potężną gałąź na środek polany.

- To na wypadek, gdybyśmy musieli czekać całe dwie godziny - wyjaśnił.

Dunworthy z ulgą usiadł na szorstkim, suchym drewnie.

- Skąd będziemy wiedzieć, gdzie stanąć? - zapytał chłopiec.

- Zobaczymy parę, która zaraz potem zacznie się skraplać i zamarzać - wyjaśniła Kivrin, podchodząc do dębu i rozgarniając pod nim śnieg.

- A jeśli będzie ciemno?

Usiadła z wyraźnym trudem i oparła się plecami o pień. Colin zbliżył się niepewnie, przez chwilę stał, spoglądając na nią z góry, po czym przykucnął między potężnymi, poskręcanyymi korzeniami.

- Szkoda że nie mamy zapalek, bo moglibyśmy rozpalić ognisko.

- Nic nie szkodzi - powiedział Dunworthy.

Chłopiec włączył latarkę, tylko po to jednak, by zaraz ją wyłączyć.

- Chyba powinienem oszczędzać baterie na wypadek, gdyby były jakieś problemy.

Coś poruszyło się w kępie wierzb. Colin poderwał się jak ukłuty sprężyną.

- Chyba już się zaczyna!

- To tylko koń zjada młode witki - wyprowadził go z błędu Dunworthy.

- Aha. - Chłopiec usiadł ponownie. - A może się już otworzyła, tylko my nie zauważyliśmy tego po ciemku?

- Na pewno nie.

- Albo Badri miał nawrót, zabrali go do szpitala, i teraz nie ma nikogo, kto potrafiłby ściągnąć nas z powrotem?

Colin sprawiał wrażenie raczej podekscytowanego niż wystraszonego.

Czekali w milczeniu. Granatowe niebo poczerwieniało nad zachodnim horyzontem, potem czerwień zamieniła się w ciemną purpurę, granat nasycił się czernią, między konarami dębu zaś zaczęły mrugać pierwsze gwiazdy. Po jakimś czasie Colin przesiadł się na ułamaną gałąź i wdał się w długie dywagacje na temat wypraw krzyżowych.

- Wiesz wszystko o średniowieczu - zwrócił się do Kivrin - więc pomyślałem sobie, że mogłabyś mi pomóc. Wiesz, opowiedziałabyś mi, jak się wtedy żyło, i w ogóle...

- Jesteś za młody - odparła. - To bardzo niebezpieczne.

Skinął głową.

- Wiem, ale się nie boję. Bardzo mi na tym zależy. Pomożesz mi?

- Będzie zupełnie inaczej, niż oczekujesz.

- Chodzi ci o to paskudne jedzenie? W książce, którą dostałem od pana Dunworthy'ego, było napisane, że ludzie jedli wtedy zepsute mięso, łabędzie i różne inne świństwa.

Kivrin długo przyglądała się swoim zmasakrowanym rękóm.

- Prawie wszystko było okropne - powiedziała wreszcie głosem niewiele donośniejszym od szeptu - ale było też wiele cudownych rzeczy.

Cudowne rzeczy. Przypomniał sobie Mary, opartą o bramę Balliol i opowiadającą o Dolinie Królów. "Nigdy tego nie zapomnę".

Cudowne rzeczy.

- A co z brukselką? - zapytał Colin. - Czy w średniowieczu jedzono już brukselkę?

Przez twarz dziewczyny przemknęło coś w rodzaju uśmiechu.

- Chyba nie.

- Wdechowo! - Ponownie zerwał się na nogi. - Słyszeliście? Tym razem na pewno się zaczyna! Wyraźnie słyszę dzwonek.

Kivrin podniosła głowę.

- Zaraz po przeskoku też słyszałam dzwonki.

Colin chwycił Dunworthy'ego za ramię i gwałtownym szarpnięciem postawił na nogi.

- Słyszysz pan?

Istotnie, mroźny wiatr niósł ze sobą przytłumiony, ale doskonale słyszalny dźwięk dzwonu.

Kivrin pochyliła się do przodu, oparła jedną ręką o ziemię, lecz zamiast wstać, zdołała tylko uklęknąć.

- Chodźcie! - poganiał ich Colin.

Dunworthy wyciągnął rękę do dziewczyny; nie skorzystała z pomocy.

- Dam sobie radę - powiedziała cicho.

- Wiem.

Podniosła się na nogi, oparła plecami o pień dębu, odetchnęła kilka razy, po czym odepchnęła się od drzewa i stanęła o własnych siłach.

- Wszystko jest w rejestratorze - szepnęła. - Wszystko, od początku do końca.

Kiedy Dunworthy patrzył na nią, stojącą nieruchomo w zakrwawionym, brudnym ubraniu, z krótko ostrzyżonymi włosami, wycieńczoną twarzą i zmaltretowanymi rękami, przyszedł mu na myśl brat John Clyn - nieustraszony kronikarz, wypełniający swą powinność w pustym kościele otoczonym grobami.

"Po to, by rzeczy, o których winniśmy pamiętać, nie zaginęły w otchłaniach czasu i nie uleciały z pamięci tych, co przyjdą po nas, ja, który widziałem tyle nieszczęść w świecie opętanym przez Złego, i który sam mało nie umarłem, czekając na przyjście śmierci opisałem wszystko, czego byłem świadkiem".

Kivrin podniosła ręce do twarzy i przyglądała się swoim dłoniom.

- Ojciec Roche, Agnes, Rosemunda i wszyscy... Wszyscy, co do jednego. - Przesunęła palcem po ledwie widocznej bliźnie na przegubie. - *Io suuicien lui damo amo...* - szepnęła. - Zastępujesz przyjaciela, którego kocham.

- Kivrin...

- Chodźcie! - wykrzyknął Colin z podnieceniem. - Już się zaczyna. Nie słyszycie dzwonu?

- Słyszemy - odparł Dunworthy. Był pewien, że to panna Piantini gra wstęp do "Kiedy wreszcie przybędzie mój Zbawiciel".

Kivrin stanęła obok niego z dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

- Widzę Badriego! - zawołał Colin, po czym przyłożył ręce do ust i krzyknął co sił w płucach: - Wszystko w porządku! Znaleźliśmy ją!

Panna Piantini uderzyła jeszcze mocniej w dzwon, zaraz potem dołączyły inne, a powietrze zaczęło migać, jakby zawisły w nim drobne płatki śniegu.

- Ale wdechowo! - szepnął Colin z rozpromienioną twarzą.

Kivrin chwyciła Dunworthy'ego za rękę i ścisnęła mocno.

- Wiedziałam, że pan mnie nie zostawi - powiedziała.

Chwilę potem Badri otworzył sieć.

Constance Elaine Trimmer Willis

(Ur. 31 grudnia 1945 w Denver, Kolorado), amerykańska pisarka science-fiction.

Po raz pierwszy opublikowała swoje opowiadanie *The Secret of Santa Titicaca* w magazynie *Worlds of Fantasy* na przełomie 1970 i 1971 roku. Jej pierwsza powieść *Water Witch* ukazała się w 1982 roku. Napisała ją wspólnie z Cynthia Felice.

W swoim dorobku ma 10 nagród Hugo, oraz 6 nagród Nebula (najwięcej ze wszystkich pisarzy fantastyki naukowej).

W 1967 wyszła za mąż za fizyka Courtney'a Willisa. Mieszkają razem w Greeley w Kolorado.

UTWORY WYDANE W POLSCE

POWIEŚCI:

- *Księga Sądu Ostatecznego* (*Doomsday Book*, 1992), Prószyński i S-ka 1996
- *Przewodnik stada* (*Bellwether*, 1996), Prószyński i S-ka 1997
- *Remake* (*Remake*, 1994), Nowa Fantastyka 5-7/1998
- *Nie licząc psa* (*To Say Nothing of the Dog*, 1997), Prószyński i S-ka 1999
- *Przejsięcie* (*Passage*, 2001), Zysk i S-ka 2003

ZBIORY OPOWIADAŃ:

- *Zaćmienie*, Prószyński i S-ka 1996
- *Praktyka dyplomowa* (*Fire Watch*, 1982)
- *Pogrzeb* (*Service For the Burial of the Dead*, 1982)
- *Znalezisko* (*Lost and Found*, 1982)
- *Wszystkie moje ukochane córki* (*All My Darling Daughters*, 1985)
- *Ojciec panny młodej* (*The Father of the Bride*, 1982)
- *Zaćmienie* (*And Come from Miles Around*, 1979)
- *Sydon w Lustrzaku* (*The Sidon in the Mirror*, 1983)
- *Daisy w słońcu* (*Daisy, in the Sun*, 1979)
- *Klon na zamówienie* (*Mail Order Clone*, 1982)
- *Samaryt...* (*Samaritan*, 1978)
- *Niebieski księżyc* (*Blued Moon*, 1984)

POZOSTAŁE:

- *List do Clearysów* (*A Letter from the Clearys*, 1982), Fantastyka 7/1984
- *Kwarantanna* (*Cash Crop*, 1984), w antologii Don Wollheim proponuje. 1985, Alfa 1985
- *Klątwa królów Kolchidy* (*The Curse of Kings*, 1985), w antologii Don Wollheim proponuje. 1986, Alfa 1986
- *Dylemat* (*Dilemma*, 1989), Isaac Asimov's Science Fiction Magazine 4/1992
- *W "Rialto"* (*At the Rialto*, 1989), Nowa Fantastyka 4/1994
- *Praktyka dyplomowa* (*Fire Watch*, 1982), Nowa Fantastyka 5/1996, w zbiorze *Zaćmienie*, Prószyński i S-ka 1996
- *Nawet królowa* (*Even the Queen*, 1992), Nowa Fantastyka 6/1996, w antologii *Nebula '92*, Prószyński i S-ka 1997
- *Śmierć na Nilu* (*Death on the Nile*, 1993), Nowa Fantastyka 3/1997, w antologii *Nebula '93*, Prószyński i S-ka 1998
- *Wichry Marmurowego Łuku* (*The Winds of Marble Arch*, 1999), SFinks 6/2002

NAGRODY I NOMINACJE

NAGRODA HUGO

Nagrody:

1983: *Praktyka dyplomowa* - nowela

1989: *The Last of the Winnebagos* - mikropowieść

1993: *Nawet królowa* - opowiadanie

1993: *Księga Sądu Ostatecznego* - powieść

1994: *Śmierć na Nilu* - opowiadanie

1997: *The Soul Selects Her Own Society: Invasion and Repulsion: A Chronological Reinterpretation of Two of Emily Dickinson's Poems: A Wellsian Perspective* - opowiadanie

1999: *Nie licząc psa* - powieść

2000: *Wichry Marmurowego Łuku* - mikropowieść

2006: *Inside Job* - opowiadanie

2008: *All Seated on the Ground* - opowiadanie

Nominacje:

1980: *Daisy w słońcu* - opowiadanie

1983: *List do Clearysów* - opowiadanie

1984: *Sydon w Lustrzaku* - nowela

1985: *Niebieski księżyc* - nowela

1987: *Spice Pogrom* - mikropowieść

1990: *Time Out* - mikropowieść

1990: *W "Rialto"* - nowela

1991: *Cibola* - opowiadanie

1992: *In the Late Cretaceous* - opowiadanie

1992: *Miracle* - nowela

1992: *Jack* - mikropowieść

1996: *Remake* - powieść

2002: *Przejście* - powieść

NAGRODA NEBULA

Nagrody:

1982: *Praktyka dyplomowa* - nowela

1982: *List do Clearysów* - opowiadanie

1988: *The Last of the Winnebagos* - mikropowieść

1989: *W "Rialto"* - nowela

1992: *Księga Sądu Ostatecznego* - powieść

1992: *Nawet królowa* - opowiadanie

Nominacje:

1983: *Sydon w Lustrzaku* - nowela

1987: *Schwarzschild Radius* - nowela

1991: *Jack* - mikropowieść

1993: *Śmierć na Nilu* - nowela

1997: *Przewodnik stada* - powieść

1998: *Nie licząc psa* - powieść

2001: *Przejście* - powieść

NAGRODA LOCUSA

1993: *Nawet królowa* - krótka forma

1993: *Księga Sądu Ostatecznego* - powieść

1994: *Impossible Things* - zbiór

1994: *Close Encounter* - krótka forma

1996: *Remake* - opowiadanie

1997: *Przewodnik stada* - opowiadanie

1998: *Newsletter* - nowela

1999: *Nie licząc psa* - powieść

2002: *Przejście* - powieść

INNE NAGRODY I NOMINACJE:

- Nagroda imienia Johna W. Campbella za powieść *Lincoln's Dreams* w 1988
- Nominacja do nagrody World Fantasy za nowelę *Chance* w 1987
- Nominacja do nagrody Brama Stokera za opowiadanie *Śmierć na Nilu* w 1994

[1] Domesday Book. Kataster gruntowy, wynik ambitnej i udanej próby spisu gruntów królestwa Anglii, zapoczątkowanej przez Wilhelma I na wielkim synodzie bożonarodzeniowym w 1085, Domesday Book składa się z dwóch grubych tomów: pierwszy, staranniej opracowany, obejmuje większość ziem angielskich; drugi, bardziej szczegółowy i mniej zwięzły dotyczy wschodnich hrabstw: Essex, Suffolk i Norfolk. Zawierają one mnóstwo informacji na temat ziem królewskich, ziem wielkich lenników (duchownych i świeckich), zasobów i możliwości podatkowych całego kraju, właścicieli ziemskich i chłopstwa oraz zasobów naturalnych kraju, takich jak lasy, młyny, stawy rybne, a także wiele innych danych. Wśród źródeł Europy średniowiecznej zajmuje wyjątkowe miejsce ze względu na swą wielostronność; jest też rezultatem szczególnych okoliczności, związanych z podbojem Anglii przez Normanów. Używano go jako autorytatywnego źródła, poświadczającego posiadanie ziemi. W XII w. zaczęto nazywać go Domesday Book (Księgą Sądu Ostatecznego), ponieważ nie można było odwoływać się od zawartych w nim informacji. Prawne i finansowe znaczenie Domesday Book zapewniło temu źródłu przetrwanie jako prestiżowemu dokumentowi skarbowemu i finansowemu. Czyniono z niego wyciągi, a większość wielkich właścicieli ziemskich miała dostęp do informacji dotyczących stanu prawnego ich ziem w okresie powstania Domesday Book. Powoływano się na zawarte tu informacje jeszcze w późnym średniowieczu, zwłaszcza w związku ze statusem dawnych posiadłości i prawami miejskimi, (cyt. za: Średniowiecze. Encyklopedia popularna, Warszawa: "Czytelnik", 1996 s. 80-81).

[2] O Panie, zechciej łaskawie zesłać nam z niebios Twego świętego anioła, aby strzegł, pielęgnował, broił i odwiedzał wszystkich, którzy zgromadzili się w tym domu.

Usłysz moją modlitwę i pozwól uzalić się przed Tobą.

[3] Przybądź mi prędko z pomocą.

[4] Biblia króla Jakuba - przekład angielski, dokonany 1604-11 przez grupę uczonych angielskich na zlecenie króla Jakuba I, wydany w 1611, stał się tekstem obowiązującym dla wszystkich sekt protestanckich. Jego wpływ na język i literaturę angielską był ogromny. (Cyt. za: Władysław Kopaliński, Słownik mitów i tradycji kultury, Warszawa: PIW, 1985, s. 98).